KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

KRESY

POWIEŚĆ

WYDAŁ
A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

KRESY

POWIEŚĆ

WYDAŁ
A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO

I.

Ponieważ do odejścia wieczornego pociągu zostawało kilka godzin, Jakób Siewierski, spakowawszy rzeczy, udał się do klubu, nie dla "zabicia czasu" wszakże, gdyż czasu nie potrzebował nigdy zabijać, lecz, by uniknąć i wyrzutów sumienia i zarzutów, iż stroni od ludzi. W mieście gubernialnem, którego brzydotę Jakób zniewolony był oglądać wiele razy do roku, znajdowały się trzy kluby: rosyjski prawicowo-czarny, polski, założony w pewnej mierze dzięki inicyatywie oraz szczodrobliwości Jakóba Siewierskiego i mieszany polsko-rosyjski, najbardziej uczęszczany z powodu wysokiej gry hazardowej, a także z rozmaitych polityczno-dyplomatycznych "względów." Jakób nie grał w karty, nie uznawał owych "względów." Wybrał się przecież do tego ostatniego.

Był piątek. Chodnikiem płynęły arcymnogie rzesze izraelske. Brzmiała głośno mowa rosyjska, zrzadka urozmaicona żargonem. Szabasująca publiczność posuwała się tłumem, tak zwartym, że spacer ten wyglądał raczej na pochód i przypominał powódź. O torowaniu sobie drogi w ścisku nie mogło być mowy, to też Jakób Siewierski ulegle zszedł na bruk i kroczył ulicą, przyglądając się strojom i typom semickim bez entuzyazmu.

Wpadały mu do ucha urywki rozmów, których tematy i akcent zdawały się żywcem przeniesione z nad Newy. Czarne koszule młodzieńców w binoklach zdradzały bliskie pokrewieństwo ich (młodzieńców, nie koszul i nie binokli) z organizacyą socyalistyczną, która nie tak dawno temu, w tak zwanej epoce wolnościowej wybujała na krótko i zaraz potem została zdławioną.

Wzbierały w Jakóbie uczucia niechęci i smutku... Znajdował się przecież w kraju, nie na żadnem "osiedleniu," a oto ulicę zalały niezliczone gromady, tak całkowicie obce, iż między nim a gromadami temi nie znalazłaby się zapewne ani jedna myśl wspólna, ani jedno uczucie, że wśród

pni spalonego czy zrąbanego lasu mniejby może odczuwał osamotnienia.

"Kto wykopał? dlaczego istnieje? czem zapełnić przepaść, oddzialającą współmieszkańców tej samej ziemi?" — zapytywał siebie z troską.

I nie będąc w najmniejszym nawet stopniu antysemitą, Jakób Siewierski na niezgiełkliwych odświętnych spacerowiczów patrzył nieżyczliwie. Drażniły go mowa, tupet, swada rdzennie państwowego akcentu...

Minąwszy ohydnej architektury teatr, potem niemiłosierną w szpetocie swojej, o licznych, barwy szmaragdowej kopułach kaplicę, wzniesioną bodaj ku upamiętnieniu pobytu monarchy, Jakób stanął u "gościnnych podwoi" klubu i wszedł znudzony, zanim jeszcze zaczął się nudzić.

Jakób Siewierski nie był popularnym i nie był lubianym. Zamało przeciętny i zanadto odrębny, by zdobyć popularność, zamało lubił ludzi, by pozyskać ich serca. Szanowano go może, ceniono jego cnoty, rozum, ofiarność i unikano starannie, tem bardziej, że nie zajmował znowuż tak wysokiego stanowiska, ażeby potrzebowano mu nadskakiwać.

Bardzo zamożny, nie posiadał wszakże fortuny magnackiej. Przez matkę, hrabiankę Mirską, skoligacony z kilku najlepszemi rodzinami, nie należał jednak do arystokracyi, z życia publicznego wycofał się, zrażony niepowodzeniem. Na dnie duszy gromadził się gryzący osad ambicyi, stosunek do społeczeństwa stał się bardziej wyniosłym, społeczeństwa zaś do niego bardziej niechętnym. Jakób niekiedy cierpiał nad tem, od czasu do czasu usiłował wstępnym bojem zjednać nieżyczliwych ziemków, a doznawszy klęski, zamykał się jeszcze wyniośle j w sobie.

Do jednej z prób tego rodzaju należała wycieczka do klubu, nie pierwsza i nie ostatnia. Wynik łatwo było przewidzieć. Wybrał się z najlepszemi intencyami, a zanim wszedł, już nudził się na samą myśl spotkania tych albo tamtych; zanim przywitał się, już odczuwał niechęć i miał ochotę cofnąć się....

Goście klubowi odpłacali pięknem za nadobne, witali chłodno, obojętnie lub niechętnie. Jakób Siewierski, ujmujący, łatwy i prosty z tymi, którzy darzyli go przyjaźnią

tu stał się od pierwszej chwili sztywnym, sztucznym, wzgardliwym. Usiadł do wieczerzy, lubo wolałby gdzieindziej, obok Frania Liniewicza, ziemianina z kategoryi groszorobów-aferzystów. Zjawienie się jego przerwało jakąś ożywioną, może zabawną rozmowę. Kilka chwil trwało milczenie, potem cedzono coś przez zęby o upałach, o szkodliwej suszy, o czyjejś grubej wygranej w karty, o jakimś procesie i znowu o upałach. Siewierski odpowiadał na jakieś pytania.... Liniewicz gadał dużo i z tupetem.... Siewierski powiedział był niegdyś o Liniewiczu, że on dawniej, na początku swej karyery, chciał mieć przynajmniej tyleż, co inni, wkrótce potem — już więcej od innych, obecnie zaś — wszystko, co posiadali inni.... Siewierski nie zazdrościł nikomu zysków, ale groszoróbstwo namaszczone, uroczyście senatorskie nięcierpliwiło go w Liniewiczu, który udawał trochę męża stanu i mimo czerwonych, pulchnych, o krótkich palcach rąk, mimo powierzchowności drugorzędnego tenora albo dystyngowanego subjekta z pierwszorzędnego magazynu, chorował na wielkiego pana.

— Jakiż tam interes piecze się panu w tej spiekocie, że jeszcze pan siedzi w mieście — zwrócił się do niego.

— Interesa nie robią się tak łatwo, jak jajecznica, którą pan sobie obstalował — oschle odparł Liniewicz i zwrócił się do sąsiada, z lewej strony....

Była tam właśnie mowa o nowym gubernatorze, który w niedawnem przemówieniu zapowiedział, iż będzie rządził surowo, ale sprawiedliwie, nie czyniąc różnicy między narodowościami.

— Patrzcie go, jaki łaskawy satrapa! — mruknął Siewierski.

— Najłatwiej jest z założonemi rękami krytykować wszystko.

— Jak powiedział gubernator? "Będę rządził surowo, lecz sprawiedliwie" — ze skupieniem, jak gdyby chodziło o zdanie pierwszego męża stanu Europy, pytał ktoś świeżo przybyły.

— Nie czyniąc różnicy między narodowościami.....

— Tak...

— W tem właśnie sęk.

— To bardzo ważne! Inny wiatr powiał.

— Nie można, panowie, nad przemówieniem tem przejść do porządku. Stała się rzecz doniosła. Musimy dać wyraz wdzięczności — odezwał się naraz Siewierski.

Zebrani spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— Proponuję tedy — ciągnął dalej — by gubernatorowi w imieniu naszem ofiarować. .

— Już zaraz ofiarować! — przerwał ktoś, węszący składkę, a bojąc się składki.

Ofiarować Chocimów — skończył spokojnie Siewierski.

Znaczne dobra Chocimów, położone w sąsiedztwie Jakóba, należące niegdyś do hetmana polnego Gosiewskiego, z grobowcem tegoż hetmana w kościele (przerobionym na cerkiew), liczni spadkobiercy ostatniego potomka wygasłej linii Gosiewskich zamierzali wystawić na sprzedaż. Losami Chocimowa zajmowała się cała gubernia, i podejrzywano może słusznie, może bezpodstawnie, iż Franio Liniewicz położył potajemnie rękę na pięknej majętności hetmańskiej z tem, by ją rozparcelować.

— Jeszczeby też Chocimów! — żachnął się dobrodusznie ktoś z obecnych, który nie zrozumiał zjadliwego szyderstwa.

Nastało milczenie, Jakób pochylił się nad talerzem.

Wkrótce ktoś wniósł pod obrady inny temat i rozmowa potoczyła się dalej, mniej lub więcej ożywiona.

Nudę rozmowy klubowej i wiecznie tych samych docinków, nastrój ospałości prowincyonalnej przerwało zjawienie się pana Tomasza Targowieckiego. Był to wybitny ziemianin, bardzo bogaty, zdolny i obrotny, który jedną ręką robił milionowe afery, drugą wielką politykę, który wciąż podróżował, codziennie odwiedzał ministrów, posiadał zawsze najświeższe i z najlepszego źródła nowiny, rozwoził najlepsze anegdoty, który dużo czytał, wszystkim się interesował, miał niewyczarpany zasób zdrowia, humoru, energii.

Ożywili się wszyscy, gdy wszedł. Lokaje ukłonili sie nisko a przyjaźnie hojnemu panu... Liniewicz rozchmurzył zasępione po dotkliwym żarcie Siewierskiego oblicze na widok potężnego współzawodnika.

On zaś poufale, dobrotliwie, przyjaźnie, przywitawszy zebranych, jął badać uważnie przez szkła. podaną mu kar-

tę. Binokle szpeciły jego piękną, rasową twarz, która byłaby petroniuszowską, gdyby nie zarost.

Obstalowawszy kolacyę, Targowiecki powoli zdjął szkła, włożył do futerału, rozejrzał się wśród zgromadzonych, uśmiechnął się do Siewierskiego, z którym był przez żonę, hrabiankę Szeńską, spowinowacony i począł natychmiast coś opowiadać, przyjemnym, kulturalnym głosem.

Ludzie skupili się dokoła niego. Targowieckiemu, który dbał o popularność i wyobrażał sobie, iż jest bardzo lubianym, widok licznego audytoryum dodał zapału. Opowiadał i śmiał się szczerze, a gdy śmiał się, czerwieniały mu uszy.... Dopowiedziawszy anegdotę do końca rozglądał się z zadowoleniem i pocierał swoją łysiejącą, zupełnie nisko przystrzyżoną głowę.

Siewierski, jakkolwiek niejedno miał mężowi kuzynki do zarzucenia, cenił jego kulturę, inteligencyę, nie przeciętne oczytanie, oraz lubił go tak, jak się lubi sąsiada, z którym się żyło. Przysłuchiwał się teraz z zajęciem, choć zwykle nie dowierzał...

Naraz pan Tomasz Targowiecki przerwał i powstał, za jego przykładem inni. Do pokoju wszedł jeden z dygnitarzy gubernialnych.... Każdy spieszył na wyprzódki z uprzejmą czołobitnością. Ospały, niemłody dostojnik, syn chłopa z centralnej gubernii, demagog, w głębi serca, niedbale przyjmował atencye polskich panów, których w skrytości myśli podejrzywał zawsze o konszachty z Jezuitami i knowanie spisków powstańczych....

Siewierski zapłacił rachunek i wymknął się, wyrażając sobie samemu naganę. Ostentacyjna ucieczka przed urzędnikiem była nieroztropna, tak, jak nierozsądnem było zachowanie się przez cały czas. Wybrał się był, by załatać naprężone stosunki z obywatelstwem, tymczasem nikogo nie pozyskał, a Liniewicza najniepotrzebniej rozjątrzył. Lepiej już było zostać w hotelu i czytać zajmującą, dziś właśnie rozpoczętą pracę o Pascalu.... Strofował siebie z obowiązku, a z radością powitał pas nieba o niewyraźnych gwiazdach, poszukał znanych konstelacyj. Duszne powietrze lipcowej nocy w mieście wydało mu się prawie krzepiącem w porównaniu z atmosferą przybytku kart..

Ulicą płynęły wciąż fale świątkującego żydostwa. Jakób patrzał na nie z dziwnem uczuciem. Jednostajny zawsze wzdłuż tej samej ulicy spacer zwartego tłumu nie czynił już na nim wrażenia zuchwałego zalewu, niebezpiecznej powodzi, tryumfującej manifestacyi. Myślał o wiecznym tułactwie narodu tułaczego; litość budziło to jednostajne zbijanie chodników w zaduchu, w spiekocie skwarnego wieczoru, w smrodliwych wyziewach niechlujnej mieściny. I Siewierski nie słuchał niecierpliwiącej go mowy, lecz patrzał z litością, z ubolewaniem. On sam spieszył przecież do cudnego parku swego, do własnej siedziby, do pól, które szemrały w tej chwili nocnym szeptem dojrzewających zbóż, które pachniały ziarnem i rosą, brzmiały przepiórkowem wołaniem....

II.

Na kolei Siewierski zdumiał się niemało, gdy młody wojskowy wśród której to kasty nie miał znajomych, wziął go w objęcia i gdy wojskowym tym okazał się jedyny brat jego Dominik, którego oczekiwał wprawdzie na wakacye, ale ani dnia tego, ani w tym mundurze. Ściskali się. Dominik był rad z wywołanego efektu i nieco zmieszany; zmieszanie to pokrywał tupetem.

— Powiadaj, co zaszło... uspokój się panie bracie... pozwól mi tylko co zjeść... jestem wściekle głodny...

I Dominik, brzęcząc zbyt głośno, jak zdawało się Siewierskiemu, ostrogami, niezgrabnie, a jakby rozmyślnie zawadzając szablą, skierował się w stronę bufetu, donośnie zawołał na "człowieka", równie donośnie obstalował wieczerzę z niezbędnym dodatkiem kieliszka wódki, zamaszyście usiadł, rozparł się. Był zajęty nową rolą, udawaniem dorosłego, "grał" oficera.

Bawiło to Jakóba, ale i drażniło w pewnym stopniu, zwłaszcza petersburskość manier i języka, oraz mundur, chociaż wysoki, tęgi, przystojny, tryskający zdrowiem Dominik pasował może do swego uniformu.

Bracia wogóle byli odrębni. Od pierwszego wejrzenia znać było, że sporty, nie książka, rozrywki i zabawy, nie

konspiratorstwo społeczno-patryotyczne, uciecha, nie troska przedwczesna, nie polska niedola lub ból świata, wypełniały szkolne lata świeżo upieczonego wojskowego. W odmiennych warunkach zbiegło im także dzieciństwo. Ukochanie gniazda rodzinnego, kult matki, przywiązanie do ziemi ojców tkwiły głęboko a mocno w sercu, stanowiły skarb najświętszy starszego z rodzeństwa, o piętnaście lat młodszy, wcześnie osierocony, wychowany w kosmopolitycznym domu stryja, bezdzietnego dygnitarza nad Newą, oddany następnie do liceum, Dominik, jeśli o charakterze jego mogła być już wogóle mowa, nie lubił wsi, prowincyi, tj., kraju, "szowinizmu."

Różnica usposobień i dusz zaznaczyła się różnością typu fizycznego. Wykwintny w każdym calu, pańskością postaci i ruchów, rasowemi rysami, suchą, ogoloną twarzą dyplomaty Jakób zwracał na siebie uwagę w każdym tłumie — łuna młodej urody i wesołości biła od ładnego oficera. Pociągał ku sobie nie tylko oczy, budził sympatyę, a gdy śmiał się, brała ochota śmiać się z nim razem, dzielić z nim radość... I zdawało się, iż został stworzony do szczęścia, do łatwych zdobyczy, do uciechy, po to, by wiecznie był młodym... Cienie zgorzknienia kryły się w zmarszczkach, które nieproszone spędziły przedwcześnie młodość z oblicza Jakóba, cierpkość osiadała często dokoła warg, które tylko w uśmiechu stawały się ujmującemi, troska zorała wysokie, rozumne czoło.

— Widzisz tedy, bracie, skombinowałem sobie tak: poco odkładać wojskowość, kiedy można załatwić teraz — dobitnie i wolno, szukając wyrazów, tłómaczył przyszły być może wojownik — nie tylko ja wpadłem na ten pomysł — wymienił kilka arystokratycznych nazwisk rosyjskich.

Jakób słuchał, nie pochwalał ani projektu, ani dowodzeń, ale serce tajało w nim z radości na widok drogiej twarzy braterskiej, jedynej na ziemi...

Zdało się mu w pewnem mgnieniu, iż z twarzy, zgoła wogóle niepodobnej, może z oczu, wyjrzała ku niemu matka. Było to coś nieuchwytnego, minęło natychmiast, lecz stanęła przed Jakóbem w przelotnem widzeniu ukochana postać i przeszłość niepowrotna, a odległa jak szczęście czasów minionych.

Tymczasem Dominik nalał sobie drugi kieliszek wódki z karafki i wypił duszkiem bez wielkiego gustu, czyniąc to zapewne nie z zamiłowania, ale z zasady... Rozglądał się przytem dokoła, badając wciąż, jakie też wywiera na publiczności wrażenie, szczypał sobie górną wargę, gdzie zaledwie wysypywał się jasny wąs i starał się mówić grubym basowo-męskim głosem. Było to wszystko tak typowem, tak naiwnem a młodzieńczem, że przestawało być śmiesznem.

— Muszę sobie teraz wyszukać konia... może się znajdzie coś u ciebie lub w waszej okolicy... chciałbym anglika... domieszka wschodniej krwi nie zawadzi — prawił kawalerzysta, zajęty, jak zwykle młodzi, wyłącznie własną osobą.

Mówił leniwie, jadł marudnie, będąc wogóle powolnym w przeciwieństwie do starszego brata.

— Skończże już raz z kolacyą! — niecierpliwił się ten ostatni.

— Zaraz, panie bracie... zrobi się wszystko... będzie jeszcze czas! — uspokajał Dominik i jeszcze bardziej marudził, uważając widocznie powolność także za nieodzowną cechę męskości, oraz dojrzałego wieku.

Dworzec zapełnił się publicznością, tą samą z chodników, odświętną, szabasującą. W jakiejś chwili Jakób wstał i ukłonił się.

— Ciekawym, komu to kłaniałeś się... ja bo widzę same "żydówy" dokoła...

— Kuzynka naszych sąsiadów Zapolskich... chodźmy już.

Jakób zerwał się na odgłos dzwonka, lecz pohamował się natychmiast.

— Jeśli przystojna facetka, chodźmy owszem — z flegmą dowcipkował oficer i począł znowu przywoływać "człowieka."

W ścisku, który kotłował się na peronie, Jakób nie dojrzał już znanego kapelusza, o który mu może chodziło. Rozejrzał się uważnie, udając przed sobą samym i przed bratem, iż szuka dla niego tragarza. Gdy znalazł się tragarz, wsiedli do przedziału pierwszej klasy, po chwilowem wahaniu Jakóba, które zdziwiło wojskowego.

Dominik znowu rozwlekle opowiadał o swoich egzaminach, które mniej się powiodły, o odznaczeniach sportowych, które były liczne i zaszczytne, o kolegach.

Starszy brat zdradzał czasami nieco roztargnienia, lecz cieszył się szczerze... Miłym mu był brat i jego naiwny szczęśliwy egotyzm.

Przed samem ruszeniem pociągu na korytarzu ukazało się dwóch starszych panów, w których każdy zapoznałby odrazu Polaków i rolników. Jakób pośpieszył ku nim, witał serdecznie, zapraszał gościnnie.

— W drugiej tłok niemożliwy... niczem śledzie w beczce!

— Ładne porządki! nigdy nie doczepią wagonu — gderał jeden z sąsiadów, Zapolski.

— Zmieścimy się tu wybornie... dzięki nieporządkom na kolei zyskałem miłe towarzystwo panów... panowie po spartańsku nawet w nocy nie chcą sobie na pierwszą pozwolić.

Siewierski, wylany przyjacielski i łatwy, zdawał się już nie tym cierpkim a wyniosłym krytykiem z klubu, który umiał tylko zrażać do siebie ludzi. Obaj towarzysze podróży znajdowali się na niezbyt długiej liście tych, których poważał i cenił. Na listę tę nie łatwo było trafić, lecz gdy już kto trafił, pozostawał na zawsze...

Jakób przedstawił brata, ten zaś natychmiast rozpoczął swoją opowieść o wojskowości, o sprawach pułku, o kolegach z arystokracyi rosyjskiej i sportach.

Teofil Siekludzki, jeden z ostatnich już żyjących uczestników powstania styczniowego, milczał, trzęsąc głową i brodą proroka biblijnego, rzekłbyś oburzony i zgorszony. Zwano go w gubernii patryarchą, z urzędu otaczano czcią, lecz w rzeczywistości stroniono, uważając za pierwszorzędnego nudziarza i mruka, wyśmiewając jego zaniedbanie w ubiorze, graniczące niemal z abnegacyą. W salonach, gdzie zresztą starzec bywał niezmiernie rzadko, kursowały liczne żarty o żałobie narodowej, jaką pokomś nosił, o zzieleniałych, nigdy nie strzyżonych, zatabaczonych wąsach, o nocnej koszuli do fraka itp.

Starzec nie przerwał oficerowi, nie przeszkadzał mu mówić, ani też zachęcał. W pewnej chwili zwiesił głowę, wbił uporczywy wzrok w ziemię. Dominik opowiadał dalej.

Tymczasem znany, zacny, popularny w najlepszem znaczeniu wyrazu pan Ignacy Zapolski, korzystając ze sposobności, napadał na Siewierskiego za to, iż ten nie bierze udziału w pracy społecznej i namawiał go do "ziemstwa."

Jakób rozumiał wybornie, iż właścicielowi dużej przestrzeni rolnej, stałemu mieszkańcowi kraju, nie wolno odgradzać się od społeczeństwa i jego spraw murem, a nie mógł przyzwyciężyć odrazy do rządu, do biurokratów, do języka, do t. zw., "modus vivendi" z tymi, dla których miał w myśli, na ustach i w sercu jeden wyraz: precz!

— Przedewszystkiem nie wybiorą sąsiedzi, a jeśli zechcą ziemianie, nie zatwierdzą władze... pozatem nie nadaje się — powtarzał.

— Kiedy ja wiem, że i wybiorą i zatwierdzą, a co się tyczy uzdolnień, niech pan poniekąd zostawi sąd innym — uparcie, cierpliwie przekonywał prezes Zapolski, który sam będąc wybitnym działaczem, nie znał wszakże tak pospolitej w świecie politycznym zawiści i lubił wysuwać, protegować, torować drogę zdolnym jednostkom.

Ani wymowny, ani bystry, na zwykłą zupełnie miarę rozsądny, pan Ignacy zdobył w społeczeństwie uznanie i jedno z pierwszych stanowisk wyłącznie dzięki cnotom nieposzlakowanej prawości i pracowitości. Od wielu lat nie było działu rodzinnego, sądu polubownego, testamentu, stowarzyszenia, przedsięwzięcia, które się obeszło bez udziału, podpisu, rady Zapolskiego. — Weszło z modę i zwyczaj zapraszać go wszędzie, wszędzie wybierać, używać do wszystkiego, on zaś na wszystko umiał znaleźć czas, nigdy nie odmawiał, spędzał życie w wagonie i hotelu, jak zgryźliwie wyrażała się o nim żona!... Zacny pan Ignacy uważał pracę społeczną za obowiązek i tak też traktował swoją działalność, ale z drugiej strony liczne jego zajęcia i godności sprawiały mu tyle przyjemności, iż wprost nie pojmował, jak można zamknąć się w Siewiersku.

— Dlatego to źle u nas w kraju, iż ludzie poniekąd wybitni nie biorą udziału w służbie publicznej. Służba ta w warunkach dzisiejszych nie należy poniekąd do przyjemnych i bardzo owocnych — poczciwie, z głębi serca i przekonania, najbardziej utartemi frazesami tłumaczył prezes, zwany czasami "prezesem poniekąd", ponieważ gdy szu-

kał odpowiedniego wyrazu, w trakcie szukania powtarzał: poniekąd, poniekąd, i tak do tego przywykł iż żartowano, że żonę i dzieci prezentował często: poniekąd żona moja, poniekąd mój syn.

Siewierskiemu wypadło starczać w sobie walkę, zawsze tę samą, uciążliwą, drażliwą. Chwilami spoglądał przez okno. Pociąg szedł pod górę, dymiła lokomotywa, sypały się iskry, które pęd jazdy wiązał w świetliste splątane pasma, drgające ogniowemi liniami na tle ciemności.

— Uledz namowom — myślał — poświęcić czas i spokój, zadać sobie gwałt, wyrzec się niepodległej samotności... pójść między tłum, zabiegać o względy, współzawodniczyć, i może dać się pobić przy wyborach.... a zwyciężyć, zdobyć godność oznacza... przestawać z głupcami, poufalić się z czynownictwem... Tylu innych, których to nic nie kosztuje, zdziała zapewne więcej od niego, łatwiej, lepiej...

— Znam uczucia pana w stosunku do naszych opiekunów, do naszych najserdeczniejszych — nie dawał za wygraną zacny Zapolski — wiem, iż pan poniekąd stroni od nich, jak od zarazy.... Ale czy to dobrze? czy właściwem jest zrażać? Alboż nie lepiej korzystać z każdej poniekąd możności, wciskać się wszędzie, zająć każdą placówkę...

— Tak — zgadzał się z nim Jakób — nienawiść nie zbuduje nic... Ładnieby wyglądał ten kraj, gdyby w nim nie było takich, jak ten oto najpoczciwszy prezes... Co komu po moich myślach, zamierzeniach?... Jakąż przyniosą korzyść? Aspirantów do hetmańska znajdowało się zawsze w narodzie naszym więcej, niż sumiennych szeregowców...

— Nie jesteśmy tu przecież poniekąd kolonistami — brzmiał dobroduszny głos niewymownego pana Ignacego — i wypadnie nam kiedyś odpowiedzieć przed historyą... Gdybyśmy w życiu kraju, w każdym okresie, zwłaszcza poniekąd w najtrudniejszej epoce usunęli się zupełnie z widowni, co byśmy rzekli na usprawiedliwienie swoje...

Jakób spoglądał ciągle w okno. Krzyżowały się na tle mroku, schodziły się i rozbiegały się, niby sieć drutów rozżarzonych, płomienne pasma iskier, czasami gasły naraz. Szyba była spuszczona i zalatywały do przedziału zapach dymu i kurz wraz z błogosławionym powiewem chłodniej-

szego powietrza wsi. W Siewierskim toczyła się walka przykra, acz z góry przesadzona. Ambicya i poczucie obowiązku nie przeważały nienawiści do rządu, sybartyzmu i wyniosłej wzgardliwości w stosunku do tłumu.

— Zbyt wiele musiałbym w sobie, panie prezesie, pokonać wstrętów — rzekł stanowczo, choć jeszcze wahał się, lecz usiłował położyć kres wahaniu — a ponieważ nie zadowolniłbym ani wyborców, ani władz, ani siebie, wolę nie próbować.

Postawił kropkę.

Na zacnej, szczerze sarmackiej o polskim wąsie twarzy prezesa odbił się zawód. Chciał jeszcze coś rzec, ale Siewierski zmienił nagle temat.

— Wydawało mi się na dworcu, żem spostrzegł z daleka siostrzenicę pana i znikła mi potem... byłżebym omylił się — pytał obojętnie, nie mogąc oprzeć się złudzeniu, iż Dominik i patryarcha, którzy od dość dawna już milczeli, i pan Ignacy spojrzeli nań badawczo.

— Kasia jedzie rzeczywiście tym samym pociągiem, ale w trzeciej klasie. Ona musi zawsze, jak zresztą panu wiadomo, coś działać... Dziś bawiąc w mieście kilkanaście zaledwie godzin, zdążyła wynaleźć gdzieś paru chorowitych chłopaków, o co nie trudno, i zdążyła także znaleźć, o co trudniej, letnisko dla nich. Wiezie więc cały tabun — opowiadał z widocznem zadowoleniem prezes.

I zaraz potem zwrócił się do Dominika i jął naprzód jego następnie obu braci razem zapraszać na jakieś imieniny czy urodziny do Tyszowic, gdzie codziennie niemal, o ile gospodarz bawił w domu, obchodzono urodziny, imieniny, jakąś rocznicę.

Pociąg zwolnił, na korytarzu zjawił się tragarz, obładowany rzeczami za nim podróżny, obładowany w niemniejszym stopniu sprawunkami. Na widok Siewierskiego i towarzyszy ułożył swoje mnogie paczki na kanapach, poczem roztworzył ramiona i po kolei ściskał sąsiadów, gdyż wszystkich zwykle całował, tak jak ze wszystkimi był po imieniu.

— A to kapitalne! nic nie wiedziałem, iż jedziecie... jaka szkoda!.... przyjechałem wcześnie, zamknąłem się, przespałem się — ubolewał Kostuń Marszański, znany po-

wszechnie pod nazwą "marszałka", chociaż urząd ten piastował "in partibus infidelium" wyłącznie, lubiany ogólnie za "sympatyczne" wady, jak wyrażał się o sobie.

Słynął z gościnności, smakoszostwa, dobrego humoru, z przesady w barwnych opowiadaniach, próżniactwa, niefrasobliwości. Od najwcześniejszej młodości nie robił nic, bawił się i hulał, marnował dużą fortunę, rąbiąc "puszcze," dopokąd starczyło lasu, potem sprzedawał ziemie włókami i wciąż grał w karty, częściej nieszczęśliwie niż pomyślnie, a zawsze wesoło, przyjemnie, z wielkopańską obojętnością w stosunku do finansowego wyniku.... Mawiał o sobie, iż jest wprawdzie utracyuszem, lecz w ciasnem, wyłącznie ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu, bo tracił majętność tylko, życia zaś ani swojego ani niczyjego nie psuł troską, smutkiem, krzywdą; mawiał także, trawestując znany aforyzm: Szlachcic "sum et nihil quod" szlacheckie "mihi alienum esse puto" i dumnie nosił swoją łysą głowę, a władze traktował butnie, z wysoka, co w pewnych kołach ziemiańskich zyskiwało mu uznanie....

Gdy zaś w 1905 roku, podczas rozruchów agrarnych, powiedział Targowieckiemu, odradzającemu sprowadzenie secin kozackich na zebraniu publicznem, iż woli pójść z torbami, niż uciec się pod protekcyę nahajki i między dworem a wsią postawić moskala, zasłynął na cały kraj.

— Prawdziwy pech — ubolewał jeszcze — jechałem prawie obok, anim przeczuł... teraz trza iść...

— Co znaczą te paczki, tłumoki, sprawunki? z pewnością pasztety, smakołyki, przysmaki — żartował Siewierski, pomagając Morszańskiemu zabrać rzeczy, bo pociąg już stał.

— Jakie tam smakołyki! Gdybyż dało się coś znaleźć! Sama trzecia klasa... trochę likierów, kawał sera — narzekał Morszański, przygarniając zakupy starannie, otaczając niektóre paczki szczególną pieczołowitością.

— Polecam się łaskawej pamięci! odwiedźcie kiedy wszyscy, pan wojskowy też! — wołał za oddalającym się wagonem — proszę na obiadek!

Dalszą drogę odbyli przeważnie w milczeniu.

Ogarniała podróżnych senność, zwłaszcza Dominika, który nudził się, nie biorąc oddawna udziału w rozmowie

i zapadał w drzemkę. Pan Ignacy z patryarchą wysiedli nie zadługo na przystanku, a na następnej stacyi bracia.

Zbielały już niebiosa, był blady przedświt, zamierały gwiazdy.

Po wyjściu z zakurzonego wagonu przeczyste powietrze zdawało się przejmującym, ale krzepiło balsamem odżywczym. Siewierski z przyjemnością objął wzrokiem swoją parę rasowych, kurtyzowanych siwoszów, żółtą, szydłowiecką brykę i furmana. Lubił dom swój i lubił wracać do domu.

Przyjaźnie pozdrowił stangreta Andrzeja, który miał minę nieco zaspaną, ale mimo nocnej pory ubrany był, jak z igły, w białym, liberyjnem, nakrochmalonym płaszczu i zachował znakomicie poprawną nakrochmaloną postawę. Siewierski płacił hojnie, niezmiernie przywiązywał się do służby, lecz wymagał dyscypliny. Pomknęli.

— Dobre masz konie! — śpiącym głosem mruknął Dominik i wkrótce począł się "kiwać," zanim zasnął na dobre.

Jakób witał oczami znane widoki, w których każdy nieledwie szczegół miał swoją kartę we wspomnieniach, wchłaniał upajającą woń brzasku. Świat żałował zapewne nocy, co minęła, wytchnienia, mroku, nocnych marzeń, złudzenia i nie budził się. Była najdziwniejsza godzina, gdy jest już widno, a niema jeszcze dnia. Brakowało czegoś ziemi, która może oczekiwała na coś z zapartym tchem, może po prostu prozaicznie dosypiała ostatki snu. Nieruchomo tkwiły drzewa, pozbawione wyrazu, zarysu i mowy, nie chwiały się zboża.

Ciszę zakłócało tylko turkotliwe klekotanie bryczki. Parsknęły czasami konie. Droga, jak sięgnąć wzrokiem, wiła się martwym szlakiem, pola, jak ogarnąć spojrzeniem, leżały puste. Dla kogo zazieleniły się, dojrzewały, kto je uprawił? Niebiosa, zupełnie pogodne z wieczora, w porze przedrannej spowiły się w lekką powłokę chmur, także nieruchumą, która to rzedła, to gęstniała; ważyły się snać losy pogody. Nad niskiemi łąkami snuły się płachty oparów.

Szybko mijały słupy telegrafu. W pewnej chwili zamajaczyły wieże, jedna, druga, trzecia, wszystkie dziewięć wież trzech czy czterech świątyń prawosławnych i wkrótce ukazały się pierwsze domostwa.

— Tu przebywa król stworzenia, ten, dla którego co-

dziennie budzi się, co wiosny stroi i kwitnie, co lata opływa złotem zbóż ziemia, dla którego uczynionemi zostały słońce i gwiazdy... — żartował Siewierski, przyglądając się siedzibom.

Kontrast między cudnym przybytkiem przyrody a pomieszkaniem króla stworzenia był rozpaczliwy. Wąskie, cuchnące uliczki, zaśmiecone rynsztoki, obłok śmierdzącego zjadliwego kurzu, niechlujne domostwa, przeraźliwe szyldy, zwłaszcza fryzyerski, na którym golony pan w profilu miał minę zidyociałego od tortur skazańca. Jeśli życie zdawało się tu niedolą, golenie męczeństwem, za to śmierć traciła grozę swoją, gdyż namalowane na szyldach trumny wyglądały prawie zachęcająco.

Źle mieszka, źle rządzi się pan stworzenia...

W tej chwili zstępował po schodach chałupy stary żyd w kaloszach, zbyt krótkich spodniach, w kamizelce, z pod której zwisały jakieś niewiedzieć do czego służące tasiemki... kiwnął dość niedbale głową właścicielowi Siewierska, sięgnął do czapki, zakaszlał się...

Był to znany dobrze Jakóbowi majster stolarski z iskrą talentu, z zamiłowaniem... Zjadły go bieda, choroba, własna i żony, w końcu żale za synem, którego w epoce wolnościowej podczas manifestacyi na placu jednego z miast zabiła kula...

Siewierski lubił "Bencia" i często dawał mu obstalunki, coraz gorzej zresztą wykonywane...

Ten był król stworzenia...

— Ależ trzęsie na waszym bruku — sarknął, zbudziwszy się oficer.

— To nasza stolica... zamknij, radzę ci, powieki, zaśnij — poradził bratu, a sam patrzał w strzelający wysoko słup dymu, którego czub zaróżowił się.

Za plecami jadących wschodziło właśnie słońce. Oblały się czerwienią obłoki, padł cień od bryki, od koni... Siewierski obejrzał się, wypatrywał słońca, które kryły domostwa, dostrzegł pęk promieni, niosących nędznej mieścinie nie tyle radość, ile głównie zapewne przymus rozpoczęcia dnia pracy i zgryzot, dostrzegł w luce między zabudowaniami samo słoneczne oblicze, szybko wzbiegające na niebiosa, potem zaświeciły mu w oczy krzyże świątyń pra-

wosławnych, których w tym, wyłącznie katolickim zakątku kraju, znajdowało się cztery, dwie przerobione z kościołów, trzecia cmentarna, czwarta wznoszona obecnie, już prawie wykończona, przeznaczona na monastyr, potem jęły dokuczać mu po kolei szyldy starosłowiańskie licznych w miasteczku szkół — i zgorzkniał jego humor, a zgorzkniałemu przypomniały się usilne namowy prezesa.

Na widok grynszpanowo-pawich kopuł ustały wyrzuty sumienia. Rozumiał, iż nie potrafiłby pokonać w sobie odrazy, piekącego gniewu, graniczącego nieraz z nienawiścią, upokarzającej, bo bezsilnej nienawiści.

O parę wiorst za miasteczkiem rozpoczęły się folwarki Siewierskiego, żyzne, znakomicie uprawne, w wysokiej kulturze. Właściciel spoglądał na swoje włości roztargnionem a jednak wszystkowidzącem okiem dziedzica i snuł wnioski, iż koniczyna w poletku tomasowanym odrasta jędrnie, iż ziemniaki na pełnym nawozie sztucznym, mimo suszy, krzewią się niezwykle tęgo, układał sobie, iż rządcy Płacheckiemu należy wyrazić naganę za spóźnione obradlanie, ale głębiej nękały go myśli nie nowe, napastujące go rzadko w Siewiersku, napastujące natomiast zawsze, ile razy wychylał się z domu i znajdował się między ludźmi, myśli zbudzone dziś naleganiem Zapolskiego... I powtarzał, że przechodzą lata, że mija życie, że czekać nie wystarcza, że w stosunku do zamierzeń, pragnień, nadziei, nic nie dokonał, że buława hetmańska sama nie przyjdzie, nigdy nie dostanie się do rąk...

Tymczasem chwiane rannym powiewem gadały różnojęcznie dorodne kędzierzawe owsy i słał się jakoby pod stopy komuś na całą szerokość łanu długo-wąsy jęczmień, mieniąc się stalą i srebrem...

Z niedalekiego podwórza doleciało uparte a bezcelowe perykiwanie cielęcia, które nudziło się i dręczyło się bez matki, samotne na mało jeszcze znanym świecie, w zagrodzie pół ciemnej obory.

Cienistą aleją prastarych lip dojechali do bramy, która otwarła się jakby na skinienie, następnie szeroką, suto wyżwirowaną drogą, pomiędzy wzorowo utrzymanemi trawnikami okrążyli część parku i stanęli przed gankiem sta-

roszlacheckiej siedziby, patryarchalnego obszernego dworu, nie roszczącego pretensyi do tytułu: rezydencya.

Dom spał jeszcze, ale bracia nie udali się na spoczynek. Dominik posilał się naprzód zimnem mięsem, mlekiem, kompotem, potem namawiał do spaceru.

— "Nakiwałem się" dosyć na bryce i teraz mi się nie chce... chrapnę sobie po obiedzie... Chodźmy gdzie chyba, jeślić nie pilno do poduszki...

Jakób uważnie, choć senliwie, przeglądał i odczytywał stos listów, przygotowany na biurku, przerzucił kilka pism, posłuchał pode drzwiami pokoju żony i córki, gdzie panowała cisza... wahał się, bo odczuwał znużenie, ale na widok miotły i trzepaczki w ręku lokajów przezwyciężył zmęczenie.

— Dobrze, chodźmy! — zgodził się.

Poszli do parku. Dominik odzyskał zwykły humor i flegmatycznie opowiadał coś. Starszy brat słuchał go, najczęściej przestawał słuchać i pozdrawiał swój park, "swój," bo związały go z nim najdroższe wspomnienia dzieciństwa, bo włożył weń wiele lat pracy, wiele myśli i uczucia, bo z bogatej spuścizny, wspaniałej przepychem drzew, uczynił dzieło w liniach, zarysach, perspektywach, piękne tak, jak gdyby do odziedziczonego obrazu mistrza dorobił odpowiednie ramy, uczynił zaś w sposób najprostszy, nie naśladując zagranicznych wzorów, nie siląc się na żadne nadzwyczajności. Starał się jak najmniej niszczyć, dosadzał dużo i zwykle własnoręcznie, gdzieniegdzie podstrzygał, gdzieindziej z lekka przetrzebił, odczyścił zarosłe sadzawki, przekopał zamulone kanały, wypowiedział wojnę altankom, klombom, posągom, jakże szpetnym zazwyczaj, a przedewszystkiem otoczył kochającą pieczą każde drzewo.

Teraz, przechadzając się z bratem, pozdrawiał je po kolei... Rozległe trawniki, skąpane w słońcu, uśmiechały się jasnością poranku, wiecznie młodą i wiecznie piękną, ale w gęstwinie, w zacieniach, w pobliżu wód, przebywała jeszcze pomroka, dysząca wilgocią rośną, kryło się wspomnienie czarów nocnych — i nie chciało się tam iść, by tajemnicy nie spłoszyć, a wchodząc pod gotyckie sklepienie alei, patrzało się w górę, poprzez liściasty strop w błękit, taki daleki, właśnie tem dalszy, im wyższemi były,

olbrzymy. W gąszczu świerków niebo, widziane przez żałobne gałęzie, stawało się szafirowem, a sunący poprzez szafirowe odmęty, obłok był tak oślepiająco śnieżnym! I ruszając się wolno, cicho a smętnie, szumiały wierzchołki jodeł, posępnych o każdej dobie... Rozpamiętywały coś smętnie, dlaczego właśnie dziś, dlaczego teraz, gdy ogród jaśniał słońcem, niby szczęściem, a śnieżnej bieli obłok roztapiał się w radość?... Zwierciadlane wody kanału odbijały w gładkich toniach niebiosa i chmurę, gdy mijała, i kształty drzew, i jakkolwiek cudne w całości i każdym szczegółem stały się dokoła obrazy, oczy wolały tamten świat, daleki, głęboki, niewiadomy, nierzeczywisty, a może właśnie bardziej rzeczywisty, świat na dnie wód, który zdawał się nie pięknem samem, ale marzeniem o pięknie... Słońce wzbiło się już wysoko i prażyło...

— Gdyby tak wykąpać się? — zaproponował oficer — kąpieli chyba nie brak?

— Kąpiel jest i w parku, ale ja chodzę dalej, do rzeki, nie lubię budek...

— Kąpmy się zatem bez budki! — zaproponował.

Zaraz za parkiem, wąska, twardo ubitą ścieżką, szło się na ukos przez żyto, późne snać, niezupełnie dojrzałe. W cieniu snuły się jeszcze wonie poranne, chłodne tchnieniem rosy, odurzający zapach zboża, jak gdyby ono gdzieniegdzie kwitło dotąd, zapach mokrej trawy; natomiast w słońcu, wśród złocących się już kłosów, pachło ziarnem, a zapach był zdrowy, trzeźwy, gospodarny. Żar doskwierał, zwłaszcza na rozległej łące, przez którą płynęła tak zwana Siewierczanka.

Bracia usiedli na brzegu, patrzyli w wartki nurt, wolno rozbierali się, odpoczywali, spoglądając w toń, zamieniali czasami słów kilka. Ogarniało Jakóba senne, bierne, błogie uczucie dobrobytu. Rozkoszną było rzeczą wystawić nagie ciało na chłód, ktry wiał od rzeki.

Dominik wstał, przeciągnął się leniwie, wyprężał się, kurczyły się, nabrzmiewały tęgie jego mięśnie. Bez zarzutu zbudowany wyglądał na posąg.

— Dobrze jest tu bracie! Bajeczną miałeś myśl — mówił leniwie, uśmiechając się półsennie i nie przestawał przeciągać się.

— Ależ masz bicepsy, no i wogóle mięśnie! — podziwiał Jakób, dotykając ramion, bark, lędźwi.

— Obok ciebie z twemi literackiemi muskułami wyglądam na Herkulesa, ale gdybyś widział Tomka Świerzeńskiego!

— Nie takim znowu słaby!

— Spróbujmy!

Bracia zmagali się chwilę. Jakób zasłużył nawet na pochwałę.

— Nie spodziewałem się po tobie!

— A widzisz!

I znowu zwarli się. W pewnej chwili Dominik powalił starszego brata przy pomocy podstępu, znanego w szkołach, a wywróciwszy, począł zmykać. Jakób puścił się za nim. Biegali w zawody na łące, której odrastająca trawa kłuła stopy, w słońcu piekącym, potem odpoczywali znowu nad wodą.

Jakób położył się na wznak. Troski, zawody, zgryzoty zapodziały się gdzieś, zapadły się pod ziemię... Nie potrzebował zazdrościć Dominikowi; zdawało się, że jest jak on młody, jak on szczęśliwy... Nad głową niebo i obłoki sunące, lekkie powiewne albo wypukłe, jeszcze bardziej urocze. Zbliża się obłok... zakryje słońce czy też nie zakryje? mija... nasuwa się inny i poczynają jaśnieć jego brzegi obrębieniem srebrzystem. Znikło naraz słońce... zimno, rozkoszne zimno... przegląda już słońce, zasłonięte, a jednak płonące, wyjrzało całe i żarem oblewa, i znowu wędruje chmura... Takie były myśli Jakóba, myśli o niczem.

Usiadł i niby zbudzony ze snu patrzał dokoła, na ziemię, zdumionemi oczami, które długo widziały tylko błękit i słońce... patrzał w skręty fal, w wir, u brzegu, dziwiąc się, iż śpieszą kędyś fale... zerwał tawułę, która rosła nad samą rzeką, niedoścignięta kosą czasu kośby, i wąchał kwiat, który lubił, który zapachem przypominał migdały, dzieciństwo, wodę i może tamte wody, co biegły wówczas... Ale nie wspominał... zbyt było dobrze...

I poco walki, ziemstwo, monastyr, ucisk, nienawiść? naco to wszystko? niedorzecznem jest pożądanie chwały, niedorzeczną — wszelka ambicya. Oto płyną w dal nurty, ku językami, zwiedziła w Europie to, co zwiedzają wszy-

suną po niebie obłoki, białe, szczęśliwe, płyną ku słońcu, wędrują, pachnie tawuła...

Naraz bardzo daleko odezwały się dzwony cerkiewne. Wschodni wiatr przyniósł ich odgłos stłumiony... Tylko sprawne ucho Jakóba, który wiedział, iż o tej godzinie brzmią często, mógł je dosłyszeć...

— Poco to? poco szamoczą się i dręczą siebie i ciemiężą jedni drugich ludzie? — myślał Jakób, nurzając się w sennej błogości, w dobrobycie fizycznym — naco to wszystko? Dlaczego jest źle, gdy mogłoby być inaczej, inaczej...

Dominik skoczył na równe nogi, potem jednym susem z brzegu do rzeki, znikł na mgnienie, zapadł w głębinę, wypłynął, ukazując twarz zadowoloną i śmieszną, ociekającą wodą o długich zlepionych i przylepionych do czoła i policzków włosach, z których lało się ciurkiem.

II

Na zabawę do Tyszowiec, na którą zapraszał w wagonie prezes Zapolski, wybrano się we troje: Jakób z żoną i wojak. Dominikowi chciało się powozić czwórką, usiadł tedy na koźle, małżeństwo zaś w głębi nowego, lśniącego lakierem, pachnącego skórą powozu.

Rozmawiali przykładnie, gdyż wogóle pożycie ich w przeciągu 12 lat nie przestawało ani na chwilę być przykładnem. Zgody, panującej między niemi, nie zamąciły nigdy sprzeczka, zniecierpliwienie, zły humor, łzy — i może właśnie dlatego do szczęścia brakowało czegoś.

Janina Siewierska, blondynka o twarzy nieruchomej, i kto wie, czy nie odrobinę nudnej, z powodu binokli, kryjących wyraz oczu, miała charakter równie wzorowy, jak wzorowo regularnemi były jej rysy. Nikt nie potrafiłby jej coś zarzucić. Doskonale spełniała obowiązki żony, matki, gospodyni, dziedziczki; w dostatecznym stopniu interesowała się religią i sztuką, książkami i ogrodnictwem, strojami, rolnictwem, przemysłem ludowym, nowinami z wielkiego świata, czy małego świata, tj., "high life."

Była inteligentną i wykształconą miała takt i ogładę towarzyską, biegle mówiła i z bardzo dobrym akcentem kil-

scy, wyrobiła sobie o rzeczach widzianych i czytanych sąd własny, rozsądny, słuszny, zawsze zgadzający się z umiarkowaną opinią ogółu.

Nie nadawała się tedy do krytyki, ale też nie budziła podziwu. Gdy obcowano z nią, doświadczało się oryginalnego wrażenia, iż ona w daną sprawę, rozmowę, uczucie, wkłada tylko jedną czwartą serca i myśli, że trzy czwarte duszy przebywa gdzieindziej — i tak było zawsze, jakikolwiek temat, czy przedmiot by się poruszyło po kolei.

Na ładnych wargach tkwił uśmiech, z lekka sceptyczny, binokle kryły wyraz oczu. Z lekka sceptycznym był stosunek pani Janiny i do męża, któremu także się zdawało, w dalekim okresie, gdy jeszcze zastanawiał się nad żoną, iż żona daje mu z siebie tylko ćwierć siebie, to jest tyle, ile córce, ile wszystkiemu i wszystkim. Z odszukaniem pozostałych trzech czwartych nie zadawał sobie oddawna trudu, uwierzywszy, czy uznawszy w końcu zapewne, iż one może nawet nie istnieją...

Jechali tedy w najlepszej zgodzie, najzgodniej rozmawiając i bynajmniej nie nudnie, gdyż z Janiną nikt się nigdy nie bawił, ani się nudził. Zastanawiali się nad domem Zapolskich, który cenili i lubili bardzo oboje.

— To jest przedewszystkiem rodzina, która umie, jak żadna inna, rozwiązywać wszelkie, najbardziej splątane węzły, nie uciekając się do miecza gordyjskiego — tłómaczył Siewierski — wszędzie są spory, zawiłości, tragedye, u nich wszystko układa się prosto, łatwo, zwyczajnie...

— Nie tworzą sobie tragedyi, ani gdy kolacya imieninowa się nie uda, ani gdy córki nie wychodzą za mąż, jak Adelka i Karusia, lub wyjdą nieświetnie, jak Zosia i Józia... Gdzieindziej taki Piotruś, który nie skończył szkół i pokierował się na gorzelanego, stałby się źródłem nieszczęścia... — zgodziła się Janina.

— Tak, a pozatem oni po prostu nie widzą tej naszej tutejszej niedoli... Sprawy żydowska, białoruska, nacyonalizm rosyjski nie istnieją dla nich... żydzi i chłopi, czynownicy, wszystkie partye uznają pana Ignacego...

— A ty byłbyś gotów go kanonizować! — ze zwykłym uśmiechem, który nie ożywiał nieruchomej twarzy, zauważyła pani Janina.

— Kanonizować nie mam zamiaru, badam tylko i podziwiam tem bardziej, iż Zapolski nie jest ani wybitną inteligencyą, ani wogóle wielkością...

— Czy Kasia Gorzelska bawi tam jeszcze? — spytała Siewierska.

— Chyba tak...

— Ona wydaje mi się trochę różna od całej rodziny... Jest może nieco chaotyczna, mało zrównoważona...

— Chaotyczna? — zdziwił się Jakób i w głosie jego zabrzmiał przytłumiony półton niezadowolenia — nie wydaje mi się...

— Zresztą ona ma tyle wdzięku, bezpośredniości, żywości — poprawiła się żona.

Nastała chwila ciszy.

Piękny wieczór! — zaczęła pani Janina — ale wam chyba potrzebny jest deszcz...

I znowu potoczyła się gładko rozmowa. Pani Siewierska milczała rzadko w towarzystwie męża, może zbyt rzadko.

Dzień nachylał się ku zachodowi. Włościańskie bydło wracało z pastwisk, wzbijając obłoki kurzawy, z której uczyniła się w dali zasłona, zabarwiona od przedzgonnych blasków słońca na rumiano. Samo słońce obliczem krwawem zniżało się ku borom, których ściana nasiąkła fioletem. Na niebie nie było prawie chmur, prócz kilku obłoków, które niby żaglowce zatrzymały się na pełnym morzu, wśród roztoczy w dali od brzegu na nocny spoczynek.

Tak samo nie było chmr nad małżeństwem. Jakób spoglądał ku cichym zaglowcom podniebnym.

— Te chmury są zupełnie jak żaglowe — zauważyła Janina, która wogóle miernie lubiła naturę.

Porównanie było może niezłem, ale Jakób wolałby, by było pomyślanem i nie wypowiedzianem — i nie rzekł nic. W tej chwili Dominik zwrócił ku nim zgrzaną twarz i domagał się pochwał za powożenie.

Pod ścianą boru, opływającego posoką gasnącego słońca, leżały Tyszowce. Gdy opadła zasłona kurzawy, otulającej wieś i powracające stado, jadący ujrzeli kępę drzew ogrodu, parę słupów dymu i dachy. Dym wzbijał się brzydkim, ciemnym słupem, szpecił niebo, psuł czystość powietrza. Wolno minęli wieś, pełną wrzawy, ryku, pyłu, pełną w tej chwili krów, świń, owiec, dzieci w koszulach, dłu-

gich na wyrost, lub zbyt krótkich, dzieci bosonogich, ogorzałych, zajętych zaganianiem do zagród bydła.

Gospodarze czapkowali.

— Tyszowce potrafiły usunąć czy załatwić wszystkie kwestye, a jednak wieś pozostawia wiele do życzenia — myślał Jakób, jakkolwiek właśnie dziś w pięknej porze lipcowej, gdy wyschły bagniska na podwórzach a na drodze kałuże, gdy poopalały się dzieciaki, gdy kwiaty pod oknami i gąszcz drzew wiśniowych ukryły wszystkie niemal niedomagania, braki, niedole, wzrody wioskowego istnienia, jakkolwiek dziś wieś zdawała się raczej przybytkiem dostatku zdrowia, pierwotnego szczęścia...

Ale Siewierski zbyt długo w kraju mieszkał, zbyt dobrze znał stosunki. Nie łudził się.

— Zawiele się pisze w gazetach i książkach o nędzy włościanina — odezwała się Janina — gdyby mniej pili...

Mąż nic nie odpowiedział, bo Andrzej, który, jak wszyscy, lubił Tyszowce, a rozumiał, iż zajeżdżając pod niepretensyonalny dwór można sobie na to pozwolić, palnął po staroświecku z bata. Psy rzuciły się z ujadaniem na powóz, koło czworaków gapiły się rodziny fornalskie w całym komplecie, począwszy od zgrzybiałych babulek, kończąc na wnukach. Andrzej po mistrzowsku skręcił z bramy, po mistrzowsku osadził konie.

Na ganku dużo już było ludzi.

IV.

Gościom od pierwszej zaraz chwili po przekroczeniu progów udzielały się swoboda i prostota, właściwa tyszowieckiemu dworowi. Pan Ignacy, który z zasady u siebie nie wkładał fraka, przechadzał się w długim, niemodnym surducie, z wąsami, zamaszyście zaczesanemi do góry, z jasnem, jak owo słońce, co niedawno zapadło za fioletowe bory, obliczem, znajdując dla każdego albo krotochwilne albo dobre a niezdawkowe, płynące na prawdę z pełni serca słowo. Pani Babetka, zwana tak przez męża i całe sąsiedstwo, mniej dobroduszna, na pierwszy rzut oka czyniąca wrażenie nieco szorstkiej i oschłej, budząca w pierwszych chwi-

lach z powodu wybitnej o kruczych włosach, czarnych gęstych brwiach i dużych czarnych oczach twarzy, a także z powodu prawdomówności oraz grubego prawie męskiego głosu w młodych pannach postrach, zatroskana i zapracowana pani Babetka słynęła niemniej z gościnności i dobroci, których tylko nie umiała tak ujmująco okazać jak mąż.

Pomagały rodzicom w podejmowaniu gości, w pozyskiwaniu przyjaźni ludzkiej dzieci, przedewszystkiem dwie niezamężne, więdnące, mimo cnót, najlepsze, najdoskonalsze stare panny, Adela i Karusia, i synowie, najstarszy Aleksander, który mieszkał w sąsiedztwie i był wybitnym rolnikiem, oraz najmłodszy Stefuś, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, niezgrabny, milczący, niełładny, ulubieniec ojca i matki.

Reszta rodzeństwa rozprószyła się po świecie i rzadziej, szczególnie zamężne córki, przebywała w domu rodzinnym. Zato w lecie prawie stale, a naprawdę to i w każdej porze roku pełno tu było przyjezdnych, goszczących całemi tygodniami, krewnych pewinowatych, przyjaciół, znajomych. Ściany tyszowieckie rozszerzały się, a na stole, do którego zasiadało zwykle przeszło 20 osób, nie brakowało nigdy niczego. Spotykały się tu różne klasy, partye, narodowości. W tej chwili naprzykład bawił początkujący poeta białoruski mecenas Dolling z Warszawy, izraelita, i jakiś przygodny Rosyanin. I pod gościnnym polskim dachem godzili się wszyscy... Tyszowce, jak twierdził Siewierski, rozwiązać umiały każdą kwestyę...

Snobizm i nuda stroniły także od tego domu. W świecie kursowały dowcipy na temat kolacyi, która w zimie niezmiennie składała się ze złych kotletów i twardej galarety a w lecie nieszczęsnych kurcząt i lodów; na temat długiego pana Ignacowego surduta, który był i typowym i stypowym... (w owym czasie surduty wkładano już tylko na pogrzeby...) W świecie krążyły żarty z "materyalnej," nie jedwabnej, a właściwie "materyalną" zwanej tak po staroświecku sukni pani Babetki, z obu zacnych starych panien, z których starsza Karusia stroiła się trochę pretensyonalnie i gradem pocałunków obdarzała każdą przyjezdną sąsiadkę, a młodsza Adela zdobywała sławę dzięki błędom francuskim i akcentowi zawsze na drugiej od końca syla-

bie... Ale te żarty choć złośliwe, nie potrafiły ośmieszyć tych, których się tyczyły.

Rodzina Zapolskich ponadto była lubiana i szanowana. Siewierski, gdy tylko znalazł się w Tyszowcach, pozbywał się za przykładem innych sztywności, wyniosłości. Podobało mu się tu, w skromnym, serdecznym dworze wszystko: niskie sufity i sztychy, czeczotkowe meble, porcelana korzecka, odwieczna służba, ani wprawna, ani elegancka, zacny gospodarz i jego "poniekąd," gruby głos pani Babetki, lamus, klomby w ogrodzie, wypielęgnowane przez pannę Karusię i tak, jak suknia panny Karusi, niegustowne i pretensyonalne...

Dziś zajeżdżając pod ganek, myślał o pannie Kasi Gorzelskiej, która bawiła tu od kilku miesięcy. Odsunął tę myśl i znowu do niej powrócił. Zaledwie wysiadł z powozu, stał się roztargnionym... Sucha i rasowa twarz zachowała wszakże spokój. Z kilku winciarzami, którzy wstali od kart, by przywitać panią Siewierską i spojrzeć na znaną w okolicy czwórkę Siewierskiego, prowadził koniarską konwersacyę. Mogło się zdawać, iż go na świecie nic, prócz dobrze sprzągniętej pary lejcowej, prócz "szpata," zerwanych ścięgien, nie obchodzi. Mówiono o Siewierskim, iż ma postawę i minę dyplomaty. Dyalog koniarski przewlekał się, karciarze wrócili do robra... O saletrze, która wobec wyjątkowej suszy nie może się tego roku opłacić, rozprawiał teraz Jakób w grupie rolników, gdzie przewodził Aleksander Zapolski, ziemianin zawołany, kolega Siewierskiego.

— Niema jej... nie wróciła z owych kolonij letnich; doskonale... należało sę spodziewać... doskonale — myślał Jakób i przesunął się dalej, do następnego grona, skąd dochodził śmiech Ciecierskiego i głos Kostusia Morszańskiego.

"Marszałek" wśród licznego i życzliwego mu audytoryum czuł sę w swoim żywiole i puścił wodze wyobraźni i wymowie. Opowiadał niestworzone dziwy na każdy temat: o podróżach swoich, o zabawach i wybrykach młodości, za którą wzdychał żałośnie, udając starego, o chorobach, lubo mało chorował, o tem, jak stawiał się wobec władz, o swoich chłopach, których czasami malował na czarno, częściej wszakże wynosił pod niebiosa... Opowiadając, przejmował się szczerze zmyśleniom własnym... Gdy przebrał miarkę,

prawdomówny i prostoduszny Ciecierski przywoływał go do porządku, mówiąc: "Panie marszałku to już za wiele;" ale zwykle Ciecierski słuchał z upodobaniem i wybuchał co chwilę głośnym, niekulturalnym a tak serdecznym śmiechem, iż lały się mu łzy z oczu.

Siewierski lubił także te rodzajowe sceny: głos marszałka, prawiącego z namaszczeniem, jego poważną minę, gest ręki, wzniesionej do góry, przebiegły uśmiech, rubaszny śmiech Ciecierskiego, i samego Ciecierskiego, który nie wychylił się nigdy poza obręb Białej Rusi i Litwy, nie używał szczotki do zębów, nie odwiedzał dentystów, nie uznawał weksli i kredytu i wszystkim rąbał prawdę w oczy.

Siewierski słuchał zazwyczaj z przyjemnością, nie przerywał, udawał, iż wierzy, cieszył się z "marszałka" i z marszałkiem, cieszył się z Ciecierskiego, śmiał się z Ciecierskim.

Dziś zabawił tu niedługo i znowu wrócił do Aleksandra Zapolskiego. Z dostateczną uwagą siedząc za plecami, wykładem zapalonego rolnika, odszukał wzrokiem w krajobrazie ulubioną kępę prastarych lip, i lamus murowany, może bardziej odwieczny, niż lipy. Zdawało się zawsze Jakóbowi, iż wystarcza tam pójść, by w cieniu drzew i w lamusie spotkać się w oko w oko nie ze wspomnieniem, lecz z samą przeszłością, która schroniła się i kryje się w mroku i duma.

Tak roiło mu się, gdy przyjeżdżał do Tyszowiec dzieckiem, roiło się i dziś jeszcze... Jaką była ta przeszłość, nie wiedział — przeczuwał, iż widmo, przebywające wśród murów lamusa, miało oblicze surowe i smutne — dlatego w dzieciństwie od niego stronił.

— W Siewiersku co innego... W Siewiersku można sobie pozwolić na wszelkie doświadczenia i wszelkie błędy — zwrócił się do Jakóba młody Zapolski — nieprawdaż? Komu dostał się taki majątek...

— Błędów wolałbym unikać i w Siewiersku...

Naraz, nie patrząc, nie odwracając się, Jakób poznał, iż Kasia Gorzelska weszła.

Nie zdał sobie sprawy, co było szybszem: radość na tę wiadomość, czy też zdziwienie, wywołane radością i niezadowolenie z powodu zbytniej radości...

I jedno i drugie minęły. I mówił dalej o opłacalności

nawozów sztucznych. Aleksander należał do optymistów, on — raczej do pesymistów. Lubił widok urodzaju na polu, dlatego sypał, lecz zysków osiągał mało... Siewiersk "rodził" zawsze...

W pewnej chwili, gdy nadarzyła się sposobność, gdy Zapolski zabrał znowu głos, opuścił grono rolników i zbliżył się ku Kasi.

— Jechaliśmy onegdaj tym samym pociągiem, ale nie tym samym wagonem. Wuj pani mówił mi... urządziła pani jakąś eskapadę, jakieś kolonie letnie — zaczął.

I nie wiedział o tem, iż oczy jego, często zgaszone, zwykle obojętne, świeciły blaskiem, że wykwitł mu na wargach uśmiech, ktry dziwnie odmładzał i przeobrażał jego twarz. Kasia patrzała mu w oczy, widziała zmianę, co zaszła, widziała blask i właśnie lubiła takiego Siewierskiego, nie zaś "tamtego," którego nazywała w myślach dyplomatą światowym.

On także przy każdym spotkaniu badał zaraz, jaką też będzie dziś: tą, którą lubił, czy "tamtą," inną.

Przeciętny ogół określiłby pannę Gorzelską niezawodnie, jako niełądną. Taką zresztą miała opinię. Można było widywać ją codzień i nie zwrócić na nią uwagi, ale skoro się raz dostrzegło, przykuwała spojrzenie wdziękiem. Brakowało jej postawy, brakowało hożości, rysy pozostawiały wiele do życzenia, zwłaszcza profil z powodu niekształtnego nosa; zato oczy, zielonawe, w oprawie ciemnych, mocno zarysowanych brwi i długich rzęs były prześliczne i ślicznym był uśmiech. Oczy miały niespodziane spojrzenie, przedziwną wymowę i uśmiech, im tylko właściwy...

— Cóż to była za wycieczka? Czemu pani się kryła? udawała, że nie widzi znajomych, nie raczyła zauważyć mego ukłonu? — dopytywał Siewierski, oczekując, jak zwykle, gdy mówił z nią, uśmiechu, jaką też będzie niespodzianka spojrzenia.

— Tak, eskapada... bardzo tajemnicza... niezwykła... konspiracyjna...

Uśmiech czarem młodości, wdziękiem swawoli, urokiem kobiecości rozjaśnił jej twarz niedostatecznie młodą.

— Nie zmówi pani we mnie nic zdrożnego... wiem, że filantropia leżała na dnie, jak zwykle u pani...

— Czemu: jak zwykle u pani? Wcale tak nie jest... Pan myli się...

— Zdawało się, iż trochę się znamy...

— Trochę... może... mniej, niż się zdaje panu, więcej, niż zdaje się mnie...

Rozmowa rwała się... Rozumieli oboje, że mieli sobie wiele do powiedzenia, iż wymiana myśli, poglądów, spostrzeżeń mogłaby stać się zajmującą, że potrafiliby rozmawiać godzinami, gdyby raz przecie zaczęli, a nie umieli się zabrać... Coś ich dzieliło i coś krępowało, lubo oboje nie należeli do typów nieśmiałych.

— Czy to kolonie wakacyjne pani urządza? — pytał Jakób, by zadać wogóle pytanie.

Kasia spoważniała i opowiadała o owych chłopach, o których Siewierski już słyszał.

— żeby w działalności mniej było przypadku, a więcej gruntowności — Siewierski wydobył banknot.

— Jaki pan hojny! — dziękowała z przejęciem, prawie ze szczęściem

— Odgadłem, iż gruntowności pani brakuje...

— Jeśli pieniądze są gruntem...

— Sądzę, iż w wielu wypadkach, przedewszystkiem zaś w pracy społecznej i dobroczynnej.

— Małe sprostowanie: nie jestem ani filantropką, ani społecznicą.

— Czemu pani się zastrzega i broni? — pytał Siewierski, patrząc w dziwne oczy jej, ktre umiały uśmiechać się, jak żadne inne, umiały także ukazywać głębie tęsknoty...

— Nie uznaję ani szyldów, ani obstalunków, a pierwsze wynika z drugiego, drugie z pierwszego...

Nastało milczenie. A gdy tak milczeli, Dominik stanął obok nich i poprosił brata, by go przedstawił i zaraz po "prezentacyi" zaczął, jak gdyby znał pannę Gorzelską oddawna, od niezbyt udatnego żartu, poczem ruszył jeszcze raz dowcipem niezgrabnym, następnie przeszedł na ulubiony sportowo wojskowy temat... Opowiadał rozwlekłe własne dzieje... Wytrawny światowiec, słynny z daru prowadzenia rozmowy i salonowej i "mądrej," Jakób bez powodzenia wiązał rwący się co chwila wątek: Dominik, nie

wysilając się, rozprawiał, t. j. po prostu nudził długiem gadaniem i odrazu miał powodzenie... Jakób cofnął się, by nie przeszkadzać, lecz został na ganku i spoglądał czasami. Spostrzegł, iż wysoki, urodziwy, ociężały Dominik rozbroił pannę Kasię, jak wszystkich, naiwną, szczerą młodzieńczością, że "wziął" ją, iż ona słucha go z upodobaniem... Śmiali się oboje, śmiali się często, rozmowa nie utykała.

W tej chwili na ganku uczynił się ruch, karciarze powstali od zielonych stolików. To poczęły zajeżdżać powozy Targowieckich. Wszyscy przyglądali się z zajęciem, niby widowisku, gdyż Targowieckich w okolicy zaliczano do arystokracyi i spodziewano się zawsze po nich czegoś niezwykłego, jakiejś nowej mody w strojach, w liberyi, w zaprzęgach.

Naprzód zajechała kareta, z której wysiadła pani Aniela Targowiecka, z domu hrabianka Szreńska, przez Szreńskich krewna Siewierskiego, z Imą, niezbyt ładną, i niezbyt młodą panną na wydaniu, potem — z żółtego fajetonu Tomasz Targowiecki z zamężną najstarszą córką, słynną elegantką Diną Zawilską oraz Hipem Podbielskim, potem — z różnych gigów, dog-cart'ów, brougharnów — reszta towarzystwa: zięć Zawilski, synowie — licealiści, koledzy synów, najmłodsza córka Nell, z jakąś przyjaciółką, i z Angielką. Konie były wysokiej klasy, powozy ładne niezawsze praktyczne na białoruskie drogi, służba—ogolona, w liberyi bez zarzutu...

— Ileż też dziesięcin ziemi zajechało pod ganek! — zauważył ktoś po cichu.

— Ile weksli! — poprawił go głośno Ciecierski, który nie umiał szeptać.

Pan Tomasz Targowiecki przywoził zawsze w zanadrzu dwie nowiny: jedną o lekkiem zabarwieniu opozycyjnem dla szerokiej publiczności, którą opowiadał głośno dla zdobycia poklasku, drugą powtarzał w kółku poufniejszem, głosem nieco zniżonym. Tak było i tym razem.

— Panowie słyszeli już — rzekł, zwracając się do ogółu — jak poczęstowano archireja...

Śmiał się serdecznym, łatwym, wesołym śmiechem, zanim opowiedział, śmiał się potem, aż pokraśniały mu

szyja i uszy, tarł dłonią z zadowolenia nisko przystrzyżoną głowę.

Pan Tomasz, zwykle ożywiony, dziś czynił wrażenie człowieka, podnieconego niespodzianą wygraną. Bystrzejsi domyślali się, iż na humor Targowieckiego tak podniecająco wpłynęły znaczący przyjazd i dłuższy pobyt w jego domu Hipa Podlaskiego, właściciela ogromnych obszarów rolnych, a zatem nadzieja świetnego wydania za mąż córki. Istotnie Targowiecki roztaczał nad bogaczem opiekę niemal teściowską i niezadługo po przyjeździe, zaniepokojony znać tem, iż młody człowiek przebywał jeszcze w towarzystwie panów, sam przeszedł do salonu, trzymając przyszłego zięcia pod rękę.

W salonie tańczono już walca. Siewierski stanął we drzwiach i wśród natłoku par odrazu wyróżnił Kasię. Tańczyła właśnie z Dominikiem, oboje tańczyli ładnie, ona z głową nieco wzniesioną, on z oczami spuszczonemi i pochyloną ku niej uradowaną twarzą.

Zdało się Jakóbowi, iż tych dwoje młodych odosobniło się od reszty, iż oni stworzeni są dla siebie, dla zabawy, odpowiadają sobie, że porozumiewają się spojrzeniem, uśmiechem. Wesołość Dominika była zaraźliwa, jej uśmiech niespodziany, pełen radosnej swawoli. Zdało się Jakóbowi w tem mgnieniu po raz pierwszy, iż ten uśmiech jej powinienby być jego własnością do niego wyłącznie należeć.

Niedorzeczne uczucie, zrodzone w mętach i nieznanej głębi jestestwa, przemknęło... Ale wzrokiem Jakób nie przestawał szukać, śledzić, wyróżniać tej jednej pary wybranych. wybornych tancerzy.

Z pod palców panny Karusi Zapolskiej, śmiesznie uczesanej z przesadą wystrojonej, płynęła melodya staroświeckiego walca, smętna, jednostajna, kołysząca jakieś pragnienie, śpiewająca jakieś marzenie, wabiąca wspomnieniem, obiecująca coś, co mogło się spełnić, a jeśli nie spełniło się, to już nie stanie się nigdy, nigdy... co spełniło się dawniej, niegdyś, bardzo dawno... dla kogo innego i minęło... minęło na zawsze...

Jakóba, który był przed laty zawołanym tancerzem, ale tylko walca, brała ochota, by usłuchać wołania muzyki.

Przecisnął się przez tłum w salonie i stanął obok panny Kasi, która spoczęła na chwilę. Przedziwne, pełne uciechy oczy spojrzały ku niemu przyjaźnie, lecz zarazem jakby powierzchownie, jakby lekceważąco.

— Przyszedłem, by powinszować pani... Nigdy nie widziałem pani na balu! jak pani walcuje!

— A pan nie tańczy?

— Tańczyłem dawniej...

— Dziś już nie? czemu nie dziś? — spytała z roztargnieniem.

Jakób spodziewał się prośby, nalegania, zamierzał uledz wobec nalegania. Ktoś w tej chwili zabrał ją do walca. Skinęła Jakóbowi głową, zmrużyły się prześliczne oczy, spojrzały przelotnie z roztargnieniem i zaraz o nim zapomniały. Usta uśmiechnęły się czarem pustoty młodocianej, lecz nie dla niego — do tancerza, który brał ją...

Siewierski zajął znowu miejsce pod jakąś ścianą wśród starszych panów, politykujących po cichu. Tomasz Targowiecki częstował ich właśnie tą drugą z przywiezionych w zanadrzu wiadomości, którą powierzał tylko prawomyślnym.

— Wiem z najlepszego źródła — mówił, zniżając głos — iż Francya delikatnie dawała niedawno do zrozumienia, iż wypadałoby zmienić nieco stosunek do Polaków. Podczas wizyty prezydenta poruszono najpewniej...

Ktoś zaprzeczył.

— Naszym tedy obowiązkiem — ciągnął dalej Targowiecki — nie zwracając uwagi na zaprzeczenie, dając tem do zrozumienia, iż gdy on mówi, należy słuchać a nie przeczyć — jest nie psuć roboty, która się zaczyna, nie żądać za wiele odrazu...

— Od ilu lat zaczyna się już ta robota, która nigdy zacząć się nie może — wmieszał się do rozmowy adwokat Dolling, który niedawno wykłócił się o antysemityzm z marszałkiem, nie ukrywającym swego antysemityzmu, a mimo to lubianym i przez żydów, gdyż antysemityzm jego nie wykraczał poza dziedzinę groźnych słów a giestów, i jaskrawych frazesów. Marszałek był pod pantoflem swego młynarza Zelika Hałynkiera z którym rozprawiał długie godziny o polityce, o sąsiadach, o korzystnych aferach w okolicy,

któremu w przeciągu kilku minut co jakiś czas sprzedawał kawał lasu.

Tomasz Targowiecki zmierzył nieznacznie badawczym wzrokiem pana z Warszawy od stóp do głowy, postał chwilę z rękami w kieszeniach, chwiejąc się w takt muzyki.

— Ten walc, równie staroświecki jak te oto najmilsze "czeczotki" usposabia do tańca — rzekł — gdyby tak mniej lat!

— Możebyśmy rozpoczęli już inną muzykę, czy inny taniec — mruknął marszałek, któremu, lubo nie znosił Targowieckiego wogóle, a zwłaszcza Targowieckiego przy grze, pilno było wszakże do kart.

Ponieważ prezes Zapolski nie tolerował w domu swoim hazardu, uciekano się tedy do wybiegu, polegającego na tem, iż Kostuś Morszański zajeżdżał na noc i rozstawiał zielone stoliki u siebie w pokoju korzystając z przywilejów "eksterytoryalności". Pan Tomasz ociągał się trochę dla przyzwoitości, po chwili wszakże wycofał się z kilku matadorami. Adwokat Dolling, nie zrażony odprawą, którą mu dał Targowiecki, politykował dalej.

— Akcya polityczna, żeby stać się akcyą, by stać się czynem, musi być prowadzoną przez obie strony. My abdykujemy, wyrzekamy się, gdy strona przeciwna nie chce abdykować, wyrzekać się. Jest to tedy machanie rękami w próżni — dowodził dość hałaśliwie.

Siewierski zainteresował się przybyszem z Warszawy i przyłączył się do rozpraw. Młody adwokat odrazu wobec Siewierskiego zajął postawę obronną i nieufną, podejrzewając go o antysemityzm, a przekonawszy się, iż tak nie jest, mówił tonem nieco protekcyonalnym, ex cathedra, z wyżyny człowieka iście kulturalnego.

Posadził na ławie oskarżonych i Siewierskiego i ziemiaństwo i naród polski, czytał akt oskarżenia, ferował wyroki.

Siewierski stanął w obronie nie własnej, ale ziemiaństwa, któremu mecenas zarzucał obskurantyzm, ultramontanizm, jeszcze raz antysemityzm w obronie narodu, religii, katolicyzmu.

Potem sam z kolei dręczył, czasami dość zjadliwie,

przedstawiciela palestry, wierzącego w nieomylność rozumu ludzkiego, w tryumf wiedzy, w zwycięski pochód postępu, w zbawczą prawdę jakiegoś tam programu, jakiejś partyi. I stwierdził, iż synowie Izraela w każdym kraju uosobiają jeśli nie kosmopolityzm, to niemal zawsze kierunek międzynarodowy, nawet wówczas, gdy kierunek ten przebiera się w szaty patryotyczne, iż nie jest to zresztą ich wiarą, lecz iż właśnie dlatego istnieje przedział, iż tylko rdzenni mieszkańcy...

Adwokat Dolling bronił się, jak gdyby go napastowano osobiście, unosił się, jak gdyby działa mu się krzywda, czepiał się słów, urażał się i obrażał się, brał z drażliwej strony, po chwili przebaczał, gestykulował, śmiał się nerwowo, ciskał się, żżymał, wybuchał, krzyczał. Paliły się blaskiem gorączkowym jego ciemne, duże oczy, wydatne, bardzo czerwone, semickie wargi tak szybko poruszały się w mowie, że trudno go było nieraz zrozumieć, zdawało się, iż nawał myśli, dowodzeń, cytat, rozsadzi jego wypukłe, wysokie czoło. I patrzał nie w Siewierskiego, gdy mówił, ani na otaczających, lecz w lustro, co jest niezawodną oznaką pochodzenia semickiego.

Spór chwilami stawał się zajmującym. Przysłuchiwał mu się z przyjemnością Ciecierski. Ciecierski nigdy sam nie zabierał głosu, ale za to chodził od grona do grona przez cały wieczór, pilnie słuchał i, o ile nie było Aleksandra, z którym zwykle z zasady się zgadzał, trzymał stronę silniejszego.

Podczas gdy tu politykowano, w salonie po długim kontredansie i długiej przerwie tańczono jeszcze raz walca.

Panna Karusia, która, gdyby ją ktoś zastąpił przy fortepianie i zaprosił, chętnie znalazłby się wśród krążących par, niestrudzenie grała, powtarzając wciąż tę samą zwrotkę muzyczną, pełną dla niej tylu miłych wspomnień. Dziś cieszyła się, iż bawią się inni... jak ona niegdyś... nie tak dawno przecież... jak bawiłaby się teraz jeszcze...

Płynęła jednostajna, smętna melodya walca, dokuczliwie przypominała coś, natrętnie wabiła, odgrzebywała jakieś obrazy, marzenia, pragnienia...

Siewierski niekiedy, gdy rozstępowali się otaczający je-

go i mecenasa panowie, widział salon. I znowu Dominik tańczył z nią. Uśmiech był na obu twarzach, ten sam, uśmiech uciechy, młodości, zadowolenia.

Naraz Jakób pochylił się, jak gdyby pod brzemieniem lat. O ile Dominik odmłodził go w domu, o tyle, wepchnął w starość tu... Siewierski odczuł w sobie zgrzybiałość i smutek. I począł potakiwać we wszystkiem adwokatowi, który, rad ze zwycięstwa, pastwił się nad pokonanym rzekomo przeciwnikiem, zarzucając mu z gestem po raz wtóry zacofanie, ultramontaństwo, szowinizm i akwizycyę.

— Tak, tak — zgadzał się ze zwycięzcą Jakób ku zgorszeniu Ciecierskiego, który trzymał jego stronę, któremu nie chciało się przechodzić na "mojżeszowe wyznanie".

Siewierski, zmęczony bezcelowym, jak zdawało mu się, sporem, zmęczony muzyką, szedł gdzieś dalej. Był na ganku, gdzie wśród cudnej nocy lipcowej przy blasku świec, palących się równym płomieniem, kłapano w winta, w bridgea, w preferansa, odwiedził przybytek hazardu. Marszałek trzymał bank i z ugrzecznieniem, trochę przesadnem, zwracał się do grających, niedbale, jak gdyby szło o "pacierze", zagarniał stawki, z lekceważeniem dopisywał do kolumny swoich plusów nowe zyski, z uśmiechem i przebiegłym i uprzejmym patrzał na Targowieckiego.

Gra była gruba. Tarnowieckiego piękną o rzymskim profilu twarz szpeciły gminny wysiłek ściągniętych brwi, pogłębione zmarszczkami wypieki, płomyki w źrenicach. Drżały mu z lekka palce, podwajał ciągle stawki, stale przegrywał, stale udawał, iż go to nie obchodzi, wysiłał się na sztuczny spokój. Marszałek z zadowoleniem bił nielubianego sąsiada, uśmiechał się niedbale.

Wkońcu pan Tomasz przemógł niepowodzenie. Teraz on bił marszałka, odbierał z naddatkiem, zgarniał. Morszański mówił z tem samem ugrzecznieniem, tak samo, jak przedtem, to niedbale, to uprzejmie, to przebiegle uśmiechał się. W jakiejś chwili podsumował swoje cyfry, wypłacił 7,300 rubli, wstał od stolika i z Siewierskim wyszedł.

Przechodząc, zaczepił młodego poetę białoruskiego, który stał ze Stefusiem w jakichś drzwiach. Najdoskonalszym akcentem, przysłowiami, wierszami, zwrotkami pieśni ludo-

wych Kostuś Morszański i oszołomił i zjednał i zadziwił nieśmiałego poetę.

Zwabiony brzmieniem bratniego narzecza zbliżył się do nich przygodny Rosyanin, niejaki Djukow, którego marszałek dotąd najstaranniej unikał. Przywitał go z tak wyszukaną uprzejmością, że aż niegrzecznie, a jednocześnie wyniośle, po wielkopolsku, z lekceważeniem tak, jak wogóle traktował Rosyan. Djukow nie poznał się na tych odcieniach, wmieszał się do rozmowy. Wkrótce Morszański, przekonawszy się, iż "Moskal" jest " liberalny" i dobroduszny, począł "na nim używać". Pokazało się, iż przybysz z centralnych gubernij, który oburzał się na wszelki we wszystkich na kuli ziemskiej krajach ucisk narodowościowy, iż przybysz z gubernij centralnych nie wiedział dotąd, że Rosya ciemięży naród polski, jak gdyby Polska nie stanowiła części imperyum, a znajdowała się gdzieś za oceanem, pod biegunem południowym...

Marszałek zaczął gościa uświadamiać i pouczać nasamprzód poważnie. Gość gorszył się, ubolewał, złorzeczył rządowi, tłómaczył, iż naród rosyjski nie pozwoli na krzywdę, nie pozwoliłby dziś już, gdyby... Djukow zapalił się i mówił podniośle, szlachetnie, pięknie. W marszałku roztajało serce. Padli sobie w objęcia, poczem marszałek, ulegając wyobraźni, przedstawił prześladowanie żywiołu polskiego w barwach tak okropnych, iż Rosyaninowi powstawałyby zapewne włosy na głowie, gdyby sam stokroć gwałtowniej nie napadał na rząd, którego nienawidził, którym pogardzał, któremu przepowiadał bliski koniec. Coraz więcej osób skupiało się dokoła tych dwu, rozprawiających na temat bardzo znany a bolesny, w sposób przecież niezupełnie zwykły.

Jerzy Ciecierski z jednym palcem w kieszeni od spodni przysłuchiwał się pilnie pełen uznania dla obu mówiących i gryzł koniec swego wąsa.

Tomasz Targowiecki, który przerwał grę, by rzucić okiem na przyszłego zięcia, milczał przezornie i nieufnie; nie pochwalał przesady, nie pochwalał zbytniej szczerości.

W salonie odezwała się dziarska pobudka do mazura. We drzwiach stanął Aleksander Zapolski z nieładną, ale miłą, pełną łagodnego uroku, cichą, łagodną Imą.,

— Panowie mazur, panowie mazur! — wołał donośnie takim głosem, iż znać było, że nie ma dlań w danej chwili nic ważniejszego i droższego nad taniec. Rola wodzireja niekoniecznie nadawała się do niego, czy też on ogorzały, barczysty, rzekłbyś w tej chwili od pługa przybyły rolnik nie nadawał się do wodzirejstwa; tak samo biało ubrana, pastelowa, zgaszona, drobna i wątła Ima bardziej zgaszoną i wątłą wydawała się przy nim.

Ale mimo zupełnego przeciwnieństwa typów tych dwoje stanowiło także dobraną parę może w staroświeckim, trącącym myszką stylu i stanowiło jakoby żywy obraz, wzorowany na jakimś dawnym sztychu. On zdawał się uosobnieniem męskości, zapału i siły, ona — wdzięku kobiecego, niewieściej słodyczy, niewieścich cnót.

— Spodziewałem się, że będziesz uprzejmiejszą dla naszego gościa — po angielsku gniewnie szepnął Targowiecki do córki, która spuściła oczy.

— Ojcze, proszę... — odparła cicho i błagalnie, nie ruszając wargami.

Siewierski obawiał się, iż wykwintny pan Tomasz wyrwie rękę córki z mocnej dłoni tancerza, że Oleś Zapolski dosłyszał. Ale ten nie rozumiał po angielsku, a przedewszystkiem nie rozumiał snać jeszcze gry, którą grał Targowiecki, gracz niezawodny.

— Panowie mazur — wołał i powtarzał Zapolski, przebiegając pokoje.

Ze szczerze sarmackiej twarzy, o polskim, jak u ojca wąsie, biła mu łuna, łuna szczęścia.

Lubił mazura i kochał tę, z którą miał mazura tańczyć. Było to stare, jak świat, i wiecznie nowe, jak wiosna, było to ładne, jak kochanie, radosne jak młodość.

Mazur ochoczy i huczny zapełnił salon, przyległe pokoje, dom, wszystkie pary ruszyły. W pierwszej Aleksander z niewieścią Imą, w drugiej Dominik z panną Kasią. Zapolski tańczył znakomicie, mimo krępej, zbyt barczystej postawy i łączył prostotę z temperamentem, o co tak trudno, tańczył bez wysiłku, czasami wolno i poważnie, to znowu z junackim rozmachem, to sunął przez salę w rozpędzie zabawy, to stawał naraz, kończył niespodzianie hołubcem.

Dominik, który uchodził w Petersburgu za pierwszego mazurzystę, tańczył przesadnio, udając brawurę, wysilając się na wykonanie wyuczonych hołubców, tańczył sztucznie, bez wrodzonej iskry, a tylko bardzo dobrze wyćwiczony.

Ima zapomniała o wymówce ojca, o Podbielskim badawczym wzroku matki. Tancerz narzucił jej wolę swoją, szczęście swoje, przymus kochania. Szła za nim i z nim, uległa, szczęśliwa, z pochyloną pod ciężarem warkoczy głową, urocza... Kasia Gorzelska zdawała się przewodzić i prowadzić swego tancerza. I znowu, jak w walcu, na twarzy obojga był wyraz ten sam, wyraz wesela, młodzieńczej pustoty, uciechy.

— Długo też brat pana pozostanie jeszcze w naszych stronach? — zwrócił się niespodzianie do Siewierskiego Stefuś, który stał oddawna obok niego.

— Może tydzień, może nieco więcej.

— Opowiadał mi, iż wdział na siebie mundur ze szczerego zapału. Dziwię się tej ochocie...

Jakób wziął brata w obronę — i nie przekonał studenta Wszechnicy Jagiellońskiej. Stefuś zamilkł niedowierzająco i ponuro patrzał w stronę salonu na "bezmyślnie biegające" po nim w niepotrzebnych podskokach pary.

Sztuka tańczenia wydawała mu się równie niedościgłą, jak podniebne szybowanie jastrzębia. I, jakkolwiek w teoryi wydrwił tę sztukę, równie niedorzeczną, jak trudną, w rzeczywistości zazdrościł i Aleksandrowi i Dominikowi i młodym Targowieckim, słowem wszystkim, którzy "bezmyślnie w niepotrzebnych podskokach" hasali po salonie...

W rodzinie Zapolskich od szeregu pokoleń wszyscy przynosili z sobą na świat iskrę talentu do tańca; tylko on, Stefuś wyrodził się. Po matce odziedziczył nieudolność do tańca, po ojcu brak wymowy, natura dała mu dużo siły fizycznej, krzepkie zdrowie, odmówiła urody. Stefuś rzadko zastanawiał się nad osobą, swoją, nigdy prawie nie zajmował się sobą, ale niekiedy przychodziło mu na myśl, iż innym młodym powodzi się lepiej, niż jemu, tym, co umieją gadać i tańczyć, że jemu nie powodzi się zupełnie... Tak było dziś...

Kasia Gorzelska traktowała go zwykle, jak dziecko, a

z tamtym oto oficerem, który jest może nawet młodszy, już od kilku godzin... Dominik brał ją wciąż do walca, wziął do mazura...

I Stefuś gniewał się na Kasię, udawał, iż nie widzi jej zupełnie; zato nie spuszczał wzroku z wojskowego, którego i uniform i śmiałość i wogóle obecność niecierpliwiły coraz bardziej.

Tymczasem, mimo hucznej muzyki, rosyjska rozprawa toczyła się dalej. Wzięło wniej udział więcej osób. Liberalny Djukow nie szczędził gromkich słów szyderstwa i potępienia pod adresem rządu, nie skąpił też hojnych uroczystych obietnic pod adresem Polski. Słuchano go ze zdumieniem, niektórzy z zachwytem.

— Nie wiele nam przybędzie z tej gadaniny — posępnie mruknął Stefuś.

Siewierski w głębi podzielał to zdanie, z obowiązku wszakże rzekł:

— Nie należy zrażać się i zrażać.

— Epoka pięknych i pustych słów minęła. Gdy wybije godzina...

— Panie, jaka tam godzina! — niedbale zauważył Jakób.

Student spojrzał mu, jak miał zwyczaj, w same źrenice swemi nieco skośnemi oczami.

— Ta godzina może jutro...

— Jutro?! — dziwił się Siewierski.

Stefuś patrzał z politowaniem.

— Tak, jutro... Jesteśmy przecież w przededniu wojny — głos Stefusia drgnął ze wzruszenia.

— Od tylu lat wszystkie gazety co wiosny piszą o wojnie...

— Wojna będzie — i my jesteśmy do niej gotowi...

Stefuś głęboko, jakby do dna, popatrzał Siewierskiemu w oczy... Chciał może jeszcze coś mówić, ale zauważył zbliżającego się Targowieckiego. Wyrazy zastygły na wargach młodzieńca...

Stefuś zawrócił się i wyszedł.

— Ależ ci tutaj jedni za wiele politykują, inni za długo tańczą! — sarknął pan Tomasz, zniecierpliwiony, iż partne-

rzy nie wracali do kart, gniewny, że córkę zabrał do mazura Zapolski.

Mazur brzmiał teraz bardziej ogniście, zuchowato, hucznie. To prezes Zapolski zastąpił zmęczoną córkę. Nie mógł już iść w zawody z młodymi, on, słynny niegdyś, najlepszy może w kraju tancerz, to też chciał przynajmniej grać. Usiadł do fortepianu z papierosem w ustach, mocno wprawnemi palcami uderzył w pożółkłe klawisze i odezwała się naraz jakby orkiestra. Wspaniały mazur, jak pobudka bojowa, jak hasło do szturmu porwał, rozgrzał i tańczących, i tego, co grał.,

Jak oddziały, rzucane przez zapalonego wodza w wir walki, jak kolumny pędzących junaków, biegły, spieszyły mazurowe tony.

Rzuciła się panu Ignacemu zamaszyście sarmacka głowa do taktu. Grał i patrzał na salę. Ganił styl petersburski Dominika i Targowieckich, chwalił syna Aleksandra. Zdawało mu się, iż on potrafiłby lepiej i dziś jeszcze... I wiedzieli wszyscy, iż w pewnej chwili prezes Zapolski stanie z panią Babetką w szeregu i poprowadzi wszystkich.

Siewierski wśród sunących w zapędzie zabawy par widział wciąż tamtą jedną, wybraną i dobraną. Uśmiech swawoli nie schodził z jej ust, uśmiechały się przedziwne oczy. Pasmo włosów wymknęło się z pod grzebienia, poprawiła je, mijając go, i spojrzała ku niemu przelotnie, z roztargnieniem i wnet zapomniała o nim. "Poco znajdował się tu?" — zdziwiły się może przez mgnienie jej źrenice.

— Poco znajdował się tu? — pytał siebie Siewierski i czuł zgrzybiałość wewnętrzną, bezcelową obecność swoją. Gdyby nie Dominik, mogliby już jechać...

Odszukał wzrokiem Janinę gdzieś tam pod ścianą, obok kuzynki Targowieckiej. Obie wyprostowane, pełne spokoju, rozmawiały. Twarz Janiny o nieposzlakowanych rysach była nieruchoma, martwemi zdały się nawet perły bezcennego sznura na pięknej, sztywnej jej szyi.

Jakaś szczypta zniecierpliwienia czy zniechęcenia zaprawiła przez mgnienie uczucie Jakóba. Pospiesznie odwrócił spojrzenie, pospiesznie opuścił pokój. Skierował się do ogrodu. Goniły go długo zawadyackie, hulaszcze dźwięki

mazura. Dopiero w najdalszej alei muzyka przestała mu dokuczać. Może w tańcu nastąpiła przerwa.

Siewierski odczuł błogosławieństwo nocy, ciszy, mroku. Wśród odmętów nieba migotały gwiazdy. Nie umiał wyczytać słów, wypisanych na ciemnem sklepieniu. Mową zdawało się migotanie — nie pojmował tej mowy. Byłże czas, gdy pojmował? W wysokiej trawie, zielonawym, równym, spokojnym płomykiem, świecił sobie tylko, czy też mrokom w gęstwie nieskoszonej trawy robaczek świętojański.

Siewierskiego oczy wędrowały od światełka na ziemi ku gwiazdom... Nieruchome kształty lip wiodły najcichszy rozhowor. Ciemne olbrzymy stały w spokoju, nie ruszała się gałąź najmniejsza, zrzadka tylko szept spływał, po liściach, które drżały niedostrzegalnie. Siewierski, który z zamkniętemi oczami rozpoznałby szum każdego drzewa, widział to drżenie, chwytał uchem szept niedosłyszalny, słuchał.

Nie było dlań prawie rzeczy droższej w naturze nad ów rozhowor drzew w noce pogodne. Od wierzchołków spływały słowa najcichsze — nastawało milczenie — potem znowuż przebiegało drżenie i ku wierzchołkom wstępowała jakoby odpowiedź. Co to było? Wspominanie, opowieść, zwierzenia? Siewierski zatrzymał się i słuchał. Pragnął raz przecie przeniknąć tajemnicę liści... Z głębin gąszczu, z mrocznego dna toni, z odmętu nocy spłynęło szemranie — i w duszy Siewierskiego z samego dna, z głębi najdalszej, począł sączyć się żal. Słuchał żalu swego, słuchał szeptu liści... Zazdrościł czegoś ciemnym tajemniczym drzewom, które albo nic nie wiedzą, albo może właśnie wszystko wiedzą i posiadły mądrość... zazdrościł — i coraz to głębszym stawał się żal, ale nie było już w nim goryczy.

Siewierski pochylił głowę i wciąż słuchał. I zdawało mu się, iż słyszy samego siebie, słyszy własną duszę... Dziwnem było to dumanie...

Naraz rozległa się niezbyt daleko na lichych skrzypcach grana taneczna przygrywka, skoczna i rzekłbyś szydercza, znana Jakóbowi z wiejskich weselisk.

Urwała się zagłuszona cudna opowieść lip. Siewierski podążył w tamtą stronę, gdzie półseryo, półżartobliwie rzę-

poliły skocznie a z powodu ubóstwa melodyi i tonu jak gdyby sennie złe skrzypce wioskowe.

Na skoszonem tak zwanem gumnisku w świetle paru kagańców i latarni krążyły liczne pary. Z daleka wyglądało to fantastycznie. trochę operowo. Mimowoli przypominały się jakieś z czytywanych dawniej powieści sceny na tle pierwotnego koczowniczego żywota. Ale Siewierski znał dobrze tę muzykę skoczną i pół senną, drwiącą, rzekłbyś i smutnawą, znał także taniec, równie jak melodya, jednostajny, chociaż nie umiałby go nazwać.

Pomiędzy tańczącymi Siewierski zauważył ze zdziwieniem cieszącą się znacznem powodzeniem w powiecie hożą, kozakowatą Franię Błońską, która przed chwilą królowała na tamtym balu w salonie, gdzie nie odstępował jej Hip Podbielski. Potem Siewierski spostrzegł najlepszą pannę Adelę, krzątającą się przy długim wąskim stole, zastawionym do zakąski.

— Sprawiła pani dożynki? — pytał Jakób, zbliżając się.

— Nie, panie... taka sobie zwykła zabawa. Pląsamy my, niechże potańczą i oni. Zeszło się trochę ze wsi, z czworaków, służby przyjezdnej.

Rzeczywiście towarzystwo było mieszane: perkalowe dziewczyny i wysznurowane, ufryzowane modnie panny służące, parobczaki i ogoleni w liberyach dygnitarze, chłopaki stajenne, kilku dla okrasy lowelasów z administracyi dóbr Tyszowce... Frania Błońska wybrała sobie właśnie takiego lewelasa, ładnego chłopca, zgrabnego, którego krępowała zaszczyt przynosząca tancerka, krępował wysoki, nakrochmalony kołnierzyk. Sennie, rzekłbyś z konieczności, dla spełnienia obowiązku, monotonnie w kółko, bez przerwy krążyły pary. Twarze były rozgrzane od ruchu a bierne. Szerokie, tęgie, opalone dłonie mocno trzymały kibić tancerki i garnęły ku sobie. Woli męskiej obojętne jakoby poddawały się dziewczyny... Do rytmu, w takt jednostajnej drwiącej muzyki, która szydziła, zdawało się, i z siebie samej i z tych, co tańczyli, monotonnie przesuwały się pary, wykonywały mechanicznie niby przepisany obrządek, te same ruchy i krążyły w kółko, w kółko...

— Patryarchalne to, coś jakby z Syrokomli, ale kłopotu ma pani dużo.

Na stole ustawiono dzbany z maślanką, "hładusze" z mlekiem zsiadłem, butelki piwa, ogórki, sery.

— Ani kłopotliwe, ani kosztowne!

A tak była zajęta doglądaniem przygotowań do przekąski, że Siewierski cofnął się, by jej nie przeszkadzać.

W drodze dopędziła go panna Frania Błońska. Zdyszana od tańca, zadyszała się jeszcze bardziej, doganiając Siewierskiego. Nie mogła złapać tchu i śmiała się.

— Wyrwałam się stamtąd na chwilę... muszę wracać... O powiem, iż tańczyłam tu z panem. To będą się dziwić! Taki sensat, taki dygnitarz i na "gumnisku", wśród służby — śmiała się i żartowała, choć Siewierskiego na prawdę znała bardzo mało.

— Z panią tobym tańczył wszędzie...

— Patrzcie no!

— Od kogo pani uciekła z tamtej sali! — dopytywał Jakób.

— Od Hipa Podbielskiego... Boże! Jakiż on nudny! jak źle tańczy! ostryga i żółw...

Trzeba było mieć lat ośmnaście, być płochą, niedoświadczoną Franią Błońską, by tak się wyrażać o pierwszej w kraju partyi. Dąsała się na samo wspomnienie magnata.

— A jednak pani śpieszy! — przekomarzał się Jakób.

— Biegnę, bo boję się cioci... i śpieszyła tak, że Siewierski nie mógł za nią nadążyć.

Nagle stanęła, jak wryta, przypomniawszy sobie, iż zgubiła wachlarz, który napewno trzymała w ręku jeszcze w chwili, gdy dopędziła Siewierskiego. Zawrócili tedy, szukali, nachylali się wiele razy napróżno, aż wkońcu znaleźli.

Przez ten czas trzpiotowata dziewczyna opowiedziała Siewierskiemu, iż Siewierski prawdopodobnie nie słyszał o jej zaręczynach, bo ciocia Błońska zabroniła rozgłaszać, ale, że mimo zakazu ona postanowiła wyjść za mąż i wyjdzie za mąż tej jesieni jeszcze... że narzeczonego jej niema tu w Tyszowcach, jakkolwiek powinienby był być, jakkolwiek

obiecał, że będzie... że ona się zaniepokoiła i zmartwiła nieobecnością narzeczonego... że ciocia na małżeństwo nie pozwala, bo Frania jest za młoda, bo Frania choć nieposażna, mogłaby znaleźć lepszą partyę, ponieważ podoba się panom... — tu naśladowała gderliwy głos ciotki, zgarbiwszy się odpowiednio, wykrzywiając stosownie twarz. Opowiadała, że narzeczony jej jest ani bogaty, ani uczony, ale wybrała go sobie sama i nikomu nie odda, że ciocia dziś cieszy się z pewnością i już układa, jak też Frania zostanie panią Podbielską... tymczasem Frania nie będzie nigdy panią Podbielską, będzie nazywała się inaczej...

— Niech pan zgadnie — nalegała.

Jakób dopytywał, wyliczał różne najbardziej nieprawdopodobne nazwiska, udawał, iż go ta sprawa bardzo zajmuje, dokuczał pannie, iż wyjdzie za Jerzego Ciecierskiego, który miał przeszło czterdzieści lat i był bardzo bogatym wdowcem.

Dziewczyna oburzała się i twierdziła, iż Ciecierski ożeni się albo z Adelką Zapolską, albo z Karusią, że nie ożeni się zresztą zupełnie, bo nie potrafi wybrać, kochając się w obu pannach naraz, a, gdyby wybrał, nie potrafiłby oświadczyć się... Tu Frania uklękła na jedno kolano i naśladowała rubaszny głos wdowca... I dowodziła dalej, iż Adelka i Karusia także obie razem kochają się na zabój w Ciecierskim, że ciocia Błońska oddawna poluje na Ciecierskiego, że Siewierski zna narzeczonego jej i mógłby domyślić się, gdyby bardzo chciał...

— Ale brat pana to przystojny chłopiec i bardzo mu w mundurze do twarzy —rzekła niespodzianie przed gankiem.

Jakób nie znalazł na to jakoś odpowiedzi.

— A pan udaje dygnitarza... tymczasem umie pan doskonale flirtować gdy zechce, i wiem, iż jest ktoś, kto wzdycha i tęskni do pana — rzekła jeszcze bardziej niespodzianie.

I na to Jakób, wytrawny światowiec, nie znalazł odpowiedzi...

— Jak pan mnie zgromił wzrokiem! widocznie tedy

jest w tem trochę prawdy, widocznie pan uwierzył! — zawołała Frania i pomknęła po stopniach.

Z domu wołał ich mazur.

— Panowie wszystkie pary! wszystkie pary mazura! —wzywał schrypniętym już głosem Oleś Zapolski.

W pierwszej parze stał pan Ignacy z żoną. Zafrasowana i zapracowana pani Babetka, jakkolwiek nie lubiła tańca za młodych lat i nie nauczyła się nigdy tańczyć i jak wyrażał się mąż tylko skakała niby szczygieł na nitce, nie umiała odmówić teraz tej przyjemności mężowi i sobie... Pasmo trosk codziennych przerywały rzewne wspomnienia dawnych, tak niezmiernie dalekich czasów, wspomnienia wieczorków w Nowinach, w Tyszowcach, w tylu innych dworach, po których zostały już same tylko nazwy, owych wieczorków, gdy młody Ignacy słynął z urody i tańca, a, ona słynna także z urody, "skakała niby szczygieł na nitce"...

— Panowie! wszystkie pary! — huknął teraz prezes Zapolski, objąwszy berło po synu.

Naprawdę tańczyli już prawie wszyscy.,

Przedtem znakomita gra, obecnie komenda pana Ignacego rozochociły i rozgrzały najbardziej opornych. Ciecierski w równie długim, jak gospodarz domu, surducie, wybrał pannę Adelę, co obudziło może żalu nieco w zacnem sercu panny Karusi, i wystukiwał obcasami tak zawzięcie, iż z tafli posadzki leciały niekiedy drzazgi. Marszałek, zapomniawszy o klęsce przy zielonym stoliku, zapomniawszy o straszliwych opowieściach na temat prześladowań w zaborze rosyjskim, zapomniawszy wreszcie, że niedawno tłómaczył pani Adeli Targowieckiej, iż gra w karty, bo nie może tańczyć, a nie może tańczyć dlatego, iż najwięksi specyaliści w trzech stolicach wynaleźli w nim groźną wadę serca, "marszałek", zapomniawszy o wszystkiem, wziął jakąś już niezbyt młodą mężatkę i z ręką, przesadnie wzniesioną do góry, dążył za innymi. Zawsze spokojna i wyprostowana pani Targowiecka, która sama będąc prawdomówną, nie posądzała nigdy nikogo o blagę, teraz patrzała za nim z przerażeniem, bojąc się, iż ten dostanie lada moment ataku.

Siewierskiego napastowała Dina Zawilska, znudzona dotychczasowym tancerzem, liceistą, kolegą braci. Siewierski bronił się, uległ wszakże kuzynce, zbyt strojnej, modnej i kokietującej, zwłaszcza na takim jak tyszowiecki wieczorze, w takim jak Tyszowce dworze, pod patryarchalnie nizkiemi sufitami, uległ zaś głównie z powodu Frani Błońskiej.

Trywialny i niewczesny żart niedorzecznej panny Frani, popsutej powodzeniem w parafii, dotknął go, czy ubódł, a jeszcze bardziej gniewało Siewierskiego, iż on zbyt przejął się żartem pełnej zaściankowego tupetu dziewczyny. Udawał tedy obecnie przez sobą i przed ludźmi, że bawi się. Spoglądał w sztucznym blaskiem sztucznie pod naczernionemi brwiami świecące oczy Diny, śmiał się z czegoś, rozpoczął "flirt" śmieszył ją rzekomem sileniem się na poprawne wykonywanie jakichś łamańców, mających uchodzić za pas mazurowe.

Kilka razy w figurze tańca w splotach łańcucha Jakób wyminął pannę Gorzelską. Zetknęły się w przelotnym uścisku ich dłonie, obco spojrzały jej zwężone swawolne oczy, minęła go, szła dalej ku Dominikowi, który urodziwy, wysoki, młody, brał ją i wiódł za sobą, brzęczały jego ostrogi.

Niezmordowanie palce panny Karusi wydobywały z pożółkłych klawiszów ostatnie zdawało się zasoby zapału i sił, które przebywały jeszcze w starym znużonym fortepianie. Cały dom brzmiał muzyką; czasami tupot hołubców głuszył muzykę i znowu dźwięki brały górę.

Pan Ignacy prowadził korowód par skróś salonu, dokoła stołu jadalnego, jednemi drzwiami na ganek, przez drugie drzwi z powrotem do salonu: potem tańczył solo z żoną. Rozwiewały się długie poły surduta, ruszała się zamaszyście starcza głowa, sunął przez pokój, biegł i stawał, obracał żonę i znowu rozpoczynał, przypominając coraz to inne, sławne dawniej figury, figle, koncepta. Zdawało mu się, iż występuje, jako ów znakomity niegdyś mistrz, że zebrani przyglądają się z podziwem, z zachwytem — i mimo zmęczenia przedłużał taniec. Tymczasem młodzi, zwłaszcza najmłodsi, patrzyli z politowaniem, z

poczuciem wyższości, starzy z żalem, iż biedak posunął się, iż nie dopisują mu już nogi i siły.

Ale oklaski rozlegały się huczne.

Następnie przyszła kolej na inne pary.

Każdą tancerkę, gdy skończyła ze swym tancerzem, otaczali panowie kołem i albo prezes albo Aleksander wy-

Ima usiadła za lustrem nad którym pochylali się je-
wieckich zabaw.
znaczali jakiś popis czy figiel, wydobyty z kroniki tyszo-
den za drugim panowie, Ima zaś cofała zwierciadło, dając tym odprawę — aż wybrała Dominika ku niezadowoleniu ojca pana Tomasza.

Dominika wyróżniła Frania Błońska, pozwoliwszy mu uklęknąć na poduszce, którą trzymała przed sobą. Dominikowi dostał się kieliszek wina z ręki Neli Targowieckiej.

Kasia Gorzelska nie wyrzuciła chustki do góry, ani powiedziała rymu, zanuciła natomiast niespodzianie zwrotkę ze znanej piosnki:

Jeszcze jeden mazur dzisiaj
Choć poranek świta...

Zabrzmiał jej nie wysoki ale miły, czysty głos:

Czy pozwoli panna Krzysia,
Młody ułan pyta.

Podchwycił pięknym, silnym barytonem Aleksander i zabrał ją do tańca. Po chwili zatrzymali się i dalej śpiewali następne strofy.

O pół mili wre potyczka,
Słychać pierwsze strzały...

I znowu ruszyły pary.

Tańcowi przypatrywali się Tomasz Targowiecki i Stefuś, — pierwszy, ze znudzeniem, drugi posępnie. Stali obok siebie, a mimo tak blizkiego sąsiedztwa nie przemówili ani słowa. Nie lubili się ci dwaj... Wkrótce Targowiecki poszedł usiąść wśród pań i zabawiał Janinę Siewierską. Stefuś został sam z rękami w kieszeniach przyglądał się trochę z podełba, jak gdyby i ubolewał i zdumiewał się, jak gdyby zawierzał zawołać końcowemi słowy pieśni: "Trąbka huczy, na koń, woła, Mazur to ostatni".

Przed chwilą wrócił z "gumniska". Tam zachęcał, próbował nawet dać przykład i 'schodził" raz polkę bez po-

wodzenia wprawdzie — tu dziwił się. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Mazur trwał bez przerwy, huczał, zapełnił po brzegi niskie pokoje gościnnego dworu. Ponad wrzawą rozlegała się niekiedy komenda Olesia, tupotały hołupce.

Tak bawiono się w patryarchalnych Tyszowcach...

O troskach i zgryzotach dnia, o niepokojach jutra, o swarach sąsiedzkich, o małostkach życia i wielkich jego sprawach zapomniano w tańcu.

Hulaszcze dźwięki biegły przez otwarte okna w ogród, spotykały się tam gdzieś z drwiącą muzyką lichych skrzypiec, które szydziły i z siebie i z tańczących, dwie melodye kłóciły się z sobą i pomieszane lęciały dalej aż na samym skraju parku w najdalszej alei cichły...

Ale lipy milczały już. Niebiosa oddawna bielały przedświtem, czynił się dzień.

V.

Targowieccy urządzili u siebie "garden party", zapewne dlatego, iż większa część sąsiedztwa nie zdawała sobie dokładnie psrawy, jaka zachodzi różnica między "garden partyą", jak mówiono, a polską majówką lub podwieczorkiem tańcującym. Ale w Targowcu musiało być wszystko inaczej niż wszędzie, i to był pierwszy wzgląd, dla którego proszono po angielsku, drugi zaś, jak przypuszczali domyślni, krył się w chęci odstraszenia tych i owych trudnościami a wątpliwościami toaletowemi. Część osób, nie umiejąc rozstrzygnąć zawiłej sprawy sukni, kapelusza, krawata, wolała zostać w domu.

To też, o ile z obu miast poblizkich, oraz z dalszych rezydencyi stawili się niemal wszyscy zaproszeni, dwory i dworki czyli sąsiedztwo nie dopisały prawie zupełnie i zjazd był nieliczny.

Tomasz Targowiecki w smokingu, jak z igły, w śnieżnej kamizelce. której sam widok ochładzał w to upalne południe, odświeżony i odmłodzony. zgodnie z angielskim słowem to change, którego trafność chętnie tłómaczył każdemu, dowodząc, iż dlatego Anglicy mówią o przebieraniu

się na wieczór "change", iż należy wraz ze zmianą szat zmieniać humor, odświeżony tedy i odmłodzony, zgodnie z teoryą i praktyką swego życia, pan Tomasz witał sąsiadów na ganku z oznakami radości, serdecznie, a rubasznie, w której to rubaszności, nie licującej ani z jego manierami ani z wytworną postacią, tkwiła pewna doza protekcyjności czy łaskawości. "A witam kochanego sąsiada dobrodzieja!" wołał za każdym razem, brał przyjezdnego z objęcia, całował rozgłośnie i była w tem poza.

Pani Aniela Targowieska, wysoka, szczupła, blada, jak zwykle, i sztywna, jak zwykle, dla wszystkich była równie uprzejmą. Gdyby zamiast Jerzego Ciecierskiego, z którego w jej domu drwiono zawsze niemiłosiernie, stanął przed nią najznamienitszy dygnitarz, nie zmieniłoby się nic w jej zachowaniu. Przyjmowała wprawnie, spokojnie z odcieniem znużenia. Perły, spłowiałej barwy jedwab, stare koronki były do jej twarzy tak, jak przestronne salony, pełne obrazów, luster, kryształów, stanowiły bardziej odpowiednie dla niej tło, niż nizkie ściany i skromne czeczotki tyszowieckiego dworu.

Gospodarz gościnny i towaryski z natury, w dodatku próżny, lubił zgromadzić u siebie szlachtę, by wysadzić się, olśnić przyjęciem, a wyobrażał sobie, iż jest lubianym przez braci szlachtę, dziś zaś, niby nalana po brzegi musującym szampanem szklaneczka, pełen był najweselszego humoru dlatego, iż sprawa z Hipem Podbielskim, jak sądził, szła dobrze. Z tej samej wszakże przyczyny słodka twarz Imy, oraz blade oblicze pani Anieli, nosiły ślady smutku.

Między matką a córką odbyła się tego ranka rozmowa spokojna, lecz w pewnym stopniu bolesna. Pani Targowiecka ze wszystkich dzieci najbardziej kochała Imę. Najstarsza córka Dina, zbyt światowa, strojna i zbyt flirtująca, rozrzutna i "rozrzucona", wprawiała ją w niepokój; z drugą Tereską Szczebiowską , którą podziwiano w Warszawie, zanadto mądrą, zanadto wdaną w politykę, mało miała wspólnego: ostatnia Nell podlotek jeszcze, nie dała jej dotąd tak, jak i synowie liceiści nic, prócz trosk; mąż, mimo, iż pozornie nie mogła mu nic zarzucić (prócz tego,

co potępiając w nim, w Dinie, w Nell, w synach i co, nie umiejąc inaczej określić, nazywała w skrytości myśli "targowieczyzną"), mąż przez wszystkie lata budził nieufność "duchem niepokoju", aferami, zbytnią werwą, projektami, bujnością, wymową, "szusami".

I tylko cicha, oddana innym, poświęcająca się Ima, okazywała matce, która nawet w rodzinie była sztywną, dużo serca i nigdy nie zakłóciła, czy nie naruszyła tego, bez czego pani Targowiecka nie rozumiała życia, tak, jak bez powietrza, to jest harmonii, równowagi.

Gdyby panią Anielę wypadło określić jednym wyrazem, należałoby o niej powiedzieć: ograniczona — ale bynajmniej nie w ujemnem i utartem znaczeniu, będącym poniekąd synoninem głupoty. Była ograniczona, bo przebywała zawsze w granicach, zakreślonych przez wychowanie i konwenans, kodeks świata, kodeks kasty, przez zwyczaje, przesądy, tradycye, bo wszelkie tego rodzaju ograniczenia uznawała i lubiła, bo tylko pomiędzy ograniczeniami czuła się bezpieczną.

Nigdy myśl jej lub uczucie nie wyjrzały poza park i cieplarnię w przyrodę, poza książki do nabożeństwa i katechizm ku Bogu, poza dziennik konserwatywny, który czytywała — co prawda dość apatycznie — ale codziennie, ku walkom dnia politycznego, poza nieskazitelną cnotliwość własnego życia w zepsucie współczesne, poza towarzystwo, w którem obracała się, tłum, zapełniający ulicę, kościoły, teatry i t. d.

Poza zamążpójściem pani Targowiecka nie rozumiała istnienia kobiety. Cicha, łagodna, najlepsza Ima nie miała dotąd powodzenia w świecie, nie podobała się panom, nie znalazła starających się. Naraz dzięki mądrym zabiegom obrotnego pana Tomasza zjawił się Hip Podbielski, najpierwsza w kraju partya — i w pałacu targowieckim, oraz w sercu matki zapanowała radość — w tem ostatniem na krótko wszakże. W rozmowie rannej nie padło żadne stanowcze słowo, nie została powiedzianą żadną wyraźna myśl. Ze smutku w oczach ukochanego dziecka, z odpowiedzi na wzmiankę o mazurze w Tyszowcach mogła odgadnąć. Wolała domysłu nie uświadamiać sobie do końca.

Pani Targowiecka była uosobieniem prawości, prostoty i sprawiedliwości; nie znała, co to jest snobizm, pycha, złośliwość; ale nie potrafiłaby dopuścić myśli, by Ima mogła wyjść za mąż za Aleksandra Zapolskiego. Miłość dla Aleksandra Zapolskiego, ogorzałego szlachcica bez form, mówiącego zbyt głośno, wydawała się jej niedorzecznością. Tymczasem w cichych koloru niezapominajki oczach córki tkwił smutek serca uciśnionego czy skrzywdzonego, i smutek padł na serce matki, pragnącej przedewszystkiem szczęścia dla najdroższego dziecka.

Pani Targowiecka zbyt panowała nad sobą, by coś okazać. Nawet gdy witał ją Aleksander Zapolski, który wobec rubasznej protekcyonalności gospodarza stawał się w Targowcu sztywnym i wyniosłym, nie zdradziła niczem nurtujących ją uczuć. Zadała jak zawsze kilka bardzo uprzejmych pytań, uprzejmie wysłuchała odpowiedzi, poczem zwróciła się do innych przyjezdnych. Aleksander zaś szukał wzrokiem Imy, która zwykle dotąd we własnym domu, wiedząc, iż dom ten krępował go czy nudził, pierwsza szła ku niemu i, lubo najbardziej nieśmiała wśród nieśmiałych, roztaczała tu nad nim opiekę. Gdzie indziej zazwyczaj on roztaczał nad nią opiekę. I tak oto zawiązała się między niemi przyjaźń; potem utrwaliło się porozumienie dzięki pracy społecznej, do której Aleksander wciągnął pannę, dzięki pokrewnym upodobaniom, które Aleksander rozwinął czy narzucił: potem przyszła miłość, o której pono nie wiedzieli oboje. Może też nasamprzód przyszła miłość, dopiero potem porozumienie, potem przyjaźń.

Pod wielu względami stanowili przeciwieństwo, cogdy ludzie się nie lubią, pogłębia niechęć, gdy zaś lubią się, uprzyjemnia, umila obcowanie. W tym wypadku szorstki i twardy, nieogładzony towarzysko, arbitralny, uchodzący za upartego i zarozumiałego Aleksander, nie odstraszał cichej, wytwornie wychowanej panny, która, zrażona do świata, gdzie nie znalazła powodzenia, i stroniąc od panów, którzy zwykle nudzili się z nią, oceniła ofiarowane jej serce, a Zapolski, który nie lubił Targowca, nie znosił Targowieckiego, uciekał od tak zwanej arystokracyi, właśnie na tle Targowca tem bardziej podziwiał Imę.

Przymierze zawarli między sobą dość dawno — i trwało tak. Na krok stanowczy młody Żapolski nie chciał się zdobyć, nie dlatego, by rozumiał "dystans" czy "przepaść" — za mało na to znał świat i życie — lecz zgadywał, że znalazłyby się jakieś przeszkody, a i zbyt był dumnym i zbyt panem Tomaszem, który patryarchalnie obejmował go, ściskał, klepał po ramieniu i czasami tytułował profesorem, pogardzał, by zabiegać o usunięcie przeszkód.

Teraz rzecz wzięła obrót niespodziany. W Tyszowcach Aleksander, mało spostrzegawczy, jeszcze mniej subtelny, pozbawiony zupełnie przebiegłości, niczego się nie domyślał. Dziś dopiero, gdy gościnna i serdeczna Ima wyraźnie stroniła od niego, gdy zauważył obok niej Hipa Podbielskiego, odgadł naraz. Zdławił ból, zanim ból się urodził. Tak przynajmniej postanowił. Piękna polska twarz jego, której gęste zrośnięte brwi i ostro, niespodzianie ścięty nos, nadawały wyraz uporu, stała się surową, twardą, nieruchomą , a obrażona dumą, zadraśnięta buta szlachecka spowodowały, iż głos jego, zawsze zbyt dobitny, brzmiał jeszcze donośniej, że pewność siebie, którą pokrywał ogarniające go w niemiłej atmosferze arystokratycznego domu skrępowanie, wyrodziła się w tupet, że trzymał się stale z Ciecierskim, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, iż ten jest przedmiotem żartów. I nie miał nawet żalu do Imy. Żałował ją tylko... oskarżał zaś rodziców.

I w rzeczywistości Ima nie była winną. Głęboko czująca, oddana bez granic, skłonna do zupełnego zapomnienia o sobie, oraz codziennego poświęcenia, nie miała jednak materyału na bohaterkę. A szczytem bohaterstwa z jej strony byłoby zasmucić matkę, którą kochała, rozdrażnić ojca, którego bała się, kochając jednocześnie, narazić się na śmiech Diny, obruszyć na siebie całą rodzinę, wywołać w świecie coś w rodzaju skandalu, bo nazwanoby skandalem zapewne, gdyby bez zgody rodziców...

Nie potrafiłaby na to się zdobyć. Postanowiła działać przezornie. Postanowiła zniechęcić Hipa i nie wyjść za mąż nigdy za nikogo. Stała się więc tylko jeszcze cichszą, bardziej bladą, stała się smutną. Tkwiła obok Pod-

bielskiego w dalekim kącie salonu, ze wzrokiem spuszczonym, nie śmiąc spojrzeć w tamtą stronę, skąd dochodził ją zbyt głośny śmiech Aleksandra i Ciecierskiego. Ten zaś, który może dziś jeszcze miał się o nią oświadczyć, nie wysilał się, by ją zabawiać. Od czasu do czasu jakieś pytanie, krótka odpowiedź jej, czy jego; potem milczeli krócej lub dłużej i Hip niedbale zaczynał opowiadać epizod łowiecki, epizod z podróży, albo wyliczał stopień pokrewieństwa między nim a niemiecką liną von Podbielsky'ch, których to pokrewieństwem nie szczycił się, którego wszakże nie wypierał się. Tematów do rozmowy nie brakowało mu, brakowało mu raczej ochoty.

Otaczała Podbielskiego w kraju aureola jednego z potężnych "obszarników" i ktoś złośliwy, może Siewierski, wyraził się o nim, profanując wzniosły krzyk wieszcza, parafrazując aforyzm Ludwika XIV, że Hip i wielka własność ziemska to jedno. Ten sam Siewierski dodawał jeszcze, że Hip należał do coraz liczniejszej na Białej Rusi kategoryi tych, którym ojczyznę zastąpiła gubernią. Jeśli ojczyznę zastąpiła mu gubernia, to filozofię czy religię zastąpił mu dogmat prawa własności. Przed rewolucyą roku 1905 Hipa, zwanego także z angielska z powodu wzrostu i szczupłości Whipem, zajmowały trochę podróże, trochę kobiety i karty, trochę polowania i rezydencye, trochę rodziny Podbielskich genealogia, w której pragnął ustalić łączność ze zniemczoną gałęzią von Podbielsky'ch, od czasu zaś epoki wolnościowej zakres spraw rozszerzył się o obowiązek strzeżenia świętości praw własności.

Łożył tedy dość znaczne sumy na wydawnictw kilku pism konserwatywnych, pozatem kupował graniczące z jego posiadłościami i nawet odległe majątki w części na złość tym, co chcieli wywłaszczać, w części z zasady, trochę dlatego, by coś robić wogóle, by nie zostać w tyle za innymi. Hip Podbielski cieszył się, iż jest jednym z większych właścicieli ziemskich; pozatem zaś nie chodziło mu o to, by wyróżniać się, przeciwnie, chciał być jak wszyscy. A że inni, dosięgnąwszy pewnego wieku, żenili się, postanowił ożenić się, tem bardziej, iż oddawna zachęcała go do tego matka, kobieta rozumna, którą kochał, której słuchał.

Tomasz Targowiecki zręcznie czatował oddawna i wciągał powoli. Tomasz Targowiecki w odpowiednim momencie rozstawił sieć — i Podbielski dał się złapać. Matka pochwaliła wybór jego. Panna nie ładna i niezbyt młoda, doskonale wychowana, wyglądała na potulną, nie odstraszała ani rozumem, czegoby się obawiał, ani kokieteryą, co także uważałby za wadę w żonie, a pociągała dobrocią, wdziękiem kobiecości.

I Podbielski mówił sobie co rana, iż trzeba raz przecie skończyć, dziś jeszcze oświadczyć się i ociągał się, odkładał znowu. Obawiał się czegoś, może smutku w oczach Imy, obawiał się zapewne wogóle wszystkiego tego, co zawiera się w wyrazie: żona; nie było mu pilno, nie umiał zdobyć się ani na wyjazd z Targowca, ani na stanowczą rozmowę. Dnie mijały, ciężkie zwłaszcza dla Imy, wlokły się długie godziny, które spędzali przeważnie sam na sam, bo wszyscy stronili od nich, by im nie "przeszkadzać". Ima spoglądała mimowoli na wskazówki zegara, jak gdyby ich posuwanie się miało dla niej jakieś znaczenie.

Czas dłużył się dziś nietylko Imie, ale i większości zebranych. Sprowadzony z daleka słynny kwartet smyczkowy nie przestawał grać, gospodarz domu na werandzie wśród przepychu i powodzi kwiatów zgromadził starszych panów, kilku utytułowanych, oraz brację szlachtę i wysilał się, by zabawić tych i tamtych, tamtych i tych. Lokaje roznosili owoce i kruszony, kawę mrożoną i czekoladę, zimną herbatę z winogronami i letnie mleko (najlepszy pono trunek w upały), torty i szampan; gospodyni krążyła wśród gości nieskazitelnie uprzejma dla wszystkich; kilka kapeluszów przypominało paryską "rue de la Paix"; kilka innych —zwłaszcza ten biednej panny Karusi Zapolskiej — pretensyonalną szpetotą bawiło i śmieszyło. Jerzy Ciecierski w smokingu tak obcisłym, iż, zdawało się, smoking zaraz pęknie w wielu naraz miejscach, stał nieruchomo, uwydatniając potężną pierś, z nogą wysuniętą naprzód, z jednym palcem w kieszeni od spodni i dostarczał tematów do żartowania. Strojna, świetna, modna Dina przebiegała od grupy do grupy, czyniąc zamieszanie, pragnąc rozruszać nakrochmaloną, napuszczona,

osowiałą część zgromadzenia — mimo to wszystko czas dłużył się w Targowcu.

I pomimo wysiłków gościnnego pana Tomasza, oraz uprzejmości gospodyni, towarzystwo rozbiło się na dwa odłamy, obserwujące siebie: jeden — nieufnie, czując, iż jest przedmiotem dowcipów, drugi — złośliwie. W tym drugim prym trzymali młodzi Targowieccy, ich koledzy. Nell z jakąś przyjaciółką, Angielka, Dina, która niby próbowała karcić, niby gorszyła się, a sama obficie dosypywała to soli, to pieprzu.

Śmiech brzmiał tam stale. Słyszało się, gdy muzyka milkła, angielskie szepty, angielskie urywane zdania: "look only!... quite uncommon... how funny... poor dear... don't tease... good gratious"... Można było pomyśleć, iż to jest w teatrze loża rozbawionych widzów. Nie pomogły surowe zmarszczki na czole pani Targowieckiej, która i nie ogadywała i nie pozwalała w domu swoim ogadywać; nie pomogły błagalne spojrzenia Imy, która, nie patrząc, widziała, domyślała się, bała się, bała się, iż spostrzegą to inni, zwłaszcza pan Aleksander. Angielska loża bawiła się coraz weselej i jawniej kosztem gości.

Kasia Gorzelska znajdowała się w Targowcu po raz pierwszy a zauważyła odrazu i rozłam i sztuczne zachowanie się kuzyna Zapolskiego, smutek Imy, dramat tych dwojga, dobiegający do rozwiązania swego, nudę, snującą się po wielkopaskich salonach, które ani pociągały ją, ani imponowały.

Podział towarzystwa na dwie warstwy i sztywna osowiałość tej z nich, którą przytłaczał przepych Targowca, wydawały się jej czemś przedpotopowem i zarazem rdzennie swojskiem; żarty budziły niesmak, tem bardziej iż, choć mówiono po angielsku, miały w sobie smak także specyficznie polski.

Nie była nieśmiałą. Zbliżała się ku "loży", przyglądała się młodzieży, spróbowała poznać ich bliżej, będąc ciekawą wszelkich typów i zjawisk, a gdy rozmowa się nie skleiła, odwróciła się obojętna na drwiny, nie dbając bynajmniej o to, czy dostatecznie modnym był jej duży, płaski, z czerwonemi makami kapelusz i odpowie-

dnią czarna suknia, ta sama co w Tyszowcach. Wystarczała jej pewność, że i kapelusz i suknia są w dobrym guście.

Sama nie umiała wogóle obrażać się, ale żal jej było dobrej Karusi Zapolskiej, pana Ciecierskiego, Adelki, którzy istotnie tu, wśród światowego tła razili. Jeszcze zaś więcej było jej żal Aleksandra i Imy, i dramat, gnębiący tych dwoje młodych, którzy mogliby, którzy powinniby przecież być szczęśliwi, nie tyle ją wzruszał, ile oburzał. Z niechęcią patrzała na niedbałego Podbielskiego, który niecierpliwił ją obojętnością a także tem, iż znając ją od kilku dni, widząc przez dwa wieczory, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, jak gdyby wogóle nie istniała.

Nie pytana o radę, gotowa była pójść, doradzić Imie, doradzić Aleksandrowi, by przecież stargali... a nie dali się pognębić z powodu rupieci, jak nazywała przesądy... Uznawała prawa do szczęścia oraz prawa uczucia i sama nie zawahałaby się, gdyby los zesłał jej jedno i drugie, nie zawahałaby się dojść do celu. Tu myśl panny Gorzelskiej zawahała się... zmrużyły się lekko jej oczy, spojrzała w okno, jak gdyby nasłuchiwała czy nadczekiwała.

Pomyślała o Dominiku, który od pierwszej chwili podbił ją naiwnością, szczerością, młodzikowatością o Dominiku, z którym lubiła tańczyć, i śmiać się, z którym miała rozpocząć lekcye konnej jazdy, strzelania, powożenia, z którym obcowało się tak łatwo i prosto. Myślała o Jakóbie, który krępował ją, który narzucał jej coś, może sztuczność, może brak szczerości w stosunku do siebie, który wikłał ją i może wikłał się sam, prowadził ją kędyś... Zaduma o starszym Siewierskim uczyniła ją roztargnioną na chwilę. Opanowała siebie i dalej oglądała z uwagą i upodobaniem w towarzystwie gospodarza domu, obrazy, rzeźby, niektóre sprzęty, rzadkie książki.

Targowiecki, zamiłowany zbieracz-dyletant z przyjemnością pokazywał swoje okazy gościom, znającym się dostatecznie, by ocenić, nie zanadto, by mogli dostrzec tu i ówdzie braki. Kasia Gorzelska należała do tych drugich. Chwaliła wiele rzeczy, często milczała uprzejmie, dziwiąc się w duchu zwłaszcza wobec niepoślednie bądź kultury pana Tomasza, że w Targowcu, jak w każdym prawie dworze polskim, znajdowały się obok dzieł sztuki li-

choty w okazałych ramach albo bardzo ładnych staroświeckich ramach, których zadaniem było — i lichot i ram — wyprowadzić kogoś w pole: właścicieli rezydencyi, czy przyjezdnych? „

Targowiecki odrazu wyróżnił pannę Kasię lecz nie w dostatecznej mierze, bo na początku zatrzymywał się z nią wszędzie tam, gdzie stawał ze wszystkiemi zwiedzającemi i oczekiwał na pochwały tam, gdzie zwiedzający, olśnieni ramami i podpisem lub rozrzewnieni tematem, chwalili i wzruszali się. Chłodne zachowanie się panny Gorzelskiej ubodło go parę razy; to też spróbował sprostować opaczne sądy modernistów; ale wkrótce dał za wygrane — i zapanowała między gospodarzem a gościem najlepsza zgoda.

Tymczasem słynny kwartet odezwał się wytwornym walcem i prawie jednocześnie Dina z wodzirejem, Ima z Podbielskim, Nell z licealistą rozpoczęli tańce. Zaraz po nich inni.

Kasia, zapomniana przez młodzież, uprzejmie natomiast zabawiana przez panią Anielę, stała pod ścianą przy oknie, przyglądała się. Wolałaby tańczyć, a wiedziała, iż w Targowcu nie będzie miała powodzenia. Obszerna sala zdawała się stworzoną do zabawy, muzyka także, choć muzyka była może zbyt egzotyczną. Chwilami chciało się słuchać jej z zamkniętemi oczami jakoby szeptu o czemś zakazanem, czasami melodya stawała się kuszeniem, nasuwała obrazy zbytku, blasku, szychu, to znowu przychodziło na myśl, iż nie tu, ale zapewne już w przyległym salonie, a może gdzieś dalej błąka się jakoweś urocze zjawisko i ukaże się wnet, o ile znikną widzowie.

Par nie było ani za wiele, ani za mało. Tańczono wolno, wytwornie, inaczej niż w Tyszowcach, może lepiej, może gorzej, w każdym razie więcej popisowo.

W olbrzymich lustrach odbijały się krążące pary, zwierciadła uświetniały, ale i nadawały zabawie cechę sztuczności. Ruch każdy, każdy uśmiech odbity w zwierciadle stawał się niedorzecznym, śmiesznym, czczym.

W jakiejś chwili Kasia dostrzegła przez okno konie Jakóba i ucieszyła się niby jaka pensyonarka na pierwszym w życiu wieczorze.

Siewierscy wybrali się późno, bo Dominik, który umiał nie kłaść się zupełnie kilka nocy z rzędu, ale w zwykłych warunkach był śpiochem, wyguzdrał się dopiero na 5-tą. Teraz zato zaledwie przywitał się ze wszystkimi i naciągnął rękawiczki, pospieszył ku pannie Kasi i prosił ją do walca.

Spojrzenia obojga zaśmiały się ku sobie, jej zimne przed mgnieniem oczy barwy odległego morza w dzień chłodny rozgrzały się. Zauważył to Jakób Siewierski, który we własnem mniemaniu przyjechał wyłącznie po to, by zdać przed sobą egzamin, by przekonać się, iż jest rozsądnym zupełnie, iż z wczorajszych myśli i uczuć nie zostało ani śladu.

Tymczasem ni stąd ni zowąd, podczas rozmowy z kuzynką Targowiecką, która bardzo oględnie zasięgała jego opinii o Podbielskim, ubolewał w myśli nad czarną suknią panny Kasi, oraz nad tem, że nie zdjęła kapelusza. A gdy tak ubolewał po cichu a głośno wyrażał "oględne zdanie" o Hipie, którego utopiłby może z powodu Aleksandra i Imy, którego wszakże nie miał zaco topić — patrzał na Dominika z Kasią i zazdrościł Dominikowi. I naraz wynurzyło się w nim pragnienie, by ująć jej rękę, ująć ją w tańcu, pochylić ku niej głowę, jak młody, urodziwy, szczęśliwy Dominik spoglądać w oczy przedziwnej barwy morza. — Dotknąć ustami tych oczu.

— Przeciwko komu spiskujecie? — ocucił go znany przykry głos cioci Tereni, hrabiny Szreńskiej, damy niemłodej, brzydkiej, bystrej, łakomej i ciekawej.

— Żaden spisek nie jest możliwy tam, gdzie znajduje się ciocia, która wszystko wyśledzi...

Pani Szreńska zaśmiała się.

— Powiedz mi co to za dziewczyna, której Dominik nie odstępuje.

Coś Siewierskiego ubodło: złośliwość czy wymienienie Dominika, czy podejrzliwa badawczość wzroku cioci Tereni.

— Ciocia ją przecież zna. — ujęła się pani Targowiecka — panna Gorzelska, krewna zacnego pana Ignacego Zapolskiego, a przez Jagminów spowinowacona z ciocią.

— Nie raczyła mi się dotąd zaprezentować.

— Ta-ak — zgorszyła się gospodyni — zaraz to naprawię...

I odeszła, by szukać panny Kasi.

— Jaka ta Anielcia nudna z tem swoim wiecznem chwaleniem wszystkiego i wszystkich! — narzekała hrabina Szreńska.

I następnie rada, z towarzystwa Jakóba, który, gdy chciał, umiał być "zabawnym", który niemniej dobrze od niej, znał świat i ludzi, który czasami prześcigał ją w złośliwości, zaczęła po swojemu, t. j. zjadliwie zastanawiać się nad świetną partyą Imy, nad Whipem, nad ostatnim flirtem Diny, aferami Targowieckiego, nad ostatnimi rozdziałami kroniki światowej w Warszawie. A przez ten czas skinieniem głowy przywoływała to jednego lokaja, to drugiego, brała ciastka, próbowała tortów i babek, częstowała Jakóba...

Siewierski słuchał i przerywał jej, wstawiał niekiedy ciętą uwagę, zapytywał, śmiał się czasami, przestawał słuchać na krótką chwilę.

— Tak... ich jest młodość i szczęście — brzmiał w nim melancholijny szept — mój dzień minął dawno. Tak... a skoro nigdy, ponieważ nigdy, nigdy... ich jest młodość i szczęście, gdy zaś minie młodość i szczęście, co zostaje?

I tak, jak onegdaj niby na czyjś rozkaz skierował wzrok ku Janinie, która na tle dużego lustra, odbijając się w nim cała, w bardzo ozdobnym kapeluszu i bardzo okazałej sukni, ładniejsza, niż zwykle, zdała mu się nie obcą i nie zmienioną, lecz wywołała w nim wrażenie, którego się doświadcza przy spotkaniu kogoś blizkiego, niewidzianego przez czas długi.

— Rzucasz równie przykładne, jak czułe spojrzenia ku żonie — zauważyła ciocia Terenia — ona pięknieje z każdym rokiem, twój dowcip odmładza się także.

Rozmowa z panią Szreńską, zajmującą w przeciągu pierwszego kwadransa, w przeciągu drugiego nużyła i budziła niesmak; to też Siewierski, spostrzegłszy z daleka, iż gospodyni prowadzi pannę Gorzelską, by przedstawić ją, oraz wydać na łup złośliwej damie, wycofał się.

Mijał różne grupy, zatrzymując się tu i tam na krótko, rozmawiając wszędzie tyle, ile było potrzeba.

Na werandzie, wśród przepychu kwiatów, starsi, panowie wciąż politykowali: miejscowi — na tematy miejscowe, stary wujaszek Szreński, słynny nudziarz, od którego uciekano w klubie, na ulicy, w salonie, głosem tajemniczym opowiadał rzeczy, znane wszystkim od roku, zaklinając każdego, by nie rozgłaszał. Franio Liniewicz, przez respekt dla tytułu udawał, iż dowiaduje się po raz pierwszy nowin niezwykłych...

Dokoła begonie, gloksynie, irysy, tuberozy olśniewały barwami, upajały zapachem, radowały powabem, chórem ogłuszającym wołały, same stworzone do uciechy i piękna, by ludzie zapomnieli o wszystkiem, co nie jest uciechą i pięknem. Zatokowani panowie nie słyszeli i utyskiwali nad wiecznie temi samemi sprawami złych dróg, braku szpitali, suszy, wysokich podatków.

Siewierski, który współzawodniczył z Targowcem w wielu dziedzinach, zwłaszcza w ogrodnictwie, przyglądał się kwiatom. Klomby przed werandą, zdawało mu się, pobiły Siewierskiego oryginalnością pomysłu, subtelnością odcieni. Wśród rozległego, nieskazitelnie zielonego, najdoskonalej przystrzyżonego trawnika odrzynały się niby najwspanialsze płaskorzeźby, obfite kwietniki blado-liliowych bujnych hortenzyj, szkarłatnych pelargonij krzaczastych, pędzonych sztamowo, ciemno-fioletowych heliotropów, także sztamowych, lewkonij o biskupim kolorze.

Kwiaty z ganku i ogrodu śmiały się do siebie, cieszyły się, słały sobie pozdrowienia uśmiechem, albo też za pośrednictwem motyli, patrzały porozumiewawczo, powtarzając ku zadowoleniu swemu, że one, nie ludzie, poznały rzeczywistą wartość istnienia.

Siewierski zbiegł po stopniach ku klombom, by przyjrzeć się im zblizka i szedł potem dalej w głąb znanego dobrze parku. W parku nie znalazł harmonii ni piękna. Suchy wschodni wiatr przeszkadzał lipom kwitnąć, rozpraszał drogocenną woń kwiatu, przeszkadzał pszczołom zbierać miód, zakłócał powab lipcowej godziny. Drzewa trzęsły się i cienie, którym chciało się spoczynku i zadumy, tarzały się zmącone na trawnikach. Prześliczne smugi słone-

czne w alei od chwiania się gałęzi stały się bojaźliwe, znikome i smutne.

Paw — ptak dosytu, próżniactwa i próżności, wrzasnął kilka razy. Jakób. szedł szybko przed siebie, jak gdyby do celu. Naraz ujrzał pannę Gorzelską, klęczącą w wysokiej trawie. Zdumiał się i zatrzymał. Ona wstała natychmiast, z więzią ziół w ręku.

— Gdzie jest Dominik, — spytał niezbyt zręcznie.

— Nie wiem, panie... zapewne tam. Ja zdawałam egzamin przed hrabiną Szreńska — odparła patrzac Jakóbowi w oczy.

— Egzaminy był trudny.

— Trudny, panie.

— Tak ciężki był egzamin, że pani szuka tu ziół, których woń daje zapomnienie.

Zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się i podała mu więź pachnących traw do powąchania.

Nastąpiło krótkie mgnienie wahania, w którem Siewierski mógł wrócić z panną Kasią do domu albo zaprosić ją na spacer. Nie uczynił tak. Minęło mgnienie wahania. Panna Gorzelska skierowała się ku pałacowi, Siewierski poszedł dalej, wymawiając sobie, że nie wyzyskał szczęśliwego trafu spotkania. Za parkiem płynęła Siewierczanka, ta sama, nad którą kilka dni temu swawolili obaj z Dominikiem jak dzieci.

Jakób zerwał tawułę, spoglądał w zmienne ruchliwe oblicze pracowicie pośpiesznych wód. Mimo pośpiechu mknącej w dal fali pełną spokoju, mimo wartkiego trudu nurtów, pełną bez troski. mimo głębiny pełną rozweselenia niewiedzy, zdawała się rzeka, i szczęśliwemi jej jasne, błękitniejące w odległości, ogrzane słońcem nurty; powstawał czasami wir w pobliżu brzegu i wnet uciszał. Któż potrafiłby odgadnąć czemu tworzył się i czemu znikał; jaskółka musnęła powierzchnię; na sterczącej z toni trzcinie, która, targana przez szybki prąd, drżała drżeniem nieustannem, usiadła szafirowa ważka, frunęła i znowu wracała, by spocząć nad samą głębią.

"Dopóki się jest młodym lub szczęśliwym, wystarcza być młodym i szczęśliwym. Dominik nie stawia sobie żadnych pytań. Młodość — to rzecz sama w sobie... Ale

gdy minie młodość, gdy niema tego, co zwiemy szczęściem"... Przesuwały się myśli chyże jak nurty, w przeciwieństwie do wód, pełnych beztroski i spokoju, niosące niepokój i troskę.

Jakóba trawił żal, że przyszedł tu sam, że przyszedł bez niej... Dokuczało mu niedorzeczne uczucie zawiści. Zazdrościł Dominikowi i pannie Gorzelskiej, że są młodzi. Zapach tawuły, którą wąchał, przypominał mu dzieciństwo, rzeka, w którą patrzał, obiecywała ochłodę, zapomnienie i spokój... Czy tam kędyś w dali, dążyła, jego zaś ogarnęło pragnienie kochania i szczęścia, czy też niezmierna tęsknota...

Siewierski zawrócił i szedł ku domowi. Nie na wiele przydały mu się samotność i w samotności surowe z sobą rozprawy. W alei spotkał Aleksandra, który błąkał się także.

— Uciekłem, bo nie mogłem słuchać dłużej, jak ci tam panowie powtarzają w kółko: nie stawiać wygórowanych żądań, porozumieć się...

— W pewnej mierze trzeba im przyznać słuszność. Istotnie stanowimy tu mniejszość.

— Co z tego? Porozumienie staje się możliwem, gdy obie strony dążą do zgody. A co się tyczy mniejszości. W Finlandyi Szwedzi albo chociażby Węgrzy...

— Nie należy chyba naśladować Węgrów — bez zapału zaprzeczał Siewierski.

— Wiem o tem... Jeśli zdziałałem tu cokolwiek, to raczej w kierunku uświadamiania ludu białoruskiego.

— Wiem o tem i właśnie dlatego.

— I właśnie dlatego nie wolno nam abdykować z roli przodującej. Musimy stać tu na straży kultury zachodniej.

Rozmawiali, powtarzając rzeczy znane, które nie zajmowały ich w tej chwili.

Na jakiejś ścieżce ukazała się para: Podbielski z Imą. Przechadzali się wolno, mało mówiąc do siebie; on szedł za nią krokami, zgarbiony trochę, z rękami założonemi za siebie, w profilu przypominając dużym nosem drapieżnego ptaka, Ima bawiła się różą.

— Z dwu względów nie wolno nam się zrzekać: ze

względu na lud, by obronić go przed wschodem, a także ze względu na naszą sprawę — ciągnął dalej Zapolski.

— Nasza sprawa chyba przegrana... Polska od morza do morza...

Brzęk ostróg rozległ się w pobliżu. Pomiędzy klombami przechadzali się panna Gorzelska i Dominik. Wyglądali na parę rozbawionych dzieci, które coś knują.

— W dzień gorąco, przyjadę wczesnym rankiem, zaraz po wschodzie słońca... nauczę panią brać przeszkody i strzelać — flegmatycznie prawił oficer.

— Odrazu dwie lekcye! — cieszyła się Kasia.

— Nie Polska, ale Rzeczpospolita. Dlaczegóżby nie?! Któż zgadnie bieg dziejów! Przeto musimy tu trwać — wykładał Aleksander.

— Musimy tu trwać — jak echo powtórzył Jakób, patrząc na tamtych dwoje.

— Tak, musimy trwać i przetrwamy, nie damy się, bo nam nie wolno.

Tylko pojedyńcze zdania chwytał Siewierski, zajęty czem innem.

— To dla Rzeczypospolitej, która będzie kiedyś, która może nigdy nie będzie, ale dla nas? — spytał zgodnie ze swoim zwyczajem stawiania naraz niespodzianych, szczerych, prostych, a przez to kłopotliwych pytań.

— Jakto dla nas?

— No dla mnie, dla ciebie. W krótkiem naszem życiu...

— Służba na kresach — oschle i szorstko zawyrokował młody Zapolski.

Jakób popatrzał w głębokie zmarszczki nad ciemnemi brwiami, w jasne oczy, w twarz o wyrazie surowym, upartym i twardym — nie rzekł nic.

VI.

Tyszowce słynęły na cały kraj z gościnności, ale w okolicy zjazdy sąsiedzkie zdarzały się dość rzadko; tymczasem w owej epoce zabaw wypadło kilka z rzędu. Był to

szczególny zbieg okoliczności, który potem wspominano ze zdziwieniem. Po garden party, nieudanej, chociażby dlatego, iż Hip Podbielski nie oświadczył się, a nawet nosił się z zamiarem wyjazdu. Janina Siewerska zaprosiła na najbliższą środę do siebie "na jezioro".

Uczyniła to bez porozumienia z mężem. Projekt powstał nagle w Targowcu, zapewne pod wpływem pana Tomasza z jednej strony i Dominika z drugiej, Jakób nie opierał się, ponieważ z zasady w drobnych rzeczach ustępował żonie. Zresztą pocóż miałby się opierać?

Oboje z żoną zabrali się tedy gorliwie do przygotowań, gdyż obojgu chodziło o to, by zabawa wypadła dobrze, skoro już miała się odbyć. Do programu należały: połów raków, gry, tańce. I Siewierski i Janina miewali dobre pomysły. — Egzotyczny kwartet smyczkowy byłby raził na tle natury; sprowadził tedy z miasteczka muzykę, w miarę złą i w miarę dobrą, taką, jak właśnie trzeba było, muzykę, która przygrywała zwykle na weselach w zaściankach. Prócz tego Jakób zamówił starego żyda, co wędrował po okolicy z cymbałami. Nic nie miał wspólnego z Janklem, ale i postać i gra mogły zainteresować.

Fornalki od samego rana woziły, stoły i dywany, lokaje pakowali do koszów z sianem szklanki, talerze, butelki, w kuchni pieczono, gotowano, smażono. Janina krzątała się pracowicie i umiejętnie, opierając się o laskę, której używała w chwilach ważnych, gdy było więcej roboty, zaglądała wszędzie i uważnym oczom jej nie uszło nic. Jakób brał na siebie zwykle stronę artystyczną, która w danym wypadku żadnego nie wymagała zachodu. Pan Bóg bowiem hojnie dał wszystko; jezioro , gładką w oprawie lasów łąkę, wcale dobrą pogodę. ,

Około godziny 4 wyruszono. Dominik konno, Siewierscy z Angielką i Stasią w breku, którego nie wiadomo dlaczego, używano wyłącznie do wycieczek. Nieśmiała, skryta zwykle Stasia, dziewczynka o chorowitej, zbyt mało dziecinnej, lecz ładnej twarzy, zasypywała, uszczęśliwiona z jazdy, nauczycielkę, matkę, ojca pytaniami i śmiała się bez powodu, rodzice zaś nie odpowiadając dziecku ubolewali nad błędami, które popełniono, które zapóźno było na-

prawić... Starka została w szafie; nie zaproszono pani Błońskiej, która napewno obrazi się; zapomniano o Ciecierskim, który nie obrazi się... Przeoczeń, omyłek nazbierało się dużo. Ale nawet te nie dawały powodu do sprzeczek małżeńskich.

Z gościńca, gdzie wiatr zasypywał ich kurzem, wjechano na wązką drogę leśną, w gęstwinę świerkową. Powóz trząsł na korzeniach, bąki zaczęły unosić się rojami nad końmi i obsiadać je; uczyniło się naraz mrocznie, cicho, a zdaniem Stasi, groźnie. Stasia znała wybornie ten las, bała się go, chociażby dlatego, iż przed laty zamordowali zbóje geometrę Jarząbka, właśnie w tej miejscowości (nie zbóje, lecz chłop dla rabunku) i zdawało się jej zawsze, iż Andrzej zabłądzi, że już zabłądził, albo znowu, że to jest puszcza, która niema kresu albo znowu, że to jest koniec świata, gdzie zachodzi słońce, ten, za którym nic już niema... Roiło się jej, że dzieją się tu rzeczy niebezpieczne. Brały ją po kolei lęk i ciekawość. Ponieważ są starsi, niechby też stało się coś... może lepiej jednak nie... niech nic się nie staje... ,

Stasia poszukała ręką dłoni Angielki, która, będąc w dobrym humorze z powodu wycieczki, nie zgromiła jej. Stasia nie zwierzała obaw nikomu... Popatrzała na matkę, która nigdy jej nie rozumiała; zato od rana do wieczora przestrzegła, wymagając od niej samych rzeczy tak nudnych, jak naprzykład mówienie obcemi językami, lub dobre maniery; popatrzała w twarz ojca, który rozumiał ją, o ile chciał i miał czas, spojrzała na Angielkę, która nietylko nie chciała i nie mogła zrozumieć, lecz gwałtem "psuła" jej myśli i gwałtem wkładała takie inne, obce "niepodobne".

Las urwał się prawie nagle na jakimś zawrocie i naraz olśniła oczy jasność zalanej słońcem łąki, zwabiły wzrok cudne szafiry jeziora.

Na szczęście gości jeszcze nie było, i Siewierscy mogli się zająć ostatniemi przygotowaniami, których było dużo, którym nie byłoby nigdy zapewne końca, gdyby niebawem — jak zwykle o kwadrans zawcześnie ze względu na owe niezbędne przygotowania — nie nadjechali zaproszeni, naj-

przód Tyszowce, tym razem całym domem, na samym ostatku — Targowieccy.

Stawili się wszyscy, nawet proboszcz, ksiądz Jan, trochę odludny, trochę mól książkowy, trochę mistyk o twarzy, przypominającej św. Dominika Fra Angelica we florenckim San Marco, nawet doktór z miasteczka zwykle zapracowany, nie lubiący "szopek", zrzęda, który uważał, iż zmarnował życie, choć każdy inny na jego miejscu szczyciłby się dużym dorobkiem użyteczności.

Wiadomo było, iż doktór poszuka księdza, z którym od lat 10 spotykał się u łóżka śmierci po wsiach i zaściankach, i rozpocznie swój akt oskarżenia, skierowany przeciwko religii, jako zabobonowi, przeciwko seminaryum za wypuszczanie samych głupców, przeciwko Kościołowi za fanatyzm, przeciwko postom. Wiadomo było, iż ksiądz Jan będzie się bronił milczeniem, uważnem, cierpliwem słuchaniem, czasami uśmiechem. Waidomo było także, iż doktór mimo napaści "przepada" za proboszczem, bardzo go ceni i wyróżnia wśród kasty pasibrzuchów, pasożytów, augurów".

Humory były naogół dobre. Podział na obozy nie nastąpił, krytykę, złośliwe szepty i śmiechy, sztywność i znudzenie jedni i drudzy, ci i tamci zostawili w domu. Od perwszej chwili wszystko szło jak z płatka i wszystko zapowiadało, iż zabawa się uda. Może dlatego, iż Siewierscy byli gościnni bez wysiłku, prości i równi, że nie zadawali sobie zbyt wiele trudu i każdemu zostawiali swobodę, może dlatego, iż na łonie natury w prześlicznem ustroniu wszyscy poczuli się dziećmi jednej matki wrócili do stanu pierwotnej dobroci podług marzycielskiej recepty welbionych ongi filozofów. Może... kto wie...

Każdy niemal z zaproszonych uważał za swój obowiązek dziękować gospodarstwu, winszować im, podziwiać uroczy zakątek, jak gdyby to Siewierscy stworzyli czy obstalowali lazurową toń jeziora, modrą roztocz niebios, ciche ściany boru dokoła, dąbrowę.

Mecenas Dolling z Warszawy przestał moralizować i nietylko wyzbył się podejrzeń o antisemityzm, ale widocznie polubił Jakóba i biorąc go poufale pod rękę, zachwy-

cał się — trochę może oficyalnie, krajobrazem, pogodą, powierząc, iż każdy haust jego daje mu zdrowie, i przechawietrzem, które z lubością wciągał do płuc mieszczucha, dzał się zadowolony, omijając wprawdzie z daleka przezornie psy, które przebiegły za gajowymi, próbował wdać się w jakąś zasadniczą rozprawę, zamiłowany wogóle w sporach.

— Pan zarzucał mi onegdaj nie kosmopolityzm, lecz międzynarodowość. Bardzo to subtelne, bardzo wszakże mgliste i nieścisłe — zaczął.

Ale Siewierski wymknął mu się, nie mając czasu na długie rozmowy.

Poeta ludowy ośmielił się, rozkrochmalił i wołał w jakimś gronie w swoim języku, iż "niema jak nasza Białoruś", na co ktoś odpowiedział wierszem Syrokomli "ciebie nie zawieźć w obrazku"; Hip Podbielski, któremu zostawiono swobodę, odpoczywał od "starania się"; Ima cieszyła się z krótkiego urlopu, stary Szreński rozwlekle i tajemniczo opowiadał te same, co w Targowcu, znane wszystkim nowiny, znalazłszy uprzejmych, czy naiwnych słuchaczy; ciocia Terenia chwaliła placuszki z parmezanem, muffinki i niemniej udane, niemniej angielskie bunes; prezes Zapolski lubił wogóle gwar, liczne zebrania, ludzi, sąsiedztwo, kłopotów. Cjecierski przyjechał, choć niezaproszony, i przypani Babetka lubiła raz do roku oderwać się od trosk i słuchiwał się, gdzie tylko było coś do słuchania, albo pozwalał zabawiać siebie, to pannie Adeli, to pannie Karusi. Może nawet Aleksandrowi rozchmurzyło się czoło na widok Imy, bardzo nie dwuznacznie stroniącej od Hipa. Targowiecki cały ranek obliczał przyszłe zyski z przyszłych afer, co zwykle podniecało go, obliczył fortunę przyszłego zięcia Podbielskiego, wpadł na pomysł wciągnięcia do spółki Jakóba, posiadającego i duże kapitały i jeszcze większy kredyt, oraz Ciecierskiego, równie bogatego. W bujnej wyobraźni aferzysty snuły się olbrzymie cyfry, olbrzymie projekty.

Młodzi z zapałem zajęli się połowem. Raki używały na mięsie i, by nazajutrz pływać w zupie, dziś same ochoczo szły do siatek, zapewne dlatego, iż, jak stało w słynnych

przepisach kucharskich w słynnym dziele, "raki lubią być gotowane na wolnym ogniu i żywe".

Łapano je w sposób prymitywny i zabawny za pomocą t. zw. "lebideł", to jest długich prętów leszczynowych, do których przywiązywano na przynętę ochłapy z rzeźni lub żabę, które to pręty rozstawiano w wodzie przy brzegu w miejscach niezbyt płytkich ani głębokich. Po chwili, z im tylko wiadomych kryjówek raki poczytały wypływać, ciemne na złocistem dnie przybrzeżnego piasku, ostrożne i zdawało się mądre. Za lada poruszeniem lub głośniejszem słowem pstrykały żwawo wstecz i kryły się. Rozpacz ogarniała niecierpliwych poławiaczy. Ale wkrótce rak, łechtany zapachem nadpsutego mięsiwa, wynurzał się znowu i wykonawszy kilka jeszcze odwrotów, uczepiał się wreszcie żeru tak skutecznie, iż trzymał się go chciwie w dalszym ciągu, mimo, iż zdradziecka ręka człowieka podnosiła "lebidło" do góry i podstawiała pod nie sieć.

Przy połowie wytworzyły się spółki i grupy, współzawodniczące, walczące o lepsze "stanowiska", zazdrosne o powodzenie. Wybuchały sprzeczki, wybuchały śmiechy, co ułatwiało rakom ucieczkę. Każda partya miała swego rachmistrza. Co chwila z koszów, z worków wysypywano na trawę mrowie dziwnych, ciemnych, wąsatych stworów, które wciąż poruszały wąsikami i wypukłemi oczami spozierały okrągło, dziwując się wszystkiemu i wszystkim. Rozpełzało się to na wsze strony i niejednemu udało nieznacznie doczołgać się do brzegu, czmychnąć do wody i drapnąć daleko, zapewne tam, gdzie raki zimują. Niejednego od jutrzejszej zupy uratowała litościwa ręka Imy lub Kasi, o co gniewali się Nell Targowiecka, szczególnie zawzięta, jej bracia, Dina, Dominik, o co oburzały się obie Angielki, praktyczne córy sportowe narodu. Połów i wogóle zabawę urozmaicała przygoda panny Adeli. W pobliżu jednego z najlepszych "stanowisk" znajdował się dąb, niegdyś okazały, obecnie do połowy suchy, osmalony, kaleka, któremu przez bezmyślnego pastuszka rozłożone ognisko wypaliło wnętrze.

Adela Zapolska w zapale rozmowy z Ciecierskim oparła się o pień olbrzyma — i rzuciły się na nią osy, mieszkające w dziuple, srodze pokąsały, szpecąc nieładnie obli-

cze starej panny, które niebawem zbrzękło. Ciecierski żałował, ale i śmiał się do łez, skory wogóle do śmiechu, śmiali się i inni po cichu, głośno ubolewając.

Zaraz po herbacie odbył się popis cymbalisty. Żyd wielce typowy, w długim chałacie, z pejsami, w jarmułce, w półbucikach, wdzianych na granatowe skarpetki, przygarbiony, z siwiejącą brodą, wystąpił na środek licznego koła gości. Mecenas Dolling począł zdradzać nie pokój, obawiając się, by nie uczyniono sobie z jego współwyznawcy pośmiewiska. Tymczasem zaproszony na gościnny występ koncertant, widocznie zadowolony i zgoła niezmieszany, popatrzał na zebranych, na instrument, przewieszony przez ramię, na drążki, mówił coś czego wielu nie dosłyszało, znowu popatrzał na zgromadzonych, na swoje cymbały — i wreszcie uderzył w struny.

"Było cymbalistów wielu" — przypomniały się niejednemu znane wiersze, gdy zabrzmiały pierwsze akordy — i oczekiwano wciąż na muzykę, spodziewając się, iż poleją się smętne tony trenów Jeremiaszowych, że powtórzy się cudna gra Janklowa. Czekano. Z pod drążków płynęła melodya, jak gdyby znana... chwilami taneczna, to znowu poważniejącą, dźwięki niepełne, urwane, niedomówione.

Starzec skończył, kłaniał się, prawiąc coś złą polszczyzną, dodając wyrazy rosyjskie i białoruskie. Zagrał znowu... Zmęczył się, zasapał się, na twarz wybiły mu się rumieńce. Zgromadzeni czekali wciąż, kiedyż wreszcie rozlegnie się muzyka naprawdę, skargi zbolałego proroka lub wspaniały rapsod, przez wieszcza unieśmiertelniony. W końcu zrozumiano, iż postać artysty była typową, instrument także typowym, ale dusza jego — inna i gra — inna, że muzyki tamtej nie usłyszą nigdy, nigdy...

Na niektórych twarzach odmalował się zawód. Mimo to dziękowano gospodarstwu — i Jakób znowu nasłuchał się co niemiara pochwał. Do chwalących, wdzięcznych i zachwyconych należała także Kasia.

— Nie byłam tyle naiwną, by spodziewać się sceny z "Pana Tadeusza" — zaczęła. — Wystarczy zobaczyć typ i cymbały...

— Resztę trzeba sobie w duszy dośpiewać, jak zwykle — dodał Siewierski.

— Nie jak zwykle — poprawiła go z uśmiechem, może przebiegłym — ale w tym szczególnie wypadku.

— Pani wierzy albo w gwiazdę swoją, albo w życie...

Patrzała na Jakóba z tym uśmiechem, może przebiegłym, może drwiącym. Zdawało się Jakóbowi, iż ona chce mu coś powiedzieć niezupełnie zwyczajnego, lub zaśmiać się się z niego w twarz Spoglądał na nią, czekając. W białej sukni, w białym z płótna kapeluszu, wydawała mu się tak młodą, jak nigdy, i pełną innego jakiegoś uroku, ale nie tak daleką jak dotąd i jakoby łaskawszą.

Nie umiał oderwać od niej wzroku. Spoglądał czekając, co też powiedzą słowa, co też powiedzą oczy, których barwę czasami porównywał do toni morskiej, a które były coraz to inne...

Tymczasem rozmowa rwała się, jak zwykle między nimi.

— Nie wypada mi tego może mówić — rzekła w pewnej chwili — bo Aleksander jest moim krewnym. Ima zaś krewną pana... A jednak... panie, dlaczego tych dwoje cierpi?

— Ponieważ Ima nie jest bohaterką, a byłoby bohaterstwem stanąć do walki z całą rodziną i ze światem, odrzucić najlepszą w kraju partyę.

— Cóż znaczą rupiecie przesądów — przerwała Kasia — tam, gdzie jest miłość.

— Zdaniem pani tedy miłości należy wszystko i wszystkich przynieść w ofierze? — spytał.

— Wszystko i wszystkich...

— Bezwzględnie?

— Bezwzględnie, panie. Pan oddawna nazwał mnie poganką...

Zaśmiała się swawolnie, ukazując śliczne zęby, śmiejąc się spojrzeniem. Nie chciała napewno mądrych dociekań.

— Pan ma znakomite pomysły! — zaczęła z innego tonu.

— I cymbalista i muzyka małomiasteczkowa... takiej właśnie tu trzeba było... A tamta waląca się stodółka...

Chodźmy, panie, przyjrzeć się jej, a po drodze i muzykusom.

Poszli przez gładką równię łąki ku przeciwległemu jej krańcowi, oddalając się od jeziora, w stronę boru.

Zatrzymali się na chwilę, by przyjrzeć się scenie rodzajowej, pełnemu życia obozowisku. Dokoła powozów, bryk, szarabanów, niemodnych najtyczanek, wózków, furgonów, breków, między końmi różnych ras, maści i wartości od folblutów począwszy, kończąc na chłopskich chmyzach, uwijali się stangreci, furmani, woźnice, groom'y, chłopacy stajenni, jedni ogoleni w liberyach, inni nie przedzierżgnięci w cudzoziemców, Białorusini o jasnym wąsie, zatroskanem wejrzeniu niebieskich oczu. Konie chrupały siano, gryzły drabiny u wozów fornalskich, próbowały kąsać, wierzgały, tuląc uszy i kwicząc, albo drzemały, przymykając na krótką chwilę duże, spokojne oczy. Furmani ćmili fajkę, palili papierosy, pili herbatę i piwo, otaczając przychylnem kołem muzykantów, znanych w okolicy, którzy, w przewidywaniu rychłego występu, pokrzepiali się śpiesznie, zagryzając piwo chlebem, serem, kiełbasą. Jeden z nich wysoki, chudy, z bielmem na oku, z miną szelmowską, mało budzącą zaufania, rozprawiał o czemś, śmiesząc wszystkich.

— Co za typy! właśnie tacy powinni tu grać! Pan ma wyśmienite pomysły — wydziwiała jeszcze raz Kasia. — Albo ta stodoła!

— To nie stodoła!

— Tylko co?

— "Odryna" podług mejscowej terminologii...

— Odryna, czy stodoła, mniejsza, o to! coś z czasów Syrokomli! Ile w tym nastroju sentymentu!...

Wśród łąki szopa na siano, stara, krzywa i skulona pod brzemieniem wieku, kryta strzechą, którą wichry roztargały tu i ówdzie, która porosła mchem zielonawym, tak jak siwym mchem sędziwości porosły belki, szopa, jakich tysiące znajdowało się w kraju, budziła zachwyt w pannie, wychowanej w mieście, przybyłej z daleka, nie znającej wsi. Cztery potężne świerki prostowały się wyniośle nad zgarbioną u ich stóp staruszką — stodółką, chwiały się lekko na tle jasnego nieba, szumiały zcicha. Poprzez szpary,

niedomkniętych wrót buchał odurzający zapach świeżego siana —i on także zapewne powodował, iż chyląca się do upadku, kryta butwiejącą strzechą, uosobiającą, rzekłbyś, opuszczenie, starość, sieroctwo i smutek złej doli, szopa nie budziła litości, ni smutku.

— Tradycya głosi, iż podczas powstania wyruszyła stąd — rzekł Siewierski. Nie potrafiłem nigdy ustalić, jaka też mogła to być partya .. Zapewne tradycya wyrosła z legendy, a legenda z bajki.

— Uwierzmy tradycyi — szepnęła Kasia. Pochyliła głowę, zamyśliła się.

— Każde z przeszłych pokoleń złożyło ojczyźnie ofiarę... Tylko my — nic, prócz partyj i sporów — nic, i ta nasza współczesność — urwała... Ach, panie, ta nasza współczesność!

Dumała.

— Ale wybije i nasza godzina — powiedziała cicho.

Siewierski spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Nastało milczenie.

— Na brzegu jeziora, w ukryciu stoi krzyż ku uczczeniu tych, co może poszli i polegli — opowiadał jeszcze Jakób.

— Pan mnie tam zaprowadzi, dobrze? — poprosiła.

Ale w drodze zmieniła zamiar.

— Widzę, iż łodzie przyszykowane, że zaraz wyruszą — zawołała. — Śpieszmy, panie.

I szła żwawo, jak gdyby goniła własny swój cień, który, wyprzedzając ją, kładł się na trawie, jak gdyby chciała czemprędzej oddalić się od bolesnej przeszłości stanąć znowu wśród zabawy dnia, poświęconego zabawie. Wyprzedziła Jakóba.

— Pan popłynie z nami- nieprawdaż? — zwróciła się do niego.

— Jako gospodarz chyba nie... miejsca mało...

— Szkoda! może jednak dałoby się jakoś...

Nie było zbytniego żalu w tym, "szkoda", ani nalegania w namowie. Jakób nie badał, nie zastanawiał się, ani zestawiał. Ucichły w nim pytania, rozterka. wyrzuty.

W dniu pogody lipcowej, wśród piękna ulubionego u-

stronia, postanowił mieć swoją godzinę radości, beztroski, swobody, postanowił być jeszcze szczęśliwym i młodym. I byłby popłynął łodzią, nie zważając na obowiązki gospodarza, gdyby znalazło się dlań miejsce. Pannę Gorzelską, jako główną organizatorkę wycieczki wodnej i główną śpiewaczkę, musiano zabrać jakoś, tembardziej, iż Dominik bardzo energicznie nastawał a także zagroził, iż nie będzie wiosłował, o i panna Kasia nie popłynie.

Jakób został na brzegu. Łodzie tłumnie obsadzone, ciężko naładowane, z trudem dało się pchnąć z mielizny, na głębię.

Ruszyły wreszcie, szorując dnem z początku. Plusnęły wiosła, rozprysły się bryzgi wodne, rozbiegły się na powierzchni kręgi szeroko, daleko, aż hen ku półkolisku lasów na tamtym krańcu, nad spokojną tonią rozległy się śmiechy, wrzawa, zamęt głosów ludzkich, gwar różnojęzyczny...

W stronę zachodu, ku drżącej na jeziorze smudze słonecznej kierowały się łodzie. Siewierski patrzał za niemi i w wodę, która, bo ucichał wiatr wygładzała się przed wieczorem, na rozmigotany iskrami złocistemi ognisty słup słońca, na szerokie smugi marszczek blado niebieskich, które jak nagły dreszcz od przelotnego powiewu łamały zwierciadło jeziora, patrzał w cichą wedle przeciwległego brzegu zatokę, gdzie odbijała się ściana boru.

Po nocnej rosie, Płyń dźwięczny głosie

zabrzmiała piękna, prosta, sielska melodya pieśni wieczornej.

Matka, która śpiewała te strofy, dzieciństwo, jakiś pogodny wieczór sobotni, słodki urok lat dawnych stanęły przed Siewierskim, i począł machinalnie iść przed siebie brzegiem, by zbliżyć się i do tych, co śpiewali, i do samej pieśni, bo zdawało się, iż odnajdzie tam, gdzie brzmiała pieśń, zjawę przeszłości.

Niestety, Targowiecki wziął go pod rękę i szedł razem.

Miał widocznie coś do opowiedzenia, może anegdotę polityczną, może interes, zapewne jedno i drugie. Pocierając dłonią nizko przystrzyżone włosy, mówił nie głośno i śmiał się zarazem swoim przyjemnym, wytwornym śmiechem.

Siewierski śmiał się także, nie bardzo wiedząc, o co

chodzi. Serce zapełniły mu wspomnienia i wspomnień rzewność, bolesna radość, żal sączący się z radości...

— Widzisz, mój drogi, głupcy zrobili z tego modę i manię... Każdy coś kupuje, każdy chce robić afery...

Siewierski zgubił wątek i nie mógł się połapać, jakim sposobem pan Tomasz od tamtej anegdoty przeskoczył ku interesom.

—Jest tam znane przysłowie o dzwonach i kościele... człowiek przewidujący wybiera się na celebrę, gdy tłum...

Weszli w las. Pieśń chóralna oddalała się i naraz umilkła. Uczyniło się bez niej smutno, jak gdyby coś zgasło.

Jakób, słuchając sąsiada z roztargnieniem, rozglądał się dokoła, rzekłbyś, szukając czegoś, może zjawy przeszłości, może pieśni i wspomnień. Zadumane oczy jego ślizgały się po posępnych świerkach, kryjących, zda się coś nieprzychylnego, w zanadrzu, obejmowały tłum sosen, których pnie, u dołu chropawe, ciemno-brunatne, ciężkie, im wyżej tem stawały się lżejsze, smuklejsze, bardziej bursztynowe, rumiane, złociste. Zadumane oczy biegły ku brzozom, nielicznym w tem miejscu, które wśród poważnego boru po prostu radowały wzrok ślicznością liściastych warkoczy, srebrem śmigłych kolumn, niewysłowionym wdziękiem dziedzictwa. Spojrzenie zatrzymało się na chwilę na pajęczynie, nieprawdopodobnie doskonałej i delikatnej, która w słońcu na mgnienie zagrała tęczowe i niebawem zgasła, odszukało pająka, który tkwił w samym dzieła zdradliwego swego środku, co pono zapowiada pogodę; spojrzenie śledziło blask słońca, który kładł się to tu, to tam na podniebnych konarach, opasywał niektóre pnie niby wstęgą ognistą, muskał wierzchołki, cieszyło się błękitniejącem jeziorem, które to kryło się za gęstwiną, to ukazywało się pomiędzy drzewami...

Ścieżka doprowadziła ich wkrótce nad brzeg wody. Stał tu właśnie ów, niepoczesny, by nie zwracać niczyjej uwagi, stary, krzyż, wzniesiony w epoce, gdy należało to do przestępstw, na pamiątkę legendy, dla uczczenia partyi, co miała stąd wyruszyć.

Łodzie, barwne sukniami pań, widać było jeszcze. Sunęły bardzo powoli, zbyt głęboko zanurzone, co niepokoiło

Jakóba, bo zbyt obładowane załogą, okrążały wyspę, kierowały się ku przeciwległemu brzegowi. Zamęt śmiechów i okrzyków czynił z daleka wrażenie wrzawy niewczesnych sporów — i chciało się ludziom tamtym, skupionym w dwu łodziach, drobnym na tle spokojnej roztoczy wód, a tak hałaśliwym nakazać spokój. Szkarłatny golf Nell Targowieckiej, zielony jednej z miss i czyjś żółty, kłóciły się z sobą, oraz z poważnym szafirem jeziora.

— ...Trzeba wyzyskiwać okoliczności, należy brać to, co można... brakuje nam tu bardzo wielu rzeczy, lecz za to miliony robią się tu łatwiej i inaczej, niż w Ameryce...— z ożywieniem wykładał pan Tomasz.

Za Niemem, hen precz, koń gotów i zbroja
Dziewczyno ty moja, weź, podaj mi miecz.

Waleczną pobudkę, bojowym zapałem, męską odwagą i mocą zawołał teraz nad tonią silny, piękny głos Aleksandra.

Za Niemem, ach czemuż za Niemem,
Czy błoń tam kraśniejsza, piękniejsze dziewoje.

Skarżyła się żałośnie dziewczyna ustami Kasi.

— Kto to śpiewa? — spytał Targowiecki, wrażliwy na każdy rodzaj piękna, prócz piękna natury.

— Zapolski i panna Gorzelska.

— Dobre głosy!

Nie śpieszę do dziew. Ja śpieszę na gody
Czerwone pić miody.

Płynęły nad gładką tonią strofy dawne, jak one wyprawy, miłe sercu, jak przeszłość. rycerskie, jak męstwo, tęskne, jak rozłąka i piękne, jak kochanie.

Panowie milczeli, obaj wsłuchani. — Łodzie okrążyły już wysepkę i wzdłuż tamtego brzegu kierowały się z powrotem. Za ścianą borów, daleko, kłoniło się ku spoczynkowi słońce, kąpiąc się w blaskach, skąpych dnia tego, jak zwykle czasu posuchy. Pożaru zórz nie było. Wśród niebios, zupełnie bezchmurnych, kwitło wysoko kilka nikłych obłoków, które zapłoniły się. Te obłoki były przecudne. Siewierski pieścił je wzrokiem, myślą, utęsknieniem. Co oznaczały dla niego? Bo coś oznaczały... Szczęście tej chwili, jeśli ta była szczęściem, uśmiech przeszłości? Jakowąś nadzieję?

— ... My zaś słabi liczebnie, oraz ekonomicznie, powinniśmy przedewszystkiem oprzeć się na mocnej podstawie materyalnej — przekonywał wciąż pan Tomasz, zamierzając Siewierskiego wciągnąć do spółki.

Jakób patrzał to na wierzchołki, szukając pomiędzy nimi tych, których same szczyty jaśniały jeszcze od rubinowych pocałowań ostatniego promienia, to na obłoki, wśród błękitu zapłonione, takie przecudne, takie niedościgłe nadziemskie i nieziemskie...

Na twardej drożynie leśnej rozległ się tupot nóg końskich. Ktoś jechał szybko.

— Parcelować tam i skupywać tu, robić grosz w Rosyi i przewozić do nas — dowodził pan Tomasz, który wszędzie kupował i wszędzie parcelował.

Z za drzew wychylił się jeździec.

— To ktoś do mnie! — zawołał Targowiecki.

Jakób dawno poznał liberyę Targowieckich, lecz wolał nie alarmować swego gościa.

Ze zdyszanego wierzchowca zgrabnie zeskoczył chłopak stajenny i podał swemu chlebodawcy kilka depesz.

— Pan pozwoli — formalizował się pan Tomasz — widocznie coś bardzo pilnego!

Siewierski machinalnie obrzucił wzrokiem konia, zauważył, iż obie przednie były, niewiedzieć poco, w bandażach, że jedna z nich drżała, że wierzchowiec robił bokami, strudzony jazdą.

— Ruszone nogi — pomyślał, spędzając parę uprzykrzonych bąków ze lśniącej potem szyi rasowego rumaka.

— Możesz wracać — rzucił chłopakowi Targowiecki — ale głos jego wydał się Jakóbowi dziwnym, a w oczach pojawiły się te same połyski, czy błyski, które spostrzegł był wówczas przy zielonym stoliku podczas grubej gry.

"Nieudana spekulacya!" — przemknęło mu przez głowę, nie budząc współczucia i spojrzeniem poszukał, gdzie też znajdowały się tamte przecudne, różane, podniebne gońce.

— Wyobraź sobie — cicho po angielsku, jak gdyby drzewa dokoła rozumiały po polsku, a nie rozumiały po angielsku, niezwykłym głosem, nie umiejąc ani nad jego drże-

niem, ani nad skurczem warg zapanować, zaczął pan Tomasz — otrzymałem wieści wielkiej wagi... cyfrowane telegramy... Austrya uznała odpowiedź Serbii za niedostateczną... ogłoszono u nas mobilizacyę... Austrya wypowiedziała wojnę Serbii... nasz rząd pastanowił nie cofnąć się.

— Wyrzucał gorączkowe zdanie za zdaniem, z których każde oszołomiało.

— A my tu!...

— Tak, a my tu! — jakby gniewnie przerwał Targowiecki i sam nie dokończył.

Przyśpieszyli kroku, szli bardzo prędko.

— Że też nie wiedzieliśmy o niczem... kilka dni bez poczty... nikt nie jeździł dc miasta... kanikuła... dzienniki...

— Co tam dzienniki! dziwię się, że mnie nikt — gniewał się ciągle pan Tomasz. Tyle już razy przesyłano ultimatum w historyi bałkańskiej... powtóre Austrya... w wojnę nie wierzyłem.

— Wojny nie będzie...

— Stracę kolosalnie...

— Skończy się zapewne na niczem... na wymianie not... na zwołaniu jakiejś konferencyi — z obowiązku uspokajał Jakób.

— Wojna już jest... tak jakby była — wyrwało się Targowieckiemu.

Siewierski zatrzymał się, stanęli obaj, Siewierski popatrzał gościowi w twarz, nie wierząc.

— A mnie dopiero teraz — oburzał się ten, mnąc telegramy w palcach — nie pojmuję po prostu...

I mogło się zdawać iż nie wypowiedzenie wojny jest tu wydarzeniem najdonioślejszem, ale okoliczność, że Targowiecki otrzymał zbyt późno wiadomość.

— Musiało to wszystko stać się zupełnie nagle, skoro ja...— nie dokończył i znowu pośpieszył naprzód.

Siewierski milczał już teraz.

Gdy wyszli z lasu, pan Tomasz zatrzymał się znowu.

— Rób jak uważasz... sądzę, iż lepiej nie rozpowiadać... ja muszę już jechać.

Na policzkach miał wypieki, a w zmarszczkach dokoła oczu i na czole wysiłek, oraz troskę gracza, który postawił i przegrał, stawia raz jeszcze, choć wie, że przegra.

Siewierski milczał. Z twarzy Targowieckiego wzrok jego pobiegł ku zgromadzonym, dostrzegł nasamprzód Nell, bo ta miała na białej sukni golf purpurowy, Janinę, ciocię Terenię w fotelu, Kasię, która zdała mu się inną, obok niej Dominika, księdza Jana, który przechadzał się zdala od towarzystwa i odmawiał brewiarz.

Wesoła obecność bawiących się, zaprzeczała możliwości wojny.

“Gdzieżby tam jaka wojna?!” — pomyślał.

Muzyka zaczęła właśnie mazura. Pierwsze dźwięki skocznego tańca hałaśliwe, choć ochrypłe, niepełne i niepewne, rozpierzchły się wśród cichego wieczora, pomknęły ku lasowi nad jezioro, wróciły stamtąd echem. Echo zmieszało się z rwącym potokiem tonów natrętnej orkiestry wioskowej, która postanowiła, rzekłbyś, ogłuszyć, przekrzyczeć wszystko, przemóc wyniosły spokój boru, łąki, wód.

Ruszyło kilka par. Muzykanci zachęcali z całych sił do zabawy. Siewierskiemu, gdy patrzał, zdało się, iż coś tu jest przywidzeniem: tańczące pary, pogodne niebo, gładka tafla jeziora, obłoki, czy też ów cień groźny, olbrzymi, który wynurzał się z jakowejś otchłani, zawisał przysuwał się... albo jedno, albo drugie było złudzeniem.

Zajechał brek, zaprzężony w dwa kasztany Targowieckiego. Pan Tomasz wskoczył lekko, jak młodzieniec, nie pożegnał się — konie targnęły z miejsca.

VII.

Siewierski, który często posądzał pana Tomasza o bujną wyobraźnię, oraz pewną skłonność do przesady, nie chciał psuć gościom swoim zabawy; mimo to, pogłoska o wojnie, nie wiadomo skąd i jak, w części za pośrednictwem Stefusia, rozeszła się “na jeziorze” już w godzinę po nagłem zniknięciu Targowieckiego.

Wśród zebranych uczynił się popłoch. Kiedy jedni tańczyli jeszcze, inni zbijali się w kupy i naradzali się tajem-

niczo. Dominik skończył ostatni mazura. Stefuś, jak gdyby czekał tylko na tę chwilę, podszedł do oficera, zajętego zdejmowaniem rękawiczek i, nachylając się ku niemu, rzekł groźnie niemal:

— Wojna wypowiedziana!

— Jaka wojna?

— Mówię panu, że wojna wypowiedziana...

— Ja nic nie wiem... żadnej wojny nie będzie.

— Ale ja wiem, że będzie, że już jest — powtarzał Stefuś, patrząc rywalowi swoim zwyczajem w same źrenice. — Spodziewam się, iż pan chyba nie w tym mundurze...

Dominik odczuł w głosie pogróżkę i szyderstwo.

— Jeśli wojnę ogłoszą, wiem, co mam czynić. Nie splamię honoru, ani nazwiska, ani munduru — odparł frazesem, równie utartym, jak beztreściwym w danym wypadku i, wyprostowawszy się dumnie, oddalił się.

Zajeżdżały już powozy. Goście śpieszyli z taką trwogą do swoich domostw, jak gdyby nieprzyjaciel zbliżał się i groziło niebezpieczeństwo. Weselni muzykanci, podchmieleni spodziewając się napiwków, żegnali wszystkich razem i każdego z osobna hałaśliwą fanfarą. A gdy ostatni powóz skrył się z oczu, grajkowie z gajowymi, z częścią służby zasiedli do obfitej uczty.

Krążył kieliszek. Wysoki, chudy Kolęda, z bielmem na oku, oszelmowskiej minie używał pił i rozprawiał. Boleś Zieniewicz, który należał do orkiestry w pewnej merze z zamiłowania i za wódką nie przepadał, spoglądał od czasu do czasu ku borom, może coś przeczuwając. Nie wiedział, iż tam w domu już oczekiwał na niego rozkaz mobilizacyjnego powołania... Posiliwszy się odpowiednio, podochcony Kolęda zakomenderował.

I znowu hałas niesfornej orkiestry przerwał poważną zadumę lasu i jeziora. Na łące, pomiędzy suto palącemi się ogniskami, ukazało się kilka par. Ludzie musieli uledz natrętnemu nakazowi muzyki. Ale ciemna ściana boru wzgardliwie odtrącała dokuczliwe tony i dalej dumała, spoglądając w głębie wodne, gdzie na samym dnie połyskiwały gwiazdy. Wrony, zdumione blaskiem płomieni i wrzawą, zrywały się z wierzchołków i tłukły się pomiędzy drzewami.

Tymczasem wśród jadących toczyły się spory, tworzyły się już stronnictwa. Mimo pośpiechu, z którym wracano, i popłochu, który zapanował, nikt nie wierzył w możliwość wojny i jeśli spierano się w drodze, to więcej z zasady, dla zabicia czasu.

Mecenas Dolling, w którym obudził się mieszczuch i kawiarniany polityk, który pragnąłby w tej chwili przechadzać się w tłumie na ulicy Marszałkowskiej rozchwytywać dzienniki, czekać na dodatki nadzwyczajne, zażarcie dowodził, iż pogłoska jest fałszywą, i przekonywał zajętego powożeniem Aleksandra, choć ten był tego samego zdania.

Mecenas Dolling nie chciał wojny i dlatego twierdził, że jej nie będzie, nie chciał zaś dlatego, że wolałby tak, jak wszyscy wiedzieć o niej zawczasu i przygotować do niej odpowiednio Europę. Jeśli miała wybuchnąć, to w momencie, przez niego wskazanym i między takim a takim związkiem państw. Młody adwokat zaręczał, iż Japonia zawrze przymierze z Wiedniem, należy tylko jeszcze poczekać.

Zapolski, milczący i arbitralny, zbijał od czasu do czasu krótkiem, rozstrzygającem słowem twierdzenia zapalonego polityka. Ciecierski jak zwykle, trzymał stronę Aleksandra.

Kasia od niechcenia przysłuchiwała się rozprawom. Wojna wydawała się jej czemś tak nieprawdopodobnem, czemś tak głupiem po prostu, fałszywem i sztucznem tu na piaszczystym gościńcu, pod milczącem niebem, wśród szczerej wsi.

Z zaścianka odezwało się szczekanie psa, derkacz grał na łące. Cóż znaczą noty dyplomatyczne, jakieś pretensye mocarstwowe, ultimatum, zatargi? Kto poważy się naruszyć spokój, święty spoczynek przyrody, jaka siła zmusi ludzi, by szli mordować i umierać?

Patrzała w noc i niebiosa, na niebie szukała zapowiedzi. — Nie było wszakże ani komety, ani łun straszliwych. Dobrotliwie mrugały ciche gwiazdy lipcowe.

"Gdzieżby tam, skądżeby dziś, nagle"? — myślala, wątpiąc i wahając się, ma li żałować, że nie płonie kometa, czy też cieszyć się, i ogarniała ją trwoga na myśl o ojczyźnie, najdroższej, nieszczęsnej...

Należała do tych, co wierzyli w Polskę, co wierzyli, iż Polska powstanie z krwi i bohaterstwa oddawna spodziewała się i czekała, ale, gdy zbliżała się właśnie wyroczna godzina, ogarniała ją bojaźń...

Po szeregu dni zabawy nie umiała skupić myśli, pojąć, ogarnąć. Stała się małoduszną. Mądry Aleksander i bystry adwokat twierdzą, iż pogłoska jest mylną. Tem lepiej, że nie dziś jeszcze...

Ale Stefuś wiedział, że wojna będzie, i wiedział, co mu czynić wypada. Nie doznał ani trwogi, ani wątpienia. Obawiał się tylko, czy zdąży. I zdjęty gorączką, zaciął konie, wyprzedził wszystkich.

Pod górą piaszczystą znużone fornalki odmówiły posłuszeństwa, zwolniły, wlokły się noga za nogą.

"Za Niemen hen precz"! — zaczął Stefuś i wziął za wysoko, zmienił ton i wziął za nizko, nikt go nie podtrzymał — urwał. "Gdy naród do boju" —spróbował jeszcze i znowu bez powodzenia.

Śpiewał, bo brzmiał w nim hejnał, a także dlatego, iż śpiewem chciałby zagłuszyć coś: niecierpliwość, czy niepokój jakowyś... Coś rozsadzało mu pierś i coś ciężyło.

Zmachane szkapiny wydobywały z sie, rzekłbyś ostatek sił, by wyciągnąć wóz z wydmy, w którą koła wrzynały się po osie. Słychać było szelest sypiącego się przez szprychy żwiru.

Stefuś zeskoczył z kozła, wywijał biczyskiem z fornalską swadą. Nieskory wogóle do rozmowy, dziś milczał zawzięcie. Z kim miał "gadać" i o czem? Siostry i matka szemrały różaniec, a, skończywszy pacierze, ubolewały chwil kilka nad możliwością wojny, pochwaliły gościnność Siewierskich, poczem rozpoczęły codzienną litanię codziennych trosk.

Stefuś z podełba swemi skośnemi oczami patrzał przed siebie ku wozowi, w którym jechał ojciec. Co powie ojciec? A jeśli nie pozwoli? Ale gdyby nawet nie pozwolił?

W domu odprzągł swoje ulubione koniki (prawie wszystkie były ulubione), odprowadził je do żłobu, zarzucił za drabinę przywiędłej a tem wonnejszej mieszanki, wolno skierował się ku gankowi.

Ociągał się teraz... W korytarzu, prawie u drzwi do "gabinetu" czy kancelaryi ojca, spotkał Kasię, która śpieszyła się bardzo.

Zatrzymał ją i szepnął:

— Rozumiesz, jadę... Bądź przy kaplicy przed świtem...

Zdało się Stefusiowi, iż kuzynka odgadła, o co chodzi, iż skinęła głową.

— Nie mów nikomu — rzekł jeszcze ciszej. Kasia nie odpowiadała nic i podążyła śpiesznie dalej.

Stefuś wszedł do t. zw. kancelaryi, gdzie ojciec właśnie rozbierał się. Był bez surduta, w kamizelce, wyjął zegarek, nakręcał, potem z kieszeni jakieś papiery i listy, które przerzucił zapewne z przyzwyczajenia, potem odwiązał krawat.

Stefuś pamiętał każdą z tych czynności, w dzieciństwie podziwiał ich nieodzowność. Na biurku paliły się świece, dokoła jednej z nich krążyła ćma. Stefuś znał każdy szczegół na biurku, w pokoju, i każdy zdawał się nieodzownym, a w dzieciństwie, gdy próg kancelaryi wolno było jedynie w wyjątkowych okolicznościach przekraczać, budził cześć i zajęcie niezwykłe.

Coś z onych uczuć udzieliło się, rzekłbyś, Stefusiowi i teraz. Ociągał się. Stroskane oczy ojca spojrzały na niego z roztargnieniem, bez zdziwienia i jakby wnet zapomniały o jego obecności.

Pan Ignacy rozważał groźną pogłoskę wojenną. On także nie wierzył, ale już samo przypuszczenie, zamąciło spokojny i pogodny bieg jego codziennych myśli.

Gdyby wieść okazała się prawdziwą, nastałyby złe terminy. Piotruś, średni syn, musiałby wyruszyć na plac boju... Tak... tu zaś zaduszą długi... wszyscy wierzyciele mogą żądać naraz spłaty, a wówczas... Weksli nazbierało się... Pan Ignacy bał sie liczyć, nie wiedział dokładnie, długi ukrywał przed żoną, osobliwie przed Aleksandrem. W podobnych wypadkach wielkie fortuny pękają, cóż dopiero on? Zresztą, mniejsza o niego — kraj cały... będzie z krajem?

Pan Ignacy zastanawiał się... Nie zdawał sobie spra-

wy, należy li ze względu na ojczyznę ogólną pragnąć wojny, czy też nie... Siewierski mawiał zwykle, iż prezes Zapolski ma głowę powiatową, a i sam pan Ignacy nie rościł pretensyi do prowadzenia wielkiej polityki, jak gdyby przyznawał temu określeniu słuszność, i jeśli zazdrościł ludziom czegokolwiek, to ani bogactwa, ani splendorów rodzinnych, ale zdolności, wymowy i "łatwego pióra", jak wyrażał się.

Przez 30 niemal lat działalności nabył tyle doświadczenia i wprawy, że niewielu mogło mu dorównać, gdy chodziło o pracę społeczną miejscową właśnie w obrębie powiatu, czy gubernii, lecz w dziedzinie polityki potrzebował wpierw przysłuchać się temu, co mówili inni, by wyrobić sobie zdanie czy sąd. Tak też było i teraz.

Optymista z usposobienia prezes Zapolski, nie chciał z góry, zawczacu, gryźć się i martwić się wojną, która zapewne nie wybuchnie. Postanowił sobie tylko, iż jutro jeszcze pojedzie do miasta, by rozejrzeć się, ludzi zobaczyć, z ludźmi pomówić.

Pan Ignacy lubił i przywykł jeździć, a od czasu, gdy interesa szły niedobrze, wolał być poza domem, niż w domu, potrzebował wprost w nawale spraw społecznych zapomnieć o sprawach własnych. Projekt wyjazdu rozchmurzył mu nieco czoło. A wówczas spojrzał naraz na Stefusia.

— Wiesz, tatku, muszę dziś jechać — odezwał się ten, i nie dokończył.

— Dokąd? — zdziwił się prezes.

— Opowiadałem ci nieraz, tatku.. .i właśnie wojna — wargi chłopca zadrżały lekko, drżał także głos.

Niepokój odmalował się na twarzy pana Ignacego, który zaczął coś przypominać, zaczął domyślać się.

— Co opowiadałeś? — spytał mimo to spokojnie.

— Mówiłem nieraz i zapowiedziałem... żadne namowy tu nie pomogą... żadne prośby... muszę koniecznie dziś jeszcze, bo nie przedostanę się, nie puszczą przez kordon — mówił Stefuś z rozdrażnieniem, gniewny, iż ojciec nie pamiętał, że może lekceważył lub nie podzielał, potem szybko, z gorączką, a bardzo niewymownie, plącząc się, urywanemi zdaniami wtajemniczał w historyę powstania zwią-

zku, opowiadał o ćwiczeniach, o wodzu, wieszczył zwycięstwo...

Pan Ignacy wysłuchał do końca, patrzał w świece, dokoła których krążyła ćma, włożył ręce do kieszeni, wyjął je, ręce zwisły mu bezradnie. W pewnej chwili odwrócił twarz.

Stefuś milczał od dłuższego już czasu. Spostrzegł bezradny ruch rąk, spostrzegł, iż ojciec kryje swoją twarz — i rozdrażnienie opadło w nim nagle, opadł i zapał, coś zdławiło mu głos.

Postąpił ku ojcu, zatrzymał się, pochylił głowę, walcząc z sobą. Był rozbrojony. Przypuszczał opozycyę, walkę, spodziewał się, iż wypadnie mu stoczyć długi spór, przekonywać — teraz zaś chciałby rzucić się w objęcie lecz bał się, iż się rozpłacze...

— Szaleństwo, Stefusiu! jesteście szaleńcy!... z motyką na słońce... zginiecie... jakie gwarancye poniekąd — cicho i słabo rzekł pan Ignacy, opanowawszy wzruszenie, nie mogąc opanować drżenia głosu.

Nie dokończył, chrząknął.

— Trzeba, tatku! I ty byś w moim wieku poszedł. Jakże to! wybiła godzina, na którą czekaliśmy, a my pokornie w liberyi i trójlojalizmu... Napiszemy wyrok na siebie... Imię Polski wymazanem zostanie... Niech wiedzą, iż Polska istnieje, że polskie wojsko — syn także nie dokończył.

Prezes Zapolski jeszcze raz przekonał się, że nie posiada programu na cały kraj, głowy do wielkiej polityki. Nie potrafił zaprzeczyć, nie znalazł odpowiedzi. Niewymowne, proste, a gorące słowa rozgrzały mu serce Polaka, wrażliwe na pewne hasła, kryjące w najświętszym zakątku niewygasłe nigdy nadzieje.

— Bój się Boga, Stefusiu... ty — tam, Piotruś — po tej stronie!...

— Niech Piotruś jedzie ze mną! — wybuchnął student. Jeśli umierać, to nie dla cara, a dla Polski. Co przybędzie Polsce, że Piotruś, że inni pójdą na rzeź?... A my, w wojsku polskiem, my imię Polski wskrzesimy!

Pan Ignacy nie miał programu poiltycznego, ani teoryi, ale zgadywał, jaki krzyk zgrozy rozlegnie się tu w

kraju, w obozie, do którego należał, z którym nie zawsze myślał i czuł to samo.

— Oszukują was tam, a nas zgniotą do reszty, tu — bronił się bez przekonania, z obowiązku.

— Mamy tedy z założonemi rękami czekać, aż nam zbudują, oddadzą, darują Polskę? Nie było w dziejach wypadku, by naród jaki zdobył niepodległość bez ofiar — przekładał Stefuś, patrząc swoim zwyczajem ojcu w same źrenice.

— Bój się Boga, Stefusiu, ty — tam, Piotruś — po tej stronie — powtórzył pan Ignacy i chrząknął znowu, zwalczając kurcz, który chwycił go za gardło.

— Niech Piotruś idzie ze mną! — wołał młodzieniec.

Ojciec spoglądał mu w twarz, która płonęła, na czoło, w oczy, małe blizko osadzone, skośne, gorejące, w twarz, nie piękną, ale taką młodą szczerą, kochaną, na ręce, duże, opalone, o wydatnych, nabrzmiałych żyłach — te ręce wraziły się szczególnie w pamięć.

Objął wzrokiem całą postać syna, niezgrabną a taką drogą — nazywano Stefusia w dzieciństwie brzydkim kaczurkiem — pan Ignacy zwiesił głowę.

Nastała cisza. Uparta ćma przeleciała nad samą świecą, zawadziła o płomień, który zamigotał, krążyła znowu.

— I dziś jeszcze?... dziś koniecznie... co Babetka? co matka — porawił się —Oleś — mówił cicho, bezradnie.

— Muszę tatku — wargi Stefusia zatrzęsły się jak w pierwszej chwili, gdy zwiastował swoje postanowienie.

I znowu była cisza. Ręka ojca dotknęła włosów syna krótką, prawie szorstką pieszczotą.

Pan Ignacy podniósł rękę ku wąsom swoim, by podkręcić wąsa dla dodania sobie otuchy, ręka zwisła mu. I odszedł ku oknu, odsunął story, wychylił się. Stefuś nie podążył za nim.

Trwało milczenie. Płomienie świec chwiały się od powiewu, który wionął z okna. Psy folwarczne zaszczekały i ucichły, derkacz grał na łące, ktoś na gościńcu wioskowym zanucił pieśń, odezwała się gwizdawka stróża nocnego, tak, jak wczoraj, jak onegdaj, jak zawsze... Wieczór był taki spokojny, codzienny.

— Jakże to sobe ułożyłeś — cicho spytał pan Ignacy, wróciwszy od okna.

Syn począł równie cicho opowiadać.

— Bój się Boga, Stefusiu! — wyrwało się raz ojcu.

I słuchał dalej.

— Co matka? — przerwał innym razem, i znowu słuchał.

Stanęło na tem, iż Stefuś odjedzie nad ranem, nie budząc nikogo, bez pożegnania, bez rzeczy, by niczyich nie wzniecać podejrzeń.

Jakkolwiek apolscy mieli służbę bardzo oddaną, a wrogów podobno nie posiadali, ostrożność była jednak konieczną. Nie zawiadomiono nawet Aleksandra, do którego w pierwszej chwili pan Ignacy chciał pchnąć posłańca. O Kasi Stefuś nie napomknął. Nie wtajemniczono także sióstr. Tylko matka miała czuwać do świtu.

Gdy pan Ignacy i Stefuś stanęli przed nią, przerywając długie, cowieczorne jej modlitwy, gdy usłyszała z ust męża wiadomość...

— A widzisz Ignacy! Ciebie nigdy niema w domu! — zawołała jak zwykle, gdy obruszyła się na nią nowa bieda, lecz umilkła wnet, zmiarkowawszy, iż mąż nie był tu bynajmniej winien.

Spojrzała w twarz męża, jak gdyby pragnąc przeprosić za niestosowny wykrzyknik, potem na syna długo, uważnie, badając mimo ciemności... Ale oczy matki widziały zapewne i w mroku.

Nie próbowała zaprzeczać, walczyć przeszkadzać. Samowładna w domu, w rzeczach, przekraczających zakres jej kłopotów, przywykła ulegać mężowi, uznawać rozum męski. Zresztą i jej sercu srogi nakaz, który gnał syna, stał się świętym. Wielostronna działalność społeczna męża nie cieszyła się zbytniem u niej uznaniem, a ciągłe jego wyjazdy i związane z ciągłemi jazdami, zaniedbywanie gospodarstwa, które było rzeczą przecież stokroć ważniejszą, niż jakieś tam posiedzenia, niecierpliwiły ją zwykle tak, jak niecierpliwiło przestawanie za pan brat z urzędnikami, którzy nader często odwiedzali "drogiego Ignacego Floryanowicza" i jak gorszyła ustępliwość męża wobec rzadu. t. j.

wobec wroga narodu i kościoła. Ignacy wszakże twierdził, że tak trzeba było, że gdyby nie te przyjęcia, stosunki, wizyty, komisye ziemstwa, los Polaków pogorszyły się znacznie. Może miał racyę... wierzyła w rozum męski...

Dziś ani na mgnienie nie powstała w niej wątpliwość. Stefuś dawno w chwili wybuchu i szczerości po zażartej sprzeczce z Aleksandrem, który go wyśmiewał i zapędzał do książki, zwierzył jej swoje plany i nadzieje. Przyszedł do niej ni stąd, ni zowąd, przerwał pacierze wieczorne, rozprawiał, chodząc po pokoju.

Słuchała go wówczas obojętnie, znużona po całodziennym trudzie, sennie potakiwała. Ona nie zajmowała się polityką. Syn mówił o wojnie... Gdy wybuchnie wojna, obowiązkiem każdego Polaka będzie wyruszyć... bo tylko orężem naród wywalczy niepodległość... młodzież powinna już dziś ćwiczyć się.

Sennie potakiwała... Nie przypuszczała onego wieczora, że tak rychło sprawdzą się przepowiednie drogiego, zapalonego chłopaka... Och, nie przypuszczała... A jednak ani jednem słowem nie zaprzeczyła dziś. Codzienne drobne troski spętały jej myśl, lecz nie zgasiły uczucia.

I gotowa była złożyć najcięższą z ofiar.

I tylko długo, badawczo patrzała w twarz syna, pragnąc z niej, mimo ciemności coś wyczytać, pragnąc może zapytać, czy nieodwołalnie?...

Oczy matki widziały zapewne i w zmroku... Brwi ściągnęły się jej na czole w zmarszczkę bolesną, a pracowite i spracowane, chude ręce poczęły szybkiemi ruchy coś na stole porządkować, zbierać.

Zadała niby szeptem, a w rzeczywistości głośno, bo nie umiała grubego głosu swego zniżyć, parę pytań, słuchała pilnie. Jeszcze raz zadała parę pytań... Przyzwyczajona do czynności, do frasowania się, kłopotania się, chciała pakować rzeczy, układać troskliwie bieliznę i rzeczy syna, przygotować zapasy na drogę, na drogę daleką. Nie zabierał z sobą żadnego tłomaka. Wyszukała jakiś medalik czy szkaplerz i trzymała w ręku, wahając się, czy ma je zawiesić na szyi, czy syn się zgodzi. Potem poszła ku klęcznikowi, mówiła litanię, powoli, gorąco, głosem jednak

bardzo spokojnym, prawie bez wzruszenia. Stefuś klęczał także, nizko, bardzo nizko pochylił głowę, zdawało się, że położy się krzyżem, że czołem dotknie podłogi...

Dawniej w szkole prowadził nieraz t. zw. spory religijne, wyśmiewał sodalisów, dewotki, zżymał się na księży, ale, jeśli istnienie Boga budziło powątpiewania, nie budziły wątpień ani ciemne Oblicze Ostrobramskie, które spoglądało nań ze ściany z nad klęcznika, ani modlitwa matki.

Jakże on znał ten donośny szept żarliwy, błagalny, jednostajny. Poznałby go na końcu świata wśród wszystkich szeptów, dosłyszał w największym gwarze...

Szybkie, bezładne myśli zakłócały mu skupienie. Uprzytamniał sobie, iż chwila jest doniosła i uroczyta. Łzy napłynęły do oczu, drgnęły usta, pohamował się. I znowu przeszkadzały mu—przeszkadzały nie wiedzieć w czem—drobne, pospolite myśli, zwykłe spostrzeżenia... może derkacza uparte, zadowolone nawoływanie, może odległe ujadanie psa!

Usiłował przypomnieć sobie jakiś adres krakowski, niekonieczne potrzebny... Przemknęło zapytanie, przyjdzie li też Kasia, czy też nie... nasunęła się wzmianka o Dominiku, o Targowieckim, który pomstować będzie, gdy dowie się... przypomniał się szczegół gospodarczy, troska o konia, który skaleczył nogę, którego bez niego nikt nie potrafi leczyć.

Naraz ogarnął go żal niezmierny i zarysowało się przypuszczenie, iż on może nie wróci tu nigdy, nigdy... Zdawało mu się także w niektórych chwilach, iż w cieniu, w rogu pokoju stoi jakowaś postać, znana i nieznana... Kto by to mógł być?

— Weź to, Stefusiu! — poprosiła matka, gdy wstał z klęczek, podając medalik.

—Dobrze, matko—zgodził się łatwo, uśmiechnął się.

Nazwał ją "matką" żartobliwie, jak zwykle nazywał w chwilach rozbawienia, w dobrych chwilach.

Znużone oczy matki nie przestawały spoglądać w niego uważnie. Ciemno było w pokoju, ale on wiedział, jak patrzą te oczy, jaki mają wyraz, wiedział, iż na czole ściągnęły się gęste, czarne brwi, że zmarszczka głęboka wyryła się i po-

została, że na wargach osiadł smutek, jak zwykle, gdy "frasowała się".

I matka, nie widząc, widziała spojrzenie Stefusia, każdy zarys drogiej twarzy, drogiego "brzydkiego kaczurka".

Jakże niedawno, rzekłbyś, wczoraj, był małym, wrzaskliwym chłopczykiem, uczył się chodzić, gadał, kładł się jak długi, płakał, podnosił się i dalej biegł, zataczając się, przy pomocy rąk usiłując zachować równowagę! Jak niedawno temu nadchodziły na niego napady zauporzenia się i, stawał wtedy pod ścianą, krzyczał w niebogłosy, by nagle od gniewu przejść do śmiechu, ślicznego śmiechu dziecka, które raduje się... Jak niedawno wybierał się po raz pierwszy do szkoły, dumny z czapki uczniowskiej, z krótkiego ostrzyżenia włosów!

Szybko przesuwały się obrazy w pamięci matki...

I nasunęła się, wyrosła, niezmierna jak miłość macierzyńska trwoga, że brzydki kaczurek wybiera się i dziś w podróż, ale, że to wojna jest, a z wojny nie wszyscy wracają...

Oddała dziecko swoje w opiekę Pannie Najświętszej, ufała...

Syn dłonią kilka razy pogładził rękę matki.

Pani Babetka znowu zadała mu kilka rzeczowyh pytań. Pragnęła dowiedzieć się, jaki fornal go zawiezie, do której z dwóch stacyj, kto go obudzi?

Potem potrzebując zajęcia, liczyła i układała bez potrzeby garść pieniędzy, które Stefuś miał zabrać i zaszywała mu je razem z obrazkiem wprawnie, szybko, mimo mroku. Potem nie było już ani o co pytać, ani czem zająć rąk...

Należało chyba iść spać, wybiła późna, jak na Tyszowce, gdzie wcześnie kładzono się i wcześnie wstawano, godzina. Stefuś przylgnął na krótko ustami do ręki matki, przytulił czoło, przytulił do siebie... znak krzyża, jeszcze jeden pocałunek... szybkie mruganie powiek, tamtych nad czarnemi oczami i jego własnych... Może kilka łez niedorzeczonych... Któżby płakał?! I to dziwne chrząkanie ojca... Szept pożegnalnej prośby, by... nie narażał się bez potrzeby... krótki uścisk ojca, i krzyż, zakreślony na czole...

Drzwi, otwarte ostrożnie, skrzypnęły jednak i skrzypnęła pod skradającem się stąpnięciem tafla posadzki w bawialni, ta sama, co zawsze, w znanem miejscu. Stefuś wolałby usiąść przy oknie, ale mogłoby to zwrócić uwagę stróża nocnego, położył się tedy, nie rozbierając się, spoglądał w zmierzch z wytężeniem...

Chciałby myśleć coś doniosłego, myśleć uroczyście, odpowiednio do chwili, a myśli mijały powszednie... o domu i gospodarstwie, o rodzicach i Kasi, o wyjeździe, o Dominiku, o podróży, o kolejach, o polowaniu, o zwózce...

Niekiedy usiłował zajrzeć w przyszłość.

Lecz nie widział nic przed sobą... Nie zdołał sobie wyobrazić wojny, bitew, niebezpieczeństwa.

Czasami wychyliło się jakieś wspomnienie. Wspominałby chętnie, lecz nie umiał... zbyt młodym był...

Dokoła obszerny dom milczał, pogrążony we śnie. Stefuś słuchał z wytężeniem ciszy, spoglądał z wytężeniem-w zmierzch.

Wkrótce obrazy i myśli zmąciły mu się raz i drugi— usnął.

Tylko matka czuwała. Nie umiejąc znaleźć zajęcia, modliła się. Pan Ignacy w fotelu czekał także, zdrzemnął się, w popłochu, zdumiony, czemu też nie leży jak zwykle w łóżku, przypomniał sobie, zwracał wzrok ku żonie, chwilę przysłuchiwał się czemuś czujnie, znowu zapadł w drzemkę...

O świcie zaszły konie. Turkot zbudził pana Ignacego. Oboje rodzice ukradkiem wyglądali oknem. Uradzono przecież, że nikt Stefusia nie odprowadzi na ganek, że odjedzie zwyczajnie niby na polowanie.

Czekali chwilę—Stefusia nie było... Wówczas pani Babetka najciszej, najostrożniej, omijając taflę posadzki, która skrzypiała, poszła przekonać się na tamtę stronę. Pode drzwiami zatrzymała się, otwarła je.

Stefuś spał twardo, z rękami założonemi pod głową. Matka zatrzymała się przy łóżku... Miałaż go budzić i sama wyprawić w tę drogę?

I gdy tak stała i wahała się, patrząc na swego "kaczurka", przypomniały się jej noce bezsenne, noce niepokoju—

tyle ich było!—gdy Stefuś chorował, gdy przychodziła tak samo o świcie, by dotknięciem ręki rozpoznać, czy też opadła gorączka... Przypomniała się radość, gdy dziecko spało twardym, mocnym snem jak teraz, i trwoga, gdy gorączka wydawała się wyższą...

—Stefuś!—szepnęła.

Chłopak ocknął się i zerwał się, przetarł oczy, natychmiast oprzytomniał.

—Nie spodziewałem się, że zasnę—tłómaczył się zawstydzony.

—Późno już—szepnęły usta matki.

A że przywykła przez całe życie "frasować się" o coś, niepokoiła się teraz, iż syn nie zdąży na pociąg.

—Spóźnisz się... zobaczysz, że nie zdążysz!—powtarzały machinalnie wargi, a ręce zatrzymywały, jeszcze pieściły, nie chciały puścić drogiego "kaczurka", za nic na świecie nie chciały....

Jeszcze raz Stefuś ujął za rękę, jeszcze raz, pochylając głowę, czekał, aż nakreśli matka, w powietrzu znak krzyża.

Poczem na palcach wyszedł, śpiewając. W świetle dziennem, pokoje zdały się smutnemi pustką i milczeniem.

Z ganku Stefuś rzucił okiem na konie— tę parę nazwali parobcy, niewiadomo dlaczego, "salimonami", na fornala Ignasia, który miał minę zziębniętą i niewyspaną, potem już z wózka sojrzał ku firance, która—pewny był—uchyli się, ku firance, z za której pokażą się, by pożegnać go "rodziciele"...

Siwosze ruszyły. Chwiała się tamta firanka. Długi dom rodzinny patrzał za nim, gdy jechał ku bramie, obojętnie szeregiem martwych okien.

Żal ścisnął serce Stefusia... Czyżby to już naprawdę był wyjazd, i rozstanie być może na zawsze? Wracają przecież ludzie i z wojny! Zresztą dla Polski...

Tylu pójdzie, wszyscy pójdą—tylu poszło już.

Ale w półmroku gęstej alei wjazdowej, żal stał się jeszcze gęstszym, a cisza podwórza folwarcznego tak, jak pustka milczących pokojów w domu budziła niedobre przeczucia. Gdybyż przynajmniej żegnali go ludzie!

Zdawało się, że on jest sam tylko na świecie. Wszystko spało jeszcze, tylko Żuk i Cyganka, dwa czarne pokurcie, powitały go przyjaźnie, odprowadziły za bramę, biegły za bryczką, patrząc w niego życzliwie żółtemi, wiernemi ślepiami, dopytując, dokąd też jedzie, czy daleko, czy warto mu towarzyszyć? Wedle jakiegoś pnia zatrzymały się, poczęły go pilnie obwąchiwać po kolei, raz i drugi, ze wszystkich stron —i dały za wygraną wycieczce.

Koła zadudniły na moście. Staw u brzegów zarośnięty tatarakiem, gładka, spokojna tafla wody, opary, które coś przesłaniają coś kryją i knują, z za których coś się wyłoni. Tu, gdy był dzieckiem, załamał się pod nim lód—i wyratował go Piotruś, tu—z wędką, tam dalej na moczarach—dzikie kaczki...

—Ale co tam! Wróci jeszcze człowiek!

Presuwały się widoki,—cisnęły się do ócz szczegóły tak znane i codziennie, jak litery w elementarzu, a pełne dla niego treści, cisnęły się wspomnienia...

Teraz z obu stron drogi—pola, własne kochane, gdzie pamiętał każdy zagon i każdy kamień, gdzie uczył się orać i kosić, bronował i siał, włóczył się nieraz całemi dniami ze strzelbą. Teraz kapliczka...

Stefuś zeskoczył pod pozorem, żeby ulżyć koniom pod górę, a gdy bryka odjechała nieco, zboczył z drogi.

Dotrzymała li mu też słowa Kasia?

Był to typowy cmentarzyk wiejski, zapomniany i zaniedbany, na który wybrano jak zwykle pagórek piaszczysty. Nad nieurodzajną wydmą ulitowały się sosny i okryły ją cieniem. Miłosiernie drzewa, nie znajdując pożywienia w ubogiej glebie, nie mogły wybujać, ale, przysadziste, koślawe i sękate, rozrastały się wszerz konarami, przybierając nieraz kształty dziwaczne, rysując się niespotykanemi nigdzie profilami. Spodem słały się gęstym poszyciem wrzosy. Słupy parkanu wygniły i runęły, przęsła poprzeczne wypadły, krzyże pochyliły się, mogiły zapadły, kamienie grobowe zarosły. “Magdalena Mironowicz zm. 5 maja”, “Emilian Kuncewicz żył lat 84”. Dwa te jedynie czytelne napisy rzuciły się Stefusiowi w oczy, jak zwykle, od szeregu lat, gdy mijał cmentarzysko.

Ze dworu lubiano tu przychodzić na spacer. Kasia pod sosnami siadywała nieraz z książką.

Nie było jej teraz. Stefuś obszedł wzgórze dokoła, stał u prastarej, skrzywionej kapliczki, ongiś unickiej, przekształconej obecnie na cerkiew, gdzie nikt się nigdy nie modlił, tak jak nikt nigdy nie odwiedzał tych, co posnęli niegdyś i śnili swój sen już wiekuisty w cieniu ubogich drzew, wśród zapachu żywicy, pod bujnym rozrostem wrzowiska.

Stefuś czekał... Nie uwierzył, by Kasia w takiej chwili miała "skrewić"! Chyba nie dosłyszała, albo nie domyśliła się.. Powinna była odgadnąć... Zresztą spojrzała na niego porozumiewawczo, jak gdyby właśnie obiecywała. Czekał jeszcze.

Niezmiernie pragnął, by przyszła, tak bardzo chciał widzieć ją raz jeszcze przed rozstaniem na długo, przed rozstaniem, być może, na zawsze. Czyżby ona nie dbała o niego zupełnie i nawet dziś, gdy on wybiera się na wojnę, wolała tamtego, a o nim zapomniała?

Sercem wstrząsnęło coś, niby łkanie... W głowie ważyła się myśl, czyby nie zostać do jutra. Rozumiał, że jest niemożliwem, że w takim razie nie pojedzie zupełnie. Jutro za późno! Ale czemu nie dotrzymała mu dziś? Gdyby była przyszła, pocałowałaby go w czoło, udając znacznie starszą siostrę, i głaskałaby po twarzy, po głowie tak, jak tylko ona umiała i zaglądałaby mu w oczy, a onby pieszczącą go rękę, przyciskał do ust...

Nie przyszła. Nie dosłyszała, nie zrozumiała, czy też nie dba o niego i woli tamtego w mundurze "oprawców ojczyzny"?—stawiał sobie trochę zbyt tragicznie dotkliwe pytanie.

Łkanie wstrząsało sercem, ale pod powiekami nie było łez. Czekał jeszcze, choć już bez nadziei. Smutne spojrzenie błąkało się wśród drzew.

Lubił to ustronie, jak każdy zresztą w drogich Tyszowcach zakątek, lubił w zamiecie zimowe, gdy zaspy wyrastały dokoła nieprzebyte, niby wały forteczne, lubił na wiosnę, gdy słuchało się tu pierwszych skowronków, w lecie, gdy pachła i, rzekłbyś, krople rosy, świeciła na różowych pędach

żywicy, jesienią, kiedy sosny jęczały dokoła zgarbionej omszałej cerkiewki...

"Hej tam na polu stoi cerkiewka, wyjdzij dziewczyno, wyjdź czarno-brewka"... jakto tam śpiewali nieraz Aleksander i ona... przypomniało się naraz Stefusiowi... Pomimo wszystko, żal było domu, matki i zacnego ojczyska, sióstr i jej, i wszystkiego, co zostanie tu, gdy on jechać musi—może na zawsze...

Kasia nie przyszła. Ihnaś począł się niecierpliwić i z góry "hukać" na panicza—należało iść.

Przez mgnienie Stefuś zawahał się, czyby nie wziąć garści piasku, a niechby mu potem... kiedyś tę garść ziemi rodzinnej dano do trumny, i poniechał zamiaru tego, jako zbyt czułostkowego. Potem zerwał gałązkę wrzosu na pamiątkę, ale odrzucił wnet, bo i to było babskim sentymentalizmem.

Ihnaś, zawołał znowu, Stefuś wbiegł pędem na górę.

VIII.

Gdy przywieziono telegram, Dominik, który był wogóle wielkim śpiochem, a po szeregu zabaw tem bardziej nie kwapił się ze wstawaniem, w najlepsze spał jeszcze, i Siewierskiemu nie chciało się budzić go przykrą wieścią. Ale po południu, wobec blizkiej godziny wyjazdu, Jakób zastukał wreszcie do drzwi.

Młody, oficer ubierał się. Wczorajszą pogłoskę o mobilizacyi i wojnie zbył optymistycznem: "nic z tego nie będzie", a popłoch, który się uczynił, traktował humorystycznie i układał jakieś projekty kalwakat, zapowiedział swoją wizytę do Tyszowiec. To też wstał z twarzą wypoczętą, pełen zwykłego, flegmatycznego zadowolenia z siebie i z życia.

—Cóż tam słychać, bracie? Chrapnąłem tęgo—przywitał Jakóba.

—Chyba... trzeci już raz przychodzę... wieszże przynajmniej, która godzina?

—Która?

—Po pierwszej, wkrótce obiad...

—Ee... nie myślałem—leniwie sięgnął po zegarek, otworzył, spojrzał, przyłożył do ucha i czesał się dalej, dokładnie pracując nad przedziałem.

—Wybieram się dziś do Tyszowiec... obiecałem... podoba mi się ta twoja panna Kasia—dodał z udanem lekceważeniem.

—Tak—mruknął Jakób.

—Cóżeś taki markotny?

Ukończywszy czesanie się, wstał. Siewierski ogarnął wzrokiem kształtną, urodziwą postać brata, tryskającą zdrowiem, pełną ociążałej a tęgiej, sennej a bujnej, młodzieńczej mocy—i spuścił wzrok.

Patrzył zwykle na brata z radością, dziś—gorycz miał w ustach, w myślach—zamęt, i w sercu—ucisk.

Dominik usiadł na łóżku, zdejmował pantofle.

—Był właśnie telegram—zaczął Siewierski, przyglądając się wysokim, ofierskim butom, które stały przygotowane—wzywają ciebie i trzeba dziś jeszcze, zaraz jechać.

Dominik skoczył na równe nogi i w skarpetkach, tak, jak był, szybko, na końcach palców przebiegł przez pokój.

—Dawaj "telegramę"!—zawołał.

Siewierskiemu została na zawsze, do końca życia w pamięci ta krótka, a jednak długa chwila, każde jej mgnienie, każdy szczegół obrazu: wysokie buty wojskowe, obcisłe spodnie oficerskie, drobne, szybkie, trochę śmieszne i niezgrabne kroki brata, zarys stopy we fioletowej skarpetce na świecącej czerwienią pokostu i lakierem niedawno pomalowanej podłodze, błąd polski, głos brata strwożony, i naraz jakby schrypnięty, zmieniony wyraz twarzy, która przypominała mu czemś nieuchwytnem—może wejrzeniem, może jakąś zmarszczką koło ust, czy powiek—matkę.

Żal dojmujący zdławił serce Siewierskiego.

—Tak... niema rady! jechać trzeba—zastanawiał się chwilę w milczeniu oficer.—Ale mobilizacya, to jeszcze nie znaczy: wojna... wyruszają... tak... ale i to bywa—głośno rozumował i wyrokował Dominik.

Ochłonął z pierwszego wrażenia, optymizm młodzieńczy brał górę, krótkotrwała obawa minęła.

Przy obiedzie rozmawiał, jak zwykle, przekomarzał się, jak zwykle niedowcipnie, z Angielką, dokuczał Stasi, żartował z Janiny, która nie rozumiała się i nie lubiła żartów, ale wybaczała je Dominikowi. jadł z apetytem, a wolno. Siewierski milczał przeważnie, i ukradkiem, od czasu do czasu przyglądał się bratu, któremu także przyglądali się, lecz nie ukradkiem, a właśnie jawnie, badawczo, z zajęciem, przodkowie z portretów...

Niecierpliwiło to i niepokoiło Jakóba, i począł sam raz po raz podnosić wzrok ku znanym postaciom. Znajdowało się wśród nich dwóch jenerałów w rosyjskich uniformach, z czasów porozbiorowych, rotmistrz z korpusu litewskiego. Czem odznaczyli się ci trzej, nie wiedział; wolałby, by nie odznaczyli się nigdy.

Jeden z Siewierskich bił się mężnie pod Wiedniem, drugi doczekał się wzmianki pochlebnej w jakiejś kronice za udział w potrzebie beresteckiej, dwu brało udział w powstaniu 1863 roku i zapłaciło za to. Tadeusz życiem, wygnaniem i niedolą Karol... Podobizny tych kilku nie istniały zupełnie, czy też nie dochowały się. Tradycya rodzinna głosiła, iż Mikołaj Siewierski, młodzieniec z grzywką na czole, z małemi bokobrodami, wesoły, o wesołych ustach. odbył kampanię roku 1812, przeprawił się przez Berezynę, walczył pod Lipskiem.

Poza tem Dominikowi przypatrywali się ludzie nie rycerskiego rzemiosła, panowie poważni o twarzach pulchnych, o oczach pełnych spokoju i zadowolenia, ludzie, którym nie źle dziać się musiało na tym padole płaczu. Kilku między nimi gromadziło ciekawe druki, ktoś obrazy, kilku wyprzedziło swój wiek ogładą i t. zw. humanitaryzmem, zwłaszcza w kwestyi włościańskiej.

Prababki, wszystkie w sukniach wyciętych, wszystkie z perłami na pięknych szyjacr, uśmiechały się mdło, albo ckliwie do książki, nawet nie otwartej, do róży, do wachlarza swego, do niczego zresztą. do niedołężnego malarza może. Sztuczny uśmiech psuł także drogie oblicze matki, na które Jakób nigdy nie patrzał, nigdy... Znał je lepej, pamiętał nie takiem...

Antoni Siewierski, ojciec, doskonały jako dzieło sztuki, występował z ram, i zamierzał, rzekłbyś wmieszać się w każdej chwili do każdej rozmowy.Gdyby był doczekał tych czasów, on, który w epoce najmniej właściwej próbował naśladować mądrego margrabiego, ale w sposób tak niezręczny, że oburzył i rząd i społeczeństwo i w ostatecznym wyniku sam siebie skazał na dobrowolną emigracyę.

Jakób tyle dumał nad każdym z przodków, tak badał ich dzieje, iż nieraz roiło mu się, że on wszystkich gdzieś, niegdyś spodkał, znał, ze wszystkimi obcował; to też ci przodkowie przestali być portretami, a byli żywymi gośćmi w domu, i stawali się często areopagiem sędziów.

I zdawało się Jakóbowi, iż przypatrują się teraz Dominikowi, najmłodszemu z Siewierskich, gdy ten wyruszał na wojnę, na największą z wojen, i nie za kraj...

Ból wżerał się w serce Jakóba.

Tymczasem Dominik dobrał leguminy, dopił wieliszek czerwonego wina, powoli, niby smakosz.

Potem pakował rzeczy, marudząc znowu, przynaglony przez brata, potem wyruszyli. Siewierski chciał wybrać się z nim na grób rodziców, lecz i czasu nie było zbyt wiele, powtóre nie należało może roztkliwiać brata.

Wybrali drogę do kolei dalszą na Targowiec i Tyszowce, jechali rzemiennym dyszlem, z zamiarem wstąpienia i tu, i tam, bo wojakowi chodziło o złożenie pożegnalnych wizyt. Jakób zaś spodziewał się zasięgnąć wieści ze świata.

Ponieważ Dominik przesiadł się na kozioł i powoził— nikt i nic nie przeszkadzało mu "zastanawiać się". Ale poco było myśleć, i jakie to były myśli? Ot wczorajszegi wieczora w przeciągu nocy bezsennej, przez dzień cały dręczyło go poszukiwanie jakowejś prawdy, o której nie wiedział, gdzieby się znajdowała, trapiła potrzeba znalezienia prawdy za wszelką cenę—i nie mógł ani szukać, ani znaleść. Pragnął pogrążyć się w zadumie, dotrzeć do samej rubieży—tymczasem nie było krawędzi, nie było zadumy—trapiły go myśli różnorodne, pospolite, choć niezmiernie dotkliwe, myśli jałowe.

Czytał był dziś rano rozkaz o mobilizacyi. Zabierano mu konie, które chował, powoływano pod broń moc ludzi, do których przywiązywał się, wyruszał oto brat jego jedyny—a on, cóż on? Zostanie tu, zajmować się będzie parkiem, doglądaniem zwózki i siewów, interesami, penelopowem pisaniem rozprawy o ruchu religijnym w Anglii?

A naród jego rozdarty pójdzie biernie na rzeź, złoży drogocenną ofiarę krwi w obronie trzech pokłóconych z sobą cesarzy...

Gorycz miał w ustach, w głowie— zamęt, a w sercu— bunt i poczucie krzywdy tak strasznej, iż graniczącej niemal z hańbą...

Chwilami chciało mu się zeskozyć z bryki, położyć się w prochu—niechby stratowały go kopyta, zmiażdżyły koła, niechby bolało fizycznie, byleby umilkły pytania... Czasami wodził roztargnionym zwrokiem dokoła.

Dzień był pogodny, zwyczajny, w długim okresie trwającej od miesiąca posuchy. Nieznośny, wschodni wiatr zrywał obłoki kurzu z pod kół i koni, tarmosił i kładł pokotem owsy, przedwcześnie bielejące, trząsł drzewami, które, szumiąc i ruszając się, wiejąc gałęziami, ukazywały podszewkę liści, gnał chmury, które biegły korowodem, podobne do siebie, mało zajmujące niby wozy ładowane na gościńcu.

Ludzie pracowali, jak zwykle: piełąc, obradlając, krzątając się koło domostw, albo też w polu roztrząsając gnój, którego mocny zapach długo gonił za jadącymi, zwożąc żyto, gdzieniegdzie kosząc, orząc.

Dokonywała się robota powszednia, codzienna, jak chleb powszedni niezbędna doniosła święta.

Wyszedł rozkaz "na oryginalne własnoręcznie podpisany"—i ludzie ci w przeciągu 24 godzin muszą porzucić domy, rodziny, zajęcia, mają podążyć śpiewającemi szeregami na daleki gdzieś kraniec, by tam pod gradem kul ginąć, gradem kul mordować innych... Jakimże prawem wydano rozkaz podobny? A jednemu człowiekowi, omylnemu, słabemu, zbłąkanemu, nadano moc rozporządzania życiem milionów?

Oto jedzie Dominik i rozprawia z furmanem. Za kilka dni dosiędzie konia, hukną działa z obu stron, padać poczną pociski i padać poczną ludzie. I tu i tam—Polacy... Zresztą nie Polacy. Są osoby pochodzenia polskiego—Polski niema.

Polaków także niema...

Trapiły Jabóba myśli tak znane, że aż pospolite, wczoraj jeszcze ogromnie odległe a oderwane, dziś w straszliwej prawdzie swej, zanadto żywotne i gnębiące. Milczał zgryźliwie, nie odpowiadając nawet na jakieś zapytania Dominika.

W bólu Siewierski stawał się opryskliwym, szorstkim. Nie rozbroiły go ani łagodna Ima, uradowana z nagłego wyjazdu Hipa Podbielskiego, ani spokój pani Targowickiej, która haftowała z niezmąconą równowagą i pilnością, nie rozbroiły także Tyszowice.

Zresztą nad Tyszowcami wisiała chmura. Na spotkanie braci wyszedł Piotruś Zapolski, dawniej gorzelany, obecnie administrator w jednym z majątków Hipa Podbielskiego, przybyły dziś z sąsiedniego powiatu, najmniej udany z całej rodziny.

Był to ciemny brunet, o nizkiem, kwadratowem czole, gęstej, sterczącej jak szczotka, czuprynie, przy krótkiej, niedomykającej się górnej wardze, tęgi, opalony, pełen sił niezmożonych, nieprzebranych, rzekłbyś, zasobów zdrowia rolnik. Walczyły w nim nieśmiałość z poufałością, wydawał się podnieconym.

Zbiegł ku przyjezdnym witał ich niby przyjaciół, prowadził, rozbierał, szastał nogami, usadowił w salonie, potem zaczął mówić dużo, prędko, prawie gorączkowo, a wykonywał wciąż jakieś zbyteczne ruchy rękami, to gładząc swoje krucze włosy, to kręcąc wąsa, poprawiając krawat i patrzał od czasu do czasu niespodzianie w oczy wzrokiem, jakby pytającym, czy zdumionym.

—Taki czas! same żniwa... człowiek ani śnił! A tu nagle stawaj, panie bracie... Dobrze, że zdążyłem sprzątnąć z pola, że gorzelnię wyszykowałem. Zostawiam panu Podbielskiemu majątek w porządku, a objąłem ruinę! Nigdzie żadnego płotu!... Wiadomo po długiej dzierżawie. Pan Podbielski ma dużo majątków, nie może wszystkiego dopilnować... Napraco-

wałem się tam... Rzucaj wszystko... I żenić się miałem—opowiadał pospiesznie, to ubolewając, to przechwalając się i patrzał Jakóbowi od czasu do szasu niespodziewanie w oczy, jak gdyby sprawdzał, jakie też wrażenie wywiera, albo pytać chciał: A ty co na to?

Ale gdy przyszli inni, urwał nagle i milczał do końca. Widoczne mówił dotychczas tak dużo nie z ochoty, lecz spełniając jedynie obowiązek gościnności, chcąc jaknajskuteczniejniej przyjezdnych zabawić. Siedział z pochyloną głową, zakręcał i podkręcał swoje czarne wąsy, to chował nogi pod krzesłem, to wyciągał je za daleko.

Tymczasem w staroświeckim z czeczetkowymi meblami, ze sztychami w czoczołkowych ramach salonie, gdzie kilka pokoleń tańczyło, tyle osób bawiło się, gdzie nikt nigdy się nie nudził, wlokła się posępnie sztuczna rozmowa. Pani Babetka, która to wchodziła, to znikała, i znowu wracała do pokoju, miała zmarszczkę między gęstemi brwiami i wyraz smutku na stroskanych wargach, a wargi te zdawały się szeptać coś, jakieś żałosne wyrazy. W oczach obu starych panien łatwo było dojrzeć ślady łez, prezes wyglądał znużony.

Chmura powlokła Tyszowce cieniem żałoby. Obecność Piotrusia powołanego do wojska tłómaczyła smutek,lecz dlaczego wśród ludzi tak prostych panował przymus?

Siewierski nie umiał tego zrozumieć. Siedział tedy jak na węglach, i wolałby usunąć się i nie zaprzątać znękanej rodzinie ostatnich chwil przed rozstaniem z Piotrusiem. Zostawał wszakże, bo Kasi nie było w salonie. On sam nie oczekiwał panny Gorzelskiej, ale wiedział, iż Dominikowi zależało na tem, by ją widzieć jeszcze. Po to przecież wstąpił do Tyszowiec.

Panna Kasia nie przychodziła długo. Kiedy, zaś ukazała się, oczy jej, rzekłbyś, nie poznały Siewierskiego, a Siewierski nie poznał jej ócz. Zdała mu się niepodobną do tej, którą widywał i znał.

Usiadła między Piotrusiem a Dominikiem, mówiła mało. Dominik dobrodusznie, bez patosu opowiadał, iż otrzymał depeszę, iż jedzie zaraz, i dokąd jedzie. Nie słuchała go prawie, potakiwała biernie.

—Ale mobilizacya to jeszcze nie znaczy, że wojna będzie, a wojna—to nie koniecznie śmierć—pocieszał się oficer.

—Wojna będzie—odparła.

—Zresztą co ma być...

Wpadały czasami Siewierskiemu urywki rozmowy tych dwojga, którzy przez kilka dni tańczyli, zdając się uosobieniem młodości, uciechy, zabawy.

—I Piotruś i pan—po tej stronie.

—Jużciż po tej stronie!—zdziwił się Dominik, który nie pojmował, by mogło być inaczej.

W pewnej chwil wstała, poszła ku oknu i, odwrócona pleami do towarzystwa, patrzała w ogród. Jakób niebawem podążył za nią, jak gdyby miał jej coś do powiedzienia, lecz nie powiedział nic. Milcząc, stali obok siebie, razem spoglądając ku brzozom i osincm, które trzęsły się na wietrze, wrzały całym gąszczem, drżały każdym liściem z osobna.

Mijały chwile tego dziwnego milczenia:

—Wie pan gdzie jest Stefuś—odezwała się naraz prawie szeptem.

—Nie, pani.

Popatrzała na niego przelotnie. Cierpienie było na twarzy i w oczach.

—Nie wiem, pani—powtórzył Siewierski.

Ale nie zdążyła mu wyjaśnić. Pan Ignacy przyszedł zabrać Siewierskiego do swcj kancelaryi.

—Chciałbym z panem podzielić się... Pan jest przyjacielem całej rodziny... pragnę zasięgnąć rady, chociaż... poniekąd nie o radę mi idzie— mówił strapiony prezes.

—Pan Piotr musi stawać, opowiadał mi— zaczął ubolewać Jakób.

—Tak, powołują Piotrusia, a Stefuś dziś o świcie—biednemu ojcu nie dopisał głos.

—Co dziś o świcie?

—Wyjechał... chce przekraść się tam... do owych legionów—cicho wyznał pan Ignacy.

—Przekraść się tam—jak echo powtórzył Siewierski.

Obaj panowie spojrzeli sobie w oczy.

—Rozumiem, panie... rozumiem, co państwo... jaka trwoga o los syna... prawdziwie, to szaleństwo!...

—Szaleństwo—powtórzył jak echo prezes.

—Zbrodnią było wciągać młodzież... Jakie rękojmie! Oszukają tam—nas tu zduszą—zaczął Siewierski temi samemi słowy, co pan Ignacy w rozmowie ze Stefusiem, i tak, jak pan Ignacy wówczas, nie dokończył.

Obaj panowie znowu spojrzeli sobie w oczy. Nastała cisza.

Siewierski popadł w zadumę. Było to dziwnem. Pełną miał głowę rozumnych dowodzeń i przeciwko wojnie i zwłaszcza przeciwko szaleństwu Stefusia. Mógłby napisać rozprawę, czy książkę, a jednak zdawało mu się, iż, gdy on tu dręczył się bolesnemi zagadnieniami i kruszył serce cierpieniem prosty niewymowny, mało inteligentny młodzik rozwiązał to zagadnienie, i na myśl o Stefusiu wstępowała otucha, przestawała piec hańba, świtała radość.

Dumał.

—Jakie to czasy, panie!—skarżył się prezes—Piotruś—tu, Stefuś tam.

—Tak bracia... dwaj bracia...

I znowu nastało milczenie. Obu panom brakło do rozmowy ochoty. Zresztą pora już była na pociąg na który wybierał się także Piotruś.

Tego z dwu braci wolno było przynajmniej pożegnać. I rodzina i domownicy zgromadzili się na ganku. Ktoś płakał głośno. Biedny, odjeżdżający nadrabiał rezonem i miną, skrzypiąc nowymi butami, rezolutnymi kroki obchodził zebranych, pochylał się do rąk, brał w objęcia, całował, potem patrzał na zgromadzonych, jak gdyby liczył ich i bał się, że kogoś pominął. Ręka podnisła się do wąsa.

Ktoś szlochał... Pani Babetka zawiązywała jakąś paczkę, potem jeszcze coś synowi kładła do kieszeni, potem nagliła o pośpiech, przypominając, iż trzeba wstąpić do Nowin, do Olesia. Pan Ignacy siadł z synem do bryki. W bramie bryka zatrzymała się, Piotruś przybiegł po jakieś papiery, zostawione przez ojca w szufladzie.

—Tatuś zawsze coś zapomni—narzekała matka i poszła z synem szukać onych dokumentów...

Po chwili wrócili.

—Biegnij, Piotrusiu, spóźnicie się... biegnij—napędzała, gdy któraś z sióstr wyciągnęła do brata ręce.

Oparła się o słup ganku, i ze zmarszczką surową i groźną, zasłaniając dłonią oczy, niby od słońca, które nie świeciło, patrzała za biegnącym synem ku bramie, potem za bryką, a wargi jej, zdawały się szeptały jakieś żałosne wyrazy.

—Nie lubię tych chińskich ceremonij, czułych pożegnań, łez... Baby z każdej rzeczy robią tragedyę—zauważył Dominik już w drodze.

"Tragedya" odjazdu Piotrusia Zapolskiego podziałała wszakże i na niego. Odpadła mu jakoś ochota do powożenia, zmarkotniał.

—Panna Kasia była dziś zła, jak osa—zauważył nieco później i dalej milczał markotnie.

Ale niezadługo nabrał znowu otuchy.

—Mobilizacya nie oznacza jeszcze, iż wojna będzie napewno, a wojna—to nie koniecznie śmierć... Iluż wróciło z japońskiej—pocieszał się zawsze tym samym frazesem, gdy wsiadł do pociągu; ale z twarzy, o ócz, czy też ze zmarszczek dokoła ust i powiek wyjrzała mu troska, a troska uczyniła go w tym mgnieniu podobnym do matki i przez to podwójnie drogim Jakóbowi.

I chciałby Siewierski wbiedz jeszcze do przedziału, zabrać brata, nie dać go przemocy, która gwałtem wydzierała, ukryć go...

Wagon oddalał się, przesunął się, zniknął. Straciwszy go z ócz, Siewierski spojrzał w przeciwną stronę, na zachód, tam, kędy dziś rano o świcie inny pociąg pomknął ze Stefusiem.

IX.

Wyraz: wojna, rozpromieniał wyobraźnię Siewierskiemu w dzieciństwie i młodości, gdy czytał Teresę Jadwigę, Kraszewskiego, Kubalę, Sienkiewicza, gdy śniły mu się pola Cecory, Kłuszyna, Beresteczka, Chocima, gdy marzył o Żółkiewskim, Chodkiewiczu, Czarneckim, wyraz, który w późniejszych latach napełniał go abstrakcyjnem oburzeniem

i wywoływał teoretyczny protest, wyraz ten obecnie stał się zmorą, od rana do wieczora na jawie i w nocy trapiącej.

Wypowiedziany nie tak dawno, po raz pierwszy szeptem przez pana Tomasza w ciszy boru, dziś powtarzany z ust do ust, wykrzykiwany po ulicach, drukowany we wszystkich językach, w wszystkich odmianach, rozlegał się wszędzie, wszędzie wciskał się, wszystko sobą zapełniał, wszędzie, gdzie zabrzmiał, szerzył smutek, trwogę, obłudę, ogłupienie, podłość...

Siewierski nie przypuszczał, iż mimo przeczytania kilkuset tomów o wojnie, zupełnie jej nie znał, że tyle wypadnie mu o niej się dowiedzieć, gdy będzie na nią patrzał oczami świadka.

Rozstanie z bratem, widok powołanych—widok rozpaczy żon—matek—sióstr, pożegnania z odjeżdżającymi ze służby—i ze wsi, stanowiły prolog. Troska o Polskę spoczywała głębiej na dnie wszystkich myśli, każdego uczucia. Dzień każdy powiększał zasób spostrzeżeń, pogłębiał bolesne studya.

Obfitego materyału doświadczeń dostarczył Jakóbowi pobyt w mieście, dokąd udał się wezwany na zjazd ziemian.

Przedewszystkiem Siewierski nie poznał grodu gubernialnego. Nię tyle zmieniły się ulicę, zapchane samochodami wojskowemi, żołnierzami, gromadami powołanych, końmi wozami chłopskiemi i fornalskiemi, ile zmienili się ludzie, ich wygląd, zachowanie się, usposobienie, przekonanie.

Wszyscy śpieszyli dokądś, a jednocześnie chętnie tracono czas na jałowe rozprawy i zbierano się grupami, gdzie każdy hałasował, każdy coś wiedział najlepiej i chciał mieć racyę. Stosunki stały się łatwiejszemi, choć nikt prawie nie wypowiadał szczerze myśli swoich. Zdawało się, iż nastały jakoweś święta, że wszscy z czegoś się cieszą.

Ta radość powszechna, a tak dziwna, zdumiewała Jakóba. Prócz tego dziwiło go wiele innych objawów. Wśród urzędników, pędzących senny żywot, zajętych dotąd wyłącznie pensyą i gratyfikacyami, zapanował wojowniczy patry-

otyzm; taki sam patryotyzm zapanował w innych warstwach, oraz narodowościach.

Jednocześnie jak na obstalunek wybuchła zaraźliwa, niepohamowana nienawiść do państw, które wypowiedziały wojnę, zaraźliwą także stała się pobożność. Ludzi obojętni religijnie lub bezwyznaniowi nie przestawali modlić się. Tomasz Targowicki i Franio Liniewicz nie zdejmowali chyba, i może nawet nocowali w swoich surdutach, by już od wczesnego rana jeździć do cerkwi, do kościołów, kaplic, kirchy, szkoły i błagać o zwycięstwo oręża rosyjskiego. Czy zarząd kolei, czy kursa położnicze, czy klub, czy szkoła dentystyczna, urządzały nobożeństwa, pan Tomasz z Liniewiczem i tak zwaną "radą przyboczną" musiał być wszędzie, by wszędzie obecnością zaznaczyć, iż Polacy gorąco pragną zwycięstwa. Modły okazały się tak skutecznemi, iż trzy, cztery razy dziennie dodatki nadzwyczajne oznajmiały o najstraszliwszym pogromie wroga.

Jakób w ciszy dworu i parku siewierskiego, gdzie w przeciągu dziesięciu dni nie widywał niemal nikogo obcego, gdzie żona zgadzała się z nim, a jeśli nie zgadzała się, to nie narzucała mu swoich umiarkowanych i nie rażących niczem, zwykle "słusznych" przekonań, łudził się naiwnie, że ogół myśli i czuje tak jak on.

Stwierdził, że było inaczej, zwłaszcza na zjeździe. Chodziło o wysłanie telegramu wiernopoddańczego. Znalazły się punkty sporne, wytworzyło się kilka partyi. Jedni twierdzili, iż telegram musi pójść id szlachty, że zaznaczenie polskości nie jest potrzebnem. Zdanie to upadło. Po tem wywiązał się spór co do treści depeszy, w której, wspominając Grunwald, gdzie wojska rosyjskie, polskie, litewskie i t. d. i zanosząc modły i t. d. wyrażano wiarę, iż po złamaniu wroga nastanie era szczęścia narodów słowańskich i t. d. Ostatnie dwa wyrazy wywołały właśnie długą a gorącą sprzeczkę.

Ignacy Zapolski, który nie zawsze trafiał w sedno rzeczy, lecz zato zawsze umiał, dzięki taktowi, czy instynktowi, znaleść stanowisko popularne, wolał w danym wypadku wykreślić Grunwald, by nie profanować wspomnienia zbyt drogiego, i zkończyć wzmianką o Polsce. Przekonywał długo

a niewymownie, zabierał głos wiele razy. Nagradzano go zawsze rzęsistemi oklaskami.

"Marszałek" zwojowniczo nastroszonemi dnia tego i na kruczo oczernionemi wąsami, dzielnie go podtrzymywał wymową, swadą, giestem, intrygą i knowaniem, podtrzymywał z pobudek uczuciowych w pewnej mierze, w części zaś dlatego, iż z zasady występował zawsze przeciwko Targowieckiemu, którego nie znosił, oraz jego obozowi. W Kostusiu Morszańskim na zebraniach publicznych z pod pokładów sybarytyzmu, niedbalstwa, lekkomyślności, wybłyskiwało niekiedy szczere złoto patryotyzmu, najczęściej wszakże wydobywał się na wierzch warchoł, który dążył do obalenia prezydyum, wywoływał zamieszanie, załatwiał rachunki osobiste, gardłował.

Tomasz Targowiecki, Liniewicz, Podbielski, ten ostatni, mimo sympatyi dla rodu von Podbielskich, obstawali za Grunwaldem i za nutą słowiańską, nie zaś polską, w depeszy. Tomasz Targowiecki zapalił się, był ciętym, dowodził biegle i świetnie, zbaczając w dziedzinę wyobraźni i uczucia, ukazywał dalekie a piękne obrazy przyszłego szczęścia ziem zjednoczonych pod potężnem berłem... Miał także powodzenie.

Na sali ważyły się zdania. Hip Podbielski poraz drugi—obecnie z pewnem rozdrażnieniem—zaznaczył, iż wobec wrogiej agitacyi po wsiach, wobec niechęci podejrzliwej wśród włościaństwa i nieufności władz, należy przedewszystkiem zdobyć zaufanie władz i niedopuścić do szerzenia się niedorzecznych plotek.

Siewierski zapisał się do głosu i z niecierpliwością, raczej z niepokojem, nad którym nie mógł zapanować, oczekiwał na swoją kolej. Nie kosztowało go co prawda wstać i zacząć, nie był nieśmiałym, na słuchaczy spoglądał z lekceważeniem, ale występować nie lubił z powodu ambicyi i miłości własnej, których nigdy dotąd jeszcze nie ugłaskały oklaski. Brakło mu tedy wprawy, i tłum, głupiec wielo-głowy, krępował go, a myśli jasne, dopokąd siedział i przygotowywał przemowę, mąciły się, gdy rozpoczynał przemowę, i chowały się dowody, zmykały dosadne, trafne słowa, w głowie czyniła się odrętwiałość, głos brzmiał zimno i urągliwie.

I wygłaszał zazwyczaj opinię, która jemu zdawała się niezwykle prostą, ale na zebranych czyniła wrażenie pocisku, obelgi czy skandalu, w każdym razie czegoś wysoce niewłaściwego.

To samo zdarzyło się w danym wypadku. Nie zajął popularnego stanowiska pana Ignacego, ani stanął w zwycięskim już prawie obozie Targowieckiego. Wystąpił zasadniczo przeciwko pomysłowi wysłania depeszy przynajmniej do chwili, aż od rządu padnie jakieś, ku Polakom zwrócone słowo. Twierdził, iż należy najlojalniej spełnić wszystkie—choć tak ciężkie w czasie wojny—obowiązki, twierdził, iż składając życie swoje w ofierze, Polacy dają zbyt wiele, by mieli jeszcze kalać usta kłamstwem w rodzaju "wspólnego" zwycięstwa pod Grunwaldem, plamić je obłudą.

Gniewnie i szyderczo brzmiał głos Siewierskiego, pądały w chłód sali dotkliwe słowa. Nie rozległ się ani jeden oklask, gdy skończył, nikt go nie podtrzymał, nikt nie zaprzeczył. Zgromadzenie przeszło nad nim do porządku, przewodniczący zwrócił się do następnego mówcy.

—Przepraszam, przepraszam—słyszał Jakób gdzieś blizko nieśmiały protest.

To prosił o głos tak zwany patryarcha.

—Pan nie jest zapisany—surowo skarcił go prezes.

—Pan Teofil Siekludzki!—jął wołać donośnie marszałek, przeczuwając dywersyę.

Przewodniczący upierał się, tłómaczył, iż trzeba przestrzegać regulaminu i czekać kolei, iż on nie może dla nikogo czynić wyjątku. Tem natarczywiej i donioślej dopominali się o głos dla patryarchy marszałek i jego stronnicy. Na sali powstał hałas. Przewodniczący, który miał swoje rachuby i przewidywania, który obawiał się czegoś, nie chciał ustąpić, ale i zaciekłość Kostusia Morszańskiego wzrastała. Zgromadzenie podzieliło się na dwie partye; dochodziło niemal do wzburzenia.

W końcu prezes, mimo, iż słuszność była po jego stronie, uległ i udzielił głosu patryarsze.

Starzec stał wśród sali, nieco pochylony, trzęsąc głową, patrząc ku stołowi prezydyalnemu i czekał jeszcze, jak gdyby

nie rozumiał, jak gdyby stracił ochotę do mówienia i odczuwał lęk.

Wyglądał bezradnie. Smutek zgrzybiałości i opuszczenia, szedł od tej postaci zaniedbanej w ubiorze, nieśmiałej, rzekłbyś, znękanej, postaci zapomnianego proroka.

—Prosimy, prosimy!—naglił "marszałek".

—Chciałem powiedzieć, panowie—zaczął cicho.

—Proszę głośniej—wołano.

—Chciałem powiedzieć—powtórzył patryarcha.—Pan Siewierski ma racyę. Nie wiele co mamy.. mało nam zostało... niech chociażby honor... pamiętam powstanie i szubienice—zachwiał się głos—Murawjewa, Sybir widziałem—zawołał donośniej z widocznem wzruszeniem. Zdawało się, iż rozpłacze się, lecz tylko złamał się starczy głos.

..A wy tytułujecie oprawcę obrońcą narodów uciśnionych—skończył szeptem, raczej urwał, nie mogąc dokończyć, nie mogąc dłużej mówić ze wzruszenia, czy oburzenia.

I stał chwilę, wodząc wzrokiem po siedzących u stołu prezydyalnego, rzekłbyś, z wyrzutem, trzęsąc głową, potem kaszlnął, zakaszlał się, odwrócił i, zgarbiony, suwając nogami, kierował się ku wyjściu.

Kostuś Morszański zerwał się ujął go pod rękę, podtrzymał, prowadził, otworzył drzwi i z pochyloną głową czekał, aż wyjdzie. Wrócił potem powoli, uroczyście, pontyfikalnie, niby jaki mistrz ceremonii na swoje miejsce.

Siewierski zamierzał wyjść razem z Siekludzkim, ale że wyglądałoby to na manifestacyę, pozostał.

Przysłuchiwał się jeszcze t. zw. "debatom". Słowa starca, wypowiedziane chwiejnie, słabo, nie wywarły prawie wrażenia. Zaraz po nim przemawiał Kazio Galimski z "rady przybocznej" Targowieckiego, rosądnie, zwięźle, rzeczowo, jak zwykle, po nim zaś Franio Liniewicz, niemniej rozsądnie, a bardziej kwieciście, z pewną przesadą i pozą.

Korzystając z jakieś przerwy, Jakób wymknął się niepostrzeżenie. Na ulicy twrzyło się zbiegowisko, słychać było śpiew. To szły wojska. Siewierski przeciskał się przez tłum w stronę swego hotelu i następnie z balkonu przyglądał sie przemarszowi.

Przesuwały się krokiem miarowym, sprężystym, wybornie wyćwiczone kolumny piechoty, najeżone bagnetami, potem obozy i znowu piesze szeregi, dalej artylerya i potężne, lśniące, groźne, doskonałe, zda się tak doskonałe, że aż piękne, budzące postrach i cześć, a zarazem budzące dziwną, tę samą co widok lwa, ochotę pogłaskania ich ręką działa; za niemi wozy, jeszcze znowu armaty, następnie jeszcze szeregi wyśmienitej piechoty.

Płynęły nieskończonym, rzekłbyś, strumieniem, siły bojowe. Czasami wśród niektórych oddziałów zrywała się pieśń dzika, bezmyślna, najzupełniej obca miastu temu i śpiewającym, pieśń, urodzona moze w stepach mongolskich i duszach azyatyckich, pieśń jakichś straceńców czy zatraceńców, której strofy kończyły się wygwizdywaniem, wrzaskiem, powtarzaniem kilku pozbawionych wszelkiego sensu wyrazów... Zrywała się ta pieśń żołdacka, nakazana dla wzbudzenia junackiego zapału, ku zbudowaniu, i milkła po chwili, nie znajdując powodzenia ani między słuchaczami, ani między tymi, co śpiewali.

Twarze żołnierzy były przeważnie "tutejsze", drogie, miłe twarze biało-ruskie. Malowały się na nich, spokój, powaga, rezygnacya. Porzucili rodziny, zagrody, siedziby, pola, pracę, przebrali się w mundury i szli przed siebie, gnani przemocą, szli cierpliwie, biernie, tak jak cierpliwie i biernie znosili grad i śmierć, wszelki dopust Boży, powietrze, głód, ogień, wojnę...

Siewierski poznawał niekiedy znane oblicza znajomych ze wsi, z zaścianków, ze dworu, z sąsiedztwa, z kościoła; przypominały się nazwiska i dzieje niejednego z tych pędzonych, i ubolewało w nim serce...

Płynęły niezliczone oddziały. Mundury jak z igły, tęgie, dobrze utrzymane konie, wozy świeżo wymalowane, mocna uprząż, błyszczące działa, broń i moderunek, wszystko świadczyło o wzorowym ładzie, o zasobach, o potędze.

—Potęga ciemności, władza ciemności—szeptały mimowoli usta Siewierskiego, i ogarniał go lęk, lęk o jakąś nadzieję, którą bezwiednie piastował i krył w sercu na przekór rozumowi.

Moc państwa wydawała się niezwalczoną, niepożytą, nieprzebraną jak moc zła. Jakże siła oprze się tym zwartym, sprężystym, wyśmienitym szeregom, doskonałym w grozie swojej działom, konnicy, najeżonym bagnetom?

I naraz przypomniał się Stefuś... A wówczas wzmogły się w Siewierskim bolesna trwoga i beznadziejność. Patrzał w maszerujące plutony. Niekiedy z jakiegoś balkonu jakaś ręka, może żydowska, może urzędnicza, rzuciła w przechodzących żołnierzy więzią kwiatów, niekiedy rozległ się gdzieś okrzyk patryotycznego zapału. Z mijającego szeregu patrzały obojętnie oczy na kwiat, który poniewierać się miał na bruku zdeptany, oraz na tych, co je rzucali, na tych, co wykrzykiwali w zapale. Tylko oficerowie— nie wszyscy— słali szarmanckie uśmiechy podziękowania.

Miało się ku wieczorowi. Złociły się na niebie chmury, płonęły tu i ódzie blaskiem okna wysokich kamienic. Tem posępniej o godzinie pogodnego zachodu wyglądały groźne kolumny wojskowe, surowe szeregi bojowe, straszliwe armaty. Ku zachodowi, tam, gdzie nogodnie wśród jasnych niebios gasło słońce, płynęły niezliczone pułki, by nieść tędy śmierć, zniszczenie, pożogę. Między niemi a Polską, której rzekomo szły bronić, chciało się Jabóbowi stanąć i nie puścić ich tam, nie dać Polski.

Ale nie istniała Polska! Było olbrzymie państwo i jego niezwalczona potęga, państwa przemoc, państwa wszechwładza.

Słońce już zaszło, oddziały zaś wyruszającego na plac boju korpusu szły jeszcze. Siewierski, nie doczekawszy końca pochodu, pośpieszył na dworzec, by zobaczyć się z bratem.

Znać było na Dominiku, że odetchnął atmosferą wojny. Wyrobił się w nim program polityczny, znalazł się i zapał bojowy. Zajadając kolacyę, tłómaczył Jakóbowi, poco potrzebną jest ta wojna i zwycięstwo, kto ją wywołał, kto ma być ukaranym.

Jakób potakiwał.

Następnie Dominik rozwodził się nad znakomitem przygotowaniem wojennem armii, które już poszły, nad wyśmienitem wyćwiczeniem piechoty, nad celnością strzałów arty-

leryi, nad milionami, które pójdą, wogóle nad potęgą państwa.

Siewierski potakiwał, bi niezwalcziną i niezmierną, jak panowanie złą, wydawała mu się moc państwa.

I opowiadał jeszcze Dominik z gustem, ze smakiem, z przechwałą o klęskach, już zadanych, o mnogich jeńcach, o bohaterstwie pułków niektórych, o Sokalu zdobytym i zrównanym z ziemią za upór ludności, przytaczał zajmujące epizody, ilość "zakłutych" i "zarąbanych" tu lub tam, powtarzał nazwiska wodzów, jakiegiś kozaka.

Siewierski słuchał, i w jakiejś chwili przypomniał mu się tamten, Stefuś, może już "zakłuty" czy "zarąbany"...

Dominik pił wino i opowiadał długo.

Ale przy pożegnaniu, młody oficer, spokojny dwa tygodnie temu, gdy nie rozgorzał był jeszcze zapałem bojowym, dziś mimo animuszu odwrócił twarz, by ukryć łzy, jak zdawało się staremu bratu, i mocno zacisnął wargi, by stłmuć łkanie... Lecz przez mgnienie skurczyły mu się usta żałośnie, jak niegdyś przed laty, gdy poczas gry w karty, trzy razy z rzędu został ze szwarcepetrem w ręku.

Biedny, kochany Dominik.

A potem w oknie oddalającego się wagonu wysilał się na uśmiech, oraz wołał zapewne coś wesołego, czego Jakób już nie dosłyszał.

X.

Kiedy wyszła słynna odezwa, Siewierski po długich rozważaniach wysnuł sobie program, którego trzymał się oficyalnie w rozmowach z Janiną, w Targowcu, w Tyszowcach, wreszcie w dzienniku... Ale w sercu ukrywało się marzenie, sercu śnił się sen o potędze i chwale niepodległej ojczyzny, a marzenie, do którego nie śmiał przyznać się nawet w dzienniku, psuło program, zakłucało i spokój i sąd i logikę. Naprzykład przeglądając komunikaty sztabu, niepokoił się zgoła nielogicznie, na przekór programowi, wbrew rozsądkowi, zbyt szybkiem posuwaniem się naprzód wojsk, z któremi za-

warł był przecież sojusz, ktżrym obow ązkiem był-życzyć zwycięstwa i trwożył się c los galicyjskiej stolicy.

Los ten rozstrzygał się, gdy Siewierski dla spraw przeróżnych znowu bawił w mieście. Znajdował się właśnie na rannem posiedzieniu. Naraz za oknem rozległy się wrzaski, ukazały się tłumy. Tomasz Targowiecki, który przewodniczył dnia tego, rzekł wówczas:

—Muszę uratować panów pomyślną wiadomością... Przed chwilą byłem u gubernatora. Lwów jest wzięty.

Na sali uczyniła się cisza. Z miasta dochodził wrzask gawiędzi. Wszyscy słuchali i jakby czekali na coś i jakby wzrokiem wśród zgromadzonych szukali tego, który wstanie, przerwie milczenie, odnowie, zaprzeczy, czy potwierdzi.

Potem Targowiecki mówił dalej o rekwizycyach, po nim jeszcze ktoś o opiece nad rodzinami powołanych...

Siewierski opuścił zebranie. Wałęsał się czas jakiś ulicami, rzekłbyś po to, by napawać oczy widokiem manifestacyi. W sklepach zdążono już wystawić fotografię głównodowodzącego, oraz zdobywcy Lwowa; na jednym z placów, na drewnianym pomoście, specyalnie zbudowanym w przewidywaniu powodzeń oręża, odbywało się nabożeństwo dziękczynne, i ponad głowami władz, żołnierzy, gapiącej się ciżby, płynęły zapewne radosne, a przecież napełniające serce nierozsądnym lękiem, ponure pienia cerkiewne; tu i owdzie przeciągały krzykliwe, niesforne pochody motłochu, którym z nudnych oleondruków przyglądał się portret carski, obnoszony tryumfalnie.

Gdzieindziej, pędzono całe rzesze jeńców, dalej szły lub jechały oddziały wysyłanych wciąż na front wojsk, których ilość zdawała się nieprzebraną, gdzieindziej chodnikiem posuwały się bolesne procesye rannych, których dźwigano pośpiesznie na noszach. Jakób chciałby zatrzymać się przed każdym, uchylić kapelusza, pochylić się, zajrzeć w oblicze męczeńskie, szepnąć coś każdemu... Cóżby im szepnął? jakie słowo otuchy?

Chwiały się na noszach zabandażowane głowy, patrzyły oczy obojętne lub smętne, bardzo znużone; niekiedy powieki nie miały siły dźwignąć się, i wynędzniałe twarze czyniły wrażenie trupich. Czasami ranny leżał cały od stóp do głowy

przykryty szynelem, i wówczas zakradało się podejrzenie, że to już nieboszczyk. Z pod szynela, czy kołdry wysunęła się nieraz noga w bucie lub kamaszach, albo ręka zwisła bezwładnie, jak martwa.

Wzrok Siewierskiego dostrzegł tu i ówdzie plamę krwistą, na uniformie, na palcie, na płótnie opatrunku. Wśród rannych przeważały popielate lub granatowe mundury austryackie. Było ich tyle! Siewierskiemu wraziły się w pamięć niektóre typy; blade i piękne, podłużne, o subtelnych rysach, ładnym zaroście oblicze miejskiego inteligienta, ci do którego, nie wiedzieć dlaczego, nuł domyśł, iż był młodym uczonym, że studyował Platona że przerwano mu dzieło naukowe; następnie wraziła się Siewierskiemu w pamięć dziarska nawet w chorobie, blizka, choć niewidziana przedtem swojska i droga, choć nieznana twarz wiejska, tak bardzo polska twarz gospodarskiego syna z pod Krakowa; wraził się w pamięć i uśmiech rudowłosego młodzika w bluzie rosyjskiej, który leżał bez czapki i spotkawszy pełne niemego współczucia spojrzenie Siewierskiego, uśmiechnął się doń, jak gdyby chciał powiedzieć: "och, co tam życie".

I naraz pozdrowiły Jakóba dobre, szczerę, wesołe dawniej, dziś znękane, a przedewszystkiem niezwykle czemś zdumione i przerażone oczy Józia Hołubowicza z Siewierska, miłego chopaka a piegowatej, wesołej twarzy... Te oczy uradowały się na widok Jakóba, zawołały, zaczepiły, zwróciły się z jakąś prośbą.

Po chwili chory już był daleko. Jakób próbował dogonić —odtrącono go, powstrzymano.

Gdy środkiem głównej ulicy włóczyły się hałaśliwe zgraje, krzykiem. i śpiewem manifestując patryotyczny tryumf, boczne zaułki roiły się od gapiów, przypatrujących się "ciekawej", mimo, iż od kilku dni codziennej procesyi z rannymi.

Z okien i balkonów przyglądano się z niemniejszem zajęciem, wielu nawet przez lornetki. Niektóre damy ustawiły sobie na balkonach krzesła, by usiąść wygodnie, wygodnie korzystać z bezpłatnego a senzacyjnego widowiska. Rannych dźwigali sanitaryusze—ochotnicy, młodzieńcy przeważnie semiccy. Przejęci byli doniosłością swojej roli i zajęcia, mieli

miny zadowolone i uroczyste. Często przemykały samochody szpitalne, hurkotały wozy czerwonego Krzyża, przewożące rannych, którzy mogli znieść ruch jazdy. Obraz niezmiernego pola bitwy, zasłanego trupami i konającymi, oraz nieskończonych sal szpitalnych, obraz krwi, kalectwa, ran prześladował Jakóba, gdy w uszy wciskały się mu nieustannie strofy hymnu państwowego...

Nie załatwiwszy interesów, Siewierski pośpiesznie zapakował rzeczy i przedpołudniowym pociągiem wyjechał do domu.

Wojna zniwelowała różnice społeczne i przedział I. klasy przestał być schroniskiem dla samotników, ceniących jak Siewierski spokój, czystość i czas. Pełno tu było wojskowych i urzędników, oraz ich pań, pełno było dymu, gwaru i brudu. Kosze z zapasami. czaniki z herbatą, nie rzadko butelczyna, zapach kiełbasy i perfum, jabłek i sera, chrapanie i śmiechy, jedwab strojnego szlafroka moskiewskiej damy, skarpetki śpiącego niechluja—wszystko tu zdumiewało: apetyty, obfitość jadła, różnorodność ubiorów, barw, zapachów, typów. Wszędzie zaś: w głosie, w twarzach, nawet w chrapaniu śpiących, Siewierski spostrzegał tę samą radość, która uderzała go w mieście i kilka tygodni temu i dziś.

Ludzie cieszyli się z czegoś: ze zwycięstwa czy wogóle z wojny? Z tego że jadą, że nie grozi im niebezpieczeństwo, że niema trawiącej niby skir istnienie ludzkie nudy? Toczyły się dokała ożywione rozmowy, czytano gazety, ktoś opowiadał epizody wojenne. rozumie się widziane na własne oczy. Z osobliwem upodobaniem obliczono straty przeciwnika, przytaczano liczbę zabitych w tej lub tamtej potyczce, w bitwie przy przeprawie przez Wieprz gdy mosty trafiły pod krzyżowy ogień artyleryi i całe pułki znalazły śmierć w nurtach. I mówiącego i słuchaczy ogarniał specyficzny zapał, w którym było coś z roznamiętnienia myśliwego, gracza przy kartach, koniarze na wyścigach. Okrucieństwo wroga stanowiło także ulubiony temat.

Siewierski, wtulony w kąt przedziału, milczał, usiłując czytać swój tom Ruskina, udając, iż czyta. Patrzano na niego z niechęcią, podejrzliwie, dziwiąc się, czemu też on jeden stroni, nie bierze udziału... Na stacyach Siewierski widział

niezliczone wagony, napchane żołnierzami, przerzucanymi na front, olbrzymie pociągi z rannymi, z jeńcami... Na widok rannych niepokoił się o Dominika, który pisywał chełpliwie zawsze i zuchowato, lecz coraz krócej i rzadziej; na widok jeńców z gorzkim żalem rozmyślał o Stefusiu... Przed Siewierskim zarysowała się znowu niespożyta, jak moc zła, potęga państwa, zarysowało się świete państwa tego zwycięstwo.

I nigdy jeszcze tak błogosławioną nie wydawała mu się cisza pól, jak dziś, gdy znalazł się wreszcie na swojej rodzonej własnej szydłowieckiej bryce.

Błogosławioną i kojącą, a także zwodniczą była ta cisza. Patrzał przed siebie oddychając wonnem powietrzem wsi, rozglądał się. Gdzież była rzeczywistość? Tu wśród nieprawdopodobnego spokoju przyrody, czy tam? Alboż ci sami,z tego samego gatunku ludzie tu obsiewali żytem zagony, a tam czynili wojnę, pochody, piekło? Z wprawnej ręki starego, doświadczonego chłopca sypie się i rozpryskuje twarde ziarno zboża, poświęconego tradycyjnie w dniu Przemienienia Pańskiego, gdzieindziej orze wyrostek i podrygując drepce za nim świeżą bruzdą dwie wrony, niezgrabne, łakome. śmieszne.

I w zestawieniu ze znanym obrazem jesiennych robót rolnych wszystko, co widział, wygląda niby fragmment niedorzecznego snu, i wszystko, co przemyślał, zasługuje na nazwę bredni. Teraz nie chciało mu się wdawać w dociekania, nie mógł, miał po prostu odrazę do myśli własnych, do myślenia wogóle. Ale przymykał także niekiedy powieki, by nie widzieć pogodnego krajobrazu, sielskiej pracy, wstęgi lasów na horyzoncie.

Za pasem borów leżał ów świat szroki, gdzie tak szlachetnie poczynała sobie dziś po tylu wiekach postępu ludzkość, za pasmem sinych borów leżała Polska.

W pewnej chwili Andrzej zatrzymał się i jął poprawiać coś w uprzęży, narzekając półgłosem, by zwrócić uwagę dziedzica i rządcę, z którym zwykle toczył wojnę, oskarżyć z powodu niesprowadzenia w porę rymarza, by rozpocząć wogóle rozmowę, "pociągnąć" swego pana w czasach tak ciekawych

za język. Siewierski zeskoczył, poszedł kawałek przed siebie, potem skręcił miedzą i wśród ścierni położył się na wznak.

Niezmierne, powleczone lekką powłoką chmur jednolite, prawie nieruchome niebiosa śniły swój sen jakiś przedwieczny. Przebywał tam spokój doskonały, niedostępny. Zdało się Siewierskiemu, iż niebiosa pochyliły się ku niemu, spoglądając zasłoniętem, nieodgadnionem obliczem, pochyliły się, przybliżyły się na mgnienie, by wnet oddalić się w dal niedościigłą, nadziemską...

Ach, gdybyż wydobyć się z siebie, wznieść się ponad siebie, zapomnieć! Przywarł powieki może; by nie zazdrościć niebiosom ich bezmiernej obojętności, spoczynku, ukojenia, niewiedzy, może, by nie urągać. Po chwili patrzał znowu. I zdała mu się, iż się roz rozszlocha. Jeden wyraz wyrywał się na usta, wyraz, w którym zawarły się najdroższe umiłowania i najsroższa męka: Polska.

Nie ziści się nigdy najdroższy sen, który na przekór rozumowi, wbrew nadziei nawet, przechowywał i ukrywał w sercu, sen o niepodległej ojczyźnie...

Jakimże cudem stać się to może, by obaj wrogowie?... Zerwał się i pośpiesznie poszedł ku bryce, jechał dalej, zamyślony, a nie myśląc o niczem. Pogrążył się w zadumę jak w toń, nie płynął do żadnego brzegu, nie szukał niczego na dnie.

Turkot kół, kontorsye resorów na złym bruku, odgłos jakichś śpiewów, położyły kres beztreściowej zadumie. Był to już Siewiersk, a w Siewiersku odbywała się także manifestacya ku upamiętnieniu zdobycia Lwowa, Przeciągał pochód skomny zresztą, w którym pod opieką duchownych, obrządku-wschodniego, oraz policyi i nauczycieli przechadzali się wychwańcy obu szkół cerkiewnych i t. zw seminaryum.

Jakób nagląco kazał furmanowi skierować pod kościół, jakkolwiek w sobotę o tej godzinie musiało już być po nabożeństwie. Ale do kościoła szli gromadami ludzie, poprzez małe szybki staroświeckich okien zajaśniał blask świec, miały rozpocząć się właśnie nieszpory, wyjątkowo dnia tego spóźnione.

Siewierski zajął miejsce w swojej ławce. Zabrzmiały liche organy i śpiew nielicznego chóru chłopów. Ubogą świą-

tynię wypełniła podniosła powagą, w prostocie swej wspaniała, majestatyczna, mimo niedoskonałego wykonania, melodya psalmów.

Siewierski pogrążył się w nią, jak przedtem w zadumę. Stracił z ócz ohydę rzeczywistości, widzianej niedawno; została mu zaledwie pamięć z niej. Zdawało się, iż jedyną rzeczywistością jest ten kościół, pełen chwały Pana, że niema nic krom Pana i Jego chwały...

Wsłuchany w psalmy, Siewierski przebywał wśród rozłogu czasów przeszłych, wśród stuleci, które zbiegły, jak cień, i zgubiony w bezmiarze zapamiętał się... Myśl ponad udręczenia dnia wzniosła się ku Temu, którego imię straszne jest i święte, u którego tysiąc lat jest jako dzień wczorajszy, co minął, i jako straż nocna... Duchowi człowieka zbolałego, synowie zdeptanego narodu ukazał się w marzeniu Ten, który dziwny jest Ten którego zlękły się wody i przeraziły się otchłanie, Ten, który uczyni cuda, odejmie wojny aż do krańców ziemie, skruszy łuk, zdruzgoce oręże i tarcze ogniem popali Ten, który będzie sądził świat w sprawiedliwości i narody według prawdy swojej...

I naraz wyrwał się Jakóbowi z głębi serca, niby z wnętrza rany, jęk: "Nie ziści się nigdy sen duszy o szczęściu ojczyzny"... na wargi wybiegł ów krótki bolesny, święty wyraz, który był męką i umiłowaniem, — wybiegł i skonał... Polska... Siewierski zrozumiał przemijalność wszelkich zjawisk, zmierzył małość największych wydarzeń, poznał znikomość rzeczywistości, stwierdził omamienie pozoru, ułudę istnienia.

To znowu roiła mu się jakowaś wątła łódz, miotana na morzu burzą, zabłąkana i skazana na zagładę, pełna strwożonych rozbitków, którzy pieniem chóralnym, jednostajną skargą tonów, wołaniem błagalnym wzywali pomocy Boga... Alboż istnieje Bóg?—odezwało się powątpienie.

Jest stary, drewniany kościół, w kościele jest ołtarz i palą się świece, odblask płomieni migoce na srebrnym płaszczu świętego w obrazie, ksiądz w białej kapie klęczy, ludzie modlą się, brzmią śpiewy... Do kogo modli się ksiądz, komu śpiewają chóry? Alboż istnieje Bóg?

Bóg przebywa może w tym ubogim, sędziwym kościele, ale niema Go w dziejach, w ludziach i w nim Siewierskim Jakóbie...

Gdybyż zdobyć wiedzę, znaleźć pewność i wiarę, że Bóg czuwa, wymierza sprawiedliwość.

Kapłan wstał z klęczek i jął okadzać ołtarz wolno, uroczyście... Kłęby kadzidła uroczyście i wolno słały się z trybularza, skupiały się i snuły, zasłaniały obraz i celebrującego obłokiem; po chwili rozpraszały się, wznosiły wysoko wątłemi pasami i tam znikły...

Siewierski patrzał to w one dymy wonne, których zapach tak lubił, to na proboszcza. Ksiądz Jan znany mu od tylu lat, tak pospolicie, powszednio, codziennie, że aż do łaty na butach i plamy na sutannie i z każdego błędu polskiego, tu wyglądał przeobrażony.—Powaga i spokój w postaci księdza, to osobliwe u ołtarza przebrażenie zdumiewały zawsze Jakóba, budziły niemal cześć. Patrząc na proboszcza odczuwał i wierzył w owej chwili, że on, ten, tak dobrze znany mu ksiądz Jan w poplamionej sutannie, w połatanych butach wie wszystko o Bogu i nie wątpi...

I spokojna wiedza kapłana rozpraszała wątpliwości... Bóg jest... Jest niezawodnie... A jeśli Bóg jest, czemu dzieje się to wszystko?—równie naiwnie jak prawdziwie zapytywał Siewierski.

Nieszpory kończyły się. Jakób czekał między plebanią a kościołem na księdza Jana, którego cenił i lubił, któremu lubił często dokuczać.

—Ksiądz modlił się, kadził, jak gdyby nic—zaczął, doczekawszy wreszcie proboszcza—tymczasem Pan Bóg przeszedł na prawosławie.

Ksiądz patrzał z uśmiechem w oczach i na ustach, przyzwyczajony do żartów swego parafianina.

—Lwów wzięty.

Tak!—zdziwił się proboszcz, który nie wiedział dotąd mimo odbywającej się w Siewiersku manifestacyi, który zawsze o wszystkim dowiadywał się ostatni.

Nastało milczenie. Ksiądz zwiesił głowę.

—Nasłuchałem się przed chwilą, że sprawiedliwość od pokolenia do pokolenia, że wielkie są dzieła pańskie, że bo-

jaźń Pana— początkiem mądrości, że Bóg Jakóbów—obrońcą i pomocnikiem... Tak było może w starym zakonie, ale nie dziś... śniło się tak psalmiście...—napadał Siewierski.

Przechadzali się w cieniu drzew cmentarza, idąc coraz prędzej, jakby śpieszyli. Żwir chrzęścił pod szybkiemi krokami Siewierskiego, ksiądz z trudnością mógł za nim nadążyć. Siewierski opowiadał o tem, co widział i słyszał, wyznawał obawy, powtarzał gorzkie uwagi swoje, powtarzał po kilka razy te same szydercze pytania.

Młody proboszcz słuchał pilnie ze spuszczonemi oczami, ze zwieszoną głową. Chwilami podnosił wzrok na mówiącego i znowu pochylił czoło. Zwijał swoje wązkie wargi, jakby tłumiąc wciąż uśmiech, czy też cisnące się na usta słowa odpowiedzi.

—Słyszy proboszcz?—dopytywał raz po raz Jakób, który podczas każdej rozmowy z księdzem Janem doświadczał wrażenia, iż ten przebywa myślą głęboka w sobie, albo wybiega kędyś dalej, że, słuchając, nie słyszy po prostu, a patrząc, nie widzi. Niecierpliwiło to Siewierskiego.

—Słyszę—cierpliwie zapewniał ksiądz.

—Uczono mnie, iż świat jest dziełem wszechmądrości, uczono podziwiać doskonały ład... zaiste, zaiste... Tymczasem, gdybym był Stwórcą, trapiłyby mnie wyrzuty sumienia, a gdybym był księdzem, bałbym się, że po tej wojnie narody gremialnie odpadną od kościoła—dręczył swego proboszcza Siewierksi, mówiąc, jak zwykle, półżartem, na poły ironicznie, szydząc w części z siebie, w części z tego, z którym rozmawiał.

—Nie będę bronił świata przed panem Siewierskim, ani śmiem stawać w obronie Boga przed tymże panem Siewierskim.

—Tylko co?

—Niech pan nie wzywa Boga przed sąd swego rozumu.

—Nie mój to jest rozum!... Męka ludzka, krzywda narodu, tryumf zła wołają o pomstę — przerwał Siewierski i sam nie dokończył.

—Bóg nie rychliwy...

—A tak! Czekajmy, spodziewajmy się!

Nastało milczenie. Piasek chrzęścił pod stopami spacerujących, tęgie konary krępych klonów chwiały się lekko i drżały szerokie liście, szumiąc z cicha.

—Dwa tysiące lat chrystyanizmu, t. j. religii miłości i po dwóch tysiącach lat— taka wojna! I wszystkie kościoły tolerują obrzydliwą rzeź, zanosząc we wszystkich państwach modły o zwycięstwo—oburzył się Jakób.

—Kościół nie przyczynił się do wojny.

—Ale toleruje.

—Jakże mógł zabronić?

—Powinienby zabronić.

Zamilki obaj. Siewierski nie wstępował na plebanię, ani dla sporu, ani po "światło wiedzy".

—Jest werset, który pan pewno zna, bardzo głęboki—cicho powiedział ksiądz.

—Jaki?

—Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema...

—Jakie to płytkie i przestrzałe!—dąsał się Siewierski. —Proboszcz chce o Antychryście, o końcu świata...

—Ani jedno, ani drugie—bronił się spokojnie ksiądz—pan czyta wszystkie pisma zajmuje się polityką, zastanawia się nad wypadkami. Ja nie mam czasu. Przeglądam jedną "gazetkę".

—Poco on mówi gazetka—przemknęło Siewierskiemu, który się niecierpliwił, znużony drogą, rozstrojony wrażeniami, znękany.

Słuchał chwilę szeptania liści.

—...i tak, jak pan, wstydzę się, lecz wstydzę się za ludzkość, za tych, co szczycą się kulturą, cywilizacyą, etyką... Tak szumnie pisano o postępie... tyle odkryć i wynalazków... tyle pięknych haseł — mówił urywanemi zdaniami ksiądz, który przywykł i umiał milczeć, a nie umiał i nie lubił mówić.

—Pierwej mi proboszcz zaprzeczył, a teraz innemi słowy powtarza moje myśli—przerwał mu jeszcze raz Jakób.

—Pan oskarża religię, która nigdy nie twierdziła, iż dokonała dzieła swego, że odniosła już zwycięstwo w walce o ducha ludzkiego. Tymczasem ostatni wiek był właśnie tryumfem postępu, rozumu, wiedzy... wyzwolono się z pod

"ucisku" kościoła, religię wypchnięto zadrzwi, ubóstwiono człowieka, ludzkość, rozum, technikę...

—Ksiądz stwierdza bankructwo postępu, ja—bankructwo religii. Bankructwo jest tedy kompletne.

—I tu pan mi podsuwa własne myśli. O jakiemkolwiek bankructwie wyrokować nie pora. Nie jest to ostatni dzień dziejów.

—Nie rozumiem do czego proboszcz zdąża?

—Pan wytoczył Bogu proces o świat, o wojnę, ja przytoczyłem werset...

—"Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema" —powoli powtórzył Siewierski, jak gdyby pojął wreszcie myśl proboszcza i zgodził się z nim pokonany.

—"A we mnie nic niema"—podkreślił jeszcze ksiądz i zamilkł, rad, iż nie potrzebuje wdawać się w rozprawy, których unikał.

Zapadło milczenie. Czynił się już wieczór. Barczyste postacie nizkich rozrośniętych klonów straciły wyrazistość, sposępniały, majaczyły na tle zmierzchu ciemnemi kształty, podobne do szeregu groźnych wartowników, trzymających dokoła kościoła straż. Wśród liści przebiegało niekiedy drżenie i lekki poszum. Jednolite niebiosa zwisły, zdawało się, nizko nad wierzchołkami. Ale w pewnej chwili w szczelinie pomiędzy powłoką chmur zaświeciła nikła gwiazda, wysoka, nieskończenie daleko, świadcząc oddaleniem swojem o nieskończonej dalekości nieba. Siewierski dotrzegł tę gwiazdę.

—A może nic niema, tylko chaos, bezmyślny i przez to okrutny, tylko złe, obudza, omamienie— mruknął.

—Poco wstępowałem tu?—wyrzucał sobie w drodze—poco nagadałem mu? Co z tyh dociekań?!

I znowu ogarnęła go odraza do ludzkości, do świata, do własnych myśli, do myślenia wogóle.

—Jeśli nic niema, tylko chaos, tylko zło—myślał znowu niepoprawny, szukając wzrokiem tamtej nieskończenie odległej, drobnej gwiazdy, której dalekość świadczyła o dalekości nieba.

I nie mógł jej znaleść.

XI.

Jakkolwiek we wszechświecie panował może zamiast mądrego ładu chaos i zło, życie w Siewiersku i jego okolicy po krótkim okresie zamieszania wróciło do normy i toczyło się zwykłym trybem.

Sprzątnięto zboże, zakończono siewy, wybrano kartofle, puszczono w ruch krochmalnie. We dworze wstawiono podwójne okna na zimę, wydobyto z pak futra, które wietrzono kilka dni, Stasia rozpoczęła lekcye z Angielką z Francuzką, z nauczycielką, która wróciła z wakacyi, warzywa ułożono w piwnicach, a owoco w t. zw. salce. Janina jeździła, jak zwykle, co 10 dni mniej więcej do miasta po zakupy, do dentystki, do doktorów, których, zdaniem Jakóba, widywała zbyt często; Jakób dozorował robót jesiennych w parku, gdzie zasadził tę samą, co każdego roku, ilość drzew, lustrował folwarki, objechał lasy, naradzał się z rządcami, czytał, wysyłał znaczne sumy pieniężne na rozmaite cele społeczne, wśród których pokaźne miejsce zajęły szpitale, oraz instytucye, opiekujące się jeńcami i zesłańcami.

Kilka godzin wieczornych Jakób spędzał w małym salonie, "matejkowskim", zwanym tak z powodu wiszącego tam szkicu wielkiego mistrza, w towarzystwie żony, jak zwykle. Janina robiła papierosy, szyła pracowicie dla rannych, dla jeńców. Często czytali coś. Nieraz tematem rozmowy bywała wojna, którą Janina traktowała nieco sceptycznie, jak wszystko, której poświęcała, jak zwykle, tylko jedną czwartą uwagi, uczucia, myśli.

Miała na nią pogląd umiarkowany, a wiadomości traktowała z niedowierzaniem, obie strony wojujące także z niedowierzaniem, a w dodatku z jednakową dozą niechęci; to też w Siewiersku do sporów, od których wrzało gdzieindziej, nie dochodziło nigdy. W większości wypadków w głównych liniach Janina zgadzała się z mężem, często z zastrzeżeniami wprawdzie, czasami miarkowała jego uniesienie stereotypowym frazesem: " Ty zawsze zapalasz się" ... Zresztą Jakób, skryty wogóle czy zamknięty, w obecności żony ''zapa-

lał się i unosił się" coraz rzadziej, przyzwyczaiwszy się ukazywać jej tylko jedną czwartą myśli swoich i uczuć.

Przed wieczerzą przychodziła Stasia jednego dnia z Angielką, drugiego z Francuzką, przeglądano wspólnie "ilustracye", zabarwiając bezbarwne zdania na kolor koalicyjny. Potem po kolacyi Siewierski całował żonę w rękę i czoło i, otrzymawszy w zamian pocałunek także w czoło, zachodził na chwilę do Stasi, by usiąść przy łóżku dziecka, jeśli dziewczynka jeszcze chciała pogwarzyć, albo postać chwilę i popatrzeć, gdy spała już, poczem udawał się na spoczynek do swego odległego skrzydła.

Nazajutrz rano odwiedzał żonę w jej sypialni, pytał o sen, przynosił gazety, zadawał parę pytań, potem zabierał się do zajęć. Małżeństwo nie wchodziło sobie w drogę tak dalece, że kwestya małżeńska była może jedyną sprawą, nad którą Jakób zastanawiał się mało, a żona jego jedynym typem, który, zdawało mu się, poznał do gruntu, który przestał badać.

Po stracie matki, którą niezmiernie, może z egzaltacyą kochał, Jakób tęsknił do ogniska rodzinnego i dlatego zapewne ożenił się bardzo wcześnie, jeszcze podczas studyów uniwersyteckich, ożenił się zaś z Janiną, bo matka jego ceniła ją, lubiła i zalecała mu ją na żonę, bo piękna panna Janina podobała się studentowi, bo miło mu było myśleć, iż po pokojach dworu w Siewiersku krzątać się będzie ktoś, chętnie przez matkę tam widziany.

W świecie stwierdzono, iż Jakób Siewierski ożenił się nie nadzwyczajnie, ale pod każdym względem dobrze: z panną doskonale wychowaną, przystojną, z porządnej rodziny, posażną (majątki graniczyły). Ludzie i on sam nazwali to miłością. Ludzie i on sam uznali, iż małżeństwo jest zupełnie szczęśliwe.

W przeciągu pierwszych kilku lat młoda para podróżowała studyując, zwiedzając. Dużo mieli wspólnych zapatrywań, a w owym okresie i myśli. Zamało mieli wogóle wad czy też wspólnych wad... Gdyby podzielono między nimi te same przywary, zdarzyłyby się częściej zgrzytania, byłoby mniej pogodnie, ale byłoby może lepiej.

Wkrótce Siewierski poszedł dalej i głębej. Janina została w miejscu. Nie spostrzegli tego oboje. W kilka lat po ślubie przyszła na świat Stasia. Podczas ciąży i wkrótce po połogu Janina zapadła ciężko na zdrowiu (nerki, reumatyzmy, w połączeniu z różnemi powikłaniami) i lekarze orzekli, iż następna ciąża mogłaby zagrażać życiu. Wówczas to Jakób, który nie znosił wciskania się doktorów między męża a żonę, przeniósł się do swego odległego gabinetu, i odtąd stosunki między małżeństwem stały się jeszcze bardziej, jeśli to było możliwem, doskonale poprawnemi.

Janina i sama stosowała się i stosowała w domu wszystko, każdy najmniejszy szczegół, każdą godzinę do upodobań męża, Siewierski starał się ze swej strony ustępować w drobiazgach, o które nie dbał, starał się nigdy nie zadrasnąć żony. Siewierski przywiązany a przyzwyczajony do żony, przestał ją po prostu spostrzegać, liczyć się z nią odczuwać jej obecność nie w domu, lecz w życiu, w sercu swojem, w myślach. Janina zaś, która ceniła męża i szczyciła się nim i w skrytości uwielbiała go, uważała, iż jest najzupełniej szczęśliwą. Oboje nie stawiali sobie żadnych wymagań i ani ludzie im, ani oni sami nie mieli sobie nic do wyrzucenia.

To też nigdy żadna chmura nie zmąciła pogody pożycia w przeciągu kilkunastu lat, ani tej jesieni także. Dnie mijały spokojnie, podobne do siebie, czasami urozmaicone jakąś wizytą, albo wyjazdem. Dwory wogóle odwiedzały siebie nieco częściej w tej epoce, gdyż ludzie potrzebowali podziału, polowali na sensacye, oczekiwali nowin niezwykłych i spodziewali się, iż sąsiad je skądś zdobędzie albo, jeśli posiedli je sami, pragnęli czemprędzej zawieść sąsiadom. Siewierski za przykładem innych, także więcej wyjeżdżał z domu obierając za cel wycieczek zwykle Tyszowce chociażby dlatego, że nie dochodziło tam do sporów, które go nużyły; że pan Ignacy, sam ciągle w ruchu, wysypywał jak z rogu obfitości mnóstwo wieści, zazwyczaj pocieszających, często niepewnych, zwykle sprzecznych; że Aleksander, przykry w dyskusyi, bo arbitralny i uparty, wierzył w różne niemożliwe rzeczy, naprzykład w Polskę niepodległą i potężną w historycznych granicach; że Aleksander miał poglądy inne, niż wszyscy, w części może właśnie te, do których Jakób nie chciał się

przyznać nie z tchórzostwa wobec opinii, lecz że nie potrafiłby ich rozumowo usprawiedliwić.

Z panną Gorzelską Siewierski nie mówił o wojnie i wogóle widywał ją mniej rzadziej, krócej. Wojna, jak gdyby oddaliła ich czy rozdzieliła. Czasami, gdy Jakób przyjeżdżał, nie pokazywała się zupełnie, czasami przychodziła na krótko, często nie brała udziału w rozmowie, nawet najbardziej, dzięki Siewierskiemu, zajmującej lub błyskotliwej.

Zdarzyło się wszakże raz i drugi, iż Jakób, dojeżdżając do Tyszowiec, przypadkiem spotkał ją, idącą lub wracającą ze spaceru. Jakób wysiadał i szli razem. Odtąd Siewierski postarał się z przypadku uczynić zasadę i przyjeżdżał w porze, w której wiedział, iż spotka pannę Kasię. Przechadzali się we dwoje szpalerem lip i klonów, których płaszcze kapały złotem, ociekały szkarłatem, szli dalej za szpaler lip aleją bzową, usypaną drobnemi, koloru gromnicy liśćmi, w pole. Mówili przeważnie mało Kasia niekiedy od niechcenia zwracała uwagę jego na jakiś drobny szczegół, na zarys. kształt, oświetlenie obłoku, cudne odcienie wśród drzew, klucz odlatujących na południe żórawi, niekiedy Siewierski coś wskazał. Porozumiewali się doskonale. I gdy dawniej Siewierski wysilał się, by nawiązać i utrzymać nić rwącej się rozmowy, na spacerach milczeli z upodobaniem. Milczeć przywykli. Jakże Siewierski był wdzięcznym jej, iż nie poruszała zagadnień wojny, spraw, które bolały ją i jego, o których pragnął na krótko chociażby zapomnieć.

Często wzrok Siewierskiego szukał jej ócz przedziwnych, zielonych jak toń onego jeziora, nad którem śpiewała niegdyś, tak już dawno temu, często spojrzenie pieściło śliczną jej rękę, w której tkwiła więz traw i wrzosów, jakiś podniesiony z piasku liść osobliwie i cudacznie piękny.

Zapanował między nimi stosunek łatwy. Któregoś dnia Kasia opowiedziała z prostotą dzieje swego dzieciństwa i sieroctwa, o ciężkich latach, spędzonych w ubogim domu ciotki, w odległym mieście rosyjskiem, o tęsknocie za Polską nieznaną, o bracie Stefanie, który zmarł w Syberyi, którego pamięć czciła o wędrówce zagranicznej...

Siewierski słuchał, przeżywając opowieść, wczuwając się w nią, przejmując się. Patrzał w oczy, które pełne były,

blasku. Były rzeczy, których nie rozumiał były szczegóły, które pragnął by poznać. Nie pojmował, czemu i skąd panna Gorzelska, córka zamożnego niegdyś domu spokrewniona z Jagminami, znalazła się na bruku prowincyonalnej mieściny rosyjskiej, czemu ciotka i brat nie wrócili z nią do kraju, do Polski, co stało się z majątkiem w Mścisławskiem.

Nie pytał o nic, zgadując, a w części przypominając sobie, że w rodzinie Gorzelskich były jakieś nieszczęścia, tragedye, przejścia, o których słyszał był dawniej. Nie pytał także, dla jakiej sprawy cierpiał brat, czy ona podziela w zupełności brata poglądy, czemu z szyderstwem napomknęła o tym lub tamtym... Nie chciał przerywać pasma zwierzeń, bał się, iż wywoła jakąś niewczesną uwagą zgrzyt. Zresztą cóż z tego, że on nie podpisałby się pod programem brata, że on i Kasia kochali książki w młodości, innych ludzi wielbili. Przeczuwał niemal od pierwszej chwili, że zapatrywania ich nie dałyby się zamknąć w tej samej szufladzie, iż różnymi szlaki wędrowała ich myśl, by dojść, kto wie, może do tych samych wyników, może dziś już, jeśli nie dziś, może z czasem...

Narazie panowały między niemi znaczne różnice. Przekonał się o tem niebawem, przekonywali się zresztą codziennie z drobnych uwag, z niedomówień, z przemilczeń. Pewnego dnia zabrnęli nejniepotrzebniej w dziedzinę filozofii, religii, psychologii. Jakób niechętnie podążał za nią w tym kierunku. Pokazało się, iż stoją niemal na dwu biegunach. Ona wierzyła w postęp, w tryumf sprawiedliwości, prawdy, etyki, w rozum, w człowieka i w szczęście, w ludzkość i raje na ziemi; zagadnień religijnych nie złębiała nigdy. Nie spierali się, nie próbowali siebie przekonać, przeciwnie Siewierski usiłował znaleść, czy przerzucić jakiś nad pozorną, zdaniem jego przepaścią most, gdy ona chwilami, jak gdyby z upodobaniem uwydatniała rozbieżność.

—W oczach pana—wszystko marność nad marnościami. Wielki mędrzec i wielki król to orzekł albo na schyłku życia, albo w godzinach przesytu. Ludzkości zaś wogóle daleko daleko do schyłku i przesytu.

—Zapewne.

—A widzi pan... Należy tedy budować... Pokolenia mają, robota trwa... I to jest cel.

—Papierowy, na papierze dla ludzkości, która jest oderwanem pojęciem, więc czemś także istniejącem tylko na papierze. A pani, dla mnie?

—Przedewszystkiem cel powszechny... powtóre życie każde ma znaczenie samo w sobie i przez się...

—Jakież, proszę pani, znaczenie?

—Szczęście...

—Które przebywa w wierszach, w wyobraźni, w programach...

—Którego niema na papierze, t. j. teoretycznie, a które jest w każdem życiu, bo inaczej nie wytrzymaliby ludzie.

—Pani tedy twierdzi, iż szczęście siedzi w fotelu, wygodnie rozparte w każdem mieszkaniu każdego człowieka.

—Nie w fotelu i nie wygodnie rozparte i nie w przeciągu 60 do 80 lat od pierwszego do ostatniego dnia. Może to być jedna godzina, może być godziną poświęcenia i zgonu, może być umiłowaniem całego życia.

—Jakże rzadko takie umiłowanie idzie w parze ze szczęściem.

—Zawsze. Ludzie, którzy kochają, nie szukają przecież celu. Kochanie jest celem i szczęściem. A w każdym życiu jest umiłowanie, jakieś kochanie, jakaś miłość... Rozróżniam te trzy pojęcia... Wszyscy coś, czy kogoś kochamy, wszyscy tedy jesteśmy szczęśliwi... powtóre wszyscy dążymy do szczęścia, a pragnienie szczęścia jest właśnie może szczęściem.

—Pozornie pani mnie pobiła. Zgadzam się z panią, iż pożąda człowiek szczęścia, ale to pożądanie, nazwane przez panią szczęściem, określiłbym jako wolę życia.

Dalszej rozmowie położyła kres panna Adela, wracająca piechotą z sąsiedniej wsi.

Zdarzyło się potem, iż dla różnych przyczyn z powodu choroby Stasi i własnego niezdrowia, z powodu interesów, z powodu gości, oraz wyjazdu do miasta, Siewierski w przeciągu przeszło tygodnia nie był w Tyszowcach. Gdy wreszcie postanowił i mógł wybrać się tam, Janina przyniosła mu zaproszenie z Targowca na śniadanie, a razem z zaprosze-

niem projekt odwiedzenia Targowieckich i Zapolskich tego samego dnia.

Jakób ustąpił żonie, jak zwykle. I w Targowcu podczas śnidania i w drodze, Siewierski, doskonale wyrobiony światowo, zabawiał wszystkich, kogo trzeba było, ale Janina znała każdy odcień w usposobieniu, każdy półton w głosie męża i parę razy spokojne jej oczy przez szkła przyjrzały się przelotnie, ale uważnie mężowi.

Zaledwie weszli do salonu w Tyszowcach, Siewierski spostrzegł pustkę... i odczuł pustkę, a wśród pustki słaniał się cień jakiś. Siewierski czekał, kiedy też przyjdzie panna Kasia, wiedział wszakże, iż ona nie przyjdzie zupełnie. I dziwne uczucie pustki, pustki w nim i dokoła niego, w domu, w ludziach, w rozmowie, która toczyła się, wzmagało się. Siewierski nie potrzebował nawet pytać o Kasię. Wiedział, że jej niema. Zato Janina zapytała w jakiejś chwili o pannę Gorzelską.

—Wyjechała kilka dni temu do Warszawy, do szpitala —jęły opowiadać, przeszkadzając sobie i przerywając sobie panny Adela i Karusia, obie mówne.

—Do szpitala—zdziwiła się Janina, która nie dziwiąc się naprawdę niczemu, zawsze potroszę dziwiła się wszystkiemu.

—Wszystkie panny stają się siostrami miłosierdzia. Wkrótce będzie więcej pielęgniarek, niż chorych...

—Nell Targowiecka wybiera się także—spokojnie zauważył Jakób.

Potem przyszedł pan Ignacy, pół godziny temu przybyły z miasta, z worem najświeższych nowin. Siewierski z zajęciem słuchał, z ożywieniem rozprawiał, panowie pochylali się nad mapą, wykreślali linię frontu, przesuwano chorągiewki, krajano mapę, Europy, którą to ostatnią czynność prezez Zapolski uprawiał z upodobaniem.

Siewierscy zostali dłużej niż zamierzali, zostali do wieczora mimo nalegań Janiny. Gdy wrócili do domu, była właśnie godzina, którą Stasia spędzała z rodzicami w towarzystwie jednej z nauczycielek. Przeglądano "Graphic", "London Illustrated News", "l'Illustration", oglądano oblicze

królewskie, otyłą postać dobrodusznego Jofre'a w różnych pozach, prezydenta zawsze w tym samym płaszczu z peleryną, pola bitew, okopy. Po wyjściu Stasi, Siewierski czytał coś żonie, potem udał się na spoczynek i znowu czytał, zdając sobie sprawę, iż tkwi w nim jakaś myśl, której lepiej nie naruszać. Może był to tylko cień, słaniający się w pustce.

Nazajutrz zabrał się do codziennych zajęć.

Ale w pewnej chwili myśl owa, której nie należało dotykać, niespodzianie wydobyła się na wierzch.

Wracał właśnie z obory, dzie przypatrywał się, jak zasypano rasowej młodzieży holenderskiej obrok i makuchy, głaskał lśniące grzbiety, dawał cielakom ręce do lizania, cieszył się z łakomych szorstkich języków, pieścił łby, dotykał zimnych, mokrych pyszczy...

Wracając z obory, zboczył do parku. Dzień był pełen ciszy i piękna, tak, jak pełnemi ciszy i piękną były niebiosa, błękitniejące po przez nikłą mgławicę chmur. Najlżejszy powiew nie zakłócał milczenia drzew, które trwały zasłuchane w coś, czego człowiek nie słyszy, zadumane nad czemś, czego człowiek nie zna; czasami spływał z konarów wolno liść złoty na trawnik, albo w wodę kanałów...

Najlżejsza marszczka nie mąciła gładkiej powierzchni wody, spokoju zadumy kanałów, które dumały nad niewiadomą człowiekowi tajemnicą. Wszystko wiedzącą, wszystko pamiętającą wydawała się ta nieruchoma, milcząca toń. Kryje w łonie swojem, w głębiach swego bytu piękno dni, które przeszły, i tajnię czasów, co będą. Wszystko w niej trwa: chmury wędrują niebem i mijają, a ślad nikłego ich istnienia zostaje w głębinie. Kształt drzew, które przywdziały płaszcze z purpuru i złota, i obraz niebios, cień ptaka, który przeleciał, oślepiającą zjawę błyskawicy, wszystko zachowa w sobie toń, przechowa i ukaże kiedyś, a wyjawi, i wszystko odnajdzie się daleko, głęboko, na samem dnie, na dnie...

Siewierski przechadzał się, wchłaniając niewysłowiony czar pogody jesiennej. Ogarnięty czarem, słabł w postanowieniu swojem, pozwolił odezwać się wspomnieniom, przemówić żalowi. I wybuchło w nim naraz nie papierowe teore-

tyczne pragnie nie jakiegoś papierowego szczęścia, lecz istotny, rzeczowy, nazwany po raz pierwszy po imieniu głód kochania, zerwała się niezmierna tęsknota za tą, co odjechała, za Kasią, żywa tęsknota za żywą drogą istotą, na głosem i spojrzeniem, za ręką i uśmiechem, za każdem jej zwaną także po raz pierwszy po imieniu, za oczymi jej, za słowem i ruchem, zerwał się żal, czemu niema jej tu, czemu nie patrzą razem w cudne oblicze tej godziny, w oblicze wód...

A potem uczyniło się w sercu znane mu już niebezpieczne uczucie pustki, szczości.

Przyśpieszył kroku, przebiegał aleje, a że był w krótkim sportowo — gospodarczym stroju, pracującym ogrodnikom zdawało się, że dozoruje ich roboty, że wybiera się na folwark. Potem zawrócił i szybkiemi kroki podążył ku domowi. Sięgnął po Ruskina, którego wspomnienia czytał od dłuższego czasu bez powodzenia, na którym zawiódł się. Odłożywszy Ruskina, wziął Amiela, który nie zawodził nigdy.

W przeciągu kilku tygodni oddawał się gorliwiej, niż przedtem gospodarstwu, wyszukiwał sobie wciąż nowe zajęcia, pisał swoje studyum o ruchu religijnym w Anglii, a porzuciwszy je, pisał o powieści rosyjskiej, następnie rozprawę polityczną. Janina dowodziła, że mizernieje, że zbyt przejmuje się wypadkami, że powinien przewietrzyć się, poradzić się u lekarzy warszawskich.

Siewierski bronił się, wreszcie uległ. Chciał przyjrzeć się stolicy w niezwykłym okresie dziejów narodu, zaczerpnąć szerszego oddechu.

XII.

Była epoka, w której Siewierski, bardzo jeszcze młody, oburzał się na sławiony w "Kuryerach" "syreni gród", jako na miasto płytkie i lekomyślne. Następnie z biegiem lat im lepiej poznawał, im lepiej wżywał się w życie udręczonej stolicy, tam więcej lubił ją, ceniąc twardą pracę, kryjącą się w zaułkach i podziemiach, hart, hojne, gorące serce.

Obecnie zaś od dość już dawna Warszawa nękała go i nużyła, budząc echa, które wolałby stłumić, wzniecając uczucia niekoniecznie najszlachetniejsze. W ciszy Siewierska pchał żywot swój bez filisterskiego zadowolenia, ale też nie trapiony ustawicznie niby na egzaminie badaniem: co zdradzał? czego jest warte życie jego i on sam? Codzienne zajęcia, a zwłaszcza praca wewnętrzna, tłumiły owe dokuczliwe pytania. Im dalej od ludzi, tem wyżej wzbijały się myśli, czystszym stawał się "ton", głębiej spoglądał wzrok. Zdawało się wprawdzie często Siewierskiemu, że rola jego nie jest jeszcze skończoną, że być panem na Siewiersku nie wystarcza.

Ambicya zżymała się nieraz, trzymał ją na wodzy i na wsi czekał spokojnie, czekał cierpliwie, czasami mówił sobie, że nie warto rozpoczynać walk, i szukać chwały, że wszystko marność... Mijały pogodne dnie, miesiące... Ale w Warszawie, wśród szerokiej areny, na targowisku próżności, między szrankami zapamiętałych zapaśników, wypełzały z ukrycia i ambicyą i miłość własna i nawet zawiść. Ogarniała go niecierpliwość. Człowiek wewnętrzny krył się gdzieś i milkł. I Siewierski porównywał los swój z karyerą tych, którym "poszło", siebie zaś z tymi, którzy wypłynęli, zasłynęli... Nie byli ani lepsi, ani zdolniejsi, ani mędrsi od niego, a jednak znaleźli się w pierwszym szeregu, otoczeni uznaniem, gdy Jakób Siewierski, któremu koledzy, matka przez ambicyę i miłość, pożądająca dla syna prócz szczęścia i cnót wszelkich splendorów, i on sam wreszcie przepowiadali najświetniejszą przyszłość, gdy Jakób Siewierski nie tylko nie wdrapał się na żaden szczyt, ale z każdym rokiem jakby staczał się niżej i z każdym rokiem stawał się bardziej samotnym. Nie umiał płynąć z prądem, dostosowywać, nigdy nie zgadzał się z większością, czyli z opinią przeciętnego ogółu. To samo było i tym razem.

Na wstępie uderzyła Siewierskiego panująca i tu także, znana mu już, niepojęta, tak mało usprawieliwiona, zdawało się, radość. Gazety pisały o spustoszeniach, o nędzy, o zabitych, w gazetach społeczeństwo załamywało ręce i rwało szaty—żywi ludzie zaś cieszyli się. W tramwajach, w cukierniach, w restauracyi i klubie, w redakcyi, na chodnikach

i w salonach, wszędzie widziało się zadowolone twarze. Cieszono się z wygranej bitwy, z pułków syberyjskich, z kongresu, który będzie, z obietnic, czy też z nadziei, i w oczekiwaniu obietnic z przyjazdu jakiegoś korespondenta, z jakiegoś gdzieś artykułu. Szeptem, lub głośno powtarzano sobie jakieś półsłówka, na podstawie łamigłówek dyplomatycznych wierzono w tych, lub tamtych...

Wszyscy wierzyli niezachwianie, wszyscy wiedzieli napewno i wszyscy mieli racyę. Społeczeństwo podzieliło się na partye, które wojowały między sobą, równie zaciekle, jak beznadziejnie. Zapamiętałe ataki i kontrataki trwały bez przerwy. Przeciwników politycznych, ludzi najzacniejszych, oskarżono, dlatego, że byli przeciwnikami, o zdradę i przedajność. Każdy z walczących obozów głosił, iż poza nim niema patryotyzmu, rozumu, zbawienia.

Siewierski, który był wszędzie, nie potępiał żadnego w czambuł i nawet bezstronnie "odmierzał" wszystkim sprawiedliwość, (wszędzie był źle widziany), ale sam do żadnej partyi nie wstąpił, spodziewając się wciąż jeszcze, iż wszelkie partye wkótce przestaną istnieć, a kiedy na kilku posiedzeniach przemawiał w tym duchu i nawoływał do utworzenia jednego ogólno-narodowego stronnictwa, zebrani albo nie słuchali go zupełnie, albo uważali za niedoświadczonego dyletanta, albo podejrzewali o jakieś szkodliwe knowania.

Siewierski przekonał się rychło, jak tylu innych przed nim i po nim, że jest głosem wołającego na puszczy. Swary stronnicze niepokoiły i gorszyły Jakóba, ale inne zjawiska, które Siewierskiemu zaraz na wstępie rzuciły się w oczy, z któremi zaś oswoili się, czy też których nie spostrzegli członkowie partyj, stronnictw, grup, dotkliwiej gnębiły go i martwiły.

Stolica kraju, największe miasto w Polsce, zalane powodzią wojenną, stało się zwykłą na tyłach armii mieściną, jakimś, rzekłbyś, przeciętnym grodem gubernialnym. Nikt nie pytał narodu o jego stolicę, a stolicy, czy chce, aby jej broniono—traktowano ją, jak własność. I Polski nie było, była tylko część olbrzymiego imperyum. W okresie największego ucisku, w najcięższej epoce zupełnego o Polsce na

całym świecie milczenia i zapomnienia, Siewierski nie doświadczał takiego, o los ojczyzny niepokoju, jak dziś, gdy wszędzie powtarzano jej imię, gdy tyle o niej gadano, gdy gazety zagraniczne raczyły podawać pochlebne wzmianki...

Dwie dzielnice zniszczyła inwazya, naród ociekał krwią, a walczył nie dla siebie w armiach, które biły się na ziemi polskiej, synowie Polski ginęli bratobójczo od kul, pocisków i bagnetu z ręki rodaka... Mimo to ludzie cieszyli się z czegoś, i życie toczyło się tak niemiłosiernie, normalnie. Handel kwiatł, hotele, restauracye, teatry i redakcye, robiły "złote interesy", jak za najlepszych czasów na najlepszym ze światów; zdawało się, że nie zmieniło się nic.

Nie zmieniło się także nic w wielkim świecie, gdzie podobno wyrzeczono się strojów, gdzie wszystko było po dawnemu.

Siewierski odwiedził Poryckich, t. j. księżnę Wilgę i męża jej tak zwanego milczącego gsięcia, Świerżeńskich, Odrzykońskich, był parę razy na śniadaniu u mądrej i miłej Tereski, którą bardzo lubił, spierał się z jej mężem, pełnym tupetu politykiem, którego nie znosił, odsiedział modne przyjęcie u cioci Tereni i wyszedł, nie dosłuchawszy do końca zawiłych pod przewodnictwem nieomylnego Szczerbiowskiego rozpraw na temat oryentacyi, odezwy, zjednoczonej autonomii... Wolał już włóczyć się źle oświetlonemi ulicami pod deszczem listopadowym, który to mżył dokuczliwie, to prażył gęstemi, dużemi kroplami. Z drzew alei wiatr strącał ostatnie liście, oddawna zwarzone, i niósł je pod stopy przechodniów, pod kopyta dorożkarskich szkap na haniebną poniewierkę.

Siewierski mimo słoty szedł powoli. Dawno już nie odczuwał takiej nędzy w sobie, takiej niedoli dokoła. Chciałby nie widzieć Warszawy, tłumów na chodniku, kamienic, najbardziej zaś chciałby nie mieć do czynienia z sobą samym. Nie złorzeczył partyom, nie potępiał żadnej z nich, szczególnie nie oburzał się na domorosłych mężów stanu i ich pomysły. Cóż znaczą bowiem te jakieś waśni, obozy, oryentacye? Stronnictwa rozpadają się, mali ludzie, robiący, czy uprawiający wielką politykę, runą ze swoich piedestałów, zmieceni przez wicher dziejowy. Niepotrzebnie też za-

zdrości powodzenia Szczerbiowskiemu, jeśli zazdrości wogóle. Czyżby zazdrościł?

Siewierski rozważał coś przez chwilę w skupieniu, jak gdyby nicował siebie i przetrząsał aż do samego dna.

Nie szuka przecież chwały własnej—usprawiedliwiał się przed sobą—gotów jest złożyć ofiarę...

Każdy tak twierdzi—szydził z siebie dalej—gdzież są wszakże jego ofiara i czyny? Łatwo w salonie ciskać szyderstwa i gnębić Szczerbiowskiego. Powiedział od początku wojny kilka złośliwych dowcipów, które kursują po świecie, które jednych rozgniewały, innym podobały się. Na tyle tylko potrafił się zdobyć. Należało przynajmniej pójść i zginąć z honorem, jak Stefuś...

Siewierski patrzał na oddział sołdatów, kroczący ulicą, wspominał coś.

Dlaczego nie doczekali wyrocznej godziny ci, którzy cierpieli, i kochali za miljon?—dumał znowu. Czemu dziś, gdy ważą się losy narodu, niema mężów wielkich i świętych? Tamci pomarli w męce i tęsknocie, my, niegodni, dożyliśmy. W największej chwili dziejowej—mali, mierni, marni ludzie, którzy nie potrafią ani wznieść się, ani udźwignąć. Nikt nie dorósł do ogromnych czasów—nikt najmniej zaś on, który nie znalazł w sobie ani wiary, ani bohaterstwa.

Czemu nie poległ dla ojczyzny, jak Stefuś, czemu nie poległ, szczęśliwy złudzeniem, iż walczy o Polskę, niepodległą!—powtarzał, patrząc w rzadkie błoto na bruku, w kałuże, na liście, na niebo, którego nie było, w ciemny, kapiący chłodnemi kroplami obszar nad głową. Polska, o której skrycie marzył, zdała mu się zgubioną.

Nie mógł odegnać upartej myśli, czy też upartego uczucia, że Polski, że ojczyzny nie było. Przed wojną w okresie najsroższego ucisku, w męce wśród powszechnego zapomnienia, gdy milczano o Niej tu i na świecie, gdy imienia Jej nie wolno było wymówić—była ojczyzna; dziś, gdy gadają partye, gazety piszą, gdy dużo obiecują różni szachraje—niema ojczyzny. I jeśli nie teraz, czasu tej wojny, to nie będzie już nigdy Polski wielkiej, potężnej, niepodległej. Kto uczyni ten cud? Chyba prawica Pana powali obu wrogów jednocześnie!

—Jakób Antonowicz!—usłyszał naraz Siewierski.

Nie wierzył uszom swoim, nie przypuszczał, by jego to ktoś zaczepił. Nie znał prawie Rosyan, tembardziej nie znał żadnego w Warszawie. Szedł dalej.

—Jakób Antonowicz!

Siewierski nie poznał ani głosu ani twarzy tego, który wołał tak głośno i natarczywie z przeciwległego chodnika, dopędził go, pochwycił za rękaw, trzymał mocno.

Był to ów przygodnie spotkany w Tyszowcach Djakow. Dobroduszny Moskal nie tylko zapamiętał Jakóba, lecz z właściwym Rosyanom talentem wyszperał imię jego ojca. Witał Siewierskiego niby przyjaciela—i zaraz począł mówić dużo, potoczyście, z zapałem.

Mrużąc od czasu do czasu swoim zwyczajem oczy krótkowidzą, zachwycał się Warszawą, w której bawił po raz pierwszy i "drogim serdecznym, polskim narodem", który poznał i ocenił dopiero teraz należycie, unosił się nad zbrataniem obu narodów, powaśnionych przez nieporozumienie, między któremi wróg podstępnie siał niezgodę, unosił się nad zupełną wspólnością celów, napomknął o szowiniźmie garstki nieprzejednanych, z którym niestety spotkał się we Lwowie, upajał się odniesionem zwycięstwem, które było zwycięstwem prawdy i sprawiedliwości. I dzielił się wrażeniami, wywiezionemi przed tygodniem z wyswobodzonej Galicyi, opowiadał o entuzyazmie wydobytej z pod jarzma ludzkości, witającej braci swoich i zbawców na kolanach, ukazywał promienny obraz wyzwolonych i zgromadzonych pod jednym berłem ludów, ukazywał raj przyszłego szczęścia, które zapanuje na olbrzymim obszarze olbrzymiego mocarstwa od Bałtyku do Karpat, od Finlandyi do Konstantynopola.

Zasłaniał Siewierskiego swoim parasolem i mrużąc od czasu do czasu oczy krótkowidza, prawił z rozsnącym zapałem. Mówił o Konstantynopolu, o Aja Sofii, o posłannictwie Rosyi.

Gęste krople rzęsistego deszczu bębniły w parasol. Siewierski słuchał... Nie wiedział, kędy schronić się od deszczu i historyozofii wymownego towarzysza.

Niegrzecznie pożegnał go na jakimś rogu, skręcił na prawo, wstąpił do pierwszej lepszej cukierni, na szczęście pustej. Odruchowo sięgnął po dzienniki, po obrzydliwe, wytłuszczone ku wieczorowi, pomięte dzienniki cukierni. Przeglądał telegramy, wiele razy już dnia tego odczytane, codzień inne, codzień te same, szukał wiadomości, których w gazecie nie mógł znaleść.

Odłożył pisma. Znękany wzrok jego tułał się po sali, nudnej i pospolitej, jak nudnemi były pluszem obite kanapy, marmurowe stoliki, lustra, lampy, ciastka i twarze ludzkie, beznajdziejne przeciętne.

Mimo odrazy do myślenia, popadł w zadumę.

W otoczeniu najbardziej mieszczańsko—filisterskiem, wśród miejskiego szyku tanich pluszów i marmurów, ukazywał się obraz jakichś dalekich, zgubionych w mroku nocy listopadowej i mroku niedoli okopów, snuła się legenda o bohaterstwie tych, których "imię było legion", snuła się skarga, iż na marne pójdzie ofiara, zrywał się ból, iż polegną wszyscy, iż może już polegli.

—Witam szanownego dziedzica!

I znowu Siewierski zdziwił się, lecz tym razem poznał natychmiast adwokata Dollinga, który pomimo słoty, niedzieli i jesieni zachował energię i humor. Znać to już chociażby było z żartobliwie poufałego tytułowania "dziedzicem".Adwokat ucieszył się z Siewierskiego tak szczerze i widocznie, iż to nawet wprawiło tego ostatniego w zdumienie. Nie łączyła ich przecież przyjaźń.

Młody prawnik usiadł, obstalował filiżankę czarnej kawy i odrazu, bez wstępu czy prologu rozpoczął, jak gdyby najpilniejsza zachodziła potrzeba, rozprawę polityczną. Siewierski słuchał objętnie tak, jak niedbale przed chwilą przeglądał zmięte gazety.

Mecenas sadzał i Siewierskiego i cały naród polski to na ławie oskarżonych, to na ławie uczniowskiej i albo pociągał do odpowiedzialności, albo udzielał nauki. On także wiedział wszystko, on także nie wątpił. Mówił gorączkowo, błyszczącemi oczyma patrzał ponad głową Jakóba w najbliższe zwierciadło. Nawalne myśli, zdawało się, rozsadzą

zaraz wypukłe czoło i czaszkę pod kręcącą się czupryną. Zdawało się, że grube semickie usta nie zdążą wymówić, czy wypluć natłoku słów.

Siewierski nie zaprzeczał prawie, on zaś zapalał się coraz bardziej. Z pomocą najpewniejszych cyfr, najściślejszej statystyki udowadniał swoją tezę, wygrywał bitwę za bitwą, posuwał się zwycięsko na wschód, coraz dalej na wschód krajał mapę.

—A jeśli pan nawet zada wszystkie te klęski—zauważył Jakób—dla nas...

—Po stu latach niewoli odetchniemy nareszcie. Wydobędziemy się z pod przemocy ciemięzcy. To chyba krok naprzód!—świecące oczy prawnika stały się urągliwemi, zwęziły się, usta zacisnęły się w grymas mściwej nienawiści.

—Niektórzy twierdzą wręcz przeciwnie—mruknął Siewierski, dla którego wogóle spory i kawiarniana polityka, a tembardziej spór z Dollingiem w cukierni nie przedstawiały uroku.

Urągliwe oczy Dollinga patrzyły w niego znacząco, a usta szydziły wzgardliwym uśmiechem.

Nastała cisza.

Nagle adwokat pochylił się ku Siewierskiemu.

—Z wyroku aniołów, z osądzenia świętych złorzeczymy tobie, odłączamy, wyklinamy ciebie wyklęciem, którem Jozue wyklinał Jeryho... wszystkiemi klątwy, które zapisane są w księdze prawa... przeklęty niech będzie we dnie, przeklęty w nocy, przeklęty, gdy kładzie się, przeklęty, gdy wstaje, przeklęty, gdy wchodzi, przeklęty, gdy wychodzi... Niech Pan nigdy mu nie przebaczy... Niech pomsta i gniew Pana gorzej nad tym człowiekiem i niech dotkną go wszystkie klątwy, które zapisane są w księdze prawa... Nie wolno odtąd nikomu mówić z człowiekiem tym, ani pisać do niego, ani okazać mu dobroci, ani mieszkać z nim pod tym samym dachem...

Groźnie i namiętnie brzmiał szept.

Siewierski słuchał pomimo woli ze strachem zabobonnym.

—Temi mniej więcej słowy w wieku XVIII żydzi portugalskiej synagogi w Amsterdamie wyklęli mego współwy-

znawcę Barucha Spinozę—powtarzam to sobie codziennie.

Dolling urwał znowu. Oczy jego patrzały już nie w lustro i nie w Jakóba, ale w przestrzeń. Usta zacisnęły się w ten sam wyraz zawziętej mściwości. W słowach straszliwej klątwy i w nienawiści mówiącego była moc. Siewierski stracił z ócz nudną i banalną cukiernię, oraz samego adwokata. Jakieś złowrogie tchnienie średniowiecza wionęło w twarz Jakóbowi, przesunął się koło niego upiorny cień olbrzymiej postaci biblijnej zagniewanego proroka, czy mściwego kapłana, ukazała się wzniesiona do góry karząca dłoń... Trwało milczenie.

—Kogo pan tak przeklina?—spytał Jakób.

—Kogo? kogo?—gniewnie i urągliwie powtórzył pytanie adwokat.

I znowu nastała cisza.

Siewierskiemu przypomniał się znany okrzyk Disraeli'ego, że Bóg narodom wymierza sprawiedliwość podług tego, jak narody traktują żydów.

—Gdybyśmy umieli przynajmniej tak nienawidzić!—pomyślał Siewierski.

—I mogę panu dziedzicowi zaręczyć—odezwał się mecenas—iż nie będę ofiarowywał złotej szabli za zdobycie Warszawy.

Zaśmiał się rad z dowcipu i dokuczał Siewierskiemu, który nie miał co rzec, szyderczym wzrokiem.

Adwokat zmalał znowu do rozmiarów kawiarnego polityka.

—I doprawdy, panie, nie otrzymałem ani jednej marki i nie robię na zajęciu Warszawy geszeftu—śmiał się nerwowo.

—Nawet przeciwnie... Ojciec mój, który zajmuje się handlem, robi teraz, jak mówią, złote afery.

Dollig umilkł, niezadowolony z wojskowych, którzy usiedli przy sąsiednich stolikach.

—Odwiedzał też pan Piotra Zapolskiego?—spytał, zmieniając temat.

—Nie, nie wiedziałem...

—To pan nie słyszał, iż on jest ciężko ranny, że amputowano mu nogę—opowiadał adwokat.

—Słyszałem, lecz nie przypuszczałem, iż w Warszawie...

—To i panny Gorzelskiej pan nie widział?

—Nie—sucho odparł Jakób.

—Panna Gorzelska pracuje właśnie w szpitalu, gdzie leży biedny Piotrek. Niech pan go odwiedzi. Panna Gorzelska przychodzi czasami tu... Jeśli pan ma czas, możemy poczekać...

Siewierski nie rzekł nic i został w cukierni. Rozmowny adwokat nie przestawał rozprawiać. Mijały kwadranse. Wojskowi wynieśli się. Dolling powrócił na utarte tory polityki.

—Otóż i ona!—zawołał w jakiejś chwili.

Zanim mecenas zwrócił jego uwagę, już Siewierski spostrzegł był pannę Kasię, która wchodziła do pokoju w towarzystwie jakiejś damy, ani młodej, ani starej, nijakiej.

Wstał i ukłonił się. Ona zaś porzuciła towarzyszkę i z prostotą zbliżyła się.

—Nareszcie i pan w Warszawie! — przywitała przyjaźnie—a w szpitalu pan się nie pokazał...

—Przyjechałem dopiero kilka dni temu — dość niezgrabnie tłómaczył się Siewierski.

I spoglądał w nią bardzo pilnie, jak gdyby nie poznawał i porównywał z kimś, lub z czemś, z jakimś obrazem, ze wspomnieniem, jak gdyby zdawała mu się inną.

Tyle razy zabraniał sobie wzmianki o niej, tyle razy marzył, tak pragnął, tak czekał... Oto była przed nim niepozorna, szczupła, mizerna, i rzekłbyś uboga, zwłaszcza w zestawieniu ze świetnemi, strojnemi paniami, które podziwiał przed godziną.

Dziwił się, czemu panna niepozorna, o niekształtnym nosie i nieładnym profilu, źle ubrana, zgaszona była właśnie tą, za którą tęsknił, za którą oddałby wszystkie tamte strojne, piękne, świetne panie z salonu Szreńskich... Dziwił się, ale tak było...

Tak, oddałby wszystkie tamte strojne, piękne, świetne panie z salonu Szreńskich za jedno spojrzenie jej ócz, za uśmiech tych ust, pochmurnych, które umiały uśmiechać się swawolnie, za głos jej, za dotknięcie, za pieszczotę tej ręki, ukrytej w wytartej rękawiczce.

Stała przed nim w mokrym kapeluszu, który zasłaniał śliczne czoło i włosy, zmoknięta z parasolem, z którego ściekały krople. We wspomnieniach widział ją dotąd na tle piękna letnich godzin, wśród przepychu jesiennej przyrody— dziś, w słotną niedzielę listopadową, w nieznośnej cukierni warszawskiej była inną, a jednak właśnie tą, za którą tęsknił.

—Niech pan odwiedzi Piotrusia—zapraszała go tymczasem—pan wie... ile biedak się nacierpiał...

Umówili się co do godziny, poczem Kasia odeszła do towarzyszki, chciwie pijącej czekoladę i niemniej chciwie wczytanej w dzienniki.

"Nie potrafiłem uwierzyć, nie zdobyłe się na czyn, nie potrafiłem poledz, jak Stefuś... Niechby przynajmniej szczęście"—niespodzianie z nieuświadomionych przesłanek wysnuły się w myśli Siewierskiego wnioski, gdy doczekawszy wyjścia panny Gorzelskiej i pożegnawszy na jakimś rogu mecenasa, wracał do hotelu.

Nie zgłębiał, ani zbijał tych myśli.

Nad miastem mżył chłodny, utrapiony deszcz listopadowy.

XIII.

Nazajutrz o umówionej godzinie Siewierski udał się pod wskazanym adresem. Panna Gorzelska pracowała nie w słynnym i modnym szpitalu, którym słusznie zresztą szczyciło się miasto, lecz w podrzędnym i względnie zaniedbanym, gdzie nie było ani wielkoświatowych opiekunek i pielęgniarek, ani ostatniego słowa nauki, a cierpienia chorób i roboty tyleż, co wszędzie.

Mocny zapach lekarstw, jodoformu, eteru, chloroformu i jodyny wionął na Jakóba, zaledwie usłużny żołnierz otworzył mu drzwi i razem z zapachem tym ogarnęło Siewierskiego onieśmielenie, którego doświadczał zwykle i na widok nieszczęścia i bólu fizycznego.

Nieśmiało szedł wązkiemi schodami i przez korytarze, gdzie przechadzało się dużo chorych w "chałatach". Wszy-

scy z ciekawością, prawie natrętnie, oglądali przybysza, jak gdyby spodziewając się czegoś od niego, jak gdyby chcąc go zaczepić i prosić o coś. Poprzez otwarte drzwi widać było szeregi łóżek, przykrytych jednakowymi kocami.

Powietrze stawało się coraz bardziej dusznem. Z jakiejś sali wyszła na spotkanie Jakóba Kasia, w białym fartuchu i czepku. Ubrana szpitalnie, miała na bladej, mizernej twarzy także wyraz, rzekłbyś, szpitalny, t. j. wyraz nieustającej troski oraz skupienia, ale oczy prawdziwej barwy jeziora, tamtego dalekiego wśród borów jeziora, patrzały ku niemu z radością, którą chciałaby zapewne stłumić.

—Chodźmy może odrazu do Piotrusia, on tak lubi odwiedzających—zaproponowała...

—Biedak... amputowano mu nogę... w dodatku kontuzya... nie włada ręką—opowiadała, prowadząc gościa.

Siewierski podążał za nią ze wzrastającem onieśmieleniem, szedł na końcach palców, mówił coś głosem zniżonym. Zamilkł zupełnie, gdy weszli do sali między ścisk łóżek, stojących tak blizko, iż zdawało się, nie było między niemi przejścia. Wydawało się Jakóbowi, iż ze wszystkich wezgłowi spojrzały na niego z wyrzutem, ze źdźiwieniem, z niechęcią zbolałe oczy. Naprawdę były to twarze przeważnie obojętne i znużone.

Po czarnej, tęgiej i gęstej, jak szczotka czuprynie, po szerokich kruczych brwiach Siewierski poznał rannego, którego szukał. Oblicze było tak niezmiernie wychudzone i chore, iż z okrągłej i rumianej, pucułowatej twarzy dobrze odżywionego szlagona, stało się dziś niemal ascetycznie duchowem. Taką też stała się ręka, dawniej dzielna, krzepka, ekonomska.

Rozradowały się na widok znajomego oczy rannego, zaświecił w nich uśmiech życzliwy. Paruszył głowę, skinął nią. Kasia podsunęła Siewierskiemu stołek. Usiadł, nie wiedząc oczem mówić.

—Nie daliśmy Warszawy przeklętym Niemcom, szwabowi psubratu!—cicho, z dumą, z zadowoleniem zaczął Piotruś i pilnie a natrętnie, jak dawniej, spojrzał na Siewierskiego, oczekując potwierdzenia.

—Nie daliście! zuchy!—cicho pochwalił gość. Kasia pochyliła głowę.

—Zostawię tu pana... mam trochę zajęcia... wrócę niebawem—szepnęła.

—Kilka tygodni w okopach... potem w ogniu... ataki... ataki to nic..: byle naprzód... ale ten ogień huraganowy... piekło, mówię panu, w rzeczy samej piekło... Ziemia drży i powiestrzę, głowa pęka, ziemia pęka pod nogami, niebo nad głową... już, zda się, koniec... nie wytrzymam... a jednak w rzeczy samej czego to człowiek nie zniesie. Wszystko wytrzyma dla kraju... gdy trzeba...—rozpoczął swoją zwykłą opowieść i ciągnął ją długo, przerywanym głosem, który chrypł mu często i zniżał się do szeptu. Wówczas prosił Siewierskiego o łyżeczkę herbaty z winem, zwilżał gardło i dalej opowiadał.

W miarę mówienia ożywił się; sięgnął parę razy do pięknego niegdyś, obecnie zaniedbanego wąsa, próbował podkręcić, zakręcić. I pilnie spoglądał na gościa, jak dawniej, dopytując wzrokiem: "A ty co na to? wierzysz, że mnie"? Pozostała w nim chełpliwość. Wówczas szczycił się ładem, który zaprowadził w dobrach Podbielskiego, dziś—męstwem własnem, bohaterstwem pułku, który poległ w obronie drogiej Warszawy.

Zmęczył się i odpoczywał. Siewierski milczał, nie wiedząc, co rzec. Nie opuszczała go nieśmiałość. Rozejrzał się po sali. Tyle tu było twarzy i typów, a wszyscy byli podobni. Jednakowe były koce, poduszki, łóżka i jednakowemi—spojrzenia rannych.

Potem Piotruś spytał o dom. Jakóba cicho odpowiadał. Ranny nie pozwolił zawiadomić rodziny, iż znajduje się w Warszawie, nie chciał bowiem, by przyjeżdżano odwiedzać go teraz.

—Zaproszę ich—wtajemniczał w swój projekt Siewierskiego—gdy będę zupełnie dobrze—pomyślał chwilę.

—A może, gdy pójdzie tak dalej, jak dotychczas, może zrobię im na święta niespodziankę—dodał i znowu zamyślił się.

Siewierski pospiesznie skierował wzrok ku oknu, bojąc

się, iż chory swoim zwyczajem będzie go badał oczami: "A ty co na to? wierzysz, że mnie"?

Po chwili Piotruś znowu pytał Jakóba o wszystko i wszystkich tam, w stronach rodzinnych, o rzeczy drobne, o siewy, o polowanie, o ceny na krochmal i zboże, o Kocia Stulgińskiego, o nieznane Siewierskiemu szczegóły i osoby, o księdza Zabłockiego w odległej parafii, z którym chory grywał w preferansa, o sąsiedztwo, o Podbielskiego i jego majątki, a pragnął przytem usłyszeć, że tam po wyjeździe Piotra Zapolskiego szło wszystko znacznie gorzej, nawet zupełnie źle.

Jakób zrobił biedakowi tę przyjemność. W końcu Piotruś spytał o Franię Błońską, którą Siewierski znał mało i rzadko widywał.

—Wiem, iż nie wyszła za mąż—zauważył.

—Chyba nie wyszła—cicho powtórzył ranny.

A po chwili milczenia rzekł:

—Miałem się żenić—i znowu milczał.

Była cisza.

—Zostanę już kaleką na wieki—odezwał się potem—ale może też zdrowie powróci.

—Napewno powróci... gdy się jest młodym—pocieszał Jakób.

Ale chory jak gdyby nie bardzo dowierzał.

—Niech pan rozpyta doktora—prosił—tak na cztery oczy, bo w mojej obecności...

—Dobrze, panie, na cztery oczy—obiecywał Siewierski.

Nastała cisza.

—Ach, co ja się nacierpiałem... no i teraz jeszcze nie mało. Noga, widzi pan, i ręka i głowa—zaczął chory i znowu długo, głosem, który chrypł raz po raz, bardzo powoli, głosem znękanym, jakim chorzy mówią zwykle o bólach fizycznych. Piotruś opowiadał o cierpieniach swoich, chełpiąc się cierpieniami.

—Ale nie daliśmy Warszawy szwabowi, psubratu—powtórzył ulubioną myśl po niejakim czasie.

I łzy zaświeciły mu w oczach.

—Miał człowiek zdrowie, ach jakie zdrowie! ile zdrowia—próbował wspomnieć, lecz znużony nie miał już sił, aby opowiadać i chwalić się zdrowiem.

Urwał. Dwie łzy powoli spłynęły po wychudzonych policzkach.

—Powróci zdrowię, zobaczy pan—nieudolnie, bez przekonania szeptem pocieszał Jakób.

W tej chwili stanęła koło nich Kasia.

—Na dzisiaj dość Piotrusiu—rzekła—zmęczyłeś się. Zabieram pana.

Wyszli powoli. Tyle ócz patrzało ku nim z niemym wyrzutem, z żalem, z zawiścią, z którą chorzy, przykuci do łóżka, spoglądają na zdrowych, gdy ci odchodzą, by wrócić do zwykłych warunków, zostawiając za sobą cierpienie i niemoc.

Panna Kasia pokazała Siewierskiemu pośpiesznie szpital, jakichś kilka oddziałów, salę operacyjną. Mało miała czasu. Siewierskiego przytłoczył widok kalectwa, smutku, męki fizycznej, której jęczenia wciskały się do uszu, chociaż nie chciał słyszeć, nie chciał wiedzieć, ni widzieć i przyśpieszał wówczas kroku.

Idąc, prowadzli zastosowaną do miejsca i okoliczności rozmowę o ogromie najstraszliwszych bólów cielesnych, o rannych, którzy całymi dniami konali pomiędzy okopami, albo czołgali się ostatkiem sił w poszukiwaniu pomocy, o tych, których krajano gdzieś tam prawie pod ogniem pospiesznie, często niepotrzebnie, często bez narkozy.

Kasia miała wyraz szpitalny na bladej twarzy, t. j. wyraz nieustającej troski i znużonego skupienia.

I zdawało się z początku Siewierskiemu, iż szpital, niedola, chorzy zabrali jej—młodość i szczęście, a jemu—ją, choć ona nigdy nie należała do niego. W tym stroju, wśród rannych, ze smutkiem na obliczu, stała się jeszcze dalszą, dalszą, niż była.

—Chciałbym, by pan poznał tu pewnego oficera—zmieniła naraz temat—ale nie teraz... dziś późno już... pan przyjdzie jeszczę...

Siewierski zrozumiał, iż pora mu iść, to też pożegnał ją, obiecując, że wróci.

I przyszedł nazajutrz, potem znowu następnego dnia, i zaczął przychodzić codziennie. Stopniowo przywykł do szpitala, odurzającego zapachu lekarstw i zaduchu, do rannych, którzy przez pierwszych dni parę witali go z oczekiwaniem w spojrzeniu, z niemą prośbą i nadzieją, a żegnali z niemym wyrzutem, z żalem i niechęcią, zawiedzeni w oczekiwaniu swojem, a potem po upływie kilku dni polubili.

Siewieski nietylko przywykł, lecz stał się tutaj użytecznym. Zabawiał Piotrusia i słuchał jego opowieści, zawsze prawie tych samych, między żołnierzy rozdawał pieniądze, papierosy, cukierki, rozmawiał z żołnierzami z początku sztucznie, nieudolnie, niezgrabnie, potem coraz łatwej, prościej i swobodniej, a nawet o wiele chętniej, niż z oficerami, i tym i tamtym czytał głośno, czasami grał w karty lub szachy, pisał listy, załatwiał sprawunki.

Był czas, iż, wyrzucając to sobie, stronił od Rosyan, potem przezwyciężył siebie, potem już bez walki nie czynił żadnej różnicy. Napatrzył się biedy i cierpienia i oswoił się, poznał wszystkie rodzaje chorób, kalectw, ran, poznał mękę w człowieku i człowieka w męce.

Z Kasią, która naprawdę była zapracowaną, spotkał się to tu, to tam, zamieniał słów kilka, zwykle rzeczowo-fachowych, tyczących się jakiegoś chorego. Stosunek między niemi stał się bardzo prostym, zupełnie koleżeńskim. Wystarczyło Siewierskiemu w owej epoce, że widzi ją codziennie, że patrzy na nią z blizka i z daleka, że przemknie mu przed wzrokiem jej zwinna biała postać, śpiesząca dokądś, że czasami uśmiechną się do niego oczy jej, przeważnie stroskane i znurzone.

Niekiedy, zwykle o zmroku, spotykali się na korytarzu zawsze koło tego samego okna dla chwili wytchnienia. Za oknem szarzała rozlegała płachta listopadowego nieba, zwieszając się nizko nad nudnym, jak gmachy urzędowe ogrodem, który dlatego zwał się ogrodem, że tkwiły tu, rzekłbyś, poustawiane w urzędowych szeregach na wieczną pokutę drzewa, że były jakieś ławki, parkan, jakichś kilka rozbłoconych ścieżek. Bezlistne oddawna kasztany i lipy czasami chwiały się na wietrze i jakby zrywały się do ucieczki, czasami ociekały kroplami mgły lub deszczu, jak łzami,

Wszystkie parki są smutne jesienią, lecz prócz smutku przebywa w nich wspomnienie lata, pogody, rozkwitu, słońca i piękna. Tu nie było wspomnień, bo jak w więzieniu piękno i rozkwit nie miały tu dostępu. Drzewa wyrosły i nie widziały dotąd wiosennego poranku, gdy pachną fiołki, klekoce gdzieś bocian, szumi wezbrana rzeka, nie widziały lipcowego południa, gdy brzęczą pszczoły, a wiatr przynosi z pól jędrną woń złotych, dojrzałych zbóż.

Należało się dziwić, że drzewa nie uschły dotąd...

Siewierski polubił ten zakątek i lubił, gdy za parkanem zapalały się latarnie, najpierw daleko, potem stopniowo coraz bliżej. Zdawało się, że był to sygnał, zwiastujący im co wieczór dobrą nowinę, choć oboje nie potrafiliby określić, jaką mogła być tej codziennej wiadomości treść. Mury szpitala odgrodziły ich od świata, od Warszawy, od ambicyi, od zła, od zawiści, a cierpienie ludzkie dokoła odgrodziło ich od własnych trosk. Zapomnieli tedy o świecie i jutrze, żyli, nie licząc dni, nie pytając o godzinę.

A jeszcze Kasia niekiedy dokuczała Siewierskiemu.

—Pan każdą sprawę zawikła—mawiało, śmiejąc się—i zawsze zawikła się w pajęczynie własnych dociekań.

—Chciałbym się poprawić.

—Niech pan wyrzuci z siebie pająka.

—A więcej?

—Musi pan polubić samo życie.

—A dalej?

—Więcej już nic chyba.

Unikali mądrych rozpraw. O wojnie, o chorych, o niedoli nie mówili także podczas krótkich mgnień wytchnienia.

Niekiedy wspominali.

—Pamięta pan te piękne dni przed wojną?

—Lato, zabawy, śpiew pani...

—Jezioro... cudne jest tamto jezioro... coś tam zostało wśród borów, może na dnie wód.

—Nie byłem tam odtąd.

—A miły pan Dominik?

—Miałem od niego wczoraj bardziej lakoniczny, niż zwykle list. Nic mu nie grozi na razie.

—Jestem zdrów, bądź zdrów.

Jakób czuł, iż ona lubi brata jego, i to czyniło mu ją bliższą.

Czasami Siewierski żartował z niej, iż ona jest złą siostrą miłosierdzia, bo stroni od nieuleczalnie chorych, że będąc poganką, nie znosi widoku cierpienia i nieszczęścia, że faworyzuje tych, którzy są tu uosobieniem nadziei i zdrowia. I przyznawała mu słuszność.

Czasami, spoglądając ku drzwiom albo poza ohydny parkan wdal zamglonej lub zadżdżonej Warszawy, milczeli. W Siewierskim brzmiało i wypełniało serce coś, co było może strofą radości, może modlitwą o szczęście, może samem szczęściem. Zdawało mu się wówczas, że wolno mu wziąć jej rękę, przycisnąć je do ust, że nie broniłaby—ale ukazywał się w nim, czy poza nim cień jakowyś. Ona zaś przerywała wtedy milczenie, najczęściej żartem:

—W panu jest dwu ludzi, jak w każdym zresztą—rzekła raz—tylko, że ci pańscy bliźniacy—tacy różni! Jeden jest miłym prostym Siewierskim, który umie wprowdzie oszałamiać pytaniami, drugi—chłodnym dyplomatą, cudzoziemcem z dalekiego kraju. I nigdy nikt nie zgadnie, z którym się będzie miało do czynienia. Sądzę, że i sam pan nie wie. Zasypia pan z wieczora, jako Siewierski, budzi się, jako ekscelencya, dyplomata, lub odwrotnie.

Jakób lubił, gdy żartowała z niego, lubił, gdy mówiła o nim z tym swoim uśmiechem w oczach, na ustach. I patrzał jej wówczas w głąb ócz, w samą głąb. Lecz ona nie chciała czytać myśli, zawartych w jego spojrzeniu.

Chyżo mijały krótkie chwile wytchnienia.

Pewnego wieczora, gdy niespodziany po długich słotach pożar chmur na zachodzie olśnił im oczy, Jakób zauważył, że mogliby wyjść i odetchnąć raz przecie innem niż szpitalne powietrzem. Po chwili wahania przystała.

Przeszli się parę razy aleją, której błoto zaczynało krzepnąć od przymrozku, usiedli na ławie, pomalowanej na zielono. Między szpetnemi kamienicami rządowemi i iście więziennym parkanem, wśród stojących szeregem na pokucie drzew które nie zaznały młodości ani rozkwitu, ogarnęła ich dwoje nagła wesołość. Czyste, rzeźwe i rzeźkie po-

wietrze upajało, jak wino, chmury gorejące oślepiały zachwycony wzrok, lekki mróz szczypał policzki i krzepił płuca, szybki spacer rozgrzał krew, przyśpieszonem tętnem podniecił nieprzebrane zda się zasoby sił żywotnych, które zgromadziły się w nich w jednem mgnieniu, których nie wiedzieli jak wyładować. To chciało się im iść za miasto, daleko, w pole, może ku Wiśle, może tam, gdzie płomieniem paliły się obłoki, to chcieliby biegać na wyprzódki, to znowu zdawało się, że właśnie należy zostać tu, że tu w ogrodzie, który przestał być szpitalem i więzieniem, znaleźli z dawna oczekiwaną godzinę, długo poszukiwaną zgubę.

Rozmawiali krótkiemi zdaniami, urywając często, bo nagromadzona w nich energia wesoła i żywotna nie mieściła się w słowach bladych, zwyczajnych, skąpych. Było w zachowywaniu się ich coś z dzieci, rozswawolonych, które w uniesieniu, napełniają pokój piskiem i krzykiem zabawy, a wnet potem płaczą z nadmiaru uciechy. Śmiali się oboje do rozpuku z byle czego, ona opowiadała niezwykłe przygody własne i lokatorów w kamienicy, Siewierski żartował z niej, z jej przygód, z lokatorów, z onej kamienicy i właściciela kamienicy.

I naraz Kasia przestała opowiadać, przestała śmiać się. Zapadło milczenie, które Jakób przerwał jakimś żartem. Żart nie podobał się ani jej, ani jemu.

Zapadło jeszcze raz milczenie i trwało.

Coś prysło w nich czy między niemi. Czegoś im zabrakło naraz.

Kasia poruszyła się, by odejść, Siewierski prosił, żeby została.

Żal mu było tej chwili i chciałby chwilę zatrzymać i przedłużyć, choć czuł, że już minęła.

Chmury zaczynały zwolna gasnąć.

Oboje jednocześnie spojrzeli sobie w oczy, jakby z pytaniem, co też zaszło co popsuło im uciechę?

Krew kipiała od nadmiaru sił i wesołości żywotnej, dlaczego nie było już wesela w sercach?

Panna Gorzelska zaczęła z obowiązku rozmowę. Mówiła o zimie na wsi, o lasach, pochylanych pod okiścią, o sportach zimowych.

—Zaraz święta, a święta bez śniegu—ubolewała—gdyby tak do Tyszowiec!

Siewierski zwiesił głowę. Teraz on z kolei nie pojmował, czemu Kasia wybiegła w przyszłość, jak gdyby ta przyszłość do nich należała, urwał, popatrzał z wyrzutem...

—Chodźmy panie!—odezwała się Kasia—doktór patrzy na nas z okna i gorszy się, że tracimy czas.

—Doktór gorszy się—powtórzył Jakób i poszedł za nią ze zwieszoną głową.

Chmury gasły, chwila, która była uciechą dzieci szczęśliwych, chwila niepowrotna minęła.

Wrócili do szpitala, każde z nich do swoich zajęć.

Siewierski zaopiekował się Piotrusiem, który uczył się chodzić, który wyrywał się do domu, liczył dnie do świąt starego stylu, łudził się.

—Nogi nie odzyszczę, ale zdrowie powróci—twierdził z optymizmem, oddziedziczonym po ojcu—odetchnę tamtem powietrzem.

I snuł projekty na przyszłość, często opowiadał o Frani Błońskiej, która dawniej pisywała często i długo—co prawda trzy listy tylko—i naraz zamilkła.

Jakób uspokajał, pocieszał, zapewniał, iż zdrowie wróci, że Frania dochowa słowa...

Gdy Piotruś zmęczył się i położył, Siewierski wyszedł na miasto na obiad i po jakieś zakupy. Na ulicy Wierzbowej spotka ciocię Terenię. Pani Szreńska zatrzymała powóz, przywołała krewnego, który chciał wymknąć się, kazała mu usiąść obok siebie.

—Przepadłeś. Sądziłam, że wyjechałeś. Od dwu tygodni nie pokazujesz się nigdzie... jakaś akcya, jakiś spisek... zaraz już święta—rozpoczęła się indagacya, a towarzyszyły jej ciekawe śledcze spojrzenia bystrych ócz cioci Tereni, która zawsze wiedziała wszystko, o wszystkich.

Siewierski nie zmieszał się, odpowiadał, obracał pytania po światowemu w żart, zaznaczył, iż właśnie wyjeżdża. Ciocia Terenia groziła palcem, nie dowierzała.

I zaraz po obiedzie Siewierski wysłał do żony depeszę z zawiadomieniem, że wraca. Od Janiny przez cały ten czas

przychodziły listy regularnie, listy zawsze jednakie, co drugi dzień ćwiartka, zapisana drobnem, równem, ładnem pismem, pełna szczegółów, którą Jakób pośpiesznie przebiegał wzrokiem. Ani razu Janina nie wyraziła zdziwienia, że mąż, wyjechawszy na kilka dni, bawił kilka tygodni.

Tegoż dnia Siewierski pożegnał szpital. Zdawało mu się, iż niektórzy szczerze go tu żałują. Piotrusiowi stoczyły się łzy po mizernych policzkach ze smutku, że on musi jeszcze zostać i zekać a chorować, gdy Siewierski jutro już odetchnie powietrzem tyszowskiem, które—Piotruś zupełnie o tem nie wątpił—powróci mu odrazu zdrowie.

Z Kasią pożegnanie było krótkiem. Umyślnie pożegnał ją na sali w tłumie. Ale ona zeszła z nim na dół, odprowadziła do drzwi. Korytarzem, schodami, na których w przeciągu paru tygodni spotykali się wiele razy dziennie, z uśmiechem, z jakiemś słowem koleżeńskiem na ustach, szli teraz w milczeniu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Siewierskemu dokuczał zapach jodoformu, z którym powinien był chyba od dawna oswoić się, ją raził blask lamp elektrycznych. Z sal to tu, to tam, przez drzwi niedomknięte dochodził jęk; chorzy, przechadzający się po korytarzach, wyglądali na ludzi, nieuleczalnych chorych, nieuleczalnie smutnych. I nagle dziś po raz pierwszy szpital, który lubili, gdzie tyle dobrych spędzili godzin, wydał się im obojgu pomieszkaniem zatraceńców, przybytkiem najstraszliwszej niedoli na ziemi. Nie podzielili się tem spostrzeżeniem.

—Pan jeszcze przyjedzie chyba?—odezwała się Kasia, choć wiedziała, że on nie przyjedzie.

—Pragnąłbym bardzo.

—W takim razie pan nie przyjedzie—chciała mówić przekornie, słowa zaś brzmiały prawie smutnie.

—Czemuż to?

—Bo co innego chcieć, co innego pragnąć.

Uśmiechnęła się, a śmiech, tak jak słowa, był niby przekornym, w rzeczywistości żałosnym. Tak samo oczy, przedziwne, śliczne jej oczy...

Jakób uśmiechnął się.

Żołnierz z nizkim ukłonem otworzył drzwi i zamknął je za Jakóbem.

Kasia odczuła naraz znużenie. Usiadła w sieni, na jakiejś ławce, wedle wieszadeł, nizko pochyliła głowę, szynelem sołdackim zasłoniła twarz. Minęła długa chwila. Wreszcie któryś z doktorów dostrzegł pannę Gorzelską w ukryciu, jakimś żartem przywołał ją do porządku. Kasia odpowiedziała na żart żartem, wolno poszła na górę, do okna, pod którym stawali zwykle, we dwoje, Jakób i ona. Oparła czoło o chłodną szybę.

Nazajutrz wczesnym rankiem po nocy bezsennej Siewierski zajechał pod staroświecki dwór swój, który kochał, do którego tak lubił wracać zewsząd, i zawsze. Spoglądając jak zwykle w okna drogiego domu, myślał jak zwykle o matce, która niegdyś przed tylu już laty, przez tyle lat witała go tu ze szczęściem i niepokojem, o którejkolwiek przyjeżdżał godzinie. Pochylił głowę, znowu spojrzał w martwy szereg okien i tamto jedno, za którem nie było już oblicza matki i jej uśmiechu, a tylko surowa puetka.

Andrzej osadził konie pod gankiem. Janina, która i wstawała późno i znała przyzwyczajenie męża, nie spotkała go w przedpokoju. Jakób zaraz po przyjeździe brał zwykle kąpiel, mył się, przebierał się, przewracał listy, i nie lubił, by mu przeszkadzano. Janina przyszła dopiero na kawę do gabinetu. Tak, jak w listach, nie wyraziła zdziwienia, że pobyt w Warszawie zamiast kilku dni potrwał aż parę tygodni. Oczy, zamaskowane przez szkła, spojrzały przelotnie, a badawczo, może nawet z trwogą, lecz mąż tego nie spostrzegł. Zapytała tylko o zdrowie, o poradę u doktora. Potem natychmiast rozpoczęła się rozmowa, typowa, którą uprawiali oboje.

Pijąc kawę, mówili o Warszawie, o wojnie, o znajomych. Następnie Janina opowiedziała kronikę miejscową, poświęconą przeważnie Targowieckim, Hipowi. Imię, i znowu, ponieważ lubiła nie tyle świat, ile nowiny światowe, chciała coś usłyszeć o towarzystwie warszawskim. Jakób tych wiadomostek przywiózł niedużo, ale powtórzył sumiennie wszystkie, ile ich miał w zapasie. Opowiadał płynnie, nawet dowcipnie, a podczas opowiadania badał siebie z obawą, niby lekarz, szukający w sobie objawów choroby.

Od chwili przyjazdu Siewierski w sobie samym i dokoła siebie, w pokoju, w całym domu, w żonie i w Stasi, wszędzie spostrzegał i odczuwał chłodną pustkę i czczość. Znał już to niebezpieczne uczucie, niepokoił się.

Nie przerywając rozmowy, poszedł ku oknu. Dzień był po prostu szkaradny. Padał śnieg z deszczem; śnieg na drodze wsiąkał natychmiast w błoto,na trawniku bielał gdzieniegdzie przez krótki czas i także powoli tajał; z gałęzi ściekały krople...

Siewierski zamyślił się na mgnienie, przeraził się tych myśli swoich, krótkiego wniosku, iż nie warto było wracać do domu, jeszcze krótszego zapytania, co on teraz pocznie z sobą i z życiem, starał się rozpròszyć myśli. Odwrócił się ku żonie.

—Targowiecki zapowiedział się na dziś, bardzo dobrze— rzekł, udając zadowolenie, czy ożywienie. Nie wiedział już sam, co ma udawać, w jakim też on musi być pysznym humorze, skoro Hip...

Janina przelotnie, ale uważnie przyjrzała się mężowi.

XIV.

Pomimo wojny Tomasz Targowiecki nie zaprzestał interesów i spekulacyj, a pomimo interesów i spekulacyj nie zaprzestał osaczać Podbielskiego, który robił jeden krok naprzód i dwa w tył, albo odwrotnie. I jedno i drugie, t. j. afery i obława, szło teraz pomyślnie. Liczne gorzelnie nie produkowały okowity i rubli, parcelacya nie posuwała się naprzód, ale ceny zboża i opasów były wysokie, dwa trzy kupna nowych majątków powiodły się, fabryki sucharów, piekarnie i jakieś dostawy dla wojska obiecywały duży zysk, powiodło się także na giełdzie, gdzie podczas dni paniki straciło się niemało. Hip Podbielski, który pod wrażeniem wojny wyzbył się był odwagi matrymonialnej i cofnął się dość stanowczo. tembardziej stanowczo manifestował obecnie zamiar starania się o Imę.

Tomasz Targowiecki miał tedy pomyślną epokę w życiu. lecz nie dlatego wyłącznie, iż obficie płynęła gotówka. Ani w przenośni, ani w dosłownem znaczeniu Targowiecki nie żył wyłącznie chlebem.

Po pierwsze był gastronomem-smakoszem, a powtóre same tylko korzyści pieniężne nie mogły go nasycić, nie wystarczyły mu. Zakres ambicyi był szerszy, miara uczucia—głębszą, typ—dość złożonym.

Pana Tomasza cechowały dwie słabości: wyobrażał sobie, iż kocha ojczyznę, i wydawało mu się jeszcze, iż zdobył nie tylko popularność, lecz i miłość wśród społeczeństwa. Wydawało mu się, iż bracia szlachta jedynie dlatego nie nosi go na rękach, że on woli jeździć dorożką lub samochodem, iż nikt tak, jak on, nie potrafi ich zażyć, trafić do ich głów, które nizko szacował, poprowadzić, kędy zechce.

—Zostawcie to już mnie... ja sobie z nimi poradzę!—mawiał na poufałych posiedzeniach różnych zarządów.

Gdy podczas wyborów zwyciężali stali współzawadnicy jego: pan Ignacy, słynny Zamirowski, hrabia Świerżeński, pan Tomasz gryzł się, zżymał się, narzekał na współzawodników i kopał pod nimi, szarpany zawiścią, dołki, a po niejakimś czasie łudził się w dalszym ciągu co do przywiązania rodaków, co przychodziło mu tem łatwiej, iż wiele urzędów w kraju powierzano jemu, jako człowiekowi zdolnemu, obrotnemu i doskonale widzianemu przez władze.

W obecnej zaś epoce pan Tomasz doznawał i zadowolenia i dumy na myśl, iż on od pierwszej zaraz chwili "wziął", jak wyrażał się w złej a utartej polszczyźnie, "właściwy kurs polityczny i tempo", że owa depesza wiernopoddańcza odniosła skutek, wywołała liczne naśladownictwa, że dokądkolwiek pojechał, wszędzie w stolicy państwa i w Warszawie spotykał się z uznaniem, że ziemiaństwo miejscowe wyraźnie szło za nim, nie zaś za Ignacym Zapolskim, który zaplątał się w sprzecznościach, lawirował między obu opiniami. I Targowieckiemu, któży jak wszyscy aferzyści, miał bujną wyobraźnię obok wyrachowania, roiły się czasami plany arcyświetne co do przyszłości kraju i własnej.

To też mowy okolicznościowe, które wygłaszał na imieninach, pogrzebach, ślubach, zwykle bardzo gorąco patry-

otyczne, brzmiały teraz tak silną nutą miłości ojczyzny, że ci, co znali Targowieckiego tylko z publicznych posiedzeń, gdzie ten występował zawsze jako uosobienie rozsądku, nie chcieli wierzyć uszom swoim, ci zaś co znali pana Tomasza dobrze i dawno, nie chcieli wierzyć mówcy.

Pozatem Targowiecki był naprawdę bardzo przywiązany do dzieci i znacznie mniej do żony, której równowaga, spokój, chłód, niecierpliwiły go często, z drugiej zaś strony wyobrażał sobie, że jest wzorowym mężem, co podkreślał często i uwydatniał. Żona, tak, jak ojczyzna, nie zaprzeczała mu nigdy, gdy on się na nią powoływał.

W projektach, co do Hipa Podbielskiego, Targowieckiemu nie tylko chodziło o zdobycie pierwszej w kraju partyi, iż był to wielki sukses i finansowy i światowy, ale że oceniał to jako osobliwe a zgoła nieoczekiwane szczęście dla nie mającej wogóle powodzenia córki, którą kochał. Zachowanie się zaś Imy dziwiło go i nie podobało mu się od dawna, już od owego lipcowego w Tyszowcach balu, gdy ta odmówiwszy Hipa, tańczyła mazura z Aleksandrem Zapolskim.

Gdyby postępowanie Imy byóo innem, Podbielski na pewno od kilku miesięcy całowałby go w ramię jako teścia. Ojciec nie wymagał bynajmniej tak zwanego "łapania", co stanowiło broń obosieczną, do czego nieświatowa córka nie miała zresztą żadnych talentów, ale i zupełna bierność, granicząca prawie z niechęcią, mogła łatwo Hipa, który nie okazywał zakochania, odstraszyć.

Pan Tomasz poruszył parę razy ten temat z żoną. Żona zgadzała się z nim, uważając partyę, jako bardzo dobrą, (pani Targowiecka unikała superlatywów), a zachowanie się Imy, jako niezupełnie odpowiednie, ale zalecała cierpliwość, prosiła o cierpliwość. Było jej żal ukochanej córki. Raz nawet, nie wymieniając żadnego nazwiska, dała mężowi do zrozumienia, że gdyby Ima miała pójść za głosem serca, gdyby pozwolono jej wybrać...

Pani Targowiecka mówiła ze spuszczoną głową, przesuwając na wykwintnych palcach pierścionki, mówiła cicho i wolno i jakby z zawstydzeniem. Nie dokończyła zdania,

bo nie zamierżała podsuwać ani wniosku, ani projektu. Wiedziała, iż jedno i drugie, wniosek i projekt leżały w dziedzinie niemożności, daleko poza obrębem ograniczeń, których tyle wznosiła dokoła siebie i rodziny, dokoła życia wogóle.

Pan Tomasz odgadł natychmiast, kogo żona ma na myśli, i lubo nie unosił się nigdy, zwłaszcza w obecności Anielci, w tym wypadku zniecierpliwił się i żywo zaczął dowodzić, iż właśnie należy energiczniej działać, należy przyśpieszyć. Nazwisko Aleksandra Zapolskiego nie zostało także wymówionem. Poco? skoro wiedzieli oboje i oboje podzielali to samo przekonanie.

—Postanowił rozmówić się z córką.

Któregoś dnia wszedł do jej pokoju po kolacyi. Odwiedziny ojca nie były częstemi, a godzina ich była niezwykłą. Ima, która przy biurku pisała właśnie do przyjaciółki i koleżanki klasztornej podniosła na ojca strwożone wejrzenie swoich cichych ócz, oczekiwała z lękiem, domyślając się zresztą o co chodzi.

Pan Tomasz usiadł z drugiej strony filigranowego biurka na filigranowem krześle, na którem nie było ani wygodnie, ani bezpiecznie, zapytał o list, zażartował z przyjaźni panieńskich, potem przeszedł do rzeczy—rzeczowo.

Zaczął od tego, że ponieważ zdarza się partya "ze wszech miar" dobra, którą rodzice aprobują także "ze wszech miar", wobec potrzeby wogóle wyjścia za mąż, wobec 30 lat (dodał ciszej) nie należałoby zniechęcać.

W trakcie przemowy weszła pani Targowiecka, zajęła miejsce obok córki, nieznacznie ujęła ją za rękę. Chciała jej dodać otuchy, może męstwa, chciała pocieszyć.

Ima nie zaprzeczała. Słuchała uważnie. Na słodkiej jej twarzy nie malowało się wzruszenie; patrzała ku oknu, za którem świat, spowity w biel śniegów, zalewała jasność miesięczna. Ojciec dowodził płynnie, iż liczne przykłady przekonywały go, że odpowiedniość środowiska, jednakowy stopień kultury, jednakowa skala wychowania stanowią główny warunek, że w nieodpowiedniem środowisku, że tam, gdzie niema kultury, gdzie różny jest poziom, że tam wykoszlawia się zwykle największe nawet szczęście małżeńskie.

Zgadując, kogo ojciec ma na myśli, Ima nie zaprzeczała. Oblicze jej zachowało cichość i skupienie. Parę razy może szybciej zmrużyły się powieki, i znowu spokojnie w okno spoglądały smutne jej oczy. Za drzewami parku i aleją wiła się przez równie śniegowe, przez lasy i znowu polem droga ku stacyi, w której pobliżu leżały. Nowiny Aleksandra Zapolskiego.

Nie myślała o nim. Widziała drogę, którą lubiła, którą obierała dla samotnych spacerów.

—Kiedy ja wolałabym nie wychodzić zupełnie za mąż —rzekła cicho, gdy ojciec postawił kropkę.

—Chciałabyś tedy do klasztoru?—spytał zdziwiony pan Tomasz.

—Nie wiem. Nie jestem pewną powołania...

—A w takim razie, jeśli nie klasztor?—pan Tomasz zatrzymał się, nie mając na razie co rzec, zaskoczony z nienacka.

Tu przyszła mu z pomocą żona. Gładząc rękę ukochanej córki, jęła wolno, dobitnie dowodzić konieczności wyjścia za mąż. Należało to do jednego z dogmatów pani Targowieckiej, gdy klasztor, praca społeczna, staropanieństwo, nieszczęśliwa miłość, tak jak wszystkie wogóle "egzaltacye i dziwactwa" znajdowały się poza obrębem niezbędnych ograniczeń, w dziedzinie niemożliwości.

Ima znowu nie zaprzeczała. Szczupła ręka jej, którą nieznacznie pieściła matka, była chłodną. Tymczasem pan Tomasz, strapiony na krótko, zdążał znaleść odpowiedni kierunek i drogę. Nie dotykając zasadniczej sprawy zamążpóścia, mówił też już wprost o Podbielskim, jego olbrzymiej fortunie, ogromnych obszarach rolnych, niezliczonych folwarkach, gdzie tyle zaniedbanych dzieci, tyle rodzin, tylu ubogich potrzebowało nauki, opieki, pomocy, lekarstw, ochronek.

Przedstawił rzecz ze strony narodowej, społecznej i dobroczynnej, ukazał niewyczerpane wprost zasoby, z których przyszła Hipolitowa Podbielska będzie mogła czerpać, obszerne pole, leżące dotąd, jak mu wiadomo, odłogiem, ważność placówki, obowiązek zajęcia jej, ogrom użyteczności, ogrom dobrego, ogrom zasługi.

W pewnej chwili przy gwałtownym ruchu trzasło coś w poręczu filigranowego krzesła, pan Tomasz zatrzymał się, zawahał się i mówił dalej. Mówił gorąco, ładnie i rzewnie, jak zwykle, gdy trącał o strunę patryotyczną, jak podczas imieninowych, czy ślubnych toastów. I urwał naraz, wzruszony słowami własnemi.

Na Imę wymowa ojca wywierała zazwyczaj silne wrażenie. Od dawna patrzała już nie przez okno, lecz w twarz ojca. Chwilę trwało milczenie. Pan Tomasz przeszedł potem na jakiś obojętny temat, rozmawiał chwilę i, ścisnąwszy córkę na dobranac serdeczniej niż zwykle, wyszedł, pewny swego.

Pani Targowiecka została trochę dłużej. Pieściła chłodną dłoń córki. Milczały obie. Wkrótce pani Targowiecka, znużona zwykle ku wieczorowi, udała się na spoczynek. Westchnienie nieodpowiednie, którego nie zdążyła potłumić w porę, wymknęło się jej. gdy Ima całowała ją w rękę.

I rzecz szczególna, obu naraz, matce i córce przypomniały się słowa, wypowiedziane przez matkę pół godziny temu do Nell. Niezrównoważoina Nell albo sportowała całemi dniami, albo grała na fortepianie, albo wdawała się w filozofię i dokuczała wówczas wszystkim, zwłaszcza matce, pytaniami, zaprzeczaniami, spieraniem się. Dowodziła dziś właśnie, że każdy człowiek może i musi być szczęśliwym, że ona Nell napewno stworzy sobie lub znajdzie szczęście i nie pozwoli go sobie odebrać, nie wypuści z rąk.

—Moje dziecko—spokojnie choć zniecierpliwiona odparła pani Targowiecka—osiwiałam, wiele widziałam. Wiem, jak wyglądają chwile szczęśliwe i ludzie, przez chwilę szczęśliwi, nie wiem zaś, jak wygląda to szczęście, o którem hałasujesz...

Po wyjściu matki Ima nie dokończyła listu do koleżanki. Zgasiła elektryczność, została przy biurku, patrzała przez okno. Nie miała w sobie odrobiny marzycielskości, a nie potrafiła oprzeć się wołaniu tej nocy, która, sama zachwycona i zaczarowana czarowała.

Cudny był świat. Miesiąc w pełni zalewał go powodzią blasku, przeczyste, obfite śniegi dały mu biel i niepokalanie. Wśród jaśniejącej ciszy świat marzył o czemś, może o tem.

co działo się dawno w baśni, może o tem, co będzie kiedyś. Cudnym snem dobrej i szczęśliwej wróżki zdawała się ziemia. Dyamenty migotały na lśniącej szybie, brylanty skrzyły się na cichych kobiercach śniegowych, tam, gdzie nie padły i nie zgasiły ich cienie, cienie, koronkowo snycerskie od drzew liściastych, gęstsze i ciemniejsze od jodeł.

Te cienie, zdawało się, zamyśliły się, czekały... Księżyc swojem tajemniczem obliczem spoglądał wprost w okno i wprost na Imę. Zdawało się Imie, iż patrzy twarzą w twarz, że zakrada się do serca, do myśli i duszy i odczuwała obecność jego, jak gdyby kogoś żywego, niby onieśmielającą i ciążącą obecność gościa, który patrzy w oczy, wszystko wie i milczy, milczy. “Poco istnieje to piękno, tak niezmierne, tak cudne, że aż smutne? Dla kogo istnieje to olśniewające, niewiarogodne piękno? Przecież nie dla niej... nie dla ludzi smutnych”—myślała Ima. Ale spojrzenie nie mogło rozstać się z niem i podziwiało, wielbiło, tęskniąc bezwiednie.

Głęboko zapadły słowa ojca, który—gracz biegły—potrafił dotknąć strun najczulszych. Nie zdolna wogóle do walki i uporu, skłonna natomiast do ofiary, nie przeciwstawiała się woli rodziców i dawniej, teraz zaś, gdy ojciec ukazał jej drogie sercu cele i ogrom pracy—potrzeba poświęcenia się, napełniała ją prawie radością. Rozważając nauki ojca o obowiązkach narodowych, zawadziła wspomnieniem o tego, który pierwszy, szorstkim niemal rozkazem obudził w niej sumienie polskie, który zaprzągł ją do roboty, któremu przywykła ulegać.

Gdybyż mogła zasięgnąć rady jego?... Wzrok przez pola, skąpane w światłości księżycowej, podążył aleją, którą tak lubiła, którą chodziła często, nie dochodząc nigdy do Nowin, blizkich a przecież odległych. Odjechać trzeba jeszcze dalej...

I naraz musiała zobaczyć przed sobą Hipa. Zarysowała się ciemięska myśl, że musi mu oddać rękę, prawo do każdej myśli, do serca, prawo do ust... Przypomniała się jej smutna uwaga matki o tem, że nie widziała nigdy szczęścia... Ima westchnęła.

"I poco? Dla kogo, dla czyich ócz istnieje to piękno cudne, oślepiające, budzące niepokój—pytała znowu, tęskniąc bezwiednie, patrząc to w tajemnicze oblicze księżyca, to na cienie jodeł, które gasiły tam, gdzie stały się, drogocenne migotanie dyamentów, to wdal, poza park i aleje w stronę Nowin. Nie myślała o Aleksandrze... Zadumało się tylko serce".

"Krótkim jest to, co przemija"—szepnęły wargi strofę z ulubionej książki.

W dziesięć dni potem, po parafii, w okolicy, w świecie rozeszła się wiadomość, iż Ima Targowiecka i Hip Podbielski są po słowie. Podziwiano spryt pana Tomasza, zazdroszczono mu szansy, zazdroszczono Imie, zdumiewano się, iż Kopciuszkowi zdarzył się taki świetny los.

XV.

Po Nowym Roku Tomasz Targowiecki, który lubił kuć żelazo na gorąco, urządził zaręczyny i zaprosił na nie oprócz rodziny Hipa, oprócz krewnych i znajomych z Warszawy, oraz z obu poblizkich miast, także całe sąsiędztwo, by nikogo nie obrazić. Z Warszawy z powodu utrudnionej komunikacyi przyjechali tylko Szczerbiowscy, Szreńscy, Zawilscy, z miasta—nie wszyscy, z okolicy—niektóre dwory, wśród których Tyszowce nie w całym komplecie.

Mimo względnego niepowodzenia, obszarne i okazałe komnaty targowieckiego pałacu zapełniły się gwarem kilkudziesięciu osób. Odbyło się śniadanie, podczas którego pan Tomasz wypowiedział mowę i ładną i wzruszającą, zastosowaną do wypadków. Na tle grozy wojennej ukazał zwycięską moc uczucia, wspomniał o ideałach, o pracy, skończył akordem wiary w promienną przyszłość kraju. Rozrzewnił przedewszystkiem siebie, oraz Imę, która podziwiała rozum ojca i patryotyzm ojca rozrzewnił niejednego zapewne słuchacza.

Po nim przemawiał wujaszek Szreński nieudolnie. Potem Franio Linkewicz wynosił zasługi pana Tomasza i rodziny Targowieckich wogóle, Szczerbiowski miał długi wy-

kład polityczny, pan Ignacy, z powodu różnych strapień domowych, wyjątkowo nieusposobiony dnia tego, rozwlekle i znacznie nudził zgromadzonych. Siewierski albo zabawiał usilnie dwie damy: matkę Hipa, która uchodziła za kobietę oczytaną i rozumną, i ciotkę jego, panią Wincentową Błonowską, także znaną z upodobań literackich, albo patrzał posępnie w talerz i nie zabrał głosu.

Toast "Kochajmy się", jak zwykle, wzniósł Kostuś Morszański, specyalista. Z uśmiechem ugrzecznionym, prawie ckliwym, powtarzał gładko wytoczone, mile albo szumnie brzmiące utarte frazesy, pochylał się ku paniom, prawił im komplimenty, sypał pochwały gospodarstwu, tak przesadne, że przez to złośliwe. Targowiecki słuchał z pewnym niepokojem, wiedząc, iż marszałek niezbyt go kocha, pamiętając taże, iż pod wpływem wina marszałek staje się nieraz niebezpiecznym. Po Morszańskim pan Tomasz podziękował wszystkim miłym gościom. Szampan lał się

Hip Podbielski wstał od stołu z wypiekami, ze świecącym wzrokiem po licznych kieliszkach, wychylonych do dna, ucieszony. Cieszył się zapewne z narzeczonej, może z tego, że długie śniadanie dobiegało kresu, i można było wreszcie zapalić, że ludzie są dobrzy wszyscy, że ludziom wogóle dobrze się dzieje. Był przyjacielski, gdy składono narzeczonym życzenia, całował w rękę, panów ściskał. Kilka razy miał na rzęsach łzy wzruszenia. Patrząc na niego, mówiono o zakochniu i szczęściu.

O szczęściu mówiono także, obserwując Imę, która zmieniła się. Zgaszona i zlękniona dawniej, teraz nabrała śmiałości, wyrazu, charakteru. Dina uczesała ją inaczej i do twarzy. Przepyszne popielate włosy, splecione w warkocz, ułożone po staroświecku nad samem czołem koroną, dodały postawie okazałości, uwydatniły wdzięk cichego, dziewiczego oblicza, na które przedtem nikt nie zwracał uwagi. Jako przyszła żona magnata Podbielskiego, wyrosła naraz w mniemaniu świata. Podziwiano suknię, bardzo kosztowną i gustwną, szczęśliwie skombinowaną przez Dinę i pomyślnie wykonaną przez Herzego, podziwiano oczy, które nabrały blasku i tyle wymowy, że spojrzenie stało się niekiedy ostrem.

Aleksander Zapolski, który po krótkiem wahaniu do-

szedł do wniosku, że właśnie jemu przedewszystkiem trzeba stawić się na zaproszenie, spostrzegł tę zmianę i nie umiał jej pojąć. Stronił od narzeczonych. Podczas toastów, gdy trącali się kieliszkami, nie ona przed jego wrokiem jak dawniej, lecz on przed jej śmiałem wejrzeniem spuścił oczy. Po śniadaniu, korzystając z tego, iż Hip udał się na papierosa, zbliżyła się sama do Aleksandra.

—Nie widzieliśmy się z panem w święta i nie składałam panu życzeń.

—Tak pani...

—I pan mnie także dzisiaj nie powiedział nic.

—Jakto pani? Gdy zdrowie pani... gdy zdrowie narzeczonych.

—Ach wówczas...

I słowa i pewność siebie i zaczepność wprawiły Alaksandra w zdumienie. Nie poznawał cichej, bojaźliwej dziewczyny, zwłaszcza ócz jej, prawie wyzywających. Patrzało z nich coś, skarga czy radość, męstwo czy cierpienie, rana czy stanowczość?...

—Ludzie, składając sobie życzenia, mówią o szczęściu—cicho opowiadała mu tymczasem narzeczona—a, wie pan, matka moja wyznała niedawno, że widziała wprawdzie i zna chwile szczęśliwe, lecz nie wie, jak wygląda samo szczęście...

—Tak mówiła matka pani...

—To też nie powinniśmy życzyć sobie szczęścia, ale wytrwania.

Zapadło milczenie.

—Może dlatego niema szczęścia—odezwała się znowu Ima—że ludzie często wyrzekają się go sami dla celów wzniosłych, przez obowiązek. Pan nieraz dowodził, że gdy trzeba wybrać między...

—Pani pamięta jakieś moje morały.

—Pamiętam panie.

Nastała cisza. Zapolski uporczywie patrzał w ziemię. Nie pojmował, jakie to cele, jakie ideały ona mogła mieć na wargach i w sercu, idąc za mąż za Podbielskiego.

—I ojciec mój tak ładnie uwydatnił tę samą właśnie myśl—jeszcze raz zaczęła Ima—czasu wojny wśród niedoli powszechnej, a przed jasnem jutrem narodu nie osiebie

się troszczyć, lecz dla przyszłości ojczyzny wszystkie siły... Pan zwrócił uwagę na mowę ojca. Mój ojciec tak pięknie przemawia.

—Tak pani...

Zapadło milczenie. Aleksander pogrzebał na samem dnie upartej, twardej, skrytej duszy cierpienie, oraz zawód i kamieniem pychy przywalił. Poco ona deptała kamień, odgrzebywała przeszłość? Nie dał się. Podniósł na nią wzrok. Teraz ona spuściła oczy. Aleksander zaś rozpoczął najbardziej prozaicznie fachową rozmowę o sklepie współdzielniczym, o kasie, biblotece i szkółce potajemnej, o sprawach, które lubił, któremi zajmowali się razem w przeciągu kilku lat.

Mówiąc z zajęciem, zapomnieli oboje, że jej wypadnie niebawem porzucić pracę tutejszą, że ona odjedzie w inne strony. Przypomniał im to Podbielski, który, nasyciwszy się papierosami, przyszedł stanąć na posterunku obok narzeczonej. Miał jeszcze wypieki na policzkach i przyjacielski humor. życzliwie pytał Aleksandra o jego brata a swego byłego rządcę, który podobno niestety uległ przykremu wypadkowi na wojnie, jak wyraził się Hip.

—Nie jest to, proszę pana, wypadek na wojnie, i jest to znacznie więcej, niż przykrość... Amputowano mu nogę, jedną rźkę z powodu kontuzyi dotąd bezwładna. Przywieziono właśnie mego brata onegdaj posępnie i niekoniecznie grzecznie opowiadał Alaksander.

Tymczasem w głównym salonie toczyła się z powodu matki Podbielskiego, lubiącej lekturę, a także pani Wincentowej Błonowskiej, uważanej za mecenaskę sztuki, rozmowa, tak zwana literacka. Siewierski, który nie brał w niej prawie udziału, żałował zwykle w podobnych okolicznościach, iż druk został wynaleziony, że umiejętność czytania stała się powszechną w klasach zamożnych. Mówiono, nie wiadomo na czyj benefis, po francusku, albo, co gorzej, wstrętną Siewierskiemu gwarą polsko-farncuską, bezmyślnym żargonem salonowym, tyle razy wyśmianym, a wciąż modnym w nieszczęsnej krainie polskiej. Siewierski lubił nieraz udawać, że nie rozumie po francusku albo przechodził na angielski, niemiecki czy włoski, na któryś z mniej używanych języ-

ków. Dziś milczał. Milczała także Kasia, zajęta przeglądaniem albumu z widokami katedry w Reims.

Spotkali się dziś niespodziewanie w Targowcu. Panna Gorzelska towarzyszyła w drodze Piotrusiowi i, ulegając namowom doktora, miała zabawić na wsi tydzień, żeby odpocząć i odżywić się. Ucieszyła się, iż trafiła na zaręczyny, nie zpowodu sympatyi dla domu Targowieckich, ale ponieważ lubiła liczne zebrania, ponieważ po tylu miesiącach, spędzonych wśród chorób i cierpienia, zatęskniła za gwarem, za świetnymi strojami, za widokiem zabawy, ponieważ chciała w pierwszej chwili niespodzianego spotkania na twarzy Siewierskiego odnaleźć blask radości, który widziała dawniej tyle razy.

W Targowcu czekał ją zawód. Nasamprzód przywitano ją jakby ze zdziwieniem, nawet bardzo zazwyczaj uprzejma i zrównoważona pani Targowiecka. W spojrzeniach ludzi, zwłaszcza w oczach Diny, hrabiny Szreńskiej, Targoweickiego wyczytała zaciekawienie, tak widoczne, iż prawie obrażające. Zdawało się Kasi, iż krążą o niej wśród gości po salonie jakieś szepty, doznawała wrażenia, iż wytykają ją palcami.

Miała suknię badrzo wązką i długą, gdy, jak przekonała się tu, moda nakazała nosić krótkie a szerokie. Już wchodząc do salonu, Kasia odczuła, iż jest ubraną źle i niewłaściwie, i sprawiło to jej przykrość; ale rozumiała, że nie suknia stanowi powód powszechnego jej osobą zainteresowania, bo taoleta cioci Bebetki, oraz Adelki Zapolskiej, wyglądały napewno stokroć bardziej rażąco.

Z niepokojem i utęsknieniem panna Gorzelska oczekiwała na Jakóba. Przyjechał wreszcie późno, i nie Siewierski, którego wyczekiwała, lecz wyniosły, sztywny, ozcy z odległego kraju dyplomata, który także zdziwił się więcej, niż ucieszył, gdy dostrzegł ją między zebranymi. Nie zbliżył się do niej; podczas śniadania albo zabawiał panie, zapewne świetnie, jak umiał, albo patrzał w talerz. Ogromny smutek ogarnął Kasię. Odczuła samotność swoją wśród zgromadzonego tu towarzystwa, obcość i wrogość świata, oddalenie chłodnego dyplomaty, który pochylił się nad talerzem, prze-

dział bolesny między ucztującym pałacem, a niedolą szpitala, gdzie widocznie było jej miejsce.

Nie pojmowała powodu owych szeptów, spojrzeń, chłodu; oburzył ją i dotknął do żywego uprzejmy, a niezmiernie lekceważący, ukłon Szczerbiowskiego. Gorzko żałowała, że przyjechała tu. Siewierski żałował także. Na widok drogiego oblicza doświadczył radości, a zaraz potem obawy. Zaledwie zdobył trochę spokoju, usypał szańce dokoła istnienia swego—wszystko miała znowu odrazu runąć.

Był małoduszny dnia tego i także światowy, choć widział i rozumiał, lepiej od Kasi, wrogość świata, który stanął między nim a nią. Widział lekceważący ukłon Szczerbiowskiego; zakipiała w nim krew—ręce zacisnęły się w pięść... Pohamował się, ochłonął. W ogniu ciekawych, śledczych, zjadliwych spojrzeń cioci Tereni, Diny, niektórych panów, nie miał odwagi "afiszować się" obok panny Gorzelskiej. Ona nie dbała zapewne o świat, bo właśnie "afiszowała się" i po śniadaniu usiadła obok niego. Zamienili zaledwie kilka słów i w milczeniu przysłuchiwali się rozprawom "causerie" literackiej.

Dina, która czytała dużo i szybko i miała niemałą dozę sprytu, przytaczała wciąż nowe nazwiska, tytuły, przeważnie francuskie. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi, ferowano krótkie wyroki, chwalono przeważnie. Podziwiano jakieś aktualne nowości, podziwiano "Loti'ego, Bazina, Bordeaux, Pierre de Coulvain". Cóżby się stało z Polski, gdyby w niej nie czytano powieści francuskich, cóżby się stało z pisarzami tymi, gdyby nie wielbiono ich w polskich salonach.

Potem ktoś wymienił inne nazwiska, mniej prawowierne, zawadzono o któregoś z wielkich. Z ust Podbielskiego padł grom na Wyspiańskiego, pani Wincentowa Błonowska wydała bullę przeciwko Tołstojowi, ktoś darł szaty z powodu obniżenia się smaku, z powodu niszczycielskiej analizy. I znowu wrócono ku najmilszym miernotom: ku "Gyp'owi, Rostandowi, Marcelemu Prevost".

—Pan nie jest lojalny—odezwała się naraz Kasia.

Siewierski drgnął, rozumiejąc, iż zwraca się do niego.

—Pan nie jest lojalny— powtórzyła—wygłaszają przy panu zdania, których, wiem o tem, pan nie podziela... Po-

winien pan stanąć w obronie wielkich, w obronie majestatu sztuki. Z moją opinią emancypowanej panny niktby się nie liczył, ale panu, jako piszącemu, nie wolno... zresztą ze wszystkich względów nie wolno.

W głosie jej brzmiała nuta rozdrażnienia. Patrzała Siewierskiemu w twarz swemi przedziwnemi oczami, w których nie było gniewu, tylko żal. Wszystkie spojrzenia kierowały się ku Kasi, przebiegła Dina tłumiła złośliwy półuśmiech. Zapanowała cisza i tu i dalej nieco, nawet w sąsiedniem gronie, gdzie Tereska, Janina, pani Targowiecka zabawiały panią Babetkę, Adelę, oraz innych gości z kategoryi zwanej w Targowcu "drugostolną".

—Zna pani powiedzenie francuskie, że Pan Bóg dał nam muzykę, a dyabeł wymyślił koncert. Zastosuję je teraz: Pan Bóg dał literaturę, dyabeł wymiślił powieść—zaczął Siewierski światowo.

Oburzono się. Ale o to głównie Jakóbowi chodziło.

—Uczynię wyjątek dla kilku w każdym narodzie mocarzy. których powieści są dziełami sztuki. Ale le roman the novel, ta cała tania, tandeta powódź we wszystkich językach i krajach, od dawna przestała być sztuką, stała się rzemiosłem, sztuką nie stosowną, co byłoby jeszcze pół biedą, lecz towarem, zastosowanym do smaku motłochu, czemś w rodzaju kinematografu...

Oburzono się jeszcze srożej, ktoś wziął w obronę kinematograf, zawiązała się ożywiona rozmowa, utworzyły się inne ugrupowania. Tereska zbliżyła się do Kasi. Siewierski usunął się zupełnie.

Ale nie miał szczęścia. W bibliotece, gdzie podano kawę czarną i likiery dla palących, natrafił na dość gwałtowną i przykrą walkę polityczną.

Józio Szczerbiowski wytoczył ciężkie działa przeciwko Bogu ducha winnemu panu Ignacemu i "walił" w niego bez pardonu. Sekundowali mu po części Targowiecki, Zawilski, stary Szreński, Świerżeński. Biedny prezes bronił się z początku sam i bez powodzenia. Nie wiodło mu się dziś i wogóle od dawna. Nie łatwo było oswoić się z widokiem i kalectwem Piotrusia, od młodszego syna nie przedostała

się żadna wiadomość. Matka sądziła, iż poległ, ojciec dzięki optymizmowi, odsuwał to przypuszczenie, ale niepokój gniótł często serce. W dodatku ciemiężyły pana Ignacego długi, które rosły,z któremi krył się przed żoną, zwłaszcza przed Aleksandrem. Gospodarstwo szło gorzej. Poprzedniego wieczora żona wykryła grube nadużycia w magazynie z okowitą. Po ciężkiej przeprawie Zapolski oddalił gorzelanego i ekonoma, którzy zgrzeszyli obaj, grzeszyli z pewnością od dość dawna, o czem uprzedzał zresztą kilka razy Aleksander. Pan Ignacy ufał ludziom, przywiązywał się do ludzi, miał miękkie serce. Dziś rano ekonom i gorzelany, obaj obarczeni liczną rodziną, przyszli błagać, by ich nie gubił. Wstawiały się za nimi Karusia i Adela. Wahał się zresztą i bez tego pan Ignacy, jakkolwiek w tym wypadku nie wahałby się nikt inny.

Nie rozstrzygnąwszy drażliwej sprawy, wyjechał na śniadanie zaręczynowe. Przemówienie nie udało mu się; przy czarnej kawie od niechcenia, pół żartem, bez złych zamiarów zaczepił partyę, do której należał Szczerbiowski. Ten, jak gdyby czyhał tylko na tę sposobność, stanął do pojadynku, do "sądu Bożego" w pełnym rynsztunku. Nieszczęśliwy pan Ignacy spotniał, dostał rumieńców, walczył i coraz bardziej wikłał się w sprzecznościach, wpadał niebacznie w rozstawione sidła.

Niełatwo było istotnie obronić stanowisko, które zajmował, stanowisko kompromisowe, pośrednie, niejasne. Pan Ignacy pragnął pozornie rzeczy niemożliwej, t. j. programu obu wrogów narodu, ktrzy walczyli przeciwko sobie. Zdybawszy prezesa na nielogiczności, Szczerbiewski pastwił się, jak Achilles nad zwłokami Hektora, nad pokonanym przeciwnikiem, o którym wiedział, iż zajmuje w powiecie poniekąd wybitne stanowisko.

Z niespodziewanym sukursem ojcu wystąpił nagle Aleksander, który dość długo przysłuchiwał się obojętnie.

Szczerbiowski ubolewał właśnie, niezupełnie szczerze i z odcieniem szyderstwa, nad legionem szaleńców, który poszedł na pierwszy ogień i zdziesiątkowany przestał istnieć.

—Skąd pan wie o tem?—żywo i cicho, głosem zmienionym spytał pan Ignacy.

W ferworze polemicznym. Szczerbiowski nie zwrócił na wzruszenie przeciwnika uwagi.

—Mam wiadomości ze sztabu—miażdżył dalej z gustem swego przeciwnika.

—Niechby te wieści spoczywały w sztabie jak najdłużej, bo gdy się je ogłasza wśród Polaków, nie wiadomo, czy nie dotknął czyjejś ukrytej rany—zimno odezwał się Aleksander.

Na chwilę nastała cisza.

—A, w takim razie przepraszam...

Szczerbiowski spojrzał na ojca i syna, na syna, którego prawie nie znał, niedbale i z góry, co przyszło mu tem łatwiej, że młody Zapolski był nizkiego wzrostu.

—Jeśli w kraju są dwie opinie, dwa obozy, jeden obóz zapewne jest w błędzie; czasami oba; jednej z dwu opinii zarzucić można krótkowidztwo—spokojnie, dobitnie, chłodno ciągnął Aleksander — ale dlaczego stronie przeciwnej w czambuł odmawiać patryotyzmu?

Szczerbiowski odzyskał werwę i począł pobłażliwie, ale chętnie przytaczać dowody, wyliczając je na palcach swojej, starannie utrzymanej ręki. Siewierski przyglądał się różowym, podłużnym, w kształcie migdała, wypolerowanym, lśniącym paznogciom. Ani dowody, ani doskonale wypielęgnowane paznogcie nie przekonały Aleksandra.

—Nic łatwiejszego, jak ojca mego pokonać logiką, ale ani wszechświa nie jest kosmosem, przybytkiem ładu i piękna, ani dzieje sylogizmem—mówił dosadnie i szorstko, niecierpliwiąc tym tonem Szczerbiowskiego—i kto wie, czy klęska obu wrogów, czego pragnie mój ojciec, nie jest niemożliwą.

—Ponieważ wrogowie nasi walczą z sobą, obaj nie mogą być pobici i jeden z nich musi zwyciężyć—Szczerbiowski zaśmiał się swoim oficyalnym śmiechem.

—Gotów byłbym udowodnić panu zupełną możliwość takiego wyniku wojny.

—A to oryginalne! Tegom jeszcze nie słyszał!—w śmie-

szność próbował obrócić każde odezwanie się nowego szermierza Szczerbiowski.

Aleksander nie dawał się zbić z tropu.

—Niepodległą Polskę w dawnych granicach możemy mieć tylko w razie rozpadnięcia się obu wrogich nam potęg. Jest to możliwem. lecz nie bardzo pradopodobnem. Z punktu widzenia zaś "tutejszego", egoistycznego, kresowego, a także ze względu na lud białoruski, któremu od wschodu grozi zagłada, wolę już zachód i walkę z germanizmem, która zahartuje—sucho, zwięźle, nie zapalając się, wykładał młody Zapolski.

Joe Szczerbiowski, widząc, iż ma do czynienia z człowiekiem zarozumiałym, upartym i nie tuzinkowym, przestał śmiać się i traktować go z lekceważeniem, ale słuchał z roztargnieniem, widocznie znudzony.

Polityk warszawski lubił druzgotać, nawracać, pouczać, nie interesowali go zaś ani ludzie, ani odmienne zapatrywania. Aleksander arbitralny, przyzwyczajony narzucać swoje poglądy, pewny swego i siebie, Aleksander w tym samym co Szczerbiowski stopniu nie interesował się ludźmi i odmiennemi opiniami—rozmowa tedy między dwu przeciwnikami stawała się coraz bardziej bezcelową i bezbarwną i zaczynała przymierać, gdy nagle wmięszał się do niej "marszałek", zajęty dotąd paniami, kawą likierem.

Zadał kilka niewinnych z pozoru pytań Szczerbiowskiemu, wysłuchał odpowiedzi pouczających, z uśmiechem zdradzieckim, zaczaił się, znowu pytał, udając zaściankowego zacofańca, dziękował za wyjaśnienia. I naraz natarł tak znienacka, że oszołomił Szczerbiowskiego.

Opowiedział historyę rodu Morszańskich, w którym każde pokolenie od stu przeszło lat złożyło ofiarę krwi, albo poznało drogę na Sybir, wzruszył się przytem, wyznał pokornie, że on nie godzien jest swego nazwiska, bo jeszcze nie cierpiał dla kraju, ale że zdrajcą nie będzie nigdy ani zaprzańcem, że ojczyzny nie sprzeda...

Szczerbiowski roześmiał się sztucznym, urzędowym śmiechem. Wówczas Morszański napadł na "autonomię zjednoczoną", potem na wszelką Targowicę, która pragnie sku-

pić się pod berłem jednego, z trzech Najjaśniejszych Imperatorów, następnie na samego Szczerbiowskiego. Ten spróbował parę razy odciąć się ostro. Nie powstrzymywał tym Kostusia, w którym odezwało się warcholstwo, lecz tylko bardziej rozjuszył.

Targowiecki patrzał z niepokojem na zięcia, z obawą na napastnika i jego suto poczernione, groźnie sterczące wąsy, na złą zawziętą twarz. Pan Tomasz i wszyscy obecni wiedzieli z doświadczenia, że po obfitej uczcie z szampanem, starką, koniakiem i likierami, Morszański stawał się niebezpiecznym.

Milczenie zaległo bibliotekę. Słychać było tylko zjadliwy głos marszałka i jego coraz bardziej brutalne obelżywe słowa. Krew uderzyła do głowy Szczerbiowskiego. Padały wyrazy i zarzuty, których on nie mógł puścić płazem. Obecni spojrzeli po sobie, rozumiejąc, że zanosi się na skandal, iż zaraz nastąpi jedna z tych scen, których nikt nie lubi być świadkiem, że stanie się rzecz głupia i zła, a w skutkach swych nierzadko potworna, bo krwawa.

I nikt nie miał dość odwagi, by położyć kres temu zajściu. Jakób Siewierski przyglądał się z pod oka napastowanemu, który nadrabiał postawą i miną, który z wypiekami na twarzy od wina i długich sporów, z nabiegłemi krwią żyłami na czole, z tem jakiemś nerwowem przygryzaniem wargi, z niepokojem w wejrzeniu, nie zdawał się groźnym i budził raczej współczucie.

Jeszcze chwila, a cała wspaniałość Szczerbiowskiego prysłaby i rozleciałaby się w ordynarnej bijatyce niby papierowy płaszcz. Szczerbiowski, który nie był tchórzem, lecz bał się burd, ponieważ burdy nie okrywają chwałą, a rzucają cień zwłaszcza na działaczy publicznych, spojrzał po zebranych, jak gdyby wzywając ratunku.

Przed godziną zaciskały się pięści Siewierskiego, "świerzbiła" w pięściach żądza obicia, powalenia, wyrzucenia za drzwi Szczerbiowskiego za jego lekceważący ukłon. Teraz bez udziału Siewierskiego miało stać się to samo.

Naraz Siewierski postąpił ku Morszańskiemu, wziął w mocny uścisk, jak w kleszcze, obie ręce jego i rzekł mu nad samym uchem cicho, ale stanowczo, rozkazująco:

—Dosyć! Idź przespać się, Kostusiu!

Morszański zmierzył Jakóba złym wrokiem, spróbował wyrwać mu ręce swoje, a gdy mu się to nie udało, zawołał prawie wesoło niby w zabawie:

—Ktoby przypuszczał, iż masz tyle siły w swoich arystokratycznych palcach! Puść że już! zgniotłeś, jak obcęgami...

W tej samej chwili przybiegła z salonu Tereska Szczerbiowska, ażeby stanąć między napastnikiem a mężem. Twarz Kostusia przeistoczyła się w jednem mgnieniu. Zaigrał na niej uśmiech trochę ckliwy, z którym zwracał się zwykle do pań. I począł przed Tereską wychwalać jakiś likier...

Siewierski odczuł zadowolenie z siebie, zawstydził się tego przyjemnie łechcącego uczucia i poszedł ku oknu. Daleko za rozległą płaszczyzną obszernego dziedzińca i za parkiem dogasało słońce styczniowego dnia. Purpurą, złotem i ogniem paliły się łuny zachodnie, mimo przepychu szkarłatów i płomieni, smutne zorze zimowe. Na niepokalanej bieli śniegów stały się smugi świetliste i różane miejsca zacienione zamroczyły się szafirowo, drzewa, suto oszronione, opłynęły krwawą czerwienią. Po odwilży i mgłach mróz nastał tak nagle, że niektóre gałęzie okryły się lodem i teraz świeciły jak szklane w blasku, albo jaśniały rubinowo. Na jednym z takich lśniących, zarumienionych szczytów wysokiej brzozy usiadła wrona i chwiała się razem z wierzchołkiem.

Tęsknota gorzała w sercu Siewierskiego, tęsknota, równie smutna i bez jutra, jak one kończącego się dnia łuny, które przed długą nocą zimową długo żarzyć się będą na niebie...

Trapiły Siewierskiego teraz, gdy było za późno, wyrzuty...

Na co one mozolne walki? poco sypać szańce? Ci tu prowadzą spory bez końca, a on zamurowywał okna i drzwi, czy też budował dom bez okien i drzwi i bronił się, ażeby nie być szczęśliwym. Czy oni zawinili ludziom i sobie przez one dwa tygodnie w szpitalu, w Warszawie? A jakaż jest

korzyść, że on teraz cały miesiąc spędził w pustce sam na sam ze starością, z bezcelowością, ze zgryzotą?...

Tymczasem tam, gdzie ona jest, tam przebywa jasność, szczęście i młodość. Być z nią znaczy znaleść młodość, znaczy zapomnieć o znikomości życia, stracić wszelką pamięć o zgrzyzocie i cierpieniu, znaczy znaleść się nad źródłem wód wesela, znaczy posiadać prawo do szczęścia...—tęsknił.

"Gdy w sercu tętni gorąca krew rzetelnego uczucia, wówczas wszystkie względy, wahania, rupiecie przesądów"...—przypomniały mu się słowa jej, w których jesienią oburzała się na Imę i Aleksandra.

Ogarnęła Siewierskiego odraza do "świata", który szpieguje, podpatruje, zabija lekceważeniem albo płaszczy się uniżenie, toleruje rozpustę i chwili obłudę, gorszy się prawdą, wyśmiewa wzniosłość, ogarnęła jszecz silniejszą niż do świata, odraza do siebie samego, który tak dbał o świat, tak z jego śmiechem i opinią się liczył.

Patrząc w krawe łuny zachodnie za parkiem, widząc tych łun dalekość, tęsknił za jakiemś dalekiem bardzo ustroniem, gdzieby on zapomniał o świecie, a świat o nich.

Pod ganek zajeżdżały sanie. W salonach uczynił się ruch przedwyjezdny. Towarzystwo stłoczyło się jak zwykle przy pożegnianiu. Najlepsza panna Adela całowała po wiele razy w twarz wszystkie panie, nawet sztywną panią Targowiecką, nawet Dinę i panią Podbielską, spotkaną po raz pierwszy i dziękowała wszystkim "za miłe chwile". Układano jakieś projekty. Nell Targowiecka chciała kuligu, przeciwko czemu protestowały Ima i Janina, każda z innego powodu.

Siewierski nie zdążył zbliżyć się do Kasi. Panna Gorzelska ubrała się szybko w swoje wytarte futro, zbiegła ku saniom. Jakób w onej chwili pomagał żonie, która opierała się o swoją laskę i o niego, szła wolno ze stopnia na stopień, bojąc się ślizgawicy. Kasia ujęła za lejce mocno i wprawnie. Koń, wierzchowiec Aleksandra zaprzęgany tylko w zimie, niecierpliwił się, kopał śnieg, wyrzucał szyją; dźwięczały janczary. Twarz panny Kasi ożywiła się, odmłodniała rumieńcem, pokraśniała na mrozie.

—Da też sobie pani rady?—pytała Janina.

—Na razie tak—odparła panna Gorzelska sucho, nie odwracając głowy.

Zajęta była widocznie koniem, którego z trudem mogła utrzymać. Cieszyła się na jazdę, na powożenie, na pęd przez gładkie pola... Szczęśliwą była, że za chwilę będzie mogła zniknąć, odjechać, zapomnieć o świecie, o Janinie, o hrabinie Szreńskiej, o nim...

Aleksander, zatrzymany na ganku przez Ciecierskiego, marudził...

—Pomogę pani—odezwał się Siewierski—koń staje dęba... znarowi się, skoczy naraz.

—Dziękuję panu.

Oczy jej nawet nie spojrzały w jego stronę. Jakób nie potrafił nic więcej powiedzieć.

—Wstąp do mnie w niedzielę... Mamy dużo do pomówienia—rzucił mu Aleksander, śpiesząc do zniecierpliwionej towarzyszki, do konia, który się słupił.

Wierzchowiec targał, dał susa, sanie pomknęły z wysołym brzękiem janczarów. Z kolei potem zajechały konie z Siewierska. Zanim Janina usiadła, zanim lokaj otulił jej zreumatyzmowane nogi, zanim ruszyli, tamci znikli od dawna.

Zorze tęsknoty gorzały jeszcze na niebie.

4VI.

Podczas, gdy Siewierski w przeciągu sześciu dni toczył przeciwko sobie proces, i to oskarżał siebie, to usprawiedliwiał, a jednocześnie gromadził najpoważniejsze dowody, by przekonać siebie, że nie powinien jechać do Zapolskich —i wreszcie siódmego dnia odpoczął od wszelkich walk, uległ i pojechał, w Tyszowcach panowało przygnębienie, jakiego od dawna, może od dnia wyruszenia Stefusia tam nie widziano.

Kasia Gorzelska nie mogła zapomnieć spojrzeń i szeptów, któremi przywitano ją w salonie Targowieckim, hra-

biny Szreńskiej i Diny, lekceważącego ukłonu Szczerbiowskiego, nie mogła zapomnieć gorzkiego zawodu, którego doznała zamiast radości spotkania; prezes gryzł się długami, bo koło Nowego Roku wypadała spłata wielu rat, martwił się koniecznością oddalenia gorzelanego i rządcy; panią Babetkę trapiły zwykłe troski, prócz tego zaś wszystkich razem i każdego z osobna znękał widok Piotrusia, o którego kalectwie i chorobie doszły tylko niedokładne wieści.

Sam Piotruś także, rzekłbyś, dopiero w domu zrozumiał i ogarnął rozmiary swego nieszczęścia. W Tyszowcach, gdzie polował i tańczył, jeździł konno, gospodarował, biegał, kochał się, w Tyszowcach uprzytomił sobie, że nie wrócą siły i zdrowie, że na zawsze minęła młodość i młodości zabawy, że nie dosiądzie już wierzchowca "Bohuna", nie poprowadzi mazura z Franią Błońską w pierwszej parze, nie wymknie się z psami w pole rankiem w dniu "ponowy".

Zwierciadła rodzinnego dworu, przerażenie na zbolałych twarzach rodziny dopowiedziały mu resztę. Ani powietrze stron rodzinnych, za którem tęsknił, w którego cudotwórcze działanie wierzył święcie, ani woda z krynicy tyszowskiej nie dały zdrowia. W Warszawie liczył dnie do świąt starego stylu, niecierpliwił się, gdy doktór odsunął datę wyjazdu, cieszył się z każdego w rekonwalescencyi postępu, a gdy znalazł się pod dachem drogiej siedziby, wolałby ukryć się gdzieś i odjechać.

Ale nie było dokąd, nie było do czego. Opowiedział po kilku razy wszystkim o walkach w obronie Warszawy, zauważył, iż obrona owa nie wywołała w ojcu i w Aleksandrze zachwytu, opowiedział o cierpieniach swoich— i popadł potem w zniechęcenie w smutek. Siedząc pod jakimś oknem, patrzał na śniegi i milczał całemi dniami.

Myślał może o wyprawach myśliwskich z Kosiem Stulgińskim, o kolegach, o Frani Błońskiej, o wieczorach w epoce Bożego Narodzenia. Słyszał czasami szczekanie i skomlenie starej suki Zarki i Zagraja, wybornej pary gończych, z któremi napolował się tyle, widział życie dworu, konie cugowe i fornalskie. słyszał brzęczenie janczarów, gdy sanie zajeżdżały pod ganek—i milczał całemi dniami, dumał, czy sumował.

Przesuwały się obrazy z kniei i z pola, zarysowywał się obraz szerokiego, przez bór gładkiego gościńca, którym mknął z Franią we dwoje w saneczkach, właśnie rok temu. Gdy miał przed oczyma podwórze i bramę, wspomniał, jak to on w dniu wyjazdu, w ów pamiętny lipcowy wieczór wyskoczył jednym susem z wysokiej bryki w biegu, przybiegł po jakieś pozostawione przez ojca papiery i znowu popędził z powrotem. Tego nie potrafi już nigdy! Ten sam drobny szczegół przypominał się często i matce, która, będąc przesądną, nie lubiła, gdy ktoś wracał z drogi, bo przynosiło to zwykle nieszczęście odjeżdżającemu.

Czasami trapiły Piotrusia tak bolesne pytania, wątpliwości, że nie umiał dać sobie rady.

—Oto on zmarnował zdrowie, postradał wszystko, w obronie Warszawy—zastanawiał się—a pokazuje się ze słów tatka, ze słów Aleksandra, iż nie było trzeba, że niechby Warszawę zabrali, że z jakichś tam dyplomatyczno- międzynarodowych względów mogłoby wypaść korzystniej. Nie trzeba było bronić Warszawy!... Kto mu dziś odda zdrowie i miłość?

Piotruś nie umiał dać sobie rady. Ale czekała go jeszcze jedna ciężka próba.

Zaledwie Frania Błońska posłyszała o powrocie i ciężkiem kalectwie narzeczonego, postanowiła, mimo nalegań zrzędzącej ciotki, wybrać się do Tyszowiec, by dać dowód, że dotrzymała i dotrzyma słowa.

Kocham Piotrusia, nie zaś nogę jego... nie potrzebuję wcale jego nogi—powtarzała, śmiejąc się przez zły, żywa, samowolna, lekkomyślna dziewczyna i zgryźliwej ciotce i Zapolskim, gdy ci, bojąc się zbyt silnych wrażeń dla chorego, usiłowali ją powstrzymać.

Frania wpadła do pokoju narzeczonego, niby huragan, na widok zaś narzeczonego stanęła, jak wryta.

W kalece o twarzy skrzywionej od nerwowego skurczu, osłupiałem wejrzeniu, w wycieńczonym znękanym kalece nie poznała tęgiego chłopca, który podniósł ją z ziemi, jak piórko i podsadzał na siodło, który raz na "majówce", podczas gry w kota i mysz, chwycił ją w objęcia i uniósł i biegł

w las może z pół wiorsty i całował bez pamięci, który był pierwszy w okolicy...

Frania rozszlochała się.

—Jutro jadę do księdza dać na zapowiedzi—wołała wśród łkań— jutro pojadę! Niech ciocia gada, co chcę! Dalibóg, zrobię to!—powtarzała.

Ale w płaczu była rozpacz i żal i nie zdołała zbliżyć się do narzeczonego, nie mogła na niego patrzeć.

Potruś w stał z trudem ze swego fotelu, oparł się obu rękami o framugę okienną, odwrócił się do wszystkich plecami i tak stał.

Frania, szlochając, wybiegła z pokoju.

Po wyjeździe jej, nie tylko w sercu Piotrusia, ale i w całych Tyszowcach uczyniło się posępnie, niby po jakim pogrzebie.

Wówczas to zupełnie niespodziany przyjazd Małkowskiego, literata w wojskowym mundurze z Warszawy, urozmaicił smutną szarzyznę dni. Oficer podobał się całej rodzinie, nawet Aleksandrowi; prezes, który znał wszystkich i przeprowadzał wszystkie działy w kraju, prezes bardzo cenił nieżyjącego ojca, stryjów i braci Małkowskiego, wiele razy nasłuchiwał się o nim pochwał, wiedział, że Małkowski ma ładny majątek.

Obie stare panny Adela i Karusia zasypały gościa i Kasię gradem pytań, często dość krępujących, z zaciekawieniem, prawie wścibskiem, przyglądały się młodej parze, czekały tylko tej chwili, by złożyć narzeczonym życzenia.

Kasia przywitała młodego pisarza gościnnie i serdecznie, odbywała z nim długie przechadzki sam na sam, woziła go na spacery, prowadziła długie, przyjazne rozmowy, przyjaźnie żartowała, wszystko, zdawało się, szło najlepiej, Adela i Karusia cieszyły się, a jednocześnie posmutniały, że do nich nikt nigdy nie przyjechał "w konkury"...

Ale naraz w dniu odwiedzin Jakóba zmieniło się wszystko . Siewierski przyjechał przed zmrokiem i zastał całe towarzystwo zgromadzone w salonie. Nie okazał zdziwienia na widok Małkowskiego. Oficer i Kasia siedzieli razem w rogu pokoju, na twardej bez oparcia kanapce, zasłanej kili-

mem, słynnej z wielu wyszeptanych na niej oświadczyn. Kasia nie spojrzała nawet w stronę gościa. Małkowskiego oczy dziwnie promieniały. Szeptał coś do panny, ona pilnie słuchała...

Jakób Siewierski rozpoczął jedną z tych błyskotliwych rozmów, które umiał prowadzić jak nikt inny. Wybrał temat, który musiał zająć każdego, mówił do wszystkich, a jednak dla niej wyłącznie, mówił o Francyi i Polsce, a między wierszami mówił o sobie i z głębi. Nie patrząc, wiedział, iż wprawił pannę Gorzelską w roztargnienie.

Małkowski zamilkł, wstał, postąpił ku oknu, twił chwilę pod oknem, wrócił, usiadł posępnie koło Adelki. Dwa razy odezwał się i dwa razy jednem trafnem słowem zbił go Siewierski. Ktoś zaśmiał się.

Wkrótce w pewnej chwili Siewierski, usilnie zatrzymywany przez gospodarzy, począł się żegnać. Gdy stanął przed Kasią, nie podniosła na niego wzroku, obojętna ręka wysunęła się natychmiast z jego dłoni.

Po odjeździe Siewierskiego rodzina tyszowska z zachowania się z wyglądu młodzieńca i panny odgadła, że Małkowski dostał odkosza, czyli odprawę.

Wówczas to pan Ignacy, jako wuj i opiekun, uznał, że przyszła pora wezwać do siebie i wypytać siostrzenicę. Badanie odbyło się w kancelaryi.

Kasia na wstępie poprosiła wuja, by znowu podjął z banku i przywiózł z miasta parę tysięcy, i została zgromioną za rozrzutność. A gdy siotrzenica dla usprawiedliwienia powołała się na niezwykłe okoliczności, wskazała na biedę wśród jeńców i rannych, na niezliczone potrzeby, wuj, sam hojny i ofiarny, powiedział krótkie kazanie o oszczędności, lecz bez zapału. Potem Kasia, usiadłszy blizko prezesa na kanapie, spytała cicho, czy nie dolegają mu jakie zgryzoty, dodając, iż ona zauważyła w nim od niejakiego czasu zmianę i, że jeśli to są kłopoty pieniężne, , w takim razie wuj może rozporządzać jej gotówką.

Zapolski spochmurniał i na razie jakby zamknął się w sobie. Targając swój wąs, nie mówił nic, z czego Kasia, która już coś gdzieś od "życzliwych" sąsiadów słyszała

o niezbyt świetnym stanie majątkowym prezesa, odgadła, że utrafiła w samo sedno trosk wuja. Powtórzyła więc prośbę swoją z naleganiem raz i drugi. Pan Ignacy, wciąż jeszcze posępny, zapytał ją, ile też ona ma w banku, poczem przyznał się do różnych utrapień, wkońcu, prosząc o sekret przed żoną, zwłaszcza zaś przed Aleksandrem, zgodził się wziąć kapitał siostrzenicy.

Wyraz twarzy, głos, wygląd zacnego prezesa natychmiast przeistoczyły się. Zgarbiony, zestarzały, milczący w przeciągu świątecznych tygodni, odmłodniał teraz i stał się znowu tym dawnym, pełnym optymizmu, dobrodusznym, rzeźkim Ignacym Zapolskim, którego właśnie za honor, beztroskę i raźność tak lubiła Kasia. Siostrzenica na razie i nie na długo zapewne uwolniła go od dotkliwych kłopotów. Mógł oto dzięki zupełnie niespodzianemu zasiłkowi lżej odetchnąć, mógł znowu wyjechać z domu do miasta dla różnych spraw, nie potrzebując obawiać się spotkania z wierzycielami, mógł zasnąć spokojnie z wieczora bez niepokoju o to, jak wypłaci jutrzejsze procenta.

Zakręcając wąsa i potrząsając przytem po swojemu tak niezmiernie charakterystycznie głową, wytłumaczył Kasi, iż ona robi wyśmienity interes, lokując u niego swój kapitał na znacznie wyższy procent, on zaś dzięki jej pomocy, potrafi przetrzymać kryzys, a wówczas, stanie się naprawdę Krezusem, bo i tu i tam, z lasu, ze młyna w Romejkach, z gorzelni dziś zamkniętej, za rok popłyną strumienie złota...

Jeszcze raz poprosił siostrzenicę o sekret, co też Kasia mu jeszcze raz solnnie obiecała, a wtedy zacny prezes niezgrabnie, ale szczerze, niedoświadczony w tych subtelnościach, wręcz spytała Kasię, czemu odmówiła Małkowskiemu, który "poniekąd" zjednał tu sobie rodzinę, "poniekąd" podobał się jej, "poniekąd" jest bardzo dobrą partyą, jako chłopak zamożny, szlachetny, z porządnego gniazda, nazywany przez stryjów "perłą".

Na co Kasia równie szczerze, a znacznie krócej odparła, iż nie może wyjść za Małkowskiego.

—Możebyś poniekąd... nie tak zupełnie—nieśmiało za-

proponował wuj—możebyś wzięła do namysłu... trochę odwlec nieszkodzi.

Siostrzenica milczała, końcem bucika wystukiwała jakiś takt na podłodze, wbiła spojrzenie w podłogę.

—Za moich czasów, często zdarzało się, że po trzech, po czterech odkoszach panna zmieniała nagle zdanie, wychodziła za mąż i była najszczęśliwszą żoną—zaczął opowiadać Zapolski.—Pamiętam naprzykład Skibniewskich... ona Porzecka z domu... panny kapryszą nieraz i grymaszą, a w rezultacie poniekąd nie zawsze same wiedzą, czego chcą.

Kasia dosłuchała opowiadania do końca, roześmiała się, niespodzianie po swojemu, pocałowała wuja w ramię, zdziwiony pan prezes nie potrafił nic więcej powiedzieć—i na tem rozmowa utknęła.

Niedzielna, w sprawie kupna Chocimowa narada, na którą Aleksander Zapolski zaprosił Jakóba, trwała długo, ponieważ Ciecierski, równie uparty jak zacofany, bał się ryzyka, weksli, afer i wolał trzymać swoje znaczne kapitały w papierach wartościowych. Aleksander tłomaczył, wyliczał zyski. przekonywał obu wspólników. Podczas herbaty, potem w gabinecie przybiurku, potem podczas kolacyi była mowa wyłącznie o pożyczkach, bankowych, procentach, serwitutach, porębach, stopach kubicznych...

—Dlaczego Gorzelska wciąż daje odkosza?—spytał naraz Ciecierski, snać znudzony interesami.—Naco czeka? Taki Małkowski naprzykład! Dobrze patrzy mu z ócz, chłopak rozumny, przystojny, zamożny, rozmiłowany w niej wyżej uszu... Chyba ona zakochana w kim zakazanym?

Nikt Ciecierskiemu nie odpowiedział. Młody Zapolski w dalszym ciągu, zwracając się już wyłącznie do Jakóba, wychwalał wyborne łąki Chocimowskie, położone nad Siewierczanką.

—Powiadają, że Turski i Przyłęcki "machnęli się" za nią do Warszawy i obaj wrócili z kwitkiem. Coś panna zanadto przebiera!—opowiadał jeszcze Ciecierski, widocznie zamiłowany w nowinach swojej parafii, poza którą nie wychylał się nigdy.

I znowu na słowa jego nikt nie zwrócił uwagi. Bogaty wdowiec czas jakiś zmiatał naleśniki w milczeniu.

—Kapitalna niewiasta!—orzekł po chwili, jakby do siebie.

—Jaka niewiasta?—zdziwił się gospodarz.

—Twoja siostra Adela. Nie boi się ani kul, ani moskala, ani tyfusu... Trzy razy już dotarła do Bagarzowa... powymieraliby tam biedacy, gdyby nie ona—opowiadał Ciecierski.

Po wieczerzy sąsiedzi odjechali. Aleksander odprowadził ich na ganek. Była przedziwna piękna noc pełni księżycowej przy pochmurnem niebie. Sanie gości oddawna skręciły w aleje, a on stał jeszcze, spoglądał wdal, widną choć nieoświetloną, słuchał; lubo było cicho, stał i spoglądał, jakkolwiek czasu nie tracił, i chciało mu się westchnąć, mimo, że nigdy nie wzdychał. Z pod kamienia grobowego którym przywalił pogrzebane uczucie, odezwała się skarga żalu, że Imy niema tu, że Imy nigdy nie będzie.

Aleksander wrócił do pustego domu, przeszedł przez pokój jadalny, gdzie chłopak, dławiąc się chwyconemi z półmiska naleśnikami, sprzątał ze stołu i stukał grubem obuwiem, udał się do gabinetu, zajrzał do ksiąg i rejestrów, potem wdział lisiurę i podążył do gospodarstwa. Rekwizycye nie zniszczyły mu jeszcze cennej zarodowej obory bydła krajowego. Aleksander spodziewał się dnia tego dwu wycieleń się.

Tymczasem rącze siwosze Jakóba pędziły równym, wyciągniętym kłusem, trzaskając ostro kutemi podkowami po twardej drodze, a z pod kopyt leciały bryły lodu. Sanie mknęły, janczary grały, jechano jakby w zaloty. Jakób zwiesił głowę, schował usta i nos w kołnierz "dachy", patrzył z podełba w przesłoniętą zjawę tej sudawnej nocy, pełnej przedziwnej jasności, słodyczy i milczenia, której czar prysł od trzeźwego pytania, zadanego trzeźwym głosem rubasznego Ciecierskiego.

—"Naco Gorzelska czeka? Chyba zakochana w kim zakazanym?"

Ubolewał, że znalazł się na drodze jej, wyrzucał sobie, czemu nie zszedł w porę i stanął między nią a Małkowskim. Rozsądny Ciecierski miał racyę. Panna powinna wyjść za

mąż, zwłaszcza, że nadarza się dobra partya. Panna powinna zakochać się w kimś takim tylko, za którego może wyjść za mąż i powinna wyjść za mąż za tego, w którym jest zakochana.

Tymczasem co on może jej ofiarować, prócz wahań swoich i wątpień, prócz tęsknoty i pragnienia szczęścia?

Nie. Nie ożeni się. Nie uczyni głośnego na całą Polskę skandalu, nie porzuci żony, córki. Tak... Jest Kościół, którego powagę uznaje, są obowiązki, które spełnić, i jest świat, z którym liczy się więcej może, niż z przepisami religii i z obowiązkiem. Wolno mu szaleć dla trzech naraz baletnic w trzech stolicach; zdobyłby tem tylko sławę, ale cóż byłby za śmiech, gdyby się rozeszło, że Siewierski na starość lata jak trubadur dla jakiejś nieznanej nikomu panny Gorzelskiej...

Zapewne dziś już rozeszło się między ludźmi. Tu przypomniał się Jakóbowi lekceważący ukłon Szczerbiowskiego, spojrzenia cioci Tereni, która zawsze wie wszystko, szepty Diny, uśmiech "marszałka". Ludzie drwią z niego, a ją zniesławią oszczerstwa i plotki. Ludzie nie czytają Platona i nie uwierzą w platoniczne uniesienia. Ponieważ on nie potrafi pójść ani przeciwko Kościołowi, a zwłaszcza przeciwko światu, ponieważ on nie może otoczyć jej opieką, obronić przed złemi językami, trzeba mu tedy oddalić się—na zawsze... i nigdy już...

Konie gnały jak wiatr, wesoło łomotały po ubitym szlaku wrzynając się hacelami w lód, podkowy, zapustnie, brzęczały janczary.

Na myśl, że nie wolno mu już nigdy widzieć jej ócz, że nie wolno mu nigdy usłyszeć jej głosu, że imię jej powinien na zawsze wymazać z dni swoich, uczyniła się w sercu Jakóba, jak w domu żałoby, żałoba, i naraz potem, gdy uprzytomnił sobie, że wraca oto do pustego życia, do Janiny, do pustego domu, ogarnęło go beznadziejne zniechęcenie. Wiedział, że potrafi dotrzymać i wyrzec się, ale na zniechęcenie i pustkę nie było rady.

Spełni tak zwane czy też rzeczywiste obowiązki, znajdzie zajęcie, tygodnie mijać będą szybko, nie zazna nudy,

ani bezczynności, wyliczy sobie i innym na placach wszystkie cele życia i zdania. Tak... ale żali poto człowiek przychodzi na świat?

Siewierski spoglądał z podełba przed siebie, w jaśnienie nocy, w ponętę niewysłowionej tajemnicy, ukrytej na dnie milczenia i poświaty, a wolałby nie patrzeć w to piękno, nie przebywać z niem z tajemnicą i nocą sam na sam, chciałby móc uciec od siebie.

Usta szeptały imię, które obowiązany był wykreślić z myśli swoich, oczy widziały ją, choć nie wolno mu było podnieść na nią spojrzenia.

Wyminęli teraz przechodnia, który ukłonił się nizko.

Siewierski poznał go, kazał stangretowi stanąć, zabrał spotkanego podróżnego do sań. Był to dobry Jakóba znajomy, Syczewski Wincenty, częsty w Siewiesku gość, jako majster do wszystkiego, wyborny rymarz, stelmach, a zwłaszcza stolarz, zubożały szlachcic, wdowiec, właściciel czterech morgów, ojciec licznych bardzo porządnych synów, gorliwy katolik z okolicy opornych, która, przed laty gwałtem nawrócona z unii, wytrwała w walce aż do aktu tolerancyjnego. Syczewski pokornie podziękował za łaskę, ucieszył się.

I mknęli znowu. Po kilku minutach ceremonialnego, przepisanego etykietą, na której stary wyga znał się, milczenia, szlachcic zadał kilka pytań, jedno, drugie, trzecie z przestankami, jak tego wymagała przyzwoitość, a wkrótce rozgadał się na dobre.

Opowiadał, że idzie piechotą, bo konia z powodu ciężkich czsów sprzedał, że trzech synów powołano mu do wojska, że Kostuś poległ na froncie południowym koło Lwowa—tu stary począł chlipać—drugi Władek "popadł" do niewoli, trzeci—wokopach; że w domu zostało mu tylko trzech, najstarszy żonaty i najmłodsi, których niezadługo wypędzą z chaty na wojnę... tu znowu mówił głosem łzawym, chlipiąc.

Siewierski żałował Syczewskich, chłopców na schwał tęgich, ale w boleść ojca nie bardzo wierzył, wiedział bowiem, iż stary z synami nie żyje w zgodzie i nosi się z zamiarem wstąpienia poraz trzeci w związk małżeński.

Następnie szlachcic wdał się w politykę i ostrożnie a cicho, bojąc się wiatru, który wiał i nocy, która milczała, pytał Jakóba o nowiny strategiczne i jeszcze ciszej szeptał, że "pan Bóg" taki ukarze, że ze Lwowa "naszych" wypędzą, że "Austryjaki" przyjdą aż tu do Siewierska, aby kościoły zabrane otworzyć, wiarę świętą katolicką przywrócić.

Siewierski nie zbijał tych twierdzeń. Potem Syczewski począł wspominać dawne dzieje, znane mu w części ze wspomnień, w części z opowieści, dzieje wieloletniego ucisku i przymusowego nawracania opornych, historyę bohaterskiego wytrwania i cierpień, dzieje kapliczki, trzy razy cudem uratowanej.

W pewnej chwili szlachcic poprosił Andrzeja, aby zatrzymał się, gdyż wtem miejscu rozchodziły się drogi, ale Siewierski ku zdziwieniu i furmana i szlachcica wyraził chęć odwiezienia towarzysza podróży aż do Meszyc, choć oznaczało to nałożyć przeszło milę.

I znowu mknęli. Wesoło dzwoniły janczary, stary gadał bez ustanku. Jakób słuchał go, patrzał w przestrzeń, zapadał w zadumę, by natychmiast przerwać ją, bo zbyt pękały myśli, żaliło się serce.

Z Mieszyc, gdzie stary szlachcic zeskoczył i wązką ścieżką pobrnął przez śniegi ku swemu zaściankowi, droga do Siewierska szła przez Tyszowce.

Powiew wiatru przyniósł najprzód zapach dymu, a rychło potem poprzez zarośla i gaje bezlistnych drzew błysnęła tu i ówdzie słabym światełkiem samotna szybka czworaków tyszowieckich, skupionych dokoła stawu na dole, i wyżej na górze zaświeciły okna dworu.

Ku nim biegło spojrzenie Siewierskiego.

Po chwili Siewierski spuścił oczy, przymknął je nawet. Wydał się sobie samemu śmiesznym, że z oddali patrzy w okna niby jaki trubadur.

Usta wymówiły szeptem imię, które postanowił wykreślić z myśli swoich, oczy zamknięte widziały drogą postać, a w sercu szlochała tęsknota.

I nagle tęsknota i ból rozwarły się jak mgła niknie w świetle słońca... Panna Kasia była oto na drodze.

Wyskoczył z sań, nalazł się obok niej. Z niezmiernej radości, doznanej przez oboje jednocześnie, nie wiedzieli co mówić. Uśmiechnęły się oczy i usta, witały oczy, cieszyły się. Milczeli. I długo szli razem, pełni szczęścia, milcząc ze zmieszania, z radości.

—Jaka dziwna noc!—rzekła cicho.

—Noc, w której się nic nie widzi, a wszysko wie i nic się nie wie, a wszystko przeczuwa.

Nastała cisza.

Ani chcieli, ani potrzebowali mówić. Brała ich tylko ochota, by ująć się za ręce i trzymając się za ręce, pomknąć wdal, niby dwa duchy skrzydlate przez białe równie, przez bary, zagłębione w zadumie, brała ich ohcota, by lecieć przed siebie coraz dalej w przestrzeń, w noc, przez świat piękna,jaśnienia miesięcznego, czaru i ciszy.

I rzeczywiśçie byli niby istoty bezcielesne, bo jakkolwiek widno było jak w dzień, oni nie odrzucali cienia, i byli jak duchy skrzydlate, choć nie rosły im skrzydła. Serca przepełniło im wesele anielskie. Szli wolno. Andrzej, nie chcąc przeszkadzać, wyminął ich wyprzedził znacznie i jechał stępa.

Dążyli za nim, niepomni na przestrzeń i czas, odzywając się zrzadka krótkiemi, urywanemi zdaniami.

Im dalej, tem cudniejszemi, rzekłbyś stawały ziemia i noc, głębszem czyniło się przepełniające ich serca szczęście.

Naraz panna Kasia zatrzymała się.

—Muszę już wracać—rzekła—będzie daleko.

—Jeszcze tylko do tamtych sosen!

—Dobrze, do sosen.

A gdy dosięgli drzew, szli jeszcze pod górę, by za szczytu wyniosłości spojrzeć w bielejące pola, w zachmurzone, a świetliste niebiosa—i sobie w oczy.

Kasia stanęła.

—Tu już kres, panie.

—Tu już kres!...

Nie powiedział jej nic więcej, a ona ani domyśliła się, ani przeczuła, że ten najdroższy szczęśliwiec, czy nieszczę-

śnik, któremu z òcz patrzało kochanie, skazał siebie przed godziną na dożywotnie wygnanie, na dożywotnie osiedlenie w pustkowiu obowiązków, zasad, przepisów, że rozstawali się oto na zawsze.

Pożegnała go mocnym, koleżeńskim uściskiem dłoni.

Poco było to mgnienie, skoro już minęło?

Siewierski siadł, ukłonił się, siwosze ruszyły z miejsca kłusem, załomotały hacelè na ślizkim szlaku, buńczucznie zagrały janczary.

Panna Gorzelska została sama na pustej drodze, daleko od domu, sama wśród pól. Sanie znikły za wzgórzem, za lasem, umilkł zawadyacki śmiech janczarów. Nastała zadziwiająca cisza, tak niezmierna, że aż dotkliwa, cisza próżni, która czyniła się zwykle zaraz po rozstaniu z kimś blizkim. Kasia zaludniła ją myślami, obrazami, wspomnieniem, echem radości.

Zawróciła ku dworowi i szła wolno. Uśmiech błąkał się wśród zadumy jej i wśród twarzy, na której nie było już szczęścia, lecz tylko wdzięczna o nim pamięć.

Jakób usiłował dokumentnie, czy dowodnie wytłumaczyć jej, dlaczego to on jechał nie wprost do Siewierska, lecz na Tyszowce—i nie zdołał przekonać. Odgadła prawdę. Wystarczyło jedno spojrzenie—i w owej chwili, gdy w jadącym poznała swego pana, darowała mu wszystko. Tak wielkiem było szczęście onego mgnienia!

Cały tydzień walczyła z sobą i z nim, chłodnym dyplomatą z obcej krainy, której nie potrafił, czy nie chciał zasłonić jej przed złym śmiechem, przed lekceważeniem i szyderstwem świata. A właśnie wówczas potrzebowała opieki i przyjaźni. I nadarzył się Małkowski, dobry, wierny, oddany Małkowski. Wahała się znużona pełna smutku, udręczona samotnością.

Po tygodniu walki uległa nierozsądnemu sercu, choć zdawało się jej, że i on, ten drogi, a tak zagadkowy i taki, inny niż wszyscy, dziwak, wolałby, ażeby nie słuchała serca, lecz posłuchała Małkowskiego.

I oto otrzymała nagrodę. Nie potrzeba jej nic więcej!

A świat, cóż ją obchodzi świat i jego szepty, obłuda, obmowa, kłamstwo?

Byleby od czasu do czasu chwila takiej, jak dziesiejsza, kojącej pociechy byleby przyjaźń jego i to oczami wyznane kochanie...

XVII.

Aleksander Zapolski nie był bohaterem powieściowym, jakkolwiek odpowiadał wielu warunkom, niezbędnym do tej roli: i t. odznaczał się hartem, żelazną wolą, miał ideał, któremu wiernie służył, był milczący, zamknięty i szorstki w stosunku do innych, a twardy dla siebie, krył w sercu miłość, nieuwieńczoną małżeństwem. Brakowało mu zato poezyi, wyobraźni i uczuciowości, wobec czego nie mógł działać na niczyją imaginacyę, budzić podziwu i zaciekawienia, zdobyć sobie aureoli, w którejby się przedstawiał i chodził.

Sam Zapolski, lubo obok arbitalności i despotyzmu, w wysokim stopniu zarozumiały, gdyby wdawał się kiedy w rozbiór psychologiczny, zaliczyłby siebie z pewnością do kategoryi ludzi zwykłych. Wiedział, że jest dobrym rolnikiem, że potrafi pracować na zagonie, że na placówce swojej potrafi zdziałać niejdno—i szedł prosto i trzeźwo drogą ku trzeźwym celom, bliższym i dalszym, które, jak słupy graniczne, mocno wkopał w ziemię, z których żaden nie sięgał wprawdzie obłoków, lecz każdy znowuż świecił odblaskiem ideału. Był zadowolony z siebie, a nawet do niedawna i z życia.

"Przydałoby mi się trochę powodzenia", albo: "nie mam szansy za trzy grosze"—mawiał często pół żartem, stosując to do gospodarstwa, które na lichych piaskach dużo przyczyniało zawodów, a rzadkie dawało pociechy; powtarzał teraz może częściej po cichu, myśląc o Imie, ale nakazywał sobie wówczas milczenie.

Wiedział, że on już nigdy żony nie wprowadzi pod dach dworku nowińskiego, że nigdy dziecko gwarem dziecięcego gadulstwa nie rozweseli zmierzchu dni jesiennych, że nigdy

syna nie zabierze z sobą w pole na ukochany mu zagon, na wydeptane prze niego ścieżki, że droga dziewczyna odjedzie, zostanie panią Podbielską.

Zdławił, jak zdawało mu się, na zawsze cierpienie. Nad sobą nie roztkliwiał się; żal mu było słodkiej i cichej, miłej sercu panny, zmuszonej przez rodziców. Przyczyny, dlaczego stało się tak, jak się stało, nie szukał daleko, nie szukał wogóle. Nie zastanawiał się nad sobą, ludźmi i życiem, nie odznaczał się spostrzegawczością, świat i towarzystwo znał tylko z książek, których czytywał mało.

Tak, jak w głowie Targowieckich, pan Tomasz i pani Anieli nie pozostało nigdy przypuszczenie, by Ima mogła wyjść ze swego środowiska i wejść do środowiska najzacniejszych, lecz "drugostolnych" Zapolskich, by Ima mogła wahać się chwilę między Podbielskim, najpierwszą w kraju partyą, a najgorszą—Zapolskim, tak samo w głowie Aleksandra nie mieściła się myśl, że między nim a Imą, między jego rodziną a domem Targowieckich znajdowała się przepaść, choć wiedział o istnieniu przesądów, co prawda, tylko z powieści, które zwał przestarzałemi i mało prawdopodobnemi.

Był przekonany, iż ogromna fortuna Podbielskiego zaważyła tu na szali i nie w sercu panny, lecz w oczach chciwego pana Tomasza. I nakazał sobie zapomnieć o tem, co mogłoby być szczęściem jego życia, co mogło stać się, czego nie będzie nigdy. Zdawało mu się, że zapomni. Zanurzył się w gospodarstwie powyżej uszu, w pracy społecznej, zaprzątnął sobie głowę Chocimowem. Kłopotów, zajęć nie brakowało mu, przydałby się nieco więcej powodzenia.

Nowiny, które młody Zapolski otrzymał od ojca, były niedużym w złej ziemi majątku. Po kilku latach wytrwałej pracy Aleksander dokupił sobie najpierw jeden, następnie drugi folwark, oba wyssane przez wieloletnich dzierżawców, oba nieosobliwe, a należące do słynnego z urodzajności, graniczącego z Nowinami, klucza chocimowskiego, którego właściciel, ostatni bezdzietny potomek senatorskiego rodu Gosiewskich, przebywał prawie stale poza krajem ojczystym, często "ce pauvre pays".

W pewnej chwili i obce ziemie dokuczały Gosiewskie-

mu, i wówczas to bogacz, bynajmniej nie podeszły w latach, postanowił wybrać się poza granice zagranicy, zażył dużą dozę weronalu i nie obudził się ze snu. Zostały po nim zwłoki, które ze zwykłą pompą, z kwiecistemi mowami o zasługach nieboszczyka pochowano, została duża sukcesya. Spadkobierców, bardzo dalekich krewnych, zgłosiło się wielu, a nikt z nich, ponieważ wszyscy byli to ludzie niezamożni, lub biedni, nie potrafiłby utrzymać się przy dużym obszarze rolnym; każdy domagał się jak najprędzej, jak nawięcej gotówki.

Wtedy to w Aleksandrze, trzeźwym rachmistrzu, który tak ciężko stąpał po ziemi, że aż się za nim, podług określenia Siewierskiego, kurzyło, obudził się drzemiący w każdym zapewne Polaku marzyciel. Począł roić o nabyciu Chocimowa 12 tysięcy dziesięcin pierwszorzędnej ziemi, która mogła wymknąć się z rąk polskich, z biblioteką, z grobowcem hetmana polnego.

Marzył... Jeszcze kilka lat pracy, zastawi po uszy własne folwarki, zastawi Tyszowce ojca. Lecz i tego było za mało. Zaprzągnie do spółki Ciecierskiego, Siewierskiego, chociaż obaj oni nie lubili afer. Będzie namawiał, już próbował namawiać. Ulegną zapewne... W pocie czoła wypracuje sobie Chocimów; jeżeli będzie miał żonę i dzieci—dla synów, jeśli—nie, dla któregoś z braci. Może zresztą Ciecierski zechce dla syna Czesia, albo Siewierski dla swojej Stasi. Piękny klucz hetmański nie pójdzie na marne.

Chocimów miał grunta wysokiej wartości, lasy, łąki, do których śmiały się zamiłowane oczy, wzdychało amatorskie serce rolnika. Sytuacya była pod wielu względami powieściową, z magnatem bezdzietnym i znudzonym, który skończył samobójczo, z licznymi spadkobiercami, z upartym, niezamożnym, cnotliwym Zapolskim, który chciał ratować i t. d. Aleksander powinien byłby w końcu książki ożenić się, albo z którąś ze spadkobierczyń, albo z Imą, wziąć posag, za posag kupić Chocomów.

Ale zanim to mogło nastąpić, sytuacya z powieściowej stała się wielce prozaiczną. Na Chocimów położyli drapieżne łapy swoje, z jednej strony Franio Liniewicz, z drugiej pan Tomasz. Rozpoczęła się walka o smaczny kęsek. Oba

obozy miały środków i sposobów rozmaitość, broni obfitość wielką, bo nie przebierały w broni, sposobach, środkach. O ziemię i posiadanie nie chodziło nikomu z nich, chodziło o zysk. Aleksander ze swojem marzycielstwem został na uboczu. Nie mógł ani tyle zapłacić, ani przepłacić tam, gdzie należało przepłacić, ani przekupić, podkupić nie mógł i nie umiał...

A jednak nie przestawał roić. Od czegóż był Polakiem! I gdy przyszła wiosna, zabrał się do robót rolnych z tym większym zapałem, że zdawało mu się, pracuje, by nabyć Chocimów z jego pierwszorzędnemi łąkami nad Siewierczanka. Tymczasem zaledwie znalazł się na polu, zapomniał o zyskach i stawał się rolnikiem.

Obojętny zupełnie na piękno natury, Aleksander kochał ziemię i jej uprawę, ziarno i jego rozwój, roślinę i jej wzrost, Siewierski zaś twierdził o nim, że on lubi glebę, chemię, botanikę, nie zaś ziemię, ziemi krasę i rodzajną moc, że majątek traktuje jak laboratoryum, że mógłby zamknąć się w jakiejś pracowni dla doświadczeń, nie wyjrzeć nigdy na świat Boży. Zapolski znowuż dokuczał Jakóbowi z powodu parku, z powodu wielkopańskiego próżniactwa w Siewiersku, gdzie można osadzić poetę i na wszystkie zabawy sobie pozwolić, bo tam zawsze wszystko rodzi. On sam pracował naprawdę.

Znał w trzech folwarkach swoich każdy kamień, każdą skibę, każdą nieledwie grudkę tak, jak matka zna dzieci swoje z tą tylko różnicą, że chętnie zamieniłby je na inne. W Biłce Podbielskiego, gdzie zarządzał Piotruś, w Tyszowcach, w Siewiersku, znanym na cały kraj, w Chocimowie, dziś tak zaniedbanym, rodziło zawsze w każdym roku przy najbardziej niesprzyjających okolicznościach, mimo najgorszych błędów, u niego zaś, on tylko wiedział, ile trzeba było zabiegów, starań, pieczołowitości, by ubogie z natury grunta okryły się jakim takim plonem.

Koniczyny nie chciały rosnąć, kłosowe nie chciały sypać, nawet kartofle zawodziły, nawet łubiny... Z piaskiem, z torfowiskiem, z sapami, z kamieniami, z suszą, powodzią i mrozami borykał się Zapolski. Nie było klęski, któraby jego ominęła, i każda dawała się w nędznym z przyrodze-

nia majątku podwójnie we znaki... Dlatego to nauczył się powtarzać: " nie mam za trzy grosze szansy".

Ale im gorszy był warstat, im większe piętrzyły się trudności, tem zawzięciej walczył. I dopiął swego. Folwarki, które nabył za bezcen, jako beznadziejnie złe, po kilku latach przestały być pośmiewiskiem okolicy. Wyrastały na wydmach murem łubiny, po łubinach gęstym łanem ciemniały oziminy. Długi zostały spłacone, cena kupna zwróciła się Aleksander jeszcze narzekał, i radował się i pysznił się, dowodził, iż ziemia jak matka nie oszuka nigdy, i pożądał Chocimowa z zamiłowaniem rolnika, tęskniącego do dobrego warsztatu, z zawziętością człowieka o silnej woli, z uporem sąsiada, który z okien swego dworku, z każdego wzgórza widział błękitniejący na horyzoncie las upragnionych dóbr.

Sam Aleksander osobiście nie traktował o ten interes; polecił go Siewierskiemu, który mniej niechętnie niż Ciecierski, po długich wahaniach, przystąpił wkońcu do spółki, a więcej miał od obu wspólników wprawy, biegłości, sprytu i stosunków.

Na tle katastrofy wojennej i niedoli ogólno-ludzkiej, projekt kupna wydawał się wprawdzie Jakóbowi to niedorzecznym, to niewczesnym, ale grób hetmana polnego, bogaty księgozbiór, portrety, rezydencya, skazana na zagładę, duży obszar ziemi wymykający się z rąk polskich— to wszystko skusiło Siewierskiego, a zadawniona niechęć do Liniewicza, upór Aleksandra, potrzeba ucieczki od siebie i myśli własnych, przeważyły szalę jego wahań. Chciał także zapełnić pustkę, która czyniła się w życiu, tak bardzo czynna.

Pewnego kwietniowego popołudnio, gdy Aleksander, opalony na kolor miedzi, uwijał się, jak zwykle wśród swoich pól, zaturkotało na drodze i z za góry w obłoku kurzu ukazały się piękne konie z Siewierska. Aleksander w długich butach kroczył właśnie razem z ekonomen za siewnikiem, pilnując próbnego usiewu.

Siewierski, choć nie zgadzały się ich myśli i charaktery, lubił młodego Zapolskiego tak, jak się lubi sąsiada i kolegę mimo wad i z wadami, do którego się przywykło, i lubił bywać w Nowinach. Siewierski iechał z kolei. zmeczonv

miastem, wojną, ludźmi, a z nikąd mimo blizkości stacyi nie było tak daleko od miasta, wojny i świata, jak z Nowin, Jakób szedł wolno po świeżo spulchnionej gryfami roli ku dziedzicowi.

—Beatus ille...—przywitał go Horacym.

—Czasy tylko nie Horacyuszowskie, nie hukoliczne, nie cyncynatowe— pochmurnie rzekł Aleksander.—Mówił mi właśnie Buszyło, że głoszono nowy pobór. Pójdą Jakim i Gaspar, zabiorą mi Kaziuka—narzekał, w stroskaniu zapominając, iż Siewierski niekoniecznie zdaje sobie sprawę z tego, kto są ci wszyscy nazwani po imieniu.—Nikt nie zostanie!

—A ilu poszło!...

—Ilu już poległo!...

Nastało milczenie. Siewierski patrzał na chłopców, którzy bronowali. Bronzowe mieli oblicza, jak dziedzic, bronzowe stopy. Zgrabnie, szybko sprężyście zanurzały się te stopy w pulchnej ziemi. Za bronami kurzyło się. Brony zawadzały o jakiś kamień, na polu dotąd przez zabiegliwego właściciela nie wyzbierany, i podskakiwały, od czasu do czasu jeden z chłopców podnosił bronę na mgnienie, niekiedy machnął biczyskiem. Robota szła żwawo. Ze spokojnych twarzy robotników niktby nie odgadł, czy wiedzą już, iż za kilka dni mają stawać do poboru.

Dzień był pogodny, niebo bez chmur, jak bywa często w kwietniu. Ciepły wiatr suszył pola, słońce dogrzewało. W górze przelewały się zdroje pieśni skowronkowej, cichły na krótko, tryskały znowu nurtem wesela. Obraz zdawał się uosobieniem pokoju i sielskości.

Ale dotarła tu wojna, wżarła się wojna w to życie, takie, rzekłbyś oddalone od onych okopów, gdzie grzmiały działa i mordowali się ludzie.

—Dużo poległo?—spytał Siewierski.

—Tylu! Dwu Tatarzyckich, Syczewski, Władzik Ancyperowicz, z Ciechanowinów Felko zabity, Fabian ranny—posępnie wyliczał Aleksander. Same dęby i wszyscy potrzebni.

Siewierski mniej od Zapolskiego, który był prezesem kółka rolniczego, dyrektorem kasy, kierownikiem sklepu, stykał się z ludem i szlachtą, ale wszystkich prawie znał.

Niejeden stanął mu teraz w oczach.

—Dawno polegli?—pytał cicho.

—Przeważnie jesienią, przeważnie na froncie południowym.

—Pod Lwowem—gorzko i cicho dodał Jakób.

Zapadła cisza. Nie chciało się przyjaciołom mówić.

Praca posuwała się szparko. Siewnik dawno przebył odmierzoną przestrzeń i siał dalej. Kroczył za nim zapewne ów "Kaziuk", może syn ekonoma, ubrany z waszecia, w butach i marynarce, "przy zegarku". Sypał mu się na górnej wardze wąs złocisty, śmiałe niebieskie oczy patrzały z twarzy bystrej i miłej. Tamci za bronami uwijali się także. Aleksander, nie robiąc ceremonii z gościem, dawał im od czasu do czasu po białorusku wskazówki. Miękko, żwawo, sprężyście stąpały opalone stopy fornali. Tak zwinnie i lekko stąpały te stopy, iż Siewierskiemu chciało się pójść za chłopców przykładem, puścić się za nimi boso.

Z jasnego nieba lały się przeczyste, wiosenne strugi radości skowronkowej i samo powietrze, zdawało się, przesycone radością, niby jakowąś wonią, i człowiek oddychał nią i razem z powietrzem nabierał do płuc i przez płuca do serca. Słońce grzało, wiatr pieścił ciepłym powietrzem, zalatywał zapach nawozu, dochodził ryk krów, które niecierpliwiły się w gorącej oborze, rozlegał się wesoły odgłos młota kowalskiego, pachło ziemią świeżo spulchnioną.

—Nie mam dla ciebie zbyt pomyślnych wieści—zaczął Siewierski, który stale spółkę Chocimowską traktował, jako interes wyłącznie Aleksandra.

—Z frontu?

—Z frontu nic nowego, ale co do Chocimowa.

—Tak!—zaniepokoił się Zapolski i piękne jego oczy, zwrócone przedtem ku robocie, pilnie patrzały w Siewierskiego—nowe przeszkody?

—Trudności jest wogóle dużo i jedna największa przeszkoda.

—Cóżby to było?

—Zawsze to samo. Targowiecki i Liniewicz, którzy działają za kulisami. Cena wzrasta, a nasze kapitały nie powiększają się w odpowiednim stosunku. Tamci zawsze mogą

dać więcej, niż my, bo chcą nabyć dla parcelacyi. My doszliśmy już chyba w tym przelicytowaniu się za daleko—powoli wyłuszczył Siewierski.

—A kredyt?

—Wiesz, że zadłużać się nie chciałbym, ale wziąłem i to pod uwagę. Byłem w bankach...

—Ciecierski brzydzi się wekslami. W spółce zgodziłby się może, a podpis jego dużo znaczy.

—Zapewne, lecz zawsze to jeszcze za mało. O gotówkę dziś nie łatwo. Na Chocimów trzeba przeszło dwa miliony. Rozumiesz przecie, iż w karkołomne spekulacye nie będę się wdawał. Nie warto nam chyba także naśladować Targowieckiego, który może już sprzedał żydom lasy na wycięcie w pień—ze zniechęceniem kończył Jakób i patrzał przed siebie, mrużąc oczy.

Rozkosznie pieściło słońce kwietniowe, które zbudziło ziemię i w łonie ziemi żądzę istnienia; wiał wiatr wiosenny, co niesie z daleka tęsknotę za młodością, która minęła, za wiosnami, które były, wiał wiatr, który budził pragnienie wieczystej młodości, której niema, myśl o wiosnach, co przyjdą, gdy nas już nie będzie. W błękicie brzmiała wołaniem radości, niby niewidzialne, narzędzie muzyckie o wielu strunach pieśń skowronków.

—Tak!—posępnie mruknął Aleksander, spoglądał chwilę w siną na widnokręgu wstęgę lasów Chocimowskich, poczem wbił wzrok w ziemię.

—Tak powtórzył po chwili i ruszył ku siewnikowi i bronom, które przez ten czas znacznie się oddaliły.

Siewierski szedł za nim. Gospodarz nachylał się co jakiś czas i wyciągał z roli dostrzeżone bystre, a troskliwem, wszystkowidzącem spojrzeniem rolnika, pasmo perzu, które wymknęło się z pod zęba brony, ukryło się zdradziecko, czaiło się, pełznąć, zda się, niby wąż pod powierzchnią, by jak polip wypuszczać pędy. Wydobyte źdźbło chwastu rolnik kładł do kieszeni marynarki, które pęczniały mu coraz bardziej.

—A jednak musimy zdobyć Chocimów—rzekł, budząc się z ponurego sumowania.

—Ty zawsze swoje.

—Ja zawsze swoje—powtórzył, ale bez zwykłej energii. Ekonom, wysoki blondyn, o powierzchnowości tak typowej, iż Siewierski na końcu świata byłby poznał w nim i ekonoma i szlachcica z Białej Rusi, zbliżył się do Aleksandra.

Rozpoczęła się narada. Przewlekły, mazgajowaty, poczciwy akcent, oraz obfitująca w prowincyonalizmy polszczyzna Buszyły niezmiernie swojska, cieszyły ucho Jakóba.

Siewierski przysłuchiwał się chwilę, potem popadł w zadumę. Pole, na którem znajdowali się, lekkim spadem szło ku mokrej łące, w której środku błękitniało gorącym lazurem bajoro. Od ciepłego powiewu marszczyła się powierzchnia wody, i brzegi w miarę obsychania zarastały pierwszą, przesudnie zieloną trawą. I kwitł tam na suchszej kępinie ni to wysoki krzew, ni to koślawe drzewo, oszczędzone przez Aleksandra z niewiadomego powodu, krzew czeremchy, okrytej obfitem pąkowiem, które ropuszczało się w oczach, wprost z godziny na godzinę.

Siewierski nie mógł oderwać wzroku od owej pomarszczonej, wesołej wody, najcudniejsze zieleni trawy, takiej młodej, chciwej, soczystej, od krzywej czeremchy, okrytej radością i czarem na wpół rozkwitłych liści. Zdawało mu się prawie, iż nie oczyma spostrzega, lecz uchem słyszy, niby dziecięcy gwar, uciechę młodzieńczego listowia.

Wiatr kwietniowy z daleka niósł ku niemu wiesenną tęsknotę za wiosnami, co przeszły, i myśl o wiosnach, które przyjdą, gdy jego już nie będzie. Tęsknota ta była nie jego własną, ale była to żałość powszechna, wszechczłowiecza, dzisiejsza współczesnych ludzi, i dawna tęsknota pokoleń, które minęły i niegdyś w piękne dnie maja myśleli tak, jak on...

Snuły się dumania wiosenne. Siewierski coraz silniej odczuwał żal i smętek, odczuwał coraz to głębiej rozdźwięk, rozłąkę wiekuistą, rozłam, który dokonał się między człowiekiem a matką ziemią.

—Dlaczego?—cisnęło się na usta.—Alboż myśl, która nic nie poznała, i duch, który się dręczy na próżno, są dostateczną nagrodą za ów rozłam. Nie byłożby lepiej bez samowiedzy i ducha utrapień, nie byłożby lepiej, gdyby

człowiek stanowił jedno z przyrodą, razem kładł się na sen, razem budził się do życia.

Co jemu, Siewierskiemu przyszło z jego subtelnych rozważań i z jego duszy, jeśli ta dusza wogóle w nim jest? Oni nie poznali jeszcze i nie poznają nigdy rozłamu, a jednak między niemi a naturą przedział istniał także—zastanawiał się, przyglądając się t. zw. "bronowkom" i ich śpieszącym stopom, opalonym twarzom, Kaziukowi, który szedł za siewnikiem, przystojny z wysypującym się wąsem, nieco sztywnie, z godnością wyprostowany, zapewne ulubieniec całego legionu niewiast.

I naraz Jakób uprzytomnił sobie, że ci trzej mają za tydzień wyruszyć do koszar, potem na front do okopów, pod kule, na śmierć od gazów. Przypomnieli się Jakóbowi tamci, których wyliczał Zapolski, którzy już polegli. I umilkły, jak podcięte, jałowe dociekania, bolesne i tęskne. Stłumiła je ohydna groza wojny, gorsza od straszliwych okrucieństw wojny, krzywda.

Wesoło w ciepłym podmuchu igrała, marszczyła się drobną falą tamta woda szafirowa, cudnie zieleniały trawy.

—Nie mówiłem ci jeszcze—odezwał się Zapolski już swoim zwykłym raźnym głosem, pokrzepiony na duchu rozmową rolniczą z ekonomem—iż zaprowadzam hodowlę nasion. To pierwszy siew owsa. Dlatego uwijamy się tu wszyscy, najlepsze siły. Będziecie mi złotem płacić!...

—Nie wiem, czy wybrałeś stosowną porę—mruknął Jakób, który był myślą daleko.

—Właśnie, że w porę, bo między nami a Królestwem stanie w krótce ściana bagnetów—począł dowodzić zamiłowany rolnik.

—Zazdroszczę ci—rzekł pochwili Siewierski.

—Czego mi zazdrościsz—zawołał Aleksander—kamieni, sapów, braku wapna, wrzosowisk?—ty, właściciel najlepszych gruntów w powiecie.

—Może... ale głównie tego, że ty nigdy nie wątpisz o sobie, o swoich celach, że wiesz wszystko napewno...

—Nie rozumiem.

—Albowiem nigdy nie nasuwa ci się pytanie: założę doskonałą stancyę doświadczalną, kupię Chocimów—i co dalej?

Aleksander patrzał uważnie w twarz mówiącemu.

—Wytrwam na stanowisku, podniosę kulturę kraju, przyczynię się do powiększenia sumy dobrobytu, użyteczności...

—I co dalej?

—Spełnię obowiązki.

Siewierski stwierdził może po raz tysięczny, iż oni nie mogą się porozumieć, bo mówią różnemi językami.

—Tak, dobrze—rzekł—lecz powiedz mi, czemu ci oto idą do okopów, czemu tamci polegli?

—Czemu ci idą? Czemu tamci polegli pod Lwowem?—jak echo powtórzył Zapolski.

Nastało posępne milczenie. Aleksander zwiesił głowę.

—Dlatego, że przodkowie twoi i moi—odezwał się po chwili—przed stu laty i przed dwustu nie spełnili obowiązku wobec Rzeczypospolitej.

—Tak zapewne—zgodził się Siewierski, widząc, że i tu gospodarz nie rozumiał jego myśli.

Potem Aleksander wrócił do tematu kupna Chocimowa. Siewierski słuchał pozornie z uwagą, w rzeczywistości zaś słyszał niewiele, bo roztargnienie sprawiali mu i chłopcy, powołani na wojnę i tamta wesoła i szafirowa woda, która gorzała teraz, migotała, skrzyła się w blasku pochylonego ku zachodowi słońca, i tamte, okalające sadzawkę, młode, bujne, soczyste trawy i chwiejący się w rozkosznym powiewie roześmiany zielonemi pąkami krzew czeremchy.

Bocian zaklekotał, broniąc żony i gniazda od współzawodnika, który wysoko zataczał koła, szybując.

—A szczęście twoje i moje!—chciałby Jakób przerwać i zawołać:—Co warte twoje życie bez Imy i moje życie bez niej?

"Na nic to życie na nic"!—brzmiała w sercu grobowa odpowiedź. Siewierski zachował ją dla siebie; Aleksander nie zrozumiałby, albo nazwałby go niezdarą i wykolejeńcem... Ale myśli stare jak świat i proste jak prawda, napastowały go uporczywie.

Do czego zdąża człowiek, żyjąc i starzejąc się? W naturze co roku odmładza się lub zmartwychwstaje wszystko;

tylko człowiek ma jedną wiosnę, a szczęście—raz jeden, a może i nigdy.

I patrzał ku koślawej, niepotrzebnej nikomu czeremsze, która stała w chwale wesela i rozkwitu. Zapolski nie ściął jej, jak ścinał niemiłosiernie wszystkie wogóle wśród pól drzewa, zostawił, oszczędził w chwili słabości, czy siły.

—Czemu istnieje przedział między człowiekiem a przyrodą?—dumał Siewierski.—Poco przychodzi człowiek na świat, jeśli nie może być wiecznie młodym i szczęśliwym, jeśli nie odradza się co wiosny? Dlaczego toczy się ta straszna wojna, czemu trwają krzywda i ucisk, istnieje złe?

Wśród lazuru niebios zanosiły się od radosnego śpiewania skowronki, z kuźni dochodził raźny, pracowity odgłos młota kowalskiego.

XVIII.

“Kaziuk” poszedł na wojnę i może poległ w okopach, owies, który on rozsiewał w obecności Siewierskiego, wzeszedł “ciemnym kaliwem”, jak wyrażał się ekonom Buszyło, i wyrósł i wykłosił się; bujnie rozkrzewiły się ziemniaki; gęste ściany żyta stały się najpierw płowemi, potem złotemi i nizko pochyliły się kłosem; rok zapowiadał się urodzajnie; przystąpiono do żniw.

Tymczasem z frontu nadchodziły wieści, które trwożyły jednych, cieszyły innych, zdumiewały wszystkich. Wojska moskiewskie po kilku klęskach oddały Przemyśl, rdzennie rosyjski i odwiecznie rosyjski Lwów, cofały się na całej linii w Królestwie. Weszła już w grę strategiczną stolica.

Wówczas to Siewierski wybrał się do Warszawy z powodu interesów własnych i cudzych, a także dlatego, że trapiła go pustka w domu, że chciał przyjrzeć się drogiemu miastu w przededniu rozstania może na długo. Podróż, jakkolwiek wogóle uciążliwa i długa, wypadła wcale pomyślnie; zato w mieście panowała panika, jakiej się nie spodziewał. W bankach, z których zamierzał podnieść gotówkę własną, potrzebną do kupna Chocimowa (Aleksander twardo stał na swojem), a zwłaszcza kapitały Dominika, gdyż Dominik

wydawał dużo, a majątek jego znalazł się już w pasie wojennym, w bankach nie sposób było docisnąć się do oblężonych kas, spłoszonych urzędników, rozgorączkowanych dyrektorów. Siewierskiemu zeszedł jeden dzień i drugi.

Panika wzmagała się. Słychać było, przynajmniej twierdzili tak wszyscy, po nocach huk dział. Szyby drżały podobno—i tego Siewierski także nie słyszał. Samoloty furczały. Niezliczone masy wojska szły kędyś.

Krążyły bezmyślne plotki i nikczemne oszczerstwa. Ktoś szerzył wieści najokropniej przerażające, kto inny siał dobre nowiny, wyssane z palce, ludzie wierzyli wszystkiemu. Oburzano się powszechnie na t. zw. ewakuacyę mieszkańców wsi, obawiano się, że miasto ulegnie bombardowaniu. Utworzyło się kilka nowych partyi, dwa pisma zakończyły, czy tylko zawiesiły swój żywot. Użyteczni i pracowici szeregowcy użytecznie pracowali w stowarzyszeniach, sztaby stronnictw, wszelakie komitety traciły czas na jałowe spory. Umarłych grzebano, rannych wywożono, zdrowi albo wyjeżdżali w popłochu, albo, jeśli zostawali, to gotowali się na pewną śmierć.

Siewierski chodził ulicami, przyglądał się, badał i snuł bolesne myśli. Okoliczności były wręcz inne, niż wówczas w listopadzie—myśli i uczucia jego małej uległy zmianie. Tak jak wówczas, zdawało mu się, że on nie ma ojczyzny i nie ma stolicy. Wtedy broniono Warszawy, nie pytając Polaków, czy pragną tej obrony, dziś oddawano Warszawę, jak pierwszy lepszy punkt strategiczny, jak własność swoją. Inne narody w obronie stolic zaścielały pola bitew trupami bohaterskich synów swoich. Polakom nie wolno było dla niej żyć, nie wolno było umierać.

I mimo popłochu, przerażających plotek, odgłosu armat przestrachu, życie toczyło się niemiłosiernie powszednim trybem, aż do cynizmu normalne.

Stolica potężnego niegdyś państwa, wielkiego kraju, przechodziła z rąk do rąk, odwracała się w dziejach karta, kto wie, czy nie jedna z bardziej doniosłych; tymczasem chodnikiem płynęły codzienne tłumy, w magazynach kotłowało się. Hotele, cukiernie, restauracye, kinematografy nie przestawały robić największych interesów. Sławny w histo-

tyi z czynów rycerskich naród, dziś gdy rozstrzygały się losy jego, kupował, sprzedawał, wałęsał się po mieście i gapił się, oraz karmił i poił, a także zabawiał w różnych instytucyach, stworzonych ku zabawie wojskowych rosyjskich.

Było coś niemal okr...ego w tem przeciwstawieniu. Siewierski chciałby stanąć na placu, zawołać na cały głos, protestować—i sam płynął z nurtem płytkiego, pospolitego życia.

Wstępował do banku, zachodził do przybytku, gdzie znajdowały się tak zwane safes, widział w onem sanctuaryum otyłych, starannie ubranych jegomościów, zajętych odcinaniem kuponów, obliczaniem gotówki, napychaniem kieszeni, (tych pod kamizelką). Każdy z nich przerażał się na widok nowego przybysza, podejrzewając w nim opryszka, który zaraz obrabuje i zamorduje, z ukosa spoglądał, a przekonawszy się iż zjawia się tym razem jeszcze nie bandyta i nie sołdat, lecz taki sam, jak on "porządny człowiek", oddychał z ulgą, uspokajał się, jeszcze chwilę patrzał nieufnie, potem marszczył się, zły, iż złapano go na gorącym uczynku, że przerwano mu zajęcie, wkońcu wracał do przerwanego zajęcia i dalej odcinał, obliczał, zapisywał napychał kieszenie.

Wśród otyłych jegomościów Siewierski spotykał znajomych, rozmawiał z nimi, wysłuchiwał utyskiwań, sam ubolewał. Wstępował do fryzyera. W dużej sali pierwszorzędnego zakładu subjekci, równie eleganccy, uprzejmi i doskonale uczesani, jak zawsze golili, strzygli, myli głowy, zabawiali klientów.

Jakiś oficer rosyjski kazał sobie ufryzować włosy, gdzieindziej ministeryalny Szczerbiowski z powagą męża stanu na obliczu z białym czepkiem po shampooing'u na kanclerskiej głowie, siedział wyprostowany i patrzał w lustro. Siewierski siadał także i spoglądał tępym wzrokiem w zwierciadło i widział w niem twarz swoją, która innym w tym samym stopniu musiała wydawać się tępą i bezmyślnie zadowoloną, jak jemu twarze sąsiadów, widział zgrabne ręce, uśmiechy uperfumowanego subjekta.

Dokoła mówiono o wojnie i bitwach, o huku dział i rannych, o wygnańcach, powtarzano sobie szeptem, lub głośno,

iż Warszawa będzie oddaną. Czasami Siewierski rozmawiał ze Szczerbiowskim. Ten głosem doniosłym, tonem nieomylnym tłómaczył coś o czem Jakób wiedział od dawna, czemu nie wierzył, czemu nie wierzył także Szczerbiowski. Należało tak mówić.

Któregoś dnia zagrodził Siewierskiemu, który był przybity, zmęczony, rozstrojony, drogę na chodniku mecenas Dolling.

—Dzień dobry, panie dziedzicu—przywitał poufale i poufale wziął pod rękę—przejdę się z panem, panu pilno, mnie—nie...

—Widzę to... Nie poznałem pana, ale zwróciłem na niego uwagę, jako na kogoś, który jedynie w tłumie rozgorączkowanym zachował spokój.

—Chodzę, przeglądam się, rozkoszuję się.

—Czem?

—Patrz pan...

Adwokat wskazał ulicę, której środkiem przeciągały wozy, oddziały piesze, szwadrony kawaleryi, działa, pędziły, albo posuwały się samochody ciężarowe, turkotały zacne szlagońskie bryki i wózki, zarekwirowane w zapadłym gdzieś folwarku, zaprzężone w dwa dobre fornalskie konie, któremi powoził sołdat. Jakób napatrzył się na przemarsz wojsk, od dwóch dni przywykł do widoku tego.

—Jak zmykają!—wołał Dolling z takim wyrazem i akcentem, jak gdyby to on zmusił armię do ucieczki.

—Z tego, co widzę, nie domyśliłem się nawet, że cofają się—zaprzeczał Siewierski.—Idą w dwu kierunkach: na Pragę i z Pragi. Przynajmniej ja się nie oryentuję...

—Ja panu mówię, że zmykają—gniewał się i zaczynał krzyczeć prawnik.

—W każdym razie, w wielkim porządku.—Nie jest to ucieczka...

—Mało panu tego—mecenas zmrużył oczy, poklepał Siewierskiego— chce się panu paniki. Ona już jest... będzie gorzej...

Dolling zatrzymał się.

—Niech pan posłucha!

Nie słyszę nic.

—A ja panu mówię, że słychać coraz bliżej. Może mi pan wierzyć—niecierpliwił się adwokat—czekałem rok cały, wsłuchiwałem się cały rok... Zresztą pamiętam październik i wiem co teraz się święci, na co się zanosi.

Mecenas zdjął kapelusz, otarł pot z wypukłego, nabrzmiałego, rzekłbyś, myślami czoła. Paliły mu się oczy.

—Czy pan przyjechał tu, żeby dać się wziąć?—spytał.

—Nie,—wyjeżdżam.

—To niech pan śpieszy, niech pan śpieszy,-powtórzył-bo-jest już gorąco, a będzie jeszcze goręcej!—stanął na chodniku.—Pamięta pan moje proroctwa w jesieni? Już się sprawdziły, a sprawdzą się jeszcze... Uśmiech był na wargach Dollinga.

—Z eleganckiego wyglądu mego może pan wnioskować —dodał drwiąco—że geszeftu nie zrobiłem. Zacny, lecz niezmiernie zamiłowany w marnym kruszczu rodzic mój, podobno stracił wszystko z powodu paniki i złorzeczy... Ja cieszę się! nie o geszeft mi chodzi!—patrzał Siewierskiemu w twarz wyzywająco, włożył ręce do kieszeni.

—Pan dziedzic zaś przybity... Kogo, czy też co pan dziedzic opłakuje i żałuje? Tych, co po stu latach pójdą sobie wreszcie tam, skąd są rodem, do Azyi? Ich pan żałuje?—pytał.

—Chciałbym się cieszyć! Nie umiem...

Dolling roześmiał się na cały głos, jak gdyby usłyszał jakieś niezwykłe, niedorzeczne głupstwo.

—A to dobre!... pan chyba udaje! przedemną nie potrzebuje pan się kryć!—poklepał Jakóba protekcyonalnie po ramieniu.—Dziedzic kpi, czy o drogę pyta.

Dolling po prostu nie uwierzył, by ktoś mógł myśleć i czuć inaczej, niż on.

—Miasta panu nie żal i ludności, wywożonej gwałtem—zaczął Jakób.

—Pan wyjeżdża, a ja może zagrzebię się pod gruzami tego miasta. Ale niech wali się wszystko!—przerwał adwokat.

—Hojnie pan płaci za nowy rodzaj niewoli. Po przebyciu cholery, zachorować na tyfus, jak wyraził się ktoś trywialnie... cóż za pociecha?—ze zniechęceniem mówił Siewier-

ski.—Inne narody mają niepodległą ojczyznę, albo walczą o niepodległość, my Polacy musimy koniecznie wybierać między jednym najeźdzcą, a drugim...

Tym razem mecenas oburzył się naprawdę.

—Co pan woli: być zjedzonym przez tygrysa, czy stać się świnią? Ja wolę pierwsze, a groziło nam to drugie—oburzył się na Siewierskiego i zasypał go gradem dowodzeń, cyfr, "prawd", które rozpierały mu wypukłe czoło, ogłuszył potokiem słów, tak szybkich, że nie miał czasu ich wypowiedzieć, oplwał się z powodu gwałtownego mówienia.—Za tydzień, za dwa tygodnie, sprawa polska stanie się kwestyą międzynarodową—wołał.

—Daj Boże!—zgodził się Siewierski, by położyć kres niepotrzebnej dyskusyi.

—Mówię, że tak jest, jak mówię, i że tak będzie, jak twierdzę— powtarzał adwokat z przyciskiem i takim tonem, jak gdyby to on kierował dziejami.

I patrzał na Siewierskiego, którego i lubił i miał do niedawna jeszcze za człowieka rozumnego, trochę jak na dziecko, w części jak na półgłówka, traktował coraz bardziej protekcyonalnie.

Siewierski milczał cierpliwie.

Wyłożywszy cały swój zapas przepowiedni politycznych, Dolling umilkł także.

Już mieli się rozstać, ale Dolling jeszcze zatrzymał Jakóba.

—Odwiedził pan pannę Gorzelską?—zapytał, po raz drugi występując w roli węża-kusiciela ze starego zakonu.

—Nie.

—Ona miała zostać, wahała się, miała jechać, postanowiła zostać. Teraz jest w wielkim kłopocie, bo związała się z jakąś rodziną, której biedy wzięła do serca. Niech pan pomoże koniecznie. Potrzebuje protekcyi w sferach, w których moja osoba mogłaby tylko zaszkodzić.

—Nie znam adresu—bronił się Siewierski.

—Dwie ulice stąd... na Książęcej. Niech pan idzie zaraz. Nie można w tych czasach puszczać dziewczyny samej —nalegał mecenas.

—Dobrze, pójdę, lecz za chwilę... załatwię tylko coś przedtem... Dowidzenia panu mecenasowi!...

Siewierskiemu chodziło o to, by wreszcie wydostać się z pod natarczywej opieki Dollinga, by może rozważyć.

Ale nad czem tu było zastanawiać się? Nad odwiedzeniem i oddaniem usługi dobrej znajomej w chwili niełatwej, gdy ludzie obcy zupełnie pomagają jedni drugim? Siewierski bardzo bał się śmieszności wobec świata, w salonie, jeszcze zaś bardziej bał się śmieszności wobec siebie samego, a wydawało mu się, iż byłoby szczytem przesady, gdyby zaczął wdawać się w jakieś walki, drażliwości.

To też wykołatawszy coś w banku, skierował się na Książęcą. Szedł zmęczony upałem, przybity na duchu, pełen gorzkich, wątpiących myśli, w sercu trzepotała radosna nadzieja, której nie uświadamiał sobie. Przyzwyczajenie pchnęło go ku rzece, którą tak lubił, że ile razy znajdował się w pobliżu, zbaczał zawsze, by choć przez chwilę spojrzeć w powódź jej wartkich, krętemi wirami mknących fal.

Widok nurtów pokrzepił Siewierskiego tak, jak po upalnym zaduchu krzepiła smuga orzeźwiającego powiewu, który biegł wzdłuż wybrzeża. Potężne wody płowej Wisły płynęły ku morzu, most dudnił pod nieprzerwanym szeregiem wozów, oddziałów konnych i pieszych, dział.

Wojska szły na wschód. Po raz pierwszy od przyjazdu Jakób doświadczył uczucia grozy wojenne i po raz pierwszy tu, na brzegu wielkiej rzeki zrozumiał i uprzytomnił sobie, że naprawdę odwraca się karta w dziejach, że godzina jest ogromnej doniosłości.

Wieczną zdała mu się ta rzeka, jak owo morze, do którego śpieszyła, i wiecznem trwanie narodu. A cóż znaczy wobec tego sto lat niewoli i ten dzisiejszy nowy najazd!

Doznał otuchy, spoglądając to na mrowie żołnierskie, to w toń wód, błękitniejącą w odległości... Ze wschodu przyszły olbrzymie armie—dziś odchodzą, niebawem zjawią się inne z zachodu i także odejdą—potężna rzeka toczy obojętnie nurty swoje. W spokoju Wisły były głębia, prawda i moc. Patrząc w oblicze głębiny i mocy, widział przed sobą jakoby ojczyznę i naród. Proste słowa wierszyka, którego uczył się dzieckiem, który teraz powtarzała Stasia, zaszem-

rały w pamięci... "Płynie Wisła płynie... a dopóki płynie, Polska nie zginie"...

Siewierski zawrócił pośpiesznie i podążył na Książęcą.

Panna Kasia była w domu. Wyszła ku niemu do jakiegoś salonu, gdzie olbrzymi kosz stał w pośrodku pokoju, do połowy zapakowany rzeczami, a bielizna i książki leżały na podłodze, na wszystkich krzesłach, stołach...

Nie potrafili oboje ukryć uradowania, radość była tak prosta, dobra, szczera, że oboje ulegli jej z prostotą. Szczęśliwe oczy witały Jakóba. Jakób dziękował spojrzeniem. Przyjechał tu nie dla niej, stronił od niej, lecz zaledwie stanął przed nią, zrozumiał, iż przyjechał wyłącznie tylko poto, by znaleźć się obok niej, być tam, gdzie były jej oczy, jej drogie ręce, jej ukochana twarz... To samo wyznawał jej wzrok.

—Pamięta pan panią Wasilską z Mścisławskiego?—, przychodziła do szpitala—zaczęła panna Gorzelska.

—Nic nie pamiętam...

—Zresztą mniejsza o to. Miałam zostać, bo wszyscy zostają, bo zostać trzeba.

—Wszyscy wyjeżdżają...

—Ja nie znam takich, co zmykają.

—A ja takich, co zostają...

—Mniejsza o to. Gotowa jestem jechać, bo jeśli miliony, jak twierdzą niektórzy, pójdą na wygnanie, pracy tam będzie ogrom. Ale jadę nie sama, są zaś trudności.

Bezładnie i dość bezradnie, śpiesząc, opowiadała historyę rodziny, dla której potrzebowała protekcyi w sztabie. Siewierski obiecał protekcye, zapytywał, zapisywał coś w notatniku. A przez ten czas przedziwne oczy jej, których tak dawno nie widział, radowały się z niego, dziękowały mu. Chwilę rozmawiali jeszcze o wypadkach, o wielkich wypadkach, mówiąc o nich pospolitemi, małemi słowy w sposób urywany. Potem Kasia jęła znowu wahać się, czy należy jej opuszczać Warszawę, czy wolno opuszczać.

Wobec tego, iż Siewierski obiecał swoją pomoc i opiekę pani Wasilskiej z dziećmi, ona nie potrzebowała może już jechać. Wahała się. Siewierski nie odradzał, ani zachęcał. Myślał tylko, gdy wzrokiem pieścił jej ręce, czoło, włosy,

usta i oczy, myślał, że nie należało szamotać się i ciemiężyć siebie, gdy z nią mógł być, iż być z nią, oznacza posiadać szczęście...

Panna Kasia odgadła myśli jego. I Jakób nie wątpił, iż ona pojedzie.

Siewierski nie wiele miał czasu wobec konieczności wyjazdu dziś jeszcze lub jutro najdalej. Z Książęcej udał się do Szczerbiowskich, by wyzyskać możne wpływy, oraz stosunki pana Joe.

Trafił tam na najprzykrzejszą scenę, na krzyki rudowłosej Feli, wieloletniej towarzyszki Szczerbiowskiego, która, wobec paniki w mieście i "ewakuacyi" opiekuna, rozwścieczona, wpadła do salonu, zwymyślała męża i Bogu ducha winną żonę, postawiła twarde ultimatum... trafił na łzy mądrej i dobrej Tereski, opłakującej szczęście, wierność małżeńską, własne złudzenia, trafił na najgorszy humor samego Szczerbiowskiego. Mimo złego humoru Józio obiecał swoją pomoc, a protekcya jego okazała się wielce skuteczną.

Jakób załatwił niezbędne formalności, zdobył samochód, otrzymał pozwolenie i znalazł się następnego dnia przed południem na dworcu kolei. Kasia była już tam w towarzystwie pani Wasilskiej, z powiatu mścisławskiego, i jej chorych dzieci.

Siewierski spostrzegł ich trafem, zetknął się przypadkiem w tłoku czekających na odjazd, w ścisku rozgorączkowanych, pchających się ku drzwiom ludzi. Panowały tu zamieszanie i bezład po prostu okropny. Krzesła, kanapy, zajęte były od dawna, wszystkie zapasy bufetu zjedzone były także od dawna. Podróżni rozlokowali się na podłodze, na tłomokach, jak i gdzie kto mógł. Jedni zachowywali się niecierpliwie, inni złorzeczyli, klęli, pomstowali, niektórzy ni stąd, ni z owąd wpadli w złość, usiłowali walczyć dronować się, zdobyć.

Niekiedy wynikała nagle panika i znużona, ogarnięta przerażeniem rzesza rzucała się do ucieczki, miotała się. Krążyły najbardziej niedorzeczne plotki o blizkim wysadzeniu dworca, o spodziewanem ostrzeliwaniu z dział dalekonośnych, o bombach, które lada chwila z samolotów sypać się będą na głowy zebranych. Wielu zdawało się, iż pociągi

odchodzą, zabierając tych, którzy zaopatrzyli się w lepszą protekcyę, potrafili przekupić, rozlegały się przekleństwa. I rzeczywiście słychać było hurkot kół wagonowych, gwizdanie parowozów. Szły zapewne wojskowe.

Po kilku godzinach czekania, rozeszła się wieść, że wkrótce otworzą wagony dla prywatnych podróżnych. Szał ogarnął publiczność, która składała się w przeważnej mierze z urzędników, oraz urzędniczych rodzin. Rozpoczęły się walki zawczasu i kłótnie, zawierano przymierza zaczepno-odporne.

Wszędzie brzmiała mowa rosyjska, jak zresztą od dawna w Warszawie na każdem miejscu i o każdej porze, ale nie brzmiała ta mowa tak rozkazująco i wszechwładnie, jak przedtem. Zniżyła się o ton jeden. I mimo powagi momentu Jakób nie mógł radować się na widok tego exodus.

Życzył jadącym szczęśliwej podróży, nie życzył powrotu...

O zdobyciu dostępu do tego pociągu, a także do następnego, który odszedł wkrótce, nie mogło być mowy. Miejsce znalazło się jedynie dla obdarzonych siłą fizyczną, posługujących się bezwzględnie pięścią. Potem władze kolejowe zapowiedziały, iż żaden już pociąg dnia tego puszczonym w ruch nie będzie.

Płacz, wrzask i znowuż przekleństwa rozległy się wśród zgromadzonych. Rozpacz ogarnęła jednych, trwoga innych, wielu oddałoby z pewnością pół życia za to, by módz jechać i ratować drugą życia połowę, może bardzo nieszczęśliwą. Kilka pań dostało prawie ataku histeryi. Cienkim, donośnym głosem krzyczały coś, usiłując przekrzyczeć wszystkich. Duża część podróżnych odjechała w poszukiwaniu jadła.

Siewierski został z panną Kasią i jej znajomemi, mimo głodu i znużenia, wytrwałość wyszła im na dobre. Okazało się bowiem, że w ostatniej chwili zarząd kazał puścić jeszcze jeden pociąg, złożony z samych wagonów sypialnych dla kilku dostojników państwowych.

Siewierski przy pomocy łapówki zaprotegował siebie, Kasię, ową panią z powiatu mścisławskiego, mówiącą bardzo głośno i najgorszą polszczyzną.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy gwizdnęła lokomo-

tywa i pociąg wolno potoczył się w drogę. Siewierski stał w oknie i żegnał nie bez wzruszenia drogie miasto, które miał ujrzeć dopiero po wielu miesiącach, czy latach i może już w chwale królewskiego grodu.

Słały się nad nim dymy, czasami błysnął krzyż i kopuła, zaświeciło jakieś okno. Na niebie tkwiła chmura, ciężka i ciemna, żelazna, której rąbek zapłonął ogniście, gdy skryło się za nią słońce. Po kilku chwilach utworzyła się przerwa, czy wyrwa, ni to rana i trysła z niej najpierw krew, potem rozlał się blask. Jakie, z kim i o co, jakich bogów toczyły się tam boje? Wkrótce chmura zwarła się, zgęstniała i sposępniała, za to teraz u dołu palił się zygzak złotego obrąbienia, aż wyjrzało słońce, oświetliło odległą już stolicę krótkotrwałemi promieniami, znowu zanurzyło się w obłoku... Uczyniło się ciemno.

—Biedne miasto, męczeńska ziemia!—szepnął Siewierski!

Panna Kasia, która patrzała przez sąsiednie okno, zrazu nie odpowiedziała nic.

—Nigdy niemiałam takiej trwogi, tylu wątpień, co teraz—rzekła po chwili—a dziwna rzecz, im mocniej wątpi rozum, tem głębiej wierzę.

—Ja także od dawna na przekór rozsądkowi, wbrew logice, poza granicami wszelkiego prawdopodobieństwa wierzę, mam tę jakąś nadzieję—wymknęło się Siewierskiemu, który był nieskory do wyznań.

Kasia spojrzała mu w twarz tak, jak gdyby chciała go upieścić z wdzięczności.

—Jakże się cieszę, że i pan także!—wykrzyknęła.—Nie podejrzewałam pana... Bo jeśli pan także, człowiek trzeźwy, wyrachowany.

Ale Jakób pożałował już i wstydził się wyznania swego.

—A jednak—odparł—wbrew nadziei, marzeniu i wierze wiem, że nie myli się rozum. Wczoraj zwyciężał jeden z dwu wrogów, dziś drugi... Nie może się to stać, by runęły obie potęgi—powtarzał oklepaną aż do znudzenia formułę.

Oboje odczuwali, że słowa brzmią fałszywie i sztucznie, że w nadziei i wierze była prawda.

Siewieski stanął obok Kasi. Napełnił im serca nurt wesela, czy szczęścia tak gwałtowny, że uniósł i logikę i roz-

sądek i wszelką troskę... Patrząc w piętrzące się na zachodzie ozłocone lub gasnące chmury, myśleli z niepokojem o Polsce, mówili z obawą o przyszłości, a czuli nurt wesela i szczęścia, lekkomyślny, a głęboki, porywający ich i zagarniający w wir swój radosny, czuli w sobie, jakby dar jasnowidzenia i proroctwa, czuli poryw do największych poświęceń.

Ale niekiedy Kasię nękały wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu. Postawiła sobie szczerze, wyraźne pytanie, czemu też wybrała się w drogę uchodźczą, a dowiedziawszy się, że nie dla ogromu pracy wśród wygnańców, nie dla psełnienia obowiązku, nie pytała dalej. Uległa... uległa... Coby na to rzekł Stefan, drogi brat twardy, nieubłaganie surowy brat? Mój Boże, ale jedno jest życie!... robota i obowiązki znajdą się wszędzie. Gdyby została tu, umarłaby z głodu, albo byłaby komuś ciężarem, bo goniła resztkami pieniędzy, a kapitały zabraj wuj Zapolski... Nawet Stefan przyznałby jej słuszność.

Pociąg biegł na wschód, Kasia spojrzeniem żegnała umiłowane równiny, które cofały się, umykały przed nią, ku zachodowi. Na jakiejś stacyi wyszła z wagonu. Gdyby nie ludzie dokoła, uklękłaby tam zaraz za budką dróżnika na ścierniku, całowała ziemię, pieściła dłonią mokre od rosy ściernie, niby nizko przystrzyżone włosy drogiej głowy.

Siewierski szukał jej, a zaledwie ujrzała go, ustały walki i wyrzuty.

Razem z Jakóbem stanęli znowu u otwartego okna i spoglądali w noc, która, im dalej na wschód, tem stawała się pogodniejszą, w cichą, pełną słodyczy i ukojenia noc sierpniową.

Coraz więcej gwiazd świeciło krajowi, nad którym srożyła się od roku burza wojenna, którego niedoli kres był jeszcze daleki.

XX.

Często zdawało się Siewierskiemu, że cierpienia ojczyzny przebrały miarę. Już to, co widział przelotnie z okien wagonu podczas postojów na stacyi, co opowiadano mu

w Warszawie, o dokonywanej na rozkaz sztabu tak zwanej ewakuacyi, zaliczył do najokrutniejszych okropności wojny, lecz były to jeno drobne epizody w porównaniu z obrazem piekła dantejskiego, które w kilka tygodni potem wypadło mu codziennie oglądać.

Gdy gościniec, idący przez miasteczko Siewiersk z zachodu na wschód, zaroił się od rzesz wygnańców, w których tak, jak w publiczność, usiłowano wmówić, iż uchodzą albo ze strachu, albo przez poczucie obowiązku wobec państwowej ojczyzny.

Współczując cierpiącemu bliźniemu, srodze prześladowanym rodakom. Siewierski w rzeszach, pędzonych w poniewierce na długą mękę wygnania, widział symbol narodu, a wówczas ojczyzna stawała się serca jego raną zakrwawioną... Szarpał sobie tę ranę pytaniami i buntem, nie umiał zaś, jak niektórzy, uwierzyć w blizkie wybawienie, albo jak inni zadurzać się "robieniem" polityki.

Zato pewne pokrzepienie przyniosła praca, zgodna i użyteczna, do której zabrali się wszyscy bez wyjątku w jego okolicy. Wpływ Targowieckiego, rutyna doświadczenie i krzątania się pana Ignacego, którzy wzięli na siebie całą procedurę formalną, oraz zabiegali u rządu o środki, lokale, pozwolenia, okazały się wielce skutecznemi, tak, jak talent organizatorki Aleksandra.

W Siewiersku zawiązał się komitet pomocy. Plebanię przekształcono na główną kwaterę. Proboszcz, obrany na prezesa, porzucił medytacye, oraz książki i, jakkolwiek nie nadawał się do roboty społecznej, uwijał się także. Oboje Siewierscy, Ima i Kasia, Tereska Szczerbiowska, panny Zapolskie, Ciecierski, Aleksander spędzali całe dnie w miasteczku.

Zdziałano niemało; powstały dwa szpitale i ochronka, rozdawano posiłek, odzież, lekarstwa. Doktór Ziemięcki, zgorzkniały bardziej, niż kiedy, nie kładł się po prostu spać i po raz pierwszy od lat 20-stu przestał narzekać na rząd, na okropność stosunków wiejskich, na duchowieństwo, bo nie miał na to zupełnie czasu. Gromadził z pewnością obfity materyał, zamierzał powetować to sobie w przyszłości.

Zdziałano dużo, a zdawało się, że coraz więcej jest roboty i nędzy. Środków zaś zawsze było za mało, mimo zapomóg rządowych i składki sąsiedzkiej, mimo, że Ciecierski, Targowiecki, a zwłaszcza sam skarbnik, t. j. Siewierski, sypali hojnie pieniądzmi w miarę tego, jak kasa zaczynała świecić pustkami.

I czasu było zawsze za mało. Siewierski zaniedbał gazety i książki, administracyę, odsunął wszelkie troski, zagłuszył wszelkie myśli osobiste. Tak samo inni.

Parafia Siewierska świeciła przykładem, zasłynęła szeroko. W gazecie wydrukowano parę korespondencyi z Siewierska z wielkiemi dla komitetu pochwałami, zupełnie zresztą zasłużonemi. Obarczony bodaj po raz pierwszy w życiu powyżej uszu robotą, szczęśliwy z bardzo naprawdę pożytecznych wyników tej roboty, Jakób łudził się, że idealne, wyjęte, rzekłbyś, żywcem z moralnego opowiadania stosunki trwać będą stale w okolicy siewierskiej i przekonał się niebawem, że mylił się.

Działalność komitetu była niezmiernie owocną, szlachetną i doniosłą, członkowie komitetu pracowali pod każdym względem przykładnie, ale ludzie byli ludźmi i życie w Siewiersku miało, jak zwykle i wszędzie, nawet w momencie podniosłego i ofiarnego porywu swoją odwrotną stronę, na której odbijały się po kolei i jednocześnie smutek i szpetota istnienia człowieka, różne małostki, wszelkie ułomności, złość i głupota.

Jakób zauważył nasamprzód starannie ukrywaną, a nieprzepartą anty-patyę, między żoną swoją i panną Gorzelską.

Pozatem Siewierski zauważył, że mimo całego uznania dla "niepospolitych zalet umysłu i serca" panny Gorzelskiej, mimo pochwał, których jej nie skąpiono, wszyscy od niej trzymali się zdala. I Aniela Targowiecka i pan Tomasz, Podbielski, Siewierski, Tereska Szczerbiowska, która coraz głębiej zapadała w tęsknotę za mężem, Ima... Nawet Kostuś Moraczewski, gdy patrzał na skarbnika i sekretarkę, miał jakieś domyślne, czy figlarne błyski we wzroku. Może się tak tylko zdawało Jakóbowi. W każdym razie Jakób stał się podejrzliwym i nieufnym—badał otaczających nieufnie.

Nad sobą Jakób nie prowadził badań, ale niektóre wnioski nasunęły mu się same przez się nieproszone.

Ponieważ on zajmował urząd skarbnika, panna Gorzelska—sekretarki, oboje należeli do wszystkich komisyj, pozatem często traf, niekiedy zaś nie tylko przypadek zdarzały, iż jednakowe mieli o tych samych godzinach zajęcia.

Któregoś wieczora wyszli razem za miasteczko do jednego z obozowisk, by przekonać się, czy nie było w nim choroby. Cisza zaległa pola, tylko świerszcze odzywały się w ścierniach, i niepokojone przez upalny wiatr sierpniowy, szumiały niepokojąco od czasu do czasu brzozy przydrożne. Szum trwał krótko, bo podmuchy urywały się nagle, przemijały, niedokończywszy mowy swojej. Wiatr mknął z dalekiego południa, śpieszył kędyś... Nad widnokręgiem migotały błyskawice, szybsze niż mrugnięcie powiek, płytkie, niegroźne, zapowiadając zapewne długą suszę. Wśród niebios płynął księżyc i pieścił złocistym blaskiem tulące się ku niemu chmury.

Siewierski i Kasia zatrzymali się oboje, rzekłbyś na dane hasło. Wzrokiem szukali czegoś w zalanych jasnością przestworzach, potem spojrzeli sobie w oczy i znowu wzrok podążył za chmurami.

—Ile razy jest pełnia, zawsze przypomina mi się zima...—zaczęła Kasia.

—Zima?—zdziwił się Jakób.

—Noc, w której się nic nie widzi, a wszystko wie; nic się nie wie a wszystko przeczuwa—powtórzyła dawne słowa, myśląc o owem spotkaniu w noc miesięczną.

Nastało milczenie. Kasia spoglądała w miesiąc i biegnące przez miesiąc obłoki, posrebrzone, ozdobne złotawym połyskiem.

—Dzielę ludzi na dwa odłamy—odezwała się—na tych, co widzą piękno przyrody i na kretockich.

—Piękno natury jest tylko tłem...

—A może właśnie wielmożny człowiek jest dodatkiem, szczegółem.

—To tylko pewna, że nie jest ozdobą.

Zbyt rozumna i nieodpowiednia rozmowa utknęła. Milczeli. Cisza rozpościerała się nad równiną, lecz spokoju nie

było dokoła, nie było go i w nich obojgu. Zapalenie się przelotnych błyskawic, gorące tchnienie wiatru, urywane słowa drzew zakłócały spoczynek nocy, wzniecały niepokój w nich.

Na niebie widzieli oboje rozkosz chmur, które brał po kolei w świetliste objęcia miesiąc.

By położyć kres milczeniu, Kasia zaczęła opowiadać o pewnej rodzinie wygnańczej, której tragiczne dzieje wzruszyły onegdaj wszystkich na posiedzeniu, ale smutna opowieść, lubo najzupełniej prawdziwa, wydała się jej sztuczną.

Naraz nieopodal odezwały się skrzypce. Tyle razy słyszeli tę samą, zwyczajną, zbyt dobrze znaną, melodyę w znacznie lepszem wykonaniu, a nigdy nie zrozumieli jej tak, jak dziś. Było to pożądanie i domaganie się szczęścia, tęsknota za ukochaniem, głos upojenia, zarazem natarczywe, rozkazujące nawoływanie do rozkoszy, do upojenia, do miłości.

Kto to grał w chwili tak niestosownej, w otoczeniu nieodpowiedniem, na gościńcu krzywdy polskiej pomiędzy tłumem zrozpaczonych ludzi, pomiędzy świeżo wysypanemi mogiłami dwu po obu stronach drogi cmentarzy wygnańczych?

Ktoś z tułaczy tak, jak oni oboje, wśród okropności wojny, nędzy i chorób zapragnął odpocząć, wznieść się na wysokości lotu ułudy, odetchnąć omanieniem, zapomnieć o cierpieniu, ktoś z tułaczy tak, jak oni, zatęsknił za krótkiem mgnieniem uciechy. I skrzypce śpiewały pieśń o kochaniu, które daje samą tylko rozkosz, o radości, która trwa wiecznie, o całowaniu, którem się można upoić na śmierć, skrzypce powtarzały wyrazy zaklęcia i czaru, skrzypce śpiewały pieśń o szczęściu, które przebywa nie za dziesiątą górą, nie za dziesiątą rzeką, ale znajduje się tu właśnie, tak blizko, iż byleby ręką sięgnąć, jeszcze bliżej, bo w nich i obok nich. Skrzypce śpiewały baśń o śmierci ze szczęścia i kochania, która jest szczęściem.

I śniło się grajkowi, oraz słuchaczom, że rozkoszą jest istnienie, że tylko dla uciechy warto żyć, a marnością, niedorzecznem udręczeniem jest szukać, dążyć, walczyć, cierpieć... I śniło się dwojgu słuchaczom, że dnie ich mogą być niby owe pieszczotliwe, sunące ku księżycowi po złocistą

pieszczotę obłoki, słuchacze patrzyli ku obłokom, nie wiedząc, gdzie rozlega się śpiew o rozkoszy i miłości na ziemi, czy też w niebiosach i kto go śpiewa: skrzypce, czy one obłoki.

A gdy tak słuchali i spoglądali ku niebiosom, niedola, cierpienia, choroby, ubóstwo zdały się im w szczęściu i wobec szczęścia czemś podrzędnem lub nawet nieistniejącem i cała ich dobroczynna praca—czemś zbytecznem i sztucznem.

Grajek, nie czyniąc najmniejszej przerwy, przeskoczył do pospolitego walca. Wówczas ruszyli naprzód, by na wozach i pomiędzy koczowniczemi wozami wyszukać chorych, zwłaszcza zaś chore dzieci, które, nie chcąc i bojąc się rozstać się z niemi, niemądre matki częstokroć ukrywały...

A gdy tak chodzili, troszcząc się o wiele, choć jednego im było potrzeba, walc natrząsał się z nich i natrząsały się dalekie nad samym widnokręgiem migające błyskawice, śmiały się gorące podmuchy wiatru południowego, szeleszczące niespokojnie gałęzie brzóz i błogie chmurki, śpieszące w objęcia księżyca. Oni zaś, może troskliwiej niż zwykle wypatrywali tułaczy, staranniej oglądali przyjezdnych, dłużej przebywali w obozowisku—potem wracali śpiesznie do miasteczka, żeby uprzedzić zapracowanego doktora, oraz w natłoczonym szpitalu, gdzie brakło od dawna miejsca, przygotować cztery łóżka, których nie było ani skąd dostać ani gdzie wstawić.

W drodze dopędził ich Aleksander z Ciecierskim i powieściopisarzem Turskim. Zapolski tonem zwierzchnika zażądał sprawozdania i tonem zwierzchnika udzielił Kasi za coś nagany, wdowiec zaś naodwrót chwalił ich gorliwość

—Państwo, to i po nocy włóczą się—wydziwiał, wyrażając się trywialnie, jak zwykle—no, no! zabraliśmy się do roboty w naszej parafii! Już i w gazetach o nas piszą!—cieszył się—czytaliście korespondencyę z Siewierska? Pokażemy, co umiemy i możemy, byleby nam nie przeszkadzano... Ale rząd dziś pozwala, jutro zabrania—prawił Ciecierski na koźle, gdzie usadowił się, zaprosiwszy do swojej pakownej "nejtyczanki" Kasię i Siewierskiego.

—Nie jest to dla mnie niespodzianką. Nie wątpiłem

że potrafimy budować, bo jesteśmy narodem zachodnim. Wschód zaś albo niszczy, albo przeczy. albo zatapia się w kontemplacyach—zabrał głos Aleksander.

Podtrzymał go mówny, wymowny, powieściopisarz Kazimierz Turski. Niespodzianie w obronie wschodu stanęła Kasia, bo przypomniał się jej Stefan, brat ukochany, który przejął się był i przesiąkł naukami wielkich, zgubnych, niebezpiecznych pisarzy rosyjskich.

Ona nienawidziła wielu z nich, lecz czciła pamięć brata. Mylili się szlachetni doktrynerzy, lecz nie mylił się Stefan, o ileż wyższy od trzeźwego, zarozumiałego Aleksandra z jego zachwtem dla potęgi państwowej, militaryzmu, statystyki.

Zawiązała się ożywiona rozmowa między panną Gorzelską a Turskim. Arbitralny Aleksander, który jak Rzym uważał, iż każde odezwanie się jego rozstrzyga sprawę—Roma locata, causa finita—zasępił się i zagłębił się w kłopoty rolnicze i troski, związane z kupnem Chocimowa, Ciecierski słuchał z zajęciem, Jakób milczał i dziwił się...

Kasia dowodziła teraz, iż na wschodzie mniej jest zasad, mniej ogłady, wykwintu i kultury, ale też mniej sztuczności, a więcej szczerości i prostoty. Twierdziła, że w Polsce religia polega na poszłuszeństwie, na biernem spełnianiu przykazań i przepisów, gdy na wschodzie ludzie szukają prawdy; ubolewała, że w Polsce, jeśli duszom, myślom, uczuciom wyrosną skrzydła, to natychmiast tysiące zgorszonych rąk wyciąga się, by połamać pióra, albo spętać skrzydła szpagatem przesądów; narzekała, że mało jest w Polsce odwagi i mało ludzi wyzwolonych...

Siewierski nie podzielał przekonań, które wygłaszała, nie rozumiał jej ożywienia, nie rozumiał tego przejęcia się Turskim, tego dziwnego zapału z Turskim i dla Turskiego, bo chyba dla powieściopisarza i na jego benefis toczyła się cała ta rozmowa. Zdawało się niekiedy Siewierskiemu, że ona umyślnie kopie rów przedziału między sobą a nim, Jakóbem Siewierskim, że niektóre zdania są pociskami, wymierzonemi w jego stronę, że ona chce zrazić go, oddalić i znękać.

Siewierski milczał uporczywie. Spór trwał aż do szpita-

la, gdzie szukano doktora, i potem znowu, aż do plebanii, dokąd wstąpiono.

Jakób udał się do biura, zajął się obliczaniem kasy, a gdy załatwił wszystko, przerzucał i porządkował bez widocznej potrzeby jakieś papiery. Miał plan swój i wyrachowanie. Z salonu, który znajdował się po drugiej stronie przedpokoju, dochodził gwar rozmowy, a raczej głosy panny Gorzelskiej i Turskiego. Głos powieściopisarza drażnił dziś Jakóba.

Turskiego Siewierski teoretycznie lubił, ponieważ wszyscy musieli Turskiego lubić za jego życzliwie patrzące, piwne oczy, dobroduszny, obwisły, długi, jasny wąs, za niezwykłą uczynność i łatwość i przyjacielskość; Turskiego Jakób cenił, bo wszyscy musieli cenić go z powodu ogromu pożytecznej roboty, którą ten wykonywał wesoło, z optymizmem, bez zarozumiałości, od niechcenia.

Turski pracował za siebie i za tych wszystkich, którzy siedzieli z założonemi rękami, Turski starczył za sztab i starczył niemal za armię. Wydawał białoruskie pismo dla ludu, tygodnik polski dla zaścianków, gazetę, pisał artykuły, korespondencye, jednoaktówki, broszury popularne, powieści, przeciętnie popularne i średnio poczytne, wygłaszał odczyty, urządzał wystawy, gromadził pamiątki, założył towarzystwo opieki nad zabytkami—słowem, kształcił smak, czuwał nad kulturą społeczną, szerzył oświatę, stał na straży znicza polskiego w trzech miastach kresowych...

Mimo teoretycznej przyjaźni i rzetelnego uznania dla młodego autora i działacza, Siewierski nie unikał wprawdzie wyraźnie, ale stronił, czy omijał Turskiego i nieraz nudził się, a nurzył w jego towarzystwie i raz w chwili złego humoru powiedział o nim, iż gdyby Turskiemu przebito włócznią bok, to polałby się z boku atrament i użyteczność.

Dziś dobroduszny, przewlekły głos powieściopisarza, ulubieńca pań w trzech miastach kresowych, szczególnie drażnił Jakóba. Siewierski przerzucał, czy porządkował papiery i czekał.

Wreszcie usłyszał kroki w przedpokoju. Aleksander, Ciecierski i Turski opuścili plebanię. Chrzęścił pod stopami idących żwir ścieżki, stuknęła zatrzaśnięta bramka ogrodu.

Któryś z dwu panów. Zapolski czy wdowiec, zabrał z sobą na noc autora. Jakób zgasił lampę i cicho, jak gdyby przekradał się, wyszedł do ogrodu, usiadł w cieniu i czekał nieruchomo, choć pełen niepokoju w myślach, w sercu, we krwi...

Powiedział sobie, że dziś jeszcze koniecznie musi zobaczyć się z Kasią, a skąd był ten mus i dlaczego, nie zastanawiał się.

Długie chwile mijały, upalne tchnienie południowego wiatru trzęsło od czasu do czasu gałęziami klonów i chwiało kwiatami, które mocno pachniały tej nocy gorącej. Siewierski słyszał niekiedy bicie własnego serca. Całą żądzą jestestwa pragnął i całą mocą woli narzucał jej nakaz niecierpliwy, ażeby przyszła, oczy z uporem, z zawziętem błaganiem patrzały w jedno z dwu oświetlonych okien. Za jednem z nich modlił się ksiądz Jan, za drugiem była panna Gorzelska, która z niewiadomej przyczyny nie zabierała się dotąd do odjazdu.

Za to, ażeby ukazała się we drzwiach, przyszła na zawołanie jego, Siewierski gotów był zapłacić męką wszystkich dni życia swego, niedolą złamanego istnienia...

Nagle stuknęła zatrzaśnięta bramka ogrodu, żwir ścieżki zachrzęścił pod szybkiemi kroki. To wracał powieściopisarz Turski.

I znowu tam za oknem w salonie nawiązała się ta jakaś ożywiona rozmowa między niemi, znowu brzmiał dobroduszny, rozwlekły głos autora. Wkrótce wyszli oboje na ganek, rozprawiali.

Kasia zapinała rękawiczki, posłała służącego Cesika po książki.

—Pan jest prawie zupełnie bezosobisty czy bezosobowy —dowodziła tymczasem Kasia—i dlatego to wszyscy pana lubią i nie ma pan wrogów i mógłby pan ożenić się z każdą pierwszą lepszą panną i wszystkie panny gotowe byłyby wyjść za pana....

—Aż tak dalece!

—Ale pan nie ożeni się nigdy. Kobieta nie istnieje dla pana... pan zna tylko dobre albo złe Polki, członkinie społeczeństwa.—Kasia zaśmiała się bez wesołości.

Cesik przyniósł książki, poszli razem.

Siewierski został w cieniu drzew ogrodu, niepostrzeżony...

Śmiech panny Kasi, który brzmiał, jakby oschle i sztucznie, doleciał z oddali i zdało się Jakóbowi, iż śmieje się z niego, tak, jak zdawało mu się, iż szydzą z niego migające nad widnokręgiem podobne do mrugnięcia świetlistych powiek błyskawice i krótkie, urywane, niespokojne szelesty gałęzi, któremi ruszał upalny wiatr południowy.

Przez kilka następnych dni Siewierski z różnych powodów opuścił szereg posiedzeń, a gdy wybrał się wreszcie na probostwo, Janina, zaniepokojona lekkiem niezdrowiem Stasi, nie towarzyszyła mu, jak zwykle, dotąd.

Obecność żony w powozie i na plebanii podczas posiedzeń ciężyła Siewierskiemu, choć stosunek między niemi, jednakowo poprawny, trwał na stopie przyjaznej i Janina nigdy słowem, ani spojrzeniem nie zdradziła uczuć swoich, których Jakób dlatego nie dostrzegał, że nie chciał ich widzieć. Z tej samej zapewne przyczyny nie dostrzegł w sobie zadowolenia, z którem zostawił żonę w Siewiersku.

Ale panna Gorzelska nie przyjechała także i zapewne zabawiała w Tyszowcach powieściopisarza Turskiego. Tereska zastąpiła nieobecną sekretarkę. Rozpoczęły się narady. Siewierski zabierał często głos, spierał się z Aleksandrem, chociaż ten nigdy nie ustępował. Ciągnął się niepotrzebny spór, wlokły się komitetowe godziny o twarzach słotnych; za plecami każdej sprawy, której dotknął Siewierski, kryło się coś złego.

Jeszcze niepotrzebniej, niż Aleksandra, Siewierski zaczepił Hipa Podbielskiego, którego przebiegły pan Tomasz zaprosił na kilka dni do Targowca. Młody obszarnik—z nudy zapewne—chciał poznać i widzieć wszystko, zwiedził wszystkie w miasteczku świeżo powstałe zakłady dobroczynne, złożył na ręce narzeczonej kilka tysięcy rubli, dziś zaś—także z nudy zapewne—wtrącał się wciąż do rozpraw, dawał zbyteczne wskazówki, udzielał rad, niecierpliwiąc tem zebranych, zwłaszcza Aleksandra, przewodniczącego, gdy zaś, wyrażając uznanie dla działalności komitetu, ostrzegał jednocześnie, żeby wśród "bieżeńców" uciekinierów, jak nazy-

wał ich stale, nie wspierano tych, którzy rabują, kradną, wypasają, rąbią w lasach, słowem depcą najświętsze prawo własności. Siewierski napadł na niego zjadliwie, tłómacząc mu, iż Pan Bóg pierwszego dnia stworzył miłość bliźniego, drugiego—uczucia narodowe, a dopiero trzeciego, święte prawo własności.

Hip Podbielski uśmiechał się dość niedbale i drwiąco z wywrotnych teoryj właściciela Siewierska, ale Ima rozpłakała się nagle, dotknięta do żywego, jak zdało się niektórym, szydercza napaścią na narzeczonego. Jakób uważał za stosowne przeprosić ją, tymczasem ona podniosła na niego załzawione oczy, pełne niezmiernego zdumienia, które wyznały wyraźnie, czemu płakała... Posiedzenie, nie zakłócone już żadnym incydentem, trwało jeszcze parę godzin.

W oczekiwaniu na obiad, który i spóźnił się, jak zwykle, i codzień zdawał się gorszym, Siewierski usiadł z księdzem w ogrodzie, przed plebanią, wśród nasturcyj i georginij, nad któremi polatywały spóźnione, sierpniowe motyle. Jaśniały kwiaty, cieszyły się fruwające motyle w blasku jesiennym, w powietrzu unosiła się przedziwna, słodka, nikła woń, która była raczej jakoby tylko wspomnieniem zapachów dawnych, minionych, przemijających tak chyżo, jak ostatnie dnie lata.

Siewierski patrzał w ziemię.

—Pamięta ksiądz?—mówił leniwie, wolno i gorzko—rok temu? Filozofowaliśmy tu kiedyś... dużo upłynęło od tego czasu krwi! Doczekaliśmy się ohydy, na którą patrzymy codzień... kto z nas miał racyę?

—Ja nic nie twierdziłem.

—Ksiądz stawał w obronie Stwórcy i stworzenia, doskonałego ładu... Cudny jest świat i jego ustrój... państwo, wojna, przemoc...

Proboszcz uśmiechał się.

—Pan zawsze swoje—rzekł spokojnie i cicho—ja zaś, jeślim co mówił kiedy, to chyba, iż zapadło się i rozpadło wszystko, czem się szczycił człowiek postępowy, rozumny, materyalistyczny.

—Tamto zapadło się... Nowe pokolenia rozpoczną budowę wiecznie tę samą... a Pan Bóg...

—Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema— cicho odezwał się ksiądz.

—Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema— powtórzył Jakób i zamyślił się.

W tej chwili Cesik, który pełnił funkcyę zakrystyanina, lokaja i kucharza, oznajmił obiad.

Siewierski nie zwrócił na chłopaka uwagi, patrzał w zakątek, zalany ciepłem i jasnością, pełen motyli.

—Z jakąż pogardą, czy politowaniem, ludzie przywykli żartować z motyli—zaczął po chwili— a wypadałoby nam raczej naśladować i zazdrościć. Wiemy nie wiele więcej... trwamy nie wiele dłużej... motyle nie znają zgryzot i trosk, ucisku narodowościowego, wojen, starości, zawodów, utrapień.

Obiad w ascetycznej, posępnej, zwróconej ku północy jadalni wśród swądu smażeniny kuchennej, obiad taki należał tylko do koniecznych umartwień, tem bardziej, że trwał długo. Cesik doskonale zachowywał się w kościele, jako zakrystyan, już znacznie gorzej, choć z pobożnym, niby przy ołtarzu wyrazem, z pół przymkniętemi oczymi usługiwał do stołu, a po prostu bardzo źle kucharzył. Mimo to zupę nalewał po brzeg talerzy, a półmiski, gdzie w tłuszczu pływały zwłoki kurcząt lub bryły wołowiny, obnosił po wiele razy i zapraszał do jedzenia zamiast abstrakcyjnego gospodarza.

Podczas obiadu przyjechali z pociągu pan Ignacy i prawny doradca Jakóba, Sierdziński. Przywieźli pogłoskę o poważnej klęsce wojennej, o przerwaniu frontu. Pan Ignacy w takich wypadkach marszczył czoło, ubolewał urzędowo, ale oczy, zacieranie rąk i podkręcanie wąsa zdradzały nieurzędowe zadowolenie.

Dziś pan Ignacy wyglądał zasępiony. Opowiadał krótko, nie snuł optymistycznych planów, nie krajał mapy Europy, nie budował Polski. Siewierski znał powody strapienia. Wiedział, dzięki przypadkowi, a także dzięki wszechwiedzy żydów, z których Helfer Chaim obdarzał go zaufaniem, że prezesa gryzą troski pieniężne, gniotą długi. Siewierski od dość dawna postanowił przyjść staremu Zapolskiemu z po-

mocą, chciał dziś jeszcze rozmówić się, lecz zanim zdążył do tego się zabrać, prezes odjechał.

Po obiedzie adwokat w księżym ogrodzie, który stał się zimnym i smutnym, gdyż słońce przesunęło się za drzewa, w przeciągu kilku godzin dokuczał Siewierskiemu swoją potoczystą wymową, rachunkami, sprawami sądowemi, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. Jakób mało miał uznania i sympatyi dla przedstawicieli palestry—do procesów zaś odrazę.—Każda przegrana gniewała go, jak wszystkich zresztą, wygrana zaś nie cieszyła, bo pakowanie do więzienia za szkody w lesie, oraz ściąganie należności, męczyły w pewnej mierze sumienie właściciela dóbr Siewierskich.

Wymowny adwokat zwiastował mu dziś między innemi nowinę, że Chocimów został nabyty przez pana Tomasza Targowieckiego, poczem wyładowawszy zapas wszelkich wiadomości z miasta, z sądu, z wojny, naładowawszy tekę aktami, wyruszył na kolej.

Jakób odetchnął z ulgą. Na chwilę myśl jego zatrzymała się na Chocimowie. Był to zawód nie tyle dla niego, ile dla Aleksandra, który przez dwa lata z zawziętością dążył do upragnionego celu. To też wolałby nie spotkać się dziś z Aleksandrem. Ale ten szedł właśnie żwawo, jak zwykle, drobnemi krokami ku niemu, usiadł na ławie.

Rozmawiali o sprawach potocznych. W ogrodzie czyniło się coraz zimniej i posępniej. Georginie zgasły, a pozbawione blasku i ciepła, sterczały gminnie, prostackiemi twarzami zwrócone ku mówiącym, motyle pochowały się gdzieś. Słońce stoczyło się za drzewa i kościół. Pod klonami ksiądz przechadzał się powoli i odmawiał brewiarz.

—Widziałem z daleka Sierdzińskiego... Są też jakie wiadomości o Chocimowie?—spytał Aleksander.

—O Chocimowie?

—Tak...

—Są wiadomości, lecz raczej niedobre.

—Niedobre?

Jakóbowi nie pilno było zwiastować złą nowinę.

—Chocimów został nabyty przez Targowieckiego—zaczął cicho.

Aleksander rysował coś laską na piasku.

—Przewidywałem to od dawna. Ta ciągła zwyżka wydawała mi się podejrzaną. Współzawodnicy doszli podobno do porozumienia. Targowiecki i Liniewicz—niechętnie opowiadał Siewierski.

Aleksander nie przestawał rysować na piasku.

—Targowiecki zacznie parcelować?—spytał.

—Chyba tak... Sierdziński dowodził, iż za plecami Targowieckiego stoi Fondyler... że pan Tomasz i Liniewicz dali tylko firmę.

—Tak—Aleksander rysował ciągle.

—Wolę temu nie wierzyć... my zbyt pochopni jesteśmy... zbyt skorzy do posądzeń—bez przekonania—stanął w obronie męża kuzynki Siewierski.

Zapadło milczenie. Aleksander pochylił głowę, patrzał na wzory, które to kreślił, to zmazywał.

—Miałem zawsze Targowieckiego za szubrawca—rzekł szorstko po chwili—i nie myliłem się. Tylko w takim, jak nasze , społeczeństwie, tylko tam, gdzie jak u nas, niema opinii, osobniki w rodzaju Targowieckiego zajmują odpowiedzialne i wybitne stanowisko.

—Sądzisz zbyt surowo—próbował wstawić się Jakób.

—Może sobie Targowiecki na szerokim świecie uprawiać wielką politykę—rąbał dalej Zapolski—ale tu u nas w naszym komitecie albo on, albo ja.

Siewierski jeszcze raz spróbował wstawić się za panem Tomaszem, ale napróżno. Aleksandre był twardy, uparty i zacięty.

Wkrótce zamilkli obaj. Zapolski przeszedł na inny temat, zapytywał o szczegóły poważnej klęski na froncie, potem przyjaciele rozstali się i zabrali się każdy do zwykłych o tej godzinie zajęć w miasteczku.

Jakób zabawił do wieczora, rad, że ma dużo roboty, a załatwiwszy wszystkie czynności, jeszcze ociągał się z powrotem. Przeczuwał zapewne, iż w drodze oblegną go myśli, dlatego niewygodne, dokuczliwe i niebezpieczne, że bardzo szczere, przeczuwał, iż zarysują się przed nim pytania, których unikał, utrapi go obawa o przyszłość, w którą od dawna nie zaglądał. Nie z ust rubasznego Ciecierskiego, jak

niegdyś, lecz od siebie samego miał usłyszeć obecnie słowo prawdy o sobie i pannie Gorzelskiej.

Przekonał się dziś, gdy jej nie było, zarówno, jak onego wieczora gry skrzypcowej, upalnego wiatru i błyskawic, przekonał się, choć łatwo było stwierdzić to od dawna, że nie praca społeczna napełniła mu serce weselem, a życie jasnością. Siewierski nie wysnuwał z wyznania tego wniosku, bo wniosek był tylko jeden, równie surowy, jak konieczny. Siewierski brzydził się ludźmi słabymi i miał siebie dotąd za człowieka silnego i śmiałego. Obecnie zawiódł się na sobie. Uciekał się do wybiegów i jeszcze próbował łudzić się.

Znużonemu rozterką, dłużyła się droga, a jednak bał się powrotu do domu, do tego bowiem stopnia przykrym stał mu się przymus spotkania z żoną i spędzenia z nią kilka godzin. Jakób zwalczał, tłumił, odsuwał to uczucie, które poraz pierwszy zaznaczyło się w nim, tak wyraźnie. Perswazye mało skutkowały. Gdy skręcił z bramy i spojrzał w okna dworu, stanęło przed nim, jak zwykle, drogie mu wspomnienie matki. Nie z okien dawnej sypialni, lecz skądś z przestrzeni patrzały w niego rozumne i troskliwe do głębi serca synowskiego sięgające oczy matki...

"Czemu tak mało osiągnąłeś dotąd? Czemu nie powiodło ci się? czemu nie idziesz między ludzi? by walczyć, zdobywać, wybijać się?... Tyle spodziewałam się po tobie! tyle obiecywałeś! lata mijają przecież!"—badała, zdawało się, często synowi, niezmiernie kochająca, ale i niezmiernie ambitna matka, która za życia pragnęła dla syna oprócz szczęścia, wszelkich zaszczytów i wszelkich splendorów. "Czemu uwikłałeś się i cierpisz o to i szamocesz się napróżno, biedne dziecko moje"—ubolewała dziś.

Smutek Jakóba stał się jeszcze cięższym.

Zaledwie Siewierski wysiadł z bryczki, lokaj Feliks zwiastował mu skwapliwie z twarzą zafrasowaną, że panienka Stasia ma się gorzej, że jaśnie pani telegrafowała do miasta po doktora.

Niezmierny, tak dobrze niestety znany mu, dławiący niepokój, wobec którego bladło wszystko, chwycił Siewierskiego. Jakób udał się natychmiast do dziecka, pochylił się,

przypatrywał się, znowu stał bezradnie i znowu nachylał się, rzekłbyś dla jakiegoś badania, zadawał znużonej wysoką gorączkę półsennej dziewczynce pytania.

Błyszczące oczy dziecka otwierały się, spoglądały w niego przez mgnienie dziwnym, jak zdawało mu się, wzrokiem to sztucznie i przykro wesołym, to błędnym, to starczym. Na głowie leżał pęcherz z lodem, który zsuwał się co chwilę. Jakób poprawił raz i drugi, uprzedzając w tem matkę. Ani razu dotąd spojrzenie jego nie podniosło się na żonę, nie przemówili także do siebie ani słowa, Jakób czuł się dotkniętym, że nie dano mu znać wcześniej, lecz nie czynił wymówek i wobec niepokoju o dziecko zbladły, oddaliły się, albo i znikły wszystkie inne troski i myśli.

Siewierski przysunął sobie krzesło. usiadł. Ciężko mijały chwile w dużym, urządzonym podług ostatnich wymagań hygieny i mody angielskiej pokoju dziecinnym. Lampę, zasłoniętą ciemnikiem, przykryto jeszcze serwetą. panowały tu półmrok i posępna cisza. Co jakiś czas wchodziły po kolei Francuzka i Angielka, by okazać współczucie, wypowiedzieć parę zdawkowych frazesów.

Janina, udręczona do głębi trwogą, siedziała po drugiej stronie łóżeczka, bardziej sztywnie i nieruchomo niż kiedy, tem obojętniejsza, im więcej się niepokoiła. Na martwą, o regularnych rysach twarz wystąpiły rumieńce. Patrzała często na zegarek, licząc czas do przyjazdu doktora, w którego, jak wogóle w lekarzy przesadnie wierzyła. Siewierski pytał ją szeptem o przebieg i szczegóły nagłego pogorszenia. Opowiedziała mu dokładnie wszystko. Zdawało się Siewierskiemu, iż w zamaskowanych przez binokle oczach żony kryje się wyrzut.

I znowu milczeli oboje, znękani obawą o córkę; udręczeni jakowąś w dodatku rozterką. Obawa nie zbliżyła ich i połączyła, jak dawniej, lecz oddaliła od siebie. Jakowaś wroga ściana wyrosła między niemi, czego nie było nigdy dotąd—i to dokuczało im obojgu.

Wlokły się posępne godziny. Ścienny zegar głośno tykał, głośno wybijał kwadranse. Stasia poczęła majaczyć. Zmierzono temperaturę. Gorączka podniosła się jeszcze, t. j. wyżej 40. Jakób udał się do swego pokoju, usiadł przy biurku,

rozłożył książkę, której nie czytał i tak, nie kładąc się spać, dowiadając się co jakiś czas o dziecku, czekał na doktora, t. j. do świtu.

Siedział z pochyloną głową, na której skroniach w świetle lampy połyskiwały srebrne włosy przedwczesnej siwizny i wędrował myślą przez obszar udręczenia, wśród którego, gdziekolwiek obrócił się, były obawy o dziecko, jakoweś wyrzuty i troski sumienia, jakieś powikłania i zgrzyty, i to niezwykle nieznośne utrapienie z powodu wrogiej ściany, dzielącej go od żony.

Ale nad wszystkiem górowała trwoga o dziecko. Stasia była wątłą dziewczynką i chorowała często, lecz Siewierski nigdy jeszcze nie trwożył się tak męcząco, jak w obecnym wypadku, mimo, że naprawdę bezpodstawnie. Na dnie niepokoju kryła się okrutna i mściwa myśl, iż choroba Stasi przyszła jako kara... Za co było go karać?—nie chciał, nie umiałby może odpowiedzieć.

Mijały bardzo ciężkie godziny. Nad ranem gorączka opadła, dziewczynka usnęła spokojnie i mocno, lekarz-specyalista nie znalazł żadnych komplikacyj, rozprószył obawy, zapisał, zapewne dla zrobienia Janinie przyjemności, dwa nowe lekarstwa i odjechał. Stasia wstała po południu, noc trwogi stała się jeno wspomnieniem dławiącej zmory.

Pod wpływem radości z wyzdrowienia córki stosunek między mężem a żoną, zakłócony zgrzytem, nie tylko stał się poprawnym, lecz wrócił do dawnej harmonii, radość odsunęła w Siewierskim dokuczliwe pytania o przyszłość, stłumiła rozterkę.

W dodatku niespodzianie przyszły bardzo doniosłe wypadki.

XXI.

Wiadomość o klęsce na froncie okazała się prawdziwą. Nastąpiło gdzieś o 20 mil od Siewierska przerwanie frontu, i pewnego dnia na gościńcu, który dotychczas widział tylko nędzę wygnańczą, ukazały się pierwsze oddziały t. zw. drużyn, zdążających pośpiesznym marszem z zachodu na

wschód i północ. Za nimi szły inne, coraz liczniejsze, coraz gęściej, pochodem coraz bardziej forsownym. Oprócz piechoty pojawiły się szwadrony jazdy, potem artylerya.

Wojskowi zaręczali narazie, iż odbywa się przegrupowanie. Fachowy termin uciszył wzburzenie ludności. Ale w okolicach Siewierska zaczęto sypać okopy, wycinać lasy, poprawiać, czy też psuć drogi, a nazajutrz tchórzliwi, czy więcej doświadczeni, usłyszeli huk strzałów armatnich.

Odgłos był jeszcze bardzo odległy, tak daleki, iż, żeby go uchwycić. Siewierski szedł poza park i zabudowania folwarcze w las.

Głębokie na Jakóbie uczyniła wrażenie groźna, mimo oddalenia, wielka w grozie swojej, mowa dział. Dokoła przyjaźnie chwiały się wierzchołki sosen i sennie szumiały pogodną kołysankę, a tam kędyś za górami dokonywały się dzieje, odbywał się sąd.

Zdawało się Jakóbowi, że stoi wobec stuleci, że stłumione grzmienie jest tych stuleci ogromnem słowem, że każdy strzał zapowiada zbliżenie się jakiegoś mocarza, czy też jest krokiem niewidzialnego olbrzyma naprzód. Oburzał się dotąd na wojnę, jako na rzeź; tu wśród cichego boru, przysłuchując się hukowi armat, pojął jej złowrogą wielkość, a zarazem i jej okrutną daremność.

Sto trzynaście lat minęło, jakoby mgnienie, i oto znowu, jak niegdyś, gdy szła tędy wielka armia wielkiego cesarza Francuzów, cichą okolicę napełniła wrzawą bojową, Jak niegdyś na polskich ziemiach polska leje się krew, jak niegdyś spodziewają się polskie serca. Co zostało ze zwycięstw słynnego cesarza Francuzów? z jego obietnic, z nadziei serc polskich?

A jednak Siewierski spodziewał się, wierzył.

Z dniem każdym odgłos dział przybliżał się. Słychać go było już wszędzie, szyby drżały w dworze siewierskim coraz częściej. Jednocześnie nocą i dniem szły wojska wszystkiemi traktami, gościńcami, bruk miasteczka dudnił pod kopytami koni, pod kołami wozów, pod armatami. Przesuwały się pułki, dywizye, korpusy pośpiesznie, w nieładzie, w popłochu, którego nie usiłowali już zataić wojskowi. Po-

plątały się szyki, powikłały armie i błąkały się sztaby bez swoich korpusów, korpusy bez sztabów.

Siewierski, którego wysiedlono niemal z majątku, któremu zajęto i dwór i zabudowania, park, podwórze, napawał oczy widokiem pogromu, ciesząc się wbrew programowi i wszelkiej logice i jednocześnie trworzył się o przyszłość. Czsami rozmawiał z wojskowymi, których ugaszczał.

Wielu wśród nich zachowało zimną krew; przyznawali się do porażki, ale nie załamywali rąk, i choć narzekali na główne dowództwo, wierzyli w przyszłość, pragnęli zwrócić się twarzą ku wrogowi, iść w ogień. Większość wszakże nie odznaczała się animuszem rycerskim, zwłaszcza ci, co nie należeli do armii czynnej. Niektórzy z upodobaniem, z jakąś cyniczną rozkoszą wyśmiewali nieporządki, opowiadali o ogromie klęski; niektórzy wymowie dowodzili, że wojna jest przegraną, że walczyć—niewarto.

Tymczasem działa grzmiały, szyby zgrzytały w domostwach złowrogo, trwożnie. Siewierski wsłuchiwał się. Czasami myślał o Dominiku, od którego miał wieści dobre, który znajdował się gdzieindziej, czasami wieczorem marzyło mu się niedorzecznie, że gdy dokona się sąd i odwróci się karta dziejowa, że ukażą się z za lasów, nie dziś i nie jutro, ale kiedyś, kiedyś oddziały żołnierskie z najdroższą pieśnią na ustach, z dawnemi z pod Grochowa sztandary, że wśród tych zastępów przyjdzie—Stefuś, że ziści się złoty sen o Polsce...

I zapytał przygodnie ojca, czy nie oczekuje, by syn wrócił tu kiedyś, nie dziś jeszcze i nie jutro, ale kiedyś, kiedyś...

Zapolski westchnął, machnął ręką, pochylił głowę. Troski i zgryzoty pieniężne uczyniły go pesymistą. Zresztą prezes Zapolski oddawna zauważył, iż żona jego podczas wieczornych pacierzy modliła się za duszę Stefusia...

Ale Siewierski spodziewał się po wiekowej niewoli i niedoli dnia sprawiedliwości, chciał mieć nadzieję, postanowił wierzyć. Słuchał groźnej, ogromnej mowy dział i roiło mu się, iż za wstęgą boru wyrastają rozdziały historyi, że Nemezys pisze wyroki, że wali się w gruzy moc państw, którą on rok temu nazwał niespożytą, jak moc zła...

Słuchał i radował się, lecz ogarniająca go zaduma kładła kres radości.

—Zapadnie się może państwo zła i ciemności—mawiał nieraz do księdza, jakgdyby ten był twórcą dziejów.—I co z tego? na gruzach wyrasta przemoc innego mocarstwa, równie groźna, może groźniejsza...

—Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema—odpowiadał proboszcz tym samym zawsze wersetem.

A że armaty odzywały się coraz bliżej, że front przysuwał się, istotnie zdawało się, że idzie, nadchodzi, nasuwa się ktoś, czy coś—wyzwolenie, czy nowa niewola, przemoc zła, przeznaczenie, książę świata tego... I ludzie czekali z trwogą... W lesie zaś, dokąd chronił się Siewierski, by na chwilę zapomnieć o wojsku i sztabach, o zamęcie, który wrzał we dworze, po dawnemu przychylnie i sennie kołysały się na tle wrześniowego błękitu wierzchołki sosen i szumiały baśń—opowieść o tem, co działo się niegdyś, a może nie istniało nigdy i nigdzie na ziemi.

Niefrasobliwe wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź i, wybrawszy wreszcie odpowiedni sęk, siadały na nim i z zadartym nieprzystojnie do góry ogonem, odpoczywały, gryzły coś, czy chrupały i patrzały wesoło, może bezmyślnie, może drwiąco błyszczącemi, paciorkowemi oczymi w Siewierskiego, w człowieka, który myślał, zastanawiał się, cierpiał, troszczył się, usiłował odgadnąć przyszłość. Po chwili wiewiórki umykały dalej. Człowiek, który dumał i dociekał, a wiedział tyleż, co one, wracał do domu.

I przyszła wreszcie epoka, w której zwłaszcza pod wpływem alarmujących opowieści panów wojskowych wydawało się że lada chwilę zaczną na dachu dworu Siewierskiego pękać pociski. Wówczas Jakób za przykładem Targowieckiego postanowił przewieźć rodzinę do sąsiedniego miasta, gdzie z trudem znalazł dość liche mieszkanie. Zdziwiło go tylko, że Janina, niezbyt wogóle odważna, a w dodatku przesadnie trworząca się o córkę, nie tylko nie pochwaliła jego zapobiegliwości, ale nawet jakby niechętnie przystała. Nie opierała się wprawdzie, lecz znać było, że coś jej w tym projekcie nie dogadza, że wyjazd kosztuje ją niemało.

Siewierski spytał tedy wręcz, czy nie wolałaby zostać.

żona podniosła na niego wzrok, popatrzała przez szkła, potem swoim zwyczajem skierowała bezcelowe spojrzenie w przestrzeń i rzekła:

—Zależy to od ciebie.

—Odemnie?—zawołał Jakób — nie jestem prorokiem i nie wiem, jaki będzie los Siewierska, a narażać was na niebezpieczeństwa...

Ty zaś zostaniesz, mimo niebezpieczeństwa...

—Sądzę, że tak. Uważam, że obowiązkiem naszym—tłómaczył mąż.

—Rodziny nie powinny rozdzielać się—krótko zauważyła pani Siewierska.

—Nie wybieram się za morze... będę dojeżdżał..

Ze wzrokiem, skierowanym bezcelowo w przestrzeń z twarzą nieruchomą i obojętną, Janina zawyrokowała:

—Rozsądniej i lepiej jest, bym wyjechała ze Stasią więc jadę.

Ale po raz pierwszy w życiu żona wydała się Jakóbowi nierozsądną, dziwaczną i niewygodną.

Badał ją przez cały dzień, gdy opierając się o laskę chodziła po domu, spokojnie wydawała dokładne rozporządzenia, umiejętnie, nie zapominając o najmniejszych szczegółach, dozorowała pakowania, robiła jakieś notatki, nalepiała na kufrach kartki z numerami, każdy zaś kufer zaopatrywała w spis złożonych w nim rzeczy.

Wieczorem usiadła przy kominku, kazała sobie przynosić po kolei szuflady z biurka własnego i wspólnego, należącego do obojga małżonków, przeglądała paczki z listami i rzucała je w ogień. Ta czynność zabrała Janinie wiele godzin. Siewierski żałował wspomnień, które paliły się wesołym płomieniem, wstawiał się za niektóremi pamiątkami i paczkami, lecz żona nie czyniła różnicy między zwykłym rachunkiem a ćwiartkami, zapisanemi przez mądrą Tereskę Szczerbiowską, żona nie okazywała wogóle żalu. Jakób zauważył, że litsy od niego, które wiedział o tem, żona przechowywała skrupulatnie, nie znajdowały się w szufladach tego biurka.

Mam nadzieję, że moje autografy dawno poszły na stos—spytał półżartem.

—Zapakowano je gdzieindziej—sucho odparła pani Siewierska, która nie kłamała nigdy.

Nazajutrz wyruszono. Janina zachowała spokój do końca, sama zawijała w biały papier zapasy, przygotowane do drogi, liczyła kufry, sprawdzała, czy czegoś nie zapomniano. Gdy Andrzej zajechał, uklękła z córką i służbą tam, gdzie przed krucyfiksem, przywiezionym przez nich z Ziemi Świętej, odmawiano zwykle litanię majową, wielkopostną i październikową, i zaczęła modlitwę. Patrzała w ścianę, z której zabrano już krzyż, szukała oczami Chrystusa, którego nie było. W pewnej chwili zachwiał się jej głos, kiedy zaś do ócz nabiegły łzy, zdjęła szybko binokle, przetarła je niby i znowu nałożyła.

Mimo strzałów, od których drżały szyby, mimo wrzawy wojskowego obozowiska za oknem, głośnego śmiechu oficerów, którzy rozkwaterowali się w całym niemal dworze, ona, taka i tchórzliwa i rozsądna, chciałaby nie ruszać się stąd nigdzie, gotowa była zagrzebać się pod gruzami razem z przeszłością, z wiarą w szczęście własne i miłość męża... Padłaby krzyżem i leżałaby u tej oto ściany, błagając Boga... o miłosierdzie, o zmiłowanie nad krajem? o co? o to, by ocalał dom? by wróciły złudzenia i szczęście?

Nie może się to stać nigdy, nigdy... Klęcząc i modląc się teraz przed odjazdem, ona żegna nie tylko dom, którego z pewnością nie ujrzy, ale przeszłość, która minęła i umarła, męża, którego zabrano jej, złudzenia, które znikły, nadzieję... Jakąż będzie ta przyszłość jej?

Ale trzeba jechać dla Stasi... trzeba. Mgnienie egzaltacyi, słabości, roztkliwienia minęło. Oponowanym, równym głosem Janina dokończyła pacierz. Potem marudnie ubierała się sama, ubierała córkę. Panna służąca przyniosła nieodpowiedni kapelusz dla niej, zapomniała o futrzanej "etoli", Angielka omyliła się co do Stasinych rękawiczek, które obie były na lewą rękę. Nareszcie lokaj Feliks zatrzasnął drzwiczki powozu, zniecierpliwiona czwórka ruszyła.

Z okien i ganku odjazdowi wesoło przyglądali się, niby widowisku, liczni oficerowie. Siewierski dopiero za bramą, gdy nie było już świadków, obejrzał się i długo ze swego

"kozła" patrzał ku dworowi, w którego historyi rozpoczynał się rozdział, być może, tragiczny.

Dwór, od kilku tygodni zapchany wojskowymi, przestał być już własnością jego, lecz także, jakby drogiem gniazdem rodzinnem. Wypłoszono zeń przeszłość, zakłócono spokój, wrzaskiem i śmiechem zakłócono echa, w które Jakób przywykł wsłuchiwać się. Teraz tu powszechna wesołość. Ze wszystkich kominów buchał dym, palono w piecach, gotowano obiady, w parku pasły się konie, uwijali się żołnierze, przechadzały się jakieś panny, zapewne ze szpitala, z młodzieńcami w mundurach, w parku na trawnikach poustawiano wozy, palono ogniska.

Jakób nie zżymałby się, gdyby zabrano mu Siewiersk dla rannych, lub chorych, dla pułków, wracających z pola walki. Cóż bowiem wobec nieszczęścia i bohaterstwa znaczyły jego gazony, drzewa, posadzki, jego patryarchalna rezydencya? Ale w majątku rozgospodarowały się oddziały, nie mające nic wspólnego z bitwą, jakieś intendantury, kancelarye, zarządy, złożone z próżniaków i tchórzów, którzy bardzo grzecznie z początku, potem mniej uprzejmie, potem natarczywie doradzali mu wyjechać.

Jechał tedy, lecz postanowił powrócić.

Zato pies folwarczny, Myrda, który przez szereg dni wyrażał protest nieustannem ujadaniem, następnie włóczył z kąta w kąt z podkurczonym ogonem i nastawioną sierścią na grzbiecie, zły, smutny, oszołomiony, rozstał się dziś na dobre ze dworem, biegł za powozem dziedzica i nie zamierzał wracać.

Ponieważ do miasta było przeszło dwanaście mil, wypadło Siewierskiemu przenocować w Galimcach u Kostusia Morszańskiego prawie w pół drogi. Traf chciał, że zjechano się tam z rodziną Targowieckich, która w tym samym dniu opuściła Targowiec, a także z prezesem Zapolskim, Aleksandrem i Kasią. Ci znowuż wracali z miasta.

Odkąd pociągi czy nie kursowały zupełnie, czy też zabierały wyłącznie uprzywilejowanych, t. j. odzianych w uniform, odżyła dawna epoka zajazdów, najazdów, popasów, podróży rzemiennym dyszlem. W zapadłych Galimcach, położonych daleko od kolei, ale przy trakcie, zaroiło się naraz

od gości. Obszerny dom, przepełniony wojskowymi, nie mógł pomieścić wszystkich, proszących o nocleg. Co wieczór pod gankiem zatrzymywały się powozy sąsiadów, znajomych i nie znajomych z dalekich okolic, którzy z konieczności lub własnej nieprzymuszonej woli opuścili rodzinne pielesze.

Marszałek nie odmawiał nikomu, ale też nie troszczył się o wygody podróżnych. Od tego była "wdowa", pani Apolonia, która z powodu stałej w przeciągu ostatnich tygodni migreny, chodziła z przechyloną na bok i obwiązaną głową, ze skwaszonym i udręczonym wyrazem na pięknej jeszcze twarzy, która mimo migreny, rządziła energicznie, utrzymując jaki taki ład, co nie należało do łatwych zadań.

Folwark zajęły "drużyny", na łąkach, w ogrodzie, w lesie obozowały oddziały wygnańcze, które Morszański przez dobroć serca starał się jak najdłużej przetrzymać u siebie, w stajniach tłoczyły się konie, w kuchniach służba i żołnierze, we dworze, w dwu oddalonych od siebie pokojach jadalnych kilkadziesiąt osób zasiadało do stołu.

Zasoby obficie zaopatrzonej spiżarni wyczerpały się, zjedzono już wszystkie niemal barany i cały drób. Pani Apolonia, więcej niż skrzętna, bo skąpa, srodze wyrzekała i przy każdej sposobności dokuczała swemu chlebodawcy, jak gdyby to spowodował wojnę, ewakuacyę, przerwanie frontu. Marszałek, który wogóle bardzo liczył się z nią, a po prostu bał się jej, gdy miała migrenę, omijał ją najstaranniej, ponieważ jej osoba i jej zły humor psuły mu "zabawę", jak się wyrażał.

Klęska na froncie ucieszyła go wielce, widok cofającej się w popłochu armii wprawiał w zachwyt, z czem nie taił się bynajmniej; prócz tego Kostuś lubił gwar dokoła siebie, stoły zasłane obrusem i obficie zastawione od rana do wieczora, pełne kieliszki, stoliki do kart z zapalonemi świecami.

Nawet obecność Rosyan, których podobno nienawidził, była mu przyjemną. Dworował sobie z nich, "rżnął i walił" prawdę w oczy, czem szczycił się i chwalił się nieustannie, niby niezwykłym czynem, dokuczał im i przepowiadał zu-

pełny pogrom, jako karę sprawiedliwego Boga, zabawiał całemi godzinami, w nocy zaś zasiadał do grubej gry.

Wojskowi darowywali mu wszystko, t. j. prawdę i drwiny, ujęci szczerością, dobrą piwnicą, gościnnością, humorem "cudaka", jak zwali Morszańskiego, ujęci codziennym zyskiem z kart.

—Zgrałeś się pan?—surowo co rana zapytywała swego pana Apolonia.

Pan nie odpowiadał, albo zbywał indagacyę żartem.

—Dobrze, zgrywaj się pan do nitki! Spraszaj sobie cały świat do Gamlimiec, głupia byłam, że trzęsłam się o dobro pańskie... głupia jestem i dziś... nie moje to przecież!

Nie mogę ich wyrzucić za kark—słabo bronił się marszałek.

—Dalibóg nie mam co dać dziś na obiad!—codziennie zapowiadała Apolonia.

Mimo to obiad i wieczerzę podawano codziennie, i Kostuś Morszański, skoro tylko usłyszał turkot, wychodził na ganek i uprzejmie albo serdecznie, z honorami albo zwyczajnie, z uroczystą przesadą, albo po prostu witał przyjezdnych, powtarzając nieodmiennie, któryś z utartych staropolskich frazesów: "czem chata bogata", lub "gość w dom, panie dobrodzieju, Bóg w dom", "rozszerzą się ściany dworu"...

Gdy zaś dom pustoszał naraz, co także zdarzało się niekiedy, wówczas wałęsał się po pokojach markotny, stawał pod oknami, nasłuchiwał i wyczekiwał, nudził się... Wiedział już z góry, że teraz przydybie go "wdowa", zażąda rachunku i pieniędzy, dotrze do źródła, wymoże na nim wyznanie co do cyfry przegranej. Wiedział, że na skrzywionej, a nie pozbawionej śladów piękności twarzy pojawi się wyraz udręczonej ofiary, że rozpoczną się wyrzekania na "głum", czyli rozrzutność, skargi z powodu zmarnowanego życia (jego czy jej) postękiwania z przyczyny steranego zdrowia, płacz, i prośby o natychmiastowe wypłacenie należności i świadectwo, słowem prośba o dymisyę.

—Wolę już siąść na karku Olesi, niż dłużej "cierpieć tu od pana"—wołała zwykle dawniej.

Olesia była Apolonii córką, o której istnieniu marszałek

czasami powątpiewał tak, jak stale wątpił o istnieniu nieboszczyka męża. "Nieboszczyk" i wdowieństwo musiały być tworem wyobraźni, ale Olesia istniała naprawdę, tylko matka nie chciała jej nigdy z rozmaitych względów pokazać swemu chlebodawcy, choć fotografią ładnej szesnastoletniej gimnazyalistki, lubiła chwalić się przy lada sposobności, a imię córki wyciskało jej zazwyczaj łzy.

—Z powodu tej przeklętej wojny nie mogę do Olesi dojechać, ale wolę już zdechnąć gdziekolwiek na bruku, byle nie patrzeć na Sodomę i Gomorę u pana—powtarzała teraz.

Morszański od wielu już lat pragnął, by zapowiedź wyjazdu raz przecie spełnioną została; nieraz w zniecierpliwieniu odgrażał się po cichu, że sam wyprawi Apolonię—i znosił tyrańskie rządy wdowy dalej. Gdy zaś robiła mu "piekło" czy scenę, gdy zanadto już "psuła zabawę", dawniej przed wojną Kostuś albo posyłał po młynarza Zelika Hałynkiera, by z nim rozprawiać o sąsiadach, o długach Targowieckiego, o polityce, o majątkach do kupienia, albo kazał pośpiesznie zaprzęgać konie i wymykał się do sąsiedztwa, obecnie zaś nasłuchiwał, czy pożądany turkot nie przerwie rozprawy. I najczęściej jakby na zawołanie zajeżdżał jakiś powóz z pułkownikiem, z generałem, z rodziną ziemiańską.

W dniu, w którym Siewierscy i Targowieccy wstąpili do Galimiec, w domu nie było wolnego kąta i Apolonia miała migrenę; mimo to gospodarz ucieszył się z nowej seryi gości. A gdy Targowiecki przepraszał za najazd, marszałek kłaniał mu się niezmiernie uniżenie, ubolewał, że progi są nizkie, i zaraz potem jął dogadywać, kpić i kąsać, dopytując o wiadomości z frontu, które brzmiały bardzo niepomyślnie owego wieczora.

Pierwej udawał, że on o niczem nie wie i udawał, że martwi się szczerze cofaniem się wojsk i chybionemi nadziejami, czy rachubami pana Targowieckiego partyi, potem zaś wpadł w zapał i ze zwykłą przesadą, tak barwnie, jak gdyby patrzał na to własnymi oczyma, malował rozmiary klęski, z powagą, jak gdyby należał do głównego sztabu, wytykał na mapach jakieś linie, oraz wyznaczał miejscowości, w których musiała być stoczoną rozstrzygająca bitwa.

Marszałek chciał dokuczyć nielubianemu sąsiadowi;

tymczasem pan Tomasz nie tylko nie okazał żalu na wieść o blizkim i rzekomo nieuniknionym pogromie, lecz wyglądał na pogodzonego z losem polityka i podzielał tę samą opinię co do przegranej kampanii.

—Nie umiem tego waszego Targowieckiego rozkąsić—szepnął Morszański Jakóbowi—miałem go zaprowadzić na tamtą stronę; widzę, że może zostać z nami...

—Co to znaczy na tamtą stronę?—spytał Siewierski.

—Tref i koszer... urządziłem dwie jadalnie: jedną dla osób pochodzenia polskiego, drugą dla osób pochodzenia niepolskiego—chwalił się marszałek.—Za kilka dni, gdy Moskale wyniosą się, gdzie pieprz rośnie, zrobi się porządną dezyfenkcyę.

—Tymczasem sam roznosisz zarazki, bo bywasz tam i zgrywasz się.

Marszełek stropił się nieco.

—To ja ich ogrywam—bronił się—ale nie o to chodzi... Gdybyś ty wiedział, czego ja im nie nagadam... Jeśli nastąpi nowa era w stosunkach rosyjsko-polskich, będzie to zasługą nie Targowieckiego, lecz moją.

I chełpił się przed Jakóbem, przytaczając dosadne prawdy, które w rzeczywistości, czy rzekomo, prosto w oczy ciskał bawiącym u niego "grubym rybom z głównego sztabu".

Ale pojawienie się we drzwiach Apolonii, która z zasady nie pokazywała się tak dostojnym gościom, jak państwo z Siewierska i Targowca,zdziwiło marszałka i przerwało jego zapalczywą opowiecć. Udał się z wdową do sąsiedniego pokoju, wrócił stamtąd stroskany.

—Co ja znoszę od tej baby!—poskarżył się szeptem Jakóbowi—gdy obwiąże sobie czoło chustką, znak to, iż trzeba uciekać z domu, a niema dokąd.

I chwilę stał ze zwieszoną głową, w istocie czemś zgryziony. Wyglądał staro z siwiejącemi wąsami, których od czasu przerwania frontu i rozgardyaszu w Galimcach nie czernił.

—Kolacya będzie pod psem... pościeli niema, krzeseł także—skarżył się, lecz już na wesoło. Pomieścimy się wszakże, coś się zje, winko wcale nie złe jeszcze się znaj-

dzie... Proszę do stołu!—zawołał donośnie i podał z afektacyą ramię pani Targowieckiej.

W jadalni zebrało się kilkanaście osób. Mimo utyskiwań Apolonii, nie zabrakło ani jadła, ani krzeseł.

W zastępstwie lokai, od dawna powołanych do wojska, dwie dziewczyny obnosiły dwa olbrzymie półmiski, ciężko naładowane mięsiwem, brzydko podane przez najęte naprędce kucharki. Marszałek ubolewał nad "garkuchnią", ganił każdą potrawę i nie częstował; zato dolewał wina, które miało być"wcale nie złem". Często także udawał się na tamtą stronę, gdzie zasiedli wojskowi, żeby i tam nie zaniedbywać obowiązków gospodarza.

W obu jadalniach panował gwar. W polskiej zabawiali całe towarzystwo gospodarz albo Targowiecki, którzy po raz pierwszy znaleźli się w tym samym obozie. Spostrzegłszy to, marszałek zmienił front i zamiast cieszyć się ze sprzymierzeńca, gryzł go za chwiejność przekonań. Pod wpływem wina żarty Kostusia Morszańskiego stawały się coraz bardziej przykremi. Pan Tomasz śmiał się jeszcze i tarł dłonią krótko ostrzyżone włosy, lecz zaczynał tracić cierpliwość.

Na szczęście kończyła się wieczerza, po której Targowiecki, wierny mimo wszystko pojednawczej polityce, zapragnął udać się do kilku znanych mu wojskowych.

Zeledwie wstano od stołu, nadjechali Zapolscy i Kasia, oczywiście na noc. Przywieźli nowiny, które prawie potwierdzały przesadną przepowiednię Morszańskiego, obdarzonego bujną wyobraźnią. Zdawało się, że zbliża się istotnie moment stanowczej rozprawy i że zmiażdżonem ostatecznie będzie państwo, uważane jeszcze pół roku temu przez Siewierskiego i wielu innych za niezwyciężone. Wszyscy skupili się dokoła prezesa i Aleksandra.

Po wyczerpaniu sensacyj strategicznych towarzystwo, złożone w przeważnej mierze z osób mało znajomych, rozbiło się na grupy. Znużeni długą jazdą poszli na spoczynek, paru młodych panów przekradło się do przybytku kart, część została w salonie, inni na werandy, ponieważ wieczór był wyjątkowo ciepły i pogodny, patrzyli w ogród, gdzie płonęły malownicze stosy, pasły się zdrożone konie wygnańców,

snuły się dokoła ognisk postacie ludzkie, rzucając fantastyczne cienie, które chwiały się i łamały, krzyżowały się, wyginały i pląsały niby zbiegowisko potworów.

Janina Siewierska znalazła się obok Tereski. Zbliżył je przypadek, czy może smutek, tłoczący serce obu. Janina nie potrafiła dotąd otrząsnąć się z bolesnych wrażeń rozstania z Siewierskiem, tu zaś w dodatku tak jaskrawo uwydatniła się i rzuciła się jej w oczy radość, którą odczuli tamci dwoje: jej mąż i "owa panna", gdy pół godziny temu spotkali się niespodzianie. I byli teraz razem na tej samej werandzie o parę zaledwie kroków, a odosobnieni od reszty gości, odgrodzeni od świata, oddzieleni od niej przestrzenią szczęścia i tacy odlegli... Zamieniali co jakiś czas parę słów niegłośnych, przeważnie milczeli.

Nie tylko ona spostrzegła ich uradowana i to szczególne wśród całego towarzystwa sam na sam, nieupozorowane nawet, ożywioną rozmową, i to niezwyczajne milczenie; musieli zauważyć także inni. Oto naraz Tereska Szczerbiowska zapytała o pannę Gorzelską, dlaczego prawie stale przebywa w Tyszowcach, czy niema rodziców, czy jest religijną, czy oni znają ją od dawna?

Janina dała odpowiedź wyczerpującą i pochlebną, przeszła na inny temat i rozprawiała o wojnie, powtarzając zupełnie oklepane ogólniki, usiłowała nie patrzeć w stronę męża. Spokojnie brzmiał jej jednostajny głos. Przekonawszy się, iż Tereska Szczerbiowska od dawna przestała słuchać i zamyśliła się, pani Siewierska urwała w pół zdania i także zapadła w zadumę.

Z powodu ogromu nasuwających się wydarzeń i grozy dni, z powodu wyjazdu—być może, na zawsze—z Siewierska, Janina doznawała wrażenia, iż życie jej przełamało się, że pod nogami nagle na równej drodze rozwarła się przepaść, że zamknięty został tom pierwszy i rozpoczyna się tom drugi, pełen niedoli i wstrząśnień.

Podobnem musiało być uczucie Tereski, bo zaczęła wyrażać te same mniej więcej myśli, wypowiadając je tylko głębiej i lepiej, aniżeli one układały się w głowie pani Siewierskej.

—Gdy zastanawiam się nad życiem kobiety wogóle—

kończyła Tereska cicho i ze smutkiem, jak gdyby czyniła wyznanie—dochodzę do wniosku, że nie polityka, nie dobroczynność, nie książki stanowić mają treść naszego istnienia. Jesteśmy istotami uczuciowemi, i, o ile nie możemy żyć sercem i dla serca... chybiamy celu i powołania, i typ nasz wykrzywia się...

Janina starała się nie widzieć tamtych dwojga, męża i Kasi, nie słyszeć ich rozmowy, starała się skupić. Słowa kuzynki, uznanej przez świat za szczęśliwą, uznanej przez Jakóba za mądrą i doskonałą, smutne słowa, które brzmiały niemal jak skarga, wprawiały ją w zdumienie.

Po jakiejś chwili rzekła spokojnie jak zwykle, choć w zdaniu także kryła się skarga.

—Mnie zaś zdawało się, iż właśnie żyć samem sercem zamało... Bo o cóż oprzeć się w razie zawodu? Niech kobiety zajmują się polityką, nauką, niech mają fachowe zajęcie.

—W razie zawodu, oparcia należy szukać w religii—sprostowała Tereska.

—Zapewne, w religii... tak—potwierdziła Janina, ale jakby bez mocnego przekonania i nie dokończyła.

Mimo zupełnej rozbieżności wypowiedzianych opinii, szybko zapanowała między kuzynkami zgoda. Obie jednakowo pobożne uznawały, iż wiara religijna winna być podstawą i dźwignią, a jednak obu nasunęło się jakieś zastrzeżenie, które wolały zachować dla siebie.

Tereska i Janina nie dopowiedziały myśli swoich do końca, nie wyznały uczuć do głębi. Zapadło między niemi milczenie.

...Pan zawsze z jutrem, dla jutra, o jutrze... dziś nie istnieje zupełnie dla pana...

—Dzieci nie zaglądają w przyszłość, troska o jutro zabija każdą radość.

—Bo radość rodzi się na dzień jeden, i nie można jej zamknąć w spiżarni...

Tamci dwoje zaśmiali się i znowu mówili to głośniej, to ciszej. Janina pomimo woli słuchała. Od czasu do czasu dochodziły dłuższe lub krótsze ustępy.

—Turski jest nieporównany—dowodziła teraz Kasia—on nie zna zupełnie czterech rzeczy: zwątpienia, spoczynku,

gniewu i egoizmu. To chyba najlepszy człowiek w Polsce. Powinienby ogłosić się lekarzem i pisać recepty.

—Na użyteczność społeczną i zdrowy miernego człowieka optymizm niby na jaki kalodont, czy urodonal—złośliwie przerwał Siewierski.

—Nie tylko na to... Nie zawadziłoby i panu udać się...

—Ja zwykle leczę się sam...

—Zarozumiałość, czy też niedoświadczenie człowieka, który nigdy nie chorował poważnie. Ja w razie ciężkiej choroby napewno zwrócę się do Turskiego.

O ile można było sądzić z urywków zdań, rozmowa wydawała się Janinie zupełnie pospolitą. Nie zawierała napewno ani głębokich myśli, ani dowcipu, a jednak w głosie, w śmięchu, w częstych przerwach, poufałości, w przekomarzaniu się było coś, co tę wymianę mało zajmujących frazesów czyniło niezwykłą, co przeraziło Janinę. Szczególnie zaniepokoiły ją poufałość i poufność brzmień głosu i tonu, a także śmiech. Do niedawna oni jeszcze nie rozmawiali tak z sobą, a jakże dawno ona nie słyszała śmiechu męża w Siewiersku. Zresztą on wogóle zwykle śmiał się inaczej.

Żeby zapanować nad rozdrażnieniem, nad trwogą, nad smutkiem, żeby zagłuszyć samą rozmowę, której przysłuchiwała się zapewne także Tereska, pani Siewierska zaczęła głośno przed kuzynką narzekać na bardzo złe mieszkanie, ostatnie, które było do wzięcia w mieście.

—Z pani zawsze poganka...

—Nie wolno żyć samem gromadzeniem wiedzy, samem tylko doskonaleniem aparatu myślowego. Trzeba wziąć udział w pracy dnia, w pracy pokolenia.

—A to jest znowu łyżka stołowa esencyi, czy ekstraktu jakiejś przemądrzałej nauki. Wolałbym kroplę wody wesela!

—Nie na wiele przydałaby się panu. Pan wszystko wie, a tylu rzeczy nie umie!

Doleciał znowu urywek rozmowy tamtych dwojga, którzy zapomnieli zupełnie o elementarnych prawidłach zachowania się w towarzystwie.

Janina bardzo głośno i z coraz większem ożywieniem wykładała teraz zamyślonej Teresce swoją teoryę wychowania dzieci. Tymczesem, jak tu na werandzie Siewierski i Kasia, tam w salonie wyodrębnili się od reszty osób Aleksander i panna Targowiecka.

Młody Zapolski opowiedział o wygnańcach, których forsownie wyprawiono na wschód, gdzie nic nie przygotowano dla nich zawczasu.

...Władze potraciły głowę i tracą grunt pod nogami... należy nam korzystać z ich ustępliwości...—tłómaczył Aleksander.

Oczy cichej i bladej Imy gorzały.

Naraz otwarły się drzwi i wszedł pan Tomasz, który dotąd zabawiał się z tym jakimś potrzebnym mu do podpisania aktu o odszkodowanie generałem.

—Jakież nowiny przywozi pan profesor z miasta?— zawołał donośnie na progu, dążąc i zwracając się wyraźnie do młodego Zapolskiego, którego w chwilach bardzo dobrego humoru, w braku innego tytułu nazywał profesorem. Obecnie Targowiecki, rad z aktu z generała, z jego obietnic, z jego podpisu, gotów był sąsiada tytułować nawet rektorem.

Aleksander nie spotkał się dotąd nigdzie jeszcze od dnia sprzedaży Chocimowa ze swoim współzawodnikiem, a trąbiono coraz głośniej, że Targowiecki, albo dał tylko swoją firmę żydom, albo nabył dobra hetmańskie do spółki z żydami i Liniewiczem dla parcelacyi. O tem, że ojciec Imy bawi dziś w Galimcach, Aleksander nie wiedział. To też usłyszawszy głos jego, drgnął i zmarszczył się i w pierwszem mgnieniu jakby zmieszał się, bo obecność Imy pokrzyżowała mu z dawna ułożony plan. Młody Zapolski udał, że nie słyszy skierowanego ku niemu pytania, odwrócił się nieznacznie plecami do drzwi, któremi wszedł był pan Tomasz.

Targowiecki, bystry wogóle, w porę powstrzymał ruch ręki, którą już miał wyciągnąć do sąsiada, w porę odezwał się do kogo innego w salonie. Skandalu udało mu się uniknąć, ale niespokojnie wzrokiem przebiegł po obecnych, by przekonać się, czy też zauważyli oni.

Marszałek uśmiechnął się zjadliwie i natychmiast podbiegł do pana Tomasza z tym samym uśmiechem, z bardzo ugrzecznionymi słowy.

—Generał zachwyca się staropolską gościnnością—odwzajemnił się Targowiecki gospodarzowi za komplement, jednocześnie popatrzał na Aleksandra, jak gdyby pragnął zapytać go, zaco też on się mści, przyjrzał się potem córce i spotkał się z dziwnym jej wzrokiem, w którym zawierała się prośba.

Oczy Imy gorzały jeszcze, choć zmącone, bolesne, zlęknione. Podniosła je na Aleksandra z wyrzutem, z trwogą, z błaganiem, skierowała ku ojcu spuściła, wbiła w ziemię, nie śmiała podnieść. Widziała wszystko, a nie mogła pojąć. Ona czciła obu, wierzyła w ojca, wierzyła w Aleksandra.

Aleksander dokończył rozpoczęte zdanie, postawił kropkę i szybko swoim żwawym, drobnym krokiem wyszedł na ganek. Tu zatrzymał się i stał chwilę ze zwieszoną głową.

Pewny był, że do końca życia nie zapomni przerażonego, błagalnego, zbolałego wzroku umiłowanej dziewczyny. Gdyby nie te drogie oczy, zaznaczyłby wyraźniej pogardę dla spekulanta, nie podając mu ręki, i byłby zażądał od niego usunięcia się z komitetu—nie potrafił oprzeć się drogim oczom.

Toczył z sobą walkę. Wahał się, było li słabością, że uległ prośbie spojrzenia, czy też stała się ukochanej Imie krzywda przez to, że w jej obecności znieważył jej ojca...

Poco on zadał jej ból?

Aleksander stał ze zwieszoną głową i wahał się, co zdarzało mu się rzadko. Po chwili zbliżył się do pana Ignacego, następnie do Kasi i Siewierskiego.

—Musimy zaraz jechać!—rzekł stanowczo i tu i tam.

—Jakto? na noc? konie zmęczone!—zawołali ci jednogłośnie.

—Konie wytrzymają. Pojedziemy wolno. Mam jutro bardzo ważne zajęcie.

Prezes Zapolski nie sprzeciwiał się, wiedząc z doświadczenia, iż z synem niewiele wskóra. Wkrótce też wyruszył.

—Takich ludzi nam trzeba!—głośno chwalił Aleksandra

przebiegły Targowiecki—co za żelazna wola, jaka obowiązkowość!

—A w dodatku niezwykle odważny, nieposzlakowanie uczciwy!—złośliwie wstawił marszałek.

—Takich ludzi nam trzeba!—powtarzał Targowiecki.

—Wolałabym trochę więcej względu na wiek ojca, któremu bardzo się chciało odpocząć w Galimcach—zauważyła Tereska.

Ima spoglądała w ogród i płonące stosy, które przypominały jej jakąś dawną, dawną godzinę zabaw w wieczór świętojański. Dziwnym był kontrast między wspomnieniem radości dzieciństwa a udręczeniem serca. Oczy Imy gorzały płomieniem męki, rozterka, wzburzyła pełną spokoju duszę, między ciche zazwyczaj myśli wśliznęły się naglące pytania.

Kto tu zbłądził z tych dwu, których kochała i czciła? po czyjej stronie leżało przewinienie? Jeden z dwu postąpił dziś źle.

I naraz poczęły gromadzić się słyszane przedtem urywki niepochlebnych opinii o ojcu, które odrzucała dotąd z oburzeniem. Tłumiła je i obecnie. Nie wierzyła jeszcze, czy też nie chciała wierzyć. Ludzie zazdroszczą "papie" powodzenia, ludzie przez zawiść obgadują, czernią skwapliwie. Kto tak przemawia i czuje, jak papa—broniła ojca—tak kocha kraj, tyle pracuje dla społeczeństwa, kto potrafi mimo obelg i zaraz po doznanej obeldze wynosić zasługi przeciwnika... nie może być człowiekiem—nie kończyła myśli.

—A w takim razie dlaczego Aleksander, który jest bez skazy—nie kończyła znowu.

Któryś z nich dwu zbłądził i postąpił źle, który?—zapytywała siebie, choć bezwiednie osądziła już ojca...

Patrząc na fantastyczne, pociesznie krzyżujące się i pląsające na łące cienie wygnańców, którzy snuli się dokoła ognisk na bardzo, zda się, wesołe i zabawne cienie najbardziej nieszczęśliwych ludzi, Ima dumała nad zagadnieniem bolesnem i trudnem...

A gdy ojciec pocałował ją w głowę na dobranoc, ujęła obu rękami dłoń jego i podniosła do ust i trzymała dłużej przy ustach, ścisnęła mocniej, jak gdyby pragnęła i prze-

prosić i prosić o przebaczenie dla tego, co odjechał i obraził i podziękować za owe szlachetne słowa pochwały.

Pieszczota córki przypomniała Targowieckiemu zajście, które radby wymazał z pamięci. Pan Tomasz nigdy nie wątpił o swojej popularności wśród ziemian, zarówno jak nigdy nie wątpił o swoich wobec kraju zasługach, lecz będąc człowiekiem bystrym, nie mógł od czasu do czasu nie "zwąchać" czy zwęszyć, że ludzie niekiedy ganią go za to lub owo. Obdarzony umysłem obrotnym, wyobraźnią, giętkością, umiał być zawsze w zgodzie z sumieniem własnem, a bardzo dbał o to, by być w zgodzie z opinią, czy sumieniem ogółu.

Postępek Aleksandra dotknął go mocno, jako zniewaga, jeszcze więcej wszakże zaniepokoił, jako ostrzeżenie, jako oznaka niepomyślnego dlań zwrotu w opinii. Aleksander, rok temu prawie nieznany, stawał się jednostką wpływową, wyrósł niemal na wodza partyi. Pan Tomasz wmawiał sobie, że młody Zapolski mścił się z powodu zaręczyn Imy z Podbielskim, ale odgadł od razu, że chodziło tu o Chocimów. W mieście uczynił się "huczek" dokoła tego kupna; na szczęście w samą porę przyszło przerwanie frontu, ogromnej doniosłości klęska wojenna. O dobrach Gosiewskiego i grobowcu hetmańskim ludzie zopomnieli, lecz Aleksander i tacy, jak on, nie darują, marszałek zajście dzisiejsze rozdmucha do rozmiarów skandalu i rozgada na cały kraj.

Jakoż rzeczywiście zaledwie za Targowieckim zamknęły się drzwi, marszałek skwapliwie namalował przed Jakóbem, który o niczem nie wiedział, dramatyczną scenę zniewagi, puszczając przytem jak zwykle wodze wyobraźni. Jako gospodarz, Morszański ubolewał nad fatalną przygodą, która spotkała w jego domu gościa i w dodatku człowieka tak już podeszłego w latach, jak pan Tomasz, z drugiej zaś strony zacierał ręce z zadowolenia, iż Targowiecki dostał wreszcie porządną nauczkę i wydobywał z przeszłości pana Tomasza wszystkie dawne jego grzechy.

—Idź już lepiej do kart!—wyprawiał go Siewierski, który wolał zostać sam na werandzie.

—Co tam karty! Nagrałem się niemało. Gdy wali się największe mocarstwo, nie pora walczyć przy zielonym stoliku.

—Zmarnowałem życie! co tu gadać!—westchnął.

Jego także, jak wszystkich, groza dni usposabiała do rozrachunków z sobą, do zastanowienia, do sądu.

—Powiedz mi, mędrco,—zwrócił się do Jakóba—co należało mi czynić, by nie marnować życia?

Siewierski nie odpowiedział. Miałże marszałkowi, który spieszył do grubej gry w bakarata, marszałkowi smakoszowi, hulane, warchołowi, prawić kazanie o obowiązkach, o pracy, o doskonaleniu wewnętrznym, o ideałach narodowych?

—Straciłem trochę grosza, przerzedziłem lasy, kilka włók poszło—ciągnął dalej gospodarz—czy to zbrodnia? Kazio Galimski, najbliższy, ale nie najukochańszy mój krewny, który zamierza wziąć po mnie sukcesyę, a może jej nie dostanie, dosyć nazbierał dla siebie i swoich pięciu synów. Nieprawdaż?

—Zepewne—zgodził się Siewierski.

—Nikt mnie nie przekona, że przyszedłem na świat po to, by Kaziowi Galimskiemu zostawić sześć tysięcy morgów ziemi bez rubla długu, nietknięte bory. Nieprawdaż?

—Zepewne—potwierdził Jakób.

—To też nie wyrzucam sobie tak zwanego, błędnie zwanego utracyuszostwa... bynajmniej... człowiek nabroił trochę... chciałby też człowiek módz pochwalić się jakąś zasługą—spowiadał się Morszański.

I popadł w zadumę.

—Możeby też i znalazło się coś. Każdy z nas, pomimo woli, czasami zrobi coś złego albo, równie nie chcący, coś dobrego. Różne bywają zdarzenia... Przyjemnie jest przypomnieć, że się wyciągnęło kogoś z toni... Raz działo się to w pewnem mieście rosyjskiem... czego tam siedziałem i czego tam hulałem, mniejsza o to... Otóż pewnego wieczora zaszedłem...

—Ech, co tam!—przerwał nagle i machnął ręką...

—Dziś i do końca dni moich czuć będę tu—wskazał palcem patetycznie drugą rękę swoją—łzy wdzięczności—i znowu urwał. Jakób nie prosił o opowiedzenie owego zdarzenia, nie wiedząc, co w nim będzie prawdą, a co zmyśleniem.

Nastała cisza.

—To tylko wiem, że gdybym był młodszym, gdybym miał lata Jakóba Siewierskiego, Aleksandra Zapolskiego, nie siedziałbym ani w Galimcach, ani w waszych komitetach uciekinierskich, ale wyruszyłbym w pole i biłbym się rzetelnie.

—Masz racyę... lecz nie postarzaj siebie zbytecznie... nie tak wielka między nami różnica!—zauważył Jakób.

—Tak się to mówi, ale dziś nie potrafię.

Marszałek myślał chwilę.

—I dlatego też wydaje mi się, że zmarnowałem życie!

Zapadło milczenie.

—W takich czasach, jak dzisiejsze, gadać, klepać kartami, podejmować łaskawych i niełaskawych gości, ujadać się z wdową... ech do dyabła!

Marszałek spojrzał przebiegle na Siewierskiego i jeszcze raz spytał wręcz:

—Powiedz mi, co miałem czynić, by nie zmarnować życia?

Siewierski nie widział przebiegłego wzroku gospodarza, bo patrzał w roje gwiazd i nie odparł nic.

—Milczysz!? W takim razie idź spać, a ja "taki" pójdę grać—zawyrokował Morszański, wstając.

XXII.

Po dniach popłochu nastąpił względny spokój. Wojska przestały cofać się i okopały się, ludzie oswoili się z hukiem dział, z bombami, z alarmującem plotkarstwem, bardziej szkodliwem niż pociski. Falę wygnańczą władze skierowały na inne szlaki, ale w miasteczku Siewiersk było zawsze dużo zajęcia.

Jadłodajnia, szpital, przytułek fukcyonowały dalej. Aleksander zaś postanowił pokryć okolicę siecią szkół parafialnych i ludowych dla szlachty zaściankowej, urządzić kilka kaplic, zorganizować pomoc lekarską, zakładać w każdym dworze i folwarku ochronki. Pod wrażeniem klęski rząd stał się bardziej wyrozumiałym, należało korzystać z na-

stroju i sposobności i kuć wszelkie żelazo wszelakiej roboty.

Komitet, z którego wystąpił Targowiecki, do którego natomiast weszło kilku przedstawicieli braci siermiężnej, zbierał się rzadziej, paru sąsiadów, nie mogąc pogodzić się z despotyzmem młodego Zapolskiego, usunęła się z szeregu, praca wszakże szła dobrze. Dla tej to pracy Siewierskiemu często wypadało jeździć do miasta, a z miasta wracać do Siewierska.

Któregoś dnia spotkał na dworcu stolicy gubernialnej pannę Kasię. Razem siedli do wagonu II. klasy, pełnego dymu i wojskowych, zaduchu i gwaru. Znajdowały się tu tak zwane "siostry" tak zwanego miłosierdzia, i nieodłącznie związany ich obecnością flirt strzelał płomieniem to tu, to tam, niby rozpoczynający się pożar. Grano w karty, gromadzono się dokoła zakąsek, które wydobywano z koszów razem z butelczyną jedną i drugą.

Siewierski i jego towarzyszka, oni dwoje tylko nie mieli na sobie uniformu. Byli najzupełniej obcy temu środowisku, i właśnie ta odrębność uczyniła ich bliższemi sobie. Usiedli naprzeciwko siebie na dwu fotelach, milczeli, porozumiewając się tylko wzrokiem. I zgadywali wybornie myśli swoje.

Gdy pociąg ruszył zaczęła się między niemi cicha rozmowa o sprawach, obchodzących ich wspólnie. Oboje pragnęli przedewszystkiem, by otoczenie zostawiło ich w spokoju, by nikt się nie wmieszał, nikt nie podsłuchał. Rozmawiali pochylając się ku sobie, jak gdyby spiskując i na publiczności czynili zapewne wrażenie pary zakochanych. Jakób patrzał w umiłowane oczy, które znał, a zawsze jeszcze poznawał nanowo, których nie umiał przeniknąć, nie potrafił zabrać na własnaść.

Te oczy, swawolne w uśmiechu, niekiedy pełne szczęścia, kryły w głębinie swojej smutek. Czemu? Czyżby wiedziały więcej, niż on, patrzały dalej? On nie chciał zaglądać w przyszłość...

Mówili o drobiazgach potoczonego życia, jak ludzie, co widują się często, którzy mają jednakowy zakres zajęć. Wyśmiewali któregoś z członków komitetu i błędy językowe Ciecierskiego, narzekali na upór Aleksandra, prezesa o że-

łaznej rękę, żałowali Imy, a każde wypowiedziane zdanie zawierało prócz zwykłego znaczenia—inne, doniosłe, znane tylko im dwojgu.

Jakkolwiek od wielu tygodni spotykali się niemal codziennie, nigdy jeszcze nie odczuwali takiego zbliżenia, jak w tym wagonie, w obcym, przykrym, hałaśliwym środowisku, od którego odosobnili się, które zaś zjednoczyło ich. Czasami zapominali o otaczających ich ludziach, czasami zbierali zabawne spostrzeżenia i dzielili się niemi szeptem.

W jakiejś chwili oficer zagwizdał walca.

—Pamięta pan?—spytała Kasia—bal w Tyszowcach, Karusi taperkę niestrudzoną. Właśnie ten sam walc...

—Pamiętam... choć niezbyt się bawiłem.

—Udawał pan senatora. Za to Dominik... Jak to dawno... dwa wieki temu...

—A mnie się wydaje, że to było wczoraj.

Oficer gwizdał ciągle smętną, staroświecką melodyę. I tkwiło wciąż przed niemi wspomnienie chwili dalekiej, drogiej chwili, którą, nie wiedzieć dlaczego, w myślach swoich niewyjawionych nazwali początkiem.

—Pamięta pani jezioro?

Było to wspomnienie jeszcze droższe.

—Jezioro, cudne jezioro wśród boru... Takbym chciała je widzieć!...

—Wybierzmy się którego dnia.

—Aleksander nie pozwala próżnować.

—Pojedziemy ukradkiem.

Tymczasem szybko mijały godziny i stacye, choć pociąg wlókł się. Wieczór już był, gdy wysiedli. Pokazało się, że konie z Siewierska czekały, konie zaś Zapolskich nie przyszły. Panna Kasia ubolewała, że listy i depesze nie dochodzą. Jakób zaprosił ją do swojej bryczki. Zgodziła się, przepraszając za kłapot.

Szparko pomknęły chyże konie siewierskie równą, suchą jeszcze, mimo jesieni drogą. Otoczyła ich noc i cisza, ogarnęło zaś w pierwszej chwili, jakoby onieśmielenie. Rozmowa rwała się. Patrząc w świetne gwiazdy wrześniowe, nie umieli mówić tak prosto i szczerze, jak przed godziną.

Ale stopniowo oswoili się z nocą, z samotnością, z ciszą.

Minęły onieśmielenie i sztywność. Siewierski odczuwał, jak w ów wieczór księżycowy niezmierną rzeczywistość i prawdziwość szczęścia, którego pragnął, a jednocześnie pożądanie szczęścia, innego, pełniejszego, za które oddałby resztę dni swoich.

Milczeli.

—Co za noc!—odezwał się.

Siewierski wiedział, iż oni myślą i czują oboje w tem mgnieniu to samo.

Była cisza.

—Nie jest pani zimno?—spytał, niewiadomo dlaczego szeptem, i położył swoją gorącą dłoń na zimnej jej ręcę, którą trzymała na kolanach.

—Zimno pani?—powtórzył Siewierski.

Ujął rękę, rozgrzewał w gorącej dłoni, podniósł do ust, całował, trzymał przy ustach. Ale powoli zabrała mu rękę.

Siewierski oczyma poszukał jej ócz. Popatrzała w niego i odwróciła twarz—może z uśmiechem—nie wiedział. Widział ją w profilu nieco odchylonym.

Wjeżdżali właśnie w las. Na piaszczystym gościńcu ucichły tupot kopyt i turkot kół. Miękko toczył się powóz. Cisza boru zdała się głębszą, świętszą. Wysokie sosny w milczeniu słuchały migocącej opowieści i wiernych gwiazd. Siewierski ogarnął spojrzeniem gwiazdy i niebiosa, wierzchołki drzew. Co mu było do gwiazd! drobnych, pięknych, połyskujących wśród mroku światełek? I czemże były te niebiosa, których bezkresu i tajemnicy nie odczuwał w tej chwili.

Z przestworów nieba wzrok przeniósł się na drogą głowę. Spotkały się oczy szczęśliwe dwojga ludzi szczęśliwych, umiłowane, miłujące oczy.

I znowu odwróciła od niego oblicze—może z uśmiechem, nie wiedział. Widział profil jej, taki znajomy, bynajmniej nie klasyczny, a taki kochany, profil, który z powodu niekształtnego nosa nasuwał jakoweś przypomnienie...

Siewierski gorącą dłoń położył na ręce jej. I naraz w mgnieniu, bardziej ulotnym, niż myśl nasunęło się przeraźliwe przypomnienie. Patrząc na drogi profil, Jakób ujrzał

nie drogie oblicze, lecz trupią czaszkę: puste oczodoły, szczęki, wyszczerzone zęby i nagą kość czołową. Przebiegł go dreszcz wstrętu do siebie samego. Szybciej, niż myśl, minęło widzenie...

Pieścił dłonią jej rękę, szukał spojrzeniem ócz, które kryła. Dla niego podnoszą się i opuszczają cudne rzęsy, jego są prześlicznym łukiem zarysowane brwi, jego są usta. Przecież przeszłe życie jego i cała przyszłość nie warte tego jednego mgnienia, jednego pocałowania...

Ogrom szczęścia rozpierał serce Jakóba, ale od szczęścia bardziej prawdziwem było pragnienie rozkoszy... Odczuwał bliskość Kasi jako własności najdroższej i jednocześnie nieprzebyty przedział i osamotnienie... Pełen kochania i upojenia, jeszcze tęsknił i pożądał.

I zdawało mu się w uniesieniu, że dla nich dwojga istnieje świat dokoła, którego prawie nie spostrzegał, dla nich—ta noc i bór i gwiazdy, że słyszał niby znajomy szept, żal znanego ostrzeżenia, że znikomem jest wszystko.

Ogarnęła go obawa i przemknęła... Tak wyraźnie stwierdzał w sobie nieśmiertelność, miłości i życia? własną nieśmiertelność? wiekuiste trwanie i prawdę szczęścia? Nie pojmował, nie zdawał sobie z tego sprawy. Jak szata, jak niepotrzebna powłoka zwietrzeje i w proch się rozsypie to, co zwał dotąd życiem, ale coś w nim, czy poza nim, w nich dwojga trwać będzie...

Nie miał możności ani nazwać, ani zgłębić tego, co napełniało mu jestestwo, co znajdowało się już, rzekłbyś, poza znaną i dostępną mu duszą, za progiem świadomości.

Milczeli. Ale to czuł teraz, iż innemi kręgi toczyły się jej myśli, że przebywała w jakowejś odległości i rozumiał, że mimo kochania tak rozpaczliwie dalekim pozostaje człowiek człowiekowi.

Zdjęła go obawa, że on się łudzi, że ona szydzi z niego. Czemu kryje spojrzenie i odwraca oblicze? Co znaczy ten uśmiech na ustach, dziwny, nieodgadniony wśród nocy?

Pragnął posiąść ją na zupełną własność, poznać do dna każdą myśl i uczucie, zabrać duszę jej, przeniknąć.

Pieścił jej rękę, trzymał przy ustach. W rozkoszy całowania znikła wszelka obawa, przybliżył twarz do twarzy,

by przecież zajrzeć w oczy, by szeptem ust przy samych ustach spytać.

Zaturkotało na bocznej drodze, zamajaczył koń.

—Z Tyszowiec!—zawołała Kasia—a w głosie jej, jak zdawało się Jakóbowi, zabrzmiało zadowolenie.

Panna Kasia przesiadła się natychmiast, Mirta skręciła na lewo, Siewierski ukłonił się, furman Andrzej cmoknął lekko na konie.

Siewierski znalazł się naraz w pustce i próżni i, niby strącony ze szczytu, w nizinie. Znękało go uczucie tak beznadziejnej, przeraźliwej samotności, jakiej nie doznał dotąd nigdy...

To, co było snem, minęło niby sen. Wraca do domu, pełnego wojskowych, do Janiny, która bawi w Siewiersku dla pakowania kufrów. Oto rzeczywistość.

Małostkowe, zbyteczne myśli krążyły po głowie Jakóba, gdy patrzał w przestwór niebios. Migotały i chwiały się gwiazdy, wieczne, dalekie, może uśmiechały się, może zwiastowały mu jakąś mądrość, wieczną, daleką. Ani uśmiechają się, ani zwiastują żadnych prawd człowiekowi gwiazdy! Cóż one znaczą dla niego, a raczej czymże on jest wobec nich. Pyłkiem jest ziemia, a człowiek?! Człowiek może być niezmiernie szczęśliwym i, bardzo wiele może cierpieć człowiek. Istnieje droga do szczęścia, lecz nie dla takich, jak on.

"Troska o jutro zabija każdą radość"—przypomniało się Jakóbowi. Kto to kogo ostrzegał? ona jego, czy też on ją? Ale co począć z rzeczywistością, która tkwi kędyś tam, przed nim, wyrasta z za widnokręgu, zagradza drogę. Miłość i wspomnienie drogiej, całowanej ręki, pragnienie pieszczoty, radosna tęsknota, pełna oczekiwania jutra, stłumiły niepokój. Zbyteczne, tchórzliwe myśli krążyły po głowie, w sercu przebywała nadzieja.

Nad wysokiemi sosnami paliły się migotliwe gwiazdy, konie mknęły.

W godzinę potem Jakób wysiadł przed bramą Siewierska. Wolał przyjechać incognito, by uniknąć uciążliwej roli fikcyjnego gospodarza wobec zaludniających dom jego wojskowych. Wszystkie okna były jaskrawo oświetlone. Patrząc w nie Siewierski, nie widział już dawnej postaci matki.

Przeszłość, wypłoszona ze dworu, ukryła się w parku na cmentarzu rodzinnym. Wśród gęstwy drzew ogrodowych Jakób wyróżnił, rozpoznać umiał dwa szczyty jodeł, rosnących wedle kaplicy grobowej.

Niezauważony przez nikogo Siewierski, dotarł do gabinetu swego. Wchodził z dziwnem uczuciem, jak gdyby wracał z odległego kraju. Powoli zdejmował palto, z przyzwyczajenia szukając wzrokiem na biurku, na zwykłem miejscu listów, które mu dawniej kładła tam żona. Poczty nie było dnia tego. Po chwili weszła Janina.

Zdało się mężowi, gdy weszła, że on nie widział jej bardzo już dawno, że któreś z nich—on czy ona, z dalekiej wracają podróży. Spojrzał na nią z roztargnieniem i odwrócił oczy, ale niebawem podniósł znowu wzrok, bo nieruchoma twarz żony wyglądała zmienioną. Spostrzegł wypieki i wyraz żałości. Tknęło go coś złowrogiego. Zamienili z sobą kilka zdań obojętnych, ciężkim był Jakóbowi przymus rozmowy. Naraz Janina zaczęła o Dominiku.

—Gdzie telegram?—spytał szorstkim głosem, przerywając.

Podała mu depeszę.

A gdy odczytał straszliwą wieść, podpisaną arystokratycznem nazwistkiem rosyjskiem, gdy machinalnie oddał żonie depeszę. Janina postąpiła ku niemu, by wziąć go w objęcia. On zaś jakkolwiek odgadł zamiar żony, cofnął się ku oknu, i pożałował po niewczasie nieopanowanego odruchu i chciałby naprawić, lecz było za późno. Twarz Janiny oblała się rumieńcem, łzy stanęły w oczach. Stała z telegramem w ręku w pośrodku pokoju.

Siewierski już zapomniał o żonie. Przez niezasłonięte okna spoglądały ku niemu gwiazdy, świetne, liczne, te same gwiazdy. Poznał je w pierwszem mgnieniu, po chwili przestał widzieć i znowu patrzał, jak gdyby liczył. Boleść oszołomiła go, nie zdążyła jeszcze wejść w niego, zamieszkać w nim.

XXIII.

Dzieje Dominika były pospolite, jakkolwiek on znajdował się na wojnie, wypróbował wszystkich po kolei frontów i wszelkiego rodzaju broni, chociaż zaznał różnych przygód i dużo miał do opowiadania i opowiadał chętnie a długo, z uśmiechem zadowolenia i wyższości, byle znaleźli się słuchacze.

Sztuczny zapał bojowy, i jeszcze bardziej sztuczny patryotyzm państwowy, ogarnęły go na początku, jak niemal tych wszystkich z którymi się stykał. Gotów był poledz wówczas, rwał się do walki, chciał jednym zamachem zdobyć Bogu ducha winną Galicyę, wymordować całą armię austryacką, wyswabadzać ludy, dotrzeć do samego Wiednia, rzucić z tronu cesarza. Wolałby może iść w stronę Berlina—ale że pułk jego skierowano na południe, Dominik złorzeczył monarchii naddunajskiej.

Brał udział w wywiadach, odznaczył się, nie narażając życia, potem nie zdobył odznaczenia, mimo, że właśnie kilka kul gwizdnęło blizko niego i zmiotło z siodła paru żołnierzy, widział pierwszych jeńców, widział zabitych i rannych, krew i pożary, trofea. Widział, iż toczyły się zwycięzkie bitwy, w których nie brał udziału, że posuwano się naprzód, że sypią się nagrody na dowódców.

Pogoda sierpniowa dopisywała, kraj był piękny, zniszczenie zaś, któremu ulegał, nie czyniło na nikim wrażenia, humory dokoła wśród żołnierzy i starszyzny były dobre, zdawało się wszystkim, iż wojna skończy się niebawem, że "wilk nie tak straszny".

Ale już po miesiącu Dominik ostygł w zapale swoim. Natomiast pod wpływem gazet, których wprawdzie sam nie czytał, rozmów, atmosfery, wreszcie z różnych naleciałości wytworzyły się w nim pewien program, czy regulamin i pewna filozofia.

I jedno i drugie, lubo łatwe, nie zapuściły w nim głębokich korzeni. "Podniosłe" cele wojny, jak oto: detronizacya wrogich monarchów, wyzwolenie ludów i t. p. odeszły

na plan drugi, a tak daleki, jak odległemi wydają się cele, wskazane w katechizmie, o których każdy się uczy, by zdać egzamin, do których wszakże nikt nie dąży, i na pierwszym planie stanęły sprawy bliższe: interesa pułku i jego życie codzienne, ważniejsze od wojny, oraz stokroć ważniejsze, niż sprawy pułku i jego żywot—osobiste życie każdego.

Istaniał honor pułku; lecz honor pułku, zdaniem dowódców i większości, nie koniecznie zawierał się w tem, by wszyscy musieli poledz; istniały partye: doktrynerów, przeciwnych wojnie, od których stroniono, nacyonalistów, hałasujących patryotycznie, neutralnych, do których należał młody Siewierski, istniało karyerowiczostwo; nastąpił nieunikniony w każdem zbiorowisku ludzkiem podział na kółka w zależności od urodzenia, pieniędzy, stosunków; wszystkich zaś łączyła filozofia, streszczona w słowie: używać.

Dominik, nie skłonny do dociekań i roztrząsań, płynął z prądem, ale zbyt był ociężały i rozsądny, by stać się, co się zowie, hulaką. Zaczęły się karty; kobiety tymczasem nie grały jeszcze roli. Pułk przenosił się na północ, potem w jesieni—na Kaukaz. Dowódca, jak twierdzono, miał plecy. Kilku arystokratycznym kolegom Dominika dokuczała turecka wojna w której nie powąchano ani razu prochu, a zwłaszcza zapadły, chociaż wyniosły w górach wśród przepięknej natury, posterunek—i przeniesiono się w kilku znowuż na front południowy.

Rozkwaterowano się w pewnym mało interesującym grodzie powiatowym Królestwa Lodomeryi Dominik w przeciągu kilku miesięcy otrzaskał się z wojną, oblókł się, raczej preobraził się w wojskowego człowieka, pokrył się specyficzną pleśnią czy rdzą, obrósł skórą oficerską.

Wyrażenia, żarty, głos ruchy były jednakie u wszystkich. Dawniej naśladował, teraz nie potrafiłby być innym. Z nudy kwitły karty i jakiś flirt. Przystojny Dominik podobał się i często bywał w roli Józefa, napastowanego przez żonę Putyfara, lecz mimo, że udawał i dorosłego i cynika i przesyconego kobieciarza, brakło mu zwykle odwagi przed ostatnim czy ostatecznym krokiem. Brakło mu doświadczenia, bał się obrazić i narazić się, nie sądził, iż wystarczyło tylko rękę wyciągnąć, nie przypuszczał, by było tak łatwo.

Niewiasty śmiały się za plecami wstydliwego młodzieńca, śmiały się w twarz. Mieszało to Dominika, który w salonie traktował arystokratyzm panny niedbale, z wysoka i z lekceważeniem, a w towarzystwie pań wesołych i lekkich odczuwał skrępowanie.

Tę niewłaściwą nieśmiałość przemogła wreszcie pewnego pięknego dnia krzykliwa, wesoła, ciemnowłosa Wiera Aleksandrówna, dama czy panna z opaską czerwonego krzyża na ramieniu, kokietująca na trętnie, zalecająca się uporczywie. Drwiła często niemiłosiernie z zacofanego oficera, dokuczała, gniewała się, darowywała łaskawie winy, których nie było, oczekując niecierpliwie na istotne przewinienie, udawała niedostępną, stawała się bojaźliwem dziewczęciem, a nazajutrz znowu szydziła.

Śmiała się, gładząc jasne włosy Dominika, przysuwając się ku niemu twarzą, śmiała się ciągle, gdy spuścił oczy, śmiejąc się, usiadła na jego kolana, śmiała się, gdy zarumienił się i ze zmieszania sięgnął do wąsa, śmiejąc się, poczęła skubać mu sama wysypujący się wąs, jadła cukierki i kładła mu w usta cukierki, lepkiemi od cukierków ustami przylgnęła do jego warg...

Dominik wrócił do domu zadowolony z siebie. Rozbierała go duma. Chciałby pochwalić się przed kolegami, a udawał zamyślonego i poważnego, udawał, że ukrywa doniosły sekret. Rozpierała go duma, ale było mu żal czegoś, może panny Kasi, która przypomniała mu się parę razy, smutek tkwił pod zadowoleniem z siebie. Zasiadł do gry, karta szła mu niezwykle tej nocy.

W tym samym okresie, znacznie później nastąpił epizod innej zgoła natury.

W pobliżu onego miasta powiatowego znajdował się dwór z okazałą rezydencyą. Dominik wiedział od kolegów, iż mieszkają w nim dziadek, sparaliżowany, wnuk i wnuczka, która uchodziła jako ładna. Gdy koledzy mówili o wnuczce, całowali końce palców i mrugali znacząco, dodawali wszakże, iż "panna hrabianka" jest sroga. Żarty te, ponieważ dotyczyły Polaków, niecierpliwiły czasami Dominika. Ale on sam nie kwapił się z wizytą do pałacu, który po przez bezlistne drzewa często widział z drogi wyraźnie.

Wiera Aleksandrówna, karty i pułk nie dokuczały mu były jeszcze wówczas. Pewnego dnia, przejeżdżając szosą, spostrzegł zdala, iż garstki żołnierzy włóczą się w ogrodzie i koło pałacu. Tknęło go coś. Skręcił i szybkim kłusem zajechał pod dwór.

Grudy błota leciały z pod kopyt wierzchowca. Dominik z przyjemnością myślał, iż jeździec i piękny koń "Galapeter" wywołają w pałacu wrażenie, myślał, że powitają go jak zbawcę myślał o pannie. Hrabianka bez okrycia, mimo chłodnego dnia, stała na stopniach, zakazując coś grupie żołnierzy.

Panna nie zdradzała strachu. Wyniosłą i spokojną postawą rozkazująco pędziła precz sołdatków. Ci wahali się jeszcze usłuchać, czy też iść przebojem. Z twarzy półżartobliwych a zuchwałych znać było, iż pomimo groźby dziedziczki nie dadzą łatwo za wygrane. Domagali się wódki.

To wszystko w jednem oka mgnieniu dojrzał młody Siewierski. Na widok oficera żołnierze pierzchli, ale zwołani do kupy, stanęli ulegle. Ten zaś, chcąc wobec panny się popisać, okazał się straszliwym, jak rozgniewany Jowisz. Zaznaczył w notesie nazwiska, nastraszył karą spokorniałych włóczęgów.

Hrabianka przez ten czas znikła. Dominik zamierzał już, zawiedziony nieco, ruszyć w swoją drogę, gdy zjawił się służący z ukłonem, z zaproszeniem:

—Jaśnie państwo proszą jaśnie pana—mile z polska zabrzmiało Dominikowi.

Z radością wszedł. Pałac w znacznej mierze ogołocony ze sprzętów, które zawczasu wywieziono, czy też zrabowano, posępne czynił wrażenie, tak jak i właściciele jego: dziadek i panna. Smutek sieroctwa i biedy, zdawało się, otaczał tę parę, zgubioną w ogromnym a ponurym w to zimowe południe salonie.

Dominik, lubo wogóle dość pewny siebie, czuł skrępowanie, bo odwykł od towarzystwa; tamci dwoje byli sztywni. Zaczęło się od podziękowania, zamieniono kilka ogólnikowych frazesów. Pustka źle opalonego pokoju, zimno obojętnych słów przejmowały Dominika chłodem.

Ale niebawem lody prysły. Przedewszystkiem przyjechał w wózku swoim sparaliżowany brat, młody człowiek, niezwykle mówny, łatwy, sympatyczny i zabawny, jak określił go Dominik, potem zaś, gdy oficer powtórzył swoje, niedosłyszane przy reprezentacyi nazwisko, gdy pokazało się, że jest z "prawdziwych" Siewierskich, to jest rodzi się z hrabianki Mirskiej, od razu rozgrzała się, czy zmieniła atmosfera.

Dominik został na obiedzie, w kilka dni potem przyjechał znowu, zaczął bywać często. Dziadek dość głuchy, a ciekawy i gadatliwy, próżny i ceremonialny, przerażony wojną, czemu zresztą trudno było dziwić się, nudził go szczerze; zato hrabianka, panna Klara zajmowała coraz więcej.

Nie odznaczała się pięknością w zwykłem znaczeniu, nie była także "zabawną", jak brat jej. Sztywna nieco i milcząca, nie miała wszakże nic z ceremonialności dziadka, lecz przeciwnie, zdawała się być uosobieniem prostoty. Dominik lubił jej wysoką postać, wyniosłą postawę, urodę, posągową, pozbawioną zupełnie wdzięku zalotnej kobiecości, urodę, którą cechowały powaga, czystość, dziewiczość. Spokojne rozmyślanie rzadko schodziło z jej nieskazitelnego czoła, stale, rzekłbyś przybywało w oczach niebieskich, uważnych, wpatrzonych w oddalenie.

Dominik nie wdawał się w badania i spostrzeżenia psychologiczne, ale tak zdawało mu się, zwłaszcza od dnia, gdy dowiedział się o zamiarach panny. Nawet śmiech szczery, jak u dziecka, i jak u dziecka ucieszny, nie rozweselał jej spojrzenia. Jasne, a poważne oczy Klary spoglądały na młodego oficera pierwej przychylnie, potem przyjaźnie, potem bardzo serdecznie, z dobrocią, a w Dominiku, który dawniej tylko podlotki w salonie, od czasu zaś znajomości z Wierą Aleksandrówną, wszystkie kobiety traktował niedbale, budziły prócz zachwytu poszanowanie.

W źle opalonym, pozbawionym sprzętów salonie Dominik nie odczuwał już ani pustki, ani zimna.

Patrząc z podziwem na pannę, u podobaniem słuchał niekończącej się nigdy rozmowy brata, pana Tonia, który sypał jak z rękawa żartami, posiadał niewyczerpany zapas anegdot i opowieści, umiał zastosować się do każdego słucha-

cza. Nawet gdy Dominik z przykrej konieczności—z rzadka zresztą—przywoził kolegów swoich, gdy dziadek stawał się po wersalsku etykietalnym a jednocześnie miał biegające po skórze czysto galicyjskie ciarki i przestrach we wzroku na widok "Moskali", jakkolwiek ci "Moskale" nie tylko nie chowail do kieszeni łyżeczek, lecz mówili najdoskonalszą francuszczyzną i należeli do najlepszego towarzystwa, gdy hrabianka, choć uprzejma i prosta, mroziła surowością i chłodem—nawet wówczas pan Tonio potrafił zabawić gości.

Trzepał wszystkiemi językami świata, prócz rosyjskiego oczywiście i znał mimo młodego wieku cały świat prócz Rosyi, przeczytał wszystko i poznał wszystko niemal, zwłaszcza w dziedzinie uciechy, o czem świadczyły, niestety, choroba i wózek. Znosił kalectwo swoje wesoło i w dalszym ciągu, o ile się dawało, używał. Z jego to przyczyny i dzięki niemu kuchnia i piwnica nic nie pozostawały dożyczenia pomimo wojny, co jednogłośnie potwierdzali za każdym razem goszczący w pałacu wojskowi.

Młody Siewierski przyjeżdżał nie dla pasztetów, burgunda i nie dla świetnych dykteryjek paralityka, do którego lgnął wprawdzie i za każdym razem gdy przyjeżdżał, wolałby, by pan Tonio, spragniony rozmowy i gości, nie zabierał go na wyłączną własność i nie trzymał przy sobie niby na uwięzi od pierwszej chwili do ostatniej.

Czemu ci troje, wyglądający na rozbitków: dziadek, przerażony okropnościami najazdu, chory wnuk i wnuczka nie zemknęli za przykładem swoich sąsiadów, Dominik nie mógł ani wyrozumieć, ani dowiedzieć się, mimo, że tabetyk nie uważał żadnych "sekretów" rodzinnych i już za drugim pobytem opowiedział Dominikowi, iż dwaj jego bracia są na wojnie: jeden w armii, drugi w legionach, że ojciec ich skręcił kark na polityce i zastrzelił się w Wiedniu, że siostra, panna Klara, zamierza wstąpić do klasztoru, czemu on, będąc wrogiem religii wogóle, a kościoła katolickiego w szczególności, sprzeciwia się od dawna bez skutku.

Antyaustryackie i antyklerykalne usposobienie pana Tonia zjednało mu sympatyę wojskowych Rosyan, wiadomość o klasztorze z początku zmroziła, następnie zaś pocią-

gnęła Dominika ku pannie. Pragnąłby ją zatrzymać, pragnąłby obronić. Klasztor zdawał mu się śmiercią i grobem. Niekiedy próbował zastanawiać się nad powodem, który skłania piękną i młodą pannę do tak rozpacznego kroku, wysilał swoją niebogatą wyobraźnię, szukał koniecznie tragedyi.

Widząc, że panna wita go przyjaźnie, przywykła do jego wizyt i polubiła go, a wierząc, iż potrafi odradzić, wpłynąć, przekonać, postanowił poruszyć sprawę klasztoru. Ale odkładał z dnia na dzień. Rzadko zdarzała się sposobność rozmowy sam na sam, powtóre brakło mu odwagi.

Zato panna traktowała otrzaskanego z bitwami oficera, jak dziecko, gdy Dominik przyznawał się chełpliwie do owych grzechów, oraz spokojnem, stanowczem słowem usiłowała przeciwdziałać antyreligijnemu wpływowi pana Tonia...

Dominik nie gniewał się za gderanie, ale i nie poprawiał się. Krzykliwa, skłonna do śmiechu i płaczu, skora do scen zazdrości Wiera Aleksandrówna dokuczała mu była od dawna, a mimo to nie zerwał z nią. Tak jakoś się plotło, że kochając, jak mu się zdawało, pannę Klarę i kochając się w niej oficyalnie, t. j. z sankcyą kolegów, którzy nie pozwalali sobie na żadne żarty z "grabianki" wobec Dominika, równie oficyalnie należał do Wiery Aleksandrówny. Tak jakoś się plotło...

Aż pewnego, wiosennego dnia przyszedł rozkaz wyruszenia. Armie po kilku klęskach cofały się na całej linii. Wojna i jej przebieg nie obchodziły już zgoła Dominika w owej epoce. Szumne hasła wywietrzały mu z głowy. Częste jazdy do pałacu, rozmowy z panem Toniem, zwłaszcza spokojne, ważkie słowa przyszłej zakonnicy oddziałały na niego. Patrzał teraz innemi oczyma. Dominik nie był lotnym, lecz nie miał także uporu. Klęski armii, do której należał, nie wprawiały go tedy w rozpacz; było mu jedynie żal pałacu.

Gdy przyjechał z pożegnaniem, trafił na humory, wielce radosne. Obawiano się maruderów, i wogóle cofających się wojsk, ale i cieszono się szczerze. Tem smutniej uczyniło się Dominikowi na duszy. Nie śmieszyły go opowieści tabetyka, który nie szczędził nikogo, szydził niemiłosiernie zę

zwycięzców i zwyciężonych, ze wszelkich programów i partyj, z równych wielkości, krajowych i zagranicznych, wojskowych i politycznych.

Pożegnano Dominika serdecznie, jakby kogoś blizkiego. Dziadek tradycyjnie nakreślił znak krzyża. Tonio wyjechał z wózkiem na ganek, przyszła zakonnica odprowadziła przez ogród do bramy, gdzie czekały wierzchowce. Przeszli kilka kroków w milczeniu. Dominik niepotrzebnie i niezgrabnie wymachiwał szpicrózgą.

—Miałem zawsze panią prosić—zaczął, czując, że wyraża się dziecinnie.

—O co?

—Dlaczego to pani... czemu?—plątał się i wymachiwał coraz mocniej rózgą.—Powiedział mi pan Tonio... Alboż nie szkoda życia i młodości? A pani żywcem do okropnego grobu...

Zarumienił się, zmieszał się.

Panna stanęła, spojrzała na niego, uśmiechnęła się, ale nie wyniośle, nie surowo, a dobrotliwie.

—Klasztor nie jest grobem—odparła z prostotą—zresztą nie jestem jeszcze pewną powołania.

Jej jasne oczy patrzały przyjaźnie, z siostrzaną serdecznością, gdy mówił. Oficer wówczas odczuł i dzielącą ich duchową przepaść i to, że ona naprawdę, szczerze go lubi. Tem bardziej było mu żal.

—Niech pan pamięta o moich morałach. Dokuczałam panu nieraz... proszę nie narażać się, nie grać.

Zaśmiał się rozbrajająco.

—Będę się za pana modliła. Bardzo był pan dla nas dobry i bardzo pana polubiliśmy, panie Dominiku... Niech pan nie zapomina o Polsce, o Bogu...

—Tak, pani.

Znowu przeszli kilka kroków w milczeniu.

—Dzięki pani i panu Toniowi, zrozumiałem wiele rzeczy—rzekł Dominik—zastanawiałem się temi czasy i przyszło mi na myśl... Obaj bracia pani walczą po tej stronie... macie tu wojsko polskie... otworzyły mi się oczy...

Klara zatrzymała się, a ponieważ odezwała się właśnie kukułka, mogło się zdawać, iż stanęła, by słuchać kukułki.

—Dużo tam u nas na początku rozprawiano o Polsce i obiecywano Polakom—ciągnął dalej niewymowny oficer—a może właśnie tu z wami trzeba dla ojczyzny... Otworzyliście mi oczy—powtórzył Dominik. Zostanę... gotów jestem, gotów byłbym, chociaż wiem—nie dokończył i patrzał pannie prosto w oczy, domagając się odpowiedzi rozstrzygającej.

Przywykł do zwięzłych, stanowczych jej wskazówek, spodziewał się, że ona ucieszy się z jego słów, że poradzi mu z zapałem, ażeby porzucił szeregi nienawistnego jej wojska. Ale panna Klara spuściła zamyśloną głowę, dumała. Wesoło w bezlistnych drzewach gaju, za parkanem kukała kukułka.

Dominik czekał. Ociąganie się panny Klary z odpowiedzią dziwiło go i niepokoiło. Zwiesił głowę, wbił wzrok w ziemię. Niezmiernie, całem sercem chciało mu się zostać po tej tu stronie, zostać w ojczyźnie z panną Klarą, w tym parku wiosennym... Gorąco pragnął pogrzebać przeszłość, odwrócić się, zapomnieć...

Dość miał Wiery Aleksandrówny, kart, grubych wygranych i przegranych, hulanek, sprzeczek, wszystkich bez wyjątku kolegów swoich, pułku, bezładu, nudy. Mierziło go życie, wstrętem przejmowało wspomnienie burd, na przykład owego policzka, który wymierzył był niedawno szulerowi.—Gdyby tu został, zmieniłoby się życie i zmienił się on sam. Stałby się innym, lepszym...

Gdyby mu pozwoliła zostać i pozwoliła kochać... Gdy prosił ją o radę, nie wątpił, że rada wypadnie mu po myśli i sercu. Czekał wyroku. Ale panna Klara dumała jeszcze. Wiedziała, że od słów, które ma powiedzieć, zależy przyszłość, a może i życie zacnego chłopca, którego polubiła...

—Widzi pan, kochany panie Dominiku—rzekła wreszcie Klara— Polacy biją się w obu wojskach, ale któż zgadnie, gdzie ojczyzny wyzwolenie? W tem nasza niedola, że nie wiemy. Niech pan postąpi, jak panu dyktuje serce, sumienie...

Nastała cisza. Kukułka przyleciała z gaju do parku i wesoło wołała, a powtarzała, a przypominała, że przyjdzie niebawem maj...

Dominik nie podnosił na Klarę spojrzenia. Nie takiej oczekiwał odpowiedzi. Ogarnął go wielki smutek, posępny i gorzki, jakiego nie doświadczał dotąd. Postanowił odmienić się, stać się lepszym, postanowił uczynić coś dla ojczyzny, wierzył, że gdyby został tu, gdyby pozwoliła mu kochać, innem byłoby życie...

—Przysięga obowiązuję—ciszej dodała panna.

—Wiem o tem...

Zapadło milczenie. Dominik westchnął. Kukułka przeleciała z drzewa na drzewo, usiadła w pobliżu i znowu kukała, teraz nad samemi ich głowami, teraz już natrętnie, dokuczliwie, gminnie z pustotą.

Dominik westchnął, podniósł głowę i utkwił wzrok w pannie Klarze. Spokojne oczy Klary spoglądały na niego z niewymownym żalem.

—W takim razie do widzenia pani...

Dominik pocałował ją w rękę i szybkiemi kroki podążył za bramę. Parę razy uderzył siebie rózgą po butach.

Wskoczył na konia, z miejsca odjechał galopem. Gdy obejrzał się, panna szła powoli ku pałacowi. W słońcu na tle trawników, rozweselonych cudną zielenią pierwszych dni rozkwitu, w jasnej sukni, zdała się oficerowi wcieleniem szczęścia, które oddalało się od niego—na zawsze...

Zatrzymał się. Żałość zalała serce Dominika. A w tem samem właśnie mgnieniu panna, jak gdyby odgadła jego uczucia, stanęła naraz, zwróciła ku niemu spojrzenie...

Jeszcze mogła skinąć nań, mogła zawołać... Walka toczyła się w Klarze. Wiedziała, iż w jej ręku spoczywał los młodego wojaka... Kto wie, czy nie czeka go tam, dokąd jedzie, śmierć, której może uniknąłby, walcząc po tej tu stronie. Tam, w pułku, za którym podążał, karty, złe życie, wynarodowienie, brak idei; tu, gdyby został, w duszy, nie głębokiej i nie bogatej, ale zacnej zbudziłyby się może szlachetne uczucia religijne i narodowe.

Trudna walka toczyła się w Klarze.

Już miała uczynić ruch ręką...

Dominik trącił konia ostrogą, salutował, wolno ruszył.

Patrzała za nim aż znikł, potem zawróciła w stronę pałacu i szła bardzo powoli, modląc się.

—Co się stanie z nią? Czy spotkają się jeszcze kiedy? Czemu nie pozwoliła mu zostać i kochać? Wszystko uczyniłby dla niej cokolwiekby rozkazała i niema takiej ofiary, którejby nie złożył... Czemu nie pozwoliła?— ze smutkiem zapytywał Dominik. Inaczej poszłoby życie... A teraz?... Ona zamknie się w tym swoim klasztorze... on zaś... jego kto wie?.. a może tam właśnie w dali na wschodzie gwiźnie kula?...

Pójdziemy z okopów na bagnety,
Pójdziemy z okopów na bagnety,
Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje,
Ale nie ty! Ale nie ty!

Przypomniała się wesoła piosenka, którą często nucił wesoły, zabawny pan Tonio-paralityk.

Dominik, nie skłonny i nie przyzwyczajony do posępnych rozmyślań, zajął się wierzchowcem Galapetrem, którego sam ujeżdżał i tresował, a załatwiwszy się z koniem, rozglądał się wśród znanej okolicy.

Dzień, jakkolwiek kwietniowy, był prawie upalny, na drodze zrywał się kurz duszący; zato od łąk, rozkwitłych wczesną trawą, pokropionych złotem kaczeńców, wiało świeżością, od świeżo zoranej skiby, zalatywał krzepiący zapach roli. Chłopi tu i ówdzie zabrali się do pracy.—Jeszcze onegdaj kłaniali się oficerowi, dziś zasłyszawszy o klęsce udawali, że go nie widzą. Nad polami, o których przynależność państwową tyle przelało się krwi, skowronki nuciły swój śpiew wesela.

—Dlaczego ludzie toczą wojne?—Poco było niszczyć ten kraj, przy zdobywaniu, odbierać go gwałtem i dziś niszczyć przy oddawaniu?—W jakim celu zebrały się tu milionowe obce wojska?—Boć polską jest ta ziemia, do Polaków powinna należeć, do tych, którzy ją orzą... O co tedy biją się dwie wrogie armie? Dlaczego codziennie padają od kul, szrapneli i granatów setki i tysiące młodych ludzi, którzy chcą żyć?—zastanawiał się Dominik, lubo wogóle nigdy nie wdawał się w dociekaniu, nie zgłębiał żadnych zagadnień!

I znowu ogarnął go nieprzezwyciężony wstręt do swego

pułku i wojskowości, do śmiechu i scen zazdrości i spazmów Wiery Aleksandrówny, do żartów koleżeńskich, do kart, do tego jakiegoś kłamstwa, którego nie umiał ani uchwycić ani nazwać, które tkwiło może w nim tylko, może wszędzie dokoła.

Dnia tego stronił od kolegów i ciężki smutek tłoczył go przez cały dzień, zwłaszcza zaś wieczorem, gdy przed zachodem padły długie, żałobne cienie, które ponieważ posuwano się z zachodu na wschód, kładły się przed nim ponure i wyprzedzały go.

Wówczas to napisał do brata ostatni swój dłuższy list, w którym wyznawał, iż gdy armia jego zdobywała, on wolałby nie zdobywać, a dziś gdy zmykała, niechby sobie szła, on wolałby zostać w Polsce...

List świadczył o zmianie, został jako droga pamiątka Jakóbowi, który wszakże głębiej i poważniej, niż sam piszący, rozumiał jego treść...

W ciągu lata cofano się takim tempem i tak ustawicznie, iż kursowały żarty, że zimowe leże wypadnie chyba za Uralem. Ale jesienią zatrzymano się na czas dłuższy na Wołyniu w rozbłoconej mieścinie.

Wojsko i wojna znudziły Dominika ostatecznie. Nie zajmowały go już sprawy pułku, intrygi, współzawodnictwo, plotki, nowiny, nie bawiły ani karty, ani kobiety. Z próżniactwa, z nudy ckliwej a nieznośnej jak błoto, zalegające ulicę, nie zaniedbał przecież ani katr, ani kobiet. Tylko na cynika przestał pozować od dawna, tak, jak nie udawał już przesyconego, bo doświadczał często przesytu.

Jakieś flirty znajdowały się jednak zawsze i jakiś romans. Zwykle wszędzie wchodziła w modę jakaś urocza dama, za którą uganiali się wszyscy.

Dokonano takiego odkrycia i na Wołyniu w sąsiedniej "powiatówce". Była to żona telegrafisty, chudego młodzieńca bez zarostu rodem z Ufy, kobieta istotnie ładna niezwykle. Zalecano się do niej. Dominik nie chciał pozostać w tyle i postanowił odebrać ją jednemu z kolegów. Była to rozrywka.

Dowiedziawszy się o imieninach pięknej niewiasty Dominik, pragnąc ubiedz współzawodnika, posłał po kwiaty

i cukierki do Kijowa i wczesnym rankiem wyprawił żołnierza z darami do pani „telegrafiściny". Wkrótce potem wybrał się sam, by otrzymać podziękowanie.

Dzień wrześniowy był piękny. Mgła opadła obfitą rosą, która lśniła na liściach i spływała kroplami, świeciła na bujnych, stratowanych potrawach. Słońce jaśniało śród nieba bez chmur. Dominik, poróżniony z kimś, dwa wieczory z rzędu nie grał w karty, wyspał się setnie i czuł w sobie przypływ tężyzny. Cieszyły go jazda, kołyszący gałop wierzchowca Galapetra, spokrewnionego, czy spowinowaconego z Galtimorem, czem szczególnie szczycił się Dominik, radowały kłus i podnoszenie się w strzemionach, rosa i słońce, i mocne a przedziwne w smaku krzepiące niby wino, powietrze jesieni.

Widok pajęczych pasem, jeszcze bardziej widok mokrych błyszczących nalanych niby miseczki wodą grzybów, przypominał mu dzieciństwo i wyprawy po rydze. Coś z owej radości było w nim dziś, ale nie dlatego, że udał mu się "kawał" z cukierkami. Solenizantka, choć niepospolicie przystojna, oraz jej imieniny nie obchodziły go tak bardzo. Gdy wszakże nie zastał jej w domu mimo wczesnej godziny, a zaraz potem zwiastowano mu, by wracał i stawił się przed zwierzchnością, Dominik złorzeczył i kłął siarczyście, przekonny, iż to któryś z kolegów przez zemste spłatał mu figla.

Mylił się jednakże. Pokazało się, iż przyszedł rozkaz wyruszenia, i że Dominikowi dostało się polecenie, może nawet zaszczytne.

Odtąd zaczęły się marsze i przemarsze, które trwały szereg dni. Było li to przegrupowanie przygotowawcze przed natarciem, czy też cofanie się, nie zdawano sobie w pułku sprawy, najmniej zaś Dominik, mało biegły w strategii.

Któregoś dnia zatrzymano się w miejscowości, którą ludność zwała "Młyniec", gdy podług map powinno było znajdować się tam niejakie „Spasskoje". Dominika w nagrodę, czy też za karę za coś posyłano często na wywiady. Nazajutrz oddział, w którym znajdował się młody Siewierski niespodzianie, jak zdawało się wielu, trafił pod ogień. Inni dowodzili, że właśnie chodziło o wzmocnienie rezerw.

Niezbyt długo trwało niebezpieczeństwo, jeszcze krócej znajdował się w niem Dominik.

Wystarczyło mgnienie i jedna kula.

Było to w rzadkim lesie dębowym, który niegęstym ogniem ostrzeliwała artylerya przeciwnika, domyślając się ukrytych w nim, rezerw. Chmurzyło się, miało się ku wieczorowi, pogodny dzień mógł skończyć się słotą. Zrzadka padały szrapnele, z nielicznych dębów leciały liście, sęki, konary.

W napięciu oczekiwano, co nastąpi: atak czy cofanie się. Stać było najtrudniej. Chwile dłużyły się. Dominik zamało się znał na taktyce, czy strategii, by zdać sobie sprawę, poco posuwano się od kilku dni; ale zbyt długo znajdował się na wojnie, by nie wydawało mu się, iż dowódcy niekiedy popełniają błędy, by nie wyobrażał sobie, iż zaszło nieporozumienie.

Chwile dłużyły się. Dominik czekał wciąż na coś. Odczuwał osamotnienie, jak gdyby znajdował się sam w tym lesie, gdzieś bardzo daleko od czegoś. Od czegoż dzieliła go ta odległość? Od czasu do czasu—pocisk. Padło już kilka żołnierzy.

I naraz zdjęła Dominika nieprzeparta chęć ucieczki poza linię niebezpieczeństwa. Potem przypomniała mu się zabłocona ulica mieściny, drobne szyby okna, drobny deszcz na szybach, brzęk dokuczliwych much, spokój tych godzin, gdy ostatniego wieczora przed wyruszeniem czytał powieść. Przemknęło wspomnienie rannego galopa po rosie w słońcu. Zatęsknił do szyb zadżdżonych, do rozbłoconej uliczki, do spokoju tamtych godzin, do galopa po lśniącej rosą łące. Odnajdzie to wszystko, byle przetrwać.

W tem mgnieniu ugodziła go kula. Ostatni raz ujrzał zachmurzające się niebo, które zdało mu się nizkiem, zamknął oczy, uczynił wysiłek, by je otworzyć, zmąciły się myśli do dna...

Trwało to mgnienie zaledwie. Zabitych i rannych nie zdążono zabrać.

Las dębowy i polana przeszły do rąk przeciwnika, który po kilku dniach oddał ją prawie bez walki.

W komunikatach sztabowych obu stron zaznaczono dnia

tego: "na froncie bez zmian, wzmocnione wywiady, od czasu do czasu strzelanina, próba natarcia nie powiodła się przeciwnikowi".

Gdy odzyskano straconą pozycyę, w miejscu, gdzie stał oddział Dominika, wśród dębów wyrosło kilka mogił. Któryś z kolegów zabitego posłał do Siewierska telegram "Poległ jak bohater"—brzmiało stereotypowo.

Dzięki protekcyi Targowieckiego, Jakób wyjednał wszystkie potrzebne glejty, pozwolenia, paszporty. Podróż trwała względnie długo, lecz poszukiwania zwłok nie zabrały zbyt wiele czasu. Towarzysze pamiętali dokładnie. Odkopano dwie tak zwane bratnie mogiły.

Siewierski stał z kilku kolegami brata o arystokratycznych nazwiskach rosyjskich, patrzał jak uwijali się z łopatami i szpadlami żołnierzyki w szynelach. Cierpiał niewypowiedzianie. Ściskało się i zżymało się w nim serce i dławiło w gardle.

Gdy odkopano ziemię i ujrzał stos ciał, zacisnął szybko powieki. Przyjechał po ciało brata, a pragnął teraz, by go tu nie było, by go nigdzie nie było. Z grobu w pewnej chwili wionął smród.

Z moczarnych dębów spływały od czasu do czasu rdzawe liście, niebiosa były wysokie, pochmurne.

Straszliwy ból gniótł serce Jakóba.

W następnej mogile, trzeciej z rzędu był Dominik. Leżał, nie wiedzieć dlaczego, bez munduru w rozchełstanej na piersi koszuli, poplamionej krwią własną, czy cudzą. Policzek miał także zamazany krwią. Oczy były na wpół przymknięte, tak jak i usta, skrzywione w półśmiech, czy grymas, raczej niełądny, który szpecił miłą, drogą twarz. Brzeg zębów widać było z pod górnej wargi. Młode i piękne ciało bielało jak marmur.

Jakób jęknął zcicha i ukląkł, pochylił głowę. Nie mógł znieść widoku tego. Widział dotąd śmierć w majestacie, na katafalkach, śród świec, w okazałych świątyniach, w trumnie, pod wieńcami; tu stanęła przed nim w ohydzie, w przeraźliwej nagości, w całej okropności, o której wyraził się niegdyś mędrzec-król: "albowiem jednakie jest dokończenie człowieka i bydlęcia".

Złożono Dominika do trumny.

A w kilka tygodni potem w parku siewierskim, na cmentarzu rodzinnym przygotowano głęboki dół. Stała tu piękna w stylu odrodzenia kaplica grobowa, ale Siewierscy od kilku już pokoleń woleli spoczywać w ziemi, nie w lochach. Takie życzenie wypowiedzieli niegdyś dziadkowie, potem rodzice, weszło to w zwyczaj i Jakób wolał mieć brata w cieniu owych dwu najwyższych jodeł.

Na pogrzebie zebrało się mało publiczności, trochę wojskowych, kilka osób z sąsiedztwa: obaj Zapolscy, pan Tomasz, marszałek, panna Gorzelska. Siewierski nie wydrukował ogłoszeń żałobnych,, nie rozesłał zaproszeń. Dość odludny z usposobienia, w bólu dziczał zupełnie. Panna Gorzelska, znając, odgadując jego nie przemówiła ani słowa, w milczeniu ścisnęła rękę, cofnęła się natychmiast, unikała go spojrzeniem. Lecz parę razy, spotkały się ich oczy. Siewierski widział ją wówczas dokładnie i z blizka, ale tak, jak gdyby znajdowała się na innym brzegu do którego on nie miał dostępu.

Oboje jednocześnie odwrócili wzrok.

Siewierski stał obok Janiny z pochyloną głową i patrzał w dół, w głęboki grób. Żółta glina, którą wydobyto z pod warstwy żyznej ziemi siewierskiej, raziła jaskrawością swoją oczy.

Dzień był pochmurny, trochę wietrzny, z lekka mroźny, niebiosa gładkie i chłodne, w powietrzu polatywały niekiedy rzadkie płatki pierwszego śniegu, olbrzymie jodły szumiały półgłosem niewyraźne słowa w swojej niezrozumiałej wzniosłej i wyniosłej mowie.

Cicho odmawiał modlitwy ksiądz Jan... "Ex terra formasti me"...

Trumnę wolno na sznurach spuszczono do dołu. Któryś z fornali, młody chłopiec, jasnowłosy i rumiany zsunął się do mogiły, by dopomódz murarzowi, który tam czekał. Siewierski w jakiejś chwili oderwał oczy od wieka i spojrzał w głąb parku poprzez bezlistne drzewa, daleko w stronę rzeki.

Przypomniało mu się niezmiernie żywo: poranek letni,

kąpiel z Dominikiem, Dominika wesołe gonitwy, Dominika piękne, młodzieńcze ciało.

Szybko pochylił głowę. Stłumił łkanie. Na trumnę ze znanym łoskotem sypały się skrzepłe grudki żółtego piasku.

Nieliczni sąsiedzi odjechali i tylko Targowiecki jako krewny udał się do dworu, za co Siewierski był mu wdzięczny, gdyż objął rolę gospodarza i zabawiał wojskowych, których podejmowano obiadem—stypa

XXIV

O szansie Tomasza Targowieckiego przyzwyczajono się tyle opowiadać, że widziano ją nawet tam, gdzie jej nie było. Czy kupował i parcelował majątki, czy sprzedawał lasy, zakładał fabryki, wydawał za mąż córki i budował kamienice, ludzie zawsze podziwiali jego obrotność oraz szczęści i zazdrościli mu. Życzliwi i nieprzychylni dowodzili, że tam, gdzie inni tracili, on zarabiał, iż dzięki wojnie zdobył dla Imy Hipa Podbielskiego, który byłby ożenił się świetnie na karnawale w Warszawie, czy Krakowie, a dzięki ewakuacyi, wykołatał kilka milionów odszkodowania za zajęte majątki.

Pan Tomasz przezornie nie zaprzeczał. Wolał, by mówiono o nim, że gromadzi złoto, niż przeciwnie, bo kredytu potrzebował stale, teraz zaś bardziej, niż przedtem, gdyż interesa jego w rzeczywistości zaczęły nieco chwiać się. Fortuna pana Tomasza należała do bardzo znacznych, ale obciążało ją zbyt ciężkie, jak na czasy wojny, brzemię długów, dochody zaś z powodu zamknięcia gorzelni i rektyfikacyi, zmniejszyły się do połowy, kilka ostatnich afer zwłaszcza fabryka sucharów, zawiodło, giełda nie dopisywała także.

I naraz, jak przedtem, przesadzano w obliczaniu zysków Targowieckiego, tak teraz zaczęto trąbić o ogromnych stratach. Z powodu złośliwych pogłosek, stan finansowy pogorszył się, a w ślad za tem podnieśli głowe czyhający na pierwszą sposobność, przeciwnicy polityczni, zawistni współ-

zawodnicy, konkurenci, odwróciła się karta, odwróciła się opinia—i przyszły na pana Tomasza istotnie trudne terminy.

Mędrcy wszystkich narodów i czasów od dawna stwierdzili, że bieda nigdy nie chodzi pojedynczo. Dramat Tereski, która mimo religii, rozumu, rezygnacyi, nie chciała na razie towarzyszyć mężowi do Moskwy, czy Petrogradu, był zapowiedzaną niepomyślnego w życiu okresu; potem wobec porażki na froncie, zaczęto Targowieckiemu wytykać jego telegram, oraz jego "tryumf lwowski"; wydobyto z archiwum afery, w których pan Tomasz był w porządku w obliczu kodeksu, lecz nie w zupełnej zgodzie ze skrupulatnem sumieniem i sądem powiatowych Katonów; odegrzano wśród sfer inteligencyi miejskiej wystygłe oburzenie z powodu fikcyjnego nabycia Chocimowa, które to oburzenie zagłuszył przed miesiącem huk dział.

Pan Tomasz nie uległ. Rozpoczął walkę. Nie przestawał jeździć, zajmować się wielką polityką w obu "stolicach", oraz mniejszą gubernialną, wygłaszał mowy, przewodniczył, rzucał się w coraz to nowe spekulacye, wyrywał mimo zastoju jemu tylko wiadomemi sposobami z banków duże pożyczki, zaciągał długi, by opłacać wierzycieli, by nazajutrz znowu robić długi. A gdy wracał z wycieczki politycznej, czy finansowej, natychmiast wydawał śniadanie, obiad lub kolacyę, na które zapraszał niechętnych, szkodliwych i przyjaznych, ściągając tych i tamtych uprzejmością, serdecznością, wyborną kuchnią, jeszcze lepszem winem.

Łatał budżet i łatał opinię. Udawało się jeszcze. Targowieccy mieli najlepszy w mieście apartament, przewieźli ze wsi wszystkie piękne sprzęty, zabrali służbę, konie, powozy. Codziennie salon ich zapełniał się gwarem gości.

Ale zjadliwy pająk niepowodzenia snuł dalej swoją niewidzialną sieć.

Naraz rozeszła się wiadomość, że Hip Podbielski zerwał z Imą. Ludzie zdumiewali się dawniej, że zaręczył się, dziś dziwili się, że zerwał. Sam Podbielski nie wiedział wówczas, dlaczego dał się złapać, tak samo teraz niekoniecznie zdawał sobie sprawę, czemu nie dotrwał do końca. Nie chodziło mu naprawdę ani o Imę ani o posag. Pogłoski, coraz bardziej

uporczywe o złych interesach, głównie zaś niepochlebna opinia, wywarły wpływ na postanowienie Hipa i jego matki.

Dla Targowieckiech był to cios. Pan Tomasz kochał córkę, wiedział, iż ona takiej partyi już nie znajdzie, obawiał się, że, nie będąc młodą, za mąż wogóle nie pójdzie. Upokorzenie wobec świata bolało.

Następnie samowola, uparta i dziecinna Nell, zaręczyła się w szpitalu z jakimś oficerem rosyjskim, co dało się zresztą odrobić. Następnie równie niespodzianie, pewnego wieczora przyszedł atak sercowy, który ani trwał długo, ani był gwałtowny, lecz przeraził Targowieckiego. Choroba po polsku nosiła nazwę dusznicy bolesnej; pan Tomasz wolałby nie dowiedzieć się nazwy od lekarza, purysty językowego, zwłaszcza nie zapoznawać się z samą chorobą.

Zrozumiał bowiem, do czego zresztą, nie chciał przynać się, nawet przed samym sobą, że to jest początek końca, a utwierdził go pośrednio w tem mniemaniu, odznaczający się oprócz dbałości o czystość mowy pesymizmem i oględnością doktór, w którego oględne słowa z trwogą wsłuchiwał się, w którego rozumne oczy z niepokojem i prośbą o pociechę wpatrywał się.

Targowiecki po raz pierwszy w życiu poznał i dojrzał śmierć własną—i natychmiast wypędził za drzwi, na zawsze myśl o śmierci. Tagowiecki należał do ludzi rozumnych. I w tym wypadku nie chciał poddać się. Przeszło miesiąc trawała walka, która czeka prędzej albo później każdego z ludzi w pewnym okresie, walka, jedna z najcięższych pośród krótkich lat przebywania człowieka na ziemi.

Pan Tomasz nie zawsze zdawał sobie sprawę, że odbywa się walka. Rozdeptał był przecież i zabił jak żmiję, gdy tylko wypełzła z ukrycia, wiedzę o śmierci, a jednak toczył go czerw i toczyła się walka. W niewiadomej głębi kryła się przeraźliwa myśl o własnej śmierci, i rodził się z niej lęk, wynikało zniechęcenie.

Pan Tomasz wychudł i zbladł, popadł w apatyę, zaprzestał jazd i przyjęć, zaniedbał interesa, nie zajmował się polityką, w gazetach szukał wyłącznie zapowiedzi pokoju, bo chodziło mu o Nauheim, zadurzał się czytaniem powieści, unikał samotności, coraz to wołał do siebie Imę, która oka-

zała się niezrównaną pielęgniarką i najlepszą z córek, unikał żony, gdyż zdawało mu się, iż zrównoważona. Anielcia pogodziła się już ze wdowieństwem, stronił od Tereski z obawy, że ta przypomni mu obowiązki religijne, t. j. potrzebę wyspowiadania się, a w części także dlatego, iż Tereska, jak przypuszczał, potępiała go za Chocimów, za spekulacye.

Ale Targowiecki należał do ludzi rozumnych i praktycznych. Po miesiącu zmagania się zwyciężył gorszą od choroby i zgonu myśl o śmierci i zwyciężył, nie dzięki religii lub filozofii, lecz chłopskim rozsądkiem.

"Trzeba nerwy wziąć w kluby—powiedział sobie pan Tomasz—nie wolno mi niszczyć resztek zdrowia zgryzotą. Głupio jest psuć ostatnie lata życia niepokojem o życie, jestem potrzebny rodzinie... są obowiązki"... Głupio—zły interes, jakiem jest starość i śmierć, utrudniać sobie przez strach śmierci.

Powtarzał to wprawdzie od początku, lecz pewnego dnia te wnioski odniosły skutek. Dwie okoliczności wywarły tu dobroczynny wpływ. Przedewszystkiem śmierć Józia Obolskiego oddziałała na pana Tomasza otrzeźwiająco.

Józio Obolski był Targowieckiego rówieśnikiem, często wspólnikiem, jeszcze częściej współzawodnikiem. Pan Tomasz lubił Obolskiemu sprzątać z przed nosa złote interesa, cieszył się, gdy Józiowi, bardzo bogatemu resztą powinęła się gdzieś noga, ale często też rywalowi pomagał. To samo Obolski. Obaj panowie lubili się. Obolski chorował na serce niedługo i umarł prawie nagle. Wiadomość ta w pierwszej chwili przeraziła Targowieckiego, następnie zaś stała się bodźcem, uderzeniem ostrogą, hasłem ostrzegawczem.

Ponieważ rówieśnik i współzawodnik umarł, pan Tomasz postanowił okazać się roztropniejszym, bardziej przebiegłym i szczęśliwym i żyć jeszcze.

"Józio kopertnął się, a ja nie dam się"—nie zrobię tego głupstwa—myślał pan Tomasz, jak gdyby Obolski popełnił jakiś błąd, umarł z własnej winy. I pan Tomasz czuł, iż gromadzi się w nim dawna energia.

Silniejsze niż niespodziany zgon kolegi wrażenie wywarła na panu Tomaszu pewna rozmowa z ulubioną córką.

Którejś nocy, gdy Targowiecki, nie mogąc usnąć, obracał się na łóżku, to zapalał, to gasił światło, próbował czytać i znowu odkładał książkę, Ima, zawsze dyskretnie czuwająca w pobliżu, cicho wsunęła się do pokoju, usiadła przy ojcu. Już sama obecność jej działała na chorego kojąco. Nie pocieszała go w sposób podniosły, jak Tereska, ani usiłowała trafić mu do rozsądku, jak żona, nie dotykała nawet nigdy bolączki, t. j. tematu choroby; umiała tylko właściwie spojrzeć, uśmiechnąć się i zażartować w porę "rozgadać" ojca, który, gdy wpadł w zapał, zapominał o nękających go zmorach. Panu Targowieckiemu zdawało się zawsze, że dopokąd Ima jest z nim, nie stanie mu się nic złego.

Ale tej nocy pan Tomasz, wyjątkowo udręczony czy rostrojony, nie odzyskał spokoju. Wdał się wprawdzie, umiejętnie przez córkę zachęcony w jakieś wspomnienie czy opowiadania, lecz był roztargniony, popadał w zamyślenia, mówił blado.

Widziała to Ima. I w jakiejś chwili, gdy nastało milczenie, zwróciła się do ojca z prośbą, by nie gryzł się stanem interesów, bo ani jemu, ani im, dzieciom, nie koniecznie potrzebne są fabryki, lasy i kapitały, zdrowie zaś jego jest koniecznie potrzebne.

Tak mówiła mniej więcej. Słowa nie były wyszukane, ani zawarta w nich rada niezwykła. Gdyby kto inny odezwał się z nią, pan Tomasz, zniecierpliwiłby się, albo zasępił, szukając między wierszami ukrytego znaczenia. Imę przywołał, ujął palcami jak dziecko pod brodę, zajrzał w oczy, pocałował w czoło, uśmiechnął się. Potem Ima odliczyła mu jakieś krople.

—Ale Chocimów papa kupił dla siebie i nie na parcelacyę? nie dla żydów?—spytała nagle.

—Jeśli nabywam coś, to nie dla innych... Nie marnowałem dotąd—odparł ojciec lakonicznie.

Zlekka pod oczami zaróżowiły mu się policzki. Czuł, że córka patrzy mu uważnie w twarz, że spostrzegła rumieniec, że odgadła kłamstwo—i z powodu wzroku córki, kłamstwa i rumieńca, pan Tomesz zapłonił się gorąco, po uszy, jak uczniak ze wstydu.

By pokryć zmieszanie i upozorować je, począł prędko coś mówić i narzekać na ból głowy, Ima zaś, by udać, że nic nie zauważyła, otworzyła szufladę, wydobyła z niej lekarstwo, szukała środka na ból głowy i także narzekała na coś —może na własny nieporządek.

Na dobranoc wzięła rękę ojca, pocałowała ją kilka razy. Pan Tomasz zrozumiał znaczenie tej pieszczoty i wzruszył się.

Nie mógł usnąć. Leżał cicho, żeby Ima, która czuwała zapewne, nie przychodziła więcej—i rozmyślał.

Zapytanie ukochanej córki otworzyło mu oczy.

Jeśli cicha, nieśmiała, niepraktyczna Ima odważyła się poruszyć sprawę długów i Chocimowa, głośno musiało być na świecie o Tomasza Targowieckiego bankructwie i ładne zapewne rozpełzały się wśród przyjaciół i wrogów oszczerstwa.

Pan Tomasz kochał rodzinę, dbał o fortunę, dbał o opinię. Postanowił działać. Leżał cicho i dumał. Wysilał obrotny umysł, od czasu do czasu na wspomnienie pocałunku Imy, nabiegły mu do ócz łzy rozrzewnienia.

Nazajutrz otrząsnął się ze zniechęcenia, wstał jak gdyby nigdy nie chorował. Zabrał się do pracy z dawną energią, obiecawszy lekarzowi i sobie, iż zastosuje się do przepisów hygieny. Noce w wagonie, papierosy i wino, silne "emocye" (i doktór i Targowiecki wiedzieli, co się ukrywa pod terminem "silne emocye") miały być wykluczone.

Pan Tomasz wyjechał, sprzedał korzystnie jakieś w Rosyi majątki, sypnął hojną ręką na cele publiczne, wystąpił na zebraniach, brał w objęcia bracię szlachtę—i jeszcze raz umilkły złe gawędy, a ludzie, rodzina i sam pan Tomasz uwierzyli, iż Tomasz Targowiecki i nie zbankrutuje i nie umrze.

Aż przyszedł drugi atak, o wiele słabszy, który Targowiecki zniósł znacznie spokojniej, choć przeraził się niemało i rozpoczęła się w dzienniku kampania oszczercza.

Pan Tomasz zrozumiał, iż należy przedsięwziąć nowe środki. Przedewszystkiem zaprosił na naradę obu zięciów, lubo z góry był przekonany, iż to do niczego nie doprowadzi. Napomknął im o przesileniu ekonomicznem, pilnie bacząc,

by nie powiedzieć za wiele, napomknął o chorobie, jeszcze pilniej wystrzegając się, by nie dowiedzieć się od nich za wiele. Gdy mówił o statnie zdrowia, nie patrzał im zupełnie w twarz, a czuł, że obaj zięciowie, zwłaszcza Józio od dawna podpisali wyrok śmierci; w końcu nadmienił, iż pragnąłby, żeby mu dopomogli.

Obaj wymówili się. Szczerbiowski powołał się na swoje liczne zajęcia polityczne, Zawilski na brak zdolności administracyjnych, w czem zresztą nie mylił się. Targowiecki dał ełnomocnictwo jednemu ze znanych w mieście adwokatów, żeby ten zastąpił go w jazdach i wezwał Siewierskiego, który jakkolwiek nie bywał nigdzie, odwiedził go parę razy podczas choroby.

Pomysł wykorzystania kuzyna żony, od dawna nie dawał spać bystremu panu Tomaszowi. Napastował Jakóba już przed wojną; dziś zamierzał upolować za jednym zachodem dwa zające. Chciał wyzyskać duże kapitały Siewierskiego, oraz jego nieposzlakowaną opinię, a, by zdobyć jedno i drugie, miał kusić, czy zachęcić Chocimowem.

Ludzie, bardzo przebiegli, jak pan Tomasz, bywają nieraz naiwni, ludzie ostrożni i doświadczeni stają się łatwowiernymi w stosunku do włanych projektów tem więcej, im więcej o nie dbają. Pan Tomasz liczył na wymowę swoją, na apatyę Siewierskiego, złamanego po stracie brata, na jego dobre serce, na swoją szansę. I snuł najświetniejsze kalkulacye finansowe, układał sobie w głowie, jak najskuteczniej zażyć sąsiada, czekał niecierpliwie.

Siewierski stawił się natychmiast, trochę zdziwiony niezwykle serdecznym tonem kartki Targowieckiego. Odgadł, że coś się tu święci.

Pan Tomasz, ubrany w pajama, bo z powodu kaszlu nie wychodził z pokoju, przywitał go przesadnie czule, jako zbawcę, przyjaciela, krewnego i sąsiada.

Mimo tej poczwórnej roli, Jakób na wstępie kategorycznie odmówił. Nie poskutkowały wymowa, różne zręcznie ukartowane plany Targowieckiego. Widząc szczere strapienie chorego, Siewierski podsunął projekt poszukania w sąsiedztwie kogoś, któryby zajął się interesami Targowca. Wymienił kilka nazwisk.

Pan Tomasz naraz wysunął kandydaturę Aleksandra Zapolskiego. Pomysł ten zdał się panu Tomaszowi deską ratunku. Targowiecki dziwił się, że nie wpadł nań wcześniej. Mówili o tem dość obszernie. Siewierski obiecał swoje pośrednictwo, zastrzegając z góry, że zgoda młodego Zapolskiego zapewne zależeć będzie od losów Chocimowa, gdyż dla uratowania dóbr hetmańskich Aleksander, o ile mu wiadomo, gotów jest złożyć wiele w ofierze. Pan Tomasz zaręczył, że jemu także przedewszystkiem chodzi o Chocimów, a przez ten czas rozważał, iż Zapolski ma nieposzlakawaną opinię, trzęsie powiatem i trzęsie Ciecierskim, który posiada bardzo znaczną gotówkę—on zaś ma Chocimów i ma Imę...

Kiedy zmieniono temat rozmowy, Jakób opowiedział o paru znanych mu wypadkach zupełnego wyleczenia się z anginy serca, o czem pan Tomasz zawsze lubił słuchać, zwłaszcza jeśli ktoś mówił tak poważnie, rozumnie i prawdziwie, jak Siewierski. Pan Tomasz wpadł w bardzo dobry humor. Śmiejąc się po dawnemu i gładząc swoją nizko przystrzżoną czuprynę, przytoczył kursujący w stolicy dowcip o przywiezionych z wycieczki zagranicznej przez ministra finansów dwu nowych tańcach, zamiast pieniędzy: "pas d'argent i pas de credit".

Śmiał się i rozkaszlał się i jeszcze śmiał się, poczem pokazał gościowi broszę ze szmaragdem, pochwalił się bardzo dobrym sztychem, jakimś kryształem. Obaj, gospodarz i gość, znali się, choć w nierównym stopniu, na starożytnościach i lubili je. Siewierski zostawił pana Tomasza w bardzo pogodnem usposobieniu, cieszącego się broszą, kryształem i sztychem, pieszczącego różowe nadzieje co do przywabienia Aleksandra i wyszedł śpiesznie, mimo, że zatrzymywali go oboje Szczerbiowscy, wczoraj pojednani, mimo, że nie miał dokąd śpieszyć... Od kilku miesięcy starannie unikał towarzystwa ludzi, zamykał się w mieszkaniu, najchętniej zaś byłby wyjechał gdzieś, gdyby miał dokąd. W Siewiersku zbyt wesoło i wszechwładnie gospodarowali wojskowi. Jakób tęsknił do wsi, do domu, do ciszy, tęsknił do zimy, która, mało śnieżna i mało mroźna tego roku, nie potrafiła w mieście utrzymać swoich surowych, lecz nieskazitelnie czystych rządów.

Miasto dokuczało od dawna Siewierskiemu. Z odrazą patrzał na nie codziennie, zwłaszcza dziś w ohydny dzień odwilży lutowej. Z dachów obficie ściekała woda na ślizkie chodniki, do rynsztoku i na ulicę, mieszając się tam z zaścielającą bruk obrzydliwie smrodliwą ciemną kaszą, zwaną niegdyó śniegiem, lub tworząc kałuże mętnej jak gnojówka cieczy.

Konie chłopskie z trudem ciągnęły szorujące płozami po kamieniach sanie, naładowane drzewem i coraz to ustawały; woźnice okładali znużone szkapy batem; sypały się bolesne cięgi na chude grzebiety. W dorożkach, w tramwaju, na chodnikach widziało się samych prawie wojskowych, co chwila przemknęły samochody wojskowe, opryskujące publiczność wodą i mokrym gnojem.

Ulicą przesuwały się często oddziały żołnierzy bez broni, bez śpiewu, w starych, obdartych szynelach. Wśród żołnierzy przeważali brodacze, mężczyźni w średnim wieku, zapewne ojciowie rodzin, niedawno powołani, źle maszerujący krokiem ociężałym, niezdarnym.

żal było na nich patrzeć. Szli leniwie, posłusznie, apatycznie. Wojna trwała wciąż jeszcze i toczyła się apatycznie w owym okresie, nudna dla czytelników, niemiłosierna dla tych, co cierpieli. Siewierski przyglądał się cuchnącym kałużom, zbrukanym resztkom niepokolanego niegdyś śniegu, zmordowanym a ćwiczonym bezlitośnie wywłokom, które ostatnim wysiłkiem mięśni wydobywały ciężkie sanie z wyboju, obdartusom w szynelach, w ciężkich buciskach, zgarbionym, rzekłbyś, pod przymusowym uniformem, wodzie lejącej się z rynien, posępnemu niebu najszpetniejszego dnia lutowej odwilży i układały się te szczegóły w obraz, tłoczący beznadziejnością.

Błękit pogody, słońce, jakaś wiosna, koniec bezcelowej rzezi i powrót żołnierzy do pracy i rodzin, jakiś ład na świecie i poprawa stosunków, nadejście dnia, w którymby człowiek przestał katować konia i katować bliźniego, państwo przestało dręczyć poddanych, a silne narody przestały uprawiać rzeź i ucisk, to wszystko wydawało się czemś nieprawdopodobnem.

—Przepraszam pana!—usłyszał tak dobrze znany, dawno niesłyszany głos.

Podniósł oczy na pannę Gorzelską.

Stała przed nim nieco zmieszana w swoim zwykłym, męskim, czarnym, pilśniowym kapeluszu, w ubogiem futrze. Ona także wydawała mu się czemś nieprawdopodobnem, jakiemś już tylko wspomnieniem.

Nie widział jej tyle czasu. Dominik i letnie zabawy i tamte dnie szczęścia, zagadały do niego z przeszłości. Spuścił oczy.

—Pan szedł taki zamyślony, że aż musiałam go zaczepić—tłomaczyła się—może pan odprowadzi mnie trochę. Stać pod rynną chyba nie warto. Chciałabym z panem pewną sprawę poruszyć...

I w drodze wytłómaczyła mu swój interes. Chodziło jej o wuja Zapolskiego, który miał dotkliwe zgryzoty, a że krył się z niemi przed rodziną, postanowiła zwrócić się do niego, Siewierskiego wiedząc, iż wuj Zapolski ma zaufanie, szacunek i przyjaźń, wiedząc, że są wypadki, w których ktoś życzliwy więcej może zdziałać, niż najbliżsi, wiedząc, że Siewierski nie odmówi.

Jakób odrzekł, iż domyśla się powodów zmartwienia pana Ignacego, iż dawno zamierzał zaradzić, ale że w ostatnich miesiącach niestety, zbyt zamknął się w sobie—głos mu drgnął—i dlatego odłożył tę sprawę na później, lecz, że gotów dziś, jeśli prezes bawi w mieście.

Panna Kasia dała mu adres wuja, który mieszkał nie w hotelu, lecz przez oszczędność u jakichś znajomych koło dworca kolei.

Rozmowa urwała się, szli w milczeniu. Siewierski wahał się, czy nie pożegnać towarzyszki.

—Szkoda, że pan wycofał się... Robota kipi u nas. Aleksander zdziałał niezmiernie dużo—odezwała się i opowiedziała pokrótce o wszystkiem, czego dokonano w powiecie.

—Szkoda, że pan się wycofał—dodała na końcu—ale nie społecznica przemawia ze mnie.

—Tylko poganka?—pomimo woli niemal zażartował Jakób, nawiązując nić dawnej rozmowy.

—Także nie... Znam życie, cierpiałem.

Siewierski nie wierzył. Sądził i przywykł był myśleć, że ona jest albo obietnicą radości niedościgłej, albo wspomnieniem szczęścia niewiarygodnego. Spojrzał na nią. Prześliczne oczy jej patrzały z dobrocią i żalem.

—Nie przypuszczałem, że pani zna cierpienie i życie—rzekł—ale czy zna pani śmierć?

—Panie! straciłam brata i tylu bliźnich...

—Opłakiwać drogich zmarłych nie znaczy zastanawiać się nad śmiercią.

—Nie należy zastanawiać się. Trzeba i życie i śmierć brać z prostotą i siebie także, mój panie—odcień żartobliwości zabarwił jej oczy i głos.

—To jednak znaczy po pogańsku—zauważył żywo dawnym, urywanym sposobem i głosem, który ucieszył Kasię.

—Pan chce trwać wiecznie, zdziałać coś wielkiego...

—Nie chcę wcale, muszę... Niestety wiem, że trwać będę.

—Może jest zaświat, może go niema, życie zaś jest napewno i na coś zostało nam danem... Nie marnujmy życia!

—Kto wie wszakże, czy jedyną rzeczą, która może ostać się wobec śmierci, nie jest szczęście, jeśli szczęście wogóle istnieje realnie—rzekł niespodzianie dla siebie i dla niej.

—Może... może rodzimy się dla ofiary.. może godzina wzniosłego szczęścia, dzień radości streszczają znaczenie życia. W każdym razie żyć trzeba, nie zaś uprawiać memento mori—mówiła szybko, jakby pragnąc jak najprędzej wypowiedzieć zgromadzone od dawna myśli.—Proszę mi wybaczyć sawanteryę. Nie znoszę terminologii, lecz nieraz trudno... Pan wpada stale w egocentryzm i dlatego zbyt się przejmuje śmiercią, własnym zgonem. Przyszedł pan na świat, przeminie pan... to taka drobna, zwykła rzecz! Wszyscy ludzie taksamo...

Rozmowa i spacer przeciągnęły się. Siewierskiemu nie zawsze chodziło o treść słów, choć znać było, iż ona wypowiada myśli, zgromadzone wyłącznie dla niego podczas długich i częstych o nim dumań.

Szukał czasami jej ócz, by sprawdzić, czy przedziwny ich czar, ich droga nad nim władza należą tylko do wspom-

nień, by odczuwać boleść wspomnienia i radości nieprawdopodobnie dalekiej. Stawały przed nim obrazy przeszłości i zacierały się, posępny obszar żałobnego życia, rozświetlała smuga jasności. Ona zaś ze spojrzenia jego, pełnego blasku, poznała, iż udało się jej wskrzesić go i radowała się.

Spacer przeciągał się. W pewnej chwili panna Kasia pożegnała Siewierskiego i znikła w ohydnej kamienicy z czerwonej cegły za drzwiami, które zatrzasnęły się z hałasem. Siewierski podążył w stronę odległego dworca kolei, gdzie na przedmieściu, w skromnym dworku drewnianym, w dziedzińcu u jakichś znajomych, lokował się pan Ignacy.

Nie było go w domu i spodziewano się go dopiero późno, a nazajutrz wczesnym rankiem miał wyjechać do Tyszowiec. Jakób zostawił swój bilet z prośbą o zawiadomienie, gdyby w projekcie jazdy zaszła zmiana i wolno wracał do siebie.

Dzień lutowy kończył się bez żadnych na nudnem i ponurem niebie blasków. Niewidzialnie zachodziło nieistniejące, rzekłbyś, słońce. Miękkie, ciepłe, zgniłe powietrze truło płuca wyziewami śmietnisk i brudnych podwórzy, na bruku rozkładała się i cuchnęłą wstrętna mieszanina śniegu z gnojem, woda, ściekająca z dachów na drewniane, okryte wyślizganą skorupą lodową chodniki, tworzyła w rynsztokach śmierdzące kałuże. Dokuczały wzrokowi szpetne domy i kamienice, nieznośne szyldy, nękały widok wychudzonych szkap tramwajowych i znużonego ich truchcika, widok ćwiczonych koni, które ciągnęły ciężkie sanie z drwami po gołych kamieniach. Czasami woźnica wpadł w złość i walił zapamiętale biczyskiem, potem polanem, zdjętym z wozu, koń zrywał się i szarpał, potykał się, zdawało się z wysilenia przyklękał, wstawał, ślizgał się.

Siewierski odwracał się, przyśpieszał kroku, a za chwilę natrafiał znowu na obraz podobny. Gwizdały pociągi, które przywoziły rannych, odwoziły zdrowych na plac walki

Z tamtego dworca odjechał niegdyś Dominik. Niby obraz we śnie, przemknęło Siewierskiemu widzenie owych chwil Odezwał się żal, żal za bratem, za młodością brata i własną młodością, za szczęściem Dominika i własnem

szczęściem, za latem, za wszystkiem, co minęło, jak radość, za nią, bo ona należała już także do przeszłości.

Jakób postanowił myśleć tylko o bracie i myśleć o śmierci. Siewierski i czuł głęboko i pamiętał długo, prócz tego uważał za obowiązek żałobę i obcowanie ze śmiercią. Ale raz po raz przypominały mu się to któreś z jej słów dzisiejszych, to spojrzenie ócz przedziwnych, to jakaś jego własna, dawna myśl o niej i o szczęściu.

Począł zastanawiać się.

"Kto wie, czy jedyną rzeczą, która może ostać się wobec śmierci, nie jest szczęście, o ile ono wogóle istnieje"—wyrwało mu się dziś niespodzianie. "Tak, szczęście lub świętość —jedno z dwojga"...—rozważał.

Szedł wolno, rozglądając się z roztargnieniem, a niechęcią wśród brzydoty miasta i dnia. Naraz tknęło go, że przycichł ruch, że ulica prawie opustoszała, a pojawiło się natomiast dużo policyi.

Nie zwrócił na to na razie szczególnej uwagi, Potem spostrzegł trzy skręcające z bocznego zaułka samochody. Znajdował się właśnie w tem miejscu głęboki, pełen brudnej cieczy wybój. Samochody wojskowe zwolniły.

W jednym z nich uderzyła Siewierskiego twarz znana niezmiernie dobrze, choć nieznajoma, twarz mało zajmująca, dość pospolita, apatyczna, znużona, o wejrzeniu obojętnem, może smutnem.

Wzrok Siewierskiego spotkał się z oczami wojskowego. Spojrzeli na siebie mimochodem tak, jak przelotnie patrzą przy pogodnem spotkaniu ludzie, którzy nie widzieli się nigdy i zaraz o sobie zapomną.

Było to oblicze cara Wszechrosyi.

Siewierskiego obleciał zwykły w tych wypadkach zimny strach, czy on nie popełnia zbrodni, przechodząc tak blizko i czy nie zamkną go za to w więzieniu. I przesunęła się natychmiast potem myśl, iż od trafnego w tem mgnieniu strzału zależały może dzieje świata...

Grube, gumowe koła automobilu zanurzyły się głęboko w kałuży wyboju, wzburzyły ją do dna, obryzgały Siewierskiego gnojówką; samochód wstrząsnął się, zachwiał kadłu-

bem cesarza; zakołysała się głowa w barankowej czapie monarchy, trzęsła się czapka—samochód pomknął dalej.

Na ulicy nie było zbiegowiska; nikt nie witał potężnego władcy. Siewierski przypomniał sobie, iż słyszał był od kogoś, zapewne od Targowieckiego, iż car miał w dniu tym bawić kilka godzin incognito u dowódcy frontu. Wiadomość, jak i samo spotkanie, mało zajęły Jakóba, choć widok najpotężniejszego władcy nadawał się do beznadziejności dnia i obrazu. Rozkosz władcy i chwały, którą dotąd uważał za jedną z największych, zdała mu się marną i lichą w onej godzinie...

Siewierski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nędza miasta, ohyda ulicy, nieszczęście kraju, znękanie żołnierzy, niedola ludzi, katowanie koni, zależą od woli, czy braku woli tego jednego człowieka o zmęczonem i znudzonem wejrzeniu, ubranego w szynel wojskowy i wysoką, barankową czapkę. Człowiek zdawał się zwykłym, małym, słabym, ale potęga jego i państwo—niepożytą, jak moc zła.

Jakób nie zapuszczał się w sfery histeryozofii. Brzmiał mu w uszach głos Kasi, brzmiały jej wskrzeszające słowa. Daleko powędrowały myśli...

Wieczorem, w godzinach, które podług z dawna utartego regulaminu mąż i żona spędzali razem, Siewierski opowiedział Janinie o pobycie monarchy, rad z tematu do rozmowy, o co niekiedy bywało trudno, a milczenie, jeśli zapadało, ciężyło zwykle obojgu. Napomknął także Janinie, iż wybiera się do Siewierska.

Żona przyklasnęła projektowi, zachęcała, by wrócił do zajęć społecznych tam, czy też wynalazł je sobie tu.

—Nie znoszę miasta—zauważył Jakób.

—W takim razie mógłbyś tam—spokojnie namawiała Janina—dojeżdżałbyś do nas od czasu do czasu.

Siewierski podniósł na nią wzrok. Ale twarz żony była jak zwykle nieruchoma, za szkłami kryły się oczy, patrzące bezcelowo w przestrzeń.

—Aleksander dokonał podobno nadzwyczajnych rzeczy. Obchodzą się tam bezemnie... Spróbuję wszakże, zobaczę...

—Trzeba koniecznie—nalegała żona.

I wydawało się jej, iż woli raczej dawne udręczenia,

niż widok męża, pogrążonego w żałobie, w zniechęceniu, w martwem milczeniu.

Dalszą rozmowę przerwała wizyta Turskiego, powieściopisarza, który miał zawsze dużo spraw do omówienia z Janiną, odwiedzał ją często, siedział długo i Siewierskiego czasami nudził, czasami niecierpliwił. Sceptyczną zaś Janinę wprawiał w zdumienie erudycyą, wymową, wszechstronnością, uczynnością, pracą, słowem, wszystkiemi zaletami.

Rozmowa przeciągnęła się do późna.

Nazajutrz Siewierski wyjechał wczesnym rankiem i spotkał się w wagonie tak, jak ułożył był sobie, z prezesem Zapolskim. Przechadzając się na stacyi podczas długiego postoju pociągu, zabrał się do interesu, który wobec łączącego ich stosunku przyjaźni, nie przedstawiał trudności.

Zdziwiło przecież Siewierskiego przerażenie, które odmalowało się na zacnej twarzy pana Ignacego, gdy tylko on poruszył sprawy pieniężne. Zapolski cofnął się pomimo woli, jak gdyby przygotowywał się do ucieczki, odwrócił się bokiem, spuścił głowę, mierzył wzrokiem poczerniały śnieg, nazmiatany przez zimę do kupy, która teraz w ciepłej mgle tajała.

Siewierski wspomniał o przesileniu ekonomicznem, dotknął utrudnień kredytowych, w końcu zaofiarował pożyczkę z kapitałów, z któremi wobec sprzedaży Chocimowa "nie wiedział co robić", które wolałby umieścić prywatnie.

Pan Ignacy odsunął się zupełnie i stał chwilę w milczeniu, badając, rzekłbyś zaspę śniegową, w której tkwiła łopata. Jakób patrzał to na topniejący wał śniegu, to na barczystą postać prezesa w starym, zacnym, szlacheckim futrze elkowym, które stanowczo należało dać pokryć nowem suknem.

Zdało mu się, że jakby szlochanie wstrząsnęło panem Ignacym. Ale ten zwrócił się już ku niemu, wyciągnął rękę. Miał łzy w oczach. Dziękował krótko, z prostotą, potem opowiadał, przechadzając się wzdłuż pociągu od kupu śniegu do pomalowanych na zielono beczek tam i z powrotem, o trosce, która go dręczyła, o zgryzotach, które nie dawały mu spać w przeciągu tylu miesięcy.

Suma długu nie była dużą, wyrosła znacznie podczas

wojny. Dochody zeszczuplały, wydatki powiększyły się, wypadło pożyczać na życie, na opłacenie procentów i znowu na opłacenie odsetek do procentów. Pieniądze, by rzecz utrzymać w sekrecie, brało się u lichwiarzy.

Prezes usprawiedliwiał się i przyznawał się do winy, tłomaczył się, usprawiedliwiał Aleksandra, który jest trochę twardy, którego on obawiał się więcej niż Babetki, znużonej wiecznem frasowaniem się... żyło się może nieco nad stan... Trudno było zamknąć dom, zwłaszcza, że ludzie zjeżdżali łaskawie. Zajęcia, jazdy odrywały od gospodarstwa... w gospodarstwie popełniało się zapewne błędy. Księgi rachunkowe szwankowały, patrzało się czasami przez palce na nadużycia. Alboż są ludzie bez wad? Zaufało się nieraz zbytnio temu lub owemu... Aleksander wytykał, ostrzegał... Należało zapewne zmienić tryb życia, oddalić Szparkowskiego, zapobiedz.... należało albo wycofać się z działalności publicznej, albo zarząd powierzyć Aleksandrowi. Ale gdy kto urodził się rolnikiem... powtóre żal właśnie było tych wszystkich, których Aleksander wyprawiłby na cztery wiatry, którzy wrośli w dwór, do których się przywykło. Aleksander jest bezwzględny... żadnych ustępstw, ani półśrodków... albo całą władzę, albo zupełnie nic... A długi rosły. Wówczas to zarysowała się, jako jedyne wyjście, potrzeba sprzedaży Romejek, złotego jabłka, folwarku najbardziej oddalonego od fundum... Coby na to powiedział Aleksander? I żeby uniknąć katastrofy, zaciągało się pożyczkę na jeszcze gorszych warunkach...

—Padałeś tonącemu rękę.

Zapolski rozrzewnił się i znowu dziękował.

Siewierski, który nie zaznał biedy materyalnej, któremu nic nie stanowiło podjęcie z banku stu tysięcy rubli, nie umiał prawie pojąć ani rozrzewnienia, ani wdzięczności. Z przyjemnością tylko patrzał w rozjaśnione oblicze zacnego prezesa, na jego krzepką i jakby naraz odmłodzoną postać, taką swojską, w szlachetnej, nieco zniszczonej szubie elkowej, i żałował, że pozwolił najmilszemu sąsiadowi przez tyle czasu dręczyć się i szamotać się w pajęczynie długów lichwiarskich i wymawiał sobie po cichu zasklepienie się w za-

łobie, a prezesowi głośno, czemu z prostotą nie zwrócił się do niego przedtem.

—Bałem się rozgłosu—tłomaczył się tem.—Wiem, że łączy ciebie z Aleksandrem zażyłość—dodał ciszej—powtóre nie sądziłem, by dziś, podczas wojny, ktoś zgodził się na tak ogromną sumę...

Jakób uśmiechnął się z poczciwej naiwności pana Ignacego, który 140 tysięcy uważał za ogromne bogactwo, i przyszła mu gorzka myśl, bolesne przypomnienie, iż on teraz bez Dominika ma gotówki za wiele, o wiele za dużo.

—Panie prezesie, nie posiadam kapitałów bajońskich, ale wiedział pan przecież..

—Przyznam się tobie, iż cudzych fortun nie liczę nigdy.

—Wolał pan zajmować się pracą użyteczną.

—Gdybyż ta praca była naprawdę użyteczną!—skromnie powątpiewał pan Ignacy. Lecz znać było, że tym razem nie jest zupełnie szczerym. Znać było, że on właśnie nie wątpi o doniosłości swoich zajęć i roli w społeczństwie.

I jaśniała mu zacna sarmacka twarz, prawie piękna jeszcze, w wysokiej czapce z czarnych karakułów, w obrzeżeniu futrzanego kołnierza.

—Nie miał pan wiadomości o tamtym... o Stefusiu?—cicho spytał Siewierski.

Pan Ignacy westchnął.

—Nie miałem—rzekł krótko.

Przez chwilę dumał smutnie.

Ale wkrótce radość, spowodowana niespodzianą pomocą, przemogła niepokój.

—Może też Bóg da... ufam jakoś, zwłaszcza teraz... może Bóg da... jego to schedą miały być zawsze Romejki.

XXV.

Gdy pan Ignacy wysiadł z sań przed dworem tyszowskim, zdawało się jemu samemu, że ubyło mu naraz lat, a witającej go rodzinie, iż został zawarty pokój, że ogłoszono niepodległość Polski, że był list od Stefusia, słowem, że

zaszło coś niezwykłego a pomyślnego. Zapolski wszakże nie mógł opowiedzieć o przyczynie swego rozradowania, bo nie mówił dawniej o zgryzotach. Zresztą żona nie ucieszyłaby się jak on, lecz przeraziłaby się cyfrą długu.

Poco miał psuć sobie dobry w życiu dzień, a ją trapić napróżno?—Albож nie zaznała dość zmartwień dawniej, przez długie lata, a zwłaszcza dziś, gdy opłakiwała dwu synów: żywego Piotrusia i młodszego, jak gdyby go już nie było.

Pan Ignacy miał dla żony dużo tkliwego przywiązania, wielką cześć, a prócz tego bał się jej nieco, lubo inaczej, niż Aleksandra, nie w tym stopniu i z innych powodów.

Patrząc na zafrasowaną, wiecznie śpieszącą kędyś, szybkim a zmęczonym krokiem, przedwcześnie zestarzałą żonę, pan Ignacy, który rzucił na jej barki cały ciężar gospodarstwa doświadczał niekiedy wyrzutów sumienia, choć wierzył święcie w doniosłość swojej własnej pracy, pani Babetka zaś nie tylko nie starała się upsokoić tych wyrzutów sumienia lecz starała się je pogłębiać i wytykała często mężowi, iż zaniedbywał dom i obowiązki.

Pani Babetka uważała społeczną działalność męża za zbytek, jako jeden z krzyżów życia i jako zabawę; rozumiała, że obaj wujowie jej poszli do powstania i szczyciła się tem, że obaj życie złożyli w ofierze ojczyźnie; rozumiała, iż Stefuś przekradł się tam, gdzie walczono pod sztandarem polskim; ale jazdy męża, jego posiedzenia, prezesostwo, komisye, komitety, ziemstwo, urzędowe i nieurzędowe zaszczyty, sędziwostwo honorowe, nazywała zwykle stratą czasu, zaliczała nawet do rzędu słabostek. Zażyłe zaś, przyjazne lub dyplomatyczne uprzejme stosunki pana Ignacego zurzędnikami, gorszyły ją nieraz, gdyż ona każdemu Rosyaninowi powiedziałaby chętnie: "Idźcie sobie, skądeście przyszli; zostawcie nas samych".

Jeśli prezes Zapolski miał, zdaniem Siewierskiego, program polityczny, obejmujący tylko gubernię lub powiat, pani Babetka, sercem nieprzejednana. Polka programu nie wyznawała żadnego. Na książki, na rozstrząsania, na gazety nie było w jej czynnem życiu wolnej godziny. Pielęgnowanie dziesięciorga dzieci, z których troje umarło, wycho-

wanie dzieci, bielizna, choroby, szycie, kłopoty gospodarstwa, spiżarnia i kuchnia, zabrały młodość, zabrały czas, myśli, zdolność myślenia.

W kruczych włosach pani Babetki nie było dotąd siwizny; zato czarne, pod ciemnym łukiem gęstych energicznych brwi oczy, zgasły od dawna, i patrzały wzrokiem znużonym, zda się, spłakanym. Łzy jednak z tych ócz lały się rzadko tak, jak usta, choć wciąż narzekały, nie skarżyły się nigdy.

Pani Babetka zbyt dużo miała pracy. Ponieważ mąż mieszkał, jak lubiła mu dokuczać, w bryce, w wagonie, w hotelu, ona domu nie opuszczała prawie. Nie poznała dotąd Warszawy, ani Krakowa, trzy razy odbyła pieszą pielgrzymkę do Ostrej Bramy, co 5—6 lat jeździła do sąsiedniego miasta późną jesienią, gdy warzywa były zwiezione, dla przerobienia futer, dla obstałowania lub odświeżenie "solennej" sukni "materyalnej", dla zębów.

A lata biegły, mijały... Nie spostrzegła się, jak postarzała się i ona i Ignacy, jak podrosły dzieci, zwiędły dwie starsze córki, do szkół poszli wnukowie. Przybyło lat i przybyło trosk.

Wieczorem, przed odmówieniem swoich długich pacierzy, wyliczała długą ich—tych bied—litanię mężowi, gdy ten "wpadał jak po ogień" ze swoich ciągłych podróży. I wyliczała, jak zdawało się panu Ignacemu, skwapliwie, by go upokorzyć, czy ukarać za jazdy.

W rachunki, w budżet, w interesa męża pani Babetka nie wtrącała się, gdyż mimo lekceważenia, dla działalności społecznej, miała respekt dla rozumu męskiego i nie przypuszczała po prostu, by mąż mógł źle prowadzić interesa, ale o wszystkiem, co działo się w gospodarstwie, wiedziała dokładnie. Od czasu zaś gdy długi poczęły rosnąć, gospodarstwo szwankowało coraz bardziej.

Im więcej pan Ignacy, szukając deski ratpnku, liczył na dochody, urodzaje i jakieś niespodziewane zyski, tem gorzej było na polu, w oborze, tem częściej przytrafiały się nieprzewidziane straty. I wieczorna litania bied, stawała się coraz dłuższą. To też biedny prezes wracał do domu prawie ze strachem, a lubił wyjeżdżać zeń pod byle pozorem; bo w Tyszowcach ciężyły mu obcowanie ze z rzędzącą żoną

i zatajenie przed nią prawdy, do czego nie przywykł, przebywanie sam na sam ze zgryzotą, której tu nie było czem zagłuszyć, zasłonić, odsunąć, oszukać.

Ale po rozmowie z Siewierskim, pan Ignacy wysiadł z sań rzeźko, żwawym krokiem wszedł po stopniach, donioślym głosem opowiedział nowiny.

—Wybrano cię znowu na jakiego prezesa, żeś taki rozjaśniony—przerwała mu żona trochę złośliwie.

—Nie było żadnych wyborów—odparł przyzwyczajony do ironii i dalej opowiadał.

Po herbacie zabrał się do ksiąg rachunkowych po raz pierwszy od roku, gdyż przedtem bał się czterech działań arytmetycznych, zabrał się do rzeczowej narady z rządcą Szparkowskim, którego także zbywał dotąd, woląc łudzić się.

Dochody zapowiadały się gorzej, niż sądził, cyfra długów była nieco większą niż ta, którą wyznał; przypomniał sobie, iż rok temu wziął 40 tysięcy Kasi Gorzelskiej i nie napisał jej dotąd rewersu; pożyczka, którą zaofiarował Siewierski, nie była darowizną, czegoby zresztą nie przyjął, i znacznem brzemieniem miała obciążyć niezbyt duży jego majątek, już zastawiony w banku; ale wyrwał się z rąk lichwiarzy, uczuł pod stopami zamiast trzęsawiska, mocny grunt, rozwiała się zmora sprzedaży folwarku, umilkł wyrzut sumienia, że zaniedbał bezpośrednio obowiązki, zmarnował fortunę, pokrzywdził dzieci, z których jeden, kaleka nieuleczalny, stał się niezdatnym do pracy.

Zdawało się panu Ignacemu, że ciężar spadł mu z serca, że odrodził się. Cierpliwie słuchał długiej litanii żony, przerywał litanię klęsk gospodarczych żartami, dodawał żonie otuchy.

Nazajutrz od rana donośnie brzmiał w podwórku gospodarskim, w oborach, w stajniach, w stodole głos jego, którego tam dawno już nie słyszano. W długich butach, w kożuchu, opierając się o kij, przechadzał się znowu jak za lepszych czasów, trochę zrzędząc z obowiązku, częściej dobrodusznie żartując.

Pan Ignacy wyśmienicie mówił po białorusku, wyrażał się dosadnie i jędrnie. Ugodzona krotochwilnem słowem jak

patrzałą, niejedna ładna dziewczyna, spuszczała oczy i rumieniła się. Że zaś ładne dziewczęta spuszczały oczy i rumieniły się, szczególnie cieszył się pan Ignacy. I zdawało się zacnemu prezesowi, gdy tak obchodził swoje gospodarstwo, że spełnia obowiązek, że dogląda dobra swego, że postępuje zgodnie z przysłowiem o pańskim oku.

—Może też dłużej posiedzisz tym razem... może nie po ogień wpadłeś—łudziła się pani Babetka, widząc zmianę w mężą.

Cieszyła się wszakże napróżno. Po dwóch dniach Zapolski wyjechał do miasta, dokąd wzywały go liczne zajęcia, na które nie krzywił się przecież, zawsze bowiem ciągnęło go między ludzi i do działalności.

Wyruszył pełen energii mimo kaszlu, bólu głowy, dreszczów, które to objawy ukrywał przed żoną, obawiając się, że nie puści go, on zaś miał różne pilne interesa, a przedewszystkiem najpilniejszy: omówione spotkanie z Siewierskim w banku.

W drodze przeziębił się, poczem przeleżał kilka dni, lecz za krótko, jeszcze raz przeziębił się i położył się do łóżka, nie zaszanował influenzy i znowu wstał zawcześnie, wierząc w siłę odporną organizmu, nie wierząc zaś w lekarstwa i lekarzy—i wrócił do domu po dziesięciu dniach, by nazajutrz poważnie zaniemódz.

Rozwinęło się zapalenie płuc ciężkie i uporczywe. Choroba miała przebiegł zwykły. Lekarz, który należał do rzadkich gości we dworze tyszowskim, nie znalazł nic zatrważającego. Ani panu Ignacemu, ani nikomu z rodziny nie przychodziło na myśl, by mogło być jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

Pan Ignacy odznaczał się dobrem zdrowiem, nie był on jeszcze starcem, wydawał się zaś i sobie i wszystkim—zapewne z powodu ruchliwego życia i wesołego usposobienia—człowiekiem prawie młodym.

Minęły dwa tygodnie. Zamiast spodziewanej poprawy, przyszło pogorszenie ze strony serca, na które zrazu nie zwrócono może uwagi. Upłynął jeszcze tydzień, stan chorego stał się groźnym.

Rozpoczęła się walka krzepkiego organizmu ze śmiercią, walka, trwająca długo. Rodzina nie traciła wszakże nadziei, chory w dalszym ciągu nie przypuszczał niebezpieczeństwa. Znosił ulegle niemoc spełniał przepisy, a drwił stale z kuchni łacińskiej, z niezliczonych flaszek i pudełek z proszkami, z doktora, którego lubił jak wszystkich zresztą, któremu dokuczał, powtarzając niewyszukany dowcip, żeby wysłuchać serce, doktór zatyka sobie uszy, żartował z żałosnych min na twarzy żony, z westchnień córek.

Ten dobry jego humor dodawał i doktorowi i otoczeniu otuchy. Pan Ignacy nie zdawał sobie sprawy, że zawisła nad nim groźba. Konsylium uczyniło wprawdzie na nim niejakie wrażenie, bo w Tyszowcach nie szafowano pieniędzmi na lekarzy, lecz to wrażenie zatarło się po kilku dniach, tem bardziej, iż wymyślano jak zwykle jakieś kłamstwo, by go uspokoić.

I naraz pewien drobiazg przeraził chorego.

Spostrzegł, mianowicie któregoś dnia w recepcie kamforę, a mając mało doświadczenia w medycynie, przypuszczał, iż środek ten stosują tylko w ostateczności. Zaniepokoiły go także zastrzykiwania, które robiono mu dwa razy dziennie.

Zadawał doktorowi niby półkpiące pytanie, czy aby nie jest z nim bardzo źle, i bojaźliwie wyczekiwał odpowiedzi.

Doktór zdobył się wprawdzie na półkpiącą także odpowiedź, lecz nie dość zgrabnie. Pan Ignacy przyjrzał się z kolei otoczeniu—i dostrzegł bynajmniej nie ukrywaną trwogę, której, że nie zauważył dotąd, należało się dziwić.

I wówczas dopiero po raz pierwszy zarysowała się przed chorym śmierć.

Było to nad ranem gdy wszyscy w domu i czuwająca przy ojcu panna Adela, spali jeszcze. Pan Ignacy zbudził się nie pokrzepiony snem, lecz znużony, rozłamany, z bolącą głową, zbudził się z lękkiem, nad którem, by nie przeszkadzać córce, starał się zapanować.

Ale niepokój nie przechodził.

“Nie jest przecież tak źle za mną”—pomyślał pan Ignacy i spróbował podźwignąć się i usiąść, wiedząc, że dopokąd

chory może o własnych siłach dźwignąć się, niema mowy o niebezpieczeństwie.

Nie powiodło mu się. Biedny prezes opadł na poduszki, oblał się potem, zasapał się. Nigdy jeszcze dotąd nie robił tej próby...

Po chwili, zsunąwszy kołdrę, przypatrzył się, o ile mógł widzieć je w leżącej postawie, nogom, swoim przeraźliwie wychudzonym, o przeraźliwie sterczących kolanach, następnie podniósł do góry jedną nogę, i drugą, przyjrzał się wyniszczonym ramionom, zakasawszy rękawa koszuli...

Pożałował ciała swego, niedawno tak pełnego jeszcze sił, pożałował siebie, człowieka, który mógł i powinien był żyć, a wkrótce zgnije w grobie— i łzy napłynęły mu do ócz, lecz nie rozpłakał się.

Wytężył wzrok, ogarnął wzrokiem słabo jedną świecą oświetlony pokój, śpiącą mocno w fotelu córkę; stolik przy łóżku z flaszkami, z proszkami, z kamforą, dostrzegł ubranie, przygotowane parę tygodni temu w okresie polepszenia, gdy zdawało się, iż będzie mógł wstać...

I nie wstał dotąd, ubranie w kratkę, pantofle zostały, tam, gdzie położył je lokaj... Czy jeszcze będzie je nosił kiedy? Łzy stanęły w oczach chorego. Pan Ignacy chciał, aby już był dzień.

Za oknami dniało. Z pod firanek sączyło się światło. Pan Ignacy czekał.

Widok półmrocznego pokoju, do którego powinien był w przeciągu miesiąca przywyknąć, szczególnie zaciężył mu dziś, niepokoiła go cisza domu, nużył blask świecy, trapił równy oddech córki.

Nie zbudził jej, ale niecierpliwie czekał, by zaczął się dzień i zwykły, normalny, taki znany, ranny w domu ruch: przynoszenie drzewa przez chłopaka, palenie w piecu, trzask palących się polan, sprzątanie pokojów, nakrywanie do stołu. Rozwiałaby się może trwoga...

Chory odwrócił się twarzą do ściany, zawieszonej dywanikiem, któremu od tylu lat przyglądał się co rana, co wieczora.

Jakże chyżo zbiegły te lata! I to się zwie życiem? Umykanie lat, z których nie zostaje nic...

Zapolskiemu uczyniło się żal siebie, życia, przeszłości, człowieka wogóle. I to się zwie życiem! Rozpłakałby się, gdyby nie panował nad sobą...

I leżąc tak twarzą do ściany, przyglądając się pobladłym na wyszytym przez matkę dywaniku różom, przyglądał się po raz pierwszy życiu swemu, które zbiegło, śmierci swojej, która stanęła przed nim.

Dotąd, jak dla większości ludzi, śmierć była dlań wyrazem, spotykanym w książkach i gazetach, powtarzanym często, a bez zastanowienia w rozmowie, w pacierzach. Gdy umierał ktoś ze znajomych, pan Ignacy żałował go, zapytywał siebie, czy musi jechać na pogrzeb, oraz czy ma powiedzieć mowę—i zwykle jechał, wygłaszał nieco rozwlekłą mowę, sypał tradycyonalnie trzy grudki ziemi, z cmentarza udawał się na stypę, albo na dworzec kolei, zależnie od okoliczności—o sobie zaś, jako o przyszłym nieboszczyku, nie myślał nigdy.

Czasami drukował nekrologi, zakończone stereotypowo: "oby ta ziemia rodzinna, którą tak ukochał..." A teraz ta ziemia rodzinna nad nim... teraz o nim napiszą, powiedzą...

Pan Ignacy czuł w gardle dławiące go szlochanie. Męczyły go cisza domu, blask świecy, półmrok, ból w skroniach, czekał, by zapalono w piecu i wesoło poczęły trzaskać drwa, by odchylono firankę, by przyniesiono mu herbatę ze śmietanką, z sucharkiem, by życie zwykle, codzienne zasłoniło przed nim zmorę grozy.

Taca ze szklanką herbaty uosabiała normalne warunki. Pan Ignacy takby pragnął wrócić do powszednich warunków. Tymczasem wyrosło przed nim widmo...

"I to się nazywa życiem!—trochę lat, których niema już...."—powtarzał, przypatrując się spłowiałym różom na dywaniku. "A możeby jeszcze dało się pożyć... inni przecież do osiemdziesięciu... ojciec, dziad... stary Turski zaczął dziewiąty krzyżyk... niechbym przynajmniej do końca wojny... doczekać się Polski, powrotu Stefusia...

I przypomniał mu się syn najmłodszy, ulubieniec, jego droga twarz "brzydkiego kaczurka", krzepka, niezgrabna, wysoka postać, ogromne ręce... I zdało mu się przez mgnienie, że gdyby ten syn znajdował się tu, ujął go w mocne

ramiona, uniósł do góry, zabrał z łóżka i wyniósł z pokoju, choroba zostałaby w łóżku i w pokoju, on zaś odzyskałby zdrowie.

Tęsknił do Stefusia. Całem jestestwem, duszą i ciałem pragnął wydobyć się z domu, z tego okropnego pokoju, znaleść się gdzieindziej. Zdawało się panu Ignacemu, iż od tego zależy życie jego... Ach tylko raz jeszcze zobaczyć jarzące w słońcu wartkie ruczaje wiosenne.

Tęsknił do wiosny.

"Może nie tak źle jeszcze? doktór pociesza... o księdzu dotąd nikt jeszcze"... próbował łudzić się chory.

Lecz kamfora, zastrzykiwania, przerażone twarze rodziny, liczne telegramy, częste odwiedziny sąsiadów, osłabienie, straszliwa chudość nóg—wszystkie te spostrzeżenia i fakty, które pan Ignacy po raz pierwszy ogarnął myślą i zestawił, przeważyły szalę.

Pan Ignacy zamknął powieki, leżał bez ruchu, postanowił uspokoić się...

Gdy rozedniało i pani Babetka podniosła firankę, postawiła herbatę, zadała zwykłe pytania, Zapolski nic nie odpowiedział przyglądał się chwilę żonie i córce, która zbliżyła się także.

Ponieważ obie, żona i córka w nocnych, byle jakich strojach, w pantoflach w krótkich spódnicach, lub często w jakimś starym płaszczu jesiennym, wdzianym pośpiesznie na bieliznę, wyglądały pociesznie i szkaradnie, chory dokuczał im nieraz, udając zgorszenie.

—Czemu to nie ubrać się porządnie? Wyglądacie jak "czupiradła"—żartował prawie co rana pan Ignacy, lubiący i żarty i dosadne prowincyonalizmy.

To też, gdy milczał dziś, panie spodziewały się, iż usłyszą zwykły dowcip. Uśmiechały się zawczasu. On zaś rzekł:

—Czyby nie pora, już o księdzu pomyśleć dla mnie?

Miał powiedzieć spokojnie, przygotowywał się do tego od godziny, lecz zawiodły go siły i głos mu się złamał.

Ze znużonych ócz pani Barbary, które nie płakały nigdy, potoczyły się wartkie łzy. Nie zdążyła ich ukryć, nie próbowała zresztą. Panna Adela rozszlochała się głośno i wyszła

z pokoju. Chory zaś przekonał się wówczas, że niema już dla niego nadziei.

—Dobrze Ignasiu. Na kiedy chciałbyś proboszcza? Dziś jeszcze?—spytała pani Barbara, u której po słowach natychmiast następował czyn.

—Możeby dziś—zgodził się chory oszołomiony i struchlały.

Kiedy zwracał się z prośbą o księdza, czynił to tytułem próby. Spodziewał się, że odradzą, zaprzeczą, a może nawet wyśmieją go, by rozprószyć obawy. Tymczasem...

żona pomogła mu usiąść, podtrzymywała jedną ręką, a drugą trzymała szklankę herbaty. Pan Ignacy maczał machinalnie sucharek, jadł machinalnie i pił. Po złej nocy miał niesmak w ustach, a raczej może smak choroby i trwogi.

Skończywszy herbatę, opadł na poduszki, odpoczywał z zamkniętemi oczymi, długą chwilę leżał tak, sapiąc, bo oddech jego stawał się z dniem każdym szybszy i krótszy.

—Posłaliście po proboszcza?—zapytał następnie, tym razem już bez żadnej ukrytej myśli.

Pan Ignacy był wiernym, acz nie nazbyt nabożnym synem kościoła. Dziś, gdy rozwarła się przed nim otchłań, ulgę niosło mu przekonanie, iż kościół przerzuca ponad tą otchłanią pomost, otuchy dodawała myśl, iż pomiędzy śmiercią a nim, Ignacym Zapolskim, stanie miły, rozumny, świątobliwy ksiądz Jan, który tak dokładnie i z zupełną pewnością wie, co czynić należy i co jest tam, po tamtej stronie.

Odezwał się także w chorym dawny, odziedziczony po przodkach staroszlachecki, wobec śmierci hart. I prezes Zapolski odzyskał spokój.

Pokazało się, że proboszcz wczesnym rankiem odjechał był do odległej wsi do konającego, że wróci dopiero po południu. Pan Ignacy cierpliwie czekał. Był bardziej tego dnia milczący. Przed obiadem zażądał, by przyprowadzono mu pastucha "Gaspara".

Zdumiony fornal stanął w progu, zabłocił unurzanemi w gnojówce buciskami podłogę, nie chciał za nic, ze względu właśnie na buty i posadzkę, podejść bliżej. Miętosił czapkę w ręku, osowiałym nieco wzrokiem spoglądał na chorego. Pan Ignacy rozmawiał chwilę po białorusku. Przyjemnym

mu był widok pastucha i miłym zapach nawozu, zapach obory, który wionął nań od kożucha i butów.

Kasper należał do rówieśników dziedzica. Tęgo jeszcze wyglądał bez siwizny, bez łysiny i nie zasapywał się nigdy, czego mu zawsze dawniej zazdrościł jego chlebodawca. I dziś zapytywał go o lata, podziwiał, iż trzyma się dobrze.

—A mnie już niewiele—szepnął.

Chłop milczał, patrząc obojętnie. Nie wzruszyła go niczyja śmierć, bo nie wzruszyłaby własna.

Potem Zapolski przeprosił "Gaspara". W dniu powrotu z miasta prezes, chory już, a nie chcąc poddać się niemocy, usiłując "rozchodzić" chorobę, wybrał się był do gospodarstwa, zaszedł jeszcze do obory i złapał pastucha na garącym uczynku dwu częstych przekroczeń: na paleniu "lulki", czyli fajki i biciu krowy. Rozstrojony długiem niedomaganiom dziedzic, uniósł się wówczas, wyrwał fajkę z ust Gaspara, złajał, "wyszturchał", pchnął, zdzielił kijem, może nawet wygrzmocił porządnie. Teraz przepraszał...

Panna Adela, nie umiejąca panować nad sobą, znowu z głośnym płaczem wybiegła z pokoju. Chory zaś po odejściu pastucha leżał cicho, przeważnie w milczeniu, jak gdyby pogrążony w zadumie. Ale myślał niewiele, myśli zaś były spokojne i zwykłe i dałyby się streścić w kilku słowach: "Bóg dał życie... Bóg urywa je... szkoda!... niechby przynajmniej do końca wojny... bodajby to doczekać Polski wolnej—doczekać Stefusia... szkoda!... taka wola Boża!... trzeba kiedyś umrzeć"...

Czasami chory wspominał coś, czasami majaczyły jakieś spostrzeżenia, jakieś uwagi. Zastanawiał się, iż przeszło rok gryzł się długami, a właśnie w chwili, gdy poprawiły się interesa, wypadło mu wszystko porzucić. "Tem lepiej... mniej będą mieli kłopotu... Aleksander zaradziłby zresztą zawsze... Nie napisał dotąd rewersu Kasi... należy dziś jeszcze napisać... znajdą też tam trochę nieporządku w papierach... mniejsza o to" snuły się myśli.

Potem dłuższy czas nie myślał o niczem. I znowu nawiedzały go jakieś wspomnienia, włóczyły się w głowie obrazy.

Leżał cicho z przymkniętemi oczami i czekał na księdza.

Nie rozrzewniał się już sobą. W jakiejś chwili poprosił, by przyszedł ogolić go ogrodnik, który we dworze niekiedy zastępował fryzyera. Tymczasem w pokoju pani Barbara urządzała ołtarz, zaścielała stół płóciennym obrusem, znosiła wazony, ustawiała lichtarze staroświeckie, najpiękniejsze, te z salonu, i tamte z szafy, lichtarze z żółtemi woskowemi świecami, które wyglądały jak gromnice. Pani Barbara przygotowała także gromnicę. Ale nie wywarło to na chorym wrażenia.

Bez wzruszenia prezes Zapolski odbył spowiedź, potem spokojnie przyjął ostatnie Sakramenta. Wilgotnemi nieco oczami przypatrywał się każdej czynności księdza, rzekłbyś pilnując, by ten nie omylił się. Spokojnie słuchał pięknych słów łacińskich, które w części rozumiał.

Skupione łagodne oblicze księdza Jana, który dokładnie i zupełnie na pewno wie wszystko o śmierci, o Bogu, o przyszłem życiu, pochylało się nad twarzą, nad rękami, nad stopami chorego przy namaszczaniu. Dokoła klęczeli domowi, modlono się, córki zanosiły się od łkania.

Po odjeździe proboszcza, pan Ignacy pobłogosławił każdego z członków rodziny. Była chwila, że popadł w zadumę, milczał kilka mgnień, poczem szepnąwszy imię Stefusia, nakreślił krzyż w powietrzu. Następnie żegnał się ze służbą: z lokajem Piotrem, któremu trzęsły się już ręce od kilku lat i trząsł się półmisek, z kucharzem Frankiem, który miał stałe czerwony nos, upijał się rzetelnie na każde imieniny i nie umiał podać lodów tak, by nie runęły, z furmanem "Cyprukiem", którego trapiły kaszel i zadyszka.

Byli to mniej więcej rówieśnicy chorego i wszyscy służyli mu jeszcze za kawalerskich czasów. Razem rozpoczynali młode życie, razem postarzeli;dziś ten odchodził pierwszy.

Pan Ignacy urządzał niegdyś każdemu z nich huczne weseliska i tańczył na tych weselach, potem trzymał do chrztu dzieci, a gdy dzieci służby szły do szkół, wspomagał w wychowaniu dzieci.

'Dobry pan, sprawiedliwy"—mawiano o nim we dworze, w okolicy... Niektórzy ze sług rozrzewnili się, kobiety, całując rękę chorego, zakapały ją łzami. Ale pan Ignacy zachował spokój.

A gdy spełnił wszystko tak, jak ułożył był sobie, przyzwyczajony przez tyle lat działalności publicznej do pewnej ostentacyi, czy reprezentacyi—zasnął z wyczerpania i wzruszenia na wiele godzin mocnym snem, jakim nie spał już dawno.

Otucha pokrzepiła serca blizkich—na krótko wszakże.

Po kilku dniach zwodniczej poprawy, nastąpiło znowu pogorszenie. Powoli zbliżał się koniec. Chory stawał się z dniem każdym bardziej obojętnym, okazywał więcej znużenia. Ciągłe depesze, częste wizyty sąsiadów, wszelkie objawy zainteresowania społeczeństwa, o które tyle dbał przez całe życie, cieszyły go jeszcze, lecz coraz to mniej. Telegramy, podsuwane mu przez żonę, wymykały się ze zmęczonych rąk, niezawsze przejrzane. Chory uśmiechał się słabo i blado.

XXVI.

Do osób, najczęściej odwiedzających Tyszowce podczas choroby pana Ignacego, należała Ima Targowiecka. Czyniła to z popędu serca, bo lubiła zacnego sąsiada, a także na wyraźne zlecenie ojca, który pragnął nawiązać z Zapolskimi bliższe stosunki. Rzucona mimochodem przez Siewierskiego rada powołania Aleksandra do administracyi, czy spółki, bardzo podobała się nabywcy Chocimowa i nie tyle z powodu zdolności fachowych Aleksandra, ile jego nieposzlakowanej opinii.

Aleksander Zapolski, przed rokiem znany wyłącznie z kilku dzieł rolniczych, nieprzeczytanych przez nikogo, dziś wypłynął, Imię jego było na ustach wszystkich, syn zaczynał zaćmiewać ojca. Tworzyła się dokoła niego partya liczna i silna, którą on rządził despotycznie. Gdyby rozeszło się w kraju, że Zapolski objął interesa Targowieckiego, umilkłyby wszystkie oszczerstwa.

Pan Tomasz pamiętał przykrą scenę spotkania w Galimcach, ale liczył na pośrednictwo Siewierskiego, który, gdyby zechciał, potrafiłby zapewne przekonać kolegę i przyjaciela, i liczył na Chocimów, którego część przy pomocy

kapitałów Ciecierskiego, lub Siewierskiego mogła być jeszcze wyratowaną z rąk żydowskich. Oprócz tego wchodziła w grę Ima, która stała się środkiem i celem.

Pan Tomasz nie tylko oswoił się już z myślą wydania córki za Aleksandra, lecz nawet gorąco życzył sobie tego związku. Przedewszystkiem było mu żal córki, którą pokochał i ocenił należycie dopiero w chorobie. Zdawał sobie sprawę, iż pannę, niezbyt ładną, trochę przywiędłą, nieśmiałą w salonie, a kto wie, niestety, może i niezbyt posażną, czeka zapewne szara i smutna dola staropanieńska, o ile nie dojdzie do skutku małżeństwo z młodym Zapolskim.

Targowiecki widział dokładnie i wszystkie strony ujemne: nieodpowiedniość środowiska, brak fortuny i koligacyi, niedostateczność kultury, zaściankowość czy parafiańszczyznę Zapolskich, ale pocieszał się, iż przyszły zięć nabierze pod wpływem Imy ogłady, roił sobie, że młodą parę osiedli gdzieś daleko od zaścianka, parafii i klanu, wierzył, że dzięki splendorowi Targowieckich zaświeci blaskiem i skromne nazwisko Aleksandra. Powtóre na tle olbrzymiej wojny, niesłychanych przewrotów, uszłoby i ze stanowiska światowego, gdyby Ima Targowiecka wyszła romantycznie za człowieka z rozgłosem, z zasługami.

Pan Tomasz miał, jako aferzysta, wyobraźni niemało i układał już sobie w myśli, jak to on po światowemu okrasi to małżeństwo, będące mimo wszystko mezalasem, Patrząc z miłością na cichą Imę radował się, że nie mogąc już znaleźć dla niej świetnej partyi, stworzy przynajmniej szczęście, i zwierzył się któregoś dnia ze swoim pomysłem żonie, pewny, iż nie napotka w niej zbyt wielkiego oporu. Tymczasem pani Targowiecka właśnie dlatego, że kochała Imę najwięcej z dzieci, sprzeciwiała się stanowczo projektowi męża.

Pani Aniela nazywała męża "un homme a surprise", albo po polsku wyrażała się o nim, że ma swoje "szusy", które znowu w głębi najskrytszej ona, wyrasowana hrabianka Szreńska kładła na karb "targowieczyzny". Do rzędu "szusów" zaliczała projekt wydania ukochanej Imy, niedawno zaręczonej z Podbielskim, za Aleksandra Zapolskiego, którego brat był niegdyś u tegoż Podbielskiego gorzelanym rządcą.

Uprzejma, równa w stosunku do wszystkich, pozbawiona złośliwości i wyniosłości pani Targowiecka nie mogła z tym się pogodzić... Szorstki, nieobyty, twardy, źle wychowany Aleskander był mężem Imy, a jej zięciem! Bolało ją serce za Imę. Nie wierzyła, by Ima naprawdę mogła kochać. I opierała się spokojnie, ale stanowczo, przytaczając te same zawsze dowody, bawiła się pierścionkami swemi jak zwykle podczas każdej dłuższej rozmowy, unikała zaś wzroku męża, by nie ujrzeć w nim oznak zapowiedzi zbliżającej się burzy, czego bała się zawsze, bo najmniejsze podniesienie głosu sprawiało pani Anieli fizyczny ból i przykrość... Pan Tomasz tym razem kilka razy wpadł w gniew, podnosił głos, i obstawał przy swojem...

I w parę godzin potem podczas spaceru z Imą saniami, kiedy Hip Podbielski ukłonił się im z chodnika, rzekł do córki.

—Dobrze się stało, żeśmy Podbielskiemu dali odprawę... Bardzo bogaty, to prawda, ale próżniak. Człowiek z wybitną głową i charakterem znaczy dziś więcej...

Ima zapłoniła się. Od owej nocy, kiedy to pan Tomasz skłamał i zarumienił się, Ima obawiała się nieustannie, by ojciec znowu nie rozminął się z prawdą, i rumieniła się na samo przypuszczenie kłamstwa, rumieniła się za ojca i siebie... Obecnie zaś w dodatku przeczuła, dokąd ojciec zmierza. Targowiecki zapomniał zupełnie o owej przykrej chwili, a spostrzegłszy zmieszanie Imy, zażartował:

—Panienka odgadła, domyśliła się i spłonęła na twarzy. Masz racyę... szczęście przedewszystkiem...

Pan Tomasz z czułością spojrzał na drogą, miłą, słodką córkę, potem w ulicę, zalaną słońcem, na niebo marcowe, wypogodzone nareszcie po wielu tygodniach pochmurnej odwilży, na chodniki, w szyby magazynów, w okna kamienic, na plecy woźnicy, na swoje rosłe kasztany spojrzał z zadowoleniem i otuchą, jak patrzy człowiek, który rad jest z siebie i z życia, który cieszy się z każdej rzeczy i wszystkiego razem.

Pan Tomasz zawsze lubił życie, teraz zaś, po dwu atakach, po długiem zmaganiu się ze zmorą śmierci, cenił je podwójnie. Pan Tomasz zawsze nie lubił ludzi z wyją-

tkiem nudziarzy, dziś zaś wszyscy wydawali mu się miłymi i gotów był pojednać się nawet z wrogami.

Z uprzejmym, albo przyjaznym uśmiechem uchylał wciąż kapelusza, odpowiadając wciąż na ukłony. Znali go wszyscy w tem mieście, nie było bodaj nikogo bardziej popularnego. Chyba stary Zapolski, Ogadywano go trochę temi czasy i czerniono w gazecie, lecz ucichnie huczek, zapomną ludziska i będą go znowu nosić na rękach. Trumna i karawan na szyldzie biura pogrzebowego przypomniały panu Tomaszowi, że Józio Obolski spoczął już w ziemi, a pan Ignacy walczy z groźnem zapaleniem płuc... Pożałował obu, ucieszył się, iż żyje jeszcze, poczem zwrócił się do Imy i rzekł:

Ponieważ dzięki Bogu, polepszyło mi się zdrowie, mogłabyś pojechać do Targowca na jakiś czas dla tych tam twoich szkółek, ochronek, szpitali. A biednym Zapolskim w ich ciężkim strapieniu okaż dużo serca i współczucia, zawieź kochanemu prezesowi życzenie rychłej poprawy.

I we dwa dni potem wysłał córkę w towarzystwie Angielki na wieś.

Ima chętnie i pilnie spełniała zlecenie ojca i jeździła niemal codziennie do Tyszowiec, mimo psującej się sanny, mimo, że srodze narzekała i nudziła się Angielka, która nie miała z kim porozmawiać w Tyszowcach.

Obie stare panny wycałowały Imę, sadzały na kanapie czeczotkowej, zabawiały razem, albo po kolei. Czasami przychodziła panna Gorzelska, czasami na krótko, pani Barbara. Angielka przeglądała zawsze te same albumy, z widokami Krakowa, Szczawnicy, Zakopanego (przywiezione z jedynej w życiu podróży przez Angielkę i Karusię) i poziewała, zarażając ochotą do poziewania innych.

Rozmowa niekleiła się, lecz Ima nie skracała wizyty. Przed zmrokiem przyjeżdżał zwykle Aleksander, udawał się na krótko do ojca, wracał, zbliżał się do Imy, siadał, i wówczas niby na dane hasło wszyscy, nawet miss Breese, która z Adelą i Karusią porozumiewała się jedynie na migi, wychodzili z pokoju.

Na zapytanie Imy o chorego, Aleksander odpowiadał zwykle z westchnieniem, jakby nieco obowiązkowem: "nie-

osobliwie, szkoda ojczyska!" albo machnął ręką, dodając: "biedny stary!" i przechodził natychmiast do innych spraw, zwykle do spraw społecznych. Imę poniekąd dziwiła obojętność syna wobec groźnego stanu ojca, lecz sądziła, że to są jedynie pozory i przypisywała je hartowi, skrytości, opanowaniu.

Wywintną pannę Targowiecką raziło wiele rzeczy w Tyszowcach, w otoczeniu, nawet w zachowaniu się Aleksandra, na przykład niezgrabne żarty, ciężkie dowcipy, któremi ruszał często, kochająca Ima wad nie widziała w tym, którego kochała. Wielbiła rozum jego, pracę i zasługi, podziwiała charakter, zwłaszcza prawość i czystość, poddawała się urokowi żelaznej jego woli. Wbrew wyraźnemu zakazowi skrupulatnego sumienia, porównywała go z ojcem, którego do niedawna wielbiła także, którego teraz nie umiała ani potępić, ani rozgrzeszyć.

Po zajściu w Galimcach, które głęboko ją zraniło i bolało, oskarżyła Aleksandra o pochopność i bezwzględność osądu, a podczas kampanii oszczerczej w prasie i mieście przypuszczała, iż ojciec padł ofiarą czyichś intryg, czy zemsty—dziś niestety wiedziała, iż Aleksander nie omylił się. I cierpiąc z powodu zwichniętej wiary w ojca, tem bardziej potrzebowała oparcia dla skłonnej myśli, ostoi w ciężkiem przesileniu wewnętrznem, Znalazła jedno i drugie.

Obojgu młodym szybko schodził czas. Aleksander opowiadał o robocie oświatowej w powiecie, roztaczał plany na przyszłość, wtajemniczał w projekty swoje, czasami miewał coś w rodzaju wykładu społeczno-politycznego, niekiedy zbaczał może niechcący—na tory walk partyjnych w powiecie i krótkiemi, nieubłaganemi wyrazami, gnębił swoich przeciwników.

Ima bała się, że padnie imię jej ojca... Aleksander nie wymienił nigdy nazwiska, ale prawd gorzkich panna Targowiecka wysłuchała niemało. Imie drżały wówczas usta... Często, zwykle ni stąd, ni zowąd urywała się bez wyraźnego powodu najbardziej zajmująca rozprawa. Aleksander zapominał o pracy oświatowej, o wrogach, o szkodnikach społecznych i przywarach narodowych. Rozpoczynał swoje niezgrabne żarty, śmiał się albo milkł, patrzał naglaco, pilnie

Imie w samą głąb źrenic, to przenikając spojrzeniem do serca i ryjąc w sercu dziewczyny spojrzeniem wolę swoją i prawo, to zanosząc pokornie niemal prośbę jakowąś, choć nie trzeba już było prosić.

W ogniu tego wzroku Ima płoniła się, spuszczała powieki, brała ze stołu album, ten sam, nad którym codziennie poziewała Angielka. Po chwili nawiązywała się rozmowa. Aleksandra głos, zwykle twardy, brzmiał miękko, pieszczotliwie, oczy Imy jaśniały blaskiem.

Szybko schodził czas, dobre godziny szczęścia. Ima nie spostrzegła, że zbliżał się wieczór i zaczynał zapadać zmierzch. Podawano herbatę.—Siostry Aleksandra, obie na wyprzodki, czułością, uściskami, przejrzystemi dwuznacznikami dawały Imie do zrozumienia, że z "otwartemi ramiony" przyjmą ją do rodziny, że uważają ją już jako przyszłą bratową. Zdawało się i Imie, że los jej się rozstrzygnął.

Ale naraz w Aleksandrze zaszła dziwna zmiana. Nie stronił od Imy, ale sposępniał, zesztywniał, zamknął się w sobie. Wyraz twarzy stał się surowym, oczy przestały domagać się natarczywie kochania, prosić o kochanie, jak było dawniej, ukrywał coś. Nie domyślając się powodów, Ima odgadła, że toczy się w nim walka.

Tak też było istotnie. Gdy pewnego wieczora po odjeździe Imy panna Adela z przymileniem i filuternemi śmieszkami zapytała brata, czy prędko też można będzie narzeczonym złożyć życzenia, Aleksander, szorstki wogóle w rodzinie odburknął, iż on o żadnych zaręczynach nie słyszał, i tegoż dnia, wracając do Nowin, w drodze niespodzianie postawił sobie zasadnicze pytanie, które zmąciło mu spokój i szczęście.

Zapytał siebie, żali wolno mu brać żonę z Targowca, to znaczy bądź co bądź wstępować do rodziny, której głowę uważa za szubrawca—i nie umiał na to odpowiedzieć. Pan Tomasz, jeszcze więcej zaś pani Targowiecka zdziwiliby się niemało, gdyby ich kto wtajemniczył w duchową rozterkę młodego Zapolskiego. Oni nie chcieli mu dać córki, on wątpił, czy może ją brać. I wahał się, chociaż kochał, chociaż wiedział, że jest kochanym, i że nie pokocha już innej...

Od owego dnia Aleksander zasmutniał, zamknął się w sobie i oddalił się od Imy. Nużyło go to zmaganie się z sobą. Dotychczas przywykł wszelkie sprawy i dla siebie i dla innych rozstrzygać jednem krótkiem: tak lub nie, bezapelacyjnie; tu odczuwał w sobie połowiczność i chwiejność. Bywały chwile—zwykłe w Tyszowcach w obecności Imy— w których mówił sobie, że nic nie obchodzą go Targowiecki i jego szwindle, że przyszłego teścia nie puści za próg swego domu, że jedno jest życie i jedno kochanie, że on niepotrzebnie zadaje cierpienie sobie, jej... A w kilka godzin później w pustych pokojach nowińskich powtarzał, że albo się ma zasady, albo się ich nie ma, że ustępować nie wolno, że kto się chwieje, ten łacno upaść może, że każdy kompromis jest pierwszym stopniem do podłości. I zdawało mu się iż powinien zdobyć się na męstwo, stłumić głos serca, zerwać, odwrócić się od szczęścia swego.

I nastał okres, niedługi zresztą, w którym pod wpływem tych myśli zaczął jeździć do Tyszowiec w rannych godzinach, by nie spotkać się z Imą... Potem znowu pojechał przed zmrokiem przekonać się, czy zastanie ją jeszcze, czy nie zaprzestała wizyt.

Spędziwszy kilka chwil u "biednego ojczyska", udał się do salonu. Ima siedziała na zwykłem miejscu z Angielką i Adelą. Zaledwie wszedł, zostawiono ich sam na sam. Aleksander usiadł obok Imy, po kilku chwilach milczenia odezwał się z jakiemś pytaniem. Mówił głosem schrypniętym, chrząkał, urywał... Ima wydała mu się niezmiernie bladą i smutną. Dwa razy zadał jej to jakieś zbyteczne, nie zajmujące pytanie, dwa razy nie dosłyszał odpowiedzi i nie śmiał, czy nie chciał podnieść ócz wyżej niż blade wargi Imy...

Wyszedł z pokoju... Wkrótce wyjechał, złorzecząc sobie i potępiając siebie za coś, może za to, że cierpiał sam i dręczył ją, może za słabość charakteru.

Zmęczony niepewnością, której nie znosiła natura jego, podejrzewając siebie o stronniczość, oddał całą sprawę na sąd Siewierskiego zasadniczo, rozumie się, nie zwierzając się z uczuć swoich, nie wymieniając nazwiska. Siewierski, domyśliwszy się w mig, o co chodzi, udał, że nie wie o ni-

czem i także abstrakcyjnie, niby jakąś tezę scholastyczną, czy zagadnienie z teologii moralnej, roztrząsał pytanie, od którego zależała radość istnienia dwojga blizkich mu ludzi.

Nazwał skrupuły Aleksandra przesadnemi, jeśli nie śmiesznemi, zupełnie stanowczo wnioskował i wyrokował, że teścia należy wziąć za nawias. Aleksander zaprzeczał i zbijał twierdzenia Jakóba, w duchu zaś potakiwał i cieszył się, że taki Siewierski, człowiek mądry i nieposzlakowanie prawy, usuwa przed nim przeszkody.

Ale na dnie duszy, twardej dla innych, lecz i dla siebie surowej, było jeszcze wątpienie.

Wówczas Aleksander powiedział sobie, iż należy wreszcie znaleźć jakieś wyjście i że najlepiej jest, ażeby rozstrzygnęła sama Ima.

W tym celu wybrał się nazajutrz o zwykłej porze do Tyszowiec.

Panna Targowiecka była w salonie. I znowu zostawiono ich sam na sam, znowu Aleksander głosem, który brzmiał szorstko, a rwał się, zadał jakieś pytanie, zbyteczne, nie zajmujące.

—Pani wie, że my, to jest ojciec pani i ja—rzekł nagle—że należymy do dwu różnych partyj.

Ima, która od dawna widziała walkę i nie rozumiała jej, ale dzięki intuicyi kobiecej odgadła, z jakiej strony nasunęła się chmura, usłyszawszy imię ojca, drgnęła. Serce poczęło w niej trwożnie kołatać się.

—Walczymy z ojcem pani od dawna... walki partyjne, różnice partyjne dzielą ludzi bardzo poważnie, kopią między ludźmi nieraz przepaść—sucho, krótkiemi, rąbanemi zdaniami tłomaczył Aleksander.

Widział, że album z widokiem Krakowa dygotał między delikatnemi, trzęsącemi się zlekka palcami Imy, podniósł wzrok wyżej, ku wargom jej, zbielałym i drżącym.

—Tak panie— potwierdziły drżące wargi Imy.

—Często w tej samej rodzinie dwaj członkowie, dwaj bracia znajdują się na dwu biegunach.

—Tak panie—coraz ciszej, skwapliwiej i częściej potakiwała Ima, przerywając mu tem potakiwaniem w nadziei, że on odczuje trwogę i ból jej serca i nie wypowie słów, którychby nie można było ani odwołać, ani zapomnieć.

—Dwaj najzawziętsi przeciwnicy parlamentarni—niepotrzebnie tłómaczył wciąż Aleksander, który stawał się coraz bardziej rozwlekłym—po wyjściu z parlamentu spotykają się jak przyjaciele...

—Tak, panie—szepnęła Ima.

—O ile obaj żywią dla siebie szacunek.—Aleksander podniósł, w tem właśnie mgnieniu, rzekłbyś, tknięty wreszcie milczącą jej prośbą, wzrok ku oczom jej i wyczytał w nich tyle męki i trwogi, że urwał w pół zdania.

Wśród twarzy, łagodnej zwykle i cichej, obecnie zbolałej i zlęknionej, pełne blasku oczy skarżyły się bólem i zaklinały, by zaprzestał.

—Sądy ludzkie mylne są, niesprawiedliwe—szepnęła.

—Tak, pani.

—Ludzie potępiają zbyt łatwo i bezwzględnie.

—Tak, pani—potakiwał teraz on, po raz pierwszy w życiu wbrew przekonaniu.

—Któż jest bez wad, bez ułomności i dlatego trzeba być pobłażliwym...

—Tak, pani—zgodził się Aleksander, lubo zwolennik sądów surowych i bezwzględnych, lubo wróg kompromisów.

Nastała cisza. Aleksander przekonał się mimo oporu, że daremną jest walka i uległ, choć nie umiał i nie lubił ulegać. Ima zrozumiała, iż odniosła nad nim zwycięstwo. Milczenie trwało. A podczas milczenia niby owi dwaj, w parlamencie przeciwnicy, za drzwiami zaś parlamentu przyjaciele, o których wspominał Aleksander, spotkały się ich spojrzenia, może bez szacunku, za to pełne kochania i szczęścia.

"A widzi pan, a widzi pan! poco było cierpieć, poco było dręczyć siebie i mnie!?" "A widzi pani! im więcej się kocha, tem więcej się cierpi nieraz!"—mówiły sobie ich oczy...

Gdy panna Karusia przyszła zaprosić ich na herbatę, od pierwszego wejrzenia odgadła, iż zaszło między niemi coś stanowczego i już chciała rzucić się ku Imie, by wziąć ją w objęcia i okryć pocałunkami, ale ulękła się Aleksandra, którego bała się, jak wszyscy zresztą w rodzinie.

Od owego dnia Ima i Aleksander spotykali się znowu codziennie przed zmrokiem w salonie tyszowskim i spędzali krótkie najlepsze w życiu godziny.

Tymczasem stan pana Ignacego pogarszał się z dniem każdym. Im bliższą zaś zdawała się śmierć, tem gwarniej bywało w Tyszowcach. Sąsiedzi zjeżdżali coraz to liczniej i częściej, a nie znające miary i gościnności, panna Adela i Karusia zatrzymywały wszystkich i gwałtem niemal zapraszały na herbatę do suto zastawionego, nakrytego od rana do wieczora stołu.

Jadalnia, chociaż z początku mówiono szeptem, stopniowo napełniała się wrzawą jak dawniej, za dobrych czasów, gdy nie było w domu nieszczęścia. Panna Adela i Karusia powtarzały każdemu z obecnych, "iż tatuś tak się cieszy, że tatusiowi tak przyjemnie".

Chory słysząc gwar rozmów, które lubił niegdyś, zwłaszcza pod własnym dachem, pytał nieraz, kto jest, a gdy żona wymieniła mu nazwiska, chwiał zlekka głową, uśmiechał się blado. Godziny jego były już policzone.

Na pogrzeb prezesa Zapolskiego, mimo wojny i marcowego bezdroża, zjechało moc ludzi, zeszły się tłumy. Wszystkie stany, wszystkie narodowości pragnęły uczcić zmarłego, który za życia potrafił zjednać sympatyę i uznanie ogółu. Kościół nie mógł pomieścić zabranych.

Po mszy kondukt żałobny rozciągnął się długim szlakiem, wolno posuwał się błotnistemi ulicami źle zabrukowanego miasteczka, ku odległemu cmentarzowi. W Siewiersku nigdy jeszcze, nawet podczas procesyi Bożego Ciała nie widziano takiego zbiegowiska i ścisku. Brzmiała przecudna melodya hymnu "Benedictus".

Na wyraźne życzenie nieboszczyka nie było wieńców, samą obitą czarnym aksamitem trumnę nieśli po kolei fornale, służba, chłopi, znajomi. Zimny wiatr północno-zachodni, który czyni niebo chłodnem i bladem, targał chorągwiami, pędził stalowo-sine chmury, zasypujące publiczność krótkotrwałym gradem krup marcowych. Potem wybłyskiwało słońce, rozkosznie grzejące, i błękit zdawał się głębokim, jaśniała pogoda do następnej nawałnicy. Gdy wybłyskiwało to słońce, każdy podnosił ku niemu iczyz wdzięcznością, każdemu zdawało się, iż ono świeci i grzeje jego z osobna i osobliwie, i zadowolenie ogarniało uczestników pogrzebu. Głośniej zaczynały brzmieć rozmowy.

W długim orszaku zapomniano o trumnie, obitej aksamitem, którą niesiono gdzieś tam daleko na przodzie, o zmarłym. Nikt nie słuchał pięknego śpiewu kościelnego.

Siewierski nie znosił t. zw. konwersacyi na pogrzebie, ale wciąż go zaczepiano. Zamieniał tedy parę słów z konieczności to z tym to z owym i wymawiał sobie, iż nie umie skupić się, tyle i tak jakby należało ze względu na śmierć, w której oblicze chciał patrzeć, z której oblicza chciał czytać.

Tymczasem ludzie i grad i promienie słońca rozpraszały uwagę. W jakiejś chwili znalazł się obok panny Kasi. Spostrzegł, iż niesie sporą więź przylaszczek, które i raziły i smuciły się przy żałobnej sukni, w ręce, opiętej czarną rękawiczką i więdły już, spostrzegł także, iż oblicze jej zmizerniało. Dużemi zdały mu się jej oczy, te oczy najdroższe barwy wód dalekich, wód głębokich... Szli w milczeniu.

—Jak żal wuja!—odezwała się z prostotą—mógłby żyć jeszcze, działać...

—Tem bardziej żal, że tak bardzo, podobno, nie chciało mu się umierać....

—A jakby się cieszył, gdyby widział te tłumy dziś—to jest naprawdę manifestacya!

—Stare jak świat, codziennie a straszne...—Był, i niema go!—zauważył Jakób.

Spojrzała na niego bacznie.

—Trzeba brać życie i śmierć z prostotą...—mówiła już.

—To znaczy nie zastanawiać się zupełnie, oszukiwać siebie, zadurzać się—rzekł żywo, głosem urywanym i jakby zniecierpliwionym, który tak znała i lubiła w nim Kasia.

—Bynajmniej... należy życie, śmierć i siebie brać z prostotą—powtarzam. Urodził się pan, umrze kiedyś... to taka zwykła rzecz... wszyscy tak samo i wszystko dokoła. Pan zaś cierpi na megalomanię...I własna śmierć wydaje się panu czemś niesłychanem.

Zapewne... gdy się ma świadomość i zdolność myślenia.

—To też należy świadomie spełniać zadanie istnienia. Pan chciałby dokonać czegoś ogromnego... podbić cesar-

stwo... stworzyć arcydzieło... może wybudować wieżę Eifel —dodała złośliwie.

—To niekoniecznie.

—Tymczasem nasamprzód trzeba mocno uwierzyć nie tylko z zaświat, ale w coś wielkiego na ziemi, na przykład w Polskę niepodległą, a uwierzywszy w coś wielkiego, wystarcza skromnie stanąć w szeregu, wziąć udział w walkach i dążeniach ludzkości, otworzyć serca każdej radości świata i jego pięknu... może wystarcza ptaka głodnego od zagłady wybawić, kwiat usychający podlać wodą...

—Może...

—A gdy zdarzy się radość, ucieszyć nią serce.

—I zczeznąć, jak gdyby się nigdy nie istniało—upierał się Siewierski, ale nieszczerze, rzekłbyś, z obowiązku wyłącznie, bo gdy patrzał w drogą twarz, zapominał o śmierci, a pieścił natomiast pragnienie kochania i głosić gotów był wiarę w szczęście.

Panna Gorzelska musiała odczuć sztuczność filozofii—i przestała przekonywać swego towarzysza.

Kondukt wydostał się już z miasteczka na pole. Z pod ciemnej i chłodnej chmury gradowej wyjrzało drogocenne słońce, z niebios polały się strugi ciepła, a razem z jasnością pieśń skowronków.

Powiało zapachem wiosny. A w kilka chwil potem, na jakimś zakręcie podmuchy wiatru przyniosły od trumny fetor rozkładających się zwłok.

Wesoło jarzyły się w słońcu biegnące bruzdą na ugorze wartkie potoki wiosenne. Nie o ponurej żałobie, lecz o wzniosłem weselu, może nieskończenie bolesnem, a jednak niezmiernie szczęsnem wołoły prześliczne strofy psalmu, który śpiewali księża.

Gdzie jest punkt ciężkości istnienia, w życiu czy w śmierci?—myślał znowu Siewierski—i gdzie prawda? w radości wiosny, ptaków i serca, czy w trumnie? W nim i w niej, zwłaszcza w niej i z nią—i szukał wzrokiem Kasi—w promieniach słońca, w śniegu topniejącym, w migotliwych strumieniach, w obłoku ogrzanym—życie i wiosna... a tam?

Im dłużej i cieplej jaśniało słońce, tem częściej z powiewem wiatru zalatywało cuchnięcie trupa.

Siewierski szedł ze spuszczoną głową.

Z wieży kaplicy pogrzebowej ozwały się dzwony, witając przybywającego na wiekuiste odpoczywanie. I w głosie dzwonów, mimo jękliwego tonu brzmiała nuta, zwiastująca uciechę i zwycięstwo.

Siewierski obejrzał się. Okazałym był widok olbrzymiego pochodu, który rozciągnął się wzdłuż drogi, który dopiero tu wśród pola ogarnąć można było wzrokiem.

Tłumy zapełniły cały niemal cmentarz. Rozpoczeły się mowy, których było za wiele, zapewne dlatego, iż nad otwartą mogiłą każda zdawała się zbyteczną. Każda z nich poruszała mnóstwo ważnychspraw, prócz zagadnienia życia i śmierci tego, którego zamierzano oto zakopać na zawsze.

Różnego wieku i urzędu panowie zabierali głos, żegnając zmarłego w imieniu najrozmaitszych partyj, stowarzyszeń, narodowości. Żydzi i Rosyanie, Białorusini, wojskowi, radykali i konserwatyści—wszyscy składali hołd nieboszczykowi. Tomasz Targowiecki rozrzewnił siebie i rozrzewnił słuchaczy. Szczerbiowski, korzystając z okazyi zgonu prezesa Zapolskiego, wykładał zebranym, iż tylko jedno w kraju stronnictwo odznacza się pradziwym patyotyzmem. "Marszałek" Kostuś Morszański w pozie tragicznej z miną żałobną, w stylu napuszonym, opłakiwał "najlepszego sąsiada, najlepszego obywatela".

W miejscach patentycznych panny Adela i Karusia zanosiły się od szlochania. Wdowa słuchała obojętnie. Mimo długiej choroby męża, nie wierzyła jeszcze, że on naprawdę umarł, że jego to zwłoki złożą niebawem do tego grobu, że o nim tu mówią ci wszyscy, jak o zmarłym...

Niedowierzała... wydawało się jej chwilami, że mąż został w domu, może w mieście... potem krepa córek i świeczka, której wosk poplamił jej rękawiczkę, objaśniały ją, iż stało się nieszczęście.

Ale nie mogła ogarnąć całego ogromu nieszczęścia, dostrzegła, rzekłbyś, tylko rąbek jego. Żałośnie zdumiewała się, że coś niewypowiedzianie drogiego, na zawsze minęło, że skończyło się wszystko. I zaraz potem myśl przyzwycza-

jona do codziennych trosk, turbowała się, że mów jest za wiele, że skutkiem tego obiad pogrzebowy rozpocznie się za późno i goście nie zdążą na pociąg, że kucharz Franek upił się jak zwykle, podczas każdego zajazdu, że może zabraknie krzeseł i kotletów, że popiją się furmani.

Następnie pani Barbara zaczynała modlić się... nie umiała jeszcze modlić się za duszę męża... Przypomniał się jej syn najmłodszy, którego od dawna zaliczała do drogich zmarłych, przypomniało się kalectwo drugiego, który w ostatnim tygodniu nie odstępował ojca, uprzytomniała sobie, że mąż odszedł na wieki—i wówczas sroga boleść szarpała serce wdowy.

Pani Barbara mocno ściskała rękę stojącego w pobliżu Piotrusia, który ujął ją przywiązaniem synowskim. Dźwignięto go z sań, z trudem przywlókł się do mogiły, z trudem stał, podtrzymywany przez zgrzybiałego Teofila Siekludzkiego.

Patryarsze trzęsła się siwa broda, chwiała się sędziwa głowa, jakby ze zdziwienia, że to nie jego tu chowają, że młodsi od niego, że potrzebni odchodzą, gdy on żyje jeszcze. Piotruś miał myśli podobne. Wbił uporczywy wzrok w trumnę i nie podnosił spojrzenia, by nie widzieć stojących po drugiej stronie grobu, obok siebie serdecznego przyjaciela swego Kocia Stulgińskiego i własnej niedawnej narzeczonej Frani Błońskiej, których, jadąc w tyle za konduktem, nie zauważył dotąd.

Kraśniała hoża twarz ładnej dziewczyny, paliły się niecierpliwie, rozbiegane oczy, usta tłumiły, zdawało się, nieustannie śmiech, wstrzymywały potok cisnących się słów. Oboje usiłowali zachować się przykładnie: słuchali niby uważnie mów, żegnali się, gdy czynili znak krzyża inni, klękali, gdy wypadło uklęknąć, ale od czasu do czasu trzpiotowata Frania odzywała się szeptem, lecz dostatecznie głośno, by usłyszał dawny narzeczony, od czasu do czasu niby na czyjeś skinienie uśmiechali się jednocześnie.

I znać było, że oni nie wiedzą po prostu o pogrzebie i śmierci, o żałobie Zapolskich, o Piotrusiu i jego nieszczęściu. Wiedzieli za to wszystko o prawie młodości i szczęścia —i było w ich postawie i zachowaniu się tyle zuchwałej,

bezwzględnej, wyzywającej pewności praw swoich, że Siewierski przyjrzał się im raz po raz, a Piotruś nie mógł znieść ich widoku.

Stał z głową spuszczoną, z nasępionemi groźnie brwiami, z tragicznym wyrazem na skrzywionej od nerwowego skurczu twarzy i przeżywał godzinę ciężkiej męczarni. Ubolewał, że nie poległ tam na równinie łowickiej w obronie Warszawy.

Wojna zabrała mu młodość i zdrowie, przyjaciel Kocio Stulgiński, szczęśliwy rówieśnik, jako jedynak, niepowołany dotychczas do wojska, zabrał mu Franię, a zostawiono mu życie, z którem nie wie, co robić, które chętnie wrzuciłby do grobu, zakopał, jak "padlinę" przydeptał.

Uścisk ręki matczynej niósł biednemu kalece ulgę...

Ostatni przemawiał ksiądz Jan zwięźle, ale zbyt "sucho" zdaniem wielu, zacząwszy od słów Hioba: "Oto teraz pójdę spocząć w prochu, a gdy rankiem zechcesz mnie szukać, już mnie nie będzie".

Potem posypały się na wieko domowiny grudki piasku... Córki rozszlochały się... grabarze przy pomocy parobków szybko, wprawnie, śpiesząc, zsuwali łopatami ziemię do dołu. Księża i wierni śpiewali "Anioł pański".

Dokoła w zimnym wietrze szumiały sosny. Wszystkim było pilno wycofać się z cmentarza, odwrócić się od świeżo usypanej mogiły, na której leżała więź zwiędłych przeleszczek, przyniesionych przez pannę Gorzelską—a nikt nie chciał być pierwszym.

Ale w tej chwili właśnie Aleksander sztywnie i szorstko, siostry jego natarczywie i serdecznie poczęły zapraszać na obiad.

—Tatuś tak lubił! Tatuś takby się cieszył!—powtarzały każdemu to samo zacne panny, ocierając łzy. I wszyscy niemal uczestnicy pogrzebu udali się do Tyszowiec. W dużej jadalni, a także w obu salonach czekały już stoły, wązkie, rozsunięte na całą długość pokoju, albo w podkowę, świątecznie nakryte.

Patrząc na szeregi krzeseł, ciasno ustawionych dokoła stołów, pierwsi przyjezdni nie wierzyli prawie, by aż tyle osób miało zjechać się tu i zasiąść. Ale zgromadziły się

tłumy i nie zabrakło niczego. Pani Barbara obliczyła dokładnie. Ona to w przeciągu dwu dni obmyśliła każdy szczegół, zarządziła wszystkiem. Wydobyto z komod prababkowskich obrusy (Zapolscy, mimo blizkości frontu, nie zwinęli dotąd domu), z kantyn wyprawnych odwieczne srebra, z szafy porcelanę korecką, która w rzadkich tylko, solennych występowała okazyach, którą lubił nieboszczyk, a szczyciła się pani Barbara, przyniesiono z piwnic omszałe butelki, bardzo dobre gatunki i marki z "trzeciej półki na prawo", które nalewał zwykle przy końcu obiadu i kolacyi sam prezes, i najlepsze, tak zwaną pierwszą klasę, którą ś. p. Zapolski chował dla znawców, która nie była znowuż tak wyśmienitą, jak zdawało się zacnemu gospodarzowi.

A wśród tych przygotowań wciąż coś przypominało się pani Barbarze. To przypominało się jej, że Ignacy lubił chodzić do piwnicy i wybierać wina, że Ignacy kilka flaszek drogiego węgierskiego posłał jakiemuś choremu akcyźnikowi, Moskalowi, za co ona go strofowała, że innym razem w roku klęskowego nieurodzaju ś. p. mąż wyłożył kilkaset rubli na zakupno wina, zaufał pewnemu oszustowi i wino okazało się najlichszem. Przypominało się, jak to Ignacy przechadzał się po domu zadowolony, gdy byli goście, tem bardziej zadowolony, im było ich więcej, jak to złapawszy ją gdzieś w korytarzu, całował rękę, przepraszając za kłopot, spowodowany niespodzianym najazdem gości, jak to Ignacy częstował, zapraszał...

I przypominało się pani Barbarze, że tak samo odświętnie wyglądał dom podczas ślubu dwóch starszych córek, chrztu pierwszego wnuka, w dniu ich srebrnego wesela i trzydziestolecia. Były to chwile największego zapewne szczęścia. Drobne troski psuły ich radość. Niepokoiła się wówczas, że upije się kucharz Franek, że nie dopiszą indyki, że lokaje, których z klubu przywiózł Ignacy, pokradną wino. Ignacy, ten umiał cieszyć się... Wyśmiewał jej obawy i, albo nie zajmował się niczem, albo wtrącał się do każdej rzeczy i przeszkadzał.

I przypomniało się pani Barbarze, że Ignacy mawiał często: na moim pogrzebie... pamiętaj, żeby po mojej śmierci... gdy będziesz wdową... a mówił to tak wesoło, że znać było,

iż on równie daleki jest od śmierci i od myśli o własnej śmierci, jak od godziny własnych narodzin...

Aż oto przyszedł ten dzień pogrzebu, ona jest wdową... Niema już Ignacego, Ignacy został tam...

Westchnienie wymknęło się pani Barbarze, ale śpieszyła do kuchni, do spiżarni, do lodowni, szukała jakichś kluczów. Krzątała się w domu i w gospodarstwie, wszędzie słychać było jej szybkie, zmęczone kroki i gruby męski głos.

Roboty pani Barbara, która nie umiała i nie lubiła wyręczać się, miała co niemiara. Ze wszystkich kominów, gdziekolwiek znajdował się piec, w kuchni, w piekarni, w oficynie, w czworakach, buchały ciemne dymy. Kucharze, kucharki, piekarniane dziewki uwijali się. Gotowano, warzono, smażono, siekano, ubijano pianki. Tyszowce może po raz ostatni przed nastaniem twardych rządów Aleksandra z tradycyjną hojnością podejmowały sąsiedztwo, włościan, służbę, fornali.

W gościnnym dworze wrzało jak w ulu. Marcowe słońce zaglądało, od czasu do czasu po przez małe szybki staroświeckich okien do pokojów, gdzie nie tylko tłumnie było i gwarno, ale może nawet wesoło, jak za najlepszych czasów. Brakowało tylko zacnego gospodarza, który, gdy zjeżdżali goście, przechadzał się pomiędzy zgromadzonymi, z rozpromienioną twarzą, z krotochwilnem słowem na ustach, w swoim długim surducie t. zw. "stypowym". Brakowało pana Ignacego, chociaż z przyjezdnych zapewne nikt o nim nie myślał...

Ludzie przyjechali z ziębnięci, głodni, znurzeni, z ochotą zabrano się do jedzenia, wychylano kieliszki ze starką, potem kieliszkami—wino. Głosy brzmiały coraz donośniej, życie pokonało śmierć, uczucie zadowolenia, wesoła żywotność wzmogły się w każdym. Tylko Siewierskiemu ciężył i dokuczał długi z długiemi przystaniami między każdą potrawą obiad.

Wypadło mu siedzieć bardzo zaszczytnie, lecz i nudnie między dwu dostojnikami państwowymi: cywilnym i wojskowym. Prowadząc z dygnitarzami rozmowę francuską, wodził spojrzeniem po zebranych, popadał w zadumę, zdradzał roztargnienie... Prababkowskie obrusy, bronzowe z kryształem świeczniki arcypiękne i arcystare, porcelana kore-

cka, stół w podkowę, przypominały mu każdą z radosnych uroczystości, których tyle obchodzono w Tyszowcach. Śluby i chrzciny, srebrne wesele, trzydziestolecie... Dziś wszystko było niemal jak ongi...

Siewierski przez mgnienie zapatrzał się w coś, zda się w przeszłość, ale i on także nie wspominał, nie smęcił się. Myśl wróciła do teraźniejszości. Siewierski zbierał spostrzeżenia, snuł wnioski. Zauważył był przed obiadem, że Targowiecki nadskakiwał prawie młodemu Zapolskiemu, że Zapolski kwaśno wprawdzie przyjmował te atencye, ale nie uciekał,, że Aleksander i Ima wciąż byli razem i wówczas i teraz przy stole...

Narzucili się uwadze Jakóba bezczelnem zakochaniem i bezczelnem w domu żałoby szczęściem swojem dorodny Kocio Stulgiński, którego chyba żadne w życiu ciosy powalićby nie zdołały, i hoża, zawiele trzepiąca i pospolicie może, ale jakże ładna jednak Frania Błońska. Dlaczego Piotruś Zapolski, który mógł niepokazać się zupełnie, albo mógł wybrać sobie jakieś odległe w czwartym pokoju krzesło, usiadł w dość blizkiem sąsiedztwie dawnej narzeczonej, dlaczego Piotruś zadawał sobie okrutną mękę, która odbijała się na skrzywionej od chorobliwego skurczu twarzy, wyrazem tragicznie zbolałym—tego Jakób nie umiał sobie wytłómaczyć...

Zastanowiło Siewierskiego także, że oczy Janiny, zazwyczaj bezcelowo patrzące przez szkła w przestrzeń, śledziły go i śledziły pannę Gorzelską. Panna Gorzelska znajdowała się przy innym stole w sąsiednim salonie z powieściopisarzem Turskim, który dnia tego, jak zwykle zresztą prawie jej nie odstępował. Jakób nie widział ich zupełnie, ale wiedział, że autor, targając swój jasny, obwisły wąs, gada bez przerwy, gada wymownie i inteligentnie, że ona słucha z upodobaniem i zapomina wówczas o jego, Siewierskiego istnieniu.

Zdarzało się tak już nieraz. Budził się w Siewierskim niepokój i opadał wnet, zaczajała się niedorzeczna zazdrość, ogarniało mu serce coś równie młodzieńczego, niedorzecznego i szczęśliwego jak marzenie, marzenia zakwitały pokusą. Pragnął jej spojrzenia, jej rąk i warg, jej ócz, by stały

się jego własnością, całowałby ręce, oczy, usta, włosy. Pryskało widzenie rozkoszy, wzniecając tym gorętsze pożądanie, rozwiewało się złudzenie nadziei i znowu rozpierało pierś poczucie wesołej żywotności i rozweselającej siły, tętniły we krwi żądza szczęścia i pewność szczęścia. "Bo w obliczu śmierci jedynie szczęście ostać się może"...

Zaledwie wstano od stołu, Siewierski poszedł szukać w tłumie Kasi. Różni znajomi po drodze zabrali mu sporo czasu, następnie zaś, gdy tylko odnalazł pannę Gorzelską, Janina przyszła ostrzedz go że, już jest późno i że z powodu złej sanny, pora jest jechać. Siewierski zgodził się natychmiast, ale było krótkie mgnienie, w którem wzrok jego spotkał się ze wzrokiem żony, potem ze spojrzeniem tamtych ócz...

Ta chwila, choć wszyscy troje najzwyczajniej mówili coś o marcowych wybojach i roztopach, została Jakóbowi na zawsze w pamięci.

Pod ganek zajeżdżały właśnie sanie, bryki, powozy. Gościom na ganku odgłosy strzałów armatnich przypominały wojnę, a smutne, świerkowe gałązki, których nie zmieciono jeszcze z drogi, przypominały śmierć.

XXVII.

Wobec blizkości frontu i niemilknących strzałów, wobec tego, że Siewiersk, jak większość zresztą, z małemi wyjątkami dworów, zajęty był przez wojsko, Jakób z nadejściem wczesnej i pięknej roku tego wiosny, najął w jednej z sąsiednich gubernii w dużych dobrach przy kolei okazałą rezydencyę i przewiózł tam rodzinę, sam zaś zamierzał przeważnie przebywać w swoich stronach, jak z powodu gospodarstwa, tak też i zajęć społecznych w miasteczku. Widział, iż żona cieszy się ze wsi, z dobrego powietrza, z obfitości mleka z rumieńców własnych i Stasi, widział, że z zapałem oddaje się sadzeniu kwiatów i warzyw, zajmuje się urządzeniem letniska, spędza wszystkie poobiedzia na stacyi w przytułku albo wśród kolonij wygnańców. Od dawna Janina nie była tak czynną. Jakób pojechał do Się-

wierska, zabawił tam dwa dni i wrócił, a gdy zamierzał wybrać się znowu, żona zaznaczyła nawiasowo, wśród rozmowy, iż może lepiejby było, gdyby został w domu.

—Dlaczego ma to być lepiej?—zdziwił się Siewierski.

—Wyglądasz zmęczony... Te ciągłe jazdy... zresztą wogóle...

Siewierski nie pytał więcej. Zapadło milczenie.

—Trzeba, żebyś nam pomógł—dodała po chwili Janina—nie damy sobie z panią Tomską rady bez męskiej głowy... pracy w organizacyach wygnańczych i tu bardzo dużo...

—Zawiążemy komitet—rzekł Jakób—żonie zaś zdało się, iż głos jego zabrzmiał drwiną.

Nie rozumiała, z czegoby miał drwić. Spojrzała na niego bacznie przez szkła, ale mąż wbił wzrok w ziemię.

Siewierski, który przywykł ludziom, sobie, prawdzie, rzeczywistości patrzeć prosto w oczy, unikał spojrzenia żony.

—Zapewne komitet... zrobimy wszystko, co uradzisz,—zgodziła się Janina.

Siewierski został w domu. Czytał jakieś książki, chodził ze Stasią na spacery, próbował coś pisać, pomagał paniom w pracy społecznej, z czasem nawet zastąpił Janinę, która przestała odwiedziać kolonię wygnańców, z powodu panujących tam chorób. Dnie mijały, bzy zakwitły i przekwitły. Między mężem a żoną wyrosła wroga ściana...

W końcu maja przyszedł telegram od rządcy, wzywający Jakóba do Siewierska dla różnych pilnych i ważnych spraw, i Siewierski tegoż dnia wybrał się w drogę. Wypadło mu zatrzymać się w mieście i wypadło także dla widzenia się z adwokatem, który w braku praktyki zajmował się polityką, wstąpić do cukierni, gdzie dowiedział się o jakiejś klęsce na froncie niemieckim i wielkiem zwycięstwie generała Brusiłowa, dowiedział się, że w zeszłym tygodniu Targowiecki oficyalnie ogłosił o zaręczynach Imy z Aleksandrem Zapolskim, która to nowina spadła na "towarzystwo" jak grom, posłyszał z ust powieściopisarza Turskiego, że Panna Kasia Gorzelska wybiera się z nim, Turskim, do obozu jeńców.

Nazajutrz tę samą nowinę potwierdziła mu panna Adela, którą spotkał w drodze do Nowin.

Zacna sąsiadka dźwigała na głowie najdziwaczniejszy kształtem i rozmiarami, najbardziej niezwykły, wydobyty snać z przedpotopowych kufrów kapelusz, który miał uosabiać sezon letni słomką, okres żałoby zaś olbrzymią czarną kokardą. Jechała trzęską, skromną bryczką—drabinką i sama powoziła. Dążyła, jak następnie dowiedział się Siewierski, o wiele mil stąd w objazd zaścianków, gdzie pootwierano szkoły, kierowała się prawie ku linii frontu, nie wiele dbając o zakazy, nie bojąc się ani band żołnierskich, ani surowych komendantów.

Rozmawiali krótko. Panna Adela śpieszyła w swoją daleką drogę. Przy pożegnaniu spytała o zdrowie Janiny i Stasi, a także spytała, dlaczego Siewierski tak źle wygląda, jak gdyby "tylko co" wstał z bardzo ciężkiej choroby, wkońcu oznajmiła, iż ona zostawiła właśnie przed chwilą u Aleskandra w Nowinkach Kasię, która wkrótce wybiera się w głąb Rosyi i na Sybir do obozu jeńców "des esclaves autrichiens" i do kolonij wygnańczych.

Wiadomość ta, usłyszana już wczoraj z ust Turskiego, nie uczyniła na Siewierskim na razie wrażenia. Przejął go tylko dreszcz osobliwego chłodu, który wsiąkał do serca i zmroził myśl, wzmogło się nękające uczucie niedomagania fizycznego, które nie opuszczało go od wczoraj.

Obojętnym, jakby osowiałym wzrokiem patrzał przed siebie w piękno majowe i mędrkował, czy rozumował, że niema czego żałować, że nie wolno mu ubolewać, że on nawet często spodziewał się i pragnął takiego "rozwiązania"... Ale w głębi nie wierzył, by ona mogła odjechać i zostawić go tu samego. Tak samo, choć wiedział, nie wierzył, by zamiecie śnieżne miały kiedyś zaspami pokryć tę równinę. Dziś był maj i mimo wojny, śmierci, żałoby i zła wiosna roztoczyła na świecie coroczny czar młodości i odrodzenia. Chylące się łany żyta, zagony zbóż jarych, okrywających ziemię gęstą szczotką, zakwitające koniczyny nie wiedziały i nie uwierzyłyby, że nastaną kiedyś słoty listopadowe i lodowate dnie stycznia. Gdybyż człowiek wiedział mniej, gdybyż nie umiał myśleć!

Na niebie piętrzyły się duże, wypukłe, głowiaste obłoki, jakie tworzą się w czas upalny przed burzą, płynęły wolno, pęczniejąc w drodze i gromadziły się na wschodzie, by stać się burzą niszczącą, albo spłynąć deszczem błogosławionym. Nabrzmiałe ich oblicza świeciły blaskiem rudawym, co zapowiada pioruny... Zdało się Siewierskiemu, że już grzmi, ale nie był pewien, czyli nie jest to odgłos armat. W przyrodzie uczyniła się naraz cisza. Znieruchomiały płochliwe i chybotliwe, zmykające wiecznie dokądś łany zbóż, zastygły w martwem milczeniu drzewa, pochowały się gdzieś ptaki.

W tej chwili Jakób zauważył w oddali Kasię Gorzelską, która szła sama przez pola bardzo powoli.

"Spostrzegła mnie, czy też nie spostrzegła"—zastanawiał się Siewierski—może nie poznała?

I pewny był, że spostrzegła go i poznała, a mimo to, szła przed siebie, oddalała się od domu, w stronę Chocimowa, nad którego lasami złowrogo ciemnieć poczęły chmury.

Siewierski nie zatrzymał się i nie podążył za nią. Zajechał pod ganek dworu Nowińskiego, by dowiedzieć się, że Aleksandra nie było w domu. Należało, rozumie się, szukać go w polu. Jakoż rzeczywiście młody Zapolski, pilnował właśnie obradlania kartofel, które niedawno wyjrzały na światło dzienne, zaciekawionemi czubkami ciemnych, zwiniętych jeszcze liści.

Gospodarz powitał kolegę z radością, ale nie mówił mu nic o swojem szczęściu i dlatego, że było to zbytecznem, bo szczęście patrzało mu z twarzy i dlatego, że wybuchowość nie należała w naturze jego, skrytej, nieskorej do słów. Natomiast, gdy Siewierski złożył mu życzenia, począł od razu przedstawiać stronę drażliwą, t. j. stosunek do przyszłego teścia, którego nie znosił.

Opowiadał, o czem Jakób słyszał już w cukierni, że Targowiecki w niewiadomym celu z niepojętego powodu, chciał koniecznie młodą parę przesiedlić daleko i osiedlić ją albo w Smoleńskiem albo w Królestwie; opowiadał, że on Aleksander stanowczo odmówił i zapowiedział, iż z Nowin, którego skromnym dworem nie pogardzi chyba jego narzeczona, nie ruszy się nigdzie, opowiadał, iż w sprawie Chocimowa, pan Tomasz dał odpowiedź wymijającą.

—A lasy topnieją!—westchnął Aleksander, i wskazał rzedniejącą istotnie wstęgę borów na widnokręgu.

Gromadziły się tam teraz zwały chmur i stapiały się w jedną ciemno-siną ścianę.

—Grzmi?—spytał Siewierski, słysząc dalekie, głuche dudnienie.

—Gdybyż! deszcz jaki potrzebny! ale to niestety tym czasem na froncie... raz głośniej, raz ciszej. Niekiedy szyby drżą.—Dziś jakoś łagodnie.

Przez chwilę wsłuchiwali się obaj w odległą rozmowę dział. Potem Aleksander jął rozprawiać o wojnie, o pracy społecznej w Siewiersku i całym powiecie, o tanim, przeznaczonym dla najuboższych warstw dzienniku, który on zamierzał założyć, narzekał na brak ofiarności wśród ziemian, a zwłaszcza arystokrcyi.

—Gdyby nie ty, i nie Ciecierski, stanęłoby wszystko.

—Słyszałeś, że Małkowski, już drugi z rzędu, poległ—cicho przerwał te pochwały Jakób.

—Poległ! szkoda chłopaka...—obojętnie przeszedł nad tą wiadomością do porządku.

I zaraz po wzmiance o Małkowskim zwrócił Jakóba uwagę na żyto.

—Bez łubinów, bez nawozów sztucznych widzisz, jaka wątła mizerota—utyskiwał—pragnąłbym mieć takie, jak w Siewiersku... podziwiałem, zazdrościłem...

Łan zboża, na który tak narzekał gospodarz, przedstawiał się wszakże wcale dobrze z punktu widzenia rolniczego, a wabił oczy pięknem odcieni zielonych, stalowych, błękitnych i wonnym gąszczem.

Żyto wypływało właśnie. Srebrzyły się niemowlęce, brunatne na brzegach, tkliwe, lękliwe, prześliczne kłosy. Niwa żytnia biegła w dół spadem ku łące, słała się nieruchomą roztoczą, pełną świeżości, jakby poranne, takiej dziwnej, śród upału. Naraz w nagłym podmuchu rozkołysała się toń, poczęła mienić się i drżeć, sfalowała się, okryła się jakoby zmarszczkami, pochyliła się do stóp Jakóba, ukazała mu głębie swoje, by po chwili znowu wyprostować się i znieruchomieć. Niebawem jeszcze raz szarpnął łanem wiatr i opadł i znowu zatrząsł zbożem.

Grzmiało teraz naprawdę i blizko już. Niezbyt duża, ale gęsta i ciemna, a dopokąd świeciło słońce, wyglądająca niezwykle złowrogo chmura, utworzyła się prawie w jednem okamgnieniu nad samem, jak zdawało się polem ziemniaków, nad samemi głowami idących.

Uczyniło się nie do zniesienia duszno, słońce prażyło ostatnimi piekącemi niemiłosiernie promieniami przed zaprzepaszczeniem się w odmętach chmury, która groźnie w pełnem świetle południa zaświeciła czerwoną błyskawicą i trzasnęła piorunem. Jakoby na dane hasło, jakoby spuszczony przez kogoś ze smyczy przycwałował huragan, położył pokotem młode zboże, zerwał między kartoflami tumany kurzu, obłokiem piasku zasłonił świat, huczał w drzewach alei...

Jakób zaniepokoił się o Kasię, która znajdowała się teraz zapewne już w Chocimowskim lesie, chciał zawrócić po nią, lecz było roztropniej wprzód dojść do domu i zaopatrzyć się tam w jakiś parasol i płaszcz dla niej.

Przyspieszył kroku. I śród szalejącej wichury, w mgławicy pyłu, który tamował oddech, śród grzmotów, w ciemności, która nastała teraz, Jakób uświadomił sobie własne sieroctwo, jeśli Kasia odjedzie, uświadomił sobie niezmierną dla niej tkliwość i potrzebę roztoczenia opieki nad nią, może jeszcze większą potrzebę jej opieki nad nim, ogromną niedolę życia bez niej po prostu niemożliwość istnienia.

Zabrzmiał w nim jakoby skowyt żalu obłąkanego, powtarzał jakieś pieściwe myśli, pieściwe słowa, żałował jej i żałował siebie, jak dziecka osieroconego, pocieszał siebie, że przecież uprosi ją, nie puści jej. Przyśpieszył kroku.

Nawalny jak z cebra deszcz złapał ich w ogrodzie. Siewierski skoczył po parasol i z zapasowym parasolem pod pachą pomknął drogą ku Chocimowu, ale za bramą spotkał pannę Gorzelską. Wyminęła go w biegu ze śmiechem, wbiegła z wesołym okrzykiem po stopniach na ganek, znikła za drzwiami. Po chwili wróciła z mokremi, uczesanemi na gładko i po wiejsku włosami, zarumieniona, zdyszana, przebrana od stóp do głowy, w sztywnej nakrochmalonej blado-

niebieskiej, perkalowej sukni, pożyczonej na prędce, z wiejskiemi koralami na szyi.

Była zupełnie do siebie niepodobną. Prostota i jasny kolor ubioru odmłodziły ją, inna była figura, pod obcisłym stanikiem inaczej zarysowywały się kształty. Śmiejąc się, opowiadała, że przemokła do nitki, że w lesie bała się, iż drzewa poczną walić się na nią, że piorun uderzył blizko o parę zaledwie kroków od niej. Wchodząc, spytała Siewierskiego wzrokiem: "Jakże podobam się panu w tym stroju"—i odtąd unikała go oczami. Siewierski milczał.

Aleksander zacierał ręce z zadowolenia, które sprawiał mu majowy, po długiej posusze, deszcz.

"Nie śpieszę do dziew, ja śpieszę na gody"—zanucił wśród zamętu nawałnicy.

Młodość i moc brzmiały w pieśni i w głosie, młodością i uciechą szumiała ulewa. Wesołe spienione strumienie płynęły dziedzińcem, kipiącemi strugami lała się woda z dachu i z rynien. Zdawało się, iż z jakowejś czary, napełnionej po brzegi, trysnęła na świat radość. Od czasu do czasu błyskało jeszcze krwawo, lecz coraz rzadziej i ciszej odzywały się grzmoty, i drzewa przestały huczeć. Chmura oddalała się.

Aleksander nucił coś ciągle.

"Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłości..."

Kasia Gorzelska żartowała z tego śpiewania śród burzy, z melodyi operowej, z teatralnych gestów śpiewaka. W perkalowem przebraniu stała się swawolnem, pełnem pustoty wiejskiem dziewczęciem... Jej prześliczne ręce bawiły się sznurem korali na szyi, zdyszana od długiego i szybkiego biegu pierś wzdymała się pod obcisłym stanikiem.

Siewierski nie zdejmował z niej rozkochanego wzroku, czekając, kiedy też spojrzy na niego. Ale unikały go z niewiadomej przyczyny jej oczy śmiejące się, zalotne.

Wezbraną powodzią radość zalewała świat, uciechą młodzieńczą szalała majowa ulewa.

To samo rozweselenie młodości było w Aleksandrze i Kasi, tylko on, Jakób Siewierski, przemądrzały sofista, nie miał dostępu do źródeł radości. Dlatego go ona odjeżdża z tym tam, Turskim, dlatego on musi zostać sam, na chłodnej wydmie.

Mimo upalnego ciepła, Jakób odczuwał przenikające go do szpiku kości, myśli i duszy zimno.

"Aleksander cieszy się z deszczu, ale z czego cieszy się ona? czyżby z wyjazdu?"—niepokoił się—czyżby naprawdę Turski?

Chciałby z Aleksandrem i Kasią znaleźć się "po tamtej stronie"—czego? nie zdawał sobie sprawy—tam, gdzie z nalanemi po brzegi czary tryskała radość, a widział przedział i oddalenie swoje.

Uczucie przenikliwego chłodu nie opuszczało Jakóba.

—Pani jedzie podobno daleko i na długo?—spytał ją wręcz.

—Tak, panie, jadę... rozpróżniaczyłam się w Tyszowcach—odparła najweselej i tak samo wesoło a swobodnie opowiadała dalej w sposób żartobliwy o niebezpieczeństwach tej wyprawy w głąb Syberyi, do "septentrionów", pod biegun.

Siewierski patrzał w przecudne oczy, które kryły spojrzenie pod rzęsami, kryły jakąś prawdę uśmiechem.

—Niech pani nie jedzie!—poprosił naraz.

Zarumieniła się, urwała, zdumionym do głębi wzrokiem zapytała o znaczenie tych słów.

—Niech pani nie jedzie!—powtórzył ciszej.

Ona milczała zdumiona, zmieszana.

Czegóż chciał od niej ten dziwak najdroższy, ten szkodnik, nieobliczalny w słowach i postępkach, który albo zapominał o niej, nie pokazywał się całemi miesiącami i stronił, gdy spotkali się między ludźmi, albo miłował spojrzeniem i błagał, a napierał się niby kapryśne dziecko?

Chyba on nie zastanawiał się nigdy nad sobą, nad nią, nad uczuciem? bo jeśli jest uczucie, dlaczego oni cierpią oboje, zwłaszcza ona?... tam, gdzie w sercu tętni gorąca krew, ustają wszelkie względy, wahania, rozsypują się w proch rupiecie przesądów.

Oburzała się przed nim niegdyś dawno na początku znajomości na Aleksandra i Imę, a on, świetny światowiec, obrócił tę przestarzałą prawdę w błyskotliwy żart. Jeżeli zaś łudzi się i łudzą ją spojrzenia, wyznające miłość, niechże nie przeszkadza jej odjechać, zagrzebać się na krańcu

świata w jakiejś robocie użytecznej!... Niech nie przeszkadza zagrzebać szczęścia, nie utrudnia, nie dręczy już, nie zwodzi!... Czyż on nie rozumiał jej cierpienia.

—Pani zostanie!—powiedział jeszcze ciszej.

Było coś dziecinnego w tej powtórzonej trzykrotnie prośbie, niewłaściwej i niespodziewanej w ustach Siewierskiego, i było coś tak niezwykłego w głosie i tonie, iż ona zmieszała się naprawdę i po raz pierwszy, odkąd Jakób ją znał. Stała zapłoniona, pełna zdziwienia, nie wiedząc, co rzec.

Naraz szybko odwróciła się, ale, zanim odwróciła się, Jakób spostrzegł, że z prześlicznych ócz polały się rzęsiste, równie niewłaściwe i niespodziane, jak prośba Siewierskiego, łzy.

Kasia zniknęła za drzwiami.

Zapolski śpiewał wciąż jeszcze aryę z "Trawiaty", tak samo radośnie pluskały dokoła strugi nawałnicy.

Wśród świata, który zalewała powódź wezbranej uciechy, Siewierski nie żałował słów swoich i nie żałował onych rzęsistych łez, które spłynęły po drogiem obliczu na blado niebieski perkal obcisłego stanika, owych łez, które zdały mu się płaczem radości. Wiedział z pewnością, że ona uległa jego prośbie, i chciałby wejść w dom i dziękować i nie śmiał. Po chwili wiedział—także napewno, że słowa jego przebrzmiały bez echa, bez skutku, że ona odjedzie i zostawi go samego, i chciałby wejść do domu, znowu nalegać i nie śmiał.

Czekał i spodziewał się, że panna Gorzelska przyjdzie. Nie przychodziła.

Deszcz ustał, wypogodziło się, Aleksander począł coraz jawniej dawać do zrozumienia, że musi dziś jeszcze wybrać się do sąsiedniego folwarku—w końcu bez ceremonii wyprawił gościa.

Miękko, jak po aksamicie, po mokrym piasku toczyły się koła, wesoło w zapienionych kałużach chlupotały kopyta, słońce błyszczało od dawna w niebiosach, tęczowo lub złociście mieniły się krople na liściach, na kłosach, wśród traw, ptaki rozśpiewały się chórem uwielbienia, powietrze, od-

świeżone po burzy, upajało rozkoszą. I wszystko dokoła upajało się majem, młodością, zyciem.

Siewierski objektywnie, niby bezstronny widz, stwierdzał piękno wiosny i świata, sam zaś znajdował się jakby w zimnej, posępnej, odrębnej, obcej dali.

"Odjedzie, czy też zostanie?"—z uporem i obawą zapytywał siebie.

Migocące krople przypominały mu pewien z dzieciństwa epizod. Było to tak samo w maju i tak samo podczas długotrwałej suszy. W Siewiersku codziennie modlono się o deszcz, babka, matka, służba, mały Jakóbek. Pewnego dnia niespodzianie z jasnego nieomal nieba, właśnie wśród litanii, w chwili gdy babka wymawiała werset: "Domie złoty", zaszemrał deszcz, rzadki zrazu, potem obfity, coraz gęstszy, deszcz złoty, ponieważ słońce świeciło i błyszczało po przez strugi ulewy. Poczytywano to wówczas za cud. Babka i matka opowiadały o nim z nabożnem przejęciem, czeladź uwierzyła w szczególną skuteczność modlitw starszej pani.

Jakób zapamiętał cudną chwilę złotolitego deszczu, polubił litanię i zwłaszcza ów werset.

Jakże on był szczęśliwy wówczas, dziecko ukochane w domu rodzinnym, a jak samotny jest dziś!

Ona odjedzie przecież mimo prośby jego...

Gdyby miał wiarę dziecięcą i prostą, modliłby się o cud, i aniołowie zeszliby z nieba, aby zbudować w pustkowiu dom złoty.

Tymczasem wśród upojonego rozkoszą świata, on sam jest z cierpieniem, z krzywdą swoją na wymie zimnej i smutnej.

Uczucie niedomagania fizycznego i chłodu, nie opuszczało Siewierskiego, i droga dnia tego dłużyła mu się szczególnie... potem zaś w parku Siewierskim tak samo dłużyły mu się godziny najpiękniejszego dnia majowego, który, zdawało mu się, nie miał końca.

Park, mimo ustawicznych postojów wojska we dworze, mimo szpitalów i sztabów, mieszczących się w samym domu, mimo spacerów i flirtów, odbywających się w alejach, mimo hałasu rozmów, śmiechu i zabaw, mimo zanieczyszczenia,

mimo butelek, niedopałków, gazet, karmelkowych papierków, zachował piękno, majestat i spokój. Zbyt był rozległy. Znajdowały się w nim ustronia odludne, nietknięte, milczące.

Siewierski wybrał jeden z takich zakątków, przechadzał się, potem, ulegając dziwnemu znużeniu, usiadł na ławie. Olbrzymia ściana drzew odgradzała go od świata, gdzie rządziły wojna i śmierć, ohyda i złe, gdzie dręczyły bolesne pytania bez odpowiedzi, uciskał nierozwikłany splot zagadnień i spraw. Tu, w słońcu zalewającem gładkie kobierce trawniki i przenikającem w gąszcze alei, w błękicie pogody wiosennej, wśród woni, śpiewu, blasku i rozkwitu, wszystko było jasne, proste, wiadome. Na wprost Jakóba kępa wysokich, młodych brzóz, bezwstydnie radosnych, nielitościwie szczęśliwych, zuchwale pięknych, chwiała się lekko, lśniąc i jarząc się najczarowniejszą zielenią świeżych liści. Rozległo się wołanie wilgi, słodkie i szczęsne ze zbytku szczęścia tęskne.

—A ludzie umierają i umiera szczęście—szepnął Siewierski.

Zerwał się i zwrócił ku domowi, skręcił w stronę grobowców rodzinnych, stał tam, wsparty o ogrodzenie żelazne. Niebotyczne jodły i świerki, jesiony i sosny nie dopuściły tu słońca. Pomiędzy mogiłami trwał cień i smętek.

"Eccc nuno in pul'ere dormiam, et, si mane me quaesiecis, non subsistam"—odczytał Jakób na pomniku matki.

—Poco urodził się, żył i zmarł Dominik, poco przyszedł na świat on sam, którego za chwilę nie będzie? Zapewne dla mgnień onej rozkoszy, której obrazem i uosobniem były brzozy, kuszące go, naigrawające się z niego, gdy dumał niedawno na ławie, zapewne dla szczęścia, o którem wołał dzień wiosny i wilga, dla kochania.

Ale on zgubił szczęście swoje, swoją jasność i kochanie, zgubił jej szczęście.

Wśród rozkwitu majowych czarów, przypomniała mu się była śmierć, tu zaś, wśród mogił, w cieniu i smętku wzywało go szczęście.

Podążył stanowczo ku domowi, ulegając znużeniu, oraz niepokojowi, który pędził go z miejsca na miejsce.

Wieczorem chwyciły Siewierskiego silne dreszcze, a w nocy przyszedł stan dziwny, który trwać miał wiele tygodni, stan, w którym znajdował się jakoby na progu między bezprzytomnością a świadomością, w którym nie umiał odróżnić, co jest majaczeniem, a co rzeczywistością, w którym to jedno, to drugie zdawało mu się prawdą. I wydawało mu się, że pielęgnuje go i czuwa nad nim ona, że ręce jej dotykają go i brał jej drogie ręce, kładł je sobie na czole rozpalonem, na wargach—i był przez mgnienie szczęśliwym, potem to wszystko znikło, jak przywidzenie—i chorego pochłaniała otchłań zupełnej niewiedzy i nocy.

I znowu wierzył, że ona jest przy nim i radował się i stracił ją z ócz i budził się, wydobywał się z toni, wypływał na powierzchnię odmętu, by ujrzeć ją i by ucieszyć się niezmiernie i szukał rąk jej, brał je... Następnie majaczyło mu się, że są obie: Janina i ona, i pragnął, by tylko ona była z nim, i chciał żonę odepchnąć i bał się, że to uczynił, i znowu nic nie wiedział, i ciemiężyły go srogie zmory i zapadał w sen, żeby zbudzić się, szukać jej i już nie znaleźć...

XXVIII.

Doktór Ziemięcki stwierdziwszy u Jakóba tyfus, zaraz dał znać o tem Aleksandrowi Zapolskiemu, gdyż chorego nie sposób było zostawić jedynie na opiece starego lokaja-emeryta i rządczyni, Aleksander zaś zawiózł wiadomość o chorobie do Tyszowiec. Panna Kasia na pierwszą wieść o tem zapakowała rzeczy i wyruszyła do Siewierska. Nie wahała się ani chwili. Ona była fachową pielęgniarką, chory—dobrym znajomym, przyjacielem, sąsiadem, chory potrzebował pomocy i dozoru, których mu właśnie brakowało. To rozstrzygnęło wszelkie wątpliwości, które się nasunęły nie jej wprawdzie, lecz komuś z otoczenia. Komentarze ludzkie i konwenanse, plotki i złe języki nie obchodziły panny Gorzelskiej zupełnie. Poszła, jak zwykle, za pierwszym popędem. Żona znajdowała się daleko, o żonie mówiono powszechnie, że jest wątłego zdrowia i że szczególnie obawia się zarazków. Zresztą zanimby Janina Siewierska mogła do-

jechać, minęłoby kilka dni, o dobrą zaś pielęgniarkę z miasta nie było łatwo. Zresztą chory, jak gdyby przeczuwał coś, prosił ją, by pozostała, wówczas wśród burzy, gdy ona zamiast odpowiedzieć rozsądnie i stanowczo, iż nie może zmienić projektu, niedorzecznie, jak dziecko, rozpłakała się.

Ponieważ panna Gorzelska znakomicie wywiązywała się z wziętego na siebie zadania, ponieważ doktór nie widział niebezpieczeństwa, ponieważ o chorobie Jakóba nie wiedział nikt, oprócz Zapolskich, Zapolscy zaś mało mieli doświadczenia życiowego, a dużo zajęcia—o Janinie zapomniano zupełnie. Ale gdy stan Siewierskiego pogorszył się i przyszła obawa powikłań, gdy działalność serca i dziwny stan półprzytomności, nie opuszczający chorego, zaniepokoiły Ziemięckiego, wówczas dopiero napisano oględnie do żony.

Przejechała natychmiast z siotrą miłosierdzia i dwu lekarzami, wśród których jeden był znakomitym profesorem rosyjskim. Miejscowego doktora dotknęło votum nieufności, wyrażone mu w formie narzuconego konsylium.

Pannę Kasię dotknęło przywiezienie pielęgniarki, ale nie usunęła się na stronę, tembardziej, że pielęgniarka Rosyanka nie wzbudzała zaufania ani w niej, ani w Ziemięckim. Chory zaś, jakkolwiek wciąż półprzytomny, niekiedy, zdawało się, poznawał ją i szukał jej rąk, chory, zdawało się, przywykł do niej. Oszołomiona nieszczęściem Janina, nie opierała się niczemu. Nieruchoma twarz, spokojna mowa, spokojne ruchy wskazywały, iż potrafiła zachować zwykłą równowagę. Serdecznie wyraziła Ziemięckiemu i pannie Gorzelskiej podziękowanie za opiekę... uważnie słuchała historyi przebiegu choroby, pilnie wypytywała o każdy szczegół. Raz tylko mimochodem napomknęła, iż żałuje, że nie zawiadomiono jej od razu, pierwszego zaraz dnia.

—Choroba nie zapowiadała się tak poważnie—tłómaczył się doktór.

—Pani podobno obawia się mikrobów—dodała panna Kasia.

—Ja się otrzaskałam... zresztą przechodziłam tyfus, co podobno chroni...

—Przyjechałam jednak zaraz po otrzymaniu listu—cicho zauważyła pani Siewierska.

Ona tylko wiedziała (i może Bóg), ile ją kosztował ten pozór spokoju, ile przecierpiała od chwili otrzymania listu, jak bolała ją rola osoby zbytecznej we własnym domu, u łoża chorego męża. Gdy była sama, gdy mogła dać folgę uczuciom, zaczęła chodzić z kąta w kąt, od ściany do ściany wolno, spokojnie, wahadłowo, z nieruchomą twarzą, z piekłem męki na dnie duszy...

Nie o nią jej szło, choć wydawało się jej, iż powietrze, którem oddycha, jest zatrute, że z każdym haustem napoju, z każdym kęsem jadła połyka mikroby, że każde dotknięcie jakiegokolwiek sprzętu, zostawia na palcach ślady śmiertelnej choroby... Myła wprawdzie co chwilę ręce, płukała usta, wietrzyła pokoje, brała jakieś fartuchy...—ale nie bała się o siebie, nie przejmowała się niebezpieczeństwem... Straszliwem cierpieniem dręczyła ją trwoga o drogiego chorego, który droższym był jej, niż sądziła sama, niż przypuszczał on, ten nieszczęsny Łazarz, zamknięty od niej w odległym pokoju, niż sądzili ci wszyscy, co usunęli ją, wzięli ją za nawias...

Nie odwiedziła dotąd męża. Poco? skoro nie miała fachowej wiedzy, a zato, zdaniem panny Gorzelskiej, wątłe zdrowie i strach mikrobów... Lekarz i panna Gorzelska, oboje podzielali to samo zdanie, iż ona nie powinna się narażać bez potrzeby. Nie potrzebował jej tu nikt. Więc tylko przechadzała się długie godziny w jakimś salonie wolno, jednostajnie, od drzwi do drzwi, nasłuchując, czekając na coś, pełna nieopisanej trwogi.

Minęło kilka straszliwych dni. Pani Siewierska odesłała nietroskliwą pielęgniarkę i sprowadziła dwie inne, rzeczywiście odpowiednie tym razem, jedną na noc drugą na dzień, zaprosiła dwie znakomitości medyczne, urządziła kilka konsylium. Narady i badania doktorów trwały coraz dłużej. Wyrok, na który żona oczekiwała z bijącem sercem, brzmiał równie zawile i równie mglisto jak poprzednie. Janina zaś, pełna bezgranicznej wiary w potęgę wiedzy, we wszechmoc lekarzy, dopytywała po wiele razy, żali jest nadzieja, i domagała się koniecznie, by orzekli coś stanowczego. Nie do-

wiedziała się niczego. Obaj rosyjscy profesorowie po sutem śniadaniu siedli do powozu z cygarami w ustach—i odjechali.

Pani Siewierska wspominała każde wyrzeczone przez nich słowo, zastanawiała się, komentowała, usiłując z zaplątanych odpowiedzi wyłuskać ziarno czstej prawdy I wciąż przeglądała poczynione szczegółowe notatki, bacząc, by każdy przepis znakomitości medycznych był wykonanym. Na tem tle zdarzały się nieraz scysye z panną Gorzelską, która uznawała powagę doktorską, lecz zbyt wielkiej różnicy między miasteczkowym Ziemięckim a przyjezdnym profesorem nie widziała, a, prócz tego, mając więcej doświadczenia, nie uważała lekarzy za półbogów, nie spodziewała się od nich cudu, nie przypisywała takiego znaczenia każdej drobiazgowej wskazówce.

Niecierpliwiło to Janinę, która potrafiła zachować spokój na twarzy, w ruchach i w mowie, ale której nerwy roztargały się... Jeszcze panowała nad sobą. Tylko nocami nie mogła prawie sypiać. Kładła się, lecz zaledwie gasiła światło, chwytała ją taka trwoga, że zrywała się i rozpoczynała swój wahadłowy, rozpaczliwy spacer w pokoju. Zdawało się jej, że nieszczęście stoi za drzwiami i czyha i wnet wejdzie. Modliła się, czyniła ofiary, ślubowała... niekiedy gotowa była przyrzec—komu?—że jeśli on wyzdrowieje, ona odda go, usunie się, przebaczy... Szepcąc wciąż te same pacierze podczas nieskończonego snucia się po pokoju, albo na klęczkach pod ścianą, gdzie wisiał był niegdyś cudowny obraz Chrystusa, chowała twarz w dłoniach i naraz zaczynała wspominać przeszłość szczęścia... Dziś nie pragnęła już nic dla siebie... byleby on żył...

Dopiero nad ranem udawało się jej usnąć a, gdy zbudziła się, bała się wejścia panny służącej, nie śmiała dzwonić i pytać. Nareszcie któregoś dnia doktór nie stwierdził jeszcze poprawy, lecz nabrał nieco otuchy. Zwiastowała nowinę panna Gorzelska, której twarz jaśniała takiem szczęściem, że Janina mimo, niezmiernej radości, której doświadczyła, nie umiała Kasi tego jej szczęścia darować. Obie panie uściskały się. A w kilka dni potem Janina spytała pannę Gorzelską, czy nie jest znużoną.

—Nie mogę wprost patrzeć, jak pani się przemęcza....

—Czuję się zupełnie rzeźką i wypoczętą. Nie czuwam przecież w nocy—odparła panna Kasia.

—Tymczasem pani tak zmizerniała. Wyrzucam sobie doprawdy... przykro jest nadużywać... pani okazuje tyle serca i współczucia, ale istotnie...

Kasia podniosła na nią swoje piękne ze smutkiem w dalekich głębiach oczy, uważnie patrzała chwilę, i nie rzekła nic. Tego samego dnia pani Janina postanowiła przekroczyć straszliwy próg pokoju męża. Ona tylko wiedziała, ile ją to kosztowało. Szła na palcach, zakradając się, czając się, zatrzymała się u drzwi, postąpiła kilka kroków i znowu stanęła. W końcu odważyła zbliżyć się do łóżka.

Jakób, ogromnie wychudzony, bardzo zestarzały z powodu niegolonego zarostu, leżał z zamkniętemi powiekami. Nie otwierając ócz, poszukał ręki panny Gorzelskiej, która pochyliła się nad nim, ujął tę rękę, położył na głowie, na ustach, gładził nią swoje rozpalone policzki. Zaraz potem zaczął majaczyć. Spieczone wargi bełkotały coś szybko. Chory zerwał się, jakby chciał biedz. Janina struchlała—tymczasem był to objaw zwyczajny... Chory nawet miał się lepiej.

W kilka dni potem Kasia, korzystając z zastępstwa Janiny, wybrała się po raz pierwszy od wielu tygodni z książką do parku. Dzień był lipcowy, duszny, z niebem pochmurnem, odurzający upałem i mocnemi woniami. W sercu Kasi przebywało samo wesele. Chory miał się znacznie lepiej. Odrywając raz po raz wzrok od stronic poematu Wyspiańskiego, porozumiewała się z naturą, w której wszędzie spostrzegała żywą radość. Zwłaszcza klomb różowych kampanuli z każdego kielicha zlewał balsam uroku i uciechy, czy też każdym dzewom głosił wesele... Wysokie, prymitywne lilie rozsuwały obłok słodkiego zapachu, niby kadzidło na chwałę radości istnienia. Pszczoły brzęczały ospale w lipach. Na świecie było tak dobrze, że nawet pracowitemu owadowi nie chciało się trudzić...

Kasia od dawna już nie zaznała takiej chwili. Przerwała ją niespodzianem zjawieniem się Janina. Rozmawiała, stojąc, tak, jakby zamierzała zaraz odejść, a ociągała się.

—Sądziłam, że pani poszła położyć się... należy się pani odpoczynek.

—Nie jestem zmęczoną... w szpitalu pracowało się nie na żarty—i podołałam.

—Zapewne, chodzi jednak o to, by nie kosztem zdrowia... Boję się, że pani tu od tylu tygodni... że pani zaszkodzi sobie—ani tak spokojnie, ani tak gładko, jak zwykle, tłómaczyła się pani Siewierska.

—Mam nadzieję, że wobec poprawy wkrótce już...

—Usilnie doradzałabym pani, ażeby pani dla nabrania sił na jakiś czas do Tyszowiec.

Kasia spojrzała na panią Siewierską. Stała tu przed nią oschła, chłodna, bezduszna, wydawała się ucieleśnieniem prawa policyjnego, przemocy kościelnej.

Ona nie ulegnie żadnemu prawu, ani przemocy, nie ulęknie się groźby, nie da sobie zabrać szczęścia swego i szczęścia tego chorego biedaka. O serce męża nie chodzi przecież Janinie Siewierskiej—chodzi jej wyłącznie o paragraf kodeksu małżeńskiego, o konwenans, o pozory.

Kasia patrzała z odrazą, gniewnie, prawie wyzywająco. Pani Siewierska spokojnie wytrzymała ten wzrok.

—Gdybym miała władzę nad panią, nie pozwoliłabym pani stanowczo dłużej czuwać i pielęgnować... Musi się to odbić na zdrowiu—kończyła Janina.

Panna Gorzelska nie zaprzeczyła.

Jakże innym wydawał się jej teraz ten upalny, pochmurny, duszny dzień lipcowy, dzień błogiego wytchnienia w całej naturze, dzień rozleniwiającej rozkoszy, odurzających woni. Sztucznemi zdały się jej lilie, martwemi jakby z papieru kampalule. Nie rozumiała ich, ani one—jej.

Kasia przeczekała dzień jeszcze—i odjechała. Pani Siewierska dziękowała jej ze szczeremi łzami prawdziwej wdzięczności, uścisnęła serdecznie.

A gdy została sama, wzmogła się jej trwoga. Obawiała się, że odtąd cała odpowiedzialność spoczywa na niej wyłącznie, że wzięła na siebie zbyt ciężki obowiązek. Lecz było już za późno. Przestrzegała, by wszystkie przepisy były wykonywane pedantycznie, sama kontrolowała każde

lekarstwo, po 10 razy pytała o wszystko pielęgniarki, zanudzała je.

Tymczasem właśnie dziwnym trafem stan chorego znowu pogorszył się. Dręczona niepokojem Janina nie wychodziła już z pokoju. Całemi godzinami patrzała w oblicze Jakóba.

Chory leżał, jak zwykle, z zamkniętemi powiekami, czasami majaczył.

Pewnej chwili podniósł powieki, poszukał wzrokiem kogoś, oczy spoczęły na żonie w pierwszej chwili z radością, jakoby wdzięczne za coś, następnie zdumione, przerażone, niechętne.

Tak zdawało się żonie. Chory przywarł powieki, odwrócił głowę. Mówiono o nim, że jest stale nieprzytomny, która to okoliczność niepokoiła lekarzy, ale Janina myślała inaczej. Była pewna, iż on nasamprzód nie poznał jej, przyzwyczajony do kogo innego, potem zaś rozpoznał i spojrzeniem odtrącił.

Pani Siewierska wyszła z pokoju.

XXIX.

Sierpniowe słońce świeciło nad Siewierskiem, gdy Jakób, wydobywszy się z bezprzykładnie niemal ciężkiego tyfusu i wszystkich jego powikłań, począł wychodzić do parku. Na świecie przez przeciąg długich miesięcy choroby zmian zaszło niewiele. Stoczono kilka olbrzymich bitew, polały się rzeki krwi, wygłoszono w parlamentach niemało mów o prawie sprawiedliwości, wojna trwała dalej.

W parafii Siewierskiej po dawnemu pracował komitet i otwierał szkółki, zakładał ochronki, rozszerzał szpitale, jadłodajnie, ambulatorya. Władze tolerowały jeszcze tę robotę, lecz usiłowały utrudnić, szykanować, psuć, społeczeństwo zaś po wypaleniu się słomianego ognia zobojętniało, ostygło, skąpiło pieniędzy...

W okolicy nie było już wojska, ponieważ dwa korpusy wysłano na brzeg dalekiego Dunaju, by tam ginęły...

Tak mniej więcej zdawał przed Jakóbem sprawę z przebiegu wypadków Aleksander Zapolski, który odwiedzał go dość często.

Siewierski słuchał obojętnie. Wojna i działalność społeczna niezbyt zajmowały go obecnie, o to zaś, co jedynie zajmowało serce i myśl, nie pytał. Myślał zato, wspominał i tęsknił całemi dniami.

Ale nie było tak od razu po wstaniu z łóżka. Najprzód w przeciągu kilku tygodni obchodziło Jakóba wyłącznie zagadnienie jadła. Dręczył go w owym okresie stale wilczy głód, a surowa dyeta zdawała się wyrafinowanem okrucieństwem. Zaspokoiwszy jako tako apetyt, zapadał w sen, zbudziwszy się, wołał o kleik, a zwłaszcza o sucharki. Potem przyszła epoka, w której cieszył się ze słońca, z chmur z kwiatów, z ptaka, co szczebiotał w pobliżu, z nieba, z życia w sobie i z życia dokoła.

Długie godziny przyglądał się i radował się, dzieląc się z Janiną drobnemi spostrzeżeniami. Byli oboje szczęśliwi, oboje z tego samego powodu. Ale w miarę tego, jak siły poczęły przybywać, kurczyła się owa dobroczynna, prosta, łatwa radość z odzyskania zdrowia. Przyszły wspomnienia, obrazy, myśli, tamte z przed choroby i te, które nie przestawały tkwić w zwikłanym splocie gorączkowych majaczeń.

Nie umiał wówczas w chorobie odróżnić mary od rzeczywistości, nie wiedział tedy i dziś, było li to prawdą, że kładł drogie ręce na czole i na wargach. Wiedział tylko, że tęsknił, a tęsknił tem żarliwiej, im mniej pojmował, czemu znikła naraz, im więcej trwożył się, iż nie ujrzy jej już nigdy.

Serce wyrywało się do szczęścia—ale stawało się coraz bardziej smutnem. Smutniała także Janina. Czytała mężowi pracowicie, usiłując go rozerwać, powieści francuzkie,, powieści angielskie.. Kochali się w tanich księgach papierowi ludzie, cierpieli, gonili za szczęściem, zdobywali je w ostatnich rozdziałach, albo zdobywali zupełnie, gdy autor chciał być oryginalnym, Siewierski słuchał z obowiązku, potem przestawał słuchać. Wolał patrzeć na kwiaty, które chwiały się lekko na wietrze, w obłoki, które płynęły. Stawały przed

nim ona, widział ją z bliżka, pochylał się do rąk, brał ją i garnął, tęsknił i pragnął.

Nie miał już tej, co dawniej siły woli, by opanować pragnienie, zwalczyć tęsknotę. Była w domu jego z nim i przy nim, pielęgnowała go—i nagle znikła. Czemu znikła, że pytanie to tkwiło mu na ustach i dziś od tylu już dni... czemu nie powraca? Nie chciał pytać Aleksandra, mimo, że pytanie to tkwiło mu na ustach i dziś od tylu już dni...

Gdy Aleskander odjechał, Siewierski popadł w swoje zwykłe, smutne milczenie. Milczeli oboje z żoną.

—Możeby jeszcze poczytać?—zwracała się Janina.

—Ii, chyba dość na teraz... albo owszem, dziękuję, poczytaj, proszę—poprawiał się z pośpiechem, rozumiejąc, iż żonie chodzi o to, by go rozerwać, woląc zresztą czytanie od kłopotliwego milczenia, które ciężyło mu.

Pani Siewierska brała książkę, wyjmowała zakładkę i czytała swoim równym, spokojnym głosem, bez intonacyi, wprawnie i szybko, bez wzruszenia, sceny, najbardziej nawet wzruszające.

W błyskotliwej i zabawnej powieści Locke'a ktoś kochał, dręczył, porzucał, ktoś się poświęcał, ktoś cierpiał. Czytając, Janina nie zawsze zdawała sobie sprawę z treści. Jej myśl odbiegała, a raczej nie odbiegała, tylko cofała się w głąb i krążyła w kółko. Gdy w książce bohaterka cierpiała, pani Siewierska odczuwała, że autor niedołężnie opisał boleść, bo ona cierpiała także, lecz cierpiała inaczej, bez pięknych słów, a prawdziwiej.

Obok niej ten biedak, cudem wrócony życiu, cierpiał również i pani Janina nie wiedziała, co zadawało jej większą mękę: jej własny ból, czy też smutek męża.

Znała przyczynę tego smutku. Poco w straszliwym niepokoju o życie męża zmierzyła i poznała głąb własnego kochania, by teraz oto stwierdzić, że nie miała za nie odpłaty. Domyślała się tego przedtem, ale dopokąd można było, wolała omijać, nie dotykać, stąpać ostrożnie, nie dociekać i nie wysnuwać wniosków. Było to jej systemem i zasadą, a zarazem wypływało z charakteru, z nieśmiałości, z miłości własnej, z bojaźliwości, z tego, że była oględną, umiarkowaną, że lubiła spokój i półśrodki.

Grała tedy w chowanego z sobą, z nim, z uczuciem. Może oboje grali w chowanego. Musiało to skończyć się kiedyś. I skończyło się. Dziś już wie dokładnie, że ona jest zupełnie sama na świecie, nikomu nie potrzebna, że osoba jej tylko zawadza, że najlepiejby było, gdyby sobie znikła.

Łzy cisnęły się do ócz. Głos pani Siewierskiej nie przestawał rozlegać się w ogrodzie, brzmiał równo, spokojnie, donośnie, chociaż ona od dawna przestała rozumieć treść rozdziału, chociaż widziała, że on nie słucha od dawna.

Siewierski zatopił się w myślach, wiecznie tych samych. Zapytywał siebie, czemu odeszła i nie powraca, czemu niema jej tu? A że nie było jej, przymykał powieki, wspominał, stwarzał obrazy i stwarzał ją przed sobą, widział ją z blizka, widział usta najdroższe, nigdy jeszcze nie całowane, oczy pełne to swawoli, to tęsknicy, prześliczne włosy, których nie dotknął ustami, ręce jej cudne ręce, które chłodziły mu czoło, które on w chorobie kładł sobie na wargi.

Tęsknił i pragnął jej. I znowu zadawał sobie pytanie, czemu odeszła, czemu nie powraca?

Przyjechała wreszcie. Dzień był pochmurny, ciepły, pełen ciszy, łagodny, jak pieszczota. Od czasu do czasu kropił i mżył drobny deszcz i rychło ustawał. Z niebios gładkich, a nieruchomych, zasnutych wysoko jednostajną, białawą powłoką, nie odgadłby nikt, zanosi się li na pogodę, czy też na słotę. Serce rolnika ważyło się także między zadowoleniem, iż deszcz zasila wczesne oziminy, a obawą, że słota przeszkodzi w robotach.

Siewierski siedział na ganku sam. Gdy tylko usłyszał turkot, przeczuł od razu. Następnie poznał konia z Tyszowiec, słynną Mirtę, potem dojrzał ją. Wysiadła już z jednokonnego powoziku. Była ciemno ubrana, w czarnym męskim pilśniowym kapeluszu, który szpecił ją, bo krył śliczne włosy, śliczne czoło, rzucał cień na oczy.

Siewierski patrzał. Wydała mu się inną zgoła, inną, niż ta, którą widział w obrazach snów, której pragnął, za którą tęsknił, wydała mu się nie tak niebezpieczną, nie tylo groźną.

Doznał jakby zawodu. Więc to jest ona? i to jest moje uczucie? I w sercu, które przepełnił po brzegi okrzyk szczę-

ścia na jej widok, doświadczył jednocześnie ulgi, doświadczył sprzecznej radości, że uczucie jego nie było ani tak groźnem, ani tak niebezpiecznem. Przekonał się teraz, że potrafi je opanować, że będzie wszystko, jak dawniej.

Z bijącem sercem czekał, gdy wolno szła po schodach. Ogarnęła go nieśmiałość, której nie doznawał dotąd ani wobec niej, ani wogóle wobec kobiet. Kasia zato zachowała zwykłą prostotę. Usiadła blizko, uważnie przyglądała się, troskliwie pytała. I zaledwie Siewierski usłyszał jej głos, spotkał się ze wzrokiem drogich źrenic, stajały i nieśmiałość i owa obłuda, a złudna radość, płynąca z poczucia bezpieczństwa i pewności siebie. Zapomniał o niebezpieczeństwie. Odczuwał szczęście.

Szczęście to odmalowało się tak bezczelnie jawnie na wychudzonej twarzy i w oczach, że Janina, gdy weszła i spojrzała na niego, Janina, tak opanowana zazwyczaj, nie zdołała stłumić wrażenia i zamiast tego, by pośpieszyć do gościa, stanęła zdumiona. I naraz oblała się rumieńcem, choć nie rumieniła się prawie nigdy.

Panie przywitały się. Rozpoczęła się rozmowa, sztuczna i nudna. Siewierskiemu nie chodziło o zajmujące tematy, wystarczało mu, by brzmiał jej głos, by znajdowała się w pobliżu, by mógł na nią patrzeć. I kiedy panna Kasia poczęła się zbierać, zatrzymywał ją z uporem chorego, z uporem dziecka.

—Niech pani przyjeżdża!... niech pani nie zapomina!—prosił z cicha—pani jest jak zdrowie—szepnął półżartem.

A ona, zamiast odpowiedzi i obietnicy, uśmiechnęła się tylko oczami i ustami, dawnym uśmiechem swawoli.

Janina udzeliła swej sankcyi zaprosinom męża, powtórzyła zaproszenie w przedpokoju.

—Proszę odwiedzać nas... Mąż mój nie ma zajęcia i nudzi się... mąż mój potrzebuje rozrywki. Proszę odwiedzać nas—mówiła oschle drewnianym głosem, patrząc przytem w przestrzeń.

Kasia nie odmówiła i nie obiecała wyraźnie, ale jęła odwiedzać chorego co kilka dni. Siewierski żył nadzieją, żył oczekiwaniem jej przyjazdu. Filozofia jego, dawniej

zawiła i zawikłana, zawierała się obecnie w jednym dogmacie:

"Wiele miesięcy walczyłem ze śmiercią, stałem na krawędzi, wyżyłem, żyję, chcę szczęścia. Odzyskałem zdrowie i życie, poto, by być szczęśliwym".

I nie zaglądał w przyszłość, nie trapił się o następstwa. Wyciągał rękę po radość swego życia, brał ją, trzymał się jej uporczywie. Nie były to rozumowania, ani teorye, był to głos życia, odmłodzonego przez chorobę, głos zdrowia, głos instynktu.

Ale im żywiej odczuwał szczęście, gdy oglądał ją, radość i jasność swego życia, gdy słyszał głos jej, widział uśmiech, mógł szukać spojrzenia, oczami przenikać w głąb jej ócz przecudnych, najdroższych, nieprzeniknionych, w głąb ócz, należących do niego, oddanych mu, a takich odległych—tem bardziej trapiła go pustka po jej wyjeździe. Wspomniał, lecz nie wystarczały wspomnienia, tęsknił, by drogie ręce dotknęły czoła i warg jego, jak wówczas, by trzymać mógł te ręce, by ustami poznał słodycz jej ust.

I tęskniąc, zapadał znowu w dawny smutek. Mimo, że odsuwał starannie, a przezornie wszelką o jutrze wzmiankę, rozumiał beznadziejność tęsknoty, pragnień, przyszłości. Nie miał dość sił walki na dziś i na jutro. Jutro będzie, co Bóg da, byleby dzień dzisiejszy niósł mu radość.

Zato Janina, cierpiąc w teraźniejszości, z troską i trwogą nieopisaną, zastanawiała się nad tem, jakimże będzie jutro, jeśli tak jest dziś. I nie widziała wyjścia. Do walki nie miała także sił. Gdyby to od niej zależało, zeszłaby z drogi, odeszłaby w cień, zabierając z sobą ból swój, którego tych dwoje wcale nie chciało, czy nie umiało spostrzedz, ale nie ona stanowiła tu przeszkodę. Kościół i świat, rozsądek i obowiązki stawiały swoje veto. I była Stasia.

Przeprowadziwszy najstaranniej dezynfekcyę w domu, upewniwszy się u najrozmaitszych doktorów, że zarazki tyfusu nie zagrażają już nikomu, pani Siewierska pojechała po córkę, do której ona tęskniła, o którą ojciec prawie nie pytał. Srogi niepokój dręczył ją, kiedy w kilka dnia potem zajeżdżała pod ganek dworu Siewierskiego. Jak zastanie męża? Jakiem będzie przyjęcie? Może widok córki?...

Była to właśnie godzina, w której zwykle panna Gorzelska odwiedzała chorego. Janina z daleka dostrzegła znany powozik tyszowski. Jakób i gość znajdowali się w parku. Pani Siewierska udała się tam ze Stasią. Z piskliwym okrzykiem szczęścia, dziewczynka rzuciła się ku ojcu. Ten zaś wziął ją w objęcia, całował, ale jakby z obowiązku, potem bawił się chwilę jasnemi włosami dziecka, potem zadał parę urzędowych pytań.

Stasia zesztywniała natychmiast i zamknęła się w sobie, i nawet panna Kasia, która miała i wyjątkowe powodzenie u dzieci i wyjątkowo umiała z niemi obcować, nie potrafiła jej rozruszać. Stasia usiadła grzecznie na krześle, wzorowo złożyła ręce, grzecznie odpowiadała.

Roztargnione spojrzenia Siewierskiego błądziły gdzieś w dali wśród żółknących drzew, nad wodą kanałów, nad wodą, co kryje na swojem dnie wszelką wiedzę, skarb i pokój, w której odbija się wszystko i wszystko trwa. Niekiedy długą chwilę przyglądał się pannie Gorzelskiej. Zdumione oczy dziecka podniosły się parę razy na ojca, na gościa.

Od owego dnia Stasia poczęła stronić od ojca, a pannie Kasi okazywała wyraźną niechęć. Gdy ta przyjeżdżała, Stasia zakopywała się gdzieś, kryła się, znikała, gdy zaś rodzice zostawali we dwoje, milczała uparcie, patrząc tylko od czasu do czasu to na jedno, to na drugie swemi dużemi, smutnemi oczami wątłego, przedwcześnie rozwiniętego dziecka.

Posiedzenia rodzinne były istną męczarnią dla ojca, dla matki, dla córki. Stasia przerywała je pod lada pozorem i szła wybiegać się w alejach, szła do rządczyni, do garderoby, do stajni. Surowa pani Siewierska tolerowała te niedarowane wybryki, nie pilnowała "manier". Za to Stasia obecnie garnęła się do niej, zarzucała jej niekiedy ręce na szyję, gładziła szybkiemi, kobiecemi, pieszczotliwemi ruchy zatroskane czoło matki.

Rozmawiać z matką, która dotychczas czuwała tylko nad akcentem francuskim, przestrzegała wymowy i błędów angielskich, Stasia nie nauczyła się jeszcze i żałowała tych czasów, gdy brało się stołek, siadało się u nóg ojca, nudziło się go tysiącem pytań, dokuczało się mu, czekając, że nuż

rozgada się ojciec i zacznie opowiadać tak, jak tylko on to umiał. Rozumieli się pysznie tych dwoje: ojciec: i córka. Dziecko słuchało chciwie, potem z kolei drżącym, dziecięcym głosem z powagą, jakby chodziło o tajemnice najświętsze, zwierzała swoje myśli, swoje plany.

Teraz dziecko nie miało już dla ojca ani pytań, ani zwierzeń. Stasia płakała skrycie nad jakiemś złem, którego nie rozumiała. Stasia cierpiała. Ale Siewierski nie spostrzegł tego.

Wśród przepychu drzew jesiennych, w słońcu najpiękniejszych dni wrześniowych, było mu albo zbyt dobrze, albo czasami zbyt źle. Spoglądał na złociste, szkarłatne, krwawe i ogniste płaszcze swoich ukochanych monarchów ogrodowych, ku wodzie, bo kryje w głębiach swoich jakowąś prawdę, czy jakowąś tajemnicę, i ani marzył, ani dumał.

Marzyć nie mógł, bo o czemże miałby marzyć, myśleć nie chciał, bo na dnie każdej myśli spoczywała trucizna. Rozumiał, iż wrótce nastąpi koniec, czuł, że zbliża się rozwiązanie—i żałował każdego dnia, każdej godziny tak, jak żałował każdego liścia, który wolno spływał w ten czas bezwietrzny na ziemię...

Przecudnie pachły te liście, w słońcu polatywały ostatnie motyle, unosiły się w powietrzu pasma pajęczyn, niebo było bez chmur, jak bywa często podczas polskiej jesieni, niebo stało się przepychem błękitu. Zbyt było pięknie, by mogło tak trwać.

Panna Kasia przyjeżdżała zwykle zaraz po obiedzie. Janina przyprowadzała ją samą, kilka minut obowiązkowych zabawiała, i znikała. Ich zaś ogarniała wówczas radość, której nie próbowali ukrywać, ani przytłumić. Niekiedy chwytała ich wesołość. Czasami woleli milczeć i dzielić się rzadką zwięzłą uwagą, i nakazana przez ewangielię mowa: "tak, tak i nie, nie" w zupełności im wystarczała, czasami stawali się mównemi i wspominali wówczas podróże, dzieciństwo, zastanawiali się nad ludźmi, albo po prostu "bajali".

Oboje opowiadali bardzo dobrze, zresztą nie dobór wyrazów i określeń stanowił urok w ich opowieściach, czy "bajach", ale głąb przeżyć i odczuć u obojga jednaka. Jednakie także, mimo różnicy w poglądach a przekonaniach,

mieli horyzonty , ten sam poziom kultury, jednakie zachwyty i wstręty. Filisterstwo i mierność, płytkość i szych, tłum i jego gusła, gusła a bożki budziły w nich jednakową odrazę.

Dzieliło ich bardzo poważnie zagadnienie religijne, lecz tej sprawy nie dotykali prawie nigdy. I czasami toczącą się między niemi rozmowę ktoś, ktoby słuchał ze strony, mógłby nazwać arcydziełem obcowania dwu pokrewnych umysłowości. Ale Siewierskiego często ogarniał niepokój. Zmieniał wówczas tematy, przerywał każdy wątek, stawał się cierpkim lub szyderczym, nie chciał ani milczeć, ani mówić, dokuczał.

Kasia darowywała mu, jako choremu. Niekiedy Siewierski przebierał miarę darowywała mu także, lecz on sam żałował słów swoich, jakiegoś niesłusznego zarzutu, jakiegoś zjadliwego żartu, gniewał się na siebie , popadał w zły humor, w rozdrażnienie, milkł sztywniał.

I rozstawali się nieraz na kwaśno, przynajmniej z jego strony. Siewierski gryzł się zaraz po odjeździe Kasi, czemu zmarnował krótkie godziny, nieliczne godziny. Czekał następnego odwiedzenia, starał się naprawić. Naprawdę zaś nie było czego naprawiać. Kasia przychodziła serdeczna, prosta, łatwa, jak gdyby nie pamiętała nawet. On także zapominał i mijało kilka pogodnych godzin, mijały chwile szczęścia.

Aż znowu następnym razem Jakóba zdejmowały niepokój i niecierpliwość, duch zła, przychodziła pokusa. Pożądał jej rąk, jej ust, jej ócz, szczęścia i kochania, bo wszak w kochaniu i szczęściu zawierał się sens życia... Co mu było po mądrych rozmowach?! Ona zdawała się nie spostrzegać natarczywych spojrzeń jego. Nie dbała o nie, nie dbała o niego. I Jakób, w głębi potępiając siebie za małoduszność, obłudnie oskarżał ją niekiedy o chłód, o obojętność, o "purytanizm", który nie wypływał z religii, lecz z nudnej, postępowej, mieszczańskiej etyki.

Dlatego też dokuczał. W szermierce na słowa nie każdy mógł mu sprostać. Był zjadliwy, cięty, subtelny. Lubił szczególnie pastwić się w takich wypadkach nad jej ideałami, zakradać się do świętego przybytku jej duszy, i tam naigrawać

się, lubił udawać cynika, sceptyka, światowca, złośliwym, światowym śmiechem śmiać się z postępowych, proletarskich utopij...

Niekiedy stawiał jej jedno z tych pytań, których ani ona, ani on, ani nikt nie potrafił rozstrzygnąć, które, by módz żyć, działać i wierzyć, trzeba omijać, które omijają wszyscy. Gdy udawało mu się zaplątać ją w sprzecznościach, cieszył się. Któregoś dnia doprowadził ją prawie do rozpaczy.

—Nie wiem, panie, nie wiem, nie wiem!—zawołała—nie mówmy lepiej!

I zerwała się z krzesła, może, by odejść, lecz została. Milczeli oboje.

Dzień był także pełen milczenia. Niebo, jak zdarza się często we wrześniu, niespodzianie, bez wiatru zaczęło rozchmurzać się. Poprzez rzedniejące, wysokie chmury świtała nadzieja, jaśniało przeczucie błękitu. Słońce, zdążające ku wieczorowi, nie ukazywało się także. W przeźroczem powietrzu unosił się aromat liści, zapach jesieni. Wyniosłe, okazałe przepychem barw drzewa stały wsłuchane w coś, wpatrzone kędyś. Nieruchoma, gładka woda w kanałach dumała nad tem, co przybywało w dalekiej głębinie, dalej i głębiej, niż drzewa i niebo, które odbijały się w jej toni. Trwała taka cisza, że gdy liść spływał z gałęzi, to zdawało się, że szeleści, chociaż liść opadał bez najlżejszego nawet szmeru...

Naraz Siewierskiego chwyciła niezmierna skrucha, uczyniło mu się żal.

—Niech pani się nie gniewa, niech pani wybaczy!—rzekł cicho, miękko, z prosbą.

Spojrzała na niego z dobrocią i zarazem bojaźliwie, trochę jak dziecko. A wówczas Siewierski ujął ją za ręce, których pożądał, trzymał je, gniotąc w gorących dłoniach zimne, smukłe jej palce, potem wziął ją w objęcia gwałtownie, niespodziewanie, przygarnął ku sobie, przytulił, okrywał pocałunkami jej czoło i oczy i włosy, całował bez pamięci, przylgnął ustami do ust, tak jak pragnął, jak marzył i śnił od tylu dni, przez tyle dni...

Była tak zdumioną, że nie broniła się. Poddała się biernie pieszczotom z jękiem szczęścia w sercu. Potem usunęła się. Może najdroższe wargi szpnęły jaki wyraz, Siewierski nie dosłyszał.

Siewierski uwolnił ją z objęć, wypuścił umiłowane ręce, które opadły bezwładnie. Stała ze spuszczoną głową. Milczeli. Dookoła milczały nieruchome drzewa, gładka woda, dalekie niebiosa, które rozchmurzały się powoli.

Naraz na ścieżce żwir zachrzęścił pod szybkimi kroki. To Stasia biegła w podskokach oznajmić, iż Mirta zaprzężona, Podali sobie ręce w milczeniu. Panna Kasia odeszła. Stasia z oczami rozwesolonemi w niedawnej zabawie z synem rządczyni przyjrzała się ojcu, którego wzrok wydał się jej niechętnym i jakoś dziwnie świecącym, a przykrym, gdy postąpiła, by zbliżyć się ku niemu.

Zawahała się. Czoło ojca było zmarszczone, pochmurne niecierpliwe.

—Co się tak przypatrujesz?—spytał szorstko.

Stasia rozpłakała się nagle.

—Czego płaczesz?—ofuknął ją ojciec.

Dziewczynka podniosła piąstki do ócz. Siewierski pożałował jej, wyciągnął ku niej ręce, upieścić ją i uspokoić, jak dawniej. Zawahał się. Położył tylko rękę na główce biednego, rozszlochanego dziecka, które, wstrząsane łkaniem, nie mogło złapać tchu.

—Czemu to Stasiu?—powiedział łagodnie ze współczuciem, z żalem, z wyrzutem także.

Nie dokończył Stasia uciekła w głąb parku. Jakób patrzał za nią w ślad, na wysokie, wspaniałym szkarłatem i złotem okryte drzewa, za któremi skryła się, w dalekie niebiosa, które rozchmurzyły się powoli i mżyły obietnicą błękitu, w zadumane oblicze milczących wód, które wszystko kryją w głębinach swoich na dnie, na samem dnie dalej i głębiej, niż one odbite w nich niebiosa...

Jakób zasłonił dłonią oczy i tak stał długą chwilę...

Tymczasem Janina, która zwykle, gdy zajeżdżał koń z Tyszowiec, wysyłała Stasię z oznajmieniej, a potem szła sama do ogrodu na spotkanie gościa, by pożegnać i odprowadzić do powozu i spełnić skrupulatnie wszystkie nakazane

ceremonie, uprzejmie zabawiała pannę Gorzelską jakąś rozmową na temat pogody.

—Taka jesień to wielka pomyślność ze względu na męża mego—mówiła swoim bezdźwięcznym, równym głosem—w obecnych czasach trudnoby było szukać gdzieś lepszego klimatu. Podróże są niezwykle utrudnione.

Ponieważ panna Gorzelska milczała, Janina ciągnęła dalej.

—I pani kochanej przyjazdy, to także wielką pomyślność. Mąż mój tak potrzebuje towarzystwa. I właśnie chciałam prosić, ażeby całe Tyszowce, ażeby pani nie zapomniała... Mąż mój zostanie wkrótce sam... nie może zaś jeszcze nigdzie bywać—uprzejmie zapraszała gospodyni.

—Pani odjeżdża?

—Tak pani. Już za kilka dni. Dom Siewierski nie urządzony na zimę, front blizko, panują tu epidemie, Stasia musi zabrać się do lekcyi. Nie sądzę zaś, by mąż mój zgodził się opuścić te strony, gdzie ma zajęcie społeczne, interesy—tłómaczyła pani Siewierska bardzo rzeczowo, jednostajnym głosem bez modulacyi, jakby powtarzała wyuczoną lekcyę.

—Będzie tedy pani bardzo samotna—odezwała się teraz Kasia, by coś powiedzieć—podobno na owej wsi w Mohylewskim niema sąsiedztwa, niema ludzi wogóle.

—Mam tak złe wspomnienia z miasta i zeszłej zimy, Stasia tyle chrowała, że wolę już odludną wieś.

—Woli pani zapadłą wieś...

—Chyba już tak... Zresztą doprawdy nie zastanawiam się. Trzeba się zastanowić, trzeba umieć znieść wszystko, nauczyłam się.

Wargi jej zatrzęsły się, urwała na mgnienie, Kasia nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

—Przywykłam od dawna, że wszędzie jest źle, że nigdzie nie może być dobrze, gdy się jest niepotrzebnym—mówiła dalej pani Siewierska głasem obojętnym, jak rzecz najpospolitszą, z bladym uśmiechem na martwej twarzy.

Panna Kasia stanęła.

—Jak pani może tak mówić?—Zawołała.

—Pani sądzi inaczej?—Znowu lekko zadrżały usta. Ja-

niny opanowała to drżenie, wysilała się na blady uśmiech, który tak nie pasował do nieruchomej twarzy.

—Nie wolno tak mówić, nie można tak myśleć, doprawdy pani! nie wolno—powtarzała Kasia...

—Czyż powiedziałam coś szczególnego. W moim wieku nie ma się już złudzeń. Każdy musi przejść twardą szkołę życia.

Słowa brzmiały spokojnie i objektywnie, niby frazes z gramatyki, a zdawało się Janinie, gdy mówiła, że biedne jej, skaleczone, tyle razy stratowane serce rozsadzi pierś, zadławi ją, chluśnie przez usta strumieniami krwi.

Kasia patrzała w nieruchome oblicze mówiącej, zdumionemi, pełnemi litości i żalu oczyma. Dotychczas uważała panią Siewierską za uosobienie konwenansu, miernoty, szablonu i banalności, nudy, chłodu i bezduszności i nie zastanawiała się nad nią nigdy. Teraz po raz pierwszy dostrzegła niezmierną boleść, cierpiące serce, ogrom kochania, duszę mężną i pełną poświęcenia. Kasia pragnęłaby pocieszyć, uspokoić, pokrzepić, a nie miała co rzec. Milczała.

—Niechże pani odwiedza Siewiersk i chorego, gdy odjedziemy—kończyła oficyalnie Janina.

—Mąż mój nie uznaje dyety doktorów, lekarstw, pani ma zbawienny wpływ w tym względzie.

—Ja mam wpływ...

—Będzie pani trochę czuwała—nieprawdaż?

—Zepewne... Najchętniej pani, dopokąd... ja... nie odjadę—chwiejnie wstawiła Kasia.

—Pani jedzie także?...

—Tak—teraz już stanowczo—potwierdziła panna Gorzelska.

—Ale zanim pani odjedzie...

Panie pożegnały się przy powozie. Panna Kasia wskoczyła lekko, odebrała wyrostkowi lejce, zacięła biczem szkapę tyszowską, znaną Mirtę, która ruszyła ociężałym kłusem. Janina patrzała chwilę ku bramie, potem wolno poszła w stronę parku. Wiedziała, iż zastanie tam męża, albo milczącego, albo rozdrażnionego, że ciężko wlec się będą długie godziny życia, które stało się tak bardzo trudnem od nie-

jakiegoś czasu. Uginała się pod jego brzemieniem, choć dźwigała mężnie.

Gdybyż przynajmniej można było dostrzedz jakikolwiek kres lub wyjście dla niej, dla niego, dla tych dwojga, którzy bawią się oto od miesiąca, może od roku w szczęście i miłość, którzy widocznie łudzą się, choć nie są dziećmi. Łudziła się i ona niegdyś, że życie jest jakąś sielanką.

—Ale to już niezmiernie dawno temu, tak dawno, iż nawet zapomniała.

Jakób raz, w chwili szczerości powiedział o niej, że nie była nigdy dzieckiem, że urodziła się od razu trzydziestoletnią. Tymczasem dziś wybuchła jak dziecko, dziś wyrwała się z tą jakąś skargą—strofowała siebie zrównoważona pani Siewierska, nieprzyjaciółka scen, wybryków, wszystkiego, co zakrawało na brak taktu.

W szczęściu można się dzielić z innemi, cierpienie należy zachować dla siebie... Ludzie przez tyle lat uważali ich za wzorowe stadło, a ją za bardzo szczęśliwą. Niechby myśleli tak i dziś jeszcze. Tymczasem świat wziął już na języki, w świecie krążą najdziwaczniejsze pogłoski—z niepokojem myślała Janina, idąc przez ogród.—Gdybyż Jakób zechciał liczyć się przynajmniej z opinią świata—jeśli nie dba ani o nią, ani o córkę...

Janina usiłowała stłumić łkanie, którem nieszczęsne, podeptane serce chciało sobie ulżyć.—Zwolniła kroku, by opanować wzruszenie. A gdy tak szła powoli ku mężowi, przypomniała się jej odraza, z którą mąż odwrócił się od niej w tyfusie, przypomniały się złe oczy, któremi zmierzył ją tego roku na wiosnę, kiedy odradziła mu jazdę do Siewierska, i przypomniała się owa chwila w Tyszowcach po pogrzebie prezesa Zapolskiego, kiedy ona przyszła stanąć po raz pierwszy między nim, a nią...

I znowu łzy zaczęły gromadzić się w oczach i w sercu, i zdawało się, że serce wnet spłynie krwią. Pani Siewierska zatrzymała się na mgnienie, ażeby zdławić to niedorzeczne rotkliwienie. Mężowi, który przywita ją wzrokiem niechętnym, albo znudzonym, chciała okazać twarz spokojną, jeśli nie zadowoloną.

Dnia tego Janina zastała męża ani zniecierpliwionym,

ani milczącym, jak spodziewała się—przeciwnie, Jakób okazał się mównym i uprzedzającym. Rozpoczął rozmowę i podtrzymywał rozmowę tak, jak bywało dawniej, przez tyle lat, gdy trwał między niemi stosunek, może sztuczny nieco, ale wygodny i bezpieczny.

Pani Siewierska zauważyła od razu, że mąż ma twarz udręczoną i zauważyła także, iż woli być z nią, niż sam na sam a, przebywając już z nią, nie chce milczenia. Została tedy w ogrodzie, zabawiała Jakóba do wieczora, towarzyszyła mu stale nazajutrz, potem nstępnych dni.

Rozpoczęły się tedy znowu głośne czytania, gdyż w ten sposób łatwiej zabijało się czas i milczenie. Stasia wymykała się do rządczyni, którą lubiła, albo do stajni, gdzie bawiła się wybornie, albo do kuchni. Wałęsała się, nabierała złych manier, rodzice zaś, o ile można było sądzić z pozoru, uważali za rzecz najpilniejszą zapoznanie się z najnowszym utworem "Bourgett'a".

Siewierski unikał samotności i milczenia, bo unikał udręczającej go myśli. Rozumiał, iż doszedł do pewnej mety, iż nie wolno mu było nadal oszukiwać siebie, ni jej, iż należało znaleść wyjście—a wyjścia nie było. W przeciągu roku igrał z sobą, z nią igrał z ogniem—trąciło może to porównanie myszką, lecz wyrażało prawdę. Utworzył się węzeł, czy splot, niemożliwy do rozwikłania, łatwy do rozcięcia. Chodziło o miecz i o cięcie.

Ale cięcie zadawało ból nie tylko jemu. Gdyby był młodszym, albo obłudnym, lub tylko nieszczerym, plótłby sobie zapewne o prawach serca, o rozwodzie; w obecnych okolicznościach nie próbował nawet łudzić się. Między nim a nią stało małżeństwo, a na straży małżeństwa stały: kościół, córka, pamięć matki, on sam zresztą ze swoją małodusznością, jeśli to była małoduszność, i przedewszystkiem świat, który dziś traktował go, jak dziwaka, jak świętoszka i obłudnika dlatego, że on nie uprawiał rozpusty, niezawodnie patrzałby na niego z podziwem, gdyby zafundował sobie dwie naraz metresy i strwonił na nie pół Siewierska, ale nie darowałby mu skandalu. A skandalem byłyby porzucenie żony, staranie się o rozwód, albo zmiana religii, ożenienie z niejaką panną Gorzelską.

Siewierski znał świat, pogardzał światem, co zaś przeważało w nim w danym wypadku poszanowanie przepisów kościoła, czy też strach skandalu, nad tem wolał nie ztstanawiać się. Wiedział, iż nie zdobędzie się na krok, którego ona zapewne spodziewa się. Czy spodziewa się?

Nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Zdawało mu się, iż znał ją, w rzeczywistości zaś nie znał jej zupełnie. Czy osądza go i jak osądza go?—zapytywał siebie Jakób podczas nocy bezsennych i wspominał rozmowy z nią, urywki zdań, jakieś znaczące powiedzenie.

Z uśmiechem szyderstwa, z uśmiechem powątpiewania słuchałaby zapewne, gdyby tłómaczył jej przepisy religijne i dogmat świata. Należała do typów silnych, nie ulękłaby się walki ani z pierwszemi, ani z drugim. Siewierski także nie uważał siebie za człowieka słabego, chwiejnego, połowicznego. Dotąd zwykle bywało tak, że albo szedł prosto wytkniętą drogą do celów swoich, o ile jakieś cele sobie nakreślał, albo nie szedł zupełnie; teraz zaś zaplątał się w sieć, którą przez dwa lata sam wiązał misternie... Ktoś z nich dwojga jest tu w błędzie i trwa w przesądzie: on, spętany przepisami kościoła, opinią świata, czy też ona, ulegając przesądowi postępowanemu, podług którego przykazania religii są przesądem?

Któreś z nich jest w błędzie—to pewna, i pewnem jest także, że: cierpią oboje, że zabłąkali się, zgubili drogę i szczęście. Znaleźli się wobec zagadnienia, z któregoby pierwszy lepszy autor bez zbytniego mozołu stworzył utwór sceniczny, czy powieść, które to zagadnienie, przeniesione ze stronic książki do rzeczywistości, nie mogło być rozwiązanem.

Siewierski uprosił sobie dramat i nie zastanawiał się zupełnie nad żoną, odsuwał też na bok cierpiące własne, myślał wciąż o niej, którą zawiódł, którą zawiedzie.

W każdym razie należało coś przedsięwziąć. Oczekiwać, że zjawi się dobroczynny "deus ex machina", było więcej niż niedorzecznem. Zresztą najbujniejsza imaginacya nie potrafiłaby wyroić, na czemby miało polegać działanie cudu lub "deus ex machina". Trzeba było jawnie i śmiało wyznać

winę swoją, jeśli tu była wina, wyznać małoduszność, jeśli tu była małoduszność. Tak, były zapewne jedno i drugie, a prócz tego, prócz winy i małoduszności: ogrom kochania i ogrom cierpienia. To jedno mogło usprawiedliwić...

Siewierski postanowił pierwszego dnia, w którymby doktór udzielił pozwolenia na dłuższą wycieczkę, wybrać się do Tyszowiec.

Janina sprzeciwiała się temu stanowczo ze względu na zdrowie, doktór nie zabraniał wyraźnie, lecz raczej odradzał, Jakób zwlekał—wkońcu pojechał.

Nie układał sobie żadnego planu; miał powiedzieć jej całą prawdę o sobie... Niech go potępi zato, że on całe szczęście życia swego złoży w ofierze córce i pamięci matki, zasadom religii, świata...

Odwróci się od niego, jako od człowieka słabego, który nie umie się wyzwolić. Jakób wolał nie wybiegać myślą naprzód... W znękanem sercu drżała radosna nadzieja ujrzenia jej raz jeszcze, spotkania wzroku jej, usłyszenia głosu—oczy tęskniły do ócz, ręce do rąk, usta do ust...

Cała niemal rodzina Zapolskich wyległa na ganek i przywitała Jakóba, jak wskrzeszonego Łazarza, brata Maryi i Marty z Bethanii. Pani Barbara zadała mu swoim grubym, męskim głosem wiele pytań, obie panny, Karusia i Adela, o mała nie wzięły go w objęcia i nie ściskały z radości.

Panny Gorzelskiej nie było w domu. Musiała wyjść na daleki spacer i nie wracała. Siewierski czekał. Znudził panie rozmową, która wciąż utykała, znużył się sam, przesiedział w czeczotkowym salonie prawie dwie godziny i odjechał, nie doczekawszy Kasi.

W drodze zatrzymał się tam, gdzie przed dwu laty spotykali się zwykle i jeszcze czekał długo. Zapomniał już niemal o tem, czego tu przybył, co miał jej powiedzieć—pragnął tylko spojrzeć na nią, wzrokiem powitać, widzieć raz jeszcze jeden. Szukał w piasku gościńca śladu jej stóp. Nie było tych śladów... Nie było jej. Wreszcie kazał furmanowi ruszyć... Znudzone staniem konie pomknęły ostrym kłusem przez las...

Z bocznej leśnej ścieżki, gdzieś w pół drogi między Siewierskiem a Tyszowcami Kasia widziała pędzące gościńcem

konie, powóz, Jakóba. Stała w gąszczu i nie mogła być dostrzeżoną przez niego. Nie ukrywała się, nie wiedziała, że on się wybierał był do Tyszowiec. Traf chciał, żeby się rozminęli. Ona codzienną przechadzkę skierowała w stronę Siewierska, wybierając krótsze drogi i nie spotkała go ani gdy szła, ani, gdy wracała...

Nie spodzewała się tych jego odwiedzin. Na mgnienie
Nie spodziewała się tych jego odwiedzin. Na mgnienie błysnęła nadzeja niedorzeczna, dziecinna—i zgasła wnet. Ona sama przecież odebrała sobie wszelką nadzieję. Nie poto człowiek cierpi, zmaga się z bólem, a zmógłszy boleść, tworzy postanowienie, by potem pod byle jakim pozorem, z byle jakiego powodu słabł w postanowieniu swojem, ulegał, ustępował...

Kasia słuchała oddalającego się turkotu, a gdy ten zamilkł, słuchała jeszcze. Wiatr zachwiał gałęźmi osik, brzóz, dębów, wśród których stała. Posypały się tłumnie liście, jak gdyby drzewa chciały ją zagrzebać z litości... Kasia ruszyła wolno ku domowi.

Gdy Jakób po powrocie z Tyszowiec zajechał przed dwór, Janina wybiegła na spotkanie męża w takim popłochu, jak gdyby pod nieobecność jego zaszło coś niezwykłego. Ale Siewierski nie pytał o nic, i powoli z trudem szedł po stopniach. Ona także milczała.

Twarz żony, w którą od dawna nigdy nie patrzał, wydała mu się białą, jak chusta. Siewierski, nie zdejmując palta, skierował się do salonu. Było mu zimno, jak owego majowego wieczoru w przeddzień choroby, odczuwał również zmęczenie. Usiadł na najbliższem krześle, pod ścianą u drzwi, po jednej stronie, Janina—z drugiej strony od drzwi. Oboje milczeli... Ktoś mógłby pomyśleć, że czekają na kogoś.

—Jakże tam w Tyszowcach?—spytała Janina.

—W Tyszowcach wszystko, jak zwykle.

Nastała cisza.

—Co ci jest dziś?—odezwał się Jakób.

—Mnie nigdy nic nie jest — odparła.

Siewierski zauważył, iż żona jak gdyby dławiła się każdym wyrazem.

—Wyglądasz blado.

—Wyglądam, jak zwykle.

I znowu była cisza.

Jakób, jakkolwiek sam pełen niedoli, zrozumiał dziś po raz pierwszy nieszczęście żony, lecz nie miał dla niej współczucia. Własne cierpienie uczyniło go twardym, obojętnym, i jakby głuchoniemym. Pragnął przedewszystkiem, ażeby zostawiła go w samotności. Ona odczuła tę jego chęć i wyszła.

Wówczas Jakób udał się do swego gabinetu, otworzył szufladę, wyjął tom Słowackiego, z którego czytała mu panna Gorzelska, Znajdowała się tam amatorska fotografia Kasi. Przerzucając stronice, odczytywał ustęp, zakreślony jej ręką:

"Oto chciałabym być jaką rzeczą, żyjącą przy tobie, Anhelli, pająączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym... Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra, jak matka twoja, więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy..."

I dalej przeczytał:

"Wródcił więc Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było".

A z fotografii Kasia uśmiechnęła się i mrużyła oczy od słońca, które zalewało trawnik, kępę drzew i jej białą postać. Oczy Siewierskiego, gdy patrzał w drogie oblicze, mrużyły się także...

Siewierski nie słyszał i nie poznał na korytarzu powolnych i jakby niechętnych kroków żony. Nagle za drzwiami jego coś ciężkiego runęło na ziemię... To Janina, zaczepiwszy nogą o fałdę na chodniku dywanowym, upadła jak długa. Ochłonęła z przestrachu, ale nie od razu dźwignęła się. Lepiej jej było na ziemi, w poniżeniu, w prochu, bo chciałaby wić się z bólu, albo może modlić się...

—Cóż ci to — spytał mąż — stłukłaś się mocno...

—Potknęłam się i upadłam... nic mi się nie stało—odparła, siląc się na uśmiech.

We dwa dni potem panna Gorzelska przyjechała do

Siewierska. Ubrana była, jak zwykle, w czarnej sukni, bardzo już wytartej, miała swój ulubiony czarny męski kapelusz, który szpecił ją, wyglądała jak zwykle.

Janina zaprowadziła gościa do ogrodu, rozpoczęła się rozmowa o tem, że chłodło, że nocny przymrozek zwarzył kwiaty, że z frontu nie było nowin osobliwych Janina wycofała się i dalej toczyła się rozmowa o wojnie, urywana, niepotrzebna.

—Przyjechałam pożegnać państwo—rzekła panna Gorzelska po jednej z częstych przerw—wyjeżdżam tymi dniami.

Zatrzymała się, może by opanować wzruszenie, którego wszakże znać nie było. Siewierski milczał i czekał.

—Myślałam wiele tymi dniami o sobie, o panu... Czyniłam rachunek...

Jakób wbił wzrok w ziemię, słuchał słów, jak wyroku.

—Twierdziłem zawsze, że uczuciu przysługują wszelkie prawa i przywileje, że uczucie powinno być głównym budowniczym. Dowodziłam także, że należy uczuciu wszystko złożyć w ofierze. Myliłam się... całopalenia z bliźnich czynić nie wolno...

Nie mówiła ani tak jasno, jak zazwyczaj, ani tak prosto. Siewierski, nie rozumiejąc poszczególnych zdań, rozumiał trześć wewnętrzną, ukryte znaczenie słów, odczuwał, ile ją kosztowała ta rozmowa.

Milczał, by nie utrudniać sobie, nie utrudniać jej, a chciałby przerwać, by ona przestała zadawać sobie mękę.

Czemuż nie wolno mu było paść do nóg, przeprosić, wyznać prawdę kochania!

—W dodatku ludzie nieraz bezwiednie zwodzą i innych —mówiła jeszcze Kasia.—Zbyt często i wiele ludzie prawią o miłości, każdy stosunek przyjazny zwie się zaraz szumnie miłością. My także kłamaliśmy sobie...

Urwała.

Wysmukłe, a mocne jej palce, bawiły się jakimś liściem.

Siewierski parzał na liść, na drogie ręce, podniósł spojrzenie wyżej, ku twarzy jej, która stała się bladą, jak opłatek.

Malowała się na wychudzonem obliczu męka tych wszystkich dni, a męka zadawała kłam słowom. Kłamała teraz, gdy zarzucała i sobie i jemu kłamstwo. Nieskończona żałość chwyciła Siewierskiego. Czemuż on nie może paść jej do nóg, całować jej drogie, biedne stopy i biedne drżące ręce, zbielałe usta, oczy, w których głębi przebywa bezmiar cierpienia i żałości.

—Zapewne i pan przeprowadził ścisły rachunek uczucia —zaczęła cicho, patrząc w ziemię. Przekonaliśmy się oboję, że nie wytrzymałoby ono ogniowej próby. Braliśmy pozór za rzecz w sobie...

Nastała cisza. Może czekała na jakieś słowo z ust Siewierskiego... Czyżby spodziewała się zaprzeczenia?

"O co rozbiło się ich szczęście i kochanie? o jego małoduszność? o mur obowiązku? o zasady? o przesąd? o bohaterstwo?—zapytywał siebie tymczasem Jakób.—Ocokolwiek rozbiła się radość ich życia, nie zostało im już nic krom cierpienia..."

Milczenie trwało. O czemże on miał jej mówić... O tem, że chciałby paść jej do nóg, że chciałby ją wziąć w objęcia i unieść i znaleść drogę, której nie było, schronić się w takim jakimś kraju, którego niemasz!

Oboje patrzyli w ziemię. Chłodny wiatr szumiał w drzewach.

—Tu roboty jest dużo, ale gdzieindziej jest jej jeszcze więcej—odezwała się Kasia, przechodząc na ton rzeczowy.—Wzywają mnie natarczywie do Rosyi. Tam podobno wśród wygnańców trudno podołać... Nie wszędzie znajdzie się taki geniusz organizatorski, jak Aleksander...

Nastała cisza.

—Pan zapewne także nie zostanie tu przez zimę—spytała wprost.

—Nie, pani, zapewne... Nie wiem... będę dojeżdżał...

—Mówiła mi żona pana, że nie przeniesie się do miasta.

—Nie przeniesie się do miasta—jak echo powtórzy.

—Podziwiam od dawna żonę pana... Wydaje mi się uosobieniem poświęcenia. Nie każdy potrafi tak przestać żyć

dla siebie, a żyć dla innych—mówiła coraz bardziej rzeczowo, mówiła sucho niemal, ale podkreślając celowo każdy wyraz hołdu dla Janiny, jak dopiero potem kiedyś przypomniał sobie i zrozumiał Siewierski.

Wkrótce przeszła jeszcze raz na temat wojny, uchodźców i jeńców, których obozy miała także zwiedzić; potem zaczepiła o literaturę, i leżącego na stole Bourget'a, o Norwida, którego ona podziwiała, Siewierski zaś znacznie mniej. Przytoczyła jakiś ustęp.

—Tak, jak nad Norwidem przeszło kilka pokoleń, my przechodzimy często obok głębokich dusz i pięknych poświęceń...

—Proszę pani, czemu to ludzie cierpią?—spytał naraz Jakób, siląc się, azeby pytanie wypadło, jak dawniej półżartobliwie.

I nie powiodło mu się to w zupełności.

—Zapewne poto, by nauczyli się rozumieć cierpienie innych...

—Ależ to błędne koło.

Nie odrzekła nic. Trwało milczenie.

—Gdzie rosną one zioła pachnące, które pani zbierała niegdyś... Pamięta pani? pamięta pani?—spytał.

Uśmiechnęła się smutnie.

—Tych ziół niema teraz. Jest jesień—odparła.

Nieme szlochanie prze wało obojgu rozmowę. Zapadło milczenie.

Wrócili na utarty szlak literacki. Potem panna Gorzelska wstała. Siewierski wstał także. Podali sobie ręce. Na mgnienie spotkały się ich źrenice. Uśmiechnęła się wówczas ustmi niby niedbale, ale oczy wyjawiły wszystko do dna, a w oczach był bezmiar żałości.

I znowu chciałby upaść jej do nóg i dlatego, że kochał, i dlatego, że ona cierpiała... pragnął oddać pokłon.

Zdało się obojgu, że jęk wybiegł im na usta—ale to jękły tylko serca...

Janina zbliżała się właśnie. Panie odeszły razem. Gdy skryły się za drzwiami, Siewierski skierował się w przeciwną stronę przez ogród za park. Kroczył szybko, szybciej, niż było mu wolno. Drzewa kolebały się, trzęsły gałęźmi, obu-

rzały się w chłodnym wietrze północnym. Leciały z drzew liście mnogie, rojami, liście tułacze, wygnańcze.

"Suknia na nim oblatuje", przypomniało się naraz Jakóbowi, gdy machinalnie spojrzał na jakiś klon, prawie doszczętnie ogołocony z cudnego do niedawna płaszcza. Klon w złotej koronie i skrawkach purpury, wyglądał także na króla Leara. "Suknia na nim iblatuje"—powtórzył Siewierski z żalem, stosując te słowa do drzew, czy do siebie...

Na skraju parku, za zasłoną szpaleru lipowego, było przeraźliwie zimno. Wiało z północy mrozem. Po niebie sunęły gromady ciężkich chmur, kryjąc całkowicie słońce; gdzieniegdzie z pomiędzy nich wyglądały wązkie smugi błękitu bladego, zlęknionego, chłodnego. Siewierski patrzał w one smutne skrawki błękitu, potem na pole, gdzie wątłe, czerwone pióra oziminy dygotały w podmuchu lodowatym zziębnięte, potem ku drodze i znowu między delikatny zarost roślinek, jak gdyby współczuł im...

Tyle musiały przetrwać! Szrony i wichurę, słotę listopadową, mróz, zaspy śnieżne, susze, zdradzieckie nagłe zimna po cieple wiosennem, tyle musiały przetrwać i rosnąć, krzepić się, plenić, spełnić zadanie swoje... Przelotny promień słońca musnął zagony i zgasł, przez mgnienie zajaśniały czerwienią i zielenią w blasku delikatne źdźbełka—i znowu trzęsły się. Siewierski nie zaczerpnął otuchy z ich widoku...

Na drodzę daleko ukazał się znany wózek, znana Mirta. Wlokła się noga za nogą. Podmuch chłodnej wichury zerwał z gościńca obłok piachu i zasłonił jadącą...

O jakąż skałę rozbiło się to, co jedni ludzie nazywają kochaniem, inni szczęściem, a co dla nich dwojga było tylko cierpieniem? O zasady? o jego hart, czy jego małoduszność? o jej bohaterstwo?

—Jakóbie! Jakóbie!—usłyszał głos żony.

Śpieszyła ku niemu co sił, zatrzymała się zdyszana, biegła jeszcze.

—Jak można było! przeziębisz się!—strofowała urywanym głosem—na taki chłód, tak daleko! nie wolno ci przecież chodzić!

Wciąż jeszcze nie mogła złapać tchu.

Siewierski przywitał ją niechętnym wzrokiem. Dokuczała mu ta jej nieustanna troskliwość. Tyle snać zależało jej na jego zdrowiu i jego cennem życiu! może znacznie więcej, niż jemu samemu...

—Zmęczyłeś się, zmarzłeś?—dopytywała.

Na twarzy żony odbijał się taki niępokój, taka trwoga... Cieżka zadyszana świadczyła o pośpiechu, a Jakób wiedział, że z powodu rzeczywistej wady serca, czy obaw o siebie, żona nie biegła nigdy.

—Nic mi się nie stanie!—rzekł miękkim głosem.

I poszli razem przez park wolno ku domowi.

Po łanie późnej, wysypującej się różowemi źdźbłami oziminy błądziły spojrzenia Kasi. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się te zagony gładkie, doskonale uprawne, doskonale obsiane. Wicher hulał po nich, zrywał tumany kurzu z gościńca, zrywał liście z drzew alei, liście z ziemi, wiał chłodem. Lodowate zimno przejmowało jadącą, przenikało poprzez płaszcz, ogarniało serce, duszę, mózg.

Nużył Kasię beznadziejny widok pędzonych chmarami liści, nużył obraz niedoli tych drżących, wątłych trawek wytrwałego zboża, nękał kurz. Na polu sejmowało mrowie kawek. Spłoszyły się czegoś, uniosły się, krążyły żałobnym rojem, zgiełkliwą ciżbą opadły na dalekie ściernisko...

Kasia żałowała teraz, że idąc, jak zwykle, za pierwszym popędem, wybrała się dziś do Siewierska, żałowała słów swoich, wydawało się jej, iż mówiła opacznie, niewłaściwie, że zapomniała rzeczy najważniejszej.

Naco była potrzebną cała ta scena, która tyle ją kosztowała! Uległa pragnieniu, by jeszcze raz, by raz ostatni być w Siewiersku, w ukochanym parku, z nim—teraz, gdy rozstała się, trzeba jej zapomnieć na zawsze. Jutro wyruszyć musi z pod gościnnego dachu na tułactwo.

Wszędzie jest praca, wszędzie są dobrzy ludzie i wszędzie przyniesie się jakąś korzyść—powtarzała sobie z obowiązku. Tam zaś między-jeńcami i dziećmi wygnańców znacznie więcej niż tu, gdzie od dawna naprawdę niema roboty, bo Aleksander nakręcił wszystko. A kiedyś wróci do ojczyzny, do wolnego kraju, gdzie zagrzebie się w szczęśliwym, błogosławionym trudzie.

Daleką wydawała się jej dziś ojczyzna, daleko za obszarem beznadziejnej wojny, która trwa bez końca, daleko za pustkowiem tułactwa i wygnania, na które mus każe jej iść. Z zimnym podmuchem przyszło wspomnienie czy obraz.

Widziała pusty, obszerny plac w odległem mieście gubernialnem w głębi Rosyi, ranek pochmurny w mroźną jesień... Ona szła właśnie do apteki po lekarstwo dla chorej ciotki. Dokoła w nudnych kamienicach spali jeszcze nudni, prowincyonalni obcy ludzie. Cicho było i pusto. Naraz wiatr zerwał słup kurzawy, kręcił piasek pospołu ze śmieciami i liśmi, cisnął jej w twarz smrodliwym pyłem, opadł opadał, rozmiótłszy kurzawę na wsze strony...

Dlaczego utkwił jej ten obraz i dokuczał, a nękał?... Zwiesiła głowę...

Zdawało się Kasi, iż rozprysła się w niej jakowaś zasadnicza sprężyna i że ona stała się już tylko manekinem, czy mechanizmem, i jednocześnie zdawało się jej, że w tym manekinie dręczy się jakowaś potępiona, skazana na śmierć dusza, która jest samem tylko krwawiącem cierpieniem, obłąkanym żalem, nieutuloną na wieki tęsknotą.

Panna Gorzelska zacięła leniwą Mirtę. Fala takiego żalu zalała jej serce, że sądziła, iż nie pohamuje płaczu.

Jakże ubogiem, jak skąpem było to szczęście ich. Co ono dało jej? Radość owych łez niedorzecznych, gdy prosił ją, aby nie odjeżdżała, gdy prosił jak dziecko. Drogie niezapomniane mgnienie owego spotkania w miesięczną noc zimową na drodze do Tyszowiec, gdy zoczył i nałożył milę i dwie, przeczuwając zapewne, iż ona czeka. Bolesne, a jednak drogie tygodnie czuwania, pielęgnowania, niespokoju, gdy on walczył ze śmiercią.

Dziś już koniec jest. Wyjeżdża daleko na koniec świata, bodajbyż poza kres cierpienia!

Panna Gorzelska zwiesiła głowę. Przypomniała się jej owa okrutna noc męki i walki, długa jak wieczność, noc samosądu, gdy zabiła serce własne i powzięła postanowienie... Ach, żyło jednak to serce... nieszczęsne...

Kasia ocknęła się, dotknęła biczem Mirtę, która nawet w drodze do domu nie lubiła przyśpieszyć ociężałego kłusa.

Zmrok już zapadał, zastawiono stół do późnej herbaty, gdy Kasia dowlokła się do Tyszowiec. Na widok oświetlonych okien salonu przeraziła się, że są goście. Nie mogła wprost myślec o tem, że trzeba będzie patrzeć w twarze ludzkie, uśmiechać się, zabawiać... Pożądała pieczęci wiecznego milczenia na wargi swoje, oczy pragnęły ciemności i zaśnienia.

Tymczasem Jerzy Ciecierski odsiadywał swoją długą wizytę, których dwie albo trzy poświęcał co tygodnia Tyszowcom. Częste odwiedziny wdowca zdawały się wszystkim wielce znaczącemi, czy obiecującemi. Panna Adela dostawała krwistych rumieńców na przywiędłych policzkach, Karusia zmieniała suknię, albo brała przynajmniej kokardę do włosów, panna Adela przebywała z gościem w salonie wiele godzin sam na sam.

Wdowiec mówił dużo i głośno, rubasznie śmiał się, prawił te same koncepty i nie zdobywał się na stanowczy krok. Brakło im czegoś obojgu: jej—przebiegłości, jemu zaś—przedsiębiorczości. W końcu pannie Adeli i jej rodzinie poczęło się zdawać, iż na częstem bywaniu, na przyjaźni skończy się wszystko—i pogrzebano wszelkie nadzieje. Jadynie Kasia Gorzelska była odmiennego zdania i nie tylko nie chciała dać za wygrane, lecz nawet od dawna postanowiła tym dwojgu przyjść z pomocą, ale tak długo czekała jakiej sposobnej chwili, że wreszcie podczas choroby Jakóba zapomniała o Ciecierskim i jego zbyt przewlekłych konkurach, jak zresztą o wszystkiem.

Dziś naraz przypomniała się jej na widok wdowca jej trudna misya i Kasia powiedziała sobie, że wobec zamierzonego wyjazdu był ostatni czas. To też po kolacyi wzięła na siebie nieprzyjemną i niewygodną rolę osoby trzeciej.

Pani Barbara udała się do t. zw. kancelaryi na rachunki, Karusia (z aksamitką dnia tego na szyi) stała w jadalni z Piotrusiem, by układać z bratem-kaleką pasyanse i niecierpliwić Piotrusia roztargnieniem i błędami— a ile razy przyjeżdżał Ciecierski, najlepsza panna Karusia nie zazdrościła siostrze, nie buntowała się, nie narzekała, lecz wpadywała w roztargnienie i smutek.

W salonie przy stole w świetle lampy, którą zapalono tylko dla gościa, zajęli zwykle miejsce wdowiec i panna Adela. Tym razem wsunęła się między nich Kasia. Panna Adela zdziwiła się może nieco w pierwszej chwili, lecz za to Ciecierski ucieszył się z liczniejszego audytoryum i z większą werwą rozprawiał, śmiejąc się od czasu do czasu tak, że dygotały na ścianie staroświeckie sztychy.

Stara panna spokojnie wyszywała swoją stułę, Kasia czekała, by nadarzyła się sposobność. Wreszcie ktoś odwołał na chwilę pannę Adelę. Kasia natychmiast, nie tracąc chwili czasu, przypuściła szturm.

Rozpoczęła wychwalać Adelkę. Ciecierski słuchał, jak zwykle, uważnie, zgadzał się, potakiwał i, jak zwykle, gdy słuchał, gryzł koniec wąsa. O cnotach, o poświęceniu, o złotem sercu, o zdolnościach gospodarczych Adelki, o pustce w Tyszowcach (tak nazywał się majątek Ciecierskiego), o złych stronach wdowieństwa miała pośpieszny wykład panna Kasia.

Ciecierski siedział z jednym palcem w kieszeni od spodni, gryzł koniec wąsa, zgadzał się.

Panu podoba się panna Adela, nieprawdaż?—cicho odpytywała panna Gorzelska, nacierając coraz bardziej obcesowo.

Każdemu się podoba... to kapitalna niewiasta!—huknął w odpowiedzi gość.

—Ja zaś wiem, że Adelka ma dla pana dużo sympatyi, dużo przyjaźni. Zaręczam... zapewnić pana mogę...

—Niech pani za żadną babę nigdy nie zaręcza—ruszył naraz konceptem wdowiec i zaśmiał się na cztery pokoje.

—W tym wypadku pewną jestem.

—Baba zawsze trzyma stronę baby—żartował gość.

—Niech pan słucha baby, panie Ciecierski, dobrze panu radzę—nalegała Kasia.

We drzwiach ukazała się Adela.

—W takich wypadkach: raz, dwa, trzy, panie Ciecierski, raz dwa, trzy—i po wszystkiem... nie będzie pan żałował... raz, dwa, trzy—szepnęła, wstając i odchodząc Kasia.

—Raz, dwa, trzy—głośno powtarza gość.

—Co to znaczy: raz, dwa, trzy?—spytała panna Adela.

Kasia nie słyszała odpowiedzi. Zdawało się jej, iż potrafią doprowadzić sprawę do pomyślnego rozwiązania. Przez jadalnię, gdzie nachylony nad pasyansem Piotruś zrzędził i niecierpliwił się na Karusię, która z powodu przyjazdu Ciecierskiego zdradzała roztargnienie i smutek, i popełniała błąd za błędem, Kasia udała się do swego pokoju.

Po drodze wstąpiła do kancelaryi, zbliżyła się do biurka, przy którem siedziała ciotka, i stanęła zapewne z zamiarem rozpoczęcia rozmowy. Miała na ustach sprawę owych kilkudziesięciu tysięcy, pożyczonych przed kilku laty ś. p. wujowi bez żadnego rewersu, czy obligu, wahała się, jak zwykle, jak tyle już razy, gdy zabierała się do poruszenia tego przykrego i drażliwego, zdaniem jej, interesu, wahała się, nie chcąc martwić ciotki, strapionej dużą sumą długów na Tyszowcach.

Spostrzegła na twarzy ciotki, która nie lubiła, gdy jej przeszkadzano wieczorem, jakby odcień niezadawolenia—postała chwilę i odeszła, ucałowawszy jeno rękę ciotki na dobranoc. Pani Barbara zabrała się do przerwanego zajęcia.

Sądzono powszechnie, że pani Barbara, spędzając całe wieczory w kancelaryi, załatwia sprawy gospodarskie, rachunki i modli się. Tymczasem wdowa, ukończywszy zajęcia i codzienne narady z rządcą, z ochmistrzynią, z kucharzem, przychodziła tu by obcować z tym, który odszedł. Już w godzinę po śmierci męża, pani Barbara wydawała rozporządzenia, krzątała się żwawo a czynnie po domu, tak samo było na pogrzebie, zaraz po pogrzebie i potem. Ludzie podziwiali z początku jej hart, następnie zaś posądzono ją o obojętność.

Tymczasem w niej tęsknota za mężem rosła i pogłębiała się z każdym tygodniem. A tęskniąc, przechodziła do pokoju, siadała przy biurku, gdzie zmarły przez tyle lat tyle spędził godzin i przeglądała jego listy, papiery, notatki.

Za życia zatroskana i zapracowana, z pobłażliwem lekceważeniem patrzała na jego działalność społeczną, którą traktowała, jako słabostkę, jako rozrywkę. Gdy mąż chciał jej czasami coś opowiedzieć, ona albo nie słuchała, albo przerywała i szła przyrządzać proszki dla krowy, chorej na

krwawy mocz, krople dla parobka, który się "namógł", dźwigając worki we młynie.

Tymczasem teraz pilnie szperała i każdy skrawek papieru, zapisany pismem męża, list każdy od niego były najdroższemi pamiątkami. Nieboszczyk w jednej z tek zebrał był wszystko, co tyczyło się własnej jego pracy dla ogółu: adresy i listy dziękczynne, sprawozdania, odpisy mów, wzmianki w gazetach.

Z ogromnemi, źle dobranemi okularami na nosie przeglądała co wieczora zawartość teki, ślęczała, wolno, mozolnie, niewprawnie a z nabożeństwem odczytywała wszystko. Dziś dopiero zaczynała rozumieć i oceniać męża, tak sądziła przynajmniej, i odczuwała skruchę, czyniła sobie wymówki, że za późno...

I było jej coraz tęskniej za Ignacym, coraz więcej żal czterdziestu kilku lat, które zbiegły, które, gdy płynęły, zdawały się szeregiem bied, zgryzot, kłopotów, niepokojów i smutków, dziś gdy upłynęły, wydają się szczęściem... Westchnienie wymykało się niekiedy pani Barbarze.

Szelest przeglądanych papierów i westchnienie słyszała poprzez cienką ścianę, poprzez niedomknięte drzwi Kasia. Zwykle czytała wieczorami. Dziś wszakże i ona otworzyła swoje szuflady, by przygotować rzeczy do pakowania. Wyjmowała listy matki i brata, który zmarł w Syberyi, jako zesłaniec polityczny, listy Małkowskiego. Ją także otoczyły wspomnienia.

Gdy ujrzała na tle przeszłości świetlaną postać brata, mękę jego szamotań się, porywów i czynów, jakże jej zmalały jej własne zawody i cierpienia, to rozstanie jej dzisiejsze i wyjazd, który nazwała wygnianiem... Zdawało się jej, iż brat przyszedł do niej z wyrzutem, ze skargą, z naganą, zato, że nie dochowała wierności, że nie była jak "kamień przez Boga rzucony na szaniec", że w chwili słabości zachwiała się i porzuciła placówkę, że od dwu lat niemal goniła za szczęściem...

Ciężkim był Kasi ten zarzut, nie chciała przyznać się do winy.

Alboż było odstępstwem, że nie przekradła się jak Stefuś, że potem opuściła Warszawę. Nie siedziała przecież

z założonemi rękami, pracowała i tu i w szpitalach i w organizacyi.... Może zbłądziła i zabłądziła, a, jeśli zabłądziła się, odnalazła już drogę. Jeśli zgubiła coś, to nie ideę, nie pamięć brata Stefana, nie duszę, lecz tylko szczęście własne i jego szczęście, Siewierskiego szczęście...

Przypomniały się Kasi oczy Jakóba, pełne blasku i radości, gdy witał ją, oczy, któremi prosił, by została, męką spojrzenia, którem żegnał ją.

Jęk rozdarł serce i zamarł na ustach...

Niechby już ona cierpiała, ale czemu on także? Zgodziłaby się wziąć dla siebie całą niedolę, całą boleść, byleby on nie zaznał...

Wyjmowała teraz z szuflady fotografię brata, jego dziennik z lat szkolnych. Na odległe szlaki powędrowała myśl w daleki obszar czasu, wdal przestrzeni...

Brat wziął ją za ręce, zaprowadził do okopów, gdzie towarzysze jego, spadkobiercy jego idei, gdzie garstka bohaterów, która nazwała się Legionem, walczyła jeśli nie o Polskę to o honor, o imię Polski, by przekazać to imię dziejom, przypomnieć je ludom. I znowu surowo karcił ją brat Stefan zato, że ona zamiast tego, by stanąć wśród towarzyszów jego i spadkobierców jego idei, goniła, gdy krwią spłynęła ojczyzna, marę szczęścia. I pytał ją brat, zaco pokochała, jeśli już pokochała, Jakóba Siewierskiego, możnego pana, który świetne prowadził rozmowy, zjadliwe układał dowcipy, sypał niedbale pieniądzmi na różne cele, a żadnym nie zasłużył się czynem.

Stanęła między bratem—fanatykiem a Siewierskim, zasłoniła swojem kochaniem Jakóba przed bratem, przed sobą samą...

Zatopiona w zadumie Kasia, nie słyszała turkotu bryczki, którą odjechał Ciecierski, ani kroków obu sióstr na korytarzu, ani ich cichej, nocnej rozmowy.

Adelka i Karusia uklękły, pomodliły się, szybko rozbierały się a rozbierając się, kończyły pacierze, zgasiły lampę.

Postanowiły spać, ale obie nie mogły usnąć, Milczały wszakże.

—Oświadczył ci się pan Jerzy—nieśmiało spytała Karusia w pewnej chwili.

Obie siostry to imię: pan Jerzy, wymawiały z afektacyą.

—Skądby też... gdzież tam—ze smutkiem zaprzeczyła Adelka.

I znowu była cisza.

Naraz wydało się Adelce, że siostra, która od niejakiegoś czasu raz po raz wycierała nos, płacze po cichu.

—Ty płaczesz, Karusiu?—spytała szeptem.

—Gdzież tam — odparła Karusia, chrząkając.

I znowu była cisza, ale wycieranie nosa nie ustało.

—Ty płaczesz, Karusiu?—jeszcze raz spytała Adelka.

Nie było odpowiedzi.

—Czego ty płaczesz, Karusiu?

—Przypomniał mi się tatuś... Przypomniał mi się Steiuś—przerywanym głosem mówiła Karusia.—Oleś się żeni, ty wyjdziesz za mąż... Zostanę z mamcią i biednym Piotrusiem... Pusto będzie u nas...

W pokoju rozległo się szybkie bose stąpanie. Adelka usiadła na łóżku siostry, poszukały jej ręki

—Nie płacz, Karusiu, ja nie wyjdę za mąż... będziemy zawsze razem...—zaczęła pocieszać bez zapału i urwała.

Przez chwilę trwało milczenie.

—Słuchaj Karusiu— odezwała się Adelka szeptem—jeśli ty kochasz pana Jerzego—obie siostry to imię wymawiały przesadnie i wstydliwie—powiem mu... poproszę Olesia albo Kasię—poprawiła się.

—Uchowaj Boże... co też ty pleciesz, Adelko?! toby była historya dopiero!!—broniła się Karusia—pan Jerzy kocha ciebie, a ty jego... urządzimy wam piękne wesele—wesoło mówiła Karusia, choć w głosie czuć było łzy.

—Jakie tam wesele!...

—Oleś z Imą w Nowinkach, ty z panem Jerzym w Tyszowcach...

—Co ty wygadujesz?—przerwała Adelka.

—Ja pojadę do was, wy będziecie przyjeżdżać tu do nas... będą dzieci...

—Przestań, Karusiu.

—Stara ciotka Karusia lubi dzieci... sproszę całą gro-

madkę... usadowię dokoła stołu—prawiła dalej starsza siostra—napiekę ciastek, nakupię lalek i koników.

—Karusiu, Karusiu—szeptała Adelka i pieściła rękę siostry.

—Urządzimy gonitwę w ogrodzie, urządzimy różne zabawy: w ślepą babkę, cztery kąty i piec piąty, garnuszki, pocztę, zabawi się stara ciotka, będzie w Tyszowcach wesoło—opowiadała Karusia, ale urwała naraz, jakby zabrakło jej słów, pomysłów, czy wesołości.

Zapadło milczenie.

—Jeszcze i ty wyjdziesz za mąż; zabierzemy się do tego, z panem Jerzym—zaczęła pocieszać Adelka.

—Jakież tam już moje zamążpójście.

—Zobaczysz, Karusiu.

Była chwila ciszy.

A na wasz ślub i na ślub Aleksandra przerobię sobie tę moją "bordo"—układała plan toaletowy Karusia, zamiłowana w "gałgankach", w "strojeniu się"—ty zaś chyba tę etaminę "lila".

Karusia roześmiała się.

—Sfiksowałam zupełnie... ubieram ciebie w "lila" etaminę, gdy ty, jako panna młoda, musisz być w białej sukni.

—Jeszcze do ślubu tak daleko, jak na księżyc, a ty już o sukni—broniła się Adelka.

—Wiesz co, Adelko—ciągnęła dalej po namyśle Karusia—przyszła mi mądra kombinacya. Mam w kufrze różne szmaty... jest tam i kawał białego atłasu z czasów przedwojennych, takiego nigdzie nie dostanie, akurat wystarczy na suknię, oddam ci, Adelko.

Karusia nie nadmieniła, iż biały atłas był przeznaczony na ślubną suknię dla niej "na wszelki wypadek", gdyby zdarzyło się jej wyjść za mąż.

—Tybyś wszystko innym oddała.

Siostry ściskały się.

Ukończywszy przeglądanie ostatniej paczki listów mężowskich, pani Barbara udała się na spoczynek do siebie, ale, widząc, że w pokoju siostrzenicy jeszcze się świeci, wstąpiła tam na chwilę.

—Czemu ty nie śpisz, Kasiu?—spytała, jakby z wymówką—pakujesz się? Prawda, wyjeżdżasz jutro... zapomniałam.

Praktyczna pani Barbara od niejakiegoś czasu zapomniała o rzeczach bardzo ważnych i mniej ważnych i zdradzała roztargnienie, a gruby męski jej głos brzmiał co wieczora, gdy z dalekich krajów przeszłości wracała na brzeg teraźniejszości, pogrzebowo i żałobnie.

—Wyjeżdżasz jutro?—powtórzyła.

—Tak, ciociu.

—Dokąd wybierasz się? Do Rosyi? Szkoda ciebie! Nie mogłabyś zostać?—zapytała pani Barbara i sama odpowiadała na pytania, bo siostrzenica milczała.—Nie mogłabyś zostać?

—Nie, ciociu, muszę jechać...

Pani Barbara zadała jeszcze parę pytań.

Kasia zapomniała o swoim interesie pieniężnym, który teraz właśnie powinna była poruszyć, z trudem mówiła. Każdy wyraz kosztował ją niemało wysiłku. Wargi pragnęły milczenia, oczy—mroku.

Znalazła była w sobie dość energii na jazdę do Siewierska i na rozmowę z Ciecierskim, teraz odczuwała bez graniczne znużenie. Pragnęła wypoczynku, czy zaśnienia, któreby trwało wiecznie...

—Szkoda, że jedziesz—powtórzyła pani Barbara, wspominając ów dobry dawny dzień, gdy ś. p. Ignacy przywiózł do Tyszowiec siostrzenicę. I wyszła z westchnieniem.

Kasia pakowała dalej. W pewnej chwili nawinęła się jej pod ręce więź zeschłych kwiatów, ofiarowanych jej niegdyś przez Siewierskiego. Przyjrzała się zeschłym kwiatom, starła je między palcami, proch posypał się do kufra Kasia z trwagą obejrzała się na drzwi, bo zdawało się jej, że jękła i obawiała się, że ciotka usłyszy. Ale jęk pozostał w sercu...

I znowu zdawało się jej, że dusza, która była samem cierpieniem, samym żalem i tęsknotą, zamrze w niej, że zostanie jeno martwy manekin. Ten martwy manekin puści się jutro w podróż...

Za oknem huczał w lipach chłodny wiatr. Bezlistne gałęzie bzu stukały niekiedy nagimi prętami w szyby... Kasia posłuchała przez chwilę szumu drzew i dalej pakowała.

XXX.

Ku końcowi września Siewierski wydobrzał o tyle, iż pozwolono mu uważać siebie za zdrowego i wrócić do normalnych warunków życia. On zaś nie wiedział, jak korzystać z odzyskanego zdrowia, oraz, co oznacza termin: normalne warunki życia, ani też nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, należy li cierpienie zaliczyć do wyjątków, czy też traktować je, jako prawidło.

Wypadło mu w owym okresie walczyć nie z nudą, której nie znał nawet z wyglądu, bo, będąc, czynnym, zajęcia miał zawsze poddostatkiem, lecz ze zniechęceniem, z uczuciem pustki.I znowu wydawał się sobie tak zupełnie niepotrzebnym, jak ów zakurzony, wiszący na kołku, zapomniany przez służącego, kapelusz letni, panama, który codziennie w przedpokoju rzucał mu się w oczy. Lato, słońce, upał minęły już dawno. Na dworze była zimna słota.

Siewierski odwiedził rodzinę w owej pustelni wiejskiej, spędził tam kilka dni, przewiózł rodzinę do miasta. Od dnia, gdy nieopisany niepokój, gdy zadyszka żony, która, z obawy o chore serce, nie śpieszyła się nigdy, a jednak przybiegła do niego resztkiem sił, dały mu poznać ogrom jej przywiązania, głos Jakóba zmiękł, z ócz zaś znikły błyski niechęci, która tak dotkliwie kaleczyła Janinę.

Siewierski stał się znowu przykładnym. Wszystkie wieczory spędzał przeważnie w domu. Zajął się Stasią, badał jej duszę i rozwój umysłowy i rozmawiał dużo, jak niegdyś, ale wśród opowieści swojej lub córki, zapadał w zadumę i dziecko odczuwało tłoczący go smutek, kryło się w sobie bojaźliwie, stroniło od ojca. Dzieci, a może i wszyscy wogóle, nie lubią smutku...

Żonie Jakób pilnie powtarzał, co Janina ceniła bardzo, wszystkie nowiny z miasta, kaórych nigdy nie brakło, oraz nowiny polityczne, których prawie nie było w owej epoce.

Oboje Siewierscy trochę bywali i czasami przyjmowali, gdyż Janina lubiła życie towarzyskie, oboje także należeli do wszelkich stowarzyszeń dobroczynnych, komisyi i komitetów. Janina została nawet przewodniczącą sekcyi urządzania zabaw i widowisk nie dla głodnych wprawdzie, lecz na głodnych. Zabawy i widowiska udawały się zwykle wybornie, głodnych karmiono chlebem, wyśpiewanym i wydeklamowanym na koncertach, wyflirtowanym na rautach, w miejscowym świstku składano podziękowanie pani Siewierskiej. Janina weszła w modę.

Gdy Jakób miał dosyć posiedzeń i plotek, miasta i ludzi, polityki i walk partyjnych, wówczas chronił się na czas jakiś do Siewierska, znajdując, mając, więcej upodobania w ciszy i smutku szarugi jesiennej na wsi, niż w zapchanych tłumem wojennym ulicach miejskich, a zwłaszcza woląc wyludniony dwór od obszernego "ze wszystkiemi wygodami" mieszkania w kamienicy.

Mimo częstych przemarszów różnych oddziałów, w Siewiersku bywało przeważnie pusto. Jakób lubił spokój i mrok ogromnego, niezamieszkałego domu, gdy wieczorami samotnie przy lichej lampie przesiadywał w swoim gabinecie.

Milczenie ciemnych pokojów przeszkadzało mu czytać, pisać, rachować, prowadzić rzeczowe narady z rządcami. Opustoszały i martwy, zdawało się, dwór odżywał właśnie wśród nocy, napełniał się korowodem widmo, rozbrzmiewał opowieścią o tych, którzy pod nizkimi sufitami tych samych komnat kochali, cierpieli, dumali, troszczyli się, bawili się.

Siewierski, który znał historyę swego gniazda, dalej każdego pokolenia, wsłuchiwał się w mowę o czasach przeszłych, o ludziach minionych. I mimo, że brzękły niekiedy od huku dział szyby, Jakób zapominał całkowicie o teraźniejszości. Przesuwały się przed nim postaci, na które patrzał od dzieciństwa, które zdawały mu się, w ciągu tylu lat, badały go pilnie, patrzały pilnie na niego, które, zdawało mu się, i teraz jeszcze przyglądają mu się ze ścian, choć na ścianach, na wyblakłem obiciu po wywiezionych portretach, zostały tylko ciemne kwadraty.

Od 500 lat w Siewiersku włodarzyli Siewierscy, niejednego zdobił karmazyn, niejeden odznaczył się na woj-

nach, imiona dwu Jakób chętnie wymazałby z kronik, jakkolwiek nie okryli się hańbą; byli i tacy, którzy wyprzedzali wiek swój ogładą i oświatą, którzy oburzyli współczesnych próbami reformatorstwa społecznego.

Wśród szeregu niepospolitych niewiast w rodzinie Siewierskich, jedno z miejc naczelnych zajmowała Stanisława z hrabiów Mirskich Siewierska, matka Jakóba. Jakób nie widział jej taką, jaką na złym portrecie wymalował malarz w zielonej balowej sukni, z perłami na szyi, z uśmiechem nieco przebiegłym, Jakób pamiętał ją inaczej, pamiętał żywą. Przesuwała się obok syna w milczeniu, mierząc go badawczem wejrzeniem mądrych ócz, patrząc może z żalem, może z niepokojem, może z wyrzutem, i rzekłbyś, dziwiąc się, że Jakób Siewierski, który tyle obiecywał, który mógł chwałą okryć ród Siewierskich, dla którego ona, taka ambitna, pragnęła wszystkich zaszczytów, nie dokonał dotąd nic.

Syn nie zatrzymywał matki, gdy przesuwała się cicho obok niego. "Ani chwały nie zdobyłem, anim szczęścia nie znalazł" skarżyłby się, gdyby zaczął się zwierzać. Milczał.

Jakób zapadał w zadumę. Wsłuchany w mowę przeszłości, zadawał sobie pytanie, jak osądzi jego, ostatniego z Siewierskich, jakiś w przyszłem stuleciu wnuk Stasi, tak, jak on dzisiaj, zamyślony kiedyś w nocy nad historyą dworu, o ile ten dwór jeszcze będzie istniał. I zapytywał siebie, jakimże czynem przyczynił się on i cała warstwa ziemiańsko-szlachecka do zmartwychwstania ojczyzny, która—wierzył w to coraz mocniej—zmartwychwstanie po wojnie.

Alboż nie powinien był Jakób Siewierski, otoczony od dzieciństwa portretami rycerskich przodków, zakochany w chwale oręża, zdjąć ze ściany szabli pradziadka? Nie z walk partyjnych, nie z mądrych programów, ani konszachtów dyplomatycznych, nie z roboty komitetów tych lub tamtych, odrodzi się Polska...

Siewierski ubolewał znowu, jak ongi w ów słotny wieczór listopadowy w Warszawie, czemu z garstką bohaterów, których głośno potępiali tu wszyscy niemal, nie poszedł walczyć, ubolewał, czemu nie poległ...

Minęły dwa lata wojny. Dwa lata Jakób Siewierski czytał, pisał, prowadził spory, szukał jakiegoś szczęścia, dociekał, gdzie jest punkt ciężkości istnienia, w życiu, czy też w śmierci—dotkliwie szydził Siewierski z siebie. I wysnuł był nawet ów filozof Siewierski wniosek, że jeśli w życiu—w takim razie życia treścią winno być kochanie i szczęście.

Ale gdzież przebywa ono szczęście?

Jakiś półśmiech szyderczy przesuwał się przez duszę Jakóba... Na tle czasów, co zbiegły, w obliczu ogromnych wydarzeń wśród milczenia ciemnych, opustoszałych pokoi Siewierski zdawał się sobie niezmiernie małym, a to poczucie wywołało uśmiech politowania i niosło prócz tego ukojenie.

Przestawał cierpieć. Zdawało się niekiedy Siewierskiemu, że on jest także już tylko częścią przeszłości, odczuwał siebie, jakby coś przebrzmiałego. Zato za dnia, zwłaszcza, gdy znalazł się w parku, tłoczyło go brzemię życia i trwał ból, doprawdy fizyczny.

Nie wspominał i nie tęsknił. Nie chciał, by wspomnienia kruszyły hart, tęsknocie zabronił do siebie dostępu, zatrzasnął w sobie wszelkie drzwi i sądził, iż go to ochroni. Powiedział sobie, iż nie należy do ludzi, którzy bezczynnie, a melancholijnie przesiadają na ruinach, nagromadził sobie zajęć bez liku i spodziewał się, że to wystarczy...

Ale oto naraz bezwiednie kierował się ku kanałom, w których głębinę zapadły obrazy lata i szczęścia, spoglądał w surowe i chłodne oblicze jesiennych wód. Albo ni stąd ni zowąd myślał, że radość, śmiech, cel życia zostały w przeszłości, tam gdzie ona była, myślał, że gdyby ona znajdowała się tu, nie żałowałby przecież, że nie poległ, aniby pytał, gdzie jest punkt ciężkości, jaki jest sens istnienia... Albo przypomniały mu się gest jej ręki, gdy tarła sobie czasami czoło, ruchy jej, spojrzenie ócz w pewnej chwili, zdanie jakieś, wyrzeczone kiedyś, śmiech swawolny i wesoły błysk zębów... niekiedy w tłumie ludzkim czyjaś ręka lub czyjeś włosy przypominały mu jej rękę i jej włosy—i pryskała w nim wówczas jakoby jakaś tama—i zalewał go żal obłędny.

I marzył o tem, by ujrzeć ją znowu, by dotknąć ręki, dotknąć ustami dłoni, włosów, pogłaskać czoło, marzył, by

rozwarły się dla niego ramiona, rozwarły się w pocałowaniu całowane i całujące wargi.

Ach, te dnie na całą wieczność utęsknienia jedyne, te czasy bezgranicznie szczęśliwe, gdy ona była tu, gdy oczy mogły szukać jej na ścieżkach, gdy spodziewały się i czekały! Czemu mędrkował, czemu bał się, czemu zmarnował szczęście życia swego i jej życia!...

Dlaczego nie złamał wszystkich zasad, przykazań, obowiązków, dlaczego nie zaśmiał się na cały głos szczęścia ze świata i jego opinii, z jego obłudy?

Jakób zatrzymywał się, chwytał oburącz za jakiś konar, stał długo zamyślony, zstępował do grobowca boleści... Wodził spojrzeniem po rozmokłych ścieżkach. Gdyby znalazł znak jakiś, którędy przeszła, odchodząc stąd na zawsze, ukląkłby i całowałby ślady jej stóp... Ale szaruga jesienna spłukała od dawna wszelkie ślady i wspomnienia.

Marzyła się ustom życiodajna rozkosz pocałowania, serce uchylające, czyhające w tęsknicy, zamierające z beznadziejności, pragnęło jakowejś zwodniczej pociechy, znikomej obietnicy, dopraszało się chociażby cienia nadziei, czy złudzenia... Ale nadziei nie było żadnej.

Siewierski odczuwał tak bezgraniczne znużenie, że zdawało mu się, nie dojdzie do końca alei...

Potem pośpiesznie wymykał się z parku, w którym czaiły się wspomnienia i czyhały pokusy, szedł do gospodarstwa, sprowadzał rządców, kazał zaprządź konie, jechał do miasteczka, gdzie działało wprawdzie mniej komisyj i komitetów, niż w stolicy kraju, lecz maszyna, raz puszczona w ruch przez Aleksandra, nie przestawała produkcyjnie pracować.

Czekało tam zawsze na Jakóba sporo zajęć on załatwiał wprawnie i prędko, może za prędko,gdyż jakąkolwiek była wykończona przez niego robota, nigdy nie miał poczucia nie już doniosłości własnej osoby, lecz po prostu użyteczności: działacza i dzieła. To też czasami zazdrościł tym, którym wystarczało wziąć tekę pod pachę, zapisać się do stowarzyszenia, otrzymać tytuł prezesa komisyi, by zacząć w oczach własnych uchodzić za Atlasa.

Któregoś popołudnia, ukończywszy interesa w Siewiersku, zjechał z gościńca, by zlustrować folwark i część lasu a gdy znalazł się w lesie, zboczył na tak zwane "jezioro".

Nie był tam od dwu lat, właśnie od owej wycieczki którą przerwała złowrogo pierwsza wieść o wojnie.

Dzień był posępny, pospolity w listopadzie. Niebem głęboko, szczelnie, na zawsze zasnutem grubą powłoką zachmurzenia, szybko biegły lotne, rozwiewne, jak dym, chmury, które siały nikłym deszczem. Fartuch bryki, burka furmana, drogi i pola, konie, wszystko obmokło, rozkisło, butwiało i ociekało nudą i beznadziejnością.

Dziś właśnie Jakób miał zobaczyć, jak wygląda śliczna łąka i woda, ongi turkusowa, dziś miał oczy napoić znikomą zjawą czarownych mgnień dawnego wesela.

Wśród błota i słoty, trudno było zaiste uwierzyć, że tamto wszystko w cudny czas letni działo się niegdyś naprawdę. Zrudziałym, obumarłym kobiercem stało się błonie, wonczas śmiejące się w słońcu i wiecznie, zdawało się, zielone, ponurą barwą ołowiu, żelaza i stali, obrazem czy symbolem wojny, powitało Jakóba jezioro. Gdy wiatr nacichał, słychać było to mrukliwy i gniewny, to skrżący się żałośnie pluchot nurtów i brzeg. Natręctwo deszczu, który dokuczał prawie bez przerwy, albo siekąc z ukosa biczami rzęsistej ulewy, albo dzióbiąc, koląc, dziurawiąc ukłuciami małych, jak szpilka kropel obrzydliwego kapuśniaczka, niecierpliwiło szeroki odmęt jeziora.

Wiatr przebiegał po niem drobną, gwałtowną siecią marszczek, a gdy przemknął, toń wzdymała się falą, złą, posępną. Niekiedy przez krótkie mgnienie czynił się spokój, chmury rozsuwały się nieco, przestawało mrzyć, a wówczas ciemna barwy ołowiu roztocz wód ukazywała groźną potęgę swoją. W głębinie odbijał się bór przeciwległego brzegu. I znowu nawalnica mąciła powierzchnię jeziora.

Siewierski był wszędzie. Nie pominął i szopy, nad którą chwiały się szumiące świerki. Z każdego źdźbła słomy w strzesze zwisały krople słoty i kapały wolno, nieustannie, nudnie. Wówczas, w lipcu pachło tu miodem i zaduchem młodego grzejącego się siana, dziś—wilgocią i pleśnią. Strzechę zwichrzyła któraś z burz letnich i naprawiono ją

pośpiesznie i niedbale świeżym snopem, tak zwanego "okłotu" i jasne poszycie raziło dziś wśród szacownej starości.

—Było też czem się zachwycać!—wspominał Jakób.—Było też czem się zachwycać!—wspominał wykrzykniki Kasi z jakimś rzewnym uśmiechem, z jakim się myśli o zabawie dziecęcej, niedorzecznej, dawnej a tak drogiej.

Stangret Andrzej zdumiewał się zapewne, że zapobiegliwy dziedzic bada długo, czy też nie wykradają mu siana z "ordyny".

Siewierski tonął w zadumie.

"Co pozostaje człowiekowi, gdy minie młodość i szczęście?—pytał ją tu, w tem samem miejscu. Dziś przekonał się, że zostaje jedno: cierpienie.

Wysokie świerki pochyłały się nad zwietrzłą i zawodziły. Wiatr wzmógł się i stał się chłodniejszym. Dokoła bór począł szumieć potężnie i gniewnie.

Siewierski poszedł w las. Kołysały się, zataczały się i trzęsły się wysmukłe kolumny masztowych sosen. Deszcz przestał nękać, nizkie, dymne chmury rozbiegły się na strony i poszły wyżej, jak zdarza się często ku zachodowi po długiej szarudze. Drzewa wiodły wzruszoną naradę. Ich mowa pełna była krzepkiej siły. Strząsały z siebie kroplami zniechęcenie słoty i słały w świat z wichrem swój nakaz stanowczy. Bór wzburzył się do dna i wydobył z głębi swojej moc. Rozkołysało się także jezioro, nabrzmiało gniewnemi falami, które sunęły ku brzegom wartkim zalewem, pluskały nurtem zapienionym. Górna rozgłośna rozprawa gałęzi głuszyła pomruk fali.

Stojąc pod krzyżem, postawionym ku uczczeniu poległych powstańców, Jakób widział lipcowe laury wód pogodnych, słyszał pieśń, śpiewaną podówczas, pieśń o święcie i lecie, widział, pamiętając dokładnie i zarys i każdy odcień, widział one wśród Niebios, dwa różne obłoki, gońce nadziemskie, nieziemskie, które stały wonczas w górze, odbijały się w zwierciadlanej tafli.

Dziś zaś, jak gdyby urągając mu, czy natrząsając się z niego, smagała go po głowie warkoczami swemi brzoza, ogołocona zupełnie z liści.... Nie, zostało na wiotkiem drzewie kilka ubogich liści, po to jedynie, by jeszcze jawniej

uwydatnić nagość i nędzę gałęzi, by jeszcze dosadniej uprzytomić, że wszystko poszło z wiatrem, z mrozem, z biedą, że wszystko minęło...

Wiedział o tem Siewierski. Wodząc obojętnym wzrokiem po ołowianych obszarach jeziora, zmagał się z uczuciem, które nie było tęsknotą, lecz poprostu jakoby głodem, głodem kochania i radości. Pożądały oczy jej widoku, pożądały ręce pieszczoty, pożądała myśl każda...

Ociekająca zimnemi kroplami listopadowego deszczu brzoza ćwiczyła Siewierskiego gałęźmi. Jemu zaś zdawało się, iż ów głód, czy skir strawi, wyżre mu serce...

"Co zostaje człowiekowi, gdy minie jego młodość i szczęście?"—zapytał ją tu, w tem oto miejscu.

Teraz przekonał się, poznał... Mogłoby być inaczej... Była znim, dała mu kochanie swoje—on zaś mędrkował... Stało się zadość zasadom, przepisom, obowiązkom, ale jej niema... znikła bez śladu, jak gdyby umarła i znikła bez śladu jasność życia...

Gdzie ona jest? Na dalekiem gdzieś wygnaniu... Gdybyż on zdołał ochronić ją przed złem, wybłagać dla niej dobrą dolę...—napastowały Jakóba krótkie, natarczywe myśli, niby fale, pędzone wiatrem, pędzące do jego stóp.

Siewierski patrzał w chłodny odmęt, na którego dnie—roi się ludziom znużonym i zbolałym—znaleźć można sen wieczny, zapomnienie, wiekuisty spoczynek. Nigdy jeszcze dotąd nie kusiła go śmierć, ani on nie wzywał śmierci.

—Głupstwem jest—myślał natomiast—że przyroda coś wie, że natura może nas pouczyć, że z oblicza przyrody należy czytać... Bezmyślnie bełkocą nurty, beztreściowym jest szum drzew... Człowiek, który cierpi, ten zapewne posiędzie wiedzę...

—Gdzież i jakiem jest twoje poznanie?—zapytywał siebie, idąc wolno przez las ku bryce swojej. Cierpisz od dawna, odpowiedz—nie ustami innych i nie słowami cudzej mądrości—odpowiedz z wiarą i przekonaniem, poco przyszedłeś na świat i dlaczego dźwigasz to życie swoje. Rozumiesz, że nie przystoi ci szukać śmierci... Chiałbyś dokonać czegoś, spodziewasz się czynów i chwały?... Jakiż rozgłos wynagrodzi ciebie zato, że niema już dla ciebie ani młodości, ani we-

sela? A co do czynu, tylu jest ludzi na świecie, tylu innych ciebie zastąpi!...—snuły się myśli nie nowe.

Sosny wysokopienne kolebały się dookoła, powtarzając coś nieustannie z mocą, z wymową, ze wzburzeniem. Nie tyczyło się to pewno ludzi, wojny, ziemi. Co im do ludzi, do wojny, ziemi!—dumał Siewierski, patrząc z zazdrością na podobne wierzchołki.

Gdy wyjechali z lasu, zatupotały za nimi kopyta pędzącego konia. Był to Aleksander. Doskonale osadzony w siodle, w długich, zabłoconych butach, w nieprzemakalnej kurcie, rozgrzany szybką jazdą, wyglądał dziarsko. Nie poddał się słocie, listopadowi, zniechęceniu tak, jak nie poddawał się nigdy niczemu.

—Doskonale, że się spotykamy—zawołał donośnie a wesoło, gdy zrównał się z powozem.—Miałem nawet wstąpić. Wróciłem dopiero z miasta. Ważna nowina!

—Cóż takiego?—z niedowierzaniem spytał Jakób.

—Państwa centralne ogłosiły akt o niepodległości Polski kongresowej...

—I to naprawdę!

—Z zastrzeżeniem rozumie się, ale nareszcie Polska weszła na widownię międzynarodową.

Koledzy patrzali sobie w rozjaśnione twarze.

—Polska wstała z grobu i już jej tam nie schowają z powrotem!—huknął Zapolski tak, jakby chciał przekrzyczeć szum wichru.

I energicznie pogroził pięścią na wschód i na zachód.

Koledzy patrzali sobie w uradowane twarze.

—Nie mieliście też wieści o Stefusiu?—spytał naraz Siewierski.

—Nie. Musiał poledz—krótko i obojętnie odparł Aleksander, jak gdyby nie tyczyło się to brata.

Następnie, ponieważ nie był politykiem i nie znosił gadulstwa kawiarnianego o polityce, przeszedł natychmiast na rzeczowy grunt spraw miejscowych; potem, zawiadomiwszy Jakóba, że ślub jego, odkładany wciąż przez panią Targowiecką, odbędzie się jeszcze przed adwentem, trącił wierzchowca obcasem zabłoconego buta i pośpieszył do miasteczka.

Siewierski ruszył ku domowi. On także nie należał do rodzaju polityków, to też nie snuł ani wniosków, ani domysłów. Płomienne słowa: "Niepodległa" olśniło go blaskiem. Umilkły na razie zawodzenia żalów i tęsknot. W duszy, niby w borze, który, wzburzony do głębi, odezwał się mową siły i gniewu, gromadziły się moc i wiara. Wsłuchiwał się w daleki szum łasu i jeszcze dalszy odgłos strzałów.

Rzecz dziwna, teraz dopiero zwrócił uwagę na huk dział, choć armaty grzmiały zapewne przez dzień cały. I znowu, jak przed rokiem, roiło się mu, że kędyś daleko na zachodzie, tam, gdzie złowrogo pomrukują armaty, odbywa się sąd, że historya kreśli tam swe wyroki, że huk dział przybliża się, że coś się nasuwa...

Kto to szedł stamtąd? Książę świata tego?

I znowu, jak przed rokiem roiło się mu, że z za borów wyłonią się liczne a zwycięskie szeregi bohaterów, których przywiodzie tu Stefuś.

Karcił siebie za to marzenie, gdyż potępiał i w sobie i w narodzie przewagę wyobraźni nad rozumem, szkodliwą marzycielskość, a jednak do wieczora zdawało mu się, że armaty grzmią coraz bliżej. Przechadzał się po pustych pokojach i pomimo woli nadsłuchiwał.

W ogromnej jadalni było głucho dnia tego. Nie zapełniły jej widmowe korowody przodków. Nikt nie przeszkadzał Siewierskiemu myśleć. Nie pierwszy i nie ostatni raz czynił rachunek z sobą i życiem.

Ojczyzna powstała z grobu, a jakiż jest jego udział w wyzwoleniu ojczyzny? Gdzie miejsce jego w wolnej Polsce?

Dotąd przebywał dumnie w odosobnieniu w swoim Siewiersku, dotąd otaczały go chłód i pustka. Pominięto go, zostawiono na uboczu, zapomniano. Tacy Szczerbiowscy, Aleksander Zapolski, Zamirowski mają swoje partye, swoje stanowiska. Tłum szedł za nimi, czy też oni z tłumem. On zawsze myślał inaczej, niż tłum, patrzał inaczej i czuł. I właśnie dlatego, że myślał wyżej, patrzał dalej, czuł głębiej, należy mu się władza nad ludźmi. I właśnie dlatego on nie zdobędzie nigdy tej władzy... A chciało mu się panowania. Rządzić chciał,boby potrafił poprowadzić motłoch nie tam,

kędy motłoch się pcha, lecz tam, kędy tym tłumom iść należy...

—Chwały własnej szukasz—strofował siebie—sięgasz sybarycie i dylatancie po buławę hetmańską. Kandydatów do hetmaństwa Polska miała zawsze podostatkiem. Brakło w niej szeregowców, pracowników, ładu, karności, poczucia obowiązku... Ojczyzna zmartwychwstała, a ty z pychą swoją i ambicyą zostaniesz bezczynny w Siewiersku, dlatego, że nie obwołają ciebie tłumy przywódcą?

Jakób nie potrzebował toczyć z sobą walki. Umiał rozkazywać sobie.

—Zapiszę się do szeregowców, zabiorę się do pracy, pójdę między tłum, niech rozporządzają osobą moją Szczerbiowski czy Zapolski, wykonam wszelką robotę, nie opuszczę żadnych posiedzień, komisyi, narad, słuchać będę gadulstwa głupców—niezłomnie, ale bez zapału, postanawiał Siewierski.

I chodził wolno, cicho po pełnej milczenia mrocznej jadalni, gdzie nie było ani portretów, ani korowodu widm. W jakiejś chwili pchnął okno.

Chmury rozpraszały się i świeciły już gdzieniegdzie ostre, przenikliwe gwiazdy. Zanosiło się na mróz. Strzały umilkły. Była zupełna cisza. Drzewa w parku odpoczywały po długiej wichurze.

Na widok gwiazd dalekich jakowaś nieznana od dawna otucha wstąpiła w Jakóba. Nie były to wnioski, ani dogmaty, była to tylko krzepiąca woń wiary, nad której ugruntowaniem pracowała w nim boleść.

—Nie samem cierpieniem, nie samą bezmyślnością—istnienie—nie myślał, ale raczej czuł Siewierski, spoglądając w niebiosa.

—Jest coś we mnie, w życiu, we wszechświecie... Jest Bóg, jest ojczyzna, jest dobro... Urodziłem się przeznaczony do czegoś... jeszcze dokonam dzieła swego... Nad chmurami, które rozsuwają się i pierzchają, są gwiazdy, a na ziemi są cele wysokie, które przerastają cierpienie, cele, większe, niż najbardziej bolesne cierpienie, cele, którym przyświecają one dalekie gwiazdy... Są we mnie wysokie pragnienia, nieśmiertelne...

Siewierski wiedział o tem od dawna, ale dotychczas powtarzał te prawdy wyrazami katechizmu, poetów, filozofów, dziś zaś zaczynał mówić własnemi słowy własnego uwierzenia.

Wolno, bez wiatru, rozsuwały się chmury, to kryjąc, to odsłaniając gwiazdy.

"Trzeba, żeby pan oprócz swoich tam zaświatów uwierzył i umiłował coś wielkiego na ziemi... naprzykład Polskę. Treścią naszego życia może być ofiara, godzina wzniosłej radości, szczęścia jednej godziny... może wystarcza kwiat usychający podlać, ptaka głodnego nakarmić"—przypomniały się Jakóbowi jej słowa, powiedziane dawno.

Siewierski uśmiechnął się smutnie.

XXXI.

Siewierski dotrzymał danej sobie samemu obietnicy i porzucił z żalem wprawdzie a bez przekonania—swój dotychczasowy przybytek wyniosłego odosobnienia.

Zaczął cierpliwie uczęszczać na posiedzenia i wszelkie narady obu partyj, na które w owym okresie dzieliło się społeczeństwo, pilnie i cierpliwie przysłuchiwał się rozprawom, pracowicie spełniał obowiązki, nakładane na niego, jeździł, gdy go posyłano, kontrolował , gdy obierano go do komisyj rewizyjnych, prowadził księgi kasowe, jako skarbnik, który to urząd polecono mu często w nadziei, iż bogaty właściciel Siewierska załata dziury w budżecie, podporządkował się rozmaitym prezesom, tak jak w swoim czasie podporządkował się był w Siewiersku Aleksandrowi Zapolskiemu.

Nie wiodło mu się wszakże. Ile razy zabierał głos, a występował rzadko i starał się mówić pokornie, tyle razy stwierdzał, iż zajmuje stanowisko niepopularne.

W obozie Zapolskiego kilka wystąpień zyskało mu wprawdzie rozgłos, ale nie wyzyskał powodzenia i odstręczył od siebie zwolenników, gdyż nie chciał przyznać im wyłącznej słuszności, do czego partya rościła pretensye, jak wszystkie zresztą partye. W stronnictwie Targowieckiego

uważano Jakóba albo za warchoła, albo za dyletanta i prostaka, który powinien milczeć, ile że nie posiada wiedzy o rzeczach przyszłych, nie jest i nie może być wtajemniczony w sekreta dworów i gabinetów, nie zna arkanów wielkiej polityki. Gdy tylko Siewierski odzywał się z jakąś uwagą, okazywało się, że rozum stanu zapatruje się wręcz odmiennie.

Podniecony polemiką, Siewierski napisał i zamierzał wydać dwie rozprawy pod wielce obiecującemi tytułami: "Krytyka czystego rozumu stanu" i "Krytyka praktycznego rozumu stanu", w których, mimo szumnych, a pokrewnych tytułów, nie próbował wszakże iść w zawody z mędrcem Królewskim. Choroba żony przeszkodziła mu na szczęście w ogłoszeniu zjadliwych satyr.

Janina chorowała ciężko i długo na anginę z komplikacyami reumatycznemi. Lubo lekarze, którymi otoczyła siebie, ani razu nie uznali stanu jej za groźny, ona sama wciąż traciła nadzieję wyzdrowienia i poddawała się nie rozpaczy prawdzie, lecz trwodze śmiertelnej. Wówczas cieszył ją i krzepił Siewierski.

Wierzyła mu. Za każdą najmniejszą, oddaną jej usługę, za objaw troskliwości, za zwykłe pytanie, okazywała tyle wdzięczności, że to podbijało męża. A gdy któregoś wieczora dziesiąte, czy piętnaste z rzędu konsylium, zwołane przez chorą, uznało za właściwe zaniepokoić Jakóba, i ten część nocy przesiedział w salonie obok sypialni żony, Janina, zwykle taka sztywna, opanowana i zimna, chwyciła rękę męża, przycisnęła ją do ust i rozpłakała się, jak dziecko.

Płakała z bólu, ze zdenerwowania, ze znużenia, z obawy o siebie, przypuszczając, że jest źle, skoro mąż czuwa, płakała ze szczęścia. Siewierski słowami i kroplami uciszył łkanie, a kiedy chora usnęła, dumał w ciszy salonu, gdzie szemrały staroświeckie zegary, i po raz pierwszy zastanawiał się nad żoną, o której dochodach, zdrowiu, rozrywkach, brylantach, wygodach myślał często, nad której życiem przechodził dotąd do porządku, i po raz pierwszy ubolewał nad ubóstwem jej doli, nad sieroctwem jej serca, któremu tak niewiele było potrzeba, by płakać ze szczęścia.

I będąc prawym, gotów był ostrzedz ją, by nie łudziła się, nie przeceniała, nie liczyła na niego zanadto, ale nie mówił nic... Są rzeczy, których lepiej nie wyjawiać. Dziś właśnie, gdy doktorzy zaniepokoili się osłabieniem serca, jakąś "arytmią", on, słuchając sprawozdania lekarzy, uświadomił sobie przelotne, dokonywające się w nim kalkulacye na temat, coby zyskał w razie śmierci żony.

Podstępne rachuby odbywały się niedługo. Nie towarzyszyły im ani nadzieja, ani pragnienie, myśl była jakoby cudzą, jakoby podszepniętą przez kogoś trzeciego, ale Siewierski przeraził się jej—wówczas, gdy pojawiła się, przeraził się teraz, gdy nasunęła się ponownie.

Na palcach poszedł do pokoju chorej, wzrokiem zapytał pielęgniarkę, która skinieniem głowy dała mu znać, że wszystko w porządku, że serce działa dobrze. Jakób badał siebie troskliwie i trwożnie i ucieszył się, że cieszył się naprawdę szczerze z polepszenia w stanie Janiny.

Kilka tygodni potem Janina wyzdrowiała, wszystko wróciło do normy. Znowu rozpoczęły się posiedzenia rodzinne, trochę przydługie, i konwersacye, nieco sztuczne, i zapanawała harmonia, jeszcze bardziej zgodna, a tak przykładna, że aż nieprawdziwa.

W oczach Janiny, zamaskowanych szkłami, pojawił się wyraz, który tkwił w nich kilkanaście lat temu, i który znikł był następnie. Siewierski odwracał wzrok, nie patrzał żonie w oczy i zaczynał opowiadać nowiny z miasta, na których mu nigdy nie zbywało, bo miasto pełne było przyjezdnych, a "ludzie żenili się, wychodzili za mąż, kupowali, sprzedawali'," jako za dni potopu, zupełnie podług znanego wersetu z ewangielii.

Ucieszywszy żonę jakąś sensacyjną wiadomością, Siewierski najczęściej zabierał się do wyjścia, gdyż prawie codziennie odbywały się zebrania, pracowały komitety, on zaś bywał wszędzie, wierny danemu sobie słowu i zapraszany wszędzie. A zapraszano Siewierskiego dlatego, że wszystkie polskie partye, bez różnicy i pomimo najjaskrawszych różnic, były p. p. p. p., to jest potrebowały pieniędzy, on zaś dawał zawsze i wszystkim, hojnie tam, gdzie podzielał zapatrywania, mniej szczodrze, gdzie nie pochwalał, ale

i nie odrzucał "rezolucyi", mało tam, gdzie się nie zgadzał z wnioskiem.

Na jednem z takich p. p. p. p. posiedzeń, zaraz po świętach Jakób spotkał się ze Szczerbiowskim, który dość często odwiedzał, on, wielki polityk stołeczny, skromne miasto prowincyonalne, i zupełnie przypadkiem natrafił na jego rozmowę z którymś z polityków miejscowych, a rozmowa owa niezwykle poruszyła Jakóba.

Padły w niej kilka razy nazwiska Gorzelskiej i Turskiego. Jakób zbliżył się, czujnie słuchał.

—Ale wasz Turski, którego obnosicie na rękach, którym szczycicie się—niedbale mówił Szczerbiowski—nawarzył piwa sobie i tej jakiejś Gorzelskiej. Gorzelska zdziałała bardzo dużo w sekcyi opieki nad dziećmi, potem zaś wdała się najniepotrzebniej w politykę, najszkodliwszą na świecie.

Szczerbiowski z ukosa spojrzał na Jakóba i ciągnął dalej niedbale:

—Pewnego pięknego dnia, młoda para, podobno narzeczonych, konspiracyjnie, poza plecami Towarzystwa wybrała się w głąb Syberyi, w objazd obozu z jeńcami. Niektórzy dowodzą, iż mieli podrobione glejty. Ja osobiście nie wierzę temu.

Szczerbiowski spokojnym ruchem wydobył złotą papierośnicę z incyałami, wysadzonymi szafirami, z papierośnicy wyjął papierosa, zapalił i palił wolno, niedbale tak, jak mówił:

—Uszłoby to im jeszcze, gdyby mieli na celu wyłącznie pomoc materyalną. Tymczasem podobno tych dwoje półgłówków rozpoczęło jakąś propagandę polityczną, prowadziło konszachty z legionistami. Ktoś zapewniał mnie, że ułatwili ucieczkę... Rozumie się, złapano ich, osadzono w więzieniu, skąd, wątpię, by wydostali się kiedy—z zadowoleniem fanatyka partyjnego, którego cieszy klęska przeciwnika, oznajmiał Joe.—Mniejsza o nich... sami sobie winni.

W tej chwili rozległ się dzwonek przewodniczącego, i rozpoczęło się posiedzenie.

Siewierski usiadł w swojem zwykłem miejscu w pierwszym rzędzie krzeseł. Z twarzy spokojnej i zimnej niktby nie poznał, że przebywa mękę, może najcięższą w życiu.

Wiedział, że należy działać, że należy ratować, że trzeba jechać dziś jeszcze pierwszym pociągiem, w nocy—pozatem nie myślał o niczem.

Potrzebował informacyi, a może i protekcyi Szczerbiowskiego—i dla tego nie opuszczał zebrania.

Tymczasem posiedzenie trwało bez końca.

Wreszcie, gdy wszyscy z zapisanych do głosu wypowiedzieli wszystko, co mieli w myśli i w sercu, a zapewne tylko na ustach, przewodniczący położył kres rozprawom.

Wówczas Siewierski zbliżył się do Szczerbiowskiego, poprosił o pomoc, o protekcyę takim tonem, jak gdyby ta prośba była bardzo zwykłą, rozumiała się sama przez się, a jego nie obchodziła nic a nic. Joe z niedbałego, lecz uprzejmego, stał się naraz prawie opryskliwym, niby zwierzchnik, któremu zbyt długiem gadaniem dokuczył podwładny.

Zmarszczył się, spojrzał Siewierskiemu w oczy, strząsnął z papierosa popiół—i odmówił. Mieszanie się do tej sprawy uważał za niewłaściwe, ponieważ wyglądałoby to, iż on i jego stronictwo popierają tak szkodliwą akcyę, jak propaganda polityczna między jeńcami.

Siewierskiemu poczęły drżeć palce, krew przypłynęła do serca falą i wnet odpłynęła, ręce zaciskały się w pięść...

Siewierski spuścił wzrok, by nie widzieć drażniących go postawy, wyrazu tupotu. Siewierski oddałby połowę fortuny, na bardzo ciężkie skazałby siebie umartwienia i pokuty, byleby nie potrzebować zabiegów o względy tego zarozumiałego głupca...

Pohamował się i jak podwładny wobec coraz bardziej zniecierpliwionego zwierzchnika tłómaczył, że tam, gdzie chodzi o życie dwojga rodaków, że tam należy niekiedy zapomnieć o partyi, że on zresztą bynajmniej nie prosi o oficyalne wstawienie się za parą półgłówków, lecz tylko o parę listów polecających dla niego, dla Siewierskiego, ponieważ on nigdy nie miał wiele stosunków w Rosyi, od czasu zaś śmierci stryja zaniedbał je zupełnie.

Szczerbiowski zgasił papierosa, z ukosa spojrzał na Jakóba, zastanawiał się chwilę...

Przypomniała mu się przykra scena w Targowcu, w której wyratował go Siewierski, a wśród różnych zalet i przy-

war Szczerbiowski miał w swojej mało zawiłej naturze dość rzadką cechę dodatnią: mianowicie wdzięczność. Powtórzywszy tedy raz jeszcze, iż Gorzelska i Turski nie zasługują na współczucie i powinniby długie w więzieniu odsiedzieć medytacye, zgodził się pomódz rodakom, nakreślił na kilku biletach wizytowych po parę słów, obiecał do kogoś z możnych napisać list, z kimś innym jeszcze możniejszym obiecał pomówić osobiście.

—Przedstawię ich jako ekscentryczną parę , która wybrała się na Syberyę w podróż poślubną—żartował niedowcipnie.

—Zapewne, zapewne, bardzo dobry pomysł.

Siewierski śpieszył do domu, by zaraz odjechać, Czekała go jeszcze rozmowa z żoną.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Janina otworzyła mu sama. Lokaj Feliks zawieruszył się na jakichś chrzcinach, ona zaś czuwała dotąd z powodu nawału rachunków, a nie mogła usnąć spokojnie, dopokąd w księgach kasowych znajdował się najmniejszy błąd.

Mimo, że obcy z twarzy męża nie poznałaby, iż męka żarła mu duszę, Janina od razu odgadła, iż coś się stało niezwykłego. Czekała wszakże, by zwiastował jej sam. Dawny niepokój zatrzepotał się w sercu, tem cięższy, iż odwykła od niego, złe zdawało się zażegnanem.

Bez wstępu, na który zresztą nie było czasu, w krótkich słowach Siewierski oznajmił jej, dokąd jedzie i w jakim celu, a także, iż musi jechać zaraz.

—Jaka grozi im kara?—spytała.

—Jeśli plotki, które przywiózł Szczerbiowski, są prawdziwe, w takim razie—kara śmierci.

—A tobie?

—Mnie chyba nie grozi nic...

—Nie jedź Jakóbie—próbowała prosić...

—Muszę.

Nastała cisza. Siewierski szukał czegoś na biurku i w szufladach biurka.

—Przypuszczam, iż plotki Szczerbiowskiego—odezwał się—są wyssane z palca partyjności.

Znowu była chwila ciszy.

—Mógłbyś nie narażać się... możnaby może przez osoby trzecie... Będą podejrzewać ciebie o wspólnictwo... a sądy wojenne—Janina urwała, nie mając wprost odwagi dopowiedzieć do końca.

—Muszę jechać—była krótka, sucha odpowiedź.

Zapadło milczenie. Jakób szukał jeszcze rzeczy najważniejszej, bez której nie mógł ruszyć się z domu, t. j. paszportu i pozwolenia na wyjazd.

Zapadło milczenie.

—Jakóbie—cicho zaczęła Janina.

Cień zniecierpliwiena przemknął po suchej ı, zdawało się, chłodnej twarzy męża.

Janina urwała.

Stokroć gorzej, niż mikobów, chorób i śmierci, bała się sądów rosyjskich, więzień, żandarmów, ochrany—a nie śmiała nawet prosić.

—Gdybyś ty przynajmniej—zaczęła znowu.

—Nie jestem dzieckiem—rzekł—będę działał ostrożnie... Zresztą powtarzam, nie grozi mnie nic... A jechać muszę zaraz...

Tym razem Janina nie zaprzeczyła.

—A ponieważ musisz, a skoro jedziesz zaraz... przecież rzeczy—zatroszczyła się,—Feliks nie przyszedł jeszcze... Olesia w Siewiersku.

I zakrzątała się około pakowania rzeczy mężowskich. Z pośpiechu, czy braku wprawy, czy może z innej przyczyny trzęsły się nieco jej ręce. Rozbiła flakonik z eleksirem, niosąc chustki do nosa i kołnierzyki, rozsiała je po drodze. Jakób pomagał żonie.

Gdy Janina wyszła po zapasy, po jakieś lekarstwo "na wszelki wypadek" na drogę, Siewierski zdjął z półki książkę, której nie oglądał dawno, bardzo dawno... Był to tom Słowackiego, z którego niegdyś czytali razem. Jakób odnalazł ustęp, zakreślony jej ręką:

"Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra, jak matka i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy... Nie zapominaj o mnie, bo ktoż o mnie będzie pamiętał po śmierci"...

Między stronicami książki znajdowała się fotografia amatorska, jedyna, jaką posiadał. Panna Kasia stała na niej z więzią kwiatów w ogrodzie tyszowskim w słońcu, w cudny dzień letni, uśmiechnięta, w białej sukni, którą pamiętał. Dziś myśl wzdrygała się przed tem, by wyobrazić sobie pannę Kasię w jednem z ohydnych więzień zapadłego miasta syberyjskiego.

Jakób uspokajał żonę, lecz w głębi trworzył się najokropniej, a trwoga była tak niezmierną, że zdusiła wszelką myśl, wszelkie inne uczucia...

Oczy przywarły do wizerunku, do postaci najdroższej. Po suchej i chłodnej twarzy dyplomaty przebiegły drgania, krótki nagły ból przeszył, rozdarł, zakrwawił serce, obłęd żalu zaćmił umysł. I chciało się z bólu, w obłędzie żalu tłuc głową o mur, o ten najbliższy mur...

Siewierski wsunął fotografię między stronice Słowackiego, książkę odłożył na półkę—a potem z kasy ogniotrwałej wyjmował pieniądze, jakieś dokumenty...

Janina wróciła z lekarstwem, pakowała dalej. Na twarzy paliły się wypieki, pince-nez coraz to zsuwało się jej z nosa. Od czasu do czasu mąż i żona zamienili między sobą po kilka praktycznych, niezbędnych słów. Janina czekała, by spojrzał na nią mąż. Janina pragnęła wiedzieć, jakiemi też są dla niej te oczy. Ale nie widziały czy nie chciały widzieć jej oczy mężowskie.

Obok śmiertelnej obawy o wynik tej niezmiernie niebezpiecznej, jak sądziła, wyprawy, znany dawny niepokój gryzł serce pani Siewierskiej, i z rany, już pono zogojonej, sączyła się krew. I zdawało się Janinie, jakkolwiek nie poczuwała się do żadnej winy, że mąż oskarża ją o coś i ma do niej żal i za coś ją potępia...

Gdy ona w chwili rozstania żegnała się z nim, jak gdyby jechał na pewną śmierć, on z roztargnieniem podstawiał policzek pod pocałunek, pocałował, nie patrząc na nią, nie dotykając prawie ustami.

I znowu nie śmiała wymówić słów i zaklęć, które cisnęły się na wargi.

Gdy znosił na dół tłomoki, poszła ku oknu w nadzei, że chociaż z ulicy spojrzy w jej stronę. Jakób wskoczył do

sań, dorożkarz zaciął szkapę-wywłokę która wierzgnęła, sanie ruszyły i zatoczyły się.

Jakób nie odwrócił się i nie spojrzał w okno, z którego chciała pożegnać go żona. Pani Siewierska czekała napróżno. A nie doczekawszy, usiadła do przerwanych rachunków, do których zakradł się był błąd. Wzięła obsadkę, umoczyła pióro. Ale głowa opadła nizko, czoło wsparło się o brzeg biurka.

Duszę Janiny szarpały tortury obawy, że męża gdzieś tam w dalekiem mieście syberyjskiem pochwycą żandarmi, zamkną razem z tamtą, uczynią sąd polowy.

I modliła się jak niegdyś podczas tyfusu o jedno, by Bóg ocalił męża z rąk nieznanych, wyrastających do rozmiaru apokaliptycznej bestyi oprawców, lecz obok śmiertelnej trwogi tkwił ból, ów dawny, znany, który się skarżył, że zabrano jej męża, i tkwił żal, że Jakób ani razu nie spojrzał na nią, że odjechał, być może na zawsze, i nawet nie odwrócił się w stronę jej okna.

Pani Siewierska dźwignęła głowę, umoczyła pióro, za brała się do rachunków i, choć oczy mroczyły się od łez, usiłowała wykryć błąd, który się zakradł do księgi kasowej Towarzystwa opieki nad ofiarami wojny.

XXXII.

Wiosna w owym niezwykłym roku przyszła niezwykle późno, może dlatego, by kraj krom wojny, powietrza i ognia zapoznał się jeszcze i z głodem. Pesymiści, których ilość z dniem każdym wzrastała, głosili blizki koniec świata, ludzie, mniej czarno patrzący, wieszczyli tylko ruinę i nędzę powszechną.

Zanosiło się poniekąd na to drugie. zwłaszcza po dworach, gdzie roboty rolne albo się nie zaczęły zupełnie, albo nie posuwały się naprzód. Pesymiści przepowiadali zagładę dworów... Tchórze, na szczęście niezbyt liczni, uciekli do miasta; odważni postanowili pomimo wszystko zostać na wsi. Do tych drugich należał oczywiście Alekander Zapolski.

Oznajmił sąsiadom, włościanom, wszelkim komitetom że, cokolwiek się zdarzy, on obsieje pola swoje i nie wyjedzie ze swoich Nowin—i tak też było. Napróżno Targowieccy, przerażeni anarchią, napadami, rabunkami, słali listy błagając, by nie narażał Imy i przyszłego jej dziecka. Aleksander uparł się. Ima zaś nie chciała opuścić męża, przy którego boku nie bała się niczego.

Patrzała jego oczami, myślała jego głową, wierzyła mu ślepo, to też nie buntowała się przeciwko despotyzmowi swego "pana i władcy", on zaś do wielu spraw, na przykład do spraw światowych, towarzyskich i zarządu domowego nie mieszał się zupełnie. W dziedzinie duchowej, nieznanej Zapolskiemu, mimo że należał do katolików praktykujących Ima zachowała także zupełną samodzielność.

Poza tem od czasu do czasu, coraz częściej, udawało się Imie wyjednać jakieś ustępstwo, udawało się zetrzeć jakiś kant, wygładzać szostkie formy, przytłumić rubaszność złagodzić ostry ton w stosuku do ojca. Ima nie wątpiła o tem, że męża przerobi.

Gdy zaczęły się napady, Ima postanowiła wyprawę swoją odesłać do miasta, choć Aleksander nie pochwalał tego projektu, który poniekąd wyglądał na zwijanie domu i stchórzenie. Pewnego południa kazała znieść na ganek kufry, otworzyć je, przesuuszyć bieliznę, przetrzepać dywany, przewietrzyć futra. Sama doglądała roboty.

Rozkładano na stołach, rozwieszano na poręczach śnieżne, lśniące, nietknięte obrusy, serwety, prześcieradła. Przypatrywała się z niewieściem zamiłowaniem pięknej, niepokalanej bieliźnie, cieszyła się ze słońca, które dnia tego wybłysło nieco cieplej, a patrząc na strojne suknie wyprawne, które wiatr wydymał, któremi wiatr tarmosił, cieszyła się, że ona tych sukien niedorzecznych, niepotrzebnych już nie włoży, radowała się na myśl o nieznanej a drogiej istocie, której serce biło w jej łonie.

Naraz zaturkotało w bramie, Spojrzała w tamtą stronę z obawą, bo miłę niespodzianki zdarzały się rzadko w tych czasach.

Pod dom zajechała nędzna "drabinka", zaprzężona w chudego, siwego konia, zaszczycona natomiast, czy ozdo-

biona podróżnym o wytwornej sylwecie, o wielkopańskim wyglądzie. Był to pan na Siewierski.

Ima witała go z radością, jako Aleksandrowego przejaciela i przyjaciela własnego, usadowiła śród kufrów z bielizną, częstowała herbatą.

Jakób wyglądał znużony, zdawał się smutnym, a każdy smutek był Imie teraz obcym. Mimo współczucia, które usiłowała zwykle w sobie wzbudzić na widok czyjegoś strapienia, zbyt obchodziło ją jej własne życie, zbyt przejmowały jej własne nadzieje, troski, radości. To też, chociaż lubili się, Ima i Jakób niewiele mieli sobie dziś do powiedzenia.

Mówili trochę o wojnie, o polityce. Ona spokojnie, z przekonaniem powtarzała uwagi i zdania Zapolskiego, jako własne myśli. Jakób opowiedział jej o Targowieckich, których spotkał, o pani Podbielskiej i Hipie Podbielskim, który, bojąc się rozruchów chłopskich, nie mogąc znaleźć ani bezpiecznego schronienia w żadnym z mnogich majątków, ani wolnego pokoju w mieście, zamieszkali u Janiny.

Często zapadało milczenie.

—Czy nie słyszałeś też, tyle jeżdżąc po świecie, co się dzieje z Kasią Gorzelską—przerwała jemu raz młoda pani Zapolska. Doszły tu dziwne wieści...

—Panna Gorzelska była uwięziona i chorowała, zaręczona jest z Turskim, pracuje—krótko informował ją Jakób.

Z tych czterech nowin tylko wiadomość o zaręczynach zajęła Imę. Z ciekawością młodej mężatki, a może kobiety, wogóle jęła dopytywać o Turskiego, którego prawie nie znała, o ślub, o projekty przyszłej pary małżeńskiej.

Jakób zbywał ją lakonicznie. I znowu nastało milczenie. Gospodyni przypatrywała się składaniu bielizny do pak. Siewierski podniósł kilka razy uważny wzrok na kuzynkę, zdumiony wypięknieniem jej twarzy. Czesała się znowu po staroświecku, z koroną warkocza nad czołem; oczy pełne wyrazu, przypominały Tereskę.

—Aleksander zapewne w polu?—spytał w jakiejś chwili.

—Już posłałam po niego. Niebawem nadejdzie.

—Ja zaś śpieszę, bo tym oto rumakiem jadąc, nie zdążę przed nocą.

—Znajdziemy tu inne konie dla ciebię.

—Nie telegrafowałem do Siewierska—Jakób zawahał się chwilę, jak gdyby przykro mu było przyznać się—nie wiedziałem bowiem, czy pozostał tam kamień na kamieniu—dokończył z uśmiechem bladym i błahym.

—Aleksander opowie ci o wszystkiem... był tam... zrobił, co mógł... gdyby nie on—Ima urwała, rozumiejąc, iż jej nie wypada dłużej męża wychwalać. Otóż idzie właśnie...

Aleksander w długich butach, w kurcie gospodarskiej, czarny jak murzyn z opalenia, szedł swoim żwawym, drobnym krokiem. Żona poznała z daleka, że nie ma jej za złe, iż odwołała go od zajęć, czego bała się trochę wobec pilnych robót w polu.

Lecz Siewierski miał tu swoje przywileje, zwłaszcza dziś. Aleksander począł mu zaraz żywo a treściwie opowiadać smutne dzieje napadu na dwór Siewierski, dokonanego przez oddział żołnierzy, który poszukiwał wódki, a znalazłszy w piwnicy zapas starki i wina, hulał w sposób nadwołżański. Chłopi dopomogli w pewnej mierze żołdactwu. Straty były poważne, zniszczenie—bolesnem.

Siewierski słuchał ze zwieszoną głową.

Zapytał o groby rodzinne, o park, o bibliotekę.

—Lepiej, byś przygotował się na najgorsze—krótko odparł Zapolski.

Nastała cisza. Jakób nie pytał już więcej o ukochany Siewiersk, przeszedł na inny temat.

Przejaciele rozmawiali o doniosłych wydarzeniach doniosłej epoki. Jakób nie wierzył w raj sprawiedliwości i równości, dowodził, że każda rezolucya cofa, czy zatrzymuje postęp duchowy, wysuwając sprawy materyalne na pierwszy plan, że z rezolucyą nastaje okres uwielbienia potęgi człowieka i rozumu, a samobóstwienie na złe wychodzi ludzkości, że w obecnym wypatku wschód może szczególnie dać się we znaki.

Zapolski nie podzielał pesymizmu kolegi i zaprzeczył; mimo to spór nie wywiązał się, gdyż obaj naprawdę w danej chwili zajęci byli czem innem.

—Nie jest tak źle. Powinniśmy się skupiać, wykorzystać w pełni prawa nasze... nie damy się! Lud pójdzie z czasem z nami!—powtórzył gospodarz.

—Być może—zgodził się chętnie Siewierski—zresztą uważam, że dawny ustrój był tak haniebnie zły, że warto najcięższe ponieść ofiary, o ile się zdobędzie chociażby drobne ofiary.

Zapolski potakiwał skwapliwie, patrząc to na żonę, to w stronę gospodarstwa, do którego było mu pilno.

Wkrótce Jakób wstał i począł się żegnać, dość powściągliwie zatrzymywany przez gospodarza.

—Chciałbym zdążyć przed nocą, a nie wiem, czy dowlokę się—tłomaczył się gość.

—Istotnie "kiepski chabet"... Chętniebym dał ci nasze, ale wszystkie w polu... Sam wiesz... czas gorący—usprawiedliwiał się Aleksander.

—Możeby jednak jakaś para się znalazła—nieśmiało spróbowała Ima.

Lecz mąż udał, że nie słyszy, Pomagał przyjacielowi gramolić się na wysokie, wysłane słomą siedzenie wózka. Żyd woźnica począł z miejsca szarpać lejcami i wymachiwać biczem, koń ruszył niechętnie, stęknął głucho ze znużenia, starości i smutku... Siewierski uśmiechnął się niewyraźnie, wskazując na furmana i "rumaka", uchylił kapelusza, potem zabrał się do zapinania burki, i odjechał, nie odwracając już głowy.

Po raz pierwszy w życiu wytworny, świetny, mądry i bogaty kuzyn wydał się Imię zbiedzonym, bardzo opuszczonym i smutnym.

—Ciężkie czekają go chwile—rzekła—szkoda, że nie mogłeś z nim pojechać i że nie dałeś mu koni—zauważyła ciszej.

Aleksander zmarszczył się.

—Rozumiesz przecie, iż okoliczności są wyjątkowe. Wiosna późna, roboty spóźnione, ludzi niema, koni niema a wszystko musi być zrobione.

Ima umilkła, nieprzekonana i postanowiła w duchu z czasem, w odpowiedniej chwili poruszyć jeszcze raz drażliwą sprawę. Pamiętała o kropli, co drąży kamień. Aleksan-

der objął żonę, przytulił do siebie, popatrzał w oczy, pocałował w czoło.

—Jakże się dziś czujemy?—spytał i miał już odejść, nie doczekawszy odpowiedzi, bo śpieszył do siewów.

—Odprowadzę ciebie trochę—poprosiła żona.

I poszli razem wolno suchą już ścieżką przez zaniedbany sad wśród drzew bezlistnych ku polu.

Nizkie, koślawe, źle prowadzone jabłonie ruszały się w zimnym wietrze, który wiał ze wschodu. Chłodne niebo bez chmur przypominało październik i grudę, ale pianie kogutów, głoszenie się ptactwa w gałęziach przekonywały, że wiosna będzie.

—Od szeregu lat powtarzam sobie, że należało wyrąbać drzewa, albo porządnie utrzymać sad—zauważył Zapolski—młoda gospodyni powinna zająć się tem w jesieni.

—Wierzysz jeszcze, że nie wysiedlą nas...

—Wiem i wierzę—krótko, jak zwykle, zawyrokował mąż.

—A podział dóbr?

—Nie damy się... Zostawią nam pięć morgów, będę sam orał, pani dobrodziejka będzie w rękawiczkach trząść gnój. Przetrwamy wszystko! Nie damy ziemi, skąd nasz ród!—zanucił pięknym głosem Aleksander.

Stanął na chwilę. Poprzez jabłonie, które kiedyś miały okryć się kwieciem i owocami, a dziś szamotały się z lodowatym wschodnim wiatrem, patrzał ku polom.

—Nie tylko nie damy się, ale jeszcze wyratuję część Chocimowa—zawołał z zapałem i wskazał na wschód. Zacząłem już z żydami traktować. Wciągnę Ciecierskiego i Siewierskiego, a jeśli uda się spłacić ich, Chocimów będzie dla pierwszego syna—zaśmiał się krótko, spojrzał żonie w oczy. —Nie damy się—powtórzył i ruszył naprzód żwawo, ale żona ujęła go za ramię.

Zwolnił, chwilę szli w milczeniu. Naraz Ima zatrzymała się. Twarz jej oblała się rumieńcem.

—Co ci to?—zapytał mąż.

Stała przed nim zapłoniona, pełna radości, wsłuchana w drogie ruchy dziecka, ze spuszczonemi oczyma, wpatrzona

w przyszłe szczęście, w tę najdroższą istotę, tak bliską i własną, a tak jeszcze obcą.

Milczała. Nie chciała wyznać mężowi, który tę sprawę najświętszą, najdonioślejszą traktował zwyczajnie, prozaicznie.

—Co ci to?—zapytał raz jeszcze.

Zamiast odpowiedzi wzięła rękę jego o twardej dłoni, mocną a dobrą, spracowaną, tak opaloną na kolor złota czy bronzu, że obrączka ślubna nie odcinała się na niej, podniosła ją i, jakby badając coś, przyjrzała się zarysowi ręki i świecącym na niej w słońcu włosom, ścisnęła na pożegnanie.

—Pójdę już!—rzekła i wolno skierowała się ku domowi.

Tymczasem wiosną w błocie koleje, który podrzucał, podskakiwał, dygotał, przechylał się. Żyd woźnica ćwiczył konia i mruczał coś do siebie a przyśpiewywał, ponieważ pasażer, którego wiózł, okazał się wielce nierozmownym.

Podróżny zapiął burkę na wszystkie guziki, podniósł kołnierz, schował ręce w rękawach, bo ziębiły mu, i tonął w zadumie, choć zapewne wolałby wszelkie inne zajęcie.

Na znanym gościńcu, którym tyle razy od szeregu lat śpieszył do swego najmilszego Siewierska, boleśniejszą stała się świadomość o tem, że jego ukochane gniazdo rodzinne leży w gruzach...

I właśnie dziś, gdy nie było drogiego dworu, gdy zapadła się siedziba przeszłości, otoczyły Jakóba wspomnienia tego, co, choć od dawna minęło niepowrotnie, teraz zdawało się jakby jeszcze dalszem, jeszcze bardziej straconem...

Wspominał dzieciństwo, powroty ze szkoły i wyjazdy do szkół, pierwszy egzamin, gimnazyalne zabawy i domowe gonitwy w parku, matkę, krótkie i rzadkie pobyty ojca, który spraszał zwykle całe sąsiedztwo i pół gubernii, by swoje polityczne rozpowszechniać teorye, wspominał jakieś wyprawy nocne na połów ryb, polowania, imieniny babki, jakąś zamieć zimową, tańce w Tyszowcach, wspminał Tyszowce, dawne, zawsze huczne i gościnne, prezesa Zapolskiego. Ryszowce podczas wojny, Kasię Gorzelską...

Bieg wspomnień przerwał się. Zamglony obraz przeszłości zasłoniły wrażenia z niedawnej wycieczki w głąb Rosyi.

Zaraz po przewrocie Siewierski odbył długą podróż, włóczył się z miasta do miasta, od urzędu do urzędu, użył wszelkich stosunków, wpływów, sprężyn—i dopiął swego.

Pannę Gorzelską uwolniono z więzienia, czy szpitala więziennego, Turskiego także. Siewierski przewiózł ją—nie osobiście wprawdzie—do najlepszej kliniki, oddał pod opiekę najlepszego doktora, sam nie widział jej, nie chciał, by ona o nim wiedziała.

Widział Turskiego, który ze zwykłą werwą opowiadał o niebezpieczeństwach, o przygodach, o śledztwie, który wyrażał mu wdzięczność który mówił o szczęściu swojem, o narzeczonej. Zwierzał się, że on i dziś jeszcze nie jest zupełnie pewien, bo panna Kasia jest dziwna, bo panna Kasia wahała się długo i jeszcze się waha, traktuje i jego i siebie i małżeństwo żartobliwie, zbywa go często uśmiechem, jakiemś półsłówkiem, czy półsłowem.

Siewierski złożył pełnemu wymowy i zapału powieściopisarzowi życzenia szczęścia i odjechał, powtarzając sobie, że od dawna nie spotkało go nic równie pomyślnego, jak wiadomość o małżeństwie Kasi Gorzelskiej.

I wrócił do kraju, by dowiedzieć się o ruinie Siewierska...

Myśl Jakóba znowu cofnęła się w przeszłość, oczy biegły po znanym krajobrazie. Droga wiła się śród pól przeważnie nieuprawnych i nieobsianych, tam zaś, gdzie przeszły pługi i brony, z powodu chłodu nic jeszcze nie weszło. Tylko liche oziminy zieleniły się tu i ówdzie i drżały z zimna na wietrze.

Czasami na jakimś zagonie wytrwały chłop, odziany w kożuch, sadził kartofle, i wydawało się, że kładzione w bruzdę zimnej, wysuszonej przez nocne przymrozki i wschodnią wichurę ziemi, ziemniaki pójdą na marne, nie wyrosną nigdy...

Kurz zrywał się z pod kopyt konia, tam na polu i tu na gościńcu. Nad łanem żyta wzbijał się skowronek i śpiewał swoją strofę wiosenną dziś taką niewczesną, czy przedwczesną; na łące cierpliwie przechadzał się bocian, od miesiąca głodny.

Gęsto wzdłuż drogi rozsiane typowe białoruskie cmentarzyki wiejskie szumiały szumem kołyszących się nizkich sosen i bezlistnych brzóz niespokojną skargę; ale zmarłym, których grobowce kryły się w gąszczu drzew, nie było chyba źle. Smutniej wyglądały niedbałe krzyżyki na zapadniętych i zapomnianych mogiłkach wygnańców, którzy z dalekiej gdzieś strony przywędrowali tu, by zakopano ich przy drodze.

W miarę zbliżania się do miasteczka przybywało tych mogił.

—Nie pragnę życia—myślał Siewierski, błądząc wzrokiem wśród pomników dawnego na piaszczystem wzgórzu cmentarza,—ale umierać zawcześnie... Nie za wiele wymagać i nie za wiele pytać... Iść przed siebie... Istnieje przecież i kres i cel, kres cierpienia i cel życia. Małą rzeczą jest zapewne życie, lecz nie tak znowuż marną, by przekreślać je z powodu braku szczęścia. Zwłaszcza dziś, gdy otwarło się takie pole działania...

Siewierski w owej epoce stał się prawie popularnym. Przemawiał na wiecach, tłumy słuchały go i oklaskiwały, obie partye pragnęły go pozyskać na wyłączny użytek i własność. Wysyłano Jakóba, raczej obiecano wysłać go na ważną konferencyę polityczną do Londynu. Zdawało się Siewierskiemu, iż zdobył nareszcie władzę, odczuwał zadowolenie z siebie, pogodził się ze społeczeństwem. Siewierski pracował pilnie i z zapałem.

Przygotowywał się do owej konferencyi londyńskiej, zbierał materyały, pisał jakiś referat, prócz tego na zebraniach i w prasie, gdzie tylko mógł przy każdej sposobności, przekonywał o potrzebie tworzenia śród rozluźniającej się armii rosyjskiej korpusów polskich.

Wojsko stało się prawdziwą idee fixe Jakóba. A że plany jego i pomysły w pewnej mierze dochodziły do skutku, z otuchą spoglądał w przyszłość.

Marzył o Polsce, uzbrojonej od stóp do głowy, upominającej się na kongresie o historyczne granice.

Turkot na bruku miasteczka wytrzeźwił go z zadumy.

Zaledwie wjechał na główną ulicę, spostrzegł starą

Mirtę, tyszowiecką bryczuszkę i uwijającą się koło niej pannę Adelę.

Tknęło go, krótkie, bolesne wspomnienie. Panna Adela wynosiła ze sklepu w towarzystwie żydówki niezliczone paczki, zawinięcia, pudełka. Wypadało zatrzymać się. Panna Adela zaczęła od szczerych, serdecznych, gorących ubolewań nad losem Siewierska. Mówiła ze łzami w oczach.

—Pani zakupiła całe miasteczko! — rzekł Jakób, by przejść na inny temat.

—Nie całe miasteczko, lecz wszystko, co w nim znalazłam ze słodyczy. Urządzamy obchód w szkółkach i ochronkach. Pan Jerzy sypnął hojnym datkiem—imię Ciecierskiego wymówiła z przesadą.

Teraz Siewierski przypomniał sobie, iż największa z rewolucyi miała między innemi i ten także skutek, że Ciecierski wreszcie rozruszał się, zdobył się na stanowczy krok i oświadczył się o rękę "kapitalnej niewiasty" panny Zapolskiej.

—Nie zdążyłem złożyć dotąd życzeń. Kiedyż ślub?—spytał tradycyjnie.

Panna Adela spuściła oczy jakoby w dziewiczem zawstydzeniu.

—Pan Jerzy uparł się, by jeszcze w kwietniu, lecz to niemożliwe. Co do maja istnieje przesąd... na początku czerwca tedy... mam nadzieję, że państwo nie odmówią—zapraszała—państwo przyjdą.

Następnie wobec zniszczenia Siewierska gościnnie zaofiarowała Jakóbowi nocleg i konie i obiady, słowem wszelką sąsiedzką pomoc.

"Vous viendrez a mes noces"—nalegała znowu, używając najbardziej niefortunnych francuskich wyrażeń.

Jakób obiecał, dziękował i pożegnał ją, lecz zatrzymała go jeszcze.

—Zapomniałam zwiastować panu dwie nowiny: jedną złą, że zabierają nam księdza Jana. Za to drugą jest bardzo dobra. Był list od Stefusia...

I jęła długo a szeroko opowiadać, jaką drogą i kiedy otrzymali ten list, jakie w nim były szczegóły, niedomówienia, aluzye.

Stefuś kazał powiedzieć, że będzie u nas i nie sam—powtarzała z nabożeństwem—nie dziś i nie jutro, ale kiedyś, kiedyś przyjdzie tu i nie sam...

—Nie dziś i nie jutro—szepnął Jakób.

—Czemu tatko tego nie dożył!—zacna panna szybko ocierała łzy, szybko, ciurkiem płynące.

I dziwiła się potem, że Aleksander w Nowinkach nie pochwalił się tym listem o Stefusiu.

Żydówka przyniosła z jakiegoś składu nowe zapasy cukierków i położyła kres rozmowie. Siewierski ruszył. Ale zaledwie odjechał nieco, zaczepił go znowuż doktór Ziemięcki. I znowu Jakób musiał wysłuchać kondolencyi z powodu smutnego losu Siewierska.

—Źle się dzieje—narzekał doktór, który stale narzekał, lecz wyglądał bardziej strapiony, niż zwykle.—A słyszał też pan, że zabierają nam księdza Jana? Ma zostać profesorem, kanonikiem, kardynałem, czy biskupem. Bóg wie nie czem. Słowem godności, zaszczyty nielada...

—Pan powinien chyba cieszyć się, nie będzie ogłupiać ludzi—zauważył Jakób.

—Ba! gdybyż po jego wyjeździe zamknęli kościół! Ale przyjdzie inny, fanatyk, głupiec, robigrosz. Z tym można było gadać i dogadać się. Cenił wiedzę, lubił książki, nie miał inkwizytorstwa—wyliczał doktór zasługi proboszcza, niby kogoś zmarłego.

Doktór zdjął kapelusz, popatrzał, rzekłbyś, z żalem za przechodniem, który mijał go właśnie i kłaniał mu się... Doktór pokiwał głową.

—Przywykło się do księdza Jana. Szkoda go! niepospolity był ksiądz! niema co mówić!

Ziemięcki znowu ukłonił się komuś i znowu patrzał z żalem, rzekłbyś, za tym, który oddalał się... Poczem, nie mówiąc już nic, podał Siewierskiemu rękę i podążył na jakieś podwórze do chorego.

Siewierski miał jechać w swoją stronę, gdy zauważył starego Skwarkowskiego, ekonoma z folwarku i przywołał go do siebie. Ten na widok dziedzica zaczął szybko mrugać powiekami, tłumić płacz, pocierać mocno zaczerwieniony nos. On także ubolewał nad zniszczonym dworem.

Siewierski wysłuchał bezładnej opowieści, z której wynikło, iż w Siewiersku nie zostało już nic. Skwarkowski, skończywszy opowieść, znowu jął pocierać nos i mrugać powiekami. Zalatywał od niego zapach wódki. Jakób wiedział dobrze, że przyczyn wzruszenia należało szukać nie tyle w przywiązaniu do dziedzica, ile w działaniu kieliszka.

Gdy starzec uspokoił się, Siewierski poprosił go o przysłanie pary jakichkolwiek koni, miał już bowiem dosyć jazdy drabinką i szkapy żydowskiej. Wolał godzinę poczekać w plebanii.

Ksiądz Jan był w domu. On także napomknął o napadzie na Siewiersk, potem wspomniał o blizkim wyjeździe swoim. Powinszowania Jakóba zbył obojętnie.

—Przywykło się do miejsca i ludzi, do ciszy. A potem, ile też pracy i kłopotu przy pakowaniu i przewiezieniu, skarżył się bezradnie. Mogło zdawać się, że spotkała go bieda, że znalazł się w położeniu bez wyjścia.

—Na miły Bóg! Cóż ksiądz ma do przewiezienia, jakie skarby?

—Książki.

—Dobre książki.

—Rondle—z ubolewaniem wyliczał proboszcz—szklanki, talerze.

—Dobrze. Rondle, szklanki, talerze—zgodził się Jakób —a więcej? Jedyną sutannę i jedyną parę butów weźmie kisądz na siebie.

—A salon—i ksiądz z powagą wskazał na meble dokoła.

—Co! Ten salon!—zgorszył się Jakób—warto też przewozić wiedeńskie wyplatane szpetoty albo tę zieloną pluszową ohydę.

Proboszcz zaśmiał się swoim niespodzianym, dziecinnym, szczerym śmiechem i tak samo nagle przestał śmiać się.

—Cóż z tem zrobić?—spytał.

—Spalić.

Ksiądz zaśmiał się znowu i znowu spoważniał.

—Zostawie swemu następcy.

—A może mnie do Siewierska proboszcz daruje?—gorzko zażartował Jakób.

Chwilę milczeli obaj.

Nie mówię tego pod wrażeniem strat, z urażą, ze złością—zaczął Siewierski—ale jakże dotkliwym zawodem jest to, co się dzieje. Dokonał się ogromny przewrót w dziejach, runął tron, najbardziej krawy, upadła przemoc, najbardziej złowroga. Rozpoczęto budowę nowego życia, zabrano się do zakładania raju, lub urządzania republiki powszechnego szczęścia...

Ksiądz nie przerywał gościowi. Siewierski zaś mówił wolno, spokojnie, tak, jakby do siebie, patrząc nie na księdza, ale w okno, otwarte mimo chłodu, a raczej nie w okno, lecz w najwyższe jego szyby, gdzie brunatny motyl pawik, trzepotał się o szkło równie wesoło a wytrwale jak beznadziejnie, z uporem bezmyślnego optymizmu, z uciechą młodości.

—Nie było chyba nikogo, któryby nie uległ złudzeniom i nadziejom... Każdy mówił sobie: nie udało się tyle razy, nuż uda się teraz! Ludzkość przecież nauczyła się niemało. Od czegóż wiedza, historya, doświadczenie. Rozpoczęło się wszystko najlepiej, trwała sielanka, odżyła pogrzebana dawno wieść o człowieku dobrym z przyrodzenia.

Ksiądz patrzał teraz w kierunku spojrzenia gościa. Obaj śledzili daremne trzepotanie się motyla. W jakiejś chwili proboszcz wstał, złapał motyla, jakby zniecierpliwiony jego głupotą—i wyrzucił go na świat i zamknął okno.

—Marzyliśmy o szczęściu narodów i ludów, o wolności i bohaterstwie, marzymy jeszcze dziś—ciągnął dalej Siewierski, lecz nie ożywiając się w miarę mówienia, a coraz wolniej, z rosnącem zniechęceniem.—Marzymy jeszcze dziś, ale bez wiary. Nie o raj tu chodzi, chodzi o to, by było lepiej. Tymczasem rozbudzono zwierzę ludzkie, rozpętano złe żądze, chciwość.—Każdy chce przesytu, użycia, uciech. Utworzyły się dwa nieprzejednane obozy, wybuchnie może bratobójcza wojna...

—O Polsce nie mówię teraz. Polska zmartwychwstanie... Mam na myśli rewolucyę. Zdaje mi się, że jestem bezstronny. Nie dziwię się tym, co chcą grunta Siewierska dołączyć

do swoich, nie dziwię się rzeszom robotniczym, które burzą się i burzą, stawiają wygórowane żądania, pragną wydobyć się na powierzchnię. Ciężka działa się im krzywda, ustrój był, wyznajmy otwarcie, ohydny. Nie rozumiem za to przywódców, tych, co są już u władzy i tych, którzy do władzy dążą, trybunów, którzy zwodzą fałszywemi obietnicami.

Siewierski znowu myślał chwilę.

A przedewszystkiem nie pojmuję Tego, który jeżeli On wogóle jest, rządzi wszystkiem... Nie umiem sobie wytłumaczyć, czemu, skoro wybuchła już najkrwawsza i najokrutniejsza z wojen, a z wojny tej wynikła rewolucya, czemu ta rewolucya będzie jednem z najbardziej smutnych złudzeń.—Urwał, tak jak gdyby znużył się długiem mówieniem i ostatecznie się zniechęcił.

—Oto idzie książę świata tego, a we mnie nic niema—cicho powiedział proboszcz.

Siewierski milczał, jakby nie słyszał. Słyszał wszakże i rzekł po chwili:

—Przypuszczam, że nie dyabła z ogonem i rogami ma tu ksiądz na myśli, że ksiądz przeciwstawia potędze świata, zachwyconego dziełami rozumu, postępem materyalnym i technicznym, dającego rozkosz nauki i piękna, rozkosz bogactwa, władzy, chwały i użycia—Chrystusa, który nic nie ma krom prawdy ducha i miłości... który nie troszczy się o bieg dziejów... Ale w takim razie Bóg jest tylko chłodną abstrakcyą, wieńczącą systemat filozoficzny, oderwanem pojęciem, bez którego można się obejść.

—Zapomina pan o stosunkach duszy do Boga—zauważył ksiądz.

Siewierski nie wszczynał sporu religijnego. Była cisza.

—Albowiem moje pomyślenia—cicho zaczął ksiądz po długiej przerwie—nie jako wasze pomyślenia, ani drogi moje, jako drogi wasze, rzekł Pan... Albowiem tak jak niebiosa wzniesione są nad ziemią, tak wzniesione są drogi moje na drogami waszemi, a pomyślenia moje nad pomyśleniami waszemi...

Zdawało się, że Jakób na cytatę nie zwrócił uwagi. Dosłyszał ją jednak.

—Ach tak—odezwał się.—Ach tak, zapewne, zapewne...

Nastała cisza. Milczeli obaj, milczeli dziwnie jakoś w tym sztywnym, nudnym, brzydkim salonie, siedząc na dwu krzesłach, obok stołu pośrodku pokoju, oficyalnie, niby dwaj ceremonialni goście, którzy czekają na gospodarza, albo dwaj pacyenci w poczekalni lekarza.

Po niejakimś czasie zjawił się Cesik i oznajmił, iż konie z Siewierska zajechały.

Jakób wstał natychmiast i pożegnał się, a wdziewając burkę, przypomniał sobie Ziemięckiego i powiedział:

—Widziałem doktora... rozpacza nad wyjazdem księdza... z żalu gotów nawrócić się.

Proboszcz uśmiechnął się, odprowadził gościa za drzwi i do bramy, poczem wrócił do swego t. zw. gabinetu, zwanego tak prawdopodobnie z powodu stołu z kałamarzem pod oknem i półek z książkami. U przeciwległej ściany stało żelazne łóżko i umywalnia, na ścianie wisiały wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej i nieduży krucyfiks.

Był to pokój tak nieznośnie urządzony, że nawet widok książek, miły zawsze oczom ludzkim, nie zachęcał do przebywania w nim.

Proboszcz usiadł przy stole twarzą do okna i zabrał się do przerwanego czytania. Czytał pilnie, ciesząc się z zajmującego tomu Fostera, potem naraz przypomniały mu się słowa Siewierskiego, rzucone na wyjezdnem, żartobliwa wzmianka o rozpaczy doktora. Sprawiła ona księdzu przyjemność.

I znowu czytał. Poczem jeszcze raz między oczyma a stronicą książki przesunęła się postać Ziemięckiego.

Proboszcz wiedział może dużo o ludziach, lecz znał ich mało i traktował trochę jak oderwane pojęcia i trzymał się chociaż przyjaźnie usposobiony, dość z daleka od ludzi. Nie żywił też niechętnych uczuć względem swego prześladowcy, ale nie przypuszczał nigdy, by był przez tamtego lubionym. Żart Siewierskiego ucieszył go.

W pewnej chwili ksiądz Jan wstał, bo postanowił odwiedzić Ziemięckiego, u którego, jak wogóle wszędzie, bywał niezwykle rzadko. Chciał doktorowi okazać życzliwość,

uważał, że wobec blizkiego wyjazdu warto wybrać się z pożegnaniem na dłużej. W głębi powstała nieunikniona u gorliwego kapłana nadzieja, że może przy tej sposobności uda się z kościołem pojednać tego, który przez lat dziesiątki na kościół pomstował.

Doktór Ziemięcki przyjął gościa z oznakami radości.

—Co za zaszczyt!—wołał z ganku—taki dygnitarz, już niemal we fioletach, a wkrótce purpurowy kardynał. Za nizkie progi, księże dobrodzieju!—drwił, a z ócz patrzała mu wdzięczność i zadowolenie i rozchmurzyły się brwi wśród zgryźliwej twarzy starego kawalera, śledziennika i zrzędy.

I jął pokazywać proboszczowi, co było dowodem niezwykłej łaskawości, swój wypieszczony ogród i sad, zatrzymywał się przy jabłonkach, gruszach, śliwach, wymieniając nazwę każdego gatunku, ubolewając nad późną wiosną, nad zimnym wieczorem pokazał szparagarnię i ule, otwierał okna inspektowe, z których buchało duszne gorąco, chwalił się ogórkami, zawiązkami melonów, sałatą.

Ksiądz, który miał umysł, oderwany i nie interesował się praktyczną stroną życia, ani naturą, usiłował okazać zajęcie. Między gospodarzem a gościem panowała zgoda w najlepsze.

—Trzeba mieć zamiłowanie i trochę umiejętności—opowiadał doktór—ogródek malutki grunt ubogi, klimat łzy, wypielęgnowałem, wycackałem i nie powstydziłbym się, gdyby tu jaki Holender, czy Duńczyk...

Pochylił się nad jakąś grzędą, potem ukląkł, pilnie szukał w niej czegoś.

—Bronię się jak mogę—mówił znowu—widzi ksiądz, jaki parkan wysoki!—wskazał ręką—a jeszcze tego za mało! Co roku dodaję po jednym drucie kolczastym z wierzchu. Wygląda to jak forteca i jeszcze nie pomaga. Nasz ludek uważa kradzież za tradycyę; zato postu nie złamie, gdyby nawet życie miało zależeć od łyżki rosołu...—padł pierwszy strzał.

W zgodzie wszakże wrócili do domu. Doktór wydobył zbiór przysłów białoruskich, zbiór pieśni polskich, śpiewa-

nych w zaściankach, rozprawę o obyczajach szlachty zaściankowej, rękopisy przygotowane od dawna do druku.

Odczytywał wspólnie, przeglądając z zajęciem, gdyż obaj lubili lud, książki, piśmiennictwo, "umnictwo", Potem była herbata. Doktór krzątał się gościnnie. Nakrajał chleb i bułkę, ser i wędlinę, zapomniawszy o piątku, postawił z dumą na stole miód z własnej pasieki, rzodkiewki, wyhodowane w ogrodzie.

Ale ksiądz, obojętny na przysmaki, nie ocenił należycie ani rzodkiewek, ani miodu, jadł wogóle mało i to zniecierpliwiło już nieco gospodarza. Gdy Ziemięcki wspomniał coś półżartem o wyjeździe i o następcy, który będzie nieukiem, sknerą, obłudnikiem, albo pasibrzuchem, bo księża należą do jednego z czterech wymienionych typów, proboszcz spytał, do której kategoryi on został zaliczony.

—Ksiądz ma trochę ze wszystkich czterech—odparł gospodarz.

Śmiali się obaj. Korzystając z dobrego usposobienia gospodarza, a mając na myśli jeden z celów wizyty, proboszcz zauważył, że wrogowie kościoła, najbardziej zawzięci, stawali się czasem najgorliwszymi jego obrońcami i pracownikami.

—Może to do mnie ksiądz pije?—podejrzliwie spytał czujny doktór.

—Może do pana—z uśmiechem odparł proboszcz.

Wówczas Zamięcki, jak gdyby czekał tylko na tę sposobność, niepohamowanie natarł na gościa, zabrał się do zwykłego aktu oskarżenia, wytoczył wszystkie działa, wysunął wszystkie zarzuty i szydził, drwił, złorzeczył, urągał.

Ksiądz, przyzwyczajony do napaści, milczał, gospodarz, rozpalając się, stawał się coraz bardziej zażartym, zawziętym dokuczliwym. Działo się coś na wzór malowanych scen męczeństwa św. Sebastyana: ostre, zatrute strzały sypały się na bezbronną ofiarę.

Ziemięcki wolałby może, by przedstawiciel kościoła uniósł się, zaprzeczał, walczył. Kiedy zaś znudzony już nieco ksiądz spróbował sprostować parę twierdzień i odesłał napastnika do źródeł, doktór zaperzył się jeszcze więcej i stracił do reszty równowagę. Proboszcz słuchał ze spusz-

czoną głową cierpliwie, chociaż cierpliwość jego wystawioną była na próbę niełatwą. Jakże przestarzałymi, nudnymi, znanymi były te zwroty, wątpienia, cytaty, przykłady, szyderstwa!

W pewnej chwili ksiądz spojrzał na zegarek, wstał i, tłómacząc, że jest późno, i że brewiarz nieodmówiony czeka, pożegnał zacietrzewionego gospodarza, choć ten zapewne miał ochotę walczyć do rana.

Ale Ziemięcki nie zatrzymywał. Jak zwykle przyszła już skrucha i jak zwykle za późno. Sprowadził gościa ze schodów, odprowadził do rogu ulicy. Nie pytał wyraźnie, a pragnął upewnić się, czy gość nie odchodzi zrażony.

—Bodajby to człowiek umiał milczeć—rzekł jakby na usprawiedliwienie i mocno ścisnął rękę proboszcza.

Wolno poszedł ku swemu domowi. Na ganku zakaszlał się, odwrócił się w stronę księdza, który już krył się za zakrętem, popatrzał z żalem w kierunku plebanii, spojrzał z obawą w roziskrzone niebiosa, które zapowiadały mróz, zatroszczył się o sad i warzywa, wszedł do domu.

W gabinecie uporządkował rękopisy, w jadalni schował rzodkiewki i miód, w zadymionej poczekalni otworzył okno, zajrzał do księgi gdzie zapisywał chorych, by przekonać się, czy nie ma nikogo do odwiedzenia tej nocy.

Spełniając codziennie czynności, kaszlał i wspominał z żalem niepotrzebną dysputę, a potem, jak zwykle, jak każdego wieczora, dając folgę zgorzknieniu, żółci, zgryźliwości, zastanawiał się zrzędnie nad życiem swojem, zmarnowanem na prowincyi wśród ciemnoty, biedy, zaduchu.

I snuł posępne wnioski, jakkolwiek w przeciągu trzydziestu lat pracował prawie bezinteresownie całymi dniami, a często i w nocy, nie szczędząc sił, ni trudu, trzęsąc się na wózkach, kopiąc się przez zaspy, narażając się na tyfus...

Inaczej marzyli niegdyś za dni młodości w kółku górnych zapaleńców. Inną każdy z nich obrał sobie drogę... Jemu nie danem było służyć idei...

Ziemięckiemu zdawało się zawsze, że życiem rzeczywistem były jedynie one dawne, krótkie, dawno minione dnie górnej młodości, wzniosłych rojeń, wierzeń, zapału, a gorzkiem szyderstwem z życia—istnienie doktora w małem mia-

steczku. I tylko zrzadka przychodziło mu na myśl, iż może było odwrotnie: iż gorzką rzeczywistością była trzydziestoletnia mordęga w Siewiersku, a snem pięknym i złudnym— tamto...

Bieg wspomnień urwał się, bo odezwała się jeszcze raz skrucha, iż on tak źye potraktował gościa, który przyszedł z pożegnalną wizytą, i odezwała się obawa, iż może zachwiał jego wiarę religijną.

Tymczasem ksiądz Jan spokojnie odmawiał jutrznie.

"Deus, Deus meus ad te de luce vigilo. Silirit in te anima mea"..

XXXIII.

Siewierski przespał się, a raczej spędził noc bezsenną w domu radcy, a potem od rana, jakkolwiek widział był wszystko i zbadał całkowicie obraz zniszczenia, znowu chodził i jeszcze raz oglądał.

Dwór był spaloony, cokolwiek zostało z rzeczy cenniejszych, zrabowano, z piwnicy rozchwytano wszystko, co wyglądało na płyn i alkohol, część koni, wszystkie krowy rozdzielono pomiędzy chłopów, ziarno ze spichlerza rozdano.

Siewierski nie zdumiał się, gdy zobaczył zgliszcza, gdy sprawdził rozmiary kradzieży i rabunku. Od tego były wojna, rewolucya, anarchia i pogromy, by palono i plądrowano. Ale w osłupienie wprawiły Jakóba dzikość i bezmyślność niszczycielstwa, okrutna rządza burzenia, psucia, szkodzenia, słowem "abominato desolationis"—ohyda spustoszenia.

Poco było łamać narzędzia rolnicze, dobijać rasowe źrebięta, pracowicie, starannie wyrywać stronice po stronicy z książęk bibliotecznych, ciąć obrazy, rąbać drzewa w parku i na cmentarzu? Poco było to czynić? Jaki tkwił w tem zamiar, jakie popędy?

Żal chwytał Siewierskiego, a oprócz żalu dawna, zawzięta nienawiść do sąsiada ze wschodu, nienawiść, która, zdawało mu się, minęła na zawsze w dniu obalenia tronu. Dziś odezwała się w nim znowu.

Ruina Siewierska nie stanowiła ruiny majątkowej, ani nieszczęścia. W rok, dwa lub trzy lata odbuduje spichlerz i stajnię, wychowa jeszcze lepsze holendry i anglo-araby, wymuruje rezydencyę—będzie miał nawet zajęcie. Nie strata materyalna grała tu rolę. Jeśli odbiorą mu ziemię, wyjedzie ze smutkiem, ale i z otuchą za Bug, potrafi tam pracować, potrafi może stać się bardziej użytecznym, niż tu...

W zwikłanym splocie uczuć, które przepełniały mu serce, żadne nie wypływało z pobudek natury ekonomicznej...

Ma dość pieniędzy na podźwignięcie gospodarstwa, na odbudowę—Siewiersk zasłynie znowu na całą okolicę.

Ale dworu nie będzie, ale zabrano mu przeszłość, ale parku nie będzie!

W pracę nad parkiem, w sadzenie drzew, pielęgnowanie rzadkich okazów w krzewy i kwiaty, w piękno tego umiłowanego zakątka włożył wiele wiedzy, starań, myśli i uczuć. Komu szkodziłyby klomby, szpalery, głębie perspektyw, urocze gąszcza, wysmukłe gaje, gotyckie aleje?

Dlaczego z zaciekłością i fanatyzmem niszczycielskim pracowały tu piły, siekiery i palce?—Czemu łamano i wyrywano z korzeniami krzewy, albo kaleczono wierzchołki iglastych drzew, czemu obalono tyle mocnych olbrzymów, wycięto całe partye, trzebiono żywopłoty?

Siewierski jednakowo żałował każdej sadzonki i każdego z sędziwych monarchów... Monarchów tych czcił i kochał od dzieciństwa, tam, gdzie chodziło o młode pokolenie, znał i pamiętał datę zasadzenia, historyę rozwoju i wzrostu. Lata miną, a takiego parku nie będzie...

Lata przeminą, zanim wrócą na cmentarz rodzinny wypłoszone stamtąd cisza i cień.

Rozmyślnie, z cynizmem sprofanowano przybytek umarłych.

W kaplicy grobowej urządzono sobie w przeciągu ostatnich dwu tygodni potajemną gorzelnię i pędzono wódkę; gdy zaś wykryto piwnicę i zawarte w niej płynne skarby, tu, między mogiłami urządzono pijatykę. Świadczyły o tem butelki, potłuczone kieliszki, niedopałki, blaszanki od sardynek i konserw, papierki od cukierków...

Olbrzymie jodły, świerki, jesiony, modrzewie, które, zdawało się, posiadały nieśmiertelność i wiedzę o sprawach wiecznych, runęły powalone. Krzyż Dominika leżał wywrócony... Na płytach mogilnych widniały sprośne napisy, bieloną ścianę kaplicy ozdobiła ohyda pornograficzna.

Siewierski cofnął się z obrzydzeniem.

Dziś było cicho i pusto dokoła. Oddział, który kwaterował dłuższy czas we dworze, wyruszył kędyś, ten zaś, który dokonał napadu i programu, zabrany stąd—niestety o pięć dni zapóźno. A może poszedł sam, gdy nie zostało nic do picia, nic do niszczenia.

Dziś tedy było pusto i cicho. W parku między gałęźmi drzew, które ocalały, szumiał chłodny wiatr, na gazonach, jakkolwiek trawa prawie się nie puszczała jeszcze, pasły się konie i krowy ze wsi. Kilkoro dzieci chłopskich wybałuszyło na Jakóba ciekawe oczy i nie pierzchło. Krowy patrzały na właściciela parku uważnie i łagodnie i dalej szły, napróżno szukając pożywienia. Znudzone konie obskubywały pąki na gałęziach, gryzły spławiny.

Siewierski minął obojętnie owo zacisze, gdzie w głębokiej toni kanału spoczęły obrazy dalekich dni szczęścia, wydostał się za żywopłoty, za szpaler lip w pole.

Na zagonach drżała nędzna ozimina. Wytrzymałe zboże przetrwało chłodną jesień, wichry i słotę, grudę i zaspy, marcowe zwodnicze ciepło, kwietniowe mrozy—i żyło. Pasły się i tu także konie, krowy, owce.

Siewierski powiódł okiem po zagonach—ale nie myślał o życie. Na krótką chwilę zawładnęło nim wspomnienie. Z tego miejsca patrzał niedyś za nią, gdy odjeżdżała na zawsze, tędy szedł z Dominikiem do kąpieli.

Siewierski skierował się ku gościńcowi i w stronę lasu. Ale zanim doszedł do lasu, dogonił go jeździec. Był to ekonom Skwarkowski, który, nie zastawszy rządcy, szukał samego dziedzica, by mu zwiastować, że właśnie na folwarku w Krynkach odbywa się pogrom.

Staruszek stracił ze strachu głowę, trząsł się, błagał o pomoc, plótł od rzeczy, podawał wielce niemądre projekty, prosił o policyę, której nie było, o depeszę do gubernatora, który także nie istniał już...

Jakób, nie namyślając się długo, siadł na konia pana Skwarkowskiego i podążył do Krynek. Nie łudził się, by udało mu się coś wyratować—był to odruch samoobrony, odwagi, nienawiści.

Na miejscu pokazało się, że ekonom z przerażenia mocno przesadził. Nic się jeszcze nie paliło, nie było zabitych, ani rannych. Oddział żołnierzy plondrował w mieszkaniu Skwarwowskiego, przestrząsał wszystkie strychy i piwnice, szukał w gorzelni i magazynie okowity... Wódki, którą władze dwa lata temu wylały, nie znaleziono oczywiście, pomimo to niektórzy byli pijani.

Na podwórzu roiło się od chłopów. Dokoła wyniesionych kufrów, oraz sprzętów ekonomskich uwijały się dzieci i baby, tłoczono się u śpichrza, z którego każdy wynosił, ile i co mu się żywnie podobało. Gwarno było, jak na jarmarku. Brzmiały krzyki i śmiechy, rozlegała się od czasu do czasu jakaś komenda, której, niewiadomo, czy kto się poddawał, wybuchały sprzeczki o lada fatałaszek, wydobyty z komody panien Skwarkowskich, baby wyrywały sobie każdą wstążkę, kapelusze, paciorki, płaszcze, bieliznę, na flecie, znalezionym między rzeczami pisarza prowiantowego, ktoś próbował grać...

Twarze nie były złe, twarze były uradowane, podniecone. Odbywała się zabawa, wyglądało to raczej na kiermasz, niż na pogrom. Tylko tam, gdzie Skwarkowska z córkami stawała w obronie swego mienia i ujadała się z napastnikami, kobiety wiejskie wrzeszczały piskliwie, a gniewnie jazgotały, i kląć, a odgrażać się zaczynali wyrostki wiejskie.

Dwu żołnierzy z łez i wściekłości Skwarkowskich śmiało się do rozpuku.

Siewierski przyjechał niespostrzeżony, zatrzymał się, patrzał chwilę, następnie skinąwszy na panią ekonomową, poradził jej, aby zaprzestała walki, i obiecał, że pokryje z własnej kieszeni wszelkie ich straty, zaco podziękowawszy stokrotnie, Skwarkowska znowu rzuciła się w wir walki.

Jakób wolno ruszył dalej. Wówczas zauważono go, ktoś wioskowy oczywiście, i między chłopstwem w jednej chwili rozeszła się wieść o jego przybyciu.

Nastąpił moment wahania.

Kilku starszych ukłoniło się, jedni zaprzestali rabunku, inni, młodsi, patrząc z ukosa, pracowali dalej. Jakiś drab zaśmiał się na cały głos cynicznie, sztucznym, obliczonym na efekt śmiechem.

Siewierski odpowiadał na ukłony i wolno jechał dalej, niby za najlepszych czasów, niby przez rynek swego miasteczka, wśród zbiegowiska w dzień jarmarku.

Pospólstwo zaczęło zbierać się do kupy, czyniło się dokoła dziedzica ciaśniej. I naraz żołnierze, którzy dotąd nie zauważyli go i nie wiedzieli, kim jest poczęli wołać na niego.

"Ej, pomieszczyk, pomieszczyk, chodź tu!—krzyczeli... Dawać tu pomieszczyka!"

Jakób, nie odwracając się, jechał dalej tak samo stępa.

Wołno coraz głośniej. Siewierski był już w bramie, mógł ruszyć galopem, mógł, mając pod sobą niezłego konia, umknąć.

Ale nagle zmienił projekt. Nawrócił i skierował się ku grupie krzyczących żołdaków.

Jechał wolno, spokojny, niedbały, przez motłoch, chłodnym wzrokiem wodził po tłumie, który rozstępował się niechętnie.

Siewierski nie miał broni, tylko rózgę w ręce. Otoczyli go żołnierze, niektórzy z karabinami, inni nieuzbrojeni, ktoś trzymał konia za uzdę, kilku dla postrachu mierzyło w Siewierskiego z rewolwerów. Siewierski nie zląkł się. Nie przestawał patrzeć w oczy napastników chłodnym wzrokiem, obojętnie, bez gniewu, bez wyniosłości.

I znowu nastąpił moment wahania, długi, czy krótki, Jakób nie umiał tego określić. Zdało mu się tylko, że uczyniła się cisza, a wśród ciszy słychać było rosyjską katarynkową melodyę "Razłuka", którą w pewnem oddaleniu pod oknami domu Skwarkowskich z fletu pisarza prowentowego wydmuchiwał sołdat-muzykant.

Zdawało się także Jakóbowi, iż żołnierze nie wiedzą, co z nim uczynić. On milczał.

—Broni nie ma!—rzekł któryś z żołnierzy.

—Broni nie ma!—potórzył inny.

I puszczono Siewierskiego. On zaś stępa pojechał ku bramie i wolno, jak gdyby podczas przejażdżki dla obejrzenia gospodarstwa, polami wracał do Siewierska.

Dziwił się sobie, lecz w owej chwili, gdy otoczyło go żołdactwo, gdy trzymano mu wierzchowca i grożono rewolwerem, w owej chwili, patrząc w twarze nikczemne i groźne, niektóre dzikie, inne bezmyślne, niektóre zupełnie pospolite, a niejedne o dobrym, sympatycznym wyrazie, pozbył się nienawiści.

Ruina Siewierska, gdy tam wrócił, obudziła bolesny, rozdzierający żal, ale żalowi nie towarzyszyły już uczucia nienawiści i mściwości.

—Co one winne te rzesze ciemne, dzikie i złe!—myślał, chodząc po parku.—Dlategi dzikie i złe, że ciemne, że przez tyle wieków rządzone nikczemnie, a od trzech lat zaprawiane do niszczenia, do mordowania. Miną pogromy, tak jak mijają szaleństwa, epidemie, burze, minie cała ta rewolucya, niby niebezpieczna zabawa dzieci, które, bawiąc się, spaliły dom... Byleby nie wyrosły ze złego ziarna nienawiść, złość, zawiść w nim i w nich, byleby między nim, a rabującymi sąsiadami ze wsi nie utworzyła się przepaść... A zresztą trzeba odbudować, trzeba zasadzić... pracy dużo...

Wymykało mu się westchnienie, choć pracę lubił, i wiedział, że pracy podoła. Trudno bowiem było pogodzić się! Wymuruje okazały pałac, wymuruje stodoły, dźwignie gospodarstwo—drogiego dworu, pełnego wspomnień, w którym mieszkała przeszłość, nie wskrzesi nikt... To już umarło na zawsze...

Siewierski omijał z daleka bolesne zgliszcza i rumowiska. Szedł za szpaler lip, by nie patrzeć na straszliwą ruinę, szedł na drogę, którą niegdyś w zimny wrześniowy dzień Kasia odjechała z Siewierska na zawsze, kierował się do lasu, bo nękał go widok zniszczenia w ukochanym parku, nierierpliwiły dzieci wiejskie, niecierpliwiły pasące się konie i krowy.

Smutek pogrzebowy i żałoba tłoczyły serce Siewierskiego.

—Zamiast raju szczęśliwości powszechnej, zamiast republiki wolności i braterstwa—dumał—cóż oto? Rządy mo-

tłochu, rozpętanie i rozbestwienie, panowanie zła i ciemnoty. Samodzierżcą i samowładcą stał się gmin.

Wśród drzew—było cicho, słońce grzało chwilami, gdy wydostawało się z pod chmur, błękit w lesie zdawał się ciepłym.

Siewierski zatrzymał się i dumał.

—Zdawało się ludziom, iż stworzą dzieło doskonałe, że posiedli pełnię władzy nad życiem. Jak sen, pryśnie złudzenie. Może też Bóg karze pychę rozumu, pychę postępu, pychę człowieka?

Na gościńcu zatupotało naraz i dwoje jeźdźców wyminęło Jakóba w galopie: Frania Błońska i Kocio Stulgiński.

Nie ukłonili się Siewierskiemu, ale poznali go snać, bo osadzili wierzchowce i zawrócili. Frania Błońska zeskoczyła nawet z konia i szła ku Jakóbowi.

—Jedziemy z Siewierska!—zawołała z dala—chcieliśmy obejrzeć wszystko po pogromie, aż tu i pan... okropność! Nigdy nie myślałam! Nic nie zostało! Gdzież pan teraz będzie mieszkał? Może z nami? Kocio wziął dzierżawę od Podbielskiego, który uciekł ze strachu. Biłkę... pan wie? Na doskonałych warunkach... Zarobimy miliony. Pan zna narzeczonego mego?—trzepała trzpiotowata panna.

Była niezwykle ładna z rumieńcami na hożej twarzy, z blaskiem podniecenia w czarnych wesołych oczach, z rozchylonemi ustami, nieco zdyszana i rozgrzana szybką jazdą. Zdawała się obrazem ponęty, wcieleniem i obietnicą rozkoszy, którą dać może kochanie i ładna dziewczyna.

Odczuwał to w pełni Kocio Stulgiński, młodzieniec równie barczysty, jak barczystym był ongiś za czasów zdrowia Piotruś Zapolski, równie jak Piotruś dorodny i zakochany.

Długie buty wojskowe, bluza i oficerskie granatowe spodnie świadczyły o tem, że niedawno powrócił z frontu. To też podwójnie cieszył się z wiosny, z życia, z narzeczonej...

Patrząc na jego olbrzymie, opalone ręce, miało się pewność, że potrafi mocno objąć Franię, mocno i zamaszyście kosić, lub walić siekierą, a także pochwycić za osie karetę

i zatrzymać ją w pełnym biegu, że potrafi nie wypuścić z rąk ani Frani, ani szczęścia...

—Co im do wojny, do rewolucyi, do cierpień ludzkich, do Piotrusia, do filozofii?—myślał Jakób, gdy młoda para pożegnała go.—Upadają mocarstwa, przemijają rządy, złe lub dobre, idą w zapomnienie nauki i doświadczenia mędrców, a ludzie żenią się, wychodzą za mąż, rodzą się nowe pokolenia, by łudzić się, burzyć, budować, kochać...

Zaledwie umilkł tętent wierzchowców, gdy zaturkotało na wyjątkowo ożywionym dnia tego gościńcu i pokazała się uboga drabinka, zaprzężona w trzylatka tak lichego, że można go było wziąć za źrebię.

Na wozie siedzieli Syczewski z babą, która trzymała niemowlę i dwudziestoletni chłopak.

Stary szlachcic zbliżył się natychmiast do Jakóba. Czujnie i pilnie zaglądając mu w oczy, opowiadał, że w drodze z miasteczka zboczył, by "zapłakać nad pałacem", opowiadał, że nigdy jeszcze oczy jego nie widziały takiego "spustoszenia", zapewniał, że nigdyby katolicy "nie uczynili takiego zgorszenia", złorzeczył tym, którzy przyszli jak zaraza i roznosili zarazę, pocieszał, że "kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże daje", wyraził radość, że Pan Bóg ukarał "taki" prześladowców wiary, że nastały inne czasy, że oto kościoły już odebrane. I znowu ubolewał nad zgorszeniem, narzekał na wojnę, która zabrała mu Felka, Bolesia, Franka, Bernarda, na głód, na późną wiosnę.

—Był pan u doktora?—spytał Siewierski.

—Nie u doktora, lecz u księdza—stary mruknął filuternie kilka razy.—Jednego syna woziłem do chrztu, dla drugiego dałem na zapowiedzi.

Stary uśmiechnął się filuternie.

Siewierski spojrzał na niezbyt już młodą, ale rezolutną jeszcze kobietę na wozie, trzecią, rok temu poślubioną żonę, na krzepkiego i wygadanego jej męża, na jasnowłosego syna parobczaka, na dziecko, zawinięte w grubą chustę, złożył życzenia ojcu, synowi i matce—i skręcił z gościńca w las, bo dość już miał spotkań i rozmów z ludźmi.

"Trzeba życie i śmierć brać zwyczajnie, z prostotą"—przypomniały mu się słowa Kasi.

Popadł w zadumę, zapewne wspominał coś.

—Może wszystko jest potrzebnem—snuł dalej rozmyślania swoje—wojna i zaręczyny Frani z Kociem Stulgińskim, rewolucya i stary Syczewski i siódmy jego syn, dziś ochrzczony, kalectwo Piotrusia, pogrom Siewierska, cierpienia, radości, złudzenia.

—Może wszystko jest jednakowo doniosłem albo wszystko jednakowo małoznaczącem? Trud ducha stanowi przecież podstawową trześć... dziejów i życia jednostki... Może potrzebną—ta straszliwa, dzika, okrutna choroba, przez którą teraz przechodzi ludzkość? Raju nie będzie, ale jeśli o drobn chociażby ułamek zmniejszy się suma cierpień nie na ziemi, jeśli choć trochę na lepsze zmieni się ustrój, który był ohydny, w takim razie warto zapłacić za ten zysk zniszczeniem Siewierska...

Zwłaszcza, jeśli Polska ma być... Polska...

Na duszę spłynęło marzenie, które było, jak modlitwa...

Spojrzał ku wierzchołkom, które chwiały się w błękicie. Tu, w głębi lasu, ciszej szumiały drzewa i słońce grzało.

Siewierski szedł dalej ścieżką nad strumień, potem brzegiem strumienia. Spoglądał w wodę, która szemrała radośnie, niby dziecko gwarzące. Tak samo radośnie uśmiechem szczęśliwej dzieciny jaśniało dno potoku w tych miejscach, gdzie promień słońca przenikał przez gąszcze i igrał na złocistym piasku dna.

Siewierski słuchał gwaru nurtów, nie mógł ócz oderwać.

I zdało mu się, iż w tym uśmiechu słonecznych blasków i szemrzącem płynięciu bystrego ruczaju, które rozweselały posępny las i chłodny dzień wiosny, tkwiły dla niego wskazówka, nauka, otucha, pociecha.

Bełkotały nurty wartkiej rzeczki. Przeglądały się w niej błękit niebios i ciemne kity sosen i świerków, czasami odbijał się obłok, który właśnie przemijał ponad wierzchołkami, niekiedy w promieniu słońca cudnie zajaśniał złotym odblaskiem piasek dna.

Zamyślone oczy Siewierskiego patrzały. Wysnuwał jakieś wnioski, czy snuł domysły.

Złociste jaśnienie na dnie pracowitej, ciemnej wody oznaczało coś: radość w głębiach duszy, czy radość w życiu ludzkiem, może okruch wiedzy, dostępnej człowiekowi na tym tu brzegu?

Kto wie? Kto wie?

XXXIV.

Po stu kilkudziesięciu latach ucisku, miasto przygotowywało się do obchodu narodowego. Podniosły nastrój zapanował między patryotyczną ludnością, ulice, o ile to leżało w mocy mieszkańców Polaków, przybrały wygląd świąteczny, ale niebo zachmurzyło się od rana i padał z przerwami drobny, łagodny, ciepły deszcz, dobroczynny dla znękanych długotrwałemi przymrokami roślin, błogosławiony na wsi przez rolników, tu w stolicy gubernialnej w dniu uroczystego pochodu nieznośnie złośliwy.

Niektóre z pań organizatorek gotowe były płakać, inne modliły się o cud, jeszcze inne z kategoryi bezwyznaniowej zgodziłyby się może uwierzyć we wszechmoc i miłosiedzie, gdyby zaświeciło słońce. Powieściopisarz Turski, pełen zwykłego optymizmu, sam nie tracił zapału i dodawał wszystkim otuchy.

Jakoż rzeczywiście około jedenastej przestało mżyć i pogoda poczęła przecierać się. Szpetne parasole pochowały się, mokre kamienie bruku, kałuże, chodniki zalśniły tu i ówdzie w blasku nikłego, przelotnego promienia, nad brzydotą kamienic uśmiechnęły się smugi błękitu.

Rozradowane i podniecone tłumy popłynęły na oznaczoną godzinę ku kościołowi.

W tłumie szarych przechodniów posuwał się Jakób Siewierski, Nie był dotąd dygnitarzem, nie dźwigał żadnej godności, nie obdarzono go żadnem przedstawicielstwem, gdyż nawet Janina, jako przewodnicząca wielu sekcyj, a między innemi sekcyi urządzania widowisk i zabaw na cel dobroczynny, znalazła się wśród uprzywilejowanych.

Jakób nie narzekał na podrzędną rolę, raczej na zupełny brak roli w dniu dzisiejszym, a i wogóle mniej z rezygnacyą znosił wyrok niechętnego mu ogółu.

Krótkotrwała popularność jego runęła. Obie partye wyparły się go najzupełniej. Pewni dlatego, że ostrzegał przed przymierzem z rewolucyą rosyjską, drudzy dlatego, że na czele istniejących dopiero na papierze armij polskich nie obiecywał wkroczyć za pół roku do Berlina.

Dwa dni temu, gdy pojechał, by otrzymać obiecany mu mandat na konferecyę polityczną do Londynu, do której przygotował się od kilku miesięcy, odprawiono go z kwitkiem. Pokonał go Szczerbiowski, a jednocześnie rozpełzły się niecne oszczerstwa i uwłaczające pogłoski i omotały go intrygi.

W Siewierskim obok uczuć niesmaku i rozgoryczenia zawrzało oburzenie z powodu doznanej, zdawało mu się, krzywdy, a rozdrażniona miłość własna, oraz upokorzona ambicya podszeptywała mu dawne, dobrze znane myśli—pokusy, by dał już za wygraną, odwrócił się od społeczeństwa, które nie chciało jego pracy, które stale pomijało, go lekceważyło, odpychało, odwrócił się od stada głupców i zamknął się w Siewiersku.

Ale wierny danemu sobie słowu zwyciężył pokusę, przemógł obrazę, przytłumił uroszczenia, czy narowy hetmańskie i pozostał w szeregu zwykłym szeregowcem.

Pracował wytrwale i gorliwie nad utworzeniem jednego korpusu polskiego, pracował, nie szukając własnej chwały.

I płynął dziś z szarym tłumem. Przyglądał się ulicy, której nie poznawał, ulicy, którą zdobiły chorągwie o barwach narodowych, makaty z białym wśród amarantowego pola orłem, kobierce, popiersia bohaterów ojczyzny, przyglądał się ludziom, przysłuchiwał się rozmowom.

Nastrój uroczystej radości i chwały przeobraził miasto, przemienił i podniósł ludzi, upiększył, rzekłbyś, ohydne zaułki. Innemi były twarze, głosy, rozmowy i kamienice.

—"Jakow Antonowicz!"—zaczepiono Jakóba.

I znowu, jak niegdyś w Warszawie, Siewierski nie tylko nie poznał głosu, ale nawet i tego kogoś, który witał go jak przyjaciela.

Był to ten sam zawsze Djukow, w innym tylko stroju,

bo w długich butach, w bluzie, w czerwonej koszuli, z szeroką czerwoną wstęgą na ramieniu.

Wielomowny Rasyanin rozpoczął z miejsca płynny wykład polityczny. Rewolucya, jej zwycięstwo i dobrodziejstwa, były tematem wykładu. Duma i zachwyt rozpierały pierś mówiącego. Z zapałem dowodził, iż nareszcie ludzkość przekonała się, czem jest jego ojczyzna, że naród jego stanął na czele wszystkich ludów i zapoczątkował nową erę...

Djukow zapowiedział dalej—w swoim żargonie broszurowo-gazeciarskim — oprócz ustania ucisku, bankructwo wszelkiego partykularyzmu narodowościowego, zapowiadał, że nadeszła epoka wolności i równości, że władza dostała się w ręce pracowitego władcy, to jest ludu, że ludzkość przekształci się w jedną rodzinę tak samo jak oto wszystkie "plemiona inorodców" dawnego carstwa utworzyły jedną wspólnotę.

—Tylko u was, "Jakow Antonowicz"—ubolewał w końcu—stoi mocno twierdza nacyonalizmu i reakcyi! Poco wy urządzacie ten jakiś szowinistyczny pochód? Przeciwko komu? Czemu wy zawsze wszystko chcecie po swojemu, osobno. Wy tu w mniejszości, a postanowiliście rządzić. Nie przeciwstawiajcie się zwycięskiemu burzliwemu potokowi czasów! Wasz lud pójdzie z nami, nie zaś z waszą patryotyczną burżuazyą, z nami ku promiennej przyszłości!

Djukow mrużył oczy krótkowidza, tak jakby z wytężeniem patrzał w oną przyszłość.

Poco te jakieś narodowe flagi, te orły? Przeszłość powinna iść do archiwum... Niema już orłów dwugłowych, jednogłowych! Jeden tylko kolor czerwony i jeden tylko herb-godło ludu pracującego! Teraz jest czas braterstwa... A kto nie zechce braterstwa z nami, tego my obalimy w pochodzie naszym—deklamował, nie odstępując Siewierskiego aż do samego niemal kościoła.

Znudzony powodzią frazesów, zapożyczonych z pierwszej lepszej gazety, Siewierski uciekł na drugą stronę ulicy i dopędził Targowieckiego, który szedł ze starszym zięciem swoim i zięciem niedoszłym, t. j. Podbielskim.

Pan Tomasz mimo, że i zdrowie mu nie dopisywało i interesa szły nietęgo, że rozruchy przyprawiły go o znaczne

szkody, mimo, że w nowym rządzie nie zdobył sobie dotąd protekcyi, a w kraju tracił grunt pod nogami, pan Tomasz miał na twarzy wyraz rozpromienienia. Widok orła białego na amarantowem tle, chorągwi, oddziałów wojska, podniosły nastrój w mieście wzruszały go szczerze. Przywitał Jakóba z entuzyazmem.

—Dożyliśmy też, doczekaliśmy!—rzekł krótko, tłumiąc jak gdyby spazm roztkliwienia.

Chwilę potem opowiadał jakąś anegdotkę światową o pewnej matronie, znanej działaczce, zesłanej podczas powstania styczniowego na Sybir, która zamierzała dziś wziąć udział w pochodzie wśród weteranów 1863-go roku i miała przebrać się w dawny strój z owej-epoki.

Targowiecki śmiał się swoim sypatycznym, pociągającym śmiechem, poczem na widok szwadronu ułanów wzruszył się znowu.

—Niech giną majątki nasze... Dla Polski nie szkoda!—wykrzyknął i urwał rozrzewniony własnemi słowy i własnem uczuciem, wargi zadrgały mu, a w rozrzewnieniu wyglądał na starca tem bardziej, iż brakowało mu dwu przednich zębów.

Szczerbiowski, który był jednym z głównych inicyatorów obchodu, kroczył okazały, jak zwykle, pewny siebie, a tak wolno i dostojnie, jak gdyby dźwigał na głowie albo koronę, albo przynajmniej ampułę z olejami świętemi do pomazania go na ojca ojczyzny.

W sercu jego głęboko, głębiej, niż małostki zatargów partyjnych, intryg i ambicyj, paliła się święta iskierka rzetelnych uczuć ojczystych.

Tylko Hip, zgarbiony, z głową zwieszoną w profilu, przypominający drapieżnego ptaka, Hip, wysiedlony z dóbr swoich, znużony bezdomnością tęsknił do czasów, gdy ulic nie zdobiły sztandary polskie, lecz zato prawo własności nie było podeptanem i wzdychał do tego, by karne pułki pod wodzą jednego z von Podbiesky'ch przysły tu przywrócić zachwiany porządek.

Targowiecki z zięciem weszli do kościoła, aby zająć honorowe miejsce, czy też dla wydania jakichś rozporządzeń, Podbielski wrócił do domu po matkę, Jakób został na placu,

Nabożeństwo nie rozpoczęło się jeszcze. Coraz gęstsze tłumy płynęły ulicą, gromadziły się przed świątynią. Szły już grupami związki i organizacye, dziatwa z ochronek, młodzież ze szkół.

Siewierski w tłoku coraz to odnajdywał kogoś znajomego. Zauważył Frania Liniewicza, który od czasu przewrotu przedzierżgnął się w dobrodzieja miasta i kraju, stał się jednym z dygnitarzy i na twarzy podrzędnego tenora piastował wyraz ministeryalnej powagi a namaszczenia.

On także, jak Hip Podbielski, żałował epoki, w której siedziało się bezpiecznie, nie u Pana Boga, ale u gubernatora za piecem, i żył nadzieją, że pułki, którym w przeciągu trzech lat od początku wojny życzył pogromu, że pułki niemieckie przyjdą przywrócić ład społeczny.

Liniewicz zaledwie raczył ukłonić się Jakóbowi, Następnie Siewierski dostrzegł Aleksandra, który w dniu dzisiejszym pracował za stu i on jeden—właśnie może z powodu pracy—wyglądał pospolicie i zanadto codziennie; dostrzegł powieściopisarza Turskiego, który wziął na siebie stronę estetyczną i dekoracyjną i doskonale wywiązał się z zadania; potem Janinę odmłodzoną, dzięki bardzo ładnemu kapeluszowi, sztywną i spokojną panią Targowiecką, Imę Zapolską, Tereskę Szczerbiowską, Kostusia Morszańskiego, czyli marszałka w cylindrze, z głową zadartą przesadnie, z wąsami poczernionemi na kolor kruczy.

Naraz tęsknota Jakóba poczęła szukać tej, której przecież nie było tu, która nie mogła się tu znajdować. Zadumane oczy spoglądały bezcelowo w tłum, gdy serce wspominało...

I oto dostrzegł ją, czy też ona dostrzegła go pierwsza. Zanim Siewierski zdał sobie sprawę, zanim rozważył. czy właściwie postępuje, już przecisnął się perzez ciżbę i stanął obok niej.

Te same były cudne oczy i brwi i to samo, co zawsze, co dawniej w oczach i na mizernej twarzy szczęście. Ale krótko ostrzyżone włosy zmieniły ją, może na korzyść, może na niekorzyść—żal było ślicznych włosów. — Jakób nie stwierdził tego.

Oboje usiłowali zapanowoć nad weselem serc, nad drżeniem głosu, nad radością i pieszczotą spojrzenia, nad tym jakimś uśmiechem, nad słowami, które cisnęły się...

—Muszę panu podziękować. Pan to bowiem wywiódł mnie z domu niewoli, z ziemi Syberyjskiej...

—Tak, jak pani wywiodła mnie z domu choroby...

—Jesteśmy tedy pokwitowani...

—Tak, jesteśmy pokwitowani...

Usiłowali żartować, a z ócz jej Siewierski wyczytał to, co pragnęła ukryć, wyczytał, że dochowała mu wierności, że tęskniła i cierpiała, że cierpieć będzie, że nie potrafi zapomnieć, choć potrafiła skłamać...

Tę samą prawdę fala wzruszenia wyniosła na powierzchnię serca w Siewierskim.

I przejrzał wówczas w jednem mgnieniu, że wszystko jeszcze może spotkać go w życiu, że nagromadzi obowiązków i zasług i pracy i cnót, kto wie, nawet powodzeń, ale nie będzie już w życiu jego ani innego kochania, ani tego, co daje kochanie, co jedni zwą szczęściem, inni—męką, tak, jak nie będzie już drugiej młodości...

Jedna było miłość, ona jedna trwa i przetrwa, i nie oddałby, nie wyrzekł się tej ubogiej, smutnej miłości, choć zawierała tylko cierpienia.

Czy wyznały jej tę smutną pociechę jego oczy, nie wiedział.

Tymczasem krótkiemi, urywanemi zdaniami mówili o cieżkich jej przejściach, następnie o obchodzie.

—Pan nie wiedział że narzeczona moja tu bawi, nieprawdaż? Pan nie widział jeszcze narzeczonej mojej od czasów więzienia?—pytał Turski, który dopadł ich na chwilę. Słowo: narzeczona tak niespodziewanie i niezwykle zabrzmiało Jakóbowi, że, choć miał czas oswoić się i słyszał od dawna o "zaręczynach", że pomimo woli podniósł wzrok, pierwej na młodego autora, który był dumny i z narzeczonej swojej i z dzieła swego, t. j. obchodu, a był tak podniecony, że co chwilę bezlitośnie szarpał i niemal wyrywał sobie swoje jasne, obwisłe wąsy.

Potem Siewierski podniósł wzrok na nią.

Wśród jej twarzy tkwił uśmiech, dziwny jakiś, niewyraźny, niedbały i lekceważący na wargach, w stęsknionych oczach—żałosny.

—Nie, panie! nie widziałem—odparł Siewierski.

Kilka chwil trwało milczenie.

—Należy się też panu powinszowanie i hodł—spokojnie i powoli zaczął Siewierski—z powodu świetnych pomysłów dekoracyjnych. I w kościele, gdzie byłem już rano, i bramy...

Powieściopisarz z wdzięcznością przyjmował pochwały od tego, z którego zdaniem liczył się bardzo, czuł zaś, że pochwały są i szczere i zasłużone.

Zadzwoniono właśnie na mszę.

Panna Kasia poszła na czele dzieci z przytułku. Zmieszała się wkrótce z tłumem i Siewierski nie widział jej więcej.

A po nabożeństwe, gdy olbrzymi pochód rozwinął się w ulicach miasta, gdy zabrzmiała pieśń, od stu lat wśród murów gubernialnej stolicy nie słyszana, gdy zakołysały się chorągwie kościelne i narodowe i pochyliły się sztandary, gdy zatupotały szwadrony ułanów i przeciągnęły oddziały junaków, wśród których brakowało tylko Stefusia, gdy hymnem odezwała się pułkowa muzyka polska, a starszyzna słuchała hymnu salutując, gdy ukazała się garstka weteranów z 1863-go roku, prowadzona przez patryarchę Teofila Sienludzkiego, gdy płynęły niezliczone szeregi dzieci, młodzieży, jeńców-Polaków z obu zaborów—wówczas ogarnęło Siewierskiego niewysłowione i nieznane dotąd uczucie, w którem zatracił nie tylko myśl, ale i całego siebie, w którem zapamiętał się...

Był przeciwnikiem wogóle obchodów i manifestacyj, wszelkich słomianych płomieni i tanich okazałości, a jednak właśnie podczas pochodu, zgubiony w tłumie, przejął się do dna przeświadczeniem, iż odzyskał ojczyznę, i zakosztował szczęścia, dostępnego innym narodom, zakazanego przez półtora stulecia Polakom, szczęścia, które zawiera się w poczuciu, że się jest synem narodu wolnego.

Szedł zgubiony w tłumie. Niosła go rzeka, pełna głębi i mocy.

I w jakiemś mgnieniu przypomniała mu się Wisła, której głąb i moc napełniły go otuchą niegdyś w złym dniu wątpienia.

A w innej chwili, zabrzmiał mu—rzekłbyś—głos komendy polskiej, rozległ się w nim nakaz nie nowy, wiele już razy słyszany i czytany, ale obecnie, jakby z rdzennych głębi jestestwa wydobyty, na dnie przeżyć i cierpień niby perła na dnie morza znaleziona...

—Co tam życie osobiste!—trochę więcej pomyślne, czy mniej pomyślne—przemknęło w myśli i duszy.—Ktoby tam troszczył się o to... trzeba je nieść w służbie ojczyźnie, w ofierze Bogu.

I dziś w uniesieniu, w dniu święta narodowego wydawał mu się ten nakaz nie trudnym do wykonania.

Nazajutrz Siewierski, niezadowolony z dotychczasowej pracy organizatorsko-społecznej, wstąpił jako prosty żołnierz do jednego z pułków polskich.

Grankułła w Finlandyi 1917 r.

KONIEC.

DODATKI

DOBRZY SĄSIEDZI

JAK SIĘ BARTEK I WOJTEK KOCHALI I JAK SIĘ OKRADALI.

Wojtek i Bartek sąsiadowali z sobą od czasów niepamiętnych i od czasów niepamiętnych dzielili z sobą wszystko to, co życie sąsiedzkie z sobą przynosi. I w kumy się zapraszali i na kieliszek do siebie zachodzili i na jarmark razem jeździli. Lubili się mocno i często się o tem zapewniali, osobliwie, gdy spotkali się w karczmie, albo gdy przy nadarzonej sposobności wypili w domu po parę kieliszków. Wtedy rozczulali się ogromnie i bywali sobie tak radzi, że jeden przez drugiego, gadając rązem, starali się prześcignąć w wyrazach żywych uczuć sąsiedzkich.

"Daj pyska, Wojtku, — mawiał Bartek, — choć ta i wypasasz mi czasem po cichu oziminę, dobry z ciebie chłop."

"Dawaj pyska bracie — odpowiadał Wojtek — wiem, że się czasem dobiera twoja baba do moich kartofli, ale to nic. Tak już widać po sąsiedzku być musi."

I sąsiedzi całowali się raz po raz, rozrzewniali się coraz bardziej, wypominali sobie to i owo, przepijali do siebie, aż wreszcie gdy butelka była próżna i trzeba było iść do

domu, odprowadzali się wzajemnie tak gorliwie, że to odprowadzanie nie miało końca.

"Muszę cię kawałek odprowadzić Wojtku, bo się jakoś nie bardzo zdrowo trzymasz na nożynach."

"Co? Ja? Zdaje ci się tylko, kumie Bartku. Jeszcze bym dalej zaszedł od ciebie. To ty się bracie, jakoś kiwać zaczynasz. Dobrze, że jesteś w chałupie i nie potrzebujesz przechodzić przez mostek nad potokiem, bo wpadłbyś jak amen w pacierzu."

Naturalnie, że takiego despektu Bartek znieść nie mógł i po długich pożegnaniach ruszył z kumem, aby mu pokazać, że wcale tak źle znowu nie jest. Chałupy obu sąsiadów były dość doleko od siebie a przedzielone były sporą olszynką, przez którą przepływał szeroki i głęboki potok. Gdy Bartek ujmował pod rękę Wojtka i, zataczając się z nim razem, docierał wreszcie do chałupy sąsiada, żegnał się z nim znowu bardzo dokładnie i zawracał do siebie, ale wtedy Wojtek powiadał zazwyczaj.

"Teraz, bracie, ja ciebie kawałek odprowadzę, bo nijak cię samego puścić nie można. żeby w złą godzinę nie wymówić, jeszcze wpadniesz do potoku i utopisz się."

I tak raz za razem sąsiedzi odprowadzali się do domu, aż wreszcie w sprawę wtrącały się baby i chłopów przemocą zatrzymywały w izbie. Wtedy jeden sumitował się przed drugim, że odprowadziłby sąsiada bardzo a bardzo chętnie, tylko że z babą, wiadomo, nie poradzi i trzeba takiej ustąpić.

Tak oto żyli z sobą sąsiedzi Wojtek i Bartek, pokumani z sobą po niezliczone razy i kochający się bardzo. Zwyczaje mieli jakieś dziwne i dla ludzi z miasta niebardzo zrozumiałe. Chociaż nie przestawali się zapewniać o swojem do siebie przywiązaniu, radzi korzystali z siebie potajemnie,

W noc miesięczną, gdy Wojtkowi się nie spało i zdawało mu się, że w Bartkowej zagrodzie wszyscy śpią jak zabici, wykradał się po cichutku z izby, wyprowadzał krówkę Srokulę i wiódł ją na skraj olszynki, aby się pożywiła na ładnej oziminie sąsiadowej. We dnie, gdy się czasem zgadało o kradzieżach albo nieuczciwości jakiejkolwiek, mawiał Wojtek, a powtarzał Bartek, że kradzione nie tuczy i że jeszcze nikt się z kradzionego nie zbogacił, ale gdy widział jak Srokuli smakuje ozimina kumowa, myślał sobie, że zawsze to się tyle a tyle paszy własnej oszczędzi. Bartek spostrzegł nazajutrz, że ozimina stratowana i w pierwszych latach sąsiedztwa dochodziło między obu sąsiadami do gwałtownych kłótni a nawet procesów. Spostrzegli atoli sąsiedzi, że trudno jest sąsiadować z sobą i kłócić się o byle co i znaleźli dobry sposób do wyrównania się.

Bywało, że przyjdzie Bartek do chałupy, ciśnie czapę w kąt, zaklnie głośno i powiada do baby:

"Znowu Wojtek, gałgan jeden, wypasał. Poślij ta wieczora którego Franusia, żeby mu, psubratowi, parę garncy ziemniaków podebrał. Krzywdzić się psubratu nie dam, a kłócić się z sąsiadem kochanym nie będę."

I Franuś sąsiada Bartka dobierał się sprytnie do kartofli swego kuma, a że już sam rozumiał, iż nikt nie powinien dać się krzywdzić, starał się dobrze o to, żeby krzywda, uczyniona przez sąsiada miłego, wynagrodzona była z lichwą. Wojtek był stary wyga i spostrzegał, oczywiście, jak to się miły kum odszkodowywał za trochę tej tam oziminy, co ją Srokula zjadła, a że był mądry i ustępliwy, przeto nie wszczynał kłótni, ale przy nadarzonej sposobności wetował sobie jak się patrzy. Tak oto żyli sobie ci sąsiedzi po sąsiedzku dobrze i zgodnie, zapewniając się przygodnie

o swojem do się przywiązaniu i mawiając przy każdej sposobności, że kradzione nie tuczy i że nie warto się łakomić na cudze, kiedy się swojego ma dosyć. A swojego, istotnie, każdy miał dosyć, tylko tak już się składało, że przychodziła pokusa, żeby się na sąsiadowem coś niecoś przyżywić, bo od przybytku ponoć głowa nie boli.

Kochali się sąsiedzi nasi bardzo, ale pokochali się jeszcze bardziej, gdy pewnego razu spostrzegli, że są jednakowo mądrzy, i że jeden przed drugim w mądrości nie ustąpi. Stało się to tak. Miał Wojtek wieprza dorodnego takiego, że aż się Bartkowi przyśniwała ta kupa papierków, jakąby za niego dostać można. Juścić sprzeda go Wojtek i pieniądze grube weźmie. Ładny był wieprzek. Aż razu pewnego przyszła Bartkowi do głowy myśl dziwna taka a prosta zarazem: Dlaczego to akurat Wojtek ma sprzedawać takiego ładnego wieprzka a nie on, Bartek. Podatki by człowiek popłacił, to i owo by sobie nawet kupić mógł... Trzeba tylko zgrabnie a ładnie wyprowadzić wieprzka, pognać przez olszynkę, zaprowadzić do kogo należy i hulaj dusza!

Miał Bartek wprawdzie bardzo ładną jałowicę, którą przeznaczał na sprzedaż, ale mu jej było żal. Można się przecie z jałowicy dochować sporej pociechy. Na tę jałowicę spoglądał okiem zazdrosnem Wojtek i myślał akurat tak samo, jak jego kum: Pójść sobie cichą nocką, wziąć ono bydlątko miłe i zaprowadzić gdzie trzeba, a potem pieniądze wziąć i kamień w wodę. Szukaj, bracie sąsiedzie, wiatru w polu po swojej jałowicy. Może ci się nawet zdarzyć, że i sam się jej mięskiem pożywisz, jak sobie w niedzielę na rosół kupisz u rzeźnika w mieście. Takie ich obu sąsiedzkie obsiadły myśli, że ani rusz oprzeć się im nie było można. A były te myśli kuszące tem bardziej, że jeden drugiego

obejście gospodarskie znał jak swoje i kłopotu z przeprowadzeniem myśli powziętej nie przwidywał ani jeden, ani drugi.

“Wy kiedy, kumie, wieprza na jarmark powieziecie? Teraz, czy później?” — zagadywał chytrze Bartek, żeby się nie dać wyprzedzić.

“Ano by warto już teraz, bo pieniędzy potrzeba jak soli” — odpowiadał zapytany, — “ale rozmyśliłem się i chyba później go sprzedam. Ceny będą może lepsze. A wy ze swoją jałowicą jak myślicie?”

Bartek odpowiadał tak samo, podrapując się po głowie i spoglądając chytrze na sąsiada. Dobrze im się składało obu. Rady już nie było żadnej, tak im się zachciało wyręczyć się w mitrędze sprzedawania przychowku. Czaili się obaj na siebie, przyglądali sobie, nawet bywać u siebie przestali o jednem tylko myśląc. Każdy szukał kupca na nieswoje i każdy łatwo go jakoś znalazł, bo cenę na niewłasne stawiał niezbyt wygórowaną.

Był sobie w miasteczku niedalekiem człowiek mądry i użyty, od którego można było kupić to i owo niedrogo, i któremu można było dobrze sprzedać, bo nigdy nie pytał skąd, co i jak. Z tym tedy mądrym a uczynnym człowiekiem porozmawiał Bartek, porozmawiał z nim też Wojtek. Sprzedawał mu Bartek Wojtkowego wieprza, a Wojtek Bartkową jałowicę. O cenę nawet na niewidzianego nie targowano się nadmiernie, bo ów człowiek z miasta wąchał pismo nosem i wiedział, że wyjdzie na swoje. Stanęło na tem, że jak przyprowadzi ten to, a tamten owo, to się zobaczy co i jak i w dkóch słowach targu się dobije.

* * *

Przyszła niebawem taka noc ciemna a wietrzna, na jako

sąsiedzi oddawna czekali. I nazajutrz w dzień dżysty i chłodny Bartek wprowadzał do obórki miejskiego człowieka, który był mądry i uczynny, dorodnego wieprza Wojtkowego. Ale gdy stanął na progu obórki, zdębiał i gębę szeroko otworzył: w obórce stała ni mniej ni więcej, tylko jego jałowica.

"Skąd się tu wzięła moja jałówka?!" — ryknął wściekły z gniewu, gdy ochłonął nieco ze zdumienia.

"To jest jałówka kupiona od waszego sąsiada Wojtka" — odpowiedział spokojnie kupiec.

"A to złodziej psubrat!" — krzyknął oburzony Bartek.

"Nie krzyczcie, panie Bartku, jeszcze was do odpowiedzialności pociągnie, jak się dowie, że go złodziejem nazywacie. Idźcie najlepiej do niego i sami sprawę z nim załatwijcie."

"A gdzie on jest?"

"A gdzie ma być jak nie w karczmie. Gdzie się chodzi po dobiciu dobrego targu?"

Bartek podrapał się w głowę i nie wiedział co ma zrobić. Stawało mu się jasnem, że jego sąsiad jest człowiekiem mądrym akurat tak samo, jak on sam, iść do policyi i kupca brać na świadki, wiadomo, nie będzie dobrze, bo wieprzek nie wróbel i do kieszeni go człek nie schowa. Zabrać go nazad i wprowadzić z powrotem do chlewu Wojtkowego, aby potem w niewinności własnej wpakować miłego kuma do kryminału, nie sposób. Wytargować na kupcu wyższą cenę za wieprza, aby się przynajmniej w ten sposób odszkodować, także nie można, bo kupiec też taki z pod ciemnej gwiazdy. Podawał już Bartkowi umówioną sumę za wieprza, trzeba ją było wziąć i iść sobie. Teraz dopiero spostrzegł, jak niesłychanie tanio sprzedał Wojtkowego wieprza i przyszło mu na myśl, za wiele też sprzedał Wojtek jego

jałówkę. Gdy usłyszał odpowiedź, aż splnuął ze złości i żalu, bo okazało się, że kupiec dał za ładną krówkę akurat połowę tego, co powinien byłby dać. Przyskoczył z pięściami do kupca, ale ten odepchnął go od siebie i zagroził policyą. Był w porządku, kupił, zapłacił i dosyć. Kupił przecie od porządnych gospodarzy. Czy nie? Nie było żadnej rady, trzeba było iść do karczmy szukać kuma, żeby się z nim rozprawić. Pokaże mu, złodziejowi!

* * *

Wszedł Bartek do pierwszej z brzega karczmy, ale Wojtka w niej nie było. Trzeba go będzie szukać w innej. Tymczasem jednak był mocno strudzony i trzeba było koniecznie pokrzepić się nieco. Kazał dać wódki zakąskę i zapijał swoją złość i żałość do sąsiada. Pił mocno i długo, bo złość była duża a żałość nie znikła. W pewnej chwili, gdy już mu się z czuba zdrowo kurzyło, przypomniał sobie, że trzeba szukać tego złodzieja kuma Wojtka. Znalazł go w karczmie sąsiedniej mocno podochoconego. Gdy wszedł do karczmy, Wojtek przetarł oczy wystraszone, bo się tu swego kuma nie spodziewał, ale zaraz podszedł do niego i rzucając mu się na szyję, wołał:

"Witajcie mi, kumie Bartku! Skądeście się tu wzięli?"

Ale Bartek dobrze już pijany i zły, odtrącił sąsiada:

"Odejdź psubracie, ze złodziejem się całować nie będę. Wieleś wziął za jałówkę?"

Wojtek szeroko otworzył gębę. Skąd sąsiad już może wiedzieć? Mądry gałgan musi być, niema co mówić! Zaś w Bartku złość i żałość wzmagała się coraz bardziej na widok ogłupienia Wojtkowego i nie mogąc się opanować, zawołał:

"żebyś wiedział, że twój wieprzek tam, gdzie moja jałówka! Tak!"

“Niby co?... Mój wieprzek, powiadasz?... Kto kiedy...?”

“Nie kto i nie kiedy, jeno ja sam. żebyś wiedział, żem nie głupszy od ciebie.”

“Ach ty złodziejskie nasienie!” — wrzasnął Wojtek i zamierzył się w Bartka, ale w tej chwili podbiegł karczmarz i syknął.

“Cicho, chłopy, bo jak zawołam policyę, to oba pójdziete do kryminału!”

Słowa: policya, kryminał poskutkowały. Bartek i Wojtek cofnęli się od siebie i przez długą chwilę spoglądali po sobie.

“Wiele ci dał za mojego wieprzka?” — zapytał wreszcie Wojtek.

“Tyle co tobie za moją jałówkę.”

“Toś mnie pokrzywdził, bo wieprzek dwa razy tyle wart, ileś wziął.”

“Jałówka też sroce z pod ogona nie wypadła, żeby ją za takie psie pieniądze sprzedawać. Sumienia nie masz.”

Wzmagała się w nich żałość i omal nie płakali, że tak się niedobrze złożyło. Pierwszy ochłonął nieco Wojtek i zabiadał:

“Ech, kumie, wiesz ty co?”

“A co?” — zagadnął Bartek ciągle jeszcze zły.

“Lepiejby było, żeby każdy był sprzedał swoje.”

Bartek pomyślał przez chwilę i rzekł:

“Pewno, że lepiej. A teraz co?”

“Teraz trzeba wypić z sobą litkup i pomyśleć jak trzeba zrobić” — rzekł: karczmarz, starając się uspokoić chłopów.— Usadowił ich na ławie, podał wódki, a przysiadłszy się, w miarę jak sąsiedzi pili w milczeniu i zamyśleniu, jął radzić madrze i przekonywująco:

"Zrobiliście sobie sąsiedzkiego figla. To nic takiego, to się zdarza najlepszym sąsiadom. Tanio sprzedaliście, bo tanio, ale i na to rada jest: niech każdy dopłaci drugiemu, co się należy temu do jałówki, temu do wieprzka i zgoda."

Chłopi spojrzeli po sobie pełni zdumienia nad mądrością karczmarza i wybuchnęli jednocześnie śmiechem.

"A przecie!" — wrzasnął uradowany Bartek.

"A bo nie?" — przyświadczył Wojtek.

Karczmarz przyniósł kredę i jął im obszernie tłómaczyć różnicę w cenie, a chłopi powydobywali z zanadrza kupy pomiętoszonych papierków i jęli się rozdzielać. Szybko doszli do ładu przy pomocy karczmarza, który im udowodnił, że trzeba uniknąć rozgłosu w takich delikatnych sprawach i załatwić rzecz po sąsiedzku między sobą.

Wojtek i Bartek pili jeszcze długo, a gdy wreszcie zataczając się ruszyli w drogę do domu, jęli się pod ręcę jak za dobrych dawnych czasów i szli zgodnie obok siebie.

"Mądryś ty, kumie miły..." — bełkotał Bartek.

"Aleś i ty kuty chłop..." — mamrotał Wojtek.

"I karczmarz też niegłupi" — rozpoczynał nanowo Wojtek.

"A nie głupi. Wyrachował nas co do grosza. Nie winniśmy sobie nic i krzywda się żadnemu nie stała."

"Nie stała..."

Odtąd lubili się sąsiedzi jeszcze bardziej, niż dotąd, tylko czasem zrozumieć nie mogli, że jeden drugiemu sprzedał bydlątko za pół ceny a jednak szkody żaden nie poniósł, bo sobie uczciwie podopłacali, co się komu należało. I żyli nadal w przykładnej zgodzie.

Peel.

PŁACZĄCY GŁAZ.

Za siedmiu górami i za siedmiu rzekami było państwo wielkiej obfitości. Zboża rodziło się tam takie mnóstwo, że nietylko dla ludności państwa wystarczało w zupełności, ale jeszcze można było wywozić je do krajów, w których nieznano takiego wielkiego dostatku, jak w pańswie wielkiej obfitości. Na łąkach pasło się mnóstwo dorodnego bydła, lasy pełne były zwierzyny, a wody roiły się od wielkiego mnóstwa ryb. Wszystkim mieszkańcom tego państwa działo się bardzo dobrze a najlepej mieli się w niem przepowiadacze pogody. Przepowiadacze ci nie robili nic tylko przepowiali kiedy będzie padał deszcz, kiedy będzie słoneczno, kiedy chłodno, kiedy ciepło. Wprawdzie nikt z mieszkańców nie interesował się tem bardzo, bo w kraju wielkiej obfitości było prawie zawsze pogodnie i słoneczno, ale tem niemniej nikomu nie przyszło na myśl, że przepowiadacze pogody w kraju tak stale pogodnym są właściwie niepotrzebni i możnaby obyć się dobrze bez nich. Mieszkańcy państwa wielkiej obfitości otaczali swych przepowiadaczy pogody wielkim szacunkiem chociaż żaden z nich nie byłby umiał powiedzieć dlaczego się przepowiadaczy pogody tak bardzo szanuje. Bywali i tacy, którzy podrwiwali sobie z czcigodnego cechu przepowiadaczy pogody i wskazywali nawet na to, że żadna przepowiednia się nie sprawdza. Ale przepowiadacze pogody nazywali takich wrogami ojczyzny i zapowia-

dali wielkie kary boże na kraj, który taką bezbożność cierpi w swych granicach i nie karze bezbożników. Sami o sobie powiadali przepowiadacze pogody, że są podporami wszelkiego ładu i porządku i że bez nich państwo nie ostałoby się długo. Ale pomimo takiego o sobie mniemania wzywali co chwila pomocy władz państwowych, aby nakazywały szacunek dla nich i aby ściągały dziesięcinę z tych pobożnych, którzy dobrowolnie płacić jej nie chcieli. Złośliwsi uśmiechali się w takich razach i powiadali sobie na ucho, że podpora porządku i ładu woła, aby podpierany przez nią podparł ją, bo gotowa się zwalić.

Tak oto żyli sobie przepowiadacze pogody w kraju wielkiej obfitości i działo im się dobrze pomimo, że nic nie robili i pomimo, że wszyscy inni mieszkańcy dobrze musieli się na kawałek chleba napracować. Ale przyszły i na przepowiadaczy pogody czasy złe. Mieszkańcy państwa wielkiej obfitości zaczęli spoglądać okiem krytycznem na przepowiadaczy pogody i coraz więcej było takich, którzy twierdzili, że obyłoby się zupełnie dobrze bez nich. Odwoływanie się do władz świeckich nie na wiele się zdało, bo władza królewska znaczyła coraz mniej, a lud panował nad krajem coraz niepodzielniej. Lud zaś nie lubił przepowiadaczy pogody, albowiem musiał ponosić bardzo wielkie ciężary na ich utrzymanie a nie widział z nich żadnego pożytku. Przepowiadacze pogody zrozumieli tedy, że muszą wystąpić z czemś nowem, co zainteresuje szerokie masy i w ich oczach podniesie znaczenia upadającego zgromadzenia.

Za jednem z miast państwa wielkiej obfitości stał od niepamiętnych czasów ogromny posąg, o którym jedni powiadali, że jest to obraz jednego z tych olbrzymów, którzy dawniej zaludniali świat, inni zaś, że jest to bóstwo, które

okiem pozornie kamiennem śledzi bieg świata i kieruje losami człowieczemi. Przepowiadacze pogody zrozumieli w lot co zrobić należy. Zaczęli nauczać, że posąg ten to naprawdę bóstwo śledzące bieg świata i dzierżące w kamiennym ręku losy każdego człowieka. Gdy zaś zdawało się im, że wiara przez nich głoszona już dostatecznie okrzepła, rozgłosili pewnego dnia, że kamienne bóstwo codzień rano płacze i że łzy bóstwa nie wróżą światu niczego dobrego. Nikt nie zadawał sobie pytania dlaczego to bóstwo miałoby wrazie niezadowolenia ze świata koniecznie płakać, a nie naprzykład podnosić rękę albo nogę albo, co byłoby jeszcze lepsze głośno i wyraźnie przemawiać, natomiast wszyscy byli zatrwożeni i każdy chciał na własne oczy widzieć bóstwo płaczące. Ze wszystkich stron kraju schodziły się masy pątników, aby widzieć bóstwo, które roni łzy, a pątnicy nie przychodzili z pustemi rękoma. I oto ze zdumieniem widywano o wschodzie słońca, gdy pierwsze promienie muskały czoło wielkiego posągu, że w oczach kamiennych błyszczały dwie wielkie łzy niby perły. Ale gdy słońce podnosiło się wyżej na niebie i oświecało całe oblicze posągu, łzy znikały a na twarzy bóstwa zdawał się gościć pogodny uśmiech. Przepowiadaczom pogody działo się bardzo dobrze. Aliści stało się, że po niejakim czasie jakiś niedowiarek wskazał tłumowi na przyczynę płaczu głazu: oto po nocy zostawały w zagłębieniach oczu posągu krople rosy, a gdy słońce podnosiło się wyżej, wysychały. Cud przestał być cudem dla bardzo wielu, acz nie dla wszystkich, i przepowiadaczom pogody znowu działo się źle. Wtedy jeden z nich zaczął nauczać, że w muszelkach zaczarowanych przez przepowiadaczy pogody tkwi nadzwyczajna siła, że kto muszelkę taką nosi na szyi, ten może być spokojny o siebie: na ulicy miasta nie napadnie go lew,

a w pustyni nie przejdzie go pociąg. Ludziska znowu nie zastanawiali się nad cudownością muszelek zaczarowanych, ale kupowali je za drogie pieniądze, ciesząc się, że nareszcie znalazł się środek dla tych, którzy pragną, aby na ulicy ludnego miasta nie napadł ich lew„ a na pustyni nie przejechał ich pociąg. Lecz niebawem duch niedowiarstwa i tu przeciwstawił się przepowiadaczom pogody: jakieś niegodziwe indywiduum, wyzute ze wszelkich uczuć ludzkich, zaczęło dowodzić, że na ludnych ulicach zazwyczaj nie spotyka się lwa, a na pustyni bardzo często można spotkać wszystko inne, tylko nie kolej żelazną, że więc zaczarowane muszelki noszone na szyi, są zupełnie zbędne.

Przepowiadaczom pogody działo się znowu bardzo źle, ale zaczęło dziać się im jeszcze gorzej. Spadły wielkie posuchy i klęski na kraj wielkiej obfitości i nędza zagościła w całem państwie. Lud rozgoryczony nędzą, zaczął wyrzucać przepowiadaczom pogody, że nie przepowiedzieli klęsk, które spadły na kraj i przestał dawać dziesięcinę na utrzymanie niepotrzebnych przepowiadaczy pogody. Lecz ci zaczęli dowodzić, że klęski zesłało na kraj bóstwo, które płakało, a z którego łez niedowiarkowie podrwiwali, karząc kraj jednocześnie za to, że już nikt nie chciał nabywać zaczarowanych muszelek. Gdy klęski zaczęły dawać się coraz bardziej we znaki, utworzyła się potężna partya stronników przepowiadaczy pogody z żywiołów najciemniejszych, ale zarazem zdecydowanych na wszystko. Oparłszy się o tę partyę przepowiadacze pogody znowu nabrali ochoty do życia i zaczęli ujawniać nastrój wysoce wojowniczy. Widząc, że stoją za niemi masy, które nie zastanawiają się nad niczem i we wszystko wierzą, przepowiadacze pogody postanowili zapanować nad państwem i stać się jego panami, pomimo, że

na czele stał jeszcze król i że do władzy został na mocy ustawy dopuszczony lud. Jeli sobie tedy przypominać, że niegdyś bractwa ich posiadały w całym kraju wielkiej obfitości ogromne dobra, że lud oddawał im cześć i składał dziesięcinę, że władza ich stała wysoko nad władzą królewską. Tę swoją moc minioną postanowili odzyskać. Zaczynali zadzierać ze wszystkimi i z każdym, uważając siebie za najpotężniejszych i najmądrzejszych. Wreszcie, chociaż w całym kraju panowała niesłychana nędza i żaden z obywateli nie widział już dawno złota, a w obiegu były wyłącznie pieniądze żelazne, przepowiadacze pogody czując swoją siłę, jęli domagać się od władz państwa, aby wynagrodzenie za ich trudy przepowiadania pogody było im wypłacane w złocie. Nie wpadli na taki pomysł ani urzędnicy państwa, ani żołnierze, którzy odnosili rany i tracili życie w obronie swej ojczyzny, ani robotnicy, którzy żywili się nędznie i nie mieli wielu rzeczy potrzebnych, ale wpadli na taki pomysł akurat przepowiadacze pogody, w których przepowiednie literalnie nikt nie wierzył i które do szczęścia nikomu potrzebne nie były.

Panował wówczas nad krajem władca mądry, którego przepowiadacze pogody nie lubili, gdyż mawiano o nim, że trzyma z tymi, którzy przepowiadanie pogody uważają za rzecz niepotrzebną i nie obawiają się o losy państwa w razie, gdyby przepowiadaczy państwa zabrakło. Do tego władcy musieli się udać przepowiadacze pogody, aby nakazał wypłacić im wynagrodzenie w złocie. Władca popatrzył na nich, jego brwi zmarszczyły się a w oczach błysnęło. — "Czy wy — zapytał — umiecie zrobić tak, aby bóstwo kamienne płakało?" — "Umiemy" — odpowiedzieli przepowiadacze pogody. "Czy umiecie zaczarować tak muszelki, aby lew nie

pożarł na ulicy miasta ich nosicieli?" — "Umiemy" — odpowiedzieli znowu. — "Dobrze więc, — odpowiedział mądry władca — skoro umiecie robić takie znakomite rzeczy, a chcecie koniecznie mieć złoto za swoje trudy ponoszone dokoła przepowiadania pogody, tedy pzwalam wam, abyście pieniądze żelazne, jakie otrzymacie z kasy państwa, przemienili sobie w złoto. Ktoby wam w tem przeszkadzał, zostanie ukarany." Skinął miłościwie ręką i opuścił zdumionych przepowiadaczy pogody, którzy nie byli bynajmniej wdzięczni za udzielenie im tak wielkiego zezwolenia.

K. Howorko.

TEOLOGIA MARYNI.

Mała Marynia stała się teologiem nie wiedząc o tem wcale. Przyczyniła się do tego wielka wojna europejska i jej skutki. Rodzice Maryni mieszkali na Ukrainie, gdzie działo im się zgoła nieźle. Mieli ładny domek, kawał pola, ogród i bardzo dużą łąkę, na której pasło się stado krów. Miała Marynia trzech braci i dwie siostrzyczki, ale żadne z nich nie wiedziało co to jest być głodnym, nie mieć odzieży, albo wogóle czegokolwiek, co człowiekowi potrzebne jest na świecie do zułpełnego szczęścia. Marynia uganiała się wiosną i latem za motylami, a jesienią i zimą przesiadując z nianią swoją w dobrze ogrzanej izbie, słuchała ciekawych opowiadań o rycerzach, o zaklętych królewnach, gadających ptakach i drzewach o złotych liściach. Było jej bardzo dobrze. Lecz oto przyszła wielka wojna, ojciec został wzięty do wojska a mamusia bardzo często płakała, gdy długo nie miała wiadomości od ojca. Potem tatuś powrócił z wojska do domu, ale był bardzo smutny i niespokojny. Wojna się skończyła, ale pokoju nie było. Po kraju włóczyły się gromady uzbrojonych ludzi i walczyły z sobą. Ciągle słychać było strzelaninę a rodzice przerażali się ,gdy ktokolwiek wieczorem, albo nawet we dnie zapukał do drzwi ich domku.

Wreszcie stała się rzecz najgorsza. Pewnej nocy ojciec powrócił skądciś, pobudził wszystkich i wszyscy poubie-

rawszy się szybko wyruszyli pieszo w czem się dało ku drodze wiodącej do kolei. Dzieci płakały, bo chciało się im spać i bały się, dorośli szeptali z sobą trwożliwie i wreszcie gdy po długiem wędrowaniu śród ciemnej nocy letniej dotarli do skraju lasu i posiadali dla wypoczynku, ujrzeli w stronie od której przybyli wielką łunę i domyślili się, że pewno płonie także ich dom, który w porę jeszcze opuścili. Dawała się też słyszeć strzelanina. Trzeba było iść dalej. Wędrówka ta trwała bardzo długo i bywała straszna czasami. Ze wszystkich stron czyhała śmierć i zagłada; gdy spotykało się człowieka, nie wiadomo było czy to przyjaciel, czy wróg. Czasem wszyscy padali z wyczerpania, głodu i pragnienia, ale trzeba było ciągle iść naprzód, uciekać, uciekać, bo niebezpieczeństw było bardzo wiele.

Nareszcie wszyscy przybyli w okolice, gdzie było spokojnie, ale gdzie trzeba było dopiero zaczynać poszukiwania mieszkania, chleba, odzieży. Podczas długiej włóczęgi odzież pozdzierała się na wędrówcach, bielizna była czarna od brudu, z obuwia pozostały zaledwie jakieś marne strzępy. Ojciec znalazł wreszcie jakieś dwie izdebki z lichemi sprzętami i za sprzedane kolczyki mamusi wynajął je na mieszkanie, kupił chleba, skądś z sąsiedztwa przyniósł gorącej wody i zaczęło się gospodarowanie na nowem miejscu. Wtedy to Marynia zaczęła zapoznawać się z głodem, chłodem i tym smutkiem, który im zwykle towarzyszy, a którego nie znała nigdy dotąd.

Przyszła zima ojciec biegał całemi dniami szukając zarobku i chleba, aż wreszcie znalazł jakieś zajęcie do którego musiał jeździć koleją wczesnym rankiem a wracał późnym wieczorem do domu. Zarobki miał małe a wydatki rosły z dnia na dzień. Mamusia chorowała długo, dzieci nie miały

często co jeść, a babunia, która wzdychała bezustannie, powtarzała wciąż jedno i to samo: "żeby się też Pan Jezus zmiłował i dopomógł nam!" Marynia słuchając tych westchnień babuni rozumiała je w ten sposób, że Pan Jezus jest jakimś potężnym władcą, który może uczynić koniec niedoli wszystkich i każdego. Trzeba tylko aby został o wszystkiem powiadomiony i aby chciał dopomódz. Marynia myślała często, szczególniej gdy była głodna i gdy bywało jej chłodno, dlaczego też ten potężny Pan Jezus nie zatroszczy się o mamusię, która dopiero co zaczynała wstawać z łóżka po długiej chorobie, o babunię, która była taka już stara i słaba, o tatusia, który chodził w podartem ubraniu i o rodzeństwie Maryni, które często popłakiwało z głodu i chłodu. Dlaczego ten Pan Jezus nie przyjdzie i nie poratuje wszystkich, chociaż babunia tak ciągle o to prosi...? — myślała mała Marynia ale nie miała kogo zapytać, bo wszyscy byli stale zatroskani i mało kto miał ochotę do rozmów z Marynią.

Ale choć było bardzo źle, miało się stać jeszcze gorzej. Pewnego ranka tatuś Maryni nie pojechał jak zwykle do biura, ale został w domu i leżał w łóżku, a mamusia siedziała przy nim i płakała. Przyszedł doktór, zapisał lekarstwo i powiedział, że tatuś jest bardzo chory. Mamusia siedziała tedy przy łóżku i płakała, a babunia coraz głośniej wzdychała i szeptała: "Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami i nie daj nam zginać!"

Gdy o zmierzchu babunia usiadła w kąciku izby i złożyła ręce jakby do modlitwy, Marynia podeszła do niej i zapytała:

"Czy Pan Jezus jest daleko?"

"Daleko, moje dziecko, daleko..." — westchnęła babunia.

"A czy jest dobry?" — pytała dalej Marynia.

"Bardzo dobry, moje dziecko."

"I mógłby nam dać tyle chleba, ilebyśmy tylko chcieli?"

"O, tak Maryniu, mógłby uczynić wszystko."

"To dlaczego my do niego nie idziemy, babuniu?" — zapytała zdziwiona Marynia.

Babunia pogłaskała Marynię po jej płowej główce i odpowiedziała głosem przyduszonym:

"To tak daleko tak daleko..."

Marynia wiedziała już dosyć i postanowiła działać. To trudno. Nie mogło to przecie być, aby tatuś był chory, aby mamusia płakała ciągle aby wszystkim chciało się jeść i aby wszyscy bali się ciągle, że gospodarz wyrzuci ich z mieszkania, ,za które nie mieli czem płacić. Trzeba będzie powiadomić o wszystkiem Pana Jezusa... Zaraz jutro.

* * *

Ponieważ stawało się już cieplej, więc Marynia wychodziła na dwór i znała trochę okolice domu, w którym mieszkali jej rodzice. Nazajutrz po rozmowie z babunią wyszła na dwór, spojrzała przed siebie i ruszyła śmiało naprzód. Pójdzie do Pana Jezusa i powie mu wszystko. On mamusi pomoże i tatusia uzdrowi. Babunia powiada, że jest dobry. Koniecznie trzeba do niego iść. I Marynia szła, szła, szła... W pewnej chwili ogarnął ją niepokój. Obejrzała się za siebie i spostrzegła, że uszła tak daleko, iż nie wie teraz którędy wracać do domu. Zatrwożyła się i zaczęła płakać. Do bezradnej i wystraszonej podszedł jakiś pan przechodzący tamtędy.

"Czemu płaczesz, dziewczynko?" — zapytał podchodząc do niej.

Do Maryni już tak dawno nikt nie odezwał się tak ser-

decznie, jak obcy przechodzeń, że rozpłakała się jeszcze bardziej. Ale w małem jej serduszku zrodziła się odrazu ufność do obcego pana, bo ujęła go za rękę i patrząc mu z ufnością w oczy, rzekła:

"Niech mi pan powie, którędy idzie się do Pana Jezusa? Czy to jeszcze daleko?"

Pan spojrzał na dziewczykę z uśmiechem i zapytał:

"A czemuż to wybrałaś się do Pana Jezusa?"

Marynia powzięła nadzieję, że dowie się o drodze do Pana Jezusa i stała się wymowną.

"Bo tatuś jest chory, mamusia płacze, nie mamy chleba i jest nam zimno, a babunia powiada, że Pan Jezus może nam dopomódz."

"Jeśli tak jest, to mogę ci pokazać drogę do Pana Jezusa. Ale przedewszystkiem musimy wrócić do twoich ojców, bo może niepokoją się o ciebie. Bądź zupełnie spokojna i nie płacz: Będziecie mieli chleb i odzież i będziemy się starali, aby tatuś wyzdrowiał i aby mamusia przestała płakać."

Ujął dziewczynkę za rękę i prowadził ją według jej wskazówek ku domowi. Mówił do Maryni tak mile, ona zaś wierzyła tak chętnie każdemu słowu jego obietnicy, że w pierwszej chwili w serduszku jej narodziła się myśl radosna. Przystanęła, spojrzała w górę na twarz swego towarzysza i cała rozpromieniona zapytała:

"To pewno pan jest Pan Jezus."

"Nie, moja miła dziewczynko, ale go znam bardzo dobrze i on mnie właśnie posłał, abym dopomógł twoim rodzicom."

Marynia aż w ręce klasnęła z radości. Jak to dobrze, że wyszła szukać Pana Jezusa. Teraz już będzię dobrze i ma-

musia nie będzie płakała, bo tatuś będzie zdrowy i wszyscy będą mieli dość chleba. Jęła tedy rozpytywać o wszystko, aby wiedziała jak trzeba będzie tłómaczyć sprawę tatusiowi i mamusi.

"Pan zawsze mieszkał tutaj, niedaleko?"

"Nie kochanie, ja mieszkam bardzo daleko za ogromną wodą w Ameryce."

"A poco pan tak daleko przyjecha?"

"Widzisz Pan Jezus posłał mnie tu, abym dopomógł twoim tatusiom."

"To tam także jest Pan Jezus?"

"Jest wszędzie Kazał nam, abyśmy dopomagali wszystkim, którzy cierpią niedostatek."

Marynia słuchała, ale nie wszystko rozumiała. Tymczasem przyszła razem z towarzyszącym jej panem do domu... Ów pan rozpytał się o wszystko, rozejrzał się po mieszkaniu i jeszcze tegoż dnia po południu nadesłał odzież, bieliznę, chleb, mleko i wszystko, czego było potrzeba. Mamusi Maryninej, która przestała już płakać dostarczył pieniędzy i zapewnił pomoc na czas choroby tatusia i później, o ile zajdzie potrzeba.

* * *

W kilka dni później Marynia, ubrana znowu w czyste sukienki jak za dawnych dobrych czasów, wyszła sobie z braciszkiem na dwór bawić się na słońcu, bo wiosna była już na dobre. Podeszła do niej dziewczynka z sąsiedztwa i jęła się przyglądać jej sukienkom, bucikom, kapelusikowi.

"Skąd masz takie ładne sukienki?" — zapytała Marynię.

"Od Pana Jezusa."

"A buciki?"

"Od Pana Jezusa."

"A kapelusik?"

"Od Pana Jezusa" — odpowiadała Marynia z dumą i radością.

Towarzyszka jej kręciła główką. Nie mogła zrozumieć, że Pan Jezus, o którym słyszała ciągle, ale którego nigdy nie widziała poza kościołem, mógł się był komuś pokazać i obdarować kogoś tak sowicie.

"Hm... — rzekła po chwili — ja nic od Pana Jezusa nie dostałam."

"Bo Pan Jezus daje tylko takim, co potrzebują i jak tatuś jest chory a mamusia płacze."

"To w kościele Pan Jezus ci dał te wszystkie rzeczy?" — pytała dalej towarzyszka Maryni.

"Nie, przysłał nam do domu i dla tatusia i dla mamusi i dla wszystkich. I chleba i mleka..."

Tego było dla towarzyszki Maryni zawiele. To przecie nie może być, aby Pan Jezus, którego widywała w kościele na obrazie mógł dawać komuś takie rzeczy, kiedy przecie nigdy się nawet nie poruszył i nie widać było koło niego takich darów. Powiedziała o tem Maryni, przekonywając ją, że się myli.

"Byłam tyle razy w kościele i nigdy nic mi Pan Jezus nie dał" — rzekła.

Tego znowu nie mogła zrozumieć Marynia. Tylko jeden raz spotkała, nawet nie Pana Jezusa, ale jego znajomego i zaraz tyle darów otrzymała. Jęła tedy zastanawiać się nad odpowiedzią, jakiej udzielić należy powątpiewającej rówieśnicy. Nagle twarzyczka jej się rozjaśniła i odpowiedź potrzebna została znaleziona.

"Ba, — zawołała tonem mądrej osoby, która dobrze wie

o czem mówi — ten Pan Jezus z kościoła nic nie dajej, ale ten z Ameryki daje."

"Z Ameryki? — zapytała towarzyszka Maryni. — A skąd on wie, komu tu trzeba dać sukienkę i mleka?"

Marynia aż się roześmiała, że trzeba tłómaczyć takie proste rzeczy.

"Posłał tu jednego pana, co Pana Jezusa dobrze zna i ten pan powiedział, że Pan Jezus posłał go z Ameryki do nas, żeby nam dał wszystkiego, co nam było potrzebne."

"To nieprawda" — oponowała towarzyszka Maryni.

"To jest prawda — odpowiedziała Marynia z całą stanowczością. — Ja sama tego pana widziałam i sama go przyprowadziłam do nas. Jest taki dobry... Babunia powiada, że Pan Jezus też jest bardzo dobry."

Rówieśnica Maryni nie mogła zgodzić się na to wszystko. Myślała długo i wreszcie znalazła rozwiązanie zagadki.

"Już wiem — zawołała z wielką pewnością siebie. — To nie ten Pan Jezus, co jest w kościele, bo on nic nikomu nie daje. To inny jakiś."

"No tak, — przyświadczyła z radością Marynia. — Ten, co nam dał tyle ładnych rzeczy, to jest Pan Jezus z Ameryki. On wie o wszystkich biednych i posyła do nich swojego znajomego pana, aby im dopomógał."

W ten sposób rozstrzygnęła Marynia zawiłą sprawę teologiczną.

Tom Gruda.